

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Karol Dickens

**Dzieje, przygody,
Doświadczenia i zapiski
Dawida Copperfielda**

juniora, rodem z Blunderstone
/ których nigdy ogłaszać drukiem
nie zamierzał /

Tłumaczyła Wila Zyndram-Kościałkowska
w roku 1889

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Tytuł oryginału
The Personal History, Adventures, Experience, and Observations of David Copperfield,
the Younger, of Blunderstone Rookery
(which he never meant to be published on any account)

Rozdział I

Przychodzę na świat

Czy sam zostanę bohaterem niniejszej powieści, czy miejsce to zajmie kto inny, następane rozstrzygną stronice. W każdym razie zaczynam od początku, to jest od chwili mego urodzenia. Zgodnie z tym, co słyszałem i w co wierzę, wypadek ten miał miejsce w piątek o północy. Zegar bił właśnie dwunastą godzinę i jednocześnie ozwało się kwilenie nowo narodzonego, co właśnie, przez mamkę i pewną mądrą matronę z sąsiedztwa, od miesięcy już kilku i zanim osobiście poznać mię mogła, wielce w istnieniu moim zainteresowaną, zgodnie uznane zostało za zapowiedź po pierwsze, nieosobliwej doli w świat wchodzącego człowieka, po drugie uzdolnienia tegoż człowieka do widywania duchów i strachów, właściwości niechybnie wrodzonej, jak to utrzymywały obie doświadczone niewiasty, i zwykłej dzieciom obojga płci, zrodzonym w piątkowych nocnych godzinach.

Co do pierwszego wniosku, historia mego życia wykaże, o ile był prawdziwym. Co do drugiego, zauważę, że dotąd nie zdarzyło mi się sprawdzić jego słuszności, na co się zresztą bynajmniej nie uskarżam.

Urodziłem się, jak to mówią, w czepku, którego sprzedaż ogłoszono w dziennikach za skromną cenę piętnastu gwinei. Czy to, że żeglarze w nieosobliwych w tym czasie znajdowali się interesach, czy że osłabła wiara w podobne praktyki i bardziej niż czepkom zaufano korkowym pasom, nie wiem, dość, że się zgłosił jeden tylko nabywca, pewien adwokat, ofiarujący za wystawiony na sprzedaż przedmiot dwa funty w gotówce i tyleż winem, lecz odmawiający stanowczo zabezpieczenia się od utonięcia w wyższej cenie. Że zaś nawet piwnica biednej mojej matki była do sprzedania, nie dobito targu i dopiero w dziesięć lat później czepek puszczone w okolicy, którąśmy zamieszkiwali, na loterię, w pięćdziesięciu biletach, pół korony każdy, z dopłatą przez wygrywającego pięciu szylingów. Byłem obecny przy tym i pamiętam niemiłe uczucie, jakiegom doznał wobec podobnego rozporządzenia się częścią mej osoby. Fant wygrany został przez starą damę z koszyczkiem w rękę. Pamiętam, jak niechętnie dostawała z niego należną dopłatę drobnymi, co zabrało nieskończenie wiele czasu i było powodem wielu arytmetycznych zawikłań. Dama ta, co jest faktem niezwykłym i wartym pamięci, istotnie nie utonęła, lecz na własnym łóżku godnie umarła w dziewięćdziesiątym drugim roku życia. Wypada jednak dodać, że się trzymała stale lądu, a nawet wyklinała niezbożność żeglarzy i innych podobnych niegodziwców, usiłujących – jak mówiła – „wykrętami” naruszyć naturalny bieg rzeczy. Na próżno tłumaczono jej, że z tej to właśnie walki z naturalnym biegiem rzeczy osiągnano znaczne korzyści, a między innymi herbatę, którą szczególnie lubiła; na wszelkie dowodzenia odpowiadała ona nieodmiennie: „Wykręty to, ateuszowskie wykręty”.

A teraz bez wykrętów do rzeczy, to jest do mego przyjścia na świat.

Urodziłem się w Blunderstone, w hrabstwie Suffolk. Jestem pogrobowcem, gdyż ujrzałem światło dzienne w sześć miesięcy po zamknięciu na zawsze powiek mego ojca. Nie mogłem się nigdy pogodzić z myślą, że mój ojciec nie widział mnie nawet. Dotąd też pamiętam żal, który mnie zdejmował, ilekroć pomyślałem o samotnej jego mogile. Zwłasz-

cza w słotną i ciemną noc, gdy w jasnym i ciepłym naszym mieszkaniu płonął ogień na kominie, dostrzegałem coś bezlitosnego, jak mi się nieraz zdawało, w tych szczelnie zamkniętych naszych drzwiach i oknach.

Najbogatszą osobą w naszej rodzinie była ciotka mego ojca, a tym samym moja cioteczna babka, o której opowiem więcej w odpowiednim czasie – panna Trotwood albo też panna Betsey, jak ją nazywała biedna moja matka, gdy się zdobyła na odwagę, co zdarzało się niezmiernie rzadko, wzmiankowania tej imponującej osoby. Panna Betsey wyszła za męża za człowieka młodszego od siebie i niezwyklej urody, na którym, niestety, nie sprawdziło się przysłowie o pięknej duszy w pięknym mieszkającej ciele. Utrzymywano, jakoby źle obchodził się z żoną, bił ją, a nawet przy drażliwej jakiejś pieniężnej kwestii chciał z drugiego piętra oknem wyrzucić. Taka niezgodność temperamentów skłoniła ciotkę mego ojca do rozstania się z mężem za wszelką cenę. Mąż, przyszedłszy w ten sposób do posiadania kapitału, wyjechał do Indii, gdzie, wedle przechowanego w rodzinie podania, widywano go jeżdżącego na słoniu, w towarzystwie księżniczki hinduskiej jakoby. Bądź co bądź, w dziesięć lat potem doszła wieść o jego zgonie. Jak wieść tę przyjęła ciotka, nikt nie wie. Wróciła po śmierci męża do panińskiego swego nazwiska, nabyła mały, na brzegu morza stojący domek i osiadłszy w nim z jedną tylko służącą, wiodła życie samotne i zamknięte.

Zrazu ojciec mój był jej ulubieńcom, lecz odkąd nie mogła mu wybaczyć ożenienia się z „woskową lalką”, jak nazywała moją matkę, tyle tylko o niej wiedząc, że nie ma jeszcze lat dwudziestu, przestał ją widywać. Ojciec mój, znacznie od żony starszy i słabego zdrowia, zmarł w rok po ożenieniu, a na sześć miesięcy, jak to już mówiłem, przed moim przyjściem na świat.

Tak się rzeczy miały w wieczór tego dnia, który pozwałam sobie nazwać pamiętnym. Nie roszcząc wszelako najmniejszej pretensji do oceniania na podstawie świadectwa własnych zmysłów istniejącego wówczas stanu rzeczy ani nawet do pamięci własnym nabytym doświadczeniem, powtarzam, co słyszałem.

Otóż matka moja, siedząc przed kominkiem, słaba i przygnębiona, przez łzy spoglądała na ogień, rozmyślając nad sobą i nad tym drobnym wyczekiwany gościem – sierotą, którego przyście na świat powitać miał płonący na kominku ogień. W pogodne, lecz wietrzne marcowe popołudnie siedziała tak cicha i wystraszona, w wąpiąc, czy przeżyć zdoła zbliżającą się chwilę krytyczną. Podnosząc głowę dla otarcia łez, spojrziała wypadkiem w okno i dostrzegła przechodzącą przez ogród nieznaną kobietę.

Od razu zgadła, że był to nie kto inny, tylko panna Betsey. Słońce, przedzierając się przez ogrodzenie, oświecało idącą śmiało, wprost przed siebie postać kobiecą, która zbliżywszy się do domu, dała niezbitą już dowód tożsamości. Ojciec mój mawiał nieraz, że jego ciotka nie stosuje się w niczym do utartych zwyczajów. Toteż i tym razem zamiast zadzwonić do drzwi domu, zbliżyła twarz do okna, aż nos jej, jak utrzymywała moja matka, spłaszczył się i pobielał zupełnie. Widok ów tak dalece przeraził biedaczkę, że zapewne temu to niezwyklemu zjawieniu się ciotki Betsey zawdzięczam przyście na świat w fatalnym dniu piątkowym.

Matka moja porwała się z krzesła, szukając schronienia w głębi pokoju, gdzie ją panna Betsey, przewracając oczy, niby głowa Saracena na starym holenderskim zegarze, ostrzegła i przywołała do drzwi ruchem przywykłej do rozkazywania osoby. Matka moja drzwi otworzyła.

– Zapewne pani Copperfield – zauważyła panna Betsey wchodząc do pokoju i spoglądając na żałobne szaty i zmienioną kibić mojej matki.

– Tak jest – odrzekła cicho zagadnięta.

– Trotwood – przedstawiła się nowo przybyła. – Przypuszczam, żeś musiała coś o mnie słyszeć?

Matka moja odpowiedziała twierdząco wprawdzie, lecz bez zbytniego entuzjazmu.

– Widzisz mnie przed sobą we własnej osobie – dorzuciła nowo przybyła.

Obie usiadły u kominka. Po kilku chwilach nie przerwane przez ciotkę Betsey milczenia matka moja wybuchnęła płaczem.

— Ts... ts... ts... – upominała ją ciotka – uspokój się, uspokój.

Długo biedna kobieta nie mogła się uspokoić.

– A teraz zdejm ten czepek – zdecydowała przybyła – niech ci się przypatrzę.

Matka moja tak była przerażona, że gdyby nawet i chciała, nie śmiałyby sprzeciwić się dziwnemu nieco żądaniu swego gościa.

Drżącą ręką sięgając po wdowi czepek, w pośpiechu rozrzuciła włosy, które spłynęły na jej twarz i ramiona.

– Ależ to dziecko! Istne dziecko! – zawołała panna Betsey.

Istotnie matka moja była młoda, a wyglądała jeszcze młodziej. Spuściła tedy głowę, przyznając się do tego mimowolnego grzechu, i łkając upewniała ciotkę, że na nieszczęście młoda jest, zbyt młoda na wdowę, na matkę... jeśli notabene przeżyć zdoła to, co jej grozi... Zdawało się jej przy tym, że gdy tak skarżyła się, płacząc rzewnie, czuła przesuwającą się po swych włosach pieszczotliwą i miękką kobiecą rękę. Musiało to być jednak przywidzenie. Gdy podniosła załzawione oczy, ciotka siedziała na krześle prosta i sztywna, z założonymi na piersiach rękoma, z nogą wspartą o kratę kominka.

– Ha! – ozwała się po chwili – „Wroni Bór”, dlaczego mianowicie „Wroni Bór”?

– Pani ma zapewne na myśli nazwę tej miejscowości? – spytała matka.

– Dlaczego mianowicie „Wroni Bór”? – powtarzała panna Betsey. – Przy waszej nierealności „Domów Wzór” brzmiałoby stosowniej.

– Nazwę tę – odrzekła matka – mój mąż wybrał jako odpowiednią.

Właśnie wiatr tak zachrząścił w starych drzewach ogrodu, że mimo woli wzrok rozmawiających zwrócił się w tę stronę. Wiązy, pochylając się ku sobie na kształt borów szepczących zwierzenia, zatrzęsły się gwałtownie, jak gdyby odepchnąć chciały ciężką i straszną jakąś tajemnicę, na wiatr puszczając rozbijające gałęzie. Z najwyższych strącone a zawisłe tam stare wronie gniazdo spadło, podobne do szczątków rozbitego na burzliwym morzu okrętu.

– Gdzież są ptaki? – spytała panna Betsey.

– Ptaki? – powtórzyła budząc się z zamyślenia matka.

– Wrony, gdzież się podziały? – pytała ciotka.

– Nie widziałam ich, odkądśmy tu zamieszkali – odrzekła matka i dodała: – Myśleliśmy, to znaczy pan Copperfield sądził, że miejsce to jest dla nich stosowne. Widać jednak gniazda były stare i od dawna już puste.

– Mam go, mam Dawida, jak gdybym go widziała – zawołała ciotka – miejsce nazwać od gniazd i ufać, że ponieważ są gniazda, będą i ptaki. Liczyć na ptasią fantazję, to mi praktyczność!

– Pan Copperfield – przerwała matka moja – nie żyje i jeśli pani ośmiela się mówić o nim w podobny sposób, w mojej obecności...

Biedna kobieta próbowała stawiać czoło naszej ciotce, zdolnej pokonać o wiele silniejszego od słabej tej istoty wroga! Matka moja padła osłabiona na krzesło, z którego usiłowała powstać, a gdy przyszła do siebie czy też może została oduczona przez pannę Betsey, ta stała u okna. Wieczór zapadał coraz głębszy i gdyby nie płonący na kominku ogień, rozmawiające kobiety nie mogłyby siebie widzieć.

– Hm! – zaczęła ciotka Betsey, wracając obojętnie na uprzednio zajmowane przy kominku miejsce – a kiedyż to spodziewasz się?...

– Czuję się słaba – wyjęknęła matka – nie wiem, co mi jest, pewnie nie przeżyję tego.

– O! O! – uspokajała ciotka – napij się tylko herbaty.

- Gdyby mi to pomogło!
- Pomoże, niewątpliwie pomoże, wyobrazasz sobie więcej, niż jest. Jak na imię tej dziewczynie?
- Sama nie wiem jeszcze, czy to będzie dziewczyna – zauważyła naiwnie moja matka.
- Niech Nieba mają w swej pieczy to dziecię! – zawołała ciotka, bezwiednie powtarzając sentencję wypisaną na pewnej szufladzie szafy w pokoju mojej matki, w której zło żono początek mego doczesnego dobytku – wcale nie to miałam na myśli. Myślałam o służącej.
- Peggotty – odrzekła moja matka.
- Peggotty – powtórzyła z pewnym oburzeniem ciotka – chcesz we mnie wmówić, mała, że chrześcijańska dusza została ochrzczona podobnym imieniem?
- To jest jej nazwisko – odrzekła słabnąc moja matka – po nazwisku nazywał ją mój mąż, gdyż Peggotty nosi moje imię.
- Peggotty! – zawołała panna Betsey otwierając drzwi – podawaj prędzej herbatę. Twoja pani zasłała, nie marudźże!
- Wydawszy ten rozkaz tonem przywykłej do rozkazów i rzuciwszy badawcze spojrzenie na wychodzącą z kuchni ze świecą w rękę, zdziwioną tym nieznanym i rozkazującym głosem służącą, ciotka Betsey wróciła na poprzednie miejsce, podniosła brzeg sukni, nogę położyła na kracie kominka, a obie ręce złożyła na kolanach.
- Mówiłaś dopiero – zaczęła – o dziewczynce. Nie wątpię też ani na chwilę, że będzie to dziewczynka. Otóż od chwili urodzenia tej dziewczynki...
- Może będzie to chłopczyk – wtrąciła nieśmiało moja matka.
- Nie zaprzeczaj mi – odparła ciotka – wiem, co mówię. Przeczucie mnie nie myli. Otóż od chwili urodzenia tej dziewczynki rozciągam nad nią opiekę, będę jej chrzestną matką i proszę, aby się nazywała Betsey Trotwood Copperfield. W życiu tej Betsey Trotwood nie powinno być omyłek i niech nikt się nie ośmieli zażartować z uczuciem tej Betsey Trotwood. Wychowamy ją starannie, będziemy strzec, aby zaufania i serca nie trwonila na darmo. M o j a to już sprawa.
- Za każdym z powyższych zdań ciotka potrząsała głową, jak gdyby z myśli i pamięci zrzucić chciała ciężar dawnych cierpień. Tak się przynajmniej zdawało mojej matce, gdy patrzyła na nią przy niepewnym blasku ognia, zbyt słaba zresztą, zbyt wystraszona i niespokojna o siebie, aby zdawać sobie sprawę z tego, co widziała lub mówiła.
- Czy Dawid dobry był dla ciebie, moje dziecko? – spytała ciotka po krótkim milczeniu. – Czyście byli szczęśliwi?
- Bardzo szczęśliwi – odrzekła moja matka. – Był chyba zbyt dobry dla mnie.
- Pieścił cię, psuł zapewne.
- Teraz gdym została sama i opuszczona na tym świecie, teraz wiem, że w istocie tak było – załkała biedna kobieta.
- Ts... nie płacz, no nie płacz – pocieszała ją panna Betsey – nie byliście, widzisz, dobraną parą. Jak gdyby były dobrane pary! Dlatego pytałam. Sierotą byłaś, co?
- Sierotą.
- Nauczycielką, zdaje mi się.
- Nauczycielką dzieci w rodzinie, którą pan Copperfield odwiedzał czasem. Zauważył mnie i był zawsze bardzo dla mnie dobry... oświadczył się... przyjął oświadczyni i takżeśmy się pobrali – kończyła, ze zwykłą sobie prostotą, matka moja.
- Dziecię! Biedne dziecię! – mruzczała panna Betsey marszcząc brwi, wciąż nachylona nad ogniem. – Czy ty w ogóle coś umiesz?
- Przepraszam panią – wyjęknęła znów moja matka.
- Jak dom prowadzisz, na przykład? – kończyła ciotka Betsey.
- Słabo – odrzekła – o wiele mniej, niżbym chciała. Dawid uczył mnie...
- Niby sam się znał na tym! No! – wtrąciła ciotka.

– Chciałam korzystać, chciałam z całego serca, a on był tak dobry, wyrozumiały, cierpliwy i gdyby nie...

Łkanie przerwało mowę mej matce.

– Prowadziłam rachunki starannie, co wieczór sprawdzaliśmy je razem – ciągnęła moja matka, łkając ciągle.

– Uspokój się, no, uspokój, nie płacz tak – mówiła ciotka.

– I nigdy najmniejsze nie zaszło między nami nieporozumienie – kończyła płacząc matka moja. – Czasem tylko zarzucał mi, że moje trójki zbyt są podobne do piątek, że laseczki przy siódmkach i dziewiątkach zbyt kręte.

– Uspokój się, nie płacz tak – upominała ciotka. – Może ci to zaszkodzić i nie tylko tobie, lecz i mojej chrzestnej córce.

Ostatni ten wzgląd uspokoił nieco moją matkę. Czuła się zresztą coraz słabszą. Zapowiadało milczenie przerywane pochrząkiwaniem ciotki.

– Dawid – rzekła ona wreszcie – posiadał rentę. Czy zapewnił ci jakiś fundusz?

– Był tak dobry, że pomyślał o mnie i część renty przelał na moje imię.

– Na jaką sumę?

– Sto pięć funtów rocznie.

– Mogło być gorzej – zauważyła ciotka.

Tymczasem z biedną moją matką tak źle już było, że wnosząca herbatę i świecę Peggotty przelekła się na dobre. Pomogła swej pani natychmiast przejść do sypialnego pokoju, wysyłając jednocześnie po doktora swego bratanka, Hama Peggotty, którego od dni już kilku w przewidywaniu tej konieczności przechowywała w kuchni bez wiedzy mojej matki.

I doktor, i wezwana do pomocy niewiasta zdziwili się wielce niespodziewanym widokiem obcej damy, siedzącej u kominka z groźną miną, przewieszonym przez lewą rękę kapeluszem i uszami pełnymi waty. A że ani moja matka w tej chwili nie mogła udzielić żadnych objaśnień, ani też Peggotty nie umiała wytłumaczyć, zjawisko pozostało tajemniczym, do czego też przyczyniała się niemało wielka ilość wyciąganej z kieszeni i do uszu przez nieznaną pakowanej waty.

Doktor wróciwszy z pokoju chorej i przekonawszy się zapewne, że zmuszony będzie spędzić kilka godzin z nieznaną, usiłował być uprzejmy i towarzyski. Był to najspokojniejszy i najłagodniejszy pod słońcem człowieczek, starał się jak najmniej zabierać wszędzie miejsca, chód jego był cichy, jak stąpanie ducha w „Hamlecie”, głowę przechylał skromnie na ramię. Nie nazwałby złym słowem psa ani nawet na wściekłego psa nie potrafiłby burknąć, dałby mu choć jedno, choć pół, choć cząstkę dobrego słowa, a mowa jego, jak i kroki, była cicha i powolna. Nie, za nic w świecie, nawet dla wściekłego psa nie byłby on szorstki i ostry.

Toteż pan Chillip, spoglądając uprzejmie na moją ciotkę i zwracając pytanie do nieznanym zatykającej uszy watą, spytał najuprzejmiej, dotykając przy tym swego lewego ucha:

– Miejscowe zapewne cierpienie?

– Co takiego? – odrzekła ciotka, wyciągając watę z ucha, niby korek.

Szorstkość pytania tak bardzo przeraziła łagodnego doktora, że o mało, jak zapewniał potem, nie stracił głowy. Niemniej jednak ze zdwojoną uprzejmością powtórzył pytanie:

– Miejscowe zapewne zapalenie?

– Głupstwo! – odrzekła ciotka, zatykając znów ucho.

Doktorowi nie pozostawało nic innego jak usiąść i przyglądać się wpatrzonyj w ogień nieznanym, dopóki nie wezwano go znów do chorej. Po kwadransie wrócił do bawialnego pokoju.

– Co, jakże tam? – spytała ciotka wyciągając watę.

– Pomyślnie, wcale pomyślnie – odrzekł – pomaleńku zbliżamy się do końca.

– Ba! – wstrząsnęła wzgardliwie głową i znów zakorkowała ucho.

Raziło to, strasznie raziło doktora, jak upewniał potem, lecz cóż miał począć? Siedział tedy cicho i spoglądał na nieznajomą, która nie odwracała twarzy i oczu od ognia. I tak siedzieli naprzeciw siebie godzin parę, zanim znów nie wezwano doktora do chorej. Gdy wrócił:

– I jakże tam? – spytała ciotka wyjmując watę z jednego ucha.

– Nieźle, łaskawa pani! Postępujemy powoli, postępujemy.

– Ta-a-k! – warknęła, a doktor utrzymywał, że tak go przestraszyła tym mruknięciem, że wolał odtąd siedzieć na schodach po ciemku i nadto w strasznym przeciagu, niż dotrzymywać dalej towarzystwa nieznajomej.

Ham Peggotty, uczęszczający do szkółki i biegły w katechizmie, a co za tym idzie – wiarygodny świadek, opowiadał nazajutrz, że wszedłszy przypadkiem do pokoju, w którym znajdowała się panna Betsey, został natychmiast pochwycony w szpony przechadzającej się niespokojnym krokiem wzdłuż i wszerz pokoju damy. Dochodziły tu głosy i jęki, których zapewne wata zgłuszyć nie zdołała, i Ham padł ofiarą zdenerwowania panny Betsey. Porwała go za kołnierz, miotając nim, targała go za włosy i za uszy, szarpała, co zresztą potwierdzone zostało przez własną jego ciotkę, Peggotty, która widziała Hama po północy, wkrótce po wyjściu ze szponów panny Betsey, i zapewniała, że był niemal tak czerwony, jak moja, drobniutka wówczas osobka.

Dobry doktor Chillip niezdolny był do zemsty, toteż skoro mu czas na to pozwolił, wszedł do pokoju, w którym przebywała nieznajoma, i zbliżając się do niej z uprzejmym uśmiechem:

– Rad jestem – rzekł – że mogę powinszować pani.

— I cóż? – przerwała mu ciotka.

Przeraził się biedak i starał się ułagodzić nieznajomą ukłonami i uśmiechem.

– Zwariował czy co? – wrzasnęła niecierpliwie ciotka Betsey. – Nie możesz mi pan odpowiedzieć?

– Uspokój się, droga pani. Nie ma się już czego trwożyć – uspokajał ją z uśmiechem doktor.

I dziwił się długo potem, i za cud niemal poczytywał, że go nie odepchnęła i tylko wstrząsnęła głową, ale to tak, że umilkł na razie. Po chwili dopiero, przyszedłszy do słowa, począł ją znów uspokajać:

— Rad jestem, że mogę powinszować łaskawej pani. Wszystko odbyło się szczęśliwie, nader szczęśliwie.

Ciotka Betsey nie spuszczała oka z mówiącego.

– Jakże się ona miewa? – spytała zakładając ręce na piersi.

– Nieźle, wcale nieźle, i spodziewam się, że niebawem wróci do sił – upewniał lekarz – zważywszy, zwłaszcza, okoliczności, w jakich się to odbyło... Dziwnie szczęśliwie wszystko poszło. Możesz ją pani odwiedzić choć zaraz, nie zaszkodzi to jej wcale.

– Ależ ja pytam o n i ą! – zawołała niecierpliwie panna Betsey.

Doktor przechylił głowę na ramię, uprzejmie uśmiechając się do nieznajomej.

– Jak się ma nowo narodzona? – objaśniła ciotka.

– Sądziłem... wiadomo już pani... jest to chłopiec – rzekł doktor.

Ciotka Betsey nie odrzekła na to ani słowa. Wziąwszy kapelusz za wstążki, uderzyła nim doktora po twarzy i odwróciwszy się, wyszła, aby już nie wrócić. Zniknęła jak rozgniewana wróżka lub jedna z tych nadprzyrodzonych istot, które, obdarzone szczególnym darem, miałem widywać. Nie wróciła. Spoczywałem w kołysce, a matka moja na łó żku, lecz Betsey Trotwood Copperfield rozplynęła się we mgłach, z których dopiero com zstąpił w rzeczywistość. Wyplływające z okien naszych światło rozświetlało mroczne szlaki podobnym mnie pielgrzymom. Oświetlało też wzgórze usypane nad popiołami tego, bez którego nie mógłbym istnieć.

Rozdział II

Zaczynam pojmować

Pierwsze przedmioty, które się rysują wyraźnie na tle mego najwcześniejszego dzieciństwa, gdy się w nie cofam wspomnieniem, są: matka moja z pięknymi włosami i młodocianą postacią i Peggotty, o której kibici nie ma co mówić, a której czarne oczy zdawały się rzucać cień na całą moją twarz, a policzki tak były rumiane, ramiona okrągłe i jędrne, że mi się dziwnym zdawało, iż ptaszki nie dziobią ich chętniej niż jabłka na drzewie.

Zdaje mi się, że pamiętam je obie od chwili, gdy klękały albo przysiadły na ziemi, a ja próbowałem utrzymać się na nóżkach. Pozostało mi raczej wrażenie dotknięcia wskazującego palca Peggotty, za który chwytałem, gdym się chwiały, a który od ukłuć igły był szorstki niby tarka.

Może mi się tak zresztą tylko zdaje. Chociaż sądzę, że pamięć nasza sięga dalej, niż zwykliśmy przypuszczać, jak również spostrzeżenia dzieci uderzają niezwykłą trafnością. Sądzę nawet, że dorośli ludzie, posiadający ów dar spostrzegawczości, nie nabyli go z biegiem czasu, lecz przechowali z dni dziecięcych. Ludzie podobnym obdarzeni darem zachowują dziwną świeżość i wrażliwość, łatwość cieszenia się, które są przecież właściwościami wieku dziecięcego.

Zarzuca mi może niektórzy, że odbiegam od tematu, lecz przekonanie powyższe, własnym nabyte doświadczeniem, niech służy za poparcie niniejszej opowieści: czy jako dziecko posiadałem dar spostrzegawczości, czy też jedynie zachowałem wierne i świeże wspomnienie dni dawno ubiegłych – w opowiadaniu mym opierać się muszę bez względu na to na obu tych właściwościach.

Pierwszym tedy wrażeniem pozostałym z dni dziecięcych są, jakem to już rzekł: matka moja i Peggotty. Cóż pamiętam nad to? Zobaczmy.

Niby spoza mgły wyłania się dom nasz. Stary mi się wydawał i znany, dokąd sięgam pamięcią. Na dole była kuchnia z wyjściem na tylne podwórze. Na środku podwórza gołębnik bez gołębi, w kąteczku psia buda bez psa, a wszędzie pełno ptactwa, które mnie przestraszało wojowniczym swym zachowaniem. Pamiętam zwłaszcza jednego koguta. Piejąc na pieńku, zdawał się nie spuszczać ze mnie oka. Drżałem spoglądając spoza drzwi kuchni, bo taki groźny mi się wydawał. O gęsi prześladowanej mnie sykaniem i wyciągniętą szyją śniłem po nocach, jak podróżny śni o dzikich bestiach.

Z kuchni do drzwi wejściowych wiódł nieskończenie długi, jak mi się zdawało, korytarz. Położona przy nim ciemna spiżarenka mijana bywała przyśpieszonym krokiem, pod wieczór zwłaszcza, bo kto wie, co się kryć mogło w tych garnkach, słojach i pudłach od herbaty, gdy promień świecy nie rozpraszał mroków izdebki wydającej woń mydła, octu, pieprzu, świec i palonej kawy, wszystko razem, niby jedno tchnienie, za każdym uchYLENIEM drzwi. Były też w domu dwa bawialne pokoiki, ten, w którym przesiadywaliśmy zwykle wieczorami z matką moją i Peggotty, gdyż Peggotty po skończonej pracy dotrzymywała nam towarzystwa i wchodziła w skład rodziny, i drugi, obszerniejszy i wytworkniejszy, w którym przesiadywaliśmy tylko w niedzielę. Pokój ten wydawał mi się ponury, dlatego może, że mi Peggotty opowiedziała raz, nie wiem już kiedy, bardzo dawno, o pogrzebie mego ojca i w żałobę ubranym zgromadzeniu. Pewnego niedzielnego wieczoru

matka moja czytała nam o wskrzeszeniu Łazarza. Przeraziło to mnie okropnie. Musiano wyjąć mnie z łóżeczka i pokazać przez okno cmentarz w oddali, ze wszystkimi zmarłymi spoczywającymi spokojnie pod nie naruszonymi mogiłami i łagodnym światłem miesiąca.

Nie znam głębszej zieleni, niż zieleń trawy tego cmentarza, ani większego cienia, niż cień rosnących tam drzew, ani spokoju większego, niż spokój nagromadzonych w owym miejscu mogił. Z rana, klęcząc na moim posłaniu za parawanem, przy łóżku mojej matki, widziałem trzody pasące się opodal i różowy odbłask słońca na zegarze słonecznym i nie raz myślałem, że i ono cieszy się pewnie, że znów może pokazywać godzinę.

W kościele mieliśmy ławkę z wysokim oparciem, tuż przy oknie, skąd dojrzeć można było dom nasz; korzystała z tego Peggotty, aby zobaczyć, czy nie stał się on czasem pastwą płomieni lub złodziei. Lecz to, co wolno było Peggotty, mnie zabronione było surowo i gdy stawałem na ławce, ta sama Peggotty zwracała mnie twarzą do stojącego u ołtarza księdza. Znałem go dobrze, jego i białe pokrycie na ołtarzu, toteż nudziło mi się wciąż na to patrzeć. A gdyby przerwał nabożeństwo i spytał, co robię?... Mrowie przechodziło mnie na samą tę myśl. Musiałem przecież czymś się zająć. Patrzyłem na moją matkę, lecz ta udawała zawsze, że nic nie widzi. Spoglądałem w stronę stojącego u ołtarza chłopaka, który robił do mnie wtedy miny. Spoglądałem na słup słoneczny wpadający przez otwarte na oścież drzwi kościoła i dostrzegałem owieczkę, nie zbłąkaną ludzką, lecz najzwyczajszą pod słońcem owieczkę, usiłującą wejść do świątyni. Czułem, że jeśli będę się jej dłużej przyglądał, ulegnę pokusie przemówienia głośno, a wówczas co będzie... Prędko tedy odwracałem oczy i wpatrywałem się z kolei w tablice marmurowe pokrywające ściany kościoła. Myślałem przy tym o niedawno zmarłym panu Bodgers i o tym, jaki żal ścisnąć musiał serce pani Bodgers, i o tym, dlaczego nie zawezwano do chorego doktora Chillipa. A jeśli wzywano go, czemu mu nie pomógł, i jak mu przykro być musi co tydzień przypominać to sobie? Spoglądałem wówczas na doktora siedzącego w odświętnym krawacie przed amboną i myślałem, że byłaby ona doskonałym miejscem do zabawy. Gdyby, na przykład, drugi chłopiec atakował ambonę jak twierdzę, aksamitne poduszki służyć mogły za kartacze, jakże wygodnie byłoby ciskać je z góry! Pomału, pomału kłoniłem senną główkę, powieki mi się kleiły, zdawało mi się, że słyszę księdza, jak śpiewa kołysankę, lecz wkrótce nie słyszałem już nic, spadałem z ławki i Peggotty wynosiła mnie przerażonego z kościoła.

Widzę nasz dom, ozdobione kratą okna sypialni, otwarte dla wpuszczenia świeżego powietrza, stare wiązki u bramy i kołyszące się na nich, powichrzzone wronie gniazda. Widzę na dziedzińcu, o parę stóp za pustym gołębnikiem, tuż obok psiej budy, owianej ćmą motyli, bramę zamkniętą na kłódkę, a tam dalej na gałęziach drzew owoce obfitsze i soczystsze od wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem. Pamiętam, jak matka moja zbierała je do koszyka, a ja udając niewzruszonego zrywałem ukradkiem agrest po agrestie.

Wiatr rozwiał wiosenną i letnią pogodę i oto nastały długie zimowe wieczory. Bawimy się i tańczymy sobie dokoła kominka, a na kominku płonie wesoły ogień! Gdy matka zmęczona pada na fotel, widzę, jak naokoło delikatnych paluszków owija rozrzucone pasma włosów i poprawia stanik sukni. O! Matka moja była bardzo ładna, wiedziała o tym i nikt też lepiej ode mnie nie wiedział, jak bardzo lubiła zawsze i wszędzie ładnie wyglądać. Pozostało w mojej pamięci i to, żeśmy oboje z matką bali się trochę Peggotty, która też nami kierowała dowolnie.

Wieczoru pewnego siedziałem z Peggotty przed kominkiem. Pamiętam, czytałem jej coś na głos o krokodylach. Musiałem czytać niezwykle wyraźnie lub też pocziwa Peggotty słuchać musiała z niezwykłym natężeniem uwagi, gdyż pod koniec miała niejasne wyobrażenie, że krokodylę należą do świata roślinnego. Zmęczyło mnie to głośne czytanie, spać mi się chciało, lecz postanowiwszy doczekać się powrotu matki, będącej gdzieś w odwiedzinach, wolałem paść jak nieżywy na stanowisku, niż położyć się do łóżka. Po-

woli Peggotty zaczęła dziwnie jakoś nabrzmiewać i rosnąć w moich snem klejących się oczach. Przetarłem powieki. Zacząłem przypatrywać się uważnie, jak szyla. Patrzyłem na kawałek wosku, o który ocierała nitki, jak że staro wyglądał, porysowany głęboko we wszystkich kierunkach! Patrzyłem na małą chatkę, pod której słomianą strzechą kryła się miarka, na skrzyneczkę do robót z wymalowaną na niej katedrą Świętego Pawła o czerwonej kopule, na brązowy naporstek błyszczący na palcu Peggotty i na nią samą, a wszystko to razem wzięte wydawało mi się nieskończenie piękne. Pomału, pomału wszystko to zacierało się, bladło, na chwilę znikło mi zupełnie z oczu.

– Peggotty – spytałem nagle, szeroko otwierając powieki – czy byłaś kiedyś zamężną?

– Jezus, Maria! – zawołała zniecka zagadnięta Peggotty – skąd się paniczowi przyśniło małżeństwo!

Głos jej i sposób, w jaki powyższe słowa wypowiedziała, zbudziły mnie zupełnie. Przestała szyc, opuściła igłę, wpatrzyła się we mnie.

– Pytam cię, Peggotty – powtórzyłem – czyś była kiedyś zamężną? Jesteś przecież bardzo przystojna, nieprawdaż?

Wydawała mi się ładna, tylko w inny sposób niż moja matka, w innym zupełnie rodzaju. W saloniku na podnóżku był wymalowany przez moją matkę na czerwonym aksamicie bukiet kwiatów. Otóż tło to zdawało mi się podobne do cery Peggotty. Podnóżek był wprawdzie miękki, a skóra Peggotty chropowata, lecz to nie stanowiło wielkiej różnicy.

– Ja przystojna! – zawołała Peggotty. – Patrzcie go! Wcale nie jestem ładna, kochanku! Skąd ci się wzięło to zameście?

– Sam nie wiem! Wszak nie można, Peggotty, żenić się naraz z kilku osobami, prawda?

– Oczywiście, że nie – brzmiała szybka odpowiedź.

– Ale jeśli jedna osoba umrze, to czy można znów się ożenić?

– Zapewne... jeśli ci się podoba. To zależy, czy kto chce.

– A co ty o tym myślisz? – spytałem wpatrując się w nią ciekawie, dlatego tylko, że się bacznie wpatrywała we mnie.

– Jak widzisz – odrzekła po chwili wahania, odwracając ode mnie oczy i pochylając się nad robotą – nie wyszłam za mąż ani się też za mąż nie wybieram. Oto moje zdanie.

– Nie gniewaj się, Peggotty! – rzekłem po chwili milczenia, gdyż istotnie zdawało mi się, że ją rozgniewałem. Myliłem się widocznie. Odrzuciwszy bowiem robotę, porwała mnie w objęcia i przycisnęła z całej siły do piersi moją kędzierzawą główkę. Uścisk musiał być serdeczny, Peggotty, będąc bowiem otyłą, przy każdym gwałtownym ruchu zwykła była tracić guziki od sukni, i tym razem aż dwa potoczyły się w najciemniejszy kąt pokoju.

– No, a teraz wróćmy do tych krokodyli – rzekła, nie mogąc sobie poradzić z tą niezwykłą nazwą. – Zaciekawileś mnie, paniczu.

Nie pojmowałem, dlaczego Peggotty wyglądała tak jakoś niezwykle ani dlaczego tak nagle zbudziło się w niej zainteresowanie krokodylami, niemniej wróciliśmy do tych potworów i z rozbudzoną uwagą z mej strony składaliśmy ich jaja w gorącym piasku, uciekaliśmy przed nimi, narażając ich nieobrotność na tysiące zwrotów, wchodziliśmy za nimi do wody jak rodowici Egipcjanie, rzucaliśmy na nie kłody drzewa i tak dalej, i tak dalej. Ja przynajmniej oddawałem się tym niebezpiecznym ćwiczeniom z zapalem, gdyż co do Peggotty, to zdawała się być roztargniona, bo kłuła się ustawicznie igłą w rękę i twarz.

Skończyliśmy z krokodylami i zabraliśmy się właśnie do aligatorów, gdy zadzwoniono u drzwi. Otworzyliśmy. Matka moja wracała do domu, a wyglądała ładniej niż kiedykolwiek. Odprowadzał ją mężczyzna z pięknymi czarnymi włosami i bakami, który ostatniej niedzieli towarzyszył nam w drodze powrotnej z kościoła. Gdy matka moja wzięła mnie w objęcia i czule ucałowała, pan ten rzekł, że szczęśliwszy jestem od monarchy, czy coś podobnego. Pamięć nie dopisuje mi w tym względzie.

– Co pan mówi? – spytałem go poprzez ramię mojej matki.

Pogładził mię łaskawie po włosach. A jednak było coś w jego twarzy czy głosie, co mi się nie podobało. Może zazdrościłem, że jego ręka dotykając mnie dotykała zarazem ręki mej matki, odepchnąłem ją.

– Och! Davy! – upomniała mnie matka.

– Kochany chłopiec – zaśmiał się nieznajomy. – Nie dziwi mnie wcale to jego przywiązanie do pani.

Nigdy przedtem nie widziałem na twarzy mej matki tak pięknego rumieńca! Łagodnie strofowała mnie za nieuprzejmość i przyciskając do piersi zwróciła się do nieznajomego z podziękowaniem, że trudził się towarzysząc jej. Wyciągnęła przy tym do niego dłoń, a gdy jej dotykał, spojrzała, zdaje mi się, na mnie.

– Pożegnajmy się, mój mały chłopczyku – rzekł nieznajomy pochylając się – widziałem to! – nad ręką mej matki.

– Dobranoc – odrzekłem.

– Bądźmy przyjaciółmi – zaśmiał się nieznajomy. – Daj mi rączkę!

Prawa moja ręka była w ręku mej matki, wyciągnąłem lewą.

– Któż podaje lewą rękę! – śmiał się nieznajomy. Matka uwolniła moją prawą rękę, lecz byłem zdecydowany nie podać jej temu panu. Podałem mu znów lewą, uściskał ją, powiedział, że jestem grzecznym i miłym dzieckiem, czy coś podobnego, i odszedł.

Widzę go odchodzącego! Widzę złowieszcze spojrzenie jego czarnych oczu, które padło na nas, zanim zniknął za drzwiami.

Peggotty, która milczała przez cały ten czas, wiodła nas do pokoju. Matka moja nie usiadła, jak zwykle, w fotelu, lecz pozostała w drugim końcu pokoju, nucąc coś z cicha.

– Spodziewam się, że pani przyjemnie spędziła wieczór? – spytała Peggotty, stając nieruchomo, niczym beczka, na środku pokoju, z lichtarzem w ręku.

– Dziękuję ci, duszko – odrzekła wesoło moja matka. – Bardzo przyjemnie.

– Nowe znajomości, lub coś podobnego, przynoszą zwykle rozrywkę...

– A tak, istotnie.

Peggotty nie ruszała się z miejsca, a matka moja nuciła dalej. Drzemiąc, słyszałem wprawdzie głosy, lecz nie rozumiałem znaczenia słów. Gdy mi się przebudził z tej drzemki, ujrzałem obie, matkę moją i Peggotty, zalane łzami i rozmawiające żywo.

– Nie takiego by życzył sobie pan Copperfield – mówiła stanowczo Peggotty. – Nie takiego, ręczyć za to mogę.

– Boże mój – łkała moja matka. – Doprowadzasz mnie do rozpaczki! Widział to kto, aby służąca tak traktowała swą panią, niby jakie dziewczątko! Wiesz przecie, że byłam mężatką.

– Wiem – odrzekła Peggotty.

– Jakże śmiesz tedy... to jest nie jak śmiesz, lecz jak masz serce mówić mi takie gorzkie słowa? Przecież wiesz, że nie mam na świecie nikogo, kto by się za mną ujął.

– Tym bardziej nie można dopuścić – twierdziła Peggotty – aby to nastąpiło. Nie, nie powinno to nastąpić za nic, za żadną cenę w świecie.

Mówiąc to, gestykulowała tak patetycznie, jak gdyby miała za chwilę cisnąć trzymany w ręku lichtarz.

– O! – wołała moja matka, coraz rześistszymi zalewając się łzami – jakże jesteś okrutna, jak niesprawiedliwa! I mówisz o tym wszystkim, jak gdyby to było ułożone, skończone, gdy cię upewniam po raz setny może, że są to zwykłe grzeczności! Mówisz o uwielbieniu, Bóg wie o czym jeszcze! Cóżem temu winna, co poradzę, powiedz, proszę: czy mogę zabronić ludziom, aby na mnie patrzyli, mam sobie twarz posypać popiołem, zeszpecić siebie, oparzyć, pokrajać lub coś podobnego? Chciałabyś tego, powiedz? Pewna jestem, że tego byś tylko chciała!

Peggotty zdawała się przyjmować słowa te do serca.

– A moje dziecko, mój ukochany synek – łkała moja matka zbliżając się do fotela, na którym drzemałem, i okrywając mnie pocałunkami. – Czy zasłużyłam na to, aby mi zarzucano brak przywiązania do mego skarbu?

– Nikt nigdy nie śmiałyby zarzucić pani czegoś podobnego – rzekła Peggotty.

– Zarzucałaś, sama wiesz dobrze, że zarzucałaś! Jasno to wynika ze wszystkiego, coś dopiero mówiła. Wiesz przecie dobrze, że zeszłego miesiąca odmówiłam sobie nowego parasola i używam ten stary, zielony, cały w dziurach. Co? Może mi zaprzeczysz? Wszystko przez przywiązanie do dziecka!

Tu matka zwróciła się do mnie i przykładając pieszczotliwie twarz do mej twarzy mówiła z cicha:

– Davy, czy jestem złą, okrutną, samolubną matką? Powiedz, moje kochanie? Powiedz, że jestem zła, bez serca, okrutna, a Peggotty kochać cię będzie, bo to widzisz, kochanie Peggotty więcej warte od mego. Ja cię nie kocham... co? Prawda?

Wszyscyśmy płakali, a ja najgłośniej, lecz wszyscy jednakowo szczerze. Serce mi się krajało i boję się, czym pod wpływem żalu nie nazwał czasem Peggotty „zwierzęciem”.

Pocziwa Peggotty była tak rozżalona, że potraciła u sukni wszystkie guziki. Pękały jeden po drugim na jej wstrząsanych łkaniem piersiach, gdy klęcząc przy fotelu usiłowała porwać mnie w objęcia.

Położyliśmy się tego wieczoru w wielkim strapieniu. Łkając, długo nie mogłem zasnąć, a przewracając się w łóżku, widziałem pochyloną nade mną matkę. Zasnęłem wreszcie w jej objęciach i spałem smacznie.

Nie pamiętam już, czy owego nieznanomego ujrzałem następnej niedzieli, czy po dłuższym upływie czasu. Nie ręczę za ścisłość dat. Dość, żeśmy go spotkali w kościele i że znów towarzyszył nam w drodze powrotnej do domu. Wszedł wraz z nami, aby obejrzeć osobliwą jakąś pelargonię kwitnącą w bawialnym pokoju. Nie zdaje mi się, aby zwrócił nań szczególną uwagę, tylko przed odejściem prosił moją matkę o zerwanie i danie mu jednego kwiatka. Prosiła go, aby sam to uczynił, lecz nie wiem czemu, nie chciał tego zrobić i matka moja musiała sama mu podać zerwany kwiat. Zapewniał, że się z kwiatem tym nigdy już nie rozstanie! Pomyślałem, że chyba zwariował, bo czyż nie wiedział, że kwiaty więdną po dwóch albo trzech dniach?

W tym samym czasie Peggotty zaczęła jakoś mniej przesiadywać z nami wieczorem. Matka moja wprawdzie považała ją jak przedtem, bardziej może niż przedtem, i nic nie zakłócało panującej pomiędzy nami trojgiem harmonii, ale jednak istniało coś, co zdawało się kępować nas wzajemnie. Co to było? Sądziłem, że może Peggotty umyślnie robi na złość mojej matce, kładąc na co dzień najlepsze, w szafie dotąd zamykane suknie lub wychodząc często w odwiedziny do sąsiadów. W każdym razie, nie mogłem dojść, co to wszystko ma znaczyć.

Stopniowo przyzwyczaiłem się do widoku pana z czarnymi bakami. Nie lubiłem go, zazdrościłem mu czegoś, sam nie wiedziałem, czego, i to bez żadnego powodu, bo gdybym nawet był starszy, przez myśl by mi nie przeszło, że ja i Peggotty powinniśmy wystarczyć mojej matce. Teraz jasno przypominam sobie tysiące drobiazgów, oderwanych wrażeń, które złożyły się na ową antypatię żywioną do niego. - Pewnego jesiennego poranka znajdowałem się wraz z moją matką przy wejściu do ogrodu, gdy pan Murdstone – znałem go już z nazwiska – przejeżdżał tamtędy konno. Na widok mojej matki wstrzymał konia, powitał ją, oznajmiając, że jedzie do Lowestoftu, żeby zobaczyć się z przybyłymi parowcem przyjaciółmi. Uprzejmie zaproponował, że weźmie mnie z sobą na konia.

Pogoda była prześliczna, koń wyglądał tak zadowolony i wesół, że i mnie zdjęła nieopanowana chęć do tej nieoczekiwanej przejażdżki. Pobiegnę na górę, do Peggotty, aby mię ubrała, a tymczasem pan Murdstone zsiadł z konia i wiodąc go za uzdę przechadzał się powoli wzdłuż głogowego szpaleru, po drugiej zaś stronie przechadzała się moja matka.

Pamiętam, jakśmy się z Peggotty przypatrywali im z okienka mego pokoiku, jak si ę zbliżali ku sobie i pochylali nad głogowym, dzielącym ich szpalerem, i jak nagle Peggotty, wzór łagodności, wpadła w straszliwą złość, targając moje włosy, które właśnie miała zaczesać.

Wkrótce potem dzielny koń unosił mnie wraz z jeźdźcem przez zielone błonia. Pan Murdstone podtrzymywał mnie prawą ręką, a ja zachowywałem się spokojnie, tylko że siedząc tak przed nim nie mogłem oprzeć się chęci obrócenia głowy od czasu do czasu, aby spojrzeć mu w twarz. Miał on ten rodzaj czarnych, płytkich oczu – braknie mi dosła dniejszego słowa dla opisanía oczu nie posiadających głębokości spojrzenia – które w zamysłeniu, przy pewnym świetle, wydają się chwilami, jakby były ze szkła. Kilkakrotnie zauważyłem to z pewnym przestachem, spoglądając na niego i gubiąc się w domysłach, nad czym mógł się tak głębooko zastanawiać. Widziane też z bliska włosy jego i baki wydały mi się jeszcze stokróć czarniejsze. Kwadratowy zarys dolnej części twarzy i ślady silnego, ale starannie ogolonego zarostu przypominały mi woskowe figury widziane przed pół rokiem. Równa i gęsta brew, smągła cera – niechby przepadł z tą swoją cerą i niechby wspomnienie jego wraz z nim przepadło! – sprawiały, że pomimo wstrętu, jaki we mnie obudził, wydał mi się pięknym mężczyzną. Nie wątpię, że biedna moja matka uważa go za takiego.

Zatrzymaliśmy się w hotelu nad morzem, gdzie w osobnym pokoju zastali śmy dwóch panów, palących cygara. Każdy z nich leżał zajmując najmniej cztery krzesła. Obaj mieli na sobie grube ubrania. W kącie, związane razem, leżały odzież i przybory wioślarskie wraz z chorągiewką.

Obaj, powstając na nasze powitanie, zatoczyli się na nogach w dziwaczny sposób i zawołali:

– Hola! Murdstone! Myśleliśmy, żeś umarł.

– Nie tak prędko – odrzekł pan Murdstone.

– Któż to znów ten żółtodziób? – spytał jeden z nich spoglądając na mnie.

– Jest to Davy.

– Davy? Jaki Davy? Jones, co?

– Copperfield – odrzekł pan Murdstone.

– Ach, tak – zawołał nieznajomy – jest to więc urocze uosobienie obowiązków pani Copperfield, owej ładnej wdówki, co?

– Quinion – zauważył pan Murdstone – bądź uważniejszy z łaski swojej. Ktoś jest bardzo domyślny.

— A kto mianowicie? – zaśmiał się nieznajomy.

Słuchałem odpowiedzi z natężoną uwagą.

– Nikt inny jak Brooks z Sheffield – rzekł pan Murdstone.

Ucieszyłem się, słysząc tę odpowiedź, sądziłem bowiem z początku, że to o mnie mowa. Było jednak widocznie coś bardzo zabawnego w owym wzmiankowanym panu Brooks z Sheffield, gdyż słysząc jego nazwisko obaj nieznajomi roześmieli się serdecznie. Pan Murdstone wtórował im i przeszła dobra chwila czasu, zanim ten, którego nazwano Quinion, zapytał:

– A jakie jest zdanie Brooksa z Sheffield w wiadomej sprawie?

– Sądzę – odrzekł pan Murdstone – że na razie nie domyśla się, o co chodzi. Jednak na ogół nie okazuje najmniejszej przychylności.

Znów się roześmieli, po czym pan Quinion zadzwonił na służbę i kazał podać wina, utrzymując, że wypada wypić zdrowie Brooksa. Gdy podano wino, nalał mi kieliszek, dał parę sucharków i zawołał:

— Niech diabli porwą Brooksa z Sheffield!

Toast wywołał ogólne zadowolenie. Śmiano się tak szczerze dokoła mnie i ja też się śmiałem, co zdawało się bawić nieskończenie obecnych panów. Słowem, było wesoło.

Poszliśmy na wybrzeże. Patrzyliśmy przez teleskop. Wprawdzie nic dojrzeć nie mogłem, zapewniałem jednak, że widzę doskonale, po czym wróciliśmy do hotelu na uroczysty obiad. Obaj nieznajomi nie wypuszczali cygar z ust, a sądząc z zapachu ich ubrań, musieli palić bezustannie od chwili, w której ubrania te wyszły z rąk krawców. Muszę dodać, że w czasie przechadzki wstąpiliśmy na parostatek, gdzie panowie ci weszli do kajuty po jakieś papiery. Wydali mi się bardzo zajęci; śledziłem ich przez okienko, gdyż pozostawili mnie na pokładzie z miłym jakimś chłopakiem, o dużej, rudymi włosami pokrytej głowie, ubranym w mały błyszczący kapelusz i kamizelkę z napisem na piersiach „Skylark”. Sądziłem z początku, że było to nazwisko chłopaka i że mieszkając na pokładzie, z braku drzwi zmuszony był wywieszać na piersiach swą kartę. Gdym go nazwał panem Skylark, zaśmiał się i objaśnił mi, że jest to nazwa okrętu.

Zauważyłem też w dniu tym, że pan Murdstone jest poważniejszy i powściągliwszy od swych towarzyszy. Tamci byli niesłychanie weseli i rozmowni. Ciągle żartowali między sobą, rzadko kiedy z żarcikami zwracali się do pana Murdstone. Wydawał mi się inteligentniejszy i chłodniejszy od nich; musieli się go też bać trochę. A może przypisywałem im własne swe uczucia i wrażenia. Zdawało mi się jednak, że pan Quinion mówiąc spoglądał na niego spode łba, tak jak gdyby bał się powiedzieć coś, co by mu się mogło nie podobać, a raz nawet, gdy pan Passnidge nadto się rozpędził, trącił go nieznacznie w kolano, wskazując ostrzegawczo na pana Murdstone, siedzącego w ponurym zamyśleniu. Zresztą, nie przypominam sobie, aby on śmiał się tego dnia, oprócz wypadku, gdy była mowa o Brooksie z Sheffield, co było zresztą własnym jego pomysłem.

Wreszcie przed wieczorem wróciłem do domu. Pogoda była prześliczna i znów matka moja przechadzała się długo wzdłuż głogowego szpaleru, mnie zaś wysłano na górę, bym wypił herbatę. Gdy pan Murdstone odjechał, matka wypytywała mnie długo i dokładnie o wycieczkę, o to, co tam robiono i co mówiono. Gdy powiedziałem, co powiedzieli o niej, roześmiała się, nazwała tych panów „wietrznikami”, lecz nie zdaje mi się, aby naprawdę była na nich rozgniewana. Spytałem ją, czy zna niejakiego Brooksa z Sheffield? Odpowiedziała, że nie zna, lecz przypuszcza, że musiała być mowa o jakimś fabrykancie noży i widelców.

Mamże mówić o jej drogiej twarzy? Pamiętam ją tak zmienioną i wiem, że już nie istnieje. Ale czyż mogę powiedzieć, że jej nie ma, skoro mi staje w pamięci wyraźna, jak żadna inna twarz dojrzana w ulicznym tłumie? Mamże pisywać o blasku jej urody, że zgasł, że nie istnieje, skoro widzę go dotąd w pamięci, jak widziałem tego wieczoru? Mamże wyznać, że się zmieniła, jeśli we wspomnieniach moich pozostała taką, jaką była wówczas? Młodość jej i świeżość zachowałem w sercu i w pamięci niczym nienaruszoną wierność.

I dziś ją widzę taką, jaką była owego wieczoru, klęczącą obok mego łóżeczka, z pochyloną na dłoni głową, uśmiechniętą.

- Jak to oni mówili, Davy? Powtórz, proszę, nie mogę sobie przypomnieć...
- „Urocze” – zacząłem, lecz matka położyła mi palec na ustach.
- Nie, nie – zawołała śmiejąc się – nie tak, z pewnością nie tak mówili!
- Ale tak właśnie mówili, mamó, i dodawali: „tej ładnej pani Copperfield”.
- Nie, nie mówili „ładnej”.
- Mówili, naprawdę mówili, „tej ładnej wdówki”.
- Co za pustogłowy – śmiała się matka moja, kryjąc twarz w dłoniach. – Mówić takie rzeczy! Zabawne doprawdy! I co jeszcze, Davy?...
- Co, mamó?

– Nie wspominaj o tym Peggotty, gniewałaby się. Ja sama gniewam się na tych wietrzników. Nie trzeba, aby Peggotty wiedziała o tym.

Przyrzekłem, że nic nie powiem. Ucałowaliśmy się raz i drugi, i trzeci, i nie wiem już który... Słodko zasnąłem.

Teraz, po tak długim okresie czasu, zdaje mi się, że propozycja Peggotty, o której właśnie mam mówić, uczyniona była nazajutrz po tym pamiętnym wieczorze, w rzeczywistości musiało to nastąpić w parę miesięcy później.

Było to znów wieczorem. Siedzieliśmy jak zwykle z Peggotty w bawialnym pokoju, w nieodstępным towarzystwie pończochy, bawełny, kawałka wosku, skrzyneczki do robót, ozdobionej na wieczku wizerunkiem katedry Świętego Pawła, i książki z krokodylami. Peggotty spoglądając na mnie kilkakrotnie otwierała usta, żeby mi coś powiedzieć (myślałem, że się po prostu zamyśliła). W końcu rzekła:

– Paniczu! A gdyby panicz pojechał ze mną na parę tygodni w odwiedziny do mego brata, do Yarmouth? To by dopiero był bal!

– Czy brat twój to przyjemny człowiek? – spytałem.

– Ach! Jaki przyjemny! – zawołała podnosząc ręce. – A poza tym jest morze, są statki, łódzie, są rybacy, zatoka, jest Am do zabawy.

Peggotty miała na myśli bratanka swego, Hama, o którym wspomniałem na początku tej opowieści.

Zachwycony perspektywą wyżej wymienionych rozkoszy, odpowiedziałem jej, że odwiedziny w Yarmouth byłyby prawdziwym „balem”, tylko co powie na to mama?

– Gotowa jestem iść o zakład, że pozwoli – potwierdziła Peggotty, przypatrując mi się bacznie. – Poproszę ją sama, gdy wróci do domu.

– Ale jakże ona poradzi tu sobie bez nas? – spytałem opierając łokcie na stole dla lepszego poparcia argumentu. – Nie może przecież tak pozostać sama.

Jeśli Peggotty łowiła wówczas opuszczone w pończosze oczko, oczko to musiało być niewidzialne doprawdy.

– Mówię ci, Peggotty, że nie może pozostać sama.

– Bóg z tobą, dziecię – rzekła wreszcie podnosząc oczy. – Wiesz przecie, że ją na parę tygodni zaprasza pani Grayper, u której mają zebrać się goście.

O, jeśli tak, to nie miałem nic już przeciw zamierzonej wycieczce i z niecierpliwością czekałem powrotu matki od pani Grayper (sąsiadki, u której bywała), aby pozyskać jej zezwolenie. Zgodziła się na propozycję Peggotty prędzej, niż sądziłem, i tegoż jeszcze wieczoru omówione zostały wszystkie warunki zamierzonych odwiedzin.

Wkrótce też nadszedł dzień wyjazdu, nadszedł dziwnie szybko nawet dla mnie, trawił onego gorączką wyczekiwania i bojącego się, czy trzęsienie ziemi, spadające skały lub tym podobne kataklizmy nie staną w poprzek mym projektem. Mieliśmy z Peggotty odjechać po wczesnym śniadaniu, wynajętym wózkiem. Wiele bym dał za to, gdyby pozwolono mi spać w obuwiu i podróżnym ubraniu.

Dziś boleję, chociaż dotykam tego pobieżnie zaledwie, że z tak lekkim sercem opuszczałem dnia tego dom mój, nie domyślając się, że opuszczam go na zawsze. Miło mi wspomnieć, że gdy wózek stanął już u bramy, a matka uściskała mnie na drogę, wezbrana w mym sercu czułość spłynęła łzami. Miło mi wspomnieć, że matka moja rozplakała się także i długo, długo tuliła mię w objęciach...

Miło mi wspomnieć, że gdyśmy odjeżdżali, wybiegła jeszcze za bramę i zawołała, aby wstrzymano konie, gdyż chciała pocałować mnie raz jeszcze. Myślę o przywiązaniu i czułości, z jaką spoglądała wówczas na mnie.

Gdy odjeżdżaliśmy, stała na drodze, a pan Murdstone zbliżył się do niej i zdawał się upominać ją, aby nie poddawała się wzruszeniu. Oglądając się za matką moją dziwiłem się

tylko, co mu do tego. W tę samą co ja stronę spoglądająca Peggotty nie wyglądała bynajmniej na zadowoloną, jak to wnosić mogłem z wyrazu jej twarzy.

Jadąc patrzyłem czas jakiś na Peggotty i popadając w marzenie, pytałem siebie, czy czasem, jak to w bajce bywa, nie chce uwięzić mnie gdzieś i zostawić. Wówczas odnalazłbym drogę za pomocą gubionych co chwila przez nią guzików jej stanika.

Rozdział III

Zmiana

Koń nasz był najleniwszym ze wszystkich koni, jakie kiedykolwiek widziałem, i przez całą drogę włókł się ze spuszczoną w dół głową, jakby naumyślnie ociągając się z przybyciem na miejsce przeznaczenia. Wyobrażałem sobie nawet, że pozwala sobie parskając wyrazić jakieś w tym względzie uwagi, lecz woźnica upewnił mnie, że jest to tylko zwykły kaszel.

Woźnica kiwał się na siedzeniu z opuszczonymi na kolana rękami i podobnie jak koń spuszczał głowę. Chociaż powiadam, że „wiozł” nas, przekonany jestem, że koń dowlókłby się do Yarmouth i bez jego pomocy. Woźnica zresztą nie przemówił ani słowem; pogwizdywał tylko od czasu do czasu.

Peggotty miała na kolanach kosz z prowiantem, którego wystarczyłoby nam do samego Londynu chyba. Jedliśmy też dużo, a spali jeszcze więcej. Peggotty, śpiąc, opierała głowę na rączce od kosza, którego ani na chwilę nie wypuszczała z dłoni. Nie uwierzyłbym zaś nigdy, że słaba kobieta może tak głośno chrapać, gdybym na własne tego nie słyszał uszy.

Tyleśmy razy zbaczali z drogi, tak długo u wrót jakiejś gospody wypakowywaliśmy mające tam pozostać łóżko, że zmęczony już byłem i szczerze zadowolony, gdyśmy ujrzeli Yarmouth. Zaspany i poziewający spoglądałem na rozległe wybrzeże, dziwiąc się, że jeśli istotnie, jak to uczy geografia, ziemia jest kulista, to jakim sposobem znaleźć się na niej mógł taki obszar płaszczyzny? Myślałem, że Yarmouth znajduje się chyba na jednym z biegunów.

W miarę jak, zbliżając się, mogliśmy okiem objąć całą tę prostą linię na horyzoncie, ośmieliłem się zauważyć, że tu i ówdzie kilka wzgórków dodałoby krajobrazowi malowniczości, jako też, że ładniej byłoby, jeśliby ład był czymkolwiek przedzielony od morza, a miasto i woda nie tak zmieszane razem niby grzanki z bulionem, na co Peggotty odrzekła z niezwykłym przejęciem, że trzeba rzeczy brać takimi, jakimi są, co zaś do niej, to się szczyci rodzinnym swym miastem.

Toteż, gdyśmy wjechali w ulicę (która mi się dziwną jakąś wydała) i poczuli zapach ryb, smoły, pakuł, dziegciu i ujrzeli idących żeglarzy i turkocące po bruku wozy, poczułem, że nie docenił zrazu tak znakomitego miasta, i natychmiast wyznałem to Peggotty. Słuchała moich zachwyty z przyjemnością i zapewniła, iż jest rzeczą powszechnie wiadomą (zapewne miejscowym mieszkańcom), że Yarmouth jest najpiękniejszym miejscem pod słońcem.

– Otóż i Am! – zawołała. – Wyrósł do niepoznania!

Ham oczekiwał naszego przybycia przy gospodzie; powitał mnie jak starego znajomego. Zrazu nie poczuwałem się do tej znajomości, bo istotnie nie był on pod naszym dachem od nocy moich urodzin. Znajomość pomiędzy nami nawiązała się szybko, od chwili gdy mnie zdjął z wózka, aby zanieść do swego domu. Był z niego chłopak wysoki i barczysty, o dziecinnej, wesołej twarzy i wijących się, jasnych włosach, które czyniły go podobnym do baranka. Odziany był w surdut z żaglowego płótna i sztywne spodnie, które równie dobrze same stać by mogły. Trudno też właściwie powiedzieć, że miał na głowie kapelusz, było to raczej coś na kształt strzechy pokrywanej rudere.

Ham z naszym kuferkiem na barkach, ja i Peggotty z drugim kuferkiem w ręku mijaliśmy ulice usłane wiórami, kupami piasku, mijaliśmy kuźnie, warsztaty powroźników i tym podobne miejsca, zanim doszliśmy do owej pustej równiny, która zdziwiła mnie, gdyśmy wjeżdżali do Yarmouth. Tu Ham zawołał:

– Oto i nasz dom!

Obejrzałem się dokoła. Jak okiem sięgnąć, wybrzeże, morze, ląd, woda, lecz ludzkiego mieszkania ani śladu. Nie opodał tylko czerniała łódź, wysoka i głęboka, z żelazną sterczą nad nią na kształt komina rurą, z której wychodził lekki kłęb dymu.

– Czyżby łódź miała być domem? – spytałem.

– A tak – odrzekł Ham.

Sam widok pałacu Aladyna nie mógłby mnie w większy zachwyt wprowadzić niż myśl zamieszkania we wnętrzu łodzi. Z boku wycięte były takie małe ładne drzwiczki i okienka, a wszystko to pokryte dachem, najzwyczajniejsza pod słońcem łódź, która tysiąc razy pływała po morzu i nie służyła z początku za mieszkanie dla ludzi na ładzie. To mnie właśnie zachwycało. W innym razie pomieszczenie to wydałoby mi się ciasne, duszne, niewygodne, teraz robiło wrażenie doskonałego schronienia.

Wewnątrz było czysto i przytulnie. Stał stół, zegar drewniany, szafka. Na szafce po dparta Biblią stała taca z wymalowaną na niej damą z parasolem, przechadzającą się z dzieckiem ubranym jak żołnierz i wywijającym biczem. Gdyby przypadkiem taca się przewróciła, stłukłaby niezliczoną ilość spodków i filiżanek ustawionych wokół Biblii.

Na ścianach wisiały kolorowe ryciny. Ilekroć oglądałem później podobne dzieła sztuki, zawsze stawał mi w pamięci dom brata Peggotty. Był tam Abraham w czerwonym płaszczu i Izaak w błękitnej chlamidzie, Daniel żółto odziany pomiędzy lwami o zielonej sierści, a nad kominkiem wisiał wizerunek statku „Sarah Jane”, z prawdziwym, malutkim, drewnianym sterem przyklejonym z wierzchu, który wydawał mi się ostatnim wyrazem sztuki, przedmiotem wzbudzającym zazdrość. Na suficie były haki, o niewiadomym mi przeznaczeniu, różne zaś pudła i pudełka zastępowały kanapy i krzesła.

- Wszystko to objąłem jednym ciekawym rzutem oka, tymczasem Peggotty, otwierając małe drzwiczki, ukazała mi mój pokój sypialny. Było to rozkoszne schronienie w dziobie łodzi, z oknem zrobionym w otworze przeznaczonym niegdyś na ster. Do ściany przybite wisiało wąskie, jak raz dla mnie odpowiednie lustro w ramkach wyklejonych muszlami. Pod lustrem stało wąskie łóżeczko, a na stoliku, tuż obok, bukiet trawy morskiej. Ściany były bielutkie, kapa rozesłana na łóżeczku olśniła mnie prawie. Po całym domu rozchodził się tak silny zapach ryb, że kiedy wyjąłem z kieszeni chustkę do nosa, zdawało mi się, że ją dopiero co zdjął z morskiego raka. Gdy się zwierzyłem z tego odkrycia, Peggotty oznajmiła mi, że brat jej handluje rakami i podobnymi morskimi przysmakami, które też potem ujrzałem spoczywające w wielkim nagromadzeniu, w drewnianej skrzyni niedaleko łodzi.

Przy wejściu do domu spotkała nas wielce uprzejma niewiasta, niemłoda, w białym fartuchu, z dala już witająca nas ukłonami, jako też prześliczna – prześliczną mi się przynajmniej wydała – dziewczeczka z błękitnymi na szyi paciorkami, która jednak zaraz uciekła i schowała się, gdy ją chciałem pocałować. Gdyśmy się już posilili gotowaną rybą, polaną roztopionym masłem, i kartoflami, a dla mnie przygotowano jeszcze kotlet – nadszedł niemłody, o przyjemnej twarzy mężczyzna. Ponieważ nazywał Peggotty „dziewczką”, a na jej okrągłych i rumianych policzkach złożył głośny pocałunek, od razu domyśliłem się, że był jej bratem, i rzeczywiście przedstawiono mi go jako pana Peggotty, gospodarza domu.

– Miło mi poznać panicza – rzekł. – Prości jesteście ludzie, ale szczerzy.

Odpowiedziałem mu, że mnie tu wszystko nieskończenie zachwyca.

– Jak zdrowie mamy? – spytał. – Czy dobrze wygląda?

Odpowiedziałem, że matka moja wygląda doskonale i przesyła mu swe ukłony, co zresztą było moim wymysłem.

– Bardzo jestem wdzięczny, dziękuję – rzekł pan Peggotty. – I jeśli panicz zechce tu spędzić czas jakiś z nami – tu skinął głową w stronę siostry – z Hamem i Emilką, będzie to dla nas prawdziwy zaszczyt.

Po uprzejmym tym powitaniu pan Peggotty poszedł umyć si ę w miednicy pełnej gorącej wody, utrzymując, że zimna nie zdoła go oczyścić. Wrócił po chwili zmieniony na korzyść, lecz tak przy tym rumiany, że mimo woli pomyślałem, iż twarz jego posiada właściwość raków i homarów, a mianowicie pod wpływem gorącej wody z brunatnej w czerwona się zmienia.

Po herbacie, przy zamkniętych drzwiach i oknach, bo na dworze zapadła noc zimna i mglista, mieszkanko w łodzi wydało mi się bardziej jeszcze przytulne i miłe. Słyszac, jak wiatr szaleje nad morzem, myśląc o mgłach, które zalegają bezbrzeżne równiny, oczarowany byłem płonącym na kominku ogniem, w chatce zrobionej z prostej łodzi, na bezludnym wybrzeżu. Mała Emilka, ośmielona, siedziała teraz tuż przy ogniu obok mnie na najniższym i najwęższym z kufereków. Po drugiej stronie kominka niewiasta w białym fartuszu robiła pończochę, Peggotty szyła, mając przed sobą na stole swą nieodłączną skrzyneczkę do robót z wizerunkiem katedry Świętego Pawła i równie nieodłączny kawałek wosku. Ham, po udzieleniu mi pierwszej lekcji jakiejś gry, usiłował przypomnieć sobie wrózenie ze starych zbrukanych kart, zostawiając na nich odciski swego dużego palca. Pan Peggotty palił w milczeniu fajkę. Czułem, że nastąpiła chwila nawiązania rozmowy i bliższej znajomości.

– Panie Peggotty – rzekłem.

– Co, paniczu? – odrzekł.

– Czy dlatego pan syna swego nazwał Ham, że mieszkacie w domu podobnym do arki?

– Nie, paniczu, nie ja mu dawałem to imię.

– Któż go tak nazwał?

– Jego ojciec!

– To nie pan jesteś jego ojcem?

– Nie. Ojcem jego był brat mój, Joe.

– Umarł? – spytałem nieśmiało po chwili.

– Utonął.

Dziwiło mi ę to, że Ham nie był synem pana Peggotty, i gubiłem si ę w domysłach nad stopniem pokrewieństwa łączącego go z resztą obecnych. Zdecydowałem si ę na nowe pytanie.

– Ale mała Emilka – rzekłem rzucając spojrzenie na dziewczynkę – jest pańską córką?

— Nie, paniczu, szwagier mój, Tom, był jej ojcem.

Nie mogłem powstrzymać si ę znów od poprzedniego pytania:

– Umarł?

– Utonął.

Nastąpiła chwila milczenia. Czułem pewne utrudnienie w nawiązaniu na nowo rozmowy, ale ciekawość przemogła.

– A pan ma dzieci? – spytałem.

– Nie mam – odrzekł śmiejąc się. – Jestem kawalerem.

– Kawalerem? – zawołałem zdziwiony i wskazując kobietę w białym fartuchu, robiącą pończochę, dodałem:

– A to, któż to taki?

– Pani Gummidge.

– Pani Gummidge?

Tu Peggotty, moja własna Peggotty, skinęła na mnie tak wymownie, że zaprzestałem dalszych pytań i w milczeniu rozeszliśmy się na spoczynek. Za zamkniętymi szczelnie drzwiami mego pokoiku wyjaśniła mi, że Ham i Emilka są sierotami, które wuj przygarnął, zaś pani Gummidge jest wdową po jego towarzyszu i współniku, człowieku ubogim, ale uczciwym jak złoto, a pewnym jak stal – było to ulubione porównanie Peggotty. – I brat mój – dodała – ubogi jest i uczciwy jak złoto, a jak stal pewny i wpada w gniew, gdy wspomina się przy nim o jego dobroczynności. Wówczas uderza pięścią tak, że mu się aż raz zdarzyło stół rozbić, i klnie straszliwie, nie używając przez nikogo innego słowa.

Wzruszyła mnie dobroć serca mego gospodarza. Zасыpiając słyszałem, jak pani Gummidge układała się do snu w sąsiedniej kajucie, a Ham i Emilka zawieszali hamaki na hakach dojrzanym przeze mnie u sufitu w głównej izbie. Zapadając w coraz głębszy sen słyszałem niejasno wycie wiatru szalejącego nad równiną i zacząłem się trochę bać, że podnoszące się fale mogą nas zalać. Uspokoila mnie myśl, że ostatecznie znajduję się na łodzi i pod opieką doświadzonego zapewne żeglarza, przygotowanego na wszelkie wypadki.

Nic się jednak nie wydarzyło poza tym, że nadszedł ranek. Skoro pierwsze promienie odbiły się w wiszącym nad mym posłaniem i w ramki oprawnym lusterku, porwałem się na nogi, a w chwilę potem zbierałem już z małą Emilka kamyki nad zatoką.

– Prawdziwy z ciebie żeglarz chyba? – spytałem ją nie myśląc wcale, co mówię, lecz chcąc powiedzieć coś niezwykle uprzejmego, zachwyconego widokiem płynącego żagla, co się odbił w jej jasnym oku.

– O nie! – rzekła kręcąc główką. – Boję się morza.

– Boisz się! – zawołałem zuchowato i patrząc z góry na potężny ocean, dodałem z przechwałką: – Ja się wcale nie boję.

– Gdybyś wiedział, jakie ono bywa okrutne – ciągnęła dziewczynka. – Widziałam to nieraz! Widziałam łodzie o wiele większe od naszej, potrzaskane...

– Ale to nie w tej przecie łodzi...

– Ojciec utonął – dokończyła dziewczynka. – Nie, tamtej nie widziałam nigdy.

— A swego ojca? – spytałem.

Wstrząsnęła główką:

– Nie pamiętam.

Uderzyło mnie to istniejące pomiędzy nami podobieństwo. Zacząłem opowiadać jej, że i ja nigdy nie widziałem mego ojca, że szczęśliwi żyliśmy we dwoje z moją matką i żyjemy, i żyć tak będziemy zawsze, zawsze... i o mogile ojca na pobliskim cmentarzu, ocienionej drzewami, pod których pełnymi śpiewających ptaków gałęzmi przechadzamy się często. Tu występowała stanowcza różnica między sierocą dolą małej Emilki i moją. Straciła ona matkę wcześniej jeszcze niż ojca i nie wiedziała, gdzie w głębokościach bezbrzeżnego morza leży jego mogiła.

– Zresztą – dodawała szukając pilnie w piasku muszli i świecących kamyków – ojciec twój był zapewne panem, mama damą, mój ojciec zaś był rybakiem, moja mama córką rybaka i wuj Dan jest rybakiem!..

– Czy panu Peggotty Dan na imię? – spytałem.

– Wuj Dan – odrzekła skłaniając główkę w kierunku łodzi.

– Jest on zapewne bardzo dobry?

– Dobry! Gdybym była wielką damą, sprawiłabym mu kapotę ciepłą, z niebieskiego aksamitu, z brylantowymi guzikami, nankinowe spodnie, czerwoną aksamitną kamizelkę, kapelus z piórem, złoty zegarek, srebrną fajkę i dałabym mu tyle, ot tyle pieniędzy.

Upewniłem ją, że wuj jej zasługuje na wszystkie wyżej wymienione skarby, chociaż w rzeczy samej nie mogłem go sobie przedstawić w wytwornym stroju, wymyślonym dlań przez wdzięczną i kochającą sierotkę. Wyliczając te bajeczne skarby Emilka podniosła

główkę i wpatrzyła się w szafir niebios. Niebawem jednak wróciliśmy z tej krainy marzeń do rzeczywistości, to jest do muszelek i kamyków.

– Chciałabyś być wielką i bogatą damą? – spytałem.

Zaśmiała się wesoło.

– Czemu nie – odrzekła – i bardzo. Bylibyśmy panami, ja, wujcio, Ham i nawet pani Gummidge. Nie dbalibyśmy o słoty i burze... to jest, nie dbalibyśmy dla siebie, lecz żałowalibyśmy zawsze bardzo biednych rybaków i pomagalibyśmy im w nieszczęściu, dawali pieniądze.

Przypuszczenie to było wielce przyjemne i wydało mi się dlatego bardzo prawdopodobne, szczerą napełniając mnie radością. Wyrażałem to tak gorąco Emilce, że się ośmieliła zapytać:

– A co, teraz boisz się morza?

Spokojne było w tej chwili i wcale niestraszne. Gdyby jednak nadpłynęła fala, uciekłbym prawdopodobnie co tchu, pomny na to, co mi dopiero opowiadała o losie rybaków. To mi nie przeszkadzało upewnić ją, że się wcale nie boję i że ona sama mniej się lęka zapewne, jeśli jak mówiła, zbliża się do drewnianego ogrodzenia u stromego w tym miejscu wybrzeża.

– Tego się nie lękam – rzekła. – Boję się, gdy morze huczy i szumi. Wówczas oboje, ja i Ham, truchlejemy na myśl samą, na jakie niebezpieczeństwo wuj nasz jest narażony. Zdaje się nam czasem, że go słyszymy, jak woła o ratunek. Oto dlaczego wołałabym być wielką panią. Ale tak, to się wcale nie boję morza, ani trochę, spójrz tylko.

Pobiegła naprzód i wskoczyła na spróchniałą belkę sterczącą nad głęboką tonią. Widzę ją – i gdybym był malarzem, oddałbym wiernie spojrzenie, jakie zatopiła w oddali, a które mi na zawsze zostało w pamięci.

Po chwili jasna, rumiana, tryumfująca podbiegła do mnie i zapomniałem o strachu, jaki mnie zdjął przed chwilą, i o tym, że krzyknąłem wołając o ratunek, chociaż nikogo nie było w pobliżu. W wiele lat później, myśląc o tym i o tajemniczych zagadnieniach istnienia, wobec tego objawu pociągu do niebezpieczeństwa, pytałem siebie nieraz, czy nie lepiej by wyszła na tym, jeśliby życie straciła w tej chwili? Pytałem siebie, czy gdyby wóczas odsłonięte przede mną zostały przyszłe koleje jej życia i gdybym dziecięcym rozumieniem obliczyć mógł ich rozciągłość, a ode mnie zależało ratować ją od niebezpieczeństwa, czy dobrze bym zrobił ratując? A był czas, w którym na pytanie, czy nie lepiej wyszłaby na tym, jeśliby ją morskie w tej chwili pochłonęły fale, zmuszony byłem odpowiedzieć we własnym sumieniu: tak, byłoby lepiej.

Lecz nie wyprzedzajmy wypadków. Odbiegłem od nich wspomnieniem, wróćmy zatem do rzeczy.

Biegaliśmy długo po wybrzeżu, zbierając i dźwigając tysiące przedmiotów, które się nam wydawały nieskończenie ciekawe, wrzucając nazad do wody wyrzucone na brzeg rybki i inne żyjątka, pewien zresztą nie jestem, czy im w ten sposób wielką oddawaliśmy usługę. Po powrocie do domu, w cieniu, przy składzie lin, zamienili śmy z Emilką niewinnego, ale serdecznego całusa i w najlepszych humorach stawili śmy się na śniadanie.

– Niby dwie rodzone jagódki – zauważył pan Peggotty.

Kochałem się w małej Emilce, kochałem się w tej małej dziecinie tak tkliwie i czule, z takim zapomnieniem siebie, jak się może w dojrzałym wieku nie kochałem już nigdy. Dziś jeszcze marzy mi się ta drobna błękitnooka dziecina, niby coś nadprzyrodzonego, anielskiego. Jeśli jej kiedy w pogodny letni wieczór wystrzeliły nagle skrzydła z ramion, nie byłbym bynajmniej tym zdziwiony.

Przechadzaliśmy się po wybrzeżu dłoń w dłoń, godzinami całymi. Dnie mijały tak, jak gdyby sam czas zmienił się był w dziecię, aby igrzać z nami. Pani Gummidge i Peggotty wpadały w zachwyt nad nami i szeptały pomiędzy sobą co wieczór, spoglądając na nas:

„Cudo! Istne cudo!” Pan Peggotty uśmiechał się patrząc na nas spoza kłębow dymu swej fajki, a Ham zżymał się tylko lub wyszczerzał zęby. Byliśmy dla nich rodzajem rozkosznej zabawki, cackiem, widowiskiem, czymś w rodzaju Koloseum w mikroskopijnych rozmiarach.

Spostrzegłem niebawem, że pani Gummidge nie zawsze bywała uprzejma i przyjemna. Humor jej nie odznaczał się równością, a gderania jej i wyrzekania wypełniały ciasne mieszkanko. Współczułem jej szczerze, niemniej zdarzały się chwile, w których myślałem, że dobrze byłoby, aby pani Gummidge posiadała własne apartamenty dla schronienia się tam w chwilach złego humoru.

Pan Peggotty uczeszczał czasem do gospody zwanej „Chętna Dusza”. Dowiedziałem się o tym z ust pani Gummidge, pewnego wieczoru, wkrótce po naszym przybyciu. Spojrzawszy na zegar pomiędzy ósmą a dziewiątą, oświadczyła nagle, że pan Peggotty udał się do gospody, a nadto, że od rana wiedziała, iż na tym się skończy.

Pani Gummidge była w złym humorze od rana, a przed obiadem, gdy piec zaczął dymić, wybuchła wielkim płaczem, wołając, że jest biedną, nieszczęśliwą, opuszczoną istotą.

– Przejdzie to zaraz – uspokajała ją Peggotty – zresztą przykre to jest zarówno i dla nas.

– Lecz ja bardziej na tym cierpię – odparła pani Gummidge.

Dzień był chłodny i wietrzny. Kąt, zwykle zajmowany przez wdowę u kominka, był najcieplejszy, fotel najwygodniejszy, ale tego dnia widocznie jej to nie zadowalało. Ciągle się uskarżała na zimno, na przebiegające po plecach dreszcze. Płakała nawet i wyrzekała na swą nieszczęsną dolę.

– Istotnie jest zimno, wszyscy to czujemy – zauważyła Peggotty.

– Lecz ja to czuję bardziej niż ktokolwiek inny – odrzekła pani Gummidge.

Podobnie było przy obiedzie. Zaraz po mnie, a uważano mnie za gościa, podawano półmiski pani Gummidge, lecz nic nie mogło jej zadowolić. Ryby były drobne i kościste, ziemniaki przypalone. Wszyscyśmy to wprawdzie zauważyli, lecz pani Gummidge upewniała nas, że ją to w szczególny sposób dotyka, co potwierdziła zresztą strumieniem gorzkich łez.

Toteż gdy około dziewiątej pan Peggotty wrócił do domu, zastał panią Gummidge z pończochą w ręku i na zwykłym swym miejscu, lecz posępną i rozżaloną. Peggotty szła wesoło, Ham latał buty, ja zaś, siedząc obok małej Emilki, czytałem na głos. Od herbaty pani Gummidge nie odezwała się ani razu, tylko od czasu do czasu wzdychała ciężko.

– Dobry wieczór! – zawołał wchodząc gospodarz domu.

Wszyscyśmy, oprócz pani Gummidge, powitali go, ten słowem, ów spojrzeniem, ona sama tylko w ponurym milczeniu skłoniła głowę niżej nad pończochą.

– Cóż znowu? – rzekł pan Peggotty podając jej rękę. – No, nie martwże się, kobieto!

Pani Gummidge nie zdawała się bynajmniej zdolna do rozstania się ze smutkami. Co więcej, wyciągniętą z kieszeni chustką zaczęła ocierać oczy.

– Co się stało? – pytał pan Peggotty.

– Nic się nie stało – odparła. – Wracasz przecie z gospody.

– Ano tak, wstąpiłem tam wieczorem.

– Żałuję, że cię wyprawia.

– Wyprawia! – zaśmiał się gospodarz domu. – Nie potrzebuję być aż wyprawiany, sam tam idę chętnie.

– Chętnie, zbyt chętnie – mruzczała kiwając głową i ocierając oczy. – Otóż w tym bieda, że tym chęciom ja jestem winna.

– Ani myśl o tym – uspokajał ją pan Peggotty.

– Tak, tak – wołała łkając pani Gummidge – wiem dobrze, jakie jest moje nieszczęsne położenie, wiem, jak jestem opuszczona i że nie tylko mnie się nie wie, lecz że przy-

noszę z sobą nieszczęście. Tak, tak, czuję to, czuję wszystko żywiej niż ktokolwiek inny i okazuję to, i jest to właśnie moja niedola.

Nie mogłem, słuchając owej rozmowy, nie pomyśleć, że niedola w niemałej mierze spada na tych, którzy z nią mieszkają. Dobry pan Peggotty, chociaż i był może podobnego co ja zdania, nie wyraził tęga, owszem, starał się uspokoić rozżaloną kobietę.

– Nie jestem tym, czym być pragnę – mówiła pani Gummidge – nie jestem tym, czym być powinnam, wiem o tym, niedola rozdrażniła mię, boleję nad mą niedolą, chciałabym nie czuć, lecz nie jest to w mocy mojej, chciałabym być mężniejsza, ale przechodzi to moje siły. Wiem, jestem nieznośna, zatravam każdemu życie, dokuczam siostrze twojej i małemu panu Davy.

Pośpiesznie zaprzeczyłem.

– Ale tak, tak, wiem, co mówię – twierdziła rozżalona. – Lepiej będzie pójść precz stąd i umrzeć. Opuszczoną, nieszczęśliwą jestem istotą, powinnam ustąpić z drogi. Nic mi się nie wiedzie, wszystko przeciw mnie się obraca... Danielu, pozwól mi wrócić do domu, pozbędziesz się mnie wreszcie...

Z tymi słowy udała się na spoczynek. Gdy odeszła, pan Peggotty, który słuchał wyrzekań jej ze współczuciem, spojrzął po nas obecnych i wstrząsając głową rzekł z cicha:

– Myśli o starym.

Nie wiedziałem, o jakim właściwie „starym” mogła myśleć pani Gummidge, i dopiero Peggotty, moja własna Peggotty, rozbierając mnie objaśniła, że tym „starym” był nieboszczyk mąż jej. Wiedział o tym brat Peggotty, współczując niedoli wdowy. Istotnie, dosłyszałem, jak pan Peggotty, zawieszając na noc swój hamak, mówił jeszcze do Hama: „Biedaczka! Myślała o starym”. Powtarzał to, i zawsze z niezmiennym współczuciem, za każdym razem, gdy w czasie naszych odwiedzin pani Gummidge wpadała w swój żaloszny nastrój.

Tak minęły dwa tygodnie nie przynosząc innych zmian, prócz przypływów i odpływów morza i dostosowanych do nich odjazdów i powrotów pana Peggotty i Hama. Ham brał nas czasem z sobą dla pokazania nam statków i okrętów. Raz nawet przewiózł nas łodzią po morzu. Nie wiem doprawdy, dlaczego pewne wspomnienia tak szczególnie wiążą się z pewnymi miejscami, zwłaszcza gdy chodzi o wspomnienia z dzieciństwa, lecz sądzę, że tak być musi. Ile razy zdarzyło mi się słyszeć lub czytać nazwę Yarmouth, tyle razy w pamięci stawał mi pewien poranek niedzielny, spędzony na wybrzeżu. W powietrzu rozlegały się kościelne dzwony. Emilka stała oparta o moje ramię. Ham rzucał od niechcenia kamyki w morze, a za morzem słońce wylaniało się spoza zwojów mgły, oświecając okręty, w mglistej dali do własnych swych podobne cieni.

Nadszedł dzień powrotu do domu. Dzielnie panując nad sobą, pożegnałem pana Peggotty i panią Gummidge, lecz boleść moja przy rozstaniu z małą Emilka nie miała granic. Szliśmy dłoń w dłoni do gospody, skąd mieliśmy wyjeżdżać. Obiecywałem pisywać do niej, czego też dotrzymałem, kreśląc z niezwykłą starannością olbrzymie litery. Byliśmy bardzo smutni, a tak wielkiej pustki, jak ta, którą miałem na odjeźdnym w sercu, nie zdarzyło mi się może nigdy odczuć równie głęboko.

Przez cały czas pobytu w Yarmouth zachowałem się niewdzięcznie względem własnego mego domu, gdyż rzadko i mało o nim myślałem. Lecz zaledwie wsiedliśmy na wózek, rozbudzone sumienie zaczęło czynić wyrzuty, a rozdarte serce uczuło żywiej niż kiedy bądź, że wracam do gniazda, że matka tylko zdoła mnie pocieszyć i żal mój ukoić! Uczucie to wzrastało, w miarę jak zbliżaliśmy się do domu, a niecierpliwe pragnienie ujrzenia domowych progów wzmagало się na widok znanych mi miejsc i przedmiotów. Tylko Peggotty, zamiast dzielić me uczucia, powstrzymywała ich ciągłe wybuchy, wyglądała przy tym jakby zmieszana i jakaś nieswoja. Tak dotarliśmy do Blunderstone. Widzę je, widzę w świetle pochmurnego popołudnia, wśród szarej i dżdżystej pogody.

Drzwi się otwarły, wbiegłem pół uśmiechnięty, pół wzruszony, chcąc rzucić się w objęcia mej matki, lecz zamiast niej spotkałem nieznaną służącą.

– Peggotty – zawołałem cofając się – czy mama nie wróciła jeszcze?

– Wróciła, wróciła – uspokajała mię Peggotty, a po chwili dodała: – Niech się panicz zatrzyma chwilkę, powiem coś paniczowi.

Zmieszana i z wrodzoną niezręcznością wylaziła najniezgrabniej pod słońcem z wózka, lecz byłem zbyt przerażony, aby się śmiać z tego. Ujęła mnie za rękę i wprowadziła do kuchni zamykając za sobą drzwi.

– Peggotty, co się stało? – pytałem wystraszony.

– Nic się, chwała Bogu, nie stało – odrzekła z udaną wesołością.

– Pewien jestem, że się coś stało. Gdzie mama?

– Gdzie mama? – powtórzyła wahając się Peggotty.

– Tak, gdzie mama? Czemu nie wyszła na nasze spotkanie, czemu jej tu nie ma?

Oczy moje pełne były łez gotowych popłynąć za chwilę, serce mi się ścisnęło okropnie, ślaniałem się na nogach.

– O mój Boże! – zawołała podtrzymując mnie Peggotty. – Co ci jest, co, moje dziecko?

– Może umarła – wyszeptałem z trudnością. Peggotty zaprzeczyła energicznie, usiadła, aby się wysapać, mówiąc, że ją przestraszył.

Pogłaskałem ją, aby się uspokoiła, i wpatrywałem się w nią pytająco.

– Widzisz, kochanie – zaczęła – miałam ci to już przedtem powiedzieć, tylko... nie było sposobności... mniejsza z tym, trzeba było powiedzieć raz stanowczo...

– Mów, mów, Peggotty – błagałem czując, że mnie coraz większy zdejmuję niepokój.

– Kochanie – rzekła rozwiązując drżącą ręką wstążki kapelusza, po czym jednym tchem dorzuciła: – A gdyby tak panicz dostał tatę?

Zadrzałem i zbladłem. Na wspomnienie tej tam mogiły na cmentarzu i na myśl o wskrzeszonym trupie coś owiało mnie na kształt trującego oddechu.

– Nowego tatę – dodała Peggotty.

– Nowego – powtórzyłem.

Peggotty zaczerpnęła powietrza, jak gdyby miała połknąć coś niezwykle wstrętnego, i wyciągając rękę rzekła:

– Pójdź, zobacz go.

– Nie mam wcale ochoty go widzieć.

– A mamę? – spytała Peggotty.

Przestałem opierać się i dałem się wprowadzić do bawialnego pokoju. Po jednej stronie kominka siedziała matka moja, a po drugiej pan Murdstone. Matka moja wypuściła z rąk robotę i powstała spieszenie, lecz jak mi się zdawało, nieśmiało.

– Kochana Klaro – ozwał się pan Murdstone – pamiętaj, żebyś zawsze panowała nad sobą. Jak się masz, chłopcze!

Ujął mnie za rękę, po czym dopiero ucałowałem moją matkę. Uścisnęła mnie i wróciła do rzuconej przed chwilą roboty. Nie śmiałem oczu podnieść ani na nią, ani na niego, a że czułem wzrok jego na nas obojgu, więc się zbliżyłem do okna, przypatrując się krzakom, których liście zwarzył jesienny chłód.

Skorzystałem z pierwszej sposobności, by uciec na górę. Pokoik mój sypialny nie był już obok pokoju mojej matki, lecz gdzieś daleko. Wszystko było zmienione lub zmienionym mi się zdało. Wybiegłem na dziedziniec, lecz i stąd uciekłem wprędce, gdyż pustą dotąd psią budę zajmował brytan czarny, kudłaty, do niego podobny. Pies ten wyskoczył na mnie, wyszczerzając białe i potężne kły.

Rozdział IV

Popadam w niełaskę

Jeśliby pokój, gdzie przeniesiono moje łóżeczko, był istotą żyjącą, na której świadectwo można się powołać, zaświadczyłby dziś jeszcze – ciekawym, kto tam dziś sypia? – z jak ciężkim sercem udałem się wieczoru tego na spoczynek. Wchodząc na schody słyszałem bezustanne ujadanie psa na dziedzińcu, a wszedłszy do pokoju usiadłem z żało żonami na piersi rękoma, pogrążając się w zadumie.

Myślałem o najdziwniejszych rzeczach: o kształcie pokoju, o rysach na sklepieniu, o t a-petach, o skazach na zwierciadle i dziwnym z tego powodu łamaniu się odbicia, o ko-ślawej umywalni, co mi podeszłym swym wiekiem przypominała pani ą Gummidge. My-śląc o tym wszystkim płakałem gorzko, sam nie wiedząc czemu, czując tylko chłód i osa-motnienie. Wreszcie przypomniałem sobie, że się kocham na śmierć w małej Emilce. Ode-rwany od niej, znajduję się w miejscu, gdzie nikt o mnie nie dba ani w połowie tak, jak dbałoby to dziewczątko. Wprawiło to mnie w taką rozpacz, że łkałem, dopóki sen mnie nie zmorzył.

Zbudził mnie głos mówiący: „Mamy go!” Jednocześnie uczułem, że mi ktoś odkrywa rozpaloną głowę. Nade mną stały matka moja i Peggotty.

— Davy – spytała moja matka – co ci jest?

Zdziwiło mnie to pytanie, toteż odpowiadając krótko „nic”, odwróciłem się chcąc skryć zbyt wymowne drżenie ust.

— Davy! Dziecko moje – powtórzyła matka moja.

Sądzę, że nic mnie bardziej w tej chwili dotknąć nie mogło, jak ta nazwa „dziecko” w jej ustach. Skryłem zapłakaną twarz w poduszkach, odpychając prawie pochylającą się nade mną matkę, która zawołała:

– Twoje to dzieło, Peggotty! Niegodziwa Peggotty! Nie wątpię teraz o tym! Jakże to zdołasz pogodzić ze swym sumieniem! Zbuntować moje rodzone dziecko przeciw mnie lub przeciw komuś, kto mi jest drogi! Czy masz serce, czy masz sumienie?!

Biedna Peggotty wzniosła oczy i dłonie mówiąc:

– Niech Pan Bóg pani wybaczy, pani Copperfield, i strzeżę panią, abyś słów tych nie pożałowała.

– I to kiedy jeszcze! – ciągnęła ze łzami matka moja. – W miodowym miesiącu, wówczas gdy najsroższy nieprzyjaciel nie miałby serca trwożyć mnie i martwić. Davy! Niedobre dziecko! Zła, niegodziwa Peggotty! O, jakże ten świat jest przewrotny, i to wówczas właśnie, gdy mi się wszystko uśmiechać winno.

Uczułem dotknięcie ręki nie matki mojej i nie Peggotty. Od razu powstałem na nogi. Dłoń pana Murdstone spoczywała na moim ramieniu.

– Cóż to znowu? – mówił. – Klaro, duszko, zapominasz się. Więcej stanowczości!

— Przepraszam cię, Edwardzie – odrzekła matka moja – chciałam być odważna, lecz tak mi smutno.

– Doprawdy, Klaro, tak prędko.

– Przykro mi właśnie, że to nastąpiło teraz – tłumaczyła moja matka i dając się nieco dodała: – Ależ bo i jest się czym smucić...

Przygarnął ją do siebie, mówiąc jej coś z cicha, po czym ją pocałował. Widząc, jak tonęła w jego objęciu, zrozumiałem od razu, że nagnie on, jak zechce, słaby jej charakter.

– Odejdź, kochanie! – rzekł pan Murdstone. – Dawid zejdzie niebawem ze mną.

Zwracając się zaś po odejściu mej matki do Peggotty, spytał ją:

– Czy znane ci jest nazwisko twej pani?

– Zbyt dawno jej służyć – odrzekła zagadnięta – abym nie wiedziała, jak się nazywa.

– Tak by się zdawało! A jednak wchodząc na schody, wyraźnie słyszałem, jak ją nazywałaś nie należącym do niej nazwiskiem. Nosi ona teraz moje. Pamiętaj o tym na przyszłość.

Peggotty wyszła rzucając na mnie szybkie spojrzenie i mówiąc coś o tym, że na nią czekają. Pozostawszy sam ze mną pan Murdstone zamknął drzwi i siadając naprzeciw mnie patrzył się badawczo. Nie spuszczałem i ja też z niego oka. Czułem, jak mi serce głósno i szybko bije w piersiach.

– Dawidzie – rzekł zaciskając usta – jak ci się zdaje, co robię z krnąbrnym psem lub koniem?

– Nie wiem – odrzekłem.

– Smagam go.

Uprzednią odpowiedź wyszeptalem cicho, teraz tchu mi zabrakło w piersiach.

– Prowadzę go jak na pasku i mówię sobie: musi mi ulec, musi, chociażby życiem miał przypłacić. Pokaż, co masz na twarzy?

– Brud – odrzekłem.

Wiedział dobrze, że to są ślady łez, lecz jeśliby sto razy powtórzył pytanie, za każdym razem dodając sto uderzeń, to i tak za nic na świecie nie przyznałbym się, że płakałem.

– Dowcipny jesteś, nie ma co mówić – uśmiechnął się ze zwykłą sobie powagą. – Sprytny nad swój wiek. Zrozumiemy się doskonale. Otrzyj twarz i chodź ze mną.

Gestem nakazującym natychmiastowe posłuszeństwo wskazał umywalnię, która właśnie przypominała mi tak żywo panią Gummidge. Nie wątpię, że przy najbliższym oporze zgiąłby mnie we dwoje.

– Klaro, kochanie – rzekł wprowadzając mnie za rękę do bawialnego pokoju – uspokój się, zażegnałem, spodziewam się, twe zmartwienie, możemy się wspólnie weselić.

Niech mnie nieba mają w swej opiece, lecz sądzę, że jedno ciepłe, serdeczne słowo, wyrzeczone w tym czasie, zmieniłoby mnie i całe moje życie. Słowo zachęty, objaśnienia, współczucia dla mej dziecinnej boleści, zapewnienia, że dom ten nie przestał być mi rodzinnym domem, mogło mu zjednać na zawsze moje dziecięce serce, uczynić mnie ufnym, a nie skrytym, natchnąć szacunkiem zamiast nienawiścią. Zapewne matka moja bolała, widząc mnie tak sztywnym i zamkniętym w sobie. Gdym brał krzesło, spoglądała na mnie z niepokojem. Musiała zauważyć nagły brak naturalnej mej, dziecięcej swobody. Gdyby jedno słowo... ale nikt go nie wymówił.

Zasiedliśmy do stołu we troje. Zdawał się być czułym dla mej matki, co wszelako bynajmniej nie powiększyło skali mych uczuć dla niego. Zrozumiałem z tego, co mówiono, że starsza jego siostra miała zamieszkać z nami i właśnie oczekiwano jej tego wieczoru. Nie wiem też, czy tego wieczoru, czy potem, dowiedziałem się, że on i jego siostra mieli jakieś interesy z właścicielem handlu win w Londynie, że spółka ta trwała od lat już wielu, zawiązana jeszcze przez jego dziada. Bądź co bądź, notuję to obecnie tak, jak mi się nasuwa na pamięć.

Po obiedzie, gdyśmy siedzieli przy kominku, a ja myślałem tylko o tym, by się najprędzej, bez obrazy pana domu, wymknąć do Peggotty, usłyszeliśmy podjeżdżający do bramy ogrodu pojazd. Wyszedł na spotkanie przybywającej siostry, a za nim powstała i moja matka. Nieśmiało szedłem za nią. Już za drzwiami i w cieniu zwróciła się szybko do mnie, przycisnęła – jak to dawniej zwykła była czynić – do serca, mówiąc mi z cicha, że powi-

nieniem kochać i poważać mego nowego ojca. Uściskała mię tkliwie, lecz lekko jakoś, niby w tajemnicy, i zakładając rękę za plecy, trzymała mnie za rękę. Dopiero gdyśmy się z nim zrównali, wypuściła moją rękę ze swojej, aby się oprzeć na jego ramieniu.

Nowo przybyła panna Murdstone wyglądała złowrogo. Podobna z twarzy do brata, jak on brunetka o smagłej cerze, miała jak on dwoje gęstych brwi nad dużym nosem, a wyglądało to tak, jak gdyby ich obfitością nagrodzić sobie chciała brak bokobrodów. Miała z sobą dwa czarne kufry z wybitymi na nich świecącymi literami. Płacąc woźnicy dostawała pieniądze ze stalowej sakiewki, którą wydobyła z większego worka zawieszzonego na ręku na stalowym łańcuchu. Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć bardziej metalowej kobiety.

Wprowadzono ją do bawialnego pokoju z tysiącem uprzejmości. Tu zbliżyła się do mojej matki, jako do bliskiej krewnej, a spostrzegłszy mnie spytała:

– Synek to twój, bratowo?

Matka moja skłoniła twierdząco głową.

– Na ogół – zauważyła panna Murdstone – nie lubię chłopców. Jak się masz, chłopcze?

Na tę zachęcającą przemowę odpowiedziałem wprawdzie, że zdrow jestem i spodziewam się, że panna Murdstone w dobrym też pozostaje zdrowiu, lecz uczyniłem to tak nieuprzejmie, że przybyła zdecydowała:

– Brak mu manier.

Wypowiedziawszy wyrok ten dobitnie, prosiła, aby jej wskazano pokój, który miała zająć. Pokój ten, zapełniony dwoma zawsze na klucz zamkniętymi kuframi, rozwieszonymi dokoła niby broń lustrami oraz stalowymi łańcuszkami i szpilkami, w które się zwykle stroiła, stał się odtąd dla mnie przybytkiem strachu.

Zauważyłem wkrótce, że panna Murdstone nie ma wcale zamiaru opuścić nas kiedykolwiek. Zaraz nazajutrz zajęła się „pomaganie” mojej matce w gospodarstwie: przez cały dzień robiła porządki w spiżarni. Niebawem przekonałem się, że posadzała ustawicznie służące o ukrywanie gdzieś, na strychu zapewne, mężczyzn. Pod tym pretekstem biegała ciągle po schodach i zaglądała we wszystkie kąty, a gdy otwierała szafy, czyniła to tak, jak gdyby już miała złapać złodzieja.

Chociaż żadnej w panie Murdstone lotności nie było, wstawiała równo ze skowronkami, wcześniej niż ktokolwiek w domu. Peggotty zapewniała nawet, że sypia jednym tylko okiem, co mi się jednak i po kilkakrotnych osobistych próbach nie wydało prawdopodobne.

Zaraz nazajutrz po przybyciu wstała z pianiem kogutów, a gdy matka moja zeszła na śniadanie, dziobnęła ją w policzek, co miało oznaczać pocałunek, mówiąc:

– Przybyłam tu, kochana Klaro, aby ci ulżyć i być we wszystkim pomocą. Jesteś zbyt ładna i roztrzepana – tu matka moja uśmiechnęła się uprzejmie – abyś mogła podolać różnym swym obowiązkom. Oddaj mi z łaski swej klucze i pozwól, abym cię wyręczała.

Od chwili tej klucze przeszły wyłącznie w ręce panny Murdstone. We dnie nosiła je u paska, zawieszzone na żelaznym łańcuszku, w nocy chowała pod poduszką, a matka moja nie miała do nich dostępu. Zrazu protestowała przeciw tak stanowczemu usunięciu siebie na bok. Pewnego wieczoru, gdy panna Murdstone przedstawiała bratu jakieś plany gospodarskie, z zupełnym pominięciem pani domu, matka moja rozplakała się, utrzymując, że warto by może i o jej zdanie spytać.

– Klaro – zauważył surowo pan Murdstone. – Klaro! Dziwię ci się, doprawdy!

– O! Dobrze ci dziwić się, Edwardzie! – zawołała płacząc matka moja. – Pewna jestem, że sam czegoś podobnego byś nie zniósł.

Stanowczość była największą cnotą w pojęciu pana Murdstone i jego siostry. W moim dziecięcym wyobrażeniu pozostała ona jednoznaczna z despotyzmem i z pewnym ponurym, chłodnym, zarozumiałym usposobieniem, jakim oboje, brat i siostra, się odznaczyli. Wierzyli oni święcie, że pan Murdstone niezłomny jest w swych postanowieniach i że nikt

pod słońcem nie jest tak niezłomny i być nim nie może. Jedyne wyjątkiem stanowiła panna Murdstone. Wolno jej było być też stanowczą – jedynie dzięki pokrewieństwu – ale w niższym, niejako poddańczym, stopniu. Matka moja stanowiła także wyjątek. Ta powinna być niezłomna w postanowieniach, lecz w tym tylko znaczeniu, aby ślepo ulegać ich woli i ślepo wierzyć w ich nieomyślność.

– Trudno – zaczęła matka moja – we własnym domu...

– Własnym? – powtórzył pan Murdstone. – Klaro!

– W n a s z y m domu – jękała się biedna, widocznie wystraszona kobieta – sądziłam, że mnie zrozumiesz, Edwardzie! Sądziłam, że w t w o i m domu będę miała głos chociażby doradczy. Dawniej umiałam prowadzić gospodarstwo... – tu matka moja rozplakała się na dobre – możecie spytać Peggotty.

– Edwardzie – przerwała panna Murdstone – trzeba raz temu położyć koniec, jutro wyjeżdżam.

– Jane Murdstone – ozwał się brat jej – milcz, proszę. Czy mnie nie znasz?

– Doprawdy – szlochała matka moja – doprawdy nie chciałabym narazić się nikomu i byłabym bardzo nieszczęśliwa, jeśliby ktokolwiek miał stąd odjechać. Nie wymagam wiele, nie jestem tak szalona, chciałabym tylko, aby czasem i o moje spytano zdanie. Wdzięczna jestem, doprawdy, za każdą dobrą radę i chciałabym tylko czasem, choć dla przyzwoitości, wyrazić swe zdanie. Sądziłam, Edwardzie, że ci się moje niedoświadczenie podobało niegdyś... Teraz wyrzucasz mi je tak surowo.

– Edwardzie – powtórzyła panna Murdstone – trzeba raz temu położyć koniec. Pozwól, że odjadę jutro.

– Jane Murdstone – zagrzmiał głos brata – milcz, proszę, jak śmiesz!

Panna Murdstone wydobyła z torby chustkę i podniosła ją do oczu.

– Klaro! – zwrócił się do mojej matki mąż jej – zadziwiasz mnie, wprawiasz w zdumienie! Prawda, cieszyła mnie myśl poślubienia młodej, niedoświadczonej istoty, której charakter mógłbym wykształcić, zahartować wolę. Lecz kiedy siostra moja raczy przybyć mi z pomocą i z łaski swej chce zająć się gospodarstwem domowym, wyręczyć cię, to w zamian spotyka ją czarna niewdzięczność...

– O, Edwardzie! Edwardzie! – szlochała matka moja – nie oskarżaj mnie tylko o niewdzięczność. Wierz mi, że nie jestem niewdzięczna. Nikt mi tego dotąd nie zarzucał. Wiele mam wad, ale niewdzięczna nie jestem, o, nie!

– Spotyka ją czarna niewdzięczność – ciągnął pan Murdstone – dlatego, wyznaję, czuję się obrażony, zraniony nawet.

– Edwardzie! Edwardzie! – błagała zanosząc się od płaczu matka moja – nie mogę znieść twych wyrzutów! Wdzięczne mam i kochające serce, zapewniam cię, że kochające, spytaj Peggotty.

– Słabość, choćby największa, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia – zauważył pan Murdstone. – Zadyszałaś się, kochanie!

– Nie gniewaj się, proszę, nie mogę, widzisz, żyć bez przywiązania, w chłodzie, w obojętności. Tak mi ciężko! Wiem o tym, że mam tysiące przeróżnych wad, lecz ty jesteś tak dobry, że chcesz zahartować mój słaby, niedoświadczony charakter. Jane, nie sprzeciwiam się już niczemu, zranisz mnie śmiertelnie, odjeżdżając.

Głosu zabrakło biednej mojej matce!

– Jane Murdstone – wtrącił się pan Murdstone – nigdy dotąd nie padły między nami drażliwe słowa. Jeśli to się obecnie zdarzyło, nie moja w tym, jak sama widzisz, wina. I nie twoja także. Ktoś inny popchnął nas do tego, wywołał wstrętą dla nas obojga scenę. Zapomnijmy o tym, co zaszło.

Tu spostrzegł mnie.

– Nie jest to scena odpowiednia dla dzieci – zauważył. – Idź spać, Dawidzie.

Oczy miałem pełne łez i z trudnością trafiłem do drzwi. Tak mi było żal biednej mojej matki! Po ciemku wszedłem na schody i do mego pokoju, nie mając nawet chęci prosić Peggotty o światło i uściskać jej na dobranoc. Gdy po godzinie przysłała do mego łóżka, powiedziała mi, że matka moja położyła się splekana i zmartwiona, a pan i panna Murdstone siedzą jeszcze razem w bawialnym pokoju.

Zszedłem nazajutrz wcześniej niż zwykle i zatrzymałem się chwilę u drzwi, słysząc głos mojej matki. Przepraszała ona bardzo serdecznie i pokornie pannę Murdstone, a gdy szanowna ta dama raczyła udzielić jej przebaczenia, pogodziły się z sobą na dobre. Odtąd nie słyszałem już nigdy matki mojej wypowiadającej w jakiej bądź sprawie swego zdania, bez uprzedniego przekonania się, czy takowe panna Murdstone podziela lub co najmniej, czy nie jest temu przeciwna. Ta zaś, za każdym wybuchem złego humoru, a podlegała chronicznie tej słabości, potrzęsała pięciem kluczy, tak jak gdyby chciała się ich pozbyć, co zawsze nieskończenie przerażało moją matkę.

Ponure rysy charakteru Murdstonów rzucały cień i na religijne ich uczucia: religia ich była surowa i mściwa. Przychodziło mi odtąd na myśl, że było to konsekwentnym wynikiem owej stanowczości, co nie znała dla nikogo i za nic przebaczenia. Pamiętam nasze surowe miny, gdyśmy szli do kościoła, który mi się innym, niż przedtem, zaczął wydawać. Niedziela mijała po niedzieli, siadywałem w ławce podobny do więźnia przywleczonego na ofiarę. Panna Murdstone w czarnej, aksamitnej, rzekłbyś, na kształt całunu zrobionej sukni siadała tuż obok mnie, za nią dopiero matka moja, pan Murdstone ostatni. Peggotty nie przychodziła już z nami, jak niegdyś bywało. Słyszę ostry głos panny Murdstone odpowiadającej księdzu, widzę jej czarne oczy, na każdą wzmiankę o „nędznych grzesznikach” obiegające całe zgromadzenie. Widzę łagodne i wystraszone spojrzenie mej matki i usta jej poruszające się cicho, pomiędzy tymi dwojgiem, których modły rozlegały się niby grom z nieba. Zdawało mi się czasem, że nie tylko kapłan u ołtarza, lecz i sami aniołowie w niebie są grzesznikami, a sprawiedliwymi – tylko pan i panna Murdstone. A jeśli zdarzyło mi się poruszyć palcem lub rozciągnąć mięśnie twarzy, książka do nabożeństwa panny Murdstone pokrywała mi sińcami cały bok.

Tak, widzę po drodze do domu sąsiadów spoglądających z westchnieniem współczucia na mnie i na matkę moją. Idąc nieco za Murdstonami i matką, mogłem pochwycić znaczące spojrzenia sąsiadów i sam zacząłem się dziwić, że kroki mojej matki stały się mniej zwinne i coraz ciemniejsza chmura osiadała na jasnym jej czole. Pytałem siebie wówczas, czy sąsiedzi pamiętają jeszcze, jakeśmy dawniej z nią we dwoje chodzili do kościoła, i przez całą niedzielę pozostawałem smutny.

Zacząto mówić o wysłaniu mnie do szkoły. Projekt ten wyszedł od pana i panny Murdstone i naturalnie został zatwierdzony przez moją matkę; tymczasem miałem się uczyć w domu.

Nie zapomnę nigdy owych lekcji. Wbiły mi się głęboko w pamięć. Pozornie udzielane mi były przez matkę, lecz w obecności pana Murdstone i jego siostry, którzy znajdowali tu gotową sposobność do wyrabiania w matce mojej owego hartu, będącego ich hasłem i ustawicznie wywieszanym sztandarem. Zdaje mi się nawet, że jedynie w tym celu ociągano się z wysłaniem mię do szkoły. Zdolny byłem i chętny do nauk, dopóki sam byłem z matką. Zachowałem niejasne, lecz błogie wspomnienie pierwszej nauki alfabetu, odbytej u jej kolan, w jej objęciu. Po dziś dzień nie mogę spojrzeć na czarne kształty wielkich liter, na okrągłość O i Q, na wężykowatość S, bez powracania do odległych, bardzo odległych, lecz wcale nie wstrętnych wspomnień. Owszem, razem z ulubioną mą książką o krokodylach, cała nauka czytania wydaje mi się rozkoszną przechadzką wśród klombów różnorodnego kwiecia. Nie takie jednak były późniejsze, oficjalne, w obecności Murdstonów udzielane lekcje. Pełne nudy i smutku, długie, liczne, ciężkie, niezrozumiałe, nużące zarówno ucznia, jak i nauczycielkę.

Niechże przypomnę sobie dokładnie, jak to wtedy bywało, niechże przeżyję wspomnieniem jeden z dni mego dzieciństwa.

Po śniadaniu, pamiętam, wszedłem do bawialnego pokoju z książkami, kajetami i tabliczką w rękę. Matka moja czekała na mnie już przy swoim biurczku, pan Murdstone przy oknie, czytający niby książkę, panna Murdstone nawlekająca stalowe paciorki. Sam już widok tych dwojga nieodstępnych towarzyszy mego życia wywierał na mnie takie wrażenie, że zapomniałem lekcji wyuczonej dopiero z niemałym trudem. Bóg wie, gdzie się to wszystko podziewało.

Podaliśmy książkę matce, nie pamiętam już, gramatykę, historię czy geografii. Spojrzałem raz jeszcze na rozłożoną stronicę i zacząłem powtarzać lekcję. Potknąłem się raz, widząc skierowane na siebie spoza książki spojrzenie pana Murdstone. Zająknąłem się raz, drugi, widząc spojrzenie rzucone mi przez pannę Murdstone. Zarumieniłem się po uszy, zaślotałem coś i ani rusz dalej. Matka podpowiedziała mi może, lecz biedaczka nie śmiała i jęknęła tylko:

– Davy! O, Davy!

– Klaro! – wtrącił pan Murdstone – miejże więcej charakteru i nie psuj tak chłopca. Jedno z dwojga, umie czy nie umie lekcji?

– Nie umie – zdecydowała stanowczo panna Murdstone.

– Istotnie, zdaje się, że nie umie – przyznała moja matka.

– W takim razie – rzekła panna Murdstone – oddaj mu książkę, niech się douczy.

– Zapewne – podchwyciła matka moja – było to właśnie moim zamiarem. Davy, weź, powtórz, naucz się, moje dziecko. Nie bądźże głupi!

Starałem się zastosować do rozkazu i powtarzałem zadaną lekcję, lecz widocznie byłem głupi i nie mogłem skupić uwagi. Myślałem, ile tasiemek wyjść mogło na siatkę pokrywaną czarne włosy panny Murdstone. Myślałem, ile kosztował szlafrok pana Murdstone, i o tym podobnych rzeczach. Wtem pan Murdstone poruszył się, poruszyła się panna Murdstone, matka moja spojrzała na nich, zamknęła książkę i odłożyła ją na bok.

Odkładane książki gromadziły się w stosy, a im więcej się ich gromadziło, tym mniej stawałem się pojętny. Widząc, że nie poradzę sobie, zdałem się na łaskę i niełaskę mej dołi. Spoglądaliśmy po sobie z matką w najżałośniejszy sposób, lecz i to nie pomagało. Korzystając z odwróconej na chwilę od siebie uwagi, starała się ona ruchem ust naprowadzić mnie na daremnie szukaną drogę. Wtem panna Murdstone odezwała się ostrzegającym tonem:

– Klaro!

Matka moja drgnęła, zarumieniła się próbując pokryć zafrasowanie uśmiechem, a pan Murdstone powstał z miejsca, wziął z rąk jej książkę, rzucił mi ją w twarz i targając mnie za uszy, wypchnął za drzwi bawialnego pokoju.

Ale jeśli nawet inne lekcje szły jako tako, czekała mnie zawsze istna niedola z arytmetyką, której uczył mnie sam pan Murdstone. Lekcja zaczynała się od zadania:

– Jeśli pójdę do kramu i kupię pięć tysięcy podwójnych serków z Gloucester, po cztery i pół pensa sztuka, ile to wyniesie?

Odpowiedzieć trzeba było w lot. Widzę zadowoloną minę panny Murdstone i liczę, liczę, bez skutku niestety, aż do samego nieraz obiadu, a gdy ścieraniem brudnej tabliczki i przeciąganiem palców po twarzy zmienię, bywało, siebie w mulata, to już co najwyżej kawał suchego chleba dopomaga mi do strawienia owych pięciu tysięcy podwójnych serków z Gloucester i jestem w niełasce przez resztę wieczoru.

W oddaleniu, w jakim mnie bieg życia postawił od tych dni dziecięcych, zdaje mi się, że taki, a nie inny był codzienny przebieg mych nauk. To pewne, że uczyłem się lepiej, a nawet i wcale dobrze, gdyby nie Murdstonowie, wywierający na mnie wrażenie podobne do tego, jakie wywierają węże na niektóre ptaki. Wówczas nawet, gdy przedobiednie lek-

cje udawały mi się względnie, całą wygraną stanowił obiad, gdyż panna Murdstone nie pozwalała mi odetchnąć i zaledwie skończył jedno zadanie, zwracała na mnie uwagę brata, odzywając się do mojej matki:

– Kochana Klaro! Zajmij czym swego chłopca, zajęcie zdrowe jest dla dzieci.

Toteż chwil wytchnienia miewałem mało, z towarzystwa zaś rówieśników moich nie korzystałem wcale. Pan Murdstone uważał wszystkie dzieci, zapominając o tym zapewne, jak i e to dziecię zasiadało raz w świątyni pomiędzy doktorami, za mrowisko małych żmij, wzajemnie najzgrabniej oddziaływających na siebie.

Nieuniknionym następstwem podobnego trybu wychowania było spaczenie mego charakteru i zdolności. Stawałem się z dniem każdym posepniejszy, tępszy, kwaśniejszy, a to tym bardziej, im bardziej czułem się oddalony od mej matki. Sądzę, że popadłbym w skończony idiotyzm, gdyby nie następująca okoliczność.

Po ojcu moim został zbiór książek, zamknięty w małej izdebce na poddaszu, do której wstęp miałem i dokąd nikt oprócz mnie nie wchodził. Z tej to kryjówki wyciągałem na światło dzienne liczne powieści. Bohaterowie ich: Roderyk Random, Peregryn Pickle, Onufry Clinker, Tom Jones, Pleban z Wakefield, Don Kichot, Gil Blas i Robinson Crusoe stali się ukochanymi moimi towarzyszami, rozbudzali mą wyobraźnię, utrzymywali nadzieję, odrywali od miejsc i chwil obecnych. Książki te wraz z „Baśniami z 1001 nocy” nie wywierały na mnie złego wpływu, gdyż to, co było w nich złe, przechodziło moje pojęcie. Dziś dziwię się tylko, jak – obciążony niewdzięcznymi naukami – mogłem znaleźć czas na czytanie. To pewne, że czytanie zostało mi pociechą, że się wcielałem sam lub wcielałem tych, których kochałem, w bohaterów, w każdym czarnym charakterze dopatrując się rysów podobieństwa z panem i panną Murdstone. Przez całe tygodnie bywałem Tomem Jonesem, przez miesiące Roderykiem. Zajmowały mnie też niesłychanie opisy podróży, nie wiem już, czyje, znalezione na półkach. Stawiałem siebie w położeniu podróżników zdanych na pożarcie dzikich zwierząt i tym podobne niebezpieczeństwa i wówczas nawet, gdy za nie douczoną lekcję gramatyki targano mnie za uszy, bohaterowie moi nic a nic nie traciли na tym, pozostawali zawsze szczytnymi bohaterami.

Było to moje jedyne, lecz potężne poparcie. Gdy myślę dziś o tym, widzę siebie w pogodnej wieczory, z książką w ręku, gdy rówieśnicy moi igrali na cmentarzu. Każda sąsiednia stodoła, dach każdy, każdy cmentarny kamień wiąże się w wyobraźni mojej z jakąś czarodziejską historią: Tom Pipes wlaził na kościelną dzwonnice. Strap z torbą na plecach mijał furtkę cmentarną, a komendant Trunnion i pan Pickle wiedli swe narady w wiejskiej izdebce naszej karczmy.

Po tym wszystkim, co się powiedziało wyżej, czytelnik wyobrazi sobie łatwo, jaki byłem w chwili, do której dobiega moje opowiadanie.

Pewnego poranku, wchodząc z książkami do bawialnego pokoju, zastałem matkę moją zasmuconą i przerażoną, pannę Murdstone jak zawsze niezłomną, zaś pana Murdstone wiążącego coś koło kija – cienkiego i gibkiego – którym za moim zjawieniem się przerznął ze świstem powietrze.

– Zapewniam cię, Klaro – mówił – że nieraz byłem smagany.

– Niewątpliwie, naturalnie – potwierdziła panna Murdstone.

– Zapewne – ozwała się matka moja i dodała nieśmiało: – Czy ci to na dobre wyszło, Edwardzie?

– Sądysz, że mu to zaszkodziło? – spytała surowo panna Murdstone.

– W tym rzecz – dorzucił pan Murdstone.

— Zapewne – powtórzyła z cicha moja matka.

Przecucie ostrzegło mnie, że nie byłem obcy toczącej się rozmowie. Pochwyciłem nagle zwrócony na siebie wzrok Murdstone'a.

– Dawidzie – rzekł – ostrzegam cię, abyś był dziś uważny.

Mówiąc to przerznął znów batem powietrze, po czym odłożył kij na bok i rzucając mi złowieszcze spojrzenie wziął się do zwykłego przy mej lekcji czytania.

Słowa te wywarły pożądane wrażenie. Chociaż zdawało mi się przedtem, że umiem lekcję, zapomniałem od razu i najzupełniej. Panna Murdstone nie spuszczała ze mnie oka. Jąkałem się, myliłem, rumieniłem, a gdy doszło do owych pięciu tysięcy podwójnych serków – „pięciu tysięcy kijów”, jak stało w zadaniu dnia tego – matka moja rozplakała się na głos.

– Klaro! – upomniała ją panna Murdstone.

– Czuję się słaba, kochana Jane – usprawiedliwiała się moja matka.

Widziałem, jak Murdstone mrugnął na siostrę, a powstając z miejsca i biorąc kij w rękę rzekł obojętnie:

– Niepodobna, Jane, aby Klara znosiła dłużej męki, jakie jej zadaje ten chłopiec. Na to potrzeba hartu, na jaki Klara zdobyć się jeszcze nie może. Pójdziemy z Dawidem na górę.

Matka moja porwała się, aby nas zatrzymać, lecz na upomnienie panny Murdstone: „Klaro! Pomiarkuj się!” zatkała sobie uszy i rozplakała się na głos.

Pan Murdstone powolnym i uroczystym krokiem wprowadził mnie do mego pokoju, pieszcząc wzrokiem przybory do wymiaru sprawiedliwości. Gdy zamknął za nami drzwi, złapał mnie za głowę.

– Panie Murdstone! Panie! – wołałem. – Nie bij mnie, proszę! Nie bij! Staram się uczyć, wierz mi! Tylko wobec pana i pańskiej siostry zapominam tego, czegom się wyuczył.

– Czy tak? – wycedził przez zęby. – Zobaczymy.

Wiłem się jak wąż w żelaznych jego rękach, błagając, aby mnie nie bił. Mocowaliśmy się z sobą przez chwilę. Widząc, że mi zatyka ręką usta, ukąsiłem go – jeszcze dziś na myśl o tym zaciskają mi się zęby.

Zaczął mnie bić, jak gdyby miał zasieć na śmierć. W zgiełku, jaki powstał, słyszałem wyraźnie głos i płacz matki mojej i Peggotty. Odszedł wreszcie zamykając drzwi na klucz i zostawiając mnie rozgorączkowanego, splakanego, rozszalałego, tarzającego się po podłodze.

Pamiętam, o, jakże wyraźnie pamiętam tę ciszę, która zaległa dom cały, gdym się uspokoił czy raczej wyczerpał. Czuję się nieskończenie nieszczęśliwy i... winny.

Wśluchiwałem się w tę dziwną ciszę. Nigdzie ani dźwięku. Podniosłem się z podłogi, w zwierciadle ujrzałem mą twarz rozognioną, nabrzmiałą, straszną. Członki moje zeszywniały bolały mnie i za każdym poruszeniem wywoływały nowe łzy. Wszystko to jednak było niczym w porównaniu z wyrzutami sumienia. Uważałem siebie za zbrodniarza.

Ściemniało się, zamknąłem okno, na którego krawędzi chłodziłem płonące czoło, wtem klucz we drzwiach zazgrzytał i panna Murdstone wniosła trochę chleba, mięsa i mleka. Nie rzekłszy słowa, patrząc na mnie z niezłomną surowością, postawiła jedzenie na stole, a odchodząc znów zamknęła mnie na klucz.

Od dawna już ciemno było, a ja czekałem ciągle, czy też nikt więcej nie przyjdzie? Gdy się przekonałem, że nie, rozebrałem się i położyłem, a leżąc, gubiłem się w domysłach, co mnie dalej czeka. „Może – myślałem – popełniłem zbrodnię, a w takim razie oddany zostanę policji, wtrącony do więzienia? Kto wie, powieszony może?”

Nigdy też nie zapomnę przebudzenia się nazajutrz. Obudziłem się zrazu wypoczęty i spokojny, ale wkrótce powróciły gorzkie wspomnienia, wyrzuty sumienia i niepokój. Z anim wstałem, zjawiła się panna Murdstone z oznajmieniem, że mogę zejść na pół godziny, do ogrodu, i zostawiła otwarte drzwi.

Zszedłem. Przez pięć dni (tyle bowiem czasu trwało moje uwięzienie) co dzień rano odbywałem tę przechadzkę. Gdybym dojrzał matkę swoją, błagałbym na klęczkach o przebaczenie, lecz widywałem samą pannę Murdstone, a matkę tylko przy wieczornych pacier-

zach, na które mnie panna Murdstone sprowadzała z góry, a przy których trzymano mnie z dala, jak banitę, i zanim wszyscy obecni z klęczek powstali, odsyłano do mego więzienia, pod strażą nieodstępnej panny Murdstone. Zauważyłem, że mi wyznaczano miejsce najodleglejsze od miejsca zajmowanego przez moją matkę i że ta odwracała się ode mnie. Zauważyłem też, że ręka pana Murdstone była obwiązana.

Nie potrafię wyrazić, jak mi się te dni dłużyły w nieskończoność! Wydają mi się, gdy je wspominam, długie jak lata całe. Wsłuchiwałem się w odgłosy i szmery przepełniające dom; głos dzwonka, odmykania i skrzypienia drzwi, szmer głosów, kroki na schodach, każdy wybuch śmiechu, pogwizdywanie, śpiew na dziedzińcu, uderzenia zegara bardziej były niesamowite w mej samotności i poniżeniu. Zwłaszcza z wieczora, gdym przebudziwszy się sądził, że to już ranek, a przekonywałem się, że nikt jeszcze w domu, oprócz mnie, nie kładł się spać i że mam przed sobą całą długą noc! Kto zliczy sny gorączkowe, przywidzenia, poranki, południa, wieczory, gdy z okna śledziłem zabawy moich rówieśników, drżąc, by mnie z dala nie dostrzegli. Przecież musieli słyszeć o tym, co zaszło, o mym haniebnym uwięzieniu. Dziwne mi się wydawało, że nie słyszę dźwięku własnego głosu. Jedząc i pijąc czułem się nieco weselszy, lecz to mijało prędko! Pamiętam pewien wieczór, monotony plusk deszczu i rozlane w powietrzu wonie, które wzmagały się w przestrzeni pomiędzy mną a kościołem, i ogarniający mnie mrok, i strach, który zdejmował, i nieustające wyrzuty sumienia... Zdaje mi się, że trwało to nie dni, lecz lata całe, a wszystko to tak żywo zachowałem w pamięci.

Ostatniej nocy mego uwięzienia zbudziło mnie z cicha wymówione moje imię. Podniosłem się na posłaniu i wyciągając w ciemnościach ręce zawołałem:

– Peggotty!

Nie było z początku odpowiedzi, usłyszałem tylko powtórnie moje imię, lecz wymówione głosem tak stłumionym i niezwykłym, że przeląkłbym się, gdybym się nie domyślił, że głos przechodzi przez dziurkę od klucza.

Podbiegłem do drzwi i przytykając usta do dziurki od klucza spytałem z cicha:

– Tyś to, kochana Peggotty?

– Ja sama, drogi, złoty mój paniczu! Cicho, by nas nie podsłuchało to kocie ucho.

Domyśliłem się, że mowa o pannie Murdstone, której pokój przylegał do mego.

– Jak się czuje mama? – pytałem. – Czy bardzo się na mnie gniewa?

Słyszałem poza drzwiami ciche łkanie pocziwej Peggotty; dobra minęła chwila, zanim odpowiedziała:

– Nie, nie bardzo.

– Co też zamierzają począć ze mną? – pytałem. – Możesz słyszeć, kochana moja Peggotty?

— Szkoła w pobliżu Londynu – odrzekła.

Nie słyszałem zrazu, gdyż zamiast ucha miałem przyłożone do dziurki od klucza usta i czułem tylko ciepły oddech Peggotty.

– Kiedy?

– Jutro.

– Dlatego panna Murdstone wyjęła dziś z szafy moje odzienie?

– Tak, i kuferek.

– A czy zobaczę mamę?

– Jutro rano.

Tu Peggotty, przytulając coraz bardziej usta do dziurki od klucza, mówiła urywanymi słowami, lecz pełnymi uczucia:

– Davy! Kochanie moje! Jeśli nie byłam w ostatnich czasach taką jak dawniej... to nie dlatego, abym cię mniej kochała... Owszem, moja rybeńko... Tylko sądziłam, że... z tym lepiej będzie. Tobie... i jeszcze komuś... Słyszysz mnie, Davy?

– Słyszę.

– Moje ty kochanie! Oto, co chciałam powiedzieć... nie zapominaj o mnie, bo ja ci gęle pamiętać będę o tobie, drogie moje dziecko!... Bądź spokojny, będę czuwać nad twą mamą, jak czuwałam nad tobą... nie opuszczę jej... bo może, widzisz, przyjsć chwila, w której stara, zła, brzydka, niegodziwa Peggotty będzie jej potrzebna. Napiszę do ciebie, kochanku, napiszę, chociaż nie jestem uczona i... i...

Tu zdaje mi się, że Peggotty, nie mogąc mnie ucałować, ucałowała klamkę.

– Dziękuję ci, Peggotty, moja dobra, kochana Peggotty! Przrzeknij mi coś jeszcze, przrzeknij, że napiszesz do pana Peggotty, do Emilki, pani Gummidge i do Hama, że nie jestem tak zły, jak sądzą, i że kłaniam się im wszystkim, a najwięcej małej Emilce. Napiszesz?

Poczciwa Peggotty obiecała napisać i oboje całowali śmy dzielące nas drzwi. Gładziłem je tak, jak gdybym gładził poczwią, rumianą twarz mojej Peggotty. Tej nocy powstało w sercu mym dla niej uczucie, którego nie potrafię określić. Nie, nie mogła zastąpić mi matki, lecz zajęła w uczuciach moich jakieś puste miejsce i czułem, że ją kocham więcej i inaczej niż kogokolwiek. Nie wiem, co bym począł, gdybym ją stracił, i jak bym przeżył to nieszczęście.

Z rana zjawila się jak zwykle panna Murdstone z oznajmieniem, że wyjeżdżam do szkół, co zresztą nie było już dla mnie, jak wiemy, nowością. Oznajmiła mi też, że mogę zejść. Na dole zastałem matkę moją bladą i z zaczerwienionymi oczyma. Rzuciwszy się jej na szyję zacząłem ją przeproszać.

– O, Davy! – rzekła. – Jak mogłeś zranić kogoś, kogo kocham! Popraw się i proś Boga, abyś był lepszy. Przebaczam ci, lecz boleję nad twoimi złymi skłonnościami.

Wmówili w nią, że mam złe skłonności, i to martwiło ją bardziej niż rozstanie ze mną! Z trudnością przelykałem śniadanie, a lzy spływały do mej herbaty. Chwilami czułem, że matka spogląda na mnie, lecz czyniła to ukradkiem, spieszenie przenosiła wzrok ze mnie na nieodstępną pannę Murdstone lub odwracała w drugą stronę.

– Znosić kufer panicza – zakomenderowała panna Murdstone, gdy usłyszeli śmy turkot kół przy bramie.

Obejrzałem się za Peggotty. Nie było jej nigdzie, nie zjawil się też pan Murdstone. W drzwiach stał wózek ze znanym mi woźnicą. Zniesiono mój kuferek do wózka i tam go umieszczono.

– Klaro! – powtórzyła ostrzegająco panna Murdstone.

– Gotowa jestem, kochana Jane – odrzekła. – Do widzenia, Davy. Odjazd ten wyjdzie ci na dobre. Do widzenia, moje dziecię! Wrócisz do nas na wakacje, wrócisz lepszy, prawda?

– Klaro! – powtórzyła ostrzegająco panna Murdstone.

– Służę ci, kochana Jane – odrzekła nie wypuszczając mnie z objęć. – Przebaczam ci, dziecko moje... kochanie... niech cię Bóg strzeże...

— Klaro! – powtórzyła panna Murdstone.

Panna Murdstone, z łaski swej, odprowadziła mnie do samego wózka, o świadczając, że sądzi, iż się poprawię, bo inaczej smutny mnie czeka koniec. Wsiadłem, woźnica popędził konia.

Rozdział V

Wysyłają mnie z domu

Odjechawszy może z pół mili i chustka moja do nosa zmoczona była już łzami, gdy nagle woźnica powstrzymał konia.

Obejrzałem się. Z krzaków wyskoczyła Peggotty i rzuciła się ku mnie. Porwała mnie w objęcia, przyciskając do piersi tak silnie, że aż nos mi się splaszczył, co zauważyłem jednak później dopiero, gdy poczułem, że mnie boli. Nie mówiąc ani słowa, dostała z kieszeni kilka paczek ciastek, a do ręki dała mi woreczek z pieniędzmi. Uściskawszy mnie raz jeszcze, lecz nie mówiąc, jak już wspomniałem, ani słowa, zeskoczyła i odbiegła. Sądzę, że przy tej sposobności wszystkie guziki jej sukni popękały. Widziałem, jak się kilka toczyło po drodze, jeden zaś znalazłem w wózku i długo chowałem na pamięć.

Woźnica obejrzał się na mnie pytająco. Skłoniłem głowę.

– Jazda! – zawołał.

Wypłakawszy wszystkie łzy zacząłem rozmyślać, że płacz nie na wiele się przyda, zwłaszcza że, o ile przypominam sobie, ani Roderyk Random, ani żaden z kapitanów marynarki angielskiej, o których przygodach tyle się naczytałem, nie zwykli byli płakać, nawet w najtrudniejszych chwilach życia. Woźnica, widząc, że ostatecznie łzy otarł, zaproponował mi powieszenie mokrej chustki do nosa, dla szybszego wyschnięcia, na grzbiecie konia. Podziękowałem mu i zgodziłem się, dziwiąc się tylko, że moja rozpostarta chustka jest tak niewielka.

Teraz miałem dość czasu i przytomności umysłu, aby się przypatrzeć woreczkowi. Był on sztywny, skórzany, z zameczkiem i zawierał trzy błyszczące szylingi, które Peggotty, ku wielkiemu memu zadowoleniu, wyczyściła do połysku. Były tam nadto dwie półkorony, zawinięte w papier, na którym matka moja skreśliła własnoręcznie: „Dla mego kochanego Davy”. Rozrzewniło to mnie tak dalece, że prosiłem woźnicę o zdjęcie mej chustki do nosa z grzbietu konia. Nie usłuchał mnie jednak, twierdząc, że zdrowiej będzie wytrzeć oczy rękawem i nie płakać więcej.

Łkałem gwałtownie czas jakiś na wspomnienie przeżytych wrażeń, w końcu uspokoiwszy się spytałem woźnicę, czy zawiezie mnie aż do celu podróży.

– Do celu, gdzie? – spytał.

– Tam! – odrzekłem.

– Gdzie tam?

– Pod Londyn.

– Koń by mi padł na połowie drogi.

– Więc zawieziesz mię tylko do Yarmouth?

– Coś na kształt tego, aż do dyliżansu, a dyliżans powiezie aż tam...

Jak na siebie, pan Barkis – tak się zwał woźnica – powiedział wiele, gdyż, jak już zauważyłem, był powolny i na ogół małowówny. Ofiarowałem mu uprzejmie ciastko, pokłonałem go od razu niby słoń, bez najmniejszego wysiłku na twarzy.

– Czy to ona piekła?

– Pan ma zapewne na myśli Peggotty?

– Tak! – odrzekł mi na to.

– Tak, panie. To ona piecze nam ciasto i gotuje obiady.

– Piecze ciasto!

Wydął usta jak do gwizdania, nie zagwizdał jednak, tylko się wpatrzył w uszy swego konia, jak gdyby je po raz pierwszy widział. Po długim milczeniu mruknął:

– Bez słodkich zalecanek, co?

– Słodkich potraw – poprawiłem wyobrażając sobie, że mu ślinka ciecze do ust na wspomnienie przysmaków.

– Zalecanek – powtórzył – tak, kawalerów. Nikt z nią nie spaceruje? Co?

– Z Peggotty?

– A! Z nią!

— O, nie. Nie miała nigdy narzeczonego.

Znów wzdął usta jak do gwizdania, lecz nie gwizdał, tylko jak poprzednio zapatrzył się w swego konia.

— Piecze więc – ozwał się po długim namyśle – ciastka z jabłkami i zajmuje się gotowaniem?

Potwierdziłem.

– Dobrze! Powiem coś paniczowi. Czy panicz będzie do niej pisywał?

– Na pewno będę – odrzekłem.

– A! – rzekł odwracając się powoli ku mnie – pisząc, niech panicz nie zapomni dodać, że Barkis gotów. Dobrze?

– Gotów – pytałem – i nic więcej?

– Tak – rzekł zamyślony – tak, Barkis gotów.

– Ale pan wróci przecież jutro do Blunderstone – zauważyłem z żalem, że sam się odzalam – i może lepiej sam jej to powie.

Wstrząsnął przecząco głową i powtórzył: „Barkis gotów, oto wszystko”. Spełniłem dane mi zlecenie i tego jeszcze popołudnia, czekając w gospodzie w Yarmouth na odejście dylizansu, wystarałem się o atrament, pióro, ćwiartkę papieru i napisałem do Peggotty, co następuje:

Moja kochana Peggotty!

Dojechałem tu szczęśliwie. Barkis gotów. Ucałuj ode mnie mamę. Kochający Cię Davy.

P.S. Prosi, abym Cię upewnił, że zawsze „gotów”.

Odkąd podjąłem się wypełnić jego zlecenie, woźnica zamilkł i ja też wkrótce usnąłem na wózku. Spałem smacznie aż do Yarmouth i obudziłem się na dziedzińcu gospody, zawiadzony w słabej nadziei ujrzania tam kogokolwiek z rodziny Peggotty, a zwłaszcza małej Emilki.

Dylizans stał nie zaprzężony. Rozmyślałem, co się stanie z moim kuferkiem zdjętym z wózka Barkisa, jako też co pocznę z sobą w obcym i nieznanym miejscu, gdy przez okno, w którym wisiało ptactwo i półcie mi ęsa, wyrzała jakaś kobieta.

– Czy to panicz jedzie z Blunderstone?

– Tak, pani.

– Nazwisko?

– Copperfield.

– Nie to, nie mamy zamówionego pod tym nazwiskiem obiadu.

– Może jest pod nazwiskiem Murdstone? – spytałem nie śmiało.

– Ano tak. Czemu to, chłopcze, od razu nie mówisz swego nazwiska?

Wyjaśniłem rzecz tę kobiecie, która zadzwoniła na służącego, zalecając mu odprowadzić mnie do przeznaczonego mi pokoju.

Pokój ten był obszerny, podłużny, przybrany wiszącymi na ścianie mapami, wśród których czułem się, nie wiem czy nie bardziej zbłąkany, niż gdybym był w tych odległych krainach, które przedstawiały. Trzymając przed sobą kapelusz usiadłem na brzegu krzesła

tuż przy drzwiach i zdawało mi się, że popełniłem czyn bardzo zuchwały. Toteż musiałem zarumienić się po uszy, gdy służący rozesłał serwetę na stole, kładąc na niej parę sztuców. Po chwili przyniósł kotlety i nieco jarzyn i stawiał to na stole tak zamasy ście, że się bałem, czy go czymś nie obraziłem, i uspokoiłem się dopiero, gdy przemówił wesoło:

– Do stołu, panie wielkoludzie!

Podziękowałem mu uprzejmie, lecz nie umiałem sobie poradzić z widelcem i nożem, gdyż stojący przede mną służący onieśmielał mnie wielce. Rumieniłem się pod zwróconym na mnie jego spojrzeniem. Zaledwie połknąłem kilka kąsków, odezwał się:

– Jest tu jeszcze piwo dla panicza, czy mam nalać?

– Proszę.

Nalał w sporą szklankę, a podnosząc naprzeciw światła, roześmiał się.

– A czy nie za wiele to będzie?

– Zdaje mi się, że za wiele – odrzekłem z uśmiechem, zachwycony konceptami służącego, który mrużąc oczy, z wypryszczoną twarzą i sterczącymi włosami, wyprostowany, jedną ręką ujął się pod bok, drugą podnosił wysoko kufel i spoglądał tak życzliwie.

– Wczoraj mieliśmy tu pewnego gościa – począł – Topsawyer miał na nazwisko, może panicz go zna?

– Nie przypominam sobie.

– W spodniach, kamaszach, palto szare, kapelusz o szerokich brzegach, w pstrym krawacie.

– Nie mam przyjemności – wybełkotałem.

— Przyszedł, kazał sobie podać kufel tego piwa – ciągnął. – Nie ostrzegłem go, wypił i padł bez życia. Za mocne było dla niego.

Opowiadanie wywarło wrażenie. Poprosiłem o szklankę wody.

– Ale... to... – ciągnął służący – gospodarz nasz nie znosi, gdy mu odnoszą raz zamówione potrawy i trunki, obraża się. Wypiję tedy z pozwoleniem pańskim, mnie to nie zaszkodzi wcale, przyzwyczajony jestem, a przyzwyczajenie staje się drugą naturą, wychyłę duszkiem, można?

Upewniłem go, że bardzo będę wdzięczny, jeśli to uczyni, pod warunkiem, że mu ten trunek nie zaszkodzi. Zdjął mnie jednak strach niemały, gdy wychylał – duszkiem, jak mówił – kielich, a w wyobraźni mojej żywo zarysowała się scena padającego bez życia pana Topsawyera. Uspokoiłem się dopiero widząc, że na służącego trunek nie wywarł żadnych widocznych skutków. Owszem, zdawało mi się, że go pokrzepił.

– A co tu mamy? – zawołał sięgając widelcem do półmiska – kotlety?

– Kotlety – rzekłem.

– Na Boga! – wykrzyknął. – Nie miałem pojęcia, że to kotlety. Wyśmienity środek zapobiegający złym skutkom tego trunku! – Porwał kotlet za kostkę jedną ręką, a drugą ziemniaka, powtarzając tę czynność kilkakrotnie. Jadł z apetytem. Podając mi potem pudding zdawał się dumać nad czymś.

– Czy smakuje pieczone? – spytał.

– To jest pudding – odrzekłem.

– Pudding? A prawda! – zawołał przypatrując się z bliska – ale chyba nie z bitej śmietany.

– Owszem, z bitej.

– A to szczęście! Jest to właśnie ulubiona moja potrawa – zawołał porywając łyżkę – zobaczymy, kto z nas zje więcej.

Oczywiście, że zjadł więcej ode mnie, chociaż zabawiał mnie ciągle rozmową i zachęcał do jedzenia, lecz czymże była moja łyżeczka w porównaniu z jego wielką łyżką, moje kęski w porównaniu z jego kęsami. Jadł z szalonym apetytem, śmiejąc się przy tym ciągle.

Widząc go tak przyjacielskim ośmieliłem się poprosić o pióro, atrament i papier, aby napisać do Peggotty. Nie tylko przyniósł mi to chętnie, ale czekał, nim list ów napiszę. Gdy skończyłem, spytał mnie, gdzie jadę do szkół.

– Gdzieś niedaleko Londynu – odpowiedziałem.

– Szkoda – rzekł zasmucony – szkoda.

– Czemu?

– Och! – westchnął kręcąc głową. – To szkoła, gdzie łamią chłopcom żebra. Znałem jednego, co aż dwa miał zgruchotane, a małe to było dziecko. Nie przymierzaj ąc, ile lat paniczowi?

– Skończyłem osiem – odrzekłem.

– Właśnie jak tamten. Gdy miał osiem lat i sześć miesięcy, zgruchotali mu jedno żebro, a w dwa miesiące później – drugie.

Nie mogłem skryć przed sobą ani też przed służącym wrażenia, jakie na mnie opowiadanie to wywarło, ani wstrzymać się od pytania, jak mu te żebra zgruchotano.

– Batami – brzmiała straszliwa odpowiedź, która bynajmniej nie podniosła mnie na duchu.

Odgłos dzwonka dyliżansu przerwał dalszą rozmowę. Wstałem i, sięgając do kieszonki, nie bez pewnej chępliwości z powodu posiadanej sakiewki spytałem jąkając się, za co i ile mam zapłacić.

— Za ćwiartkę papieru – odrzekł służący i spytał zaraz, czy mi się zdarzyło kiedy kupować papier.

Nie przypominałem sobie.

– Kosztowny to artykuł – twierdził – zwłaszcza w pewnych okolicznościach. U nas cena ćwiartki – równe trzy pensy. Oto wszystko, nie licząc oczywiście fatygi. Atrament... aha, atrament... no, niech moje przepadnie.

– Wiele mam... wiele się należy za fatygę? – bełkotałem rumieniąc się po uszy.

– Gdybym nie miał rodziny – zawołał – i gdyby rodzina moja nie chorowała na ospę, nie wziąłbym ani pensa! Gdybym nie miał starego ojca i młodej siostry, nie wziąłbym nic, a gdybym był dobrze opłacany i karmiony, zamiast brać, sam jeszcze coś bym mógł ofiarować, lecz jadam czarny chleb i sypiam na węglach.

Rozpłakał się.

Współczułem jego niedoli, zdecydowałem, że nie mogę dać mu mniej niż dziewięć pensów. Podałem mu więc całego szylinga. Przyjął go z nieskończoną wdzięcznością i uniżonością, próbując przy tym jednak palcem dźwięku monety.

Wsiadając do dyliżansu czułem się upokorzony ciężącym na mnie posadzeniem, jakoby sam zjadł tak suty obiad. Ostrzegły mnie o tym słowa wyglądającej przez okno kobiety, która zleciła konduktorowi, by czuwał nad „chłopcem, żeby nie pękł”, jako też z żartów kuchennej dziewczki, która wybiegła przypatrzeć się mnie niby potworowi jakiemu. Służący nic a nic nie zawstydzony brał udział w ogólnym podziwianiu, co zachwiało nieco moje zaufanie, jakie żywiłem do dorosłych. Czułem całą niesprawiedliwość ciężącego na mnie posadzenia i bolesnych żartów, zamienianych pomiędzy konduktorem a woźnicą, gdy dyliżans z trudem ruszył z miejsca. Wiadomość też o moim fenomenalnym apetycie rozeszła się w mgnieniu oka między podróżnymi, którzy śmiejąc się zapytywali mnie, ile za mnie będą płacić w szkole, podwójną czy potrójną cenę. Najgorsze jednak było to, że czułem się głodny po lekkim obiedzie, a wstydziłem się jeść, kiedy się nadarzyła sposobność. Toteż cierpieć musiałem głód przez całą noc. Na dobitkę, w pośpiechu zapomniałem w gospodzie dane mi na drogę przez poczciwą Peggotty ciastka. Gdy dyliżans zatrzymał się na popasie, nie śmiałem się do wieczery, chociaż głód mi dokuczał dobrze. Usiadłem przed ogniem smutny, a dokoła żartowano ze mnie w najlepsze. Pan jakiś, czerwony i otyły, jedzący przez całą drogę i popijający bezustannie, zauważył ochryłym głosem,

zem podobny do boa przeżuwającego jednorazową ucztę; powiedziawszy to kazał podać sobie porcję wołowiny.

Wyjechaliśmy z Yarmouth o trzeciej po południu, a przybyliśmy do Londynu dopiero nazajutrz o ósmej rano. Było to pośród lata i wieczór był prześliczny. Przejeżdżając przez wioski wyobrażałem sobie, jak wyglądają wnętrza domów i ich mieszkańcy, a gdy chłopcy biegli za nami czepiając się kół dyliżansu, gubiłem się w domysłach, czy mają żyjących ojców i czy im dobrze w domu. Dużo też rozmyślałem o miejscu, ku któremu zmierzaliśmy, i strach mnie zdejmował wielki. Wracałem też, od czasu do czasu, wspomnieniami do domu, do Peggotty, a nie uspokojone sumienie stawiało mi pytanie, jaki byłem przed ukąszeniem pana Murdstone, a jaki jestem teraz? Zdawało mi się zresztą, że wypadek ten zdarzył się już dawno, bardzo dawno temu.

Noc w dyliżansie mniej była przyjemna od wieczoru. Siedziałem pomiędzy dwoma podróżnymi – jednym z nich był ów otyły jegomość – którzy śpiąc przygniatali mnie tak bardzo, że chwilami nie mogłem się powstrzymać od łez i cichego: „przepraszam”, które budząc sąsiadów moich wprawiało ich w najgorszy humor. Naprzeciw mnie siedziała wiewkowa dama otulona w futra, a w mroku podobna raczej do stogu siana niż do kobiety. Miała ona z sobą kosz, z którym nie mogła sobie poradzić, dopóki go nie ulokowała pod mymi, uznanymi przez nią za krótkie, nogami. Ugniatał on mnie i sprawiał największą niewygodę, a za każdym moim poruszeniem pobrzękiwały w koszu szkła jakieś, na co wiewkowa dama, szturchając mnie w nogi, nazwała „wiercipiętą” i broniła mi ruszać się.

Na koniec słońce wstało i sen moich towarzyszy stał się lżejszy. Przez noc całą sapali i chrapali na wszystkie tony. Teraz kolejno zaczęli się budzić, a uderzyło mnie mianowicie to, że każdy utrzymywał, iż nie spał wcale, i gniewał się, gdy twierdzono przeciwnie. Później zauważyłem niejednokrotnie, że wśród licznych słabości ludzkich jest i słabość (do której, nie wiem dlaczego, ludzie przyznają się niechętnie) spania w podróży.

Czym mi się Londyn wydał widziany z daleka i jak wierzyłem, że wszelkie przygody moich bohaterów ulubionych nadal się tam odgrywają i powtarzają, o tym mówić nie będę. Zbliżaliśmy się doń stopniowo od strony dzielnicy Whitechapel, gdzieśmy się zatrzymali.

Konduktor wysiadając z dyliżansu spojrzał na mnie i krzyknął głośno:

— Czy jest tu kto po małoletniego pasażera Murdstone, z miejscowości Blunderstone w Suffolk?

Nie było odpowiedzi.

– Spytaj pan: Copperfield – zauważyłem nieśmiało.

– Czy jest kto dla spotkania małoletniego zapisanego pod nazwiskiem Murdstone, z Blunderstone w Suffolk, który sam się mianuje Copperfieldem? – powtórzył donośnie konduktor.

Nie, nie było nikogo. Spoglądałem niespokojnie dokoła. Znalazł się tylko jakiś jednooki jegomość w kamaszach i ruszył konceptem, czy nie najstosowniej byłoby nałożyć mi naszyjnik z nazwiskiem i zaprowadzić do stajni. Przystawiono do dyliżansu drabinę, znalazłem się tuż za panią w futrach, podobną do kopy siana, oglądającą się na swój kosz. Wkrótce dyliżans opustoszał, wyniesiono bagaże. Odprężnięto konie, odciągnięto dyliżans. Po zakurzonego pasażera z Blunderstone w Suffolk nikt się nie zgłaszał.

Bardziej osamotniony od Robinsona Crusoe, którego opuszczenie nie miało przynajmniej świadków, wszedłem do gospody i na zaproszenie urzędnika przysiadłem na wadze do ważenia bagaży. Tu patrząc na paki, kosze, walizy oddałem się niewesołym rozmyśleniom, a mianowicie, co pocznę, jeśli się nikt po mnie nie zgłosi? Jak mi tu długo pozwolą pozostać za siedem szylingów, które posiadam? Czy noc spędzę w składzie wraz z innymi bagażami a z rana myć się będę na dziedzińcu pod pompą, czy też wyrzucą mnie stąd przed nocą i będę musiał czekać, aż z rana znowu otworzą stację dyliżansów. A kto wie, może to pan Murdstone ułożył tak dowcipnie plan pozbycia się mnie raz na zawsze. Jeśli pozwolą

mi tu pozostać, dopóki istnieć będą moje pieniądze środki, to może zatrzymają i dłużej, dopóki nie umrę z głodu. Narazi to wprawdzie urzędników dyliżansowej kompanii na kosztą pogrzebu, ale cóż robić. A gdybym tak spróbował wrócić pieszo do domu? Jak tu nie zabłądzić! A zwłaszcza czy mogę liczyć na czyjeś przyjazne przyjęcie... prócz Peggotty. Czy nie lepiej udać się wprost do władz i oświadczyć mą gotowość wstąpienia do służby wojskowej lub do marynarki? Tylko czy prośba tak drobnego chłopięcia zostanie uwzględniona?

Myśli te i tysiące innych, równie niewesołych, warem zlewały mi czoło, serce w pie rsiach drętwiało z niepokoju i nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby nie wszedł jakiś nieznaną jegomość. Porozmawiał chwilę z urzędnikiem, który zaraz potem zdjął mnie z wagi i oddał nowo przybyłemu, jak gdybym był zwykłym pakunkiem.

Wychodząc spojrzałem na mego przewodnika, który trzymał mnie za rękę. Był to chudy, wyblakły młodzieniec, z zapadłymi policzkami i włosami niemal tak czarnymi, jak panna Murdstone. Do tego się jednak ograniczało podobieństwo, gdyż brodę miał starannie ogoloną, a włosy nie lśniące, lecz zrudziałe i suche. Ubrany był też w czarną odzież spelzłą i wytartą, przykrótką i przyciasną, kołnierz zaś jego koszuli nie był pierwszorzędnej białości. Nie przypuszczałem wprawdzie, aby się na tym kołnierzyku kończyła jego bielizna, był to wszelako jedyny widoczny ślad takowej.

– Jesteś naszym nowym uczniem? – spytał.

– Tak, panie – odrzekłem, chociaż nie byłem tego zupełnie pewny.

– Jestem jednym z nauczycieli z Salem House – rzekł.

Ukloniłem się mu z uszanowaniem i tak dalece wydało mi się niestosownym wspominać o mym kufereku przed uczonym nauczycielem z Salem House, żeśmy odeszli spory kawał drogi, zanim ośmieliłem się napomknąć coś o tym. Na mą nieśmiałą uwagę, że kuferek może mi być potrzebny, wróciliśmy z powrotem. Pan nauczyciel oświadczył urzędnikowi, że po kuferek przyjdą w południe.

– Proszę pana – rzekłem, gdyśmy znów uszli spory kawał drogi – czy Salem House daleko?

– Tam za Blackheath – odrzekł.

– Czy to daleko? – spytałem raz jeszcze.

– Kawał drogi, będzie mil ze sześć, pojedziemy omnibusem.

Byłem tak zmęczony i osłabiony, że sama myśl zrobienia jeszcze sześciu mil drogi przerażała mnie. Ośmieliłem się wyznać, że nie miałem nic w ustach od dnia wczorajszego i że bardzo byłbym wdzięczny, jeśli mi pozwolił coś gdzieś przekazać. Propozycja moja zdziwiła go widocznie, gdyż przystanąwszy wpatrzył się we mnie bacznie i dopiero po chwili powiedział, że zna pewną staruszkę mieszkającą w pobliżu i że najlepiej będzie wstąpić do niej na szklankę mleka i kupić trochę chleba lub coś podobnego, byle coś zdrowego.

Zaszedliśmy do kramu piekarza, gdzie mnie nęciły różne przysmaki, na kupno których nauczyciel nie chciał pozwolić. Skończyło się na porcji czarnego chleba, za którą zapłaciłem trzy pensy. W drugim sklepiku kupiliśmy jajko i kawał żylastej szynki, wyciągnąłem drugiego z mych lśniących szylingów, a po otrzymaniu sporej reszty podziwiałem taniość życia w Londynie. Tymczasem weszliśmy w ulice pełne gwaru i hałasu i doszliśmy do wielkiego mostu, którego nazwę mi nauczyciel powiedział, lecz byłem odurzony i na wpół senny. Wreszcie stanęliśmy przed nędznym domostwem – przytułkiem dla ubogich, jak się o tym dowiedziałem z napisu umieszczonego nad bramą. Przytułek ów był założony dla dwudziestu pięciu ubogich kobiet, jak brzmiał napis.

Nauczyciel nacisnął klamkę drzwi pomalowanych na czarno i weszliśmy do izdebki jednej z owych dwudziestu pięciu ubogich kobiet, która właśnie rozniecała ogień na ko-

minku. Na widok nauczyciela staruszka opuściła miech mruczając coś, jak „mój Karolku”, lecz dostrzegłszy mnie zamilkła i spiesznie pochyliła się w ukłonie.

– Prosiłbym o ugotowanie śniadania temu młodzieńcowi – ozwał się nauczyciel.

– Zapewne, natychmiast – odrzekła staruszka.

– Jak zdrowie pani Fibbitson? – pytał nauczyciel spoglądając na drugą kobietę, otuloną szalami i siedzącą w głębokim fotelu przy kominku.

– O! Żle, bardzo źle – utyskiwała staruszka. – Pewna jestem, że gdyby ogień zagaś, zgasłaby też niebawem.

Oboje patrzyli na nią i ja za nimi. Chociaż dzień był gorący, pani Fibbitson myślała widocznie tylko o ogniu i zdawała się zazdrościć stojącemu na nim rondelkowi. Zrozumiała zapewne, że jajko gotujące się w nim było moją własnością, gdyż korzystając z odwróconej uwagi nauczyciela i staruszki wyciągnęła ku mnie wskazujący palec. Słońce wpadało wprawdzie przez okno, lecz, odwrócona do niego plecami, wpatrywała się tylko w kominek i roześmiała się głośno, chociaż bynajmniej nie melodyjnie, gdy podsycany ogień wybuchnął żywiej.

Usiadłem do mego jajka, chleba, szynki i mleka i zjadałem w najlepsze, a tymczasem staruszka ozwała się do nauczyciela:

– Czy flet przyniesiony?

– Przyniesiony – odrzekł.

– Warto by spróbować – zauważyła staruszka. Nauczyciel sięgnął ręką za surdut i wydobyl flet w trzech częściach, które natychmiast złożył. Teraz jeszcze myślę, że nikt chyba na świecie nie grał gorzej od niego. Z fletu wydobywał najostrejsze tony, jakie kiedykolwiek słyszałem. Nie wiem już, co grał, wiem tylko, że muzyka ta rozbudziła wszystkie moje żale i do łez pobudziła, odjęła mi apetyt i w końcu mnie uśpiła. Oczy mi się kleiły, kiwałem się tam i z powrotem na krzesła i pomału izdebka, komin, otwarta w kącie szafa, nieliczne twarde krzesła, schody wiodące do izdebki na poddaszu i trzy pawie pióra zatknięte nad kominkiem (podziwiałem je zrazu, pytając siebie, co paw myślałby, gdyby wiedział, do czego służyć będą jego ozdoby) – wszystko to znikło mi z oczu – zasnąłem. Nie słyszałem też fletu, a natomiast śniło mi się, że jestem w dyliżansie, którego targnięcie zbudziło mnie nagle. Otworzyłem szeroko oczy. Nauczyciel siedział z żoną, jedna na drugą nogami i grał spokojnie, a obie staruszki słuchały zachwycone. I to mi wkrótce znikło z oczu, flet, nauczyciel, staruszki, Salem House, sam nawet Dawid Copperfield, wszystko to zmaszał głęboki sen.

Śniło mi się (myślałem, że to sen), że nauczyciel przygrywał na flecie, a staruszka w zachwycie zbliżała się do niego coraz bardziej, pochylała się nad nim coraz bliżej, aż ujęła go za szyję i ucałowała, co naturalnie przerwało grę. Musiałem pozostawać między snem a czuwaniem, gdyż istotnie nastąpiła przerwa w grze nauczyciela, a kiedy począł znów dąć w flet, słyszałem wyraźnie staruszkę mówiącą do pani Fibbitson: „A co? Przecudnie”, na co ta ostatnia odpowiedziała: „Oj, tak, tak” kiwając zwróconą do ognia głową.

Z drzemki wyrwał mnie ostatecznie nauczyciel, który zło żywszy i schowawszy flet za surdut wywiódł mnie z izdebki. Wkrótce wsiedliśmy do omnibusu, gdzie zasnąłem znowu, mając niejasne pojęcie o drodze wśród pól zielonych, którąśmy jechali. Zbudziłem się dopiero, gdy omnibus zatrzymał się w pobliżu, jak się domyślałem, celu naszej podróży. Po przejściu kilkuset kroków stanęliśmy przed zakładem Salem House. Ponury ten budynek otoczony był murem z cegły, a nad wejściem widniała tablica z napisem „Salem House”.

Za uderzeniem dzwonka ukazała się w zakratowanym okienku głowa, która przy otwarciu drzwi okazała się własnością silnego mężczyzny z szyją buhaja, drewnianą nogą, obwiązanym czołem i krótko przystrzyżonymi włosami.

– Nowy uczeń – rzekł nauczyciel.

Mężczyzna na szcudle obejrzał mnie, co mu wiele czasu nie zabrało, wpuścił nas, po czym zamknął bramę i wyciągnął klucz. Szliśmy już pomiędzy drzewami, gdy krzyknął za nami:

– Stój!

Zatrzymaliśmy się. Stał z parą butów w ręku na progu zamieszkiwanej przezeń izdebki przy bramie.

– W czasie nieobecności pańskiej, panie Mell – wołał – przychodził tu ten partacz i kazał powiedzieć panu, że nie może już ich załatać! Nie ma tu już ani kawałka dawnej skóry.

Mówiąc to rzucił buty za panem Mell, który cofnął się o kilka kroków dla podjęcia obuwia, po czym zaczął bacznie przypatrywać się butom. Zauważyłem przy tym, że i te, które miał na nogach, wyglądały niewiele lepiej.

Salem House był to budynek ciężki, kwadratowy, ze skrzydłami, wygląd miał pusty i ogołocony. Panowała tu taka cisza, że spytałem pana Mell, czy uczniowie są w szkole? Odpowiedział mi ze zdziwieniem, że jest to czas wakacji i że uczniowie rozjechali się do swych domów. Pan Creakle zaś, właściciel i przełożony szkoły, bawi z żoną i córką nad morzem, mnie przysłano tu w czasie wakacji za karę. Wszystko to objaśnił mi wiodąc do głównego budynku.

Klasa, do której weszliśmy, wydała mi się niezmiernie smutna i ponura. Była to wielka, długa sala z trzema rzędami ławek i pulpitów, z hakami do wieszania kapeluszy i tabliczek. Na brudnej podłodze walały się skrawki papieru, a na stołach papierowe pudełka dla jedwabników. Parę białych myszek, opuszczonych przez swych właścicieli, biegało w klatkach z drutu i tektury, próżno szukając pożywienia. Ptaszek zamknięty w niewiele od siebie większej klatce trzepotał gwałtownie skrzydłami, wskakując i zeskakując z pręcika, nie śpiewał jednak wcale. W sali tej czuć było zapach stęchlizny, kurzu i zbutwiałych książek; tyle było zaś tu śladów po atramencie, jak gdyby sala nie posiadała sufitu i dachu, a niebiosami zamiast deszczu, gradu, śniegu zsyłały tu atramentowe ulewy.

Oglądałem to wszystko, pozostawiony w klasie przez pana Mell, który poszedł zanieść na górę swe nie połatanе obuwie. Rozglądając się dostrzegłem tekturową tabliczkę ozdobioną doskonałym kaligraficznym napisem: Uwaga, kasa!

Odskoczyłem wyobrażając sobie, że pod stołem siedzi wściekle jakieś psisko. Nie mogąc jednak dojrzeć go gubiłem się w domysłach, gdy nadszedł pan Mell pytając mnie, co porabiam?

– Szukam tego psa – odrzekłem.

– Psa? Jakiego psa?

– *A tego.*

– Jakiego?

– Którego trzeba się strzec, bo kasa.

– Mylisz się, Copperfieldzie – rzekł pan Mell z powagą – to nie jest pies, tylko chłopczyk. Zlecono mi właśnie zawiesić ci na plecach tę tabliczkę. Przykro mi jest ogromnie, lecz muszę zlecenia dokonać.

Mówiąc to zawiesił mi na plecach ową tabliczkę, którą odtąd wszędzie musiałem za sobą dźwigać. Jak upokorzony się czułem, ile cierpiałem, nie potrafię wyrazić. Czy byłem, czy nie na oczach ludzkich, ciągle wyobrażałem sobie, że ktoś czyta ów napis, i próżno obracałem się niespokojny na wszystkie strony – uciec od prześladowającej mnie zmyśli nie mogłem. Ów pedel czy stróż na szcudle powiększał jeszcze mą niedolę, gdyż jeśli tylko oparłem się o drzewo, o ścianę, wyskakiwał ze swej nory przy bramie wołając:

– Panie! Hola! Copperfieldzie, proszę się nie kryć, bo doniosę.

Ogród był zresztą otwarty, wychodziły nań tyły domu i budynki gospodarskie, wiedziałem, że służący, kucharka, piekarz, zgoła każdy, kto wchodził na teren szkoły, czytał

wiszące na mym karku ostrzeżenie i dowiadywał się, że kąsam. Nabierałem wstrętu do samego siebie. Stawałem się istotnie na poły dzikim, zdolnym kąsać dzieckiem.

Na bramie ogrodowej uczniowie mieli widać zwyczaj wyrzynania i wypisywania swoich nazwisk. Czytając je drżałem na samą myśl o powrocie z wakacji przyszłych moich kolegów, powtarzając sobie za każdym nowym nazwiskiem: „I ten przeczyta: Uwaga, kąsa!” Było zwłaszcza kilkakrotnie i głębiej od innych wyryte nazwisko niejakiego J. Steerforth. Wyobrażałem sobie, jak grubym przeczyta to głosem i jak mnie potem wytarga za włosy. Znowu niejaki Tom Traddles, pewien byłem, iż będzie się natrząsał udając, że się mnie boi, a G. Demple wyśpiewa to na wszystkie tony. Widziałem siebie: biedną, drobną istotkę, chłostaną wzrokiem i śmiechem wszystkich tych chłopaków – pan Mell mówił mi, że było ich w szkole aż czterdziestu pięciu – gonioną precz do więzienia, z wrzaskiem jednobrzmiennym: „Uwaga, kąsa!”

Podobne niepokoje i męki budził we mnie widok pustych ławek, pulpitów i pustych sypialni. We dnie i w nocy nie miałem spokoju. Śniło mi się czasem, że jestem z moją matką lub że się udaję do pana Peggotty, spotykam Emilkę, jadę dyliżansem, jem obiad w towarzystwie służącego w gospodzie, lecz zawsze, zawsze kończyło się na tym, że każdy z nich cofał się spostrzegłszy wywieszony na moich plecach napis.

Samotność, na jaką byłem skazany w pustej w czasie wakacyjnym szkole, zdwajała jeszcze te tortury. Codziennie przy tym miewałem lekcje z panem Mell. Szły mi dobrze, gdyż nie było przy mnie pana i panny Murdstone. Po lekcjach przechadzałem się po ogrodzie, strzeżony przez stróża z drewnianą nogą. Jak dobrze pamiętam wilgoć pustego domostwa, zapleśniałe kamienie dziedzińca, studnię, bladą zielenią rzadkich drzew tak wyblakłą, że zdawała się być skąpiana w rześszych niż kiedykolwiek indziej dżdżach, nie dotkniętą żadnym, bodaj nikłym promieniem słońca. Punktualnie o pierwszej siadaliśmy we dwóch z panem Mell do stołu w ogromnej, pustej komnacie, przepojonej zapachem tłuszczu. Po obiedzie odbywaliśmy lekcje aż do herbaty, którą o szóstej pan Mell pijał w błękitnej fajansowej filiżance, ja zaś w kubku. Przez dzień cały pan Mell, siedząc za stołem, pracował nad rachunkami, jak się potem dowiedziałem, z minionego półrocza. Wieczorem grywał na flecie z zapałem i jak zwykle fałszywie.

We wspomnieniach widzę moją drobną postać siedzącą w mrocznej sali, z głową opartą na rękę, nad kajetem lub książką – zasłuchaną w muzykę pana Mell. Po lekcjach widzę znowu siebie jako cierpliwego słuchacza jego muzykalnych popisów, marzącego jednocześnie smętnie o domu, matce lub o łodzi pana Peggotty w Yarmouth. Widzę puste sypialnie i drobną mą osobę płaczącą cicho w łóżku z tęsknoty za pieszczotą i ciepłym słówkiem Peggotty. Z rana spoglądając przez otwarte okno na dzwon wiszący u bramy i na chorągiewkę na dachu kręcącą się w kierunku wiatru, drżałem na myśl, że wśród pustych ścian zjawi się J. Steerforth z towarzyszami i stróż na szcudle otworzy wrota samemu panu Creakle. Bałem się nie tych nieznanomych, lecz wiszącej na moich plecach tabliczki, którą nieznajomi ci zaraz na wstępie przeczytać mieli.

Pan Mell był małomówny, lecz łagodnie się ze mną obchodził. W milczeniu dotrzywaliśmy sobie wzajemnie towarzystwa. Zapomniałem zanotować, że były chwile, w których ten małomówny człowiek mówił sam do siebie, mruczał, zaciskał pięści, zgrzytał zębami i targał się za włosy. Lękałem się tego z początku, wkrótce jednak przywykłem do jego dziwactw.

Rozdział VI

Rozszerzam krąg mych znajomości

Od miesiąca wiodłem mniej więcej podobną egzystencję, gdy stróż o szczudle zaczął się uwijać ze szczotką, ścierkami i wodą po całym domostwie, co niewątpliwie zwiastowało bliskie zjawienie się pana Creakle i uczniów. Mieściliśmy się z panem Mell, jak mogliśmy, po kątach, zmykając przed szczotką, wodą, dwoma czy trzema kobietami szorującymi podłogi, ławki, stoły, i tumanami kurzu przepelniającymi Salem House.

Pewnego poranku pan Mell oznajmił mi, że pan Creakle oczekiwany jest tegoż dnia; istotnie przybył pod wieczór, a po podwieczorku stróż na szczudle zawezwał mnie do niego.

Część domu, którą wraz z rodziną swą zamieszkiwał, była o wiele wygodniejsza i wytworniejsza od przeznaczonej dla uczniów. Ogródek, na który wychodziły okna jego mieszkania, nie był tak wyschnięty i opuszczony, jak nasz dziedziniec, gdzie wielbłąd lub dromader czułoby się jak w domu. Dziwię się zresztą, żem przechodząc zdołał jednak zauważyć to wszystko, gdy sama myśl o stawieniu się przed obliczem pana Creakle napełniała mnie takim strachem, że wprowadzony do jego gabinetu nie spostrzegłem obecnych tam pani ani panny Creakle, tylko samego pana, tegoż mężczyznę z niezliczoną ilością breloków przy łańcuszku od zegarka, siedzącego w fotelu przy stole, na którym stał kielich i butelka.

– Hm – mruknął – to jest ten młodzieniec, którego ząbki mają być przypilowane. Proszę go odwrócić.

Stróż obrócił mnie, a zostawiwszy panu Creakle dość czasu na przeczytanie gniotącego mi barki napisu, obrócił mnie znów twarzą do pana Creakle. Właściciel Salem House miał dumny wyraz twarzy, oczy małe i głęboko osadzone, czoło pomarszczone, nos nieduży, potężny kark, łysy był przy tym, jeśli nie liczyć pasma szpakowatych włosów szesanych na skronie. Najbardziej jednak uderzyło mnie to, że zdawał się być pozbawiony głosu; mówił cicho, z widocznym wysiłkiem. Musiało go to gniewać, gdy z czoła mu się przy lada ust poruszeniu marszczyło jeszcze bardziej.

– Coście w nim zauważyli? – spytał stróża wskazując na mnie.

– Dotąd nic szczególnego – odrzekł zagadniony – nie było sposobności. – Nie podobało się to widocznie panu Creakle, lecz natomiast musiało się podobać pani i pannie Creakle, obu szczupłym kobietom, na które ośmieliłem się podnieść swój wzrok.

– Bliżej, chłopcze – skinął na mnie pan Creakle.

– Bliżej – zakomenderował człowiek o drewnianej nodze.

– Mam zaszczyt – biorąc mię za ucho mówił pan Creakle – znać twego ojczyma. Człowiek to wielce zacny, obdarzony niepospolitym hartem duszy. Znamy się z sobą dobrze; a czy ty znasz mnie? – i uszczypnął mnie żartobliwie, lecz boleśnie w ucho.

– Jeszcze nie, panie – wyjąkałem.

– Jeszcze nie! Ha! Poznamy się prędko.

– Prędko – powtórzył pedel, który, jak się przekonałem potem, był pośrednikiem pomiędzy panem Creakle i uczniami.

Umierając ze strachu i czując, jak mię pali ustawicznie przez pana Creakle targane ucho, zapewniałem, że nie wątpię, iż się poznamy.

– Powiem ci od razu, kim jestem – ciągnął puszczając wreszcie moje ucho. – Jestem Rzymianinem.

– Rzymianinem – potwierdził kulawy pedel.

– Słowa dotrzymuję, a kiedy raz coś powiem, to już musi być to co do joty spełnione.

– Musi być wypełnione...

– Woli mojej nikt nie śmie się sprzeciwić. Obowiązek przede wszystkim, przede wszystkim. Wyrzeknę się – tu spojrzął na żonę – własnej krwi, jeśliby mi się śmiała sprzeciwić.

Tu zwrócił się do pedla z pytaniem:

– Czy był z powrotem ten chłopak?

– Nie był.

– Nie był, wie, z kim ma do czynienia, przeczul. Niech mi się nie nawija pod rękę – tu spojrzął znów na żonę – bo mu się dam we znaki. Teraz wiesz już, mój mały, z kim masz do czynienia, możesz odejść.

Ucieszyło mnie to pozwolenie, tym bardziej że pani i panna Creakle ocierały łzy, co budziło me współczucie. Miałem jednak pewną prośbę, toteż ośmieliłem się przemówić.

– Panie...

Odwrócił się, spojrzął piorunująco.

– Panie – mówiłem drżąc cały – gdyby tak można było... No, zanim uczniowie zjadą się, zdjąć mi z pleców ten, ten... zapewniam pana, że żałuję... że się poprawię... poprawiłem.

Czy to w pośpiechu, czy po to, aby mnie przestraszyć, pan Creakle porwał się z fotela tak, że nie czekając skutku mej prośby i wyprzedziwszy pedla drapnąłem aż do sypialni, gdzie nie doczekawszy się pogoni położyłem się, lecz minęło dobre dwie godziny, zanim się uspokoiłem i zdołałem zasnąć.

Nazajutrz rano zjawił się pan Sharp, starszy nauczyciel, którego tylko pomocnikiem był pan Mell. Ten ostatni jadał z uczniami, podczas gdy tamten dopuszczony był do stołu s a-mego pryncypała. Pamiętam go jako małego, szczupłego człowieka, z wielkim nosem i przechyloną na jedno ramię głową, co robiło wrażenie, jak gdyby mu ona ciążyła. Włosy miał miękkie i kędzierzawe. Z czasem dowiedziałem się od jednego z kolegów, że była to peruczka, licha zresztą, którą co niedziela kazał fryzować.

Informacji tych udzielił mi Tommy Traddles, który pierwszy powrócił z wakacji. Przedstawił mi się jako ten, którego imię wyryte stoi na bramie ogrodu po prawej stronie, pierwsze z góry – na co powiedziałem mu: „Traddles!” i znajomość została zawiązana. Było to dla mnie prawdziwym szczęściem, że się pierwszy zjawił w szkole. Wywieszony na mych plecach napis zabawił go nieskończenie, toteż oszczędził mi wstydlivego krycia się uprzedzając każdego z przybywających towarzyszy, że jest nowy „figiel”. Wszyscy zresztą wracając z wakacji do szkoły byli bez humoru i o wiele mniej skłonni do natrząsania się ze mnie, niż się tego spodziewałem. Niektórzy wprawdzie otaczali mnie kołem, skacząc i wyjąc niby banda dzikich Indian, podczas gdy inni nie mogąc się oprzeć pokusie traktowania mnie jak psa wołali: „Pójdź, Towzer, do nogi”, co mnie bolało wprawdzie, ale na ogół jednak cała sprawa w rzeczywistości nie była tak straszna, jak przewidywałem. Jednakże aż do przyjazdu J. Steerforth'a nie zostałem wtajemniczony i wciągnięty do bractwa koleżeńskiego. Gdy przybyła ta przystojna, zdolna, jak mówiono, i o kilka lat starsza ode mnie osobistość, stawić się przed nim musiałem jak przed sędzią. Rozpytywał mnie o wszystkie szczegóły wypadku, którego widoczne następstwa dźwigałem na plecach, a wybadawszy mnie należycie raczył oświadczyć, że była to „dobra sztuka”, za co mu nieskończenie byłem wdzięczny.

– Wiele masz pieniędzy? – zaczął biorąc mnie pod swą opiekę i spacerując ze mną po dziedzińcu.

Powiedziałem mu, że mam aż siedem szylingów.

– Oddałbyś je mnie na schowanie – zdecydował – naturalnie, je śli ci się to podoba, je śli nie, możesz sam je sobie schować.

Naturalnie przystałem na tę uprzejmą i przyjacielską propozycję wręczając mu całą zawartość danego mi przez Peggotty woreczka.

– Czy chciałbyś kupić coś teraz? – spytał.

– Nie, dziękuję! – odpowiedziałem.

– Jeśli ci czego potrzeba, piśnij tylko słówko.

– Nie, dziękuję panu.

– Może byś chciał wydać parę szylingów na buteleczkę wina porzeczkowego, którą wysuszylibyśmy w sypialni – i dodał: – Będziemy, słyszę, sypiać w tym samym pokoju.

Nie pomyślałem o tym przedtem, zgodziłem się więc chętnie na propozycję.

— Wybornie! A czy nie warto by kupić i nieco ciastek z migdałami?

Zgodziłem się i na to.

– Trochę sucharków i owoców także. Wyniesie to też parę szylingów. Co ty, mały, na to?

Uśmiechałem się, gdyż i Steerforth się uśmiechał. Czuję się jednak jakoś nieswojo.

– Wybornie! – zawołał – musimy cię naciągnąć, ile się da. Licz na mnie. Mogę wychodzić, ile mi się podoba, i podejmuję się dostarczyć żywność do fortecy.

Mówiąc to schował moje pieniądze do własnej kieszeni uspokajając, że wszystko dobrze pójdzie.

Dotrzymał słowa. Wyrzucałem sobie wprawdzie, że trwonię dane mi przez matkę pieniądze, ale pocieszałem się, że przynajmniej schował kawałek papieru, w który były zawinięte. Gdyśmy się wieczorem zeszli w sypialni, Steerforth rozłożył na mej kołdrze, w świetle księżycowych promieni, całą ucztę, którą nazwał „królewską”.

Nie czując się na siłach, by czynić honory, prosiłem go, aby uczynił to za mnie, na co raczył się łaskawie zgodzić i siedząc na moich poduszkach rozdzielając żywność i wino między mnie, będącym jego własnością kieliszkiem. Co do mnie, siedziałem po lewej jego stronie, inni zaś chłopcy posiadali, jak mogli, na ziemi i pobliskich łózkach.

Jakże żywo pamiętam tę noc, ciche nasze szepty (prawdę mówiąc, inni mówili, ja słuchałem), promień księżycy wpadający przez okno i oświetlający część pokoju, gdy całość nurzała się w cieniu, od czasu do czasu rozświetlonym fosforycznym światłem zapałki, kiedy Steerforth szukał czegoś dokoła siebie. Ogarnia mnie na powrót tajemniczy nastrój na wspomnienie owych ciemności, ucztę spożywaną ukradkiem, rozmów szeptem, których słuchałem, jakby to było coś uroczystego, i uczucia radości, że mam tuż obok siebie towarzyszy, lęku (choć wtórowałem ogólnemu śmiechowi), gdy Traddles utrzymywał, że dostrzegł w kącie ducha.

Dowiedziałem się przy tej sposobności tysiąca szczegółów dotyczących szkoły. Dowiedziałem się, że pan Creakle słusznie nazywa siebie „Rzymianinem”; był to najsroższy z przełożonych i na kształt kartacza rozbijał uczniów. Był zresztą nieukiem, umiejącym tylko bić (jak utrzymywał Steerforth); hodowcą chmielu, który dopiero po zbankrutowaniu na tym chmielowym interesie i po roztrwonieniu funduszu żony umyślił otworzyć szkołę. Nasłuchałem się wielu takich i tym podobnych rzeczy, dziwiąc się tylko, skąd o tym wszystkim towarzysze moi tak dokładnie mogli wiedzieć.

Dowiedziałem się, że pedel na szczydle, który nazywał się Tungay, był barbarzyńcą dopomagającym niegdyś panu Creakle w jego chmielowych sprawach, uważanym przez uczniów za zaprzędaną mu duszę. Nogę stracił zapewne służąc przełożonemu w nieczystych jakichś interesach i znał tajemnice życia pana Creakle. Z wyjątkiem tego ostatniego

Tungay uważał szkołę całą, uczniów i nauczycieli za naturalnych swych wrogów i najmiłszą jego rozrywką było płatanie im figli. Dowiedziałem się, że pan Creakle ma syna jednynaka, który, że nie należał do liczby przyjaciół pedla, a ojcu odważył się stawić opór i robić uwagi z powodu zbyt srogiemu obchodzenia się tak z uczniami, jak i z żoną, został wypędzony z rodzicielskiego domu, co było przyczyną ustawicznego smutku jego matki i siostry.

Lecz w tym wszystkim, co mi o przełożonym opowiadano, najbardziej zdziwiło mnie to, że był w szkole ktoś, nad kim nigdy nie zaciążyła jego prawica. Tym wyjątkiem był nikt inny tylko Steerforth. Ten ostatni potwierdził ów zdumiewający fakt, dodając, że tego by tylko brakowało. Gdy któryś z mniej dziarskich malców spytał go, co by jednak w danym razie począł, to oświadczył zapalając dla silniejszego zapewne efektu zapałkę, że położyłby przełożonego na miejscu uderzeniem wielkiego kałamarza stojącego w klasie na kominku. Wstrzymując dech w piersiach siedzieliśmy czas jakiś w ciemnościach.

Dowiedziałem się, że tak pan Sharp, jak pan Mell nędznie byli wynagradzani, a pan Sharp u stołu pana domu dostawał same niedogryzki, że mu jego peruka wcale nie do twarzy i że nie powinien się nią chwalić, bo i tak dobrze widać z tyłu jego własne rude włosy.

Dowiedziałem się, że jeden z uczniów, syn handlarza węglem, uczył się w zamian za dostarczanie tego artykułu, czemu zawdzięczał przydomek „handel zamienny”; że podle piwo było okradaniem rodziców, a pudding czymś słowem. Dowiedziałem się, że panna Creakle kocha się na zabój w Steerforcie, w co od razu uwierzyłem przypominając sobie, gdym siedział w ciemnościach, jego piękną twarz, falujące włosy, wytworne maniery, i wsłuchując się w jego melodyjny głos. Dowiedziałem się, że pan Mell to w gruncie rzeczy poczciwy chłopak, a goły jak święty turecki, syn żebraczki czy kogoś w tym rodzaju. Przypomniało mi się śniadanie w izdebce przytułku, staruszka, której się wyrwało: „mój Karolek”. Szczęściem, zatrzymałem tym razem język za zębami.

Na podobnych gawędkach czas zszedł nam szybko, a większa część zaproszonych gości usnęła zaraz po uczcie. Rozmawialiśmy po cichu, dopóki sen i nas nie przemógł.

– Dobranoc, Copperfieldzie – ozwał się Steerforth – licz na mnie.

– Dziękuję – odrzekłem z niekłamaną wdzięcznością – zobowiązuje mnie to nieskończenie.

– Czy masz siostrę – spytał poziewając – co?

– Nie, nie mam siostry.

– Szkoda. Byłaby pewnie ładną, nieśmiałą, jasnooką dziewczyną, chciałbym ją znać.

Dobranoc.

– Dobrej nocy! – odrzekłem.

Położywszy się długo jeszcze myślałem o nim i podnosząc się na posłaniu przypatrywałem mu się, jak leżał pod smugą księżyca, z piękną głową opartą na ramieniu. Wyobrażałem go sobie jako wyższą, potężną istotę i to podziałać musiało na rozbudzenie mojej wyobraźni. Rąbka zasłony przyszłości nie uchylił żaden promień księżyca i cień jej nie padł na kwieciste łąny, po których noc całą w śnie stapałem.

Rozdział VII

Pierwsze szkolne półrocze

Lekcje rozpoczęły się dnia następnego. Silne, pamiętam, wrażenie wywarła na mnie nagła cisza, jaka zapanowała w klasie, gdy po śniadaniu drzwi się rozwarły i ukazała się w nich postać pana Creakle, podobna do ludożercy przyglądającego się swym więźniom.

Pedel Tungay stał tuż za nim. Nie miał sposobności, by wrzasnąć w tej chwili: „Cicho!”, gdyż panowała największa, jak to już mówiłem, cisza.

Usta pana Creakle poruszały się wprawdzie, lecz słyszeliśmy tylko głos pedla.

– Rozpoczynamy nowe półrocze, słyszeliście, nowe. Pamiętajcie, abyście się dobrze uczyli, bo zaczerpnąłem nowy zapas sił i nie cofnę się, o, nie! Próżno byście się szorowali, nie zetrzecie znaków, jakie wam wypiszę na plecach! A teraz do roboty!

Po tej przemowie i po wyjściu pedla pan Creakle zbliżywszy się do mnie oznajmił mi wygasłym głosem, że jeśli ja umiem kasać, to on umie smagać, a pokazując mi swój kij pytał, czy chciałbym dostać się na taki ząb! – Zastąpić to z biedą może całe szeregi zębów, co? Może chciałbyś spróbować, co? Ząb za ząb? – pytał.

Za każdym słowem uderzał mnie i wkrótce twarz moja zalana była łzami.

Nie stanowiłem zresztą wyjątku, tylko że ode mnie zaczęła się egzekucja, której podlegała większość uczniów. Zanim pan Creakle obszedł dokoła klasę i lekcje się rozpoczęły, wszyscyśmy mniej więcej szlochali, do jakich zaś to doszło rozmiarów pod koniec dnia, obliczać nie chcę, bojąc się, aby mnie nie posądzono o przesadę.

Wątpię, czy istniał kiedykolwiek człowiek, który spełniał zadanie swe z większym od pana Creakle zacięciem. Z zapałem zadowalniającego apetyt smakosza rozdzielał razy pomiędzy powierzonych swej pieczy chłopców. Szczególniejszy zdawał się czuć pociąg do puciołowatych. Dopóty nie zaznał spokoju, dopóki ich nie ozdobił sińcami. Na moją niedolę byłem puciołowaty, lecz dziś, gdy myślę o tym wszystkim, oburzam się zupełnie bezinteresownie i tak, jak gdybym był świadkiem tylko, nie zaś ofiarą jego okrucieństw. Dziś wiem, że do zajmowanego przez się stanowiska wychowawcy nie więcej bydlę to miało prawa, jak do tego, aby być Lordem Admiralem lub Głównodowodzącym. Na obu zaś wyżej wymienionych stanowiskach byłby może mniej szkodliwy niż na przez się zajmowanym.

Jakże gardził on i pomijał zastępem małych, słabych swych niewolników! Bez śmiechu wspomnieć dziś nie mogę wrażenia, jakie osobistość ta wywierała na nas. Widzę samego siebie na szkolnej ławie, wpatzonego w bezsumienne to bożyszcze, znęcające się nad swymi ofiarami. Widzę stojącego przed nim ucznia, wycierającego chustką do nosa ręce obrzmiałe od jego razów. Oczu nie mogłem oderwać od tyrana, miotany ciągłym strachem i obliczaniem, kiedy na mnie przyjdzie kolej na nieuniknioną kaźnię. Widzę drobnych moich towarzyszy, wpatrzonych w niego z podobnym wyrazem trwogi. Widzę okrutny grymas jego ust, gdy miał w rękę kajety, spojrzenie, pod którym pochylaliśmy głowy drżąc nad książkami, aby po chwili znów śledzić go wystraszoną wzrokiem. Nieszczęsny ten spośród nas, co pochwycony na lada jakiej omyłce wywołany został z szeregów. Próżno w nieśmiało i pokorne uderzał zapewnienia, że się będzie starał poprawić. Pan Creakle, zanim go bić poczynał, naigrawał się i natrząsał z niego, a my jak złe psiaki śmieliśmy się nikczemnie, choć dusze mieliśmy w piętach i pobladłe ze strachu twarze.

Pamiętam jedno ciężkie, gorące, letnie popołudnie. W klasie huczało tak, jak gdyby wszyscy uczniowie zmienili się w chrabąszcze; obiad, po którym pozostało mi wspomnienie ciepłego mięsnego tłuszczu, zjedliśmy przed godziną i głowa mi ciążyła, upadałem z senności; otwierając szeroko oświatałe oczy wpatrywałem się w pana Creakle poprawiającego kajety, musiałem się zdrzemnąć i nie spostrzegłem, jak się zbliżył do mnie. Zbudziła mnie dopiero bolesna i czerwona pręga na mych plecach.

Nawet w godzinach wolnych od nauki, chociaż traciliśmy go z oczu, nie przestawał być obecny w naszych myślach. Okno, przy którym zwykł był obiadować, pozostawało otwarte i pociągało wzrok mój bezustannie. Gdy tylko ukazywała się w nim jego twarz, moja dziecinna twarzyczka nabierała pokornego i błagalnego wyrazu. Gdy się wychylił, najśmielszy nawet z uczniów (z wyjątkiem jednego chyba Steerfortha) przerywał zabawę kamieniem ze strachu. Pewnego razu Traddles (najnieszczęśliwszy pod słońcem chłopiec) rozbił piłką owo okno. Drzę na samo wspomnienie trwogi, jaka mnie wówczas ogarnęła na myśl, czy nieszczęsna piłka nie dosięgła nietykalnej głowy naszego nauczyciela.

Biedny Traddles! W obcisłym, jasnoniebieskim ubranku, z nogami i rękami podobnymi do salcesonów lub zwijanych naleśników był najnieszczęśliwszy, lecz zarazem najwesołszy z nas wszystkich. Bito go codziennie, z wyjątkiem chyba jednego popołudnia w świąteczny poniedziałek, kiedy mu się tylko dostało parę uderzeń liną po rękę. Codziennie odgrażał się on, że się poskarży swemu wujowi, czego jednak nigdy nie czynił. Zwykle siedział czas jakiś z opartą o pulpity głową, po czym podnosił twarz już uśmiechniętą i zanim mu łzy oschły na rzesach, rysował na tabliczce kościotrupy. Długo gubiłem się w domysłach nad owym szczególnym jego zamiłowaniem w tym właśnie kierunku. Posądzałem go o skłonność do ascetyzmu, umyślnie przypominanie sobie o znikomości spraw doczesnych, sądzę jednak, że na wybór rodzaju wpłynąć raczej musiały praktyczniejsze względy: większa łatwość rysowania szkieletów niż ludzkich żywych postaci.

Uczciwy był Traddles i honorowy, dbał o solidarność koleżeńską, chociaż nieraz drogo to opłacał, na przykład wówczas, gdy za nieprzystojne śmiechy Steerfortha, jego to, Traddlesa, wyprowadzono z kościoła. Widzę go idącego za pedłem, zawstydzonego, odprowadzanego surowym i wzgardliwym spojrzeniem zgromadzonych w kościele wiernych. Nie wydał istotnego winowajcy, chociaż nazajutrz z kilkugodzinnej kozy wyszedł zbolący i z całą armią szkieletów czerniejącą na kartkach łacińskiego słownika. Otrzymał jednak pewne zadośćuczynienie. Steerforth powiedział o nim, że nie jest „skarżypytą”, a nam wydało się to zasłużoną i wielce zaszczytną pochwałą. Co do mnie przynajmniej, chociaż byłem znacznie młodszy od Traddlesa i o wiele mniej odważny, gotów byłem wycierpieć niejedno, by zdobyć sobie tylko uznanie kolegów.

Widok Steerfortha, postępującego w niedzielę na czele naszej grupy do kościoła pod rękę z panną Creakle, zachwycał mnie po prostu. Nie dlatego, żeby mi się panienka ta wydała tak ładna jak nie przymierzając Emilka lub żeby w niej był choć trochę zakochany, lecz dlatego, że uważałem ją za wyrocznię, jeśli chodzi o maniery, i gdy Steerforth, w białych spodenkach, rozpinał parasol, by ją osłonić przed słońcem, czułem się pochlebiony stosunkami z tym skończonym galantem i pewien byłem, że przedmiot jego uprzejmości nie może pozostawać dlań obojętny. Wprawdzie obaj nauczyciele, pan Sharp i pan Mell, wydawali mi się też skończonymi dżentelmenami, daleko im jednak było do Steerfortha jak gwiazdom do słońca.

Otaczał mnie on zresztą ciągle swą troskliwą opieką. Nikt z kolegów nie śmiał dokucać mi. Nie mógł tylko widocznie mnie bronić – w każdym razie nie bronił mnie – przed surowością pana Creakle, który znęcał się nade mną. Wprawdzie, gdy się ze mną obchodzono zbyt już srogo, przyjaciel mój zapewniał wtedy, że nie wytrzymałbym tego bez poparcia jego przyjaźni, co mnie zawsze nieskończenie rozczulało. Co zaś do znęcania się

nade mną pana Creakle, miało ono tę dobrą przynajmniej stronę, że osłaniającą mnie poniekąd od razów tabliczkę zdjęto bezpowrotnie z mych pleców.

Przypadkowa okoliczność zbliżyła mnie bardziej jeszcze do Steerfortha zdwijając przyjaźń, z której byłem dumny i zadowolony, chociaż nie zawsze wychodziłem na niej dobrze. Raz rozmawiając z nim, w czasie rekreacji, nadmieniłem – nie pamiętam już, z jakiego powodu – o czymś czy o kimś podobnym do kogoś czy do czegoś z „Peregryn Pickle”. Nie odrzekł nic na razie, lecz wieczorem spytał mnie, czy posiadam tę książkę?

Odpowiedziałem mu, że nie posiadam już jej, mówiąc przy tym, w jaki sposób zaznajomiłem się z tym oraz z innymi arcydziełami.

– A pamiętasz, coś czytał? – spytał.

– O, zapewne – odrzekłem. – Pamięć mam dobrą i pamiętam wszystko doskonale.

– Wiesz co – mówił – musisz mi to wszystko opowiedzieć. Z wieczora długo nie mogę zasnąć, a z rana budzę się wcześniej od innych. Opowiesz mi tedy wszystko po kolei, będzie to na kształt „Baśni z 1001 nocy”.

Pochlebilo mi to niezmiernie i tego jeszcze wieczora rozpoczęliśmy cykl opowieści. Jak na tych dowolnych przekładach wychodzili autorowie, nie wiem i niewiele mnie to obchodzi. Opowiadałem z zamiłowaniem, posiadałem też pewien dar słowa, a z tym zająć można daleko.

Odwrotną stroną medalu było to, że nieraz byłem wieczorami senny i nie zawsze usposobiony do opowieści, jednakże uważałem je za święty obowiązek. Za nic zresztą nie zawiodłbym ufności i oczekiwania przyjaciela. Toteż rano oczy mi się nieraz kleiły, gdy mnie mój sułtan, niby Szeherazadę, budził godzinę przed dzwonkiem, niecierpliwy dalszego ciągu opowieści. Lecz że odrabiał za mnie trudniejsze zadania, nie mogłem ostatecznie uskarżać się na taki stan rzeczy, chociaż muszę tu oddać sobie sprawiedliwość, że nie powodował mną interes. Kochałem Steerfortha, uwielbiałem go i w zadowoleniu przyjaciela dostateczną widziałem nagrodę mych trudów. Dziś jeszcze wszystkie te drobne szczegóły wspominam z bijącym sercem.

Steerforth okazywał mi względy, które raz zwłaszcza nie wyszły na dobre Traddlesowi i innym. W kilka tygodni po przybyciu mym do szkoły nadszedł list – ach, jaki pocziwy list! – od Peggotty, a przy tym paczka: placek, pomarańcze i dwie butelki słodkiego wina. Naturalnie skarby me złożyłem u stóp przyjaciela prosząc go, aby nimi raczył rozporządzić.

– No – rzekł – schowamy wino, abyś miał czym zwilżać w nocy wyschłe opowiadaniem gardło.

Zarumieniłem się prosząc go skromnie, aby o tym nie myślał wcale. Zauważył, że bywam często ochrypliwy – „skrzypiący”, jak się wyraził – że zatem każda kropla wina poświęcona być musi na cel nam wiadomy. Stosownie do tego butelki zostały zamknięte w kufierku, a zawartość ich wydzielana mi była po trosze, w miarę potrzeby, przez mojego przyjaciela. Czasem dla podwojenia działania wina wciskał doń sok pomarańczowy lub wlewał kroplę miętowego olejku i chociaż to nie dodawało smaku i wątpię, czy – zwłaszcza zażywane późno wieczorem i wcześniej rano – posiadało szczególnie lecznicze właściwości, wdzięczny mu byłem za okazywaną mi przyjacielską troskliwość.

Zdaje mi się, że przez miesiąc trwało opowiadanie „Peregryna”, dalsze miesiące poświęciłem innym historiom. Przedmiot był niewyczerpany, a i wino też starczyło na długo. Biedny Traddles – bez śmiechu i łez zarazem wspomnieć go sobie nie mogę – śmiał się przy komicznych epizodach opowieści, a umierał ze strachu przy strasznych tak dalece, że mnie często zbijał z tropu. Utrzymał, że mu zęby pomimo woli dzwonią na samą wzmiankę o rozbójnikach, których tak wielu otaczało Gil Blasa, i gdy przyszło do spotkania tego ostatniego ze zbójami w Madrycie, narobił tyle hałasu, że aż ściągnął uwagę pana Creakle, który nam drogo kazał opłacić nocne hałasy. Moje skłonności do marzycielstwa i

romantyczności rozwijały się wśród tych nocnych, po ciemku opowiadanych historii, co mi też najpewniej nie wyszło na dobre, lecz że się sława moja rozchodziła, a towarzysze, wśród których najmłodszy byłem wiekiem, okazali mi coraz więcej szacunku i z wzrastającą słuchali uwagą, nie brakło mi zachęty. Zresztą w szkole rządzonej przez bezmyślną tyranie – czy tyranem tym bywa nieuk, czy uczonek – niewiele zwykle bywa nauki. Sądzę, że towarzysze moi byli najzupełniejszymi nieukami, zbyt wystraszone, bitymi, aby się mogli uczyć. Nic się dobrze nie wykonywa przy ciągłych troskach, umęczeniach i cierpieniach. Mnie podtrzymywała ambicja, pomagał mi czasem Steerforth, a chociaż ani jedno, ani drugie nie zdołało osłonić mnie przed zasłużonymi i nie zasłużonymi razami, z czasem nawet w tej szkole udało mi się złapać jakieś takie okruchy wiedzy.

Najsukuteczniej dopomagał mi w tym pan Mell, okazujący szczególną i mile dotąd przeze mnie wspomnianą serdeczność. Nie bez pewnej przykrości dostrzegałem już wówczas wzgardę, z jaką go traktował mój przyjaciel, który nie zaniedbywał żadnej okazji, by upokorzyć biednego nauczyciela i podburzyć przeciw niemu nowych uczniów. Bolało to mnie tym bardziej, że nie mając przed Steerforthem sekretów opowiedziałem mu o tych dwóch ubogich kobietach, które odwiedziłem w towarzystwie nauczyciela, i drżałem, czy Steerforth nie użyje zwierzeń mych jako broni przeciw panu Mell. Owego poranka, gdy jadłem śniadanie w przytułku i usypiałem przy dźwiękach fletu w cieniu pawich piór, na myśl by mnie ani nauczycielowi nigdy nie przyszło, aby ta przypadkowa wizyta pociągnąć mogła następstwa poważnej, w swoim rodzaju, natury.

Dnia pewnego choroba zatrzymała pana Creakle w prywatnym jego mieszkaniu, co naturalnie było powodem wielkiej radości w szkole. Lekcje szły nieosobliwie. Wesołość wygnała z klasy dyscyplinę, co znów zwabiało po kilkakroć nienawistnego pedla, zapisującego imiona głównych przestępców. Lecz nawet i to nie wywierało dostatecznego wrażenia. Nadtośmy byli pewni kar w dniach następnych, aby na myśl o nich temperować wybuchy wesołości swobodnej chwili.

Była to sobota, zatem popołudnie mieliśmy wolne. Ponieważ bawiąc się w ogrodzie mogliśmy przeszkadzać choremu, a pogoda nie sprzyjała przechadzce, zamknęto nas w szkolnej izbie dając jakieś łatwe do rozwiązania zadanie. Był to właśnie dzień, w którym pan Sharp udawał się do miasta dla ufryzowania peruki, a pan Mell, na którego barki spadały wtedy zwykle wszelkie obowiązki, pilnował chłopców.

Gdyby cicha, łagodna postać nauczyciela porównana być mogła do buhaja lub niedźwiedzia, porównałbym nas, chłopców, do zgrai psów osaczających to zwierzę, taka naraz zapanowała w szkolnej izbie wrzawa. Przypominam go sobie siedzącego za pulpitem wśród piekielnej iście wrzawy, z bolącą głową, opartą na rękę, daremnie usiłującego wywiązać się z zadania. Chłopcy powstawszy z ławek biegali po całej izbie, baraszkując po kątach, śmiejąc się, skacząc, śpiewając, krzycząc, tupiąc nogami, wyjąc dokoła niego, pokazując za jego plecami miny, figle, języki, wydrwiwając go, jego ubóstwo, podarte buty, znoszony surdut, jego matkę, zgoła wszystko i wszystkich, będących z nim w jakimkolwiek związku.

– Ciszej! – zawołał powstając nagle i uderzając książką o pulpit. – Co to znaczy? Wytrzymać już doprawdy niepodobna! Oszaleć z tym można. Jak możecie być tak niesforni!

Moją to właśnie książką uderzał o pulpit. Stojąc przed nim spostrzegłem, jak się chłopcy uciszyli, jedni wółprzeżeni, drudzy wółprawstydzeni, inni zdziwieni. Miejsce Steerforth'a było na samym końcu sali. Stał właśnie oparty o ścianę, z obu rękoma w kieszeniach, wpatrzony niedbale w nauczyciela, z ustami złożonymi jak do gwizdania.

– Ciszej, panie Steerforth! – zawołał nauczyciel dojrzwawszy go.

– Sam mi bądź cicho! – odrzekł Steerforth czerwieniąc. – Czy wiesz, do kogo mówisz?

– Proszę usiąść na swoim miejscu – ciągnął nauczyciel.

– Sam siadaj i pilnuj, co do ciebie należy! – zawołał rozzłoszczony uczeń.

Zachichotano. Tu i ówdzie przykłaśnięto, lecz bladeść nauczyciela powstrzymała dalsze wybuchy niesforności, a nawet jeden z chłopaków, który poza jego plecami robił miny, zawstydział się i udał, że przyszedł prosić go o naprawienie pióra.

– Jeśli sądzisz, Steerforth – zaczął pan Mell opierając machinalnie rękę na mym ramieniu – że nie wiem, jakiej tu chcesz używać przewagi, lub że nie widziałem, jakieś podburzał przeciw mnie chłopców, mylisz się bardzo.

– Nie zadaję sobie wcale fatygi myśleć o panu – odrzekł wzgardliwie Steerforth.

– Co zaś do tego, aby pozycja uprzywilejowanego, jaką tu zajmujesz – ciągnął drżącymi ustami nauczyciel – dawała ci prawo obrażać dżentelmena...

– Kogo? – przerwał Steerforth. – Przepraszam, nie słyszałem, o jakim tu dżentelmenie mowa.

Z ławki ktoś zawołał: „Cicho, to już zbyt niegodziwie!” Był to Traddles, któremu nauczyciel też zabronił mieszać się w nie swoje rzeczy i kazał trzymać język za zębami. Sam zaś tak mówił:

– Obrażać i wydrwiwać cudzą niedolę, kogoś, kto nigdy najmniejszej nam nie wyrządził krzywdy, to rzecz brzydka i nikczemna. Jesteś wystarczająco dorosły, żeby to zrozumieć. A teraz możesz stać lub usiąść, jak ci się podoba. Dalej, Copperfieldzie!

– Stój, mały! – zawołał wychodząc z ławki Steerforth. – Muszę raz panu powiedzieć, co o nim myślę. Nie dbam wcale o to, że mię jakiś tam żebrak nazywa nikczemnym. Że pan jest żebrakiem, wszystkim przecież wiadomo, lecz gdy ośmielasz się mnie ubliżać, sam jesteś nikczemny.

Nie wiem, jak by się to wszystko skończyło i czy Steerforth rzuciłby się na nauczyciela, czy nauczyciel na Steerforth, gdyż wszyscyśmy skamienieli. W szkolnej izbie stał pan Creakle we własnej osobie, w towarzystwie nieodstępного pedla, we drzwiach widać było głowy wystraszonych pani i panny Creakle. Pan Mell siedział nieruchomo na swym miejscu, oparty o pulpit, z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Panie Mell – potrząsając go za ramię zaczął Creakle szeptem tak wyraźnym, że tym razem Tungay nie czuł się obowiązany powtarzać jego słów – spodziewam się, panie Mell, że nie uniosłeś się zbyttnio?

— Nie, panie, nie! – upewniał nauczyciel odkrywając twarz, potrząsając głową i zacieraając ręce w zmieszaniu. – Nie, panie, nie uniosłem się, nie zapomniałem się, nie. Byłbym jednak bardzo wdzięczny panu, panie Creakle, gdybyś mnie był ostrzegł przedtem, powstrzymał... Uchroniłoby to mnie od czegoś...

Pan Creakle nie spuszczać oka z nauczyciela oparł się na ramieniu pedla, usiadł na stole i z wysokości spoglądając na nauczyciela, który wciąż zacierał ręce, zwrócił się do Steerforth.

– A teraz niech mi pan powie, co to wszystko znaczy?

Zapytany milczał chwilę, spoglądając dumnie i z gniewem na swego przeciwnika. Widzę go jeszcze. Piękny był, dumny i jakże nędznie, w porównaniu z nim, wyglądał nauczyciel.

– Nie wiem – rzekł wreszcie – o jakich przywilejach była mowa.

– Przywilejach – powtórzył zwracając powoli głowę pan Creakle – kto mówił o przywilejach?

– Ten, tam – rzekł Steerforth.

– Proszę pana, jak to pan rozumie? – spytał pan Creakle zwracając się do nauczyciela z widocznym nieukontentowaniem.

– Rozumiem – odrzekł ów cicho – zupełnie tak, jak powiedziałem, a mianowicie: że uczeń nie powinien nadużywać wyjątkowego swego położenia, aby upokarzać i obrażać nauczyciela.

– Obrażać, no, proszę – zaczął pan Creakle składając ręce na piersi i mrużąc oczy tak, że ich widać prawie nie było – no, proszę! A pan, panie tam jakiś, czy nie zapominasz czasem o należnym mnie, słyszysz, m n i e uszanowaniu ośmielając się nadmieniać o przywilejach! Zapominasz chyba, że jestem tu pierwszą osobą, twoim chlebodawcą.

– Zapewne, przyznaję... – jękał się nauczyciel – powinienem był panować nad sobą.

– Tak – przerwał Steerforth – zarzucił mi, że jestem nikczemny, bom go nazwał żebrakiem. I ja także powstrzymałbym się, gdybym nie był zirytowany, ale teraz gotów jestem wszelkie następstwa tego, com powiedział, przyjąć.

Śmiało to przemówienie olśniło mnie. Wywarło też wrażenie na nas wszystkich. Patrzyliśmy na Steerfortha, chociaż żaden z nas nie śmiał ust otworzyć.

– Zdziwiony jestem – ciągnął pan Creakle – chociaż szczerze twoja, chłopcze, niewątpliwie przynosi ci zaszczyt, zdziwiony jestem, jak mogłeś podobnie nazwać kogoś, kto pobiera honoraria w Salem House.

Steerforth zaśmiał się.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – powtórzył pan Creakle – spodziewałem się więcej po tobie, chłopcze.

Jeżeli w oczach naszych pan Mell wyglądał nędznie i pokornie przy Steerforcie, z którego byłem dumny, to cóż dopiero mówić o panu Creakle!

– Niech odwoła, co powiedział – domagał się Steerforth.

– Sam odwołaj, coś powiedział – odrzekł pan Creakle. – Pierwszy zaczął.

– Jeśli sam nie jest żebrakiem – zaczął Steerforth – najbliżsi jego krewni żebrzą, a to na jedno wychodzi.

Mówiąc to patrzył na mnie, gdy jednocześnie dłoń nauczyciela przesunęła się pieszczotliwie po moim ramieniu. Pełen wyrzutów sumienia wzniosłem oczy na pana Mella, który patrzył wprost na swego przeciwnika.

– Jeśli pan, panie Creakle – mówił Steerforth – żądasz objaśnień, obowiązkiem moim jest dodać, że matka tego pana żyje z jałmużny w przytułku.

Pan Mell gładząc mnie po głowie i nie spuszczać oka z przeciwnika szepnął tylko coś do siebie, zdawało mi się, że: – Tegom się spodziewał.

Marszcząc brwi pan Creakle zwrócił się do nauczyciela z przesadną grzecznością:

– Słyszysz pan, co tu o panu mówią? Niechże pan zaprzeczy i zgromi chłopca, jak na to zasłużył, wobec wszystkich tu zebranych. Słuchamy!

– Prawdę powiedział, najzupełniejszą prawdę – wyrzekł nauczyciel wyraźnie wśród zaległej dokoła ciszy.

– Niechże pan z łaski swej – ozwał się, wspierając pod boki i wodząc po nas okiem, pan Creakle – zaświadczyć tu raczy, żem o tym nigdy przedtem nie słyszał.

– Sądzę, że niebezpośrednio...

– Co, jak? Proszę powtórzyć.

– Przypuszczam, że smutne moje położenie wiadome było panu, że... że znane mu są warunki, w jakich...

– Boję się, jeśli już mamy mówić o tym – zasyczał pan Creakle – abyś pan i mojej szkoły nie brał za zakład dobroczynny. Możemy się rozstać, panie Mell, im prędzej to nastąpi, tym lepiej.

– Najstosowniej zatem byłoby natychmiast – odrzekł powstając nauczyciel.

– Żegnam pana.

– I ja pana, panie Creakle. Chłopcy, bywajcie mi zdrowi!

Mówiąc to pan Mell, gładząc mnie ciągle po głowie, powiódł wzrokiem po całej szkolnej izbie i na widok Steerfortha dodał:

– Jamesie Steerforth, przyjmij ode mnie przy rozstaniu życzenie, abyś się rumienił za dzisiejszy postępek. Co do mnie wolę cię mieć za swego wroga i przyjaźni twej nie życzyłbym nikomu, kto by mnie bliżej obchodził.

Mówiąc to, raz jeszcze pogładził mnie pieśczośliwie, wyjął z szuflady swój flet, parę książek, i zostawiając w niej klucz dla swego następcy wyszedł ze szkolnej izby. Wówczas pan Creakle, tym razem już przez usta pedla, wygłosił szumną mowę, w której dziękował Steerforthowi za to, że wziął w obronę honor szkoły, po czym uściskał ręce mego przyjaciela, co wprowadziło nas wszystkich w zachwyt, dlaczego, tego bym już wyjaśnić nie mógł. Ja także wieszowałem Steerforthowi powodzenia, serce mi się jednak bardzo, bardzo ścisnęło. Tymczasem kij przełożonego spadł na plecy biednego Traddlesa, który zamiast podzielać ogólną radość, odważył się popłakiwać w ukryciu, lecz rzewnie, z powodu wydalenia nauczyciela. Po dokonaniu tego ostatniego aktu najwyższej sprawiedliwości pan Creakle poszedł do łóżka czy tam, skąd był wyszedł.

Pozostawieni sami sobie, wyglądaliśmy, pamiętam, jak nieswoi. Co do mnie przynajmniej, to dręczony najokropniejszymi wyrzutami sumienia i oskarżając siebie jako sprawcę całego tego zajścia, rozplakałbym się na dobre, gdyby nie wzgląd na przyjaciela, którego łzy moje mogłyby zdziwić, a może i obrazić. Przecież obraził się już na Traddlesa wyrażając przy tym swe zadowolenie, że się to już raz wreszcie skończyło.

Traddles, który przez cały czas siedział z głową wspartą na stole i miał już cały kajet porysowany kościotrupami, podniósł twarz i zdecydował, że mu wprawdzie nic do tego, lecz z nauczycielem bez wątpienia postąpiono haniebnie.

– Kto temu winien, sam powiedz, płakso? – spytał główny winowajca.

– Tyś winien – odparł Traddles.

– I w czymże to zawiniłem?

– Obraziłeś go i pozbawiłeś miejsca.

– Obraziłem? – powtórzył wzgardliwie Steerforth. – Wyjdzie mu to najpewniej na dobre. Nie przypisuj mu własnych swych delikatnych uczuć. Co zaś do miejsca, piękne mi miejsce! Korzystne! Napiszę do domu, aby mu natychmiast posłali pieniężny zasiłek.

Wprowadziło to nas w zachwyt. Wiedzieliśmy, że matka przyjaciela mego była wdową bogatą i niczego nie odmawiała synowi. Porażka Traddlesa była zupełna. Steerforth triumfował, a nadto wmawiał w nas, że to, co zrobił, zrobił w interesie ogółu, narażając własną osobę.

Gdy jednak wieczorem rozpocząłem codzienne opowiadanie, kilkakrotnie zdawało mi się, że słyszę flet byłego nauczyciela. Jęczał mi żałośnie w uszach, a gdy wreszcie Steerforth zasnął, długo jeszcze nie dawała mi zasnąć myśl, gdzie teraz się ten flet odzywać może.

Zapomniałem jednak o tym prędko wobec swobody, z jaką Steerforth, nawet bez pomocy książek (zdawało mi się, że wszystko umie na pamięć), wziął się do natychmiastowego zastąpienia nauczyciela. Prawdziwy następcą pana Mell przybył wreszcie i został przedstawiony memu przyjacielowi na obiedzie u samego pana Creakle. Podobał mu się. „Ten, to co innego” – mówił. Wierzyłem Steerforthowi na słowo. Co się tyczy mnie, to nowy nauczyciel nie zadawał sobie w tym wypadku najmniejszego trudu.

W dalszym ciągu szkolnego półrocza jeden już tylko zaszedł wypadek, który dla wielu przyczyn utkwiał mi w pamięci.

Pewnego popołudnia, gdy korzystając z drzemki pana Creakle oddawaliśmy się swobodniejszej zabawie, pedel wchodząc do klasy zaanonsował grubym głosem:

– Goście do Copperfielda.

Zamienił już przedtem słów kilka z przełożonym co do osobistości przybyłych w odwiedziny i pokoju, do którego miały zostać wprowadzone, mnie zaś, zaskoczonemu niezmiernie, kazano iść na górę i włożyć świeże ubranie. Rozkaz ten wypełniłem z bijącym

sercem, lecz wchodząc do bawialnego pokoju cofnąłem się od progu na samą myśl, że odwiedzającymi mogą być chyba pan lub panna Murdstone, a jeśli to będzie moja matka...

W pierwszej chwili nie spostrzegłem nikogo. Przy samych drzwiach oparci stali Ham i pan Peggotty, wywijając kapeluszami na moje powitanie. Roześmiałem się, nie tyle z istotnie zabawnego ich wyglądu, ile z prawdziwej radości, jaką mi sprawił ich widok. Długo nie mogłem się uspokoić, przechodząc od śmiechu do łez. Pan Peggotty, który zrazu nie otwierał ust, dawał znaki bratankowi, aby ten mówił:

– Niech się panicz uspokoi – wyszczerzył jak zwykle zęby Ham. – Ależ panicz urósł!

– Urosłem? Doprawdy? – mówiłem ocierając łzy, wywołane widokiem przyjaciół.

– Ależ panicz urósł! – dziwił się Ham.

— Ależ urósł! – powtarzał pan Peggotty.

Śmieliśmy się wszyscy trzej, chociaż nowe groziło mi rozrzewnienie,

– A mama czy zdrowa? – spytałem. – Mama i Peggotty?

– Najzupełniej – zapewniał pan Peggotty.

– Emilka, pani Gummidge?

– Naj – zupełnie.

Umilkliśmy. Skorzystał z tego pan Peggotty, aby dostać z kosza parę olbrzymich krabów i cały wór małych raczków. Wręczył wszystko to bratankowi, mówiąc:

– Paniczowi smakowało to kiedyś, pamięta panicz, w naszej rybackiej chacie! Ugotowała to sama stara, to jest pani Gummidge ugotowała własnoręcznie.

Podziękowałem, a pan Peggotty spostrzegłszy, że mu bratanek nie pomaga wymową i tylko uśmiecha się nad morskimi przysmakami, dodał:

– Przybyliśmy na łodzi z Yarmouth do Gravesend. Wiatr mieliśmy pomyślny. Siostra pisząc do mnie wymieniła tę szkołę, żądając, abym będąc tu odwiedził koniecznie panicza i kłaniał się od niej i od wszystkich. Zaraz po moim powrocie Emilka napisze do siostry, żeśmy panicza widzieli i tak dalej, i tak dalej...

Przeszła chwila, zanim zrozumieć zdołałem, co znaczyło owo „i tak dalej, i tak dalej”. Zrozumiawszy podziękowałem z wylaniem pocziwemu rybakowi, po czym zacząłem rozpytywać go o Emilkę. Musiała urósć, zmienić się, odkąd zbierałem z nią razem muszle i kamyki na wybrzeżu?

– Tak, tak, niedługo, a będzie to już mała kobieta – odrzekł pan Peggotty. – Niech go panicz spyta.

Wskazał na bratanka, skłaniającego w najwyższym zadowoleniu głowę nad workiem raków.

– A jaka ładna! – zauważył.

– Jaka uczona! – dorzucił Ham.

– Jak pisze! Litery czarne, wyraźne, ot, z tak daleka widne!

Pocziwy rybak z zapalem mówił o swej ulubienicy. Twarz jego wyrażała najwyższe zadowolenie, dumę i przywiązanie, oczy połyskiwały wewnętrznym ogniem, a szeroka pierś podnosiła się lekko, swobodnie. Silne ręce zaciskały się z mocą i przekonaniem, a każde swe słowo podkreślał ruchem ramienia, które wydało mi się podobne do kowalskiego młota.

Nie mniejszy był zapal bratanka i zajmujący temat rozmowy byłby zapewne niewyczerpany, gdyby nie nagłe zjawienie się Steerfortha. Wpadł do pokoju nucąc coś wesołego i dopiero spostrzegłszy mnie w towarzystwie dwóch nieznajomych cofnął się wołając:

— Przepraszam, nie wiedziałem, że cię tu zastanę!

Nie w tym to istotnie pokoju zwykle przyjmowano przybywających w odwiedzinach gości. Nie wiem sam doprawdy, czy to chęć pochwalenia się przed panem Peggotty takim jak Steerforth przyjacielem, czy chęć wyjaśnienia przed tym ostatnim stosunków moich z ry-

bakiem i jego synowcem skłoniły mnie do odwołania cofającego się przyjaciela – jakże mi każdy szczegół głęboko wrył się w pamięć – mówiąc:

– Nie uciekaj, Steerforth, proszę cię, nie uciekaj! Są to rybacy z Yarmouth, dobrzy, kochani ludzie, bliscy krewni mojej niani. Odwiedzili mnie.

– Dobrze, wybornie! – zawołał Steerforth wracając. – Miło mi ich poznać! Jak się macie, panowie!

Zachowanie jego było tak uprzejme, swobodne, bez cienia zbytecznej poufałości, że musiało wywierać czar nieopisany. Urok spoczywał w pięknej twarzy, wesołym, pogodnym uśmiechu, melodyjnym głosie, postawie zdrowej i energicznej i w czymś jeszcze nieokreślonym a nieprzepartym, w tej sile pociągającej, będącej własnością i tajemnicą niektórych wybranych. Urokowi temu mało kto mógł się oprzeć i nie dziw, że mu ulegli od razu moi goście. Na oścież otworzyli mu poczciwe serca.

– Niech pan, panie Peggotty – rzekłem – wysyłając do nas wiadomy list, poprosi, aby wspomniano w nim i o tym, że pan Steerforth niezrównanie dobry jest dla mnie. Nie wiem, co bym tu począł bez niego.

– Głupstwa! – zawołał śmiejąc się mój przyjaciel. – Zabawnie mówić o tym.

– A jeśli kiedy – ciągnąłem – pan Steerforth odwiedzi Norfolk lub Suffolk, przywiozę go najpewniej do Yarmouth w odwiedziny do pana. Nie uwierzysz, Steerforth, jaki dziwny jest ich dom. Wyobraź sobie, cały się mieści w jednej łodzi.

– Jak to, zrobiony z łodzi? – zawołał wesoło mój przyjaciel. – Przybytek godny żeglarsza!

– Tak, panie! Najzupełniej – potakiwał oczarowany Ham. – Masz pan słuszność, najzupełniejszą słuszność. Panicz Davy wie, że jestem nieodrodnym żeglarzem, tak jak i on – wskazał na stryja, który nie mniej od chłopaka oczarowany, z mniejszą tylko skwapliwością połknął komplement. Kłaniając się i mnąc końce okalającej mu szyję chustki dziękował skromnie:

– Wdzięczny, nieskończenie wdzięczny jestem... Każdy, panie, czyni, co może!... Spełniam po prostu swój obowiązek.

– Najlepsi to właśnie ludzie, którzy spełniają swój obowiązek, panie Peggotty – rzekł Steerforth, który od razu pochwycił i zapamiętał nazwisko rybaka.

– Tak sędzę, tak sędzę, istotnie – mówił ten ostatni. – Dziękuję panu, wdzięczny jestem za jego uprzejmość dla nas. Prości jesteśmy ludzie, lecz szczerzy... Mam nadzieję, że mnie pan zrozumie, zawsze gotowi do usług, chata moja szczupła, ale na usługi. Je śliby istotnie zechciał pan odwiedzić nas kiedy z paniczem...

Mówiąc to zabierał się do wyjścia i za każdym słowem wracał się od drzwi i kłaniał:

– Bądźcie zdrowi! Oba paniczom życzę wszelkiej, wszelkiej pomyślności!

Ham wtórował. Pożegnaliśmy ich serdecznie. Przez cały wieczór brała mnie chęć opowiedzenia przyjacielowi o Emilce. Zbyt jednak byłem nie śmiały, zresztą bałem się narazić na żarty. Pamiętam, że z pewną przykrością rozmyślałem nad udzieloną mi przez pana Peggotty wiadomością, jakoby tak urosła, iż była już niemal kobietą. Wierzyć mi się w to nie chciało i wmawiałem w siebie, że to żarty.

Przyniesione przez gości mych przysmaki przenieśliśmy na górę i wieczorem dnia tego odbyła się prawdziwa uczta. Biednemu Traddlesowi wyszło to na złe, rozchorował się bowiem w nocy. Lekarstwami, które by konia zabić mogły, opchany przez Dimple'a, posiadającego pomiędzy kolegami lekarską wziętość, gdyż był synem lekarza, Traddles naraził się jeszcze nazajutrz za niewyjaśnienie przyczyny swej słabości na razy i dawkę sześciu rozdziałów Biblii po grecku.

Reszta tego szkolnego półrocza pozostała mi w pamięci jako ustawiczna troska i walka z otaczającymi nas warunkami istnienia; zmiany pór roku, zimnych ranków, gdy trzeba było podnosić się z łóżek, i bardzo zimnych wieczorów, gdyśmy kładli się do łóżek, szkol-

nej sali słabo ogrzanej i zaledwie skąpym oświetlonej światłem, chłodu przejmującego nas dniami całymi jednym długim dreszczem, monotonii gotowanego i pieczonego na zmianę mięsa, skibek chleba skapo pociąganych masłem, książek w porwanych okładkach, popękanych tablic, łzami oblanych zeszytów, razów, ponurych dni świątecznych, mdłych tłustych puddingów... a wszystko to pogrążone w brudnej, atramentowej atmosferze.

Pamiętam też, jak odległa z początku, że się niedościgłą zdawała, perspektywa wakacji zbliżała się pomału, stając się coraz wyraźniejsza. Liczyliśmy najpierw dzielące nas od upragnionej chwili miesiące, potem tygodnie i dni. Pamiętam, jaki mnie strach ogarniał na samo przypuszczenie, że nie wezmą mnie może do domu, i radość, która mnie opanowała, gdy mnie Steerforth upewniał, że na pewno tam pojedę. Zapewnienie to wprawilo mnie w szal szczęścia i przyjaciel mój zmuszony był ostrzec mnie, że łamiąc sobie rękę lub nogę wszystko zepsuje. Dzień upragniony zbliżał się szybko. Pojutrze... Jutro... dziś... natychmiast, dyliżans odwiezie mnie do Yarmouth, a stamtąd tak już blisko do domu!

W dyliżansie sen miałem przerywany gorączkowymi, niejasnymi wizjami, lecz za każdym przebudzeniem spoglądając przez okno przekonywałem się ze wzrastającą radością, żeśmy opuścili Salem House, że wpadające mi w ucho dźwięki nie są razami wymierzonymi przez pana Creakle. Padały tym razem nie na plecy nieszczęsnego Traddlesa, lecz na grzbiety popędzanych przez woźnicę szkap pocztowych.

Rozdział VIII

Wakacje. Zwłaszcza jedno błogie popołudnie

Kiedyśmy nad ranem przyjechali do gospody, nie do tej jednak, w której miałem przypadek ze służącym, wprowadzono mnie do milutkiego sypialnego pokoju z wymalowanym nad drzwiami wielorybem. Zziębnięty, pomimo gorącej herbaty, którą napojono mnie w sali przed płonącym na kominie ogniem, z przyjemnością położyłem się w łóżku Wieloryba, okryłem się kołdrą Wieloryba i zasnąłem czym prędzej.

Tego dnia o dziewiątej miał zajechać po mnie pan Barkis. Wstałem o ósmej i choć bolała mnie głowa po zbyt krótkim spoczynku, gotów jednak byłem w porę do drogi. Woźnica powitał mnie tak, jak gdybyśmy się dopiero przed pięciu minutami rozstali, jak gdybym był dopiero wstąpił do gospody dla wymienienia na drobne pieniądze.

Skoro włożono do wózka mój kuferek i skorom usiadł, spokojny koń ruszył zwykłym swym powolnym, leniwym krokiem.

– Pan doskonale wygląda, panie Barkis – zauważyłem sądząc, że mu to zrobi przyjemność.

Barkis potarł twarz rękawem, jak gdyby się spodziewał, że coś z tej twarzy zobaczy na rękawie, jednak nic na mój komplement nie odpowiedział.

– Spełniłem pańskie zlecenie – dodałem. – Napisałem do Peggotty to, co pan chciał.

– Aha! – odrzekł. Zdawał się być kwaśny i odpowiadał niechętnie.

– Czym się źle wywiązał? – spytałem po chwili wahania.

– Co, jak? – spytał.

– Ze zlecenia.

– Zlecenie dobrze spełnione – odmruknął – tylko że nic z tego... nie wyszło.

– Nie wyszło? – spytałem nie rozumiejąc zupełnie, o co idzie.

– Nie wyszło – powtórzył spoglądając na mnie z ukosa. – Nie było odpowiedzi.

– A czyż miała być odpowiedź? – spytałem, szeroko otwierając oczy, gdyż przyznając, na myśl mi to nie przyszło.

– Gdy ktoś upewnia kogoś, że „gotów” – odrzekł, ciągle z ukosa spoglądając na mnie – to znaczy, co najmniej, że czeka odpowiedzi.

– Tak, panie Barkis!

– Tak. – I patrzył dalej na uszy konia. – Do tej pory nie doczekałem się odpowiedzi – dorzucił.

– Czy pan jej o tym mówił?

– Nie, nie mówiłem i nie powiem. Nigdy z nią trzech słów nie zamieniłem.

– To może ja pana wyręcę? – spytałem nieśmiało.

– Jeśli się podoba, może panicz powiedzieć jej – tu znów spojrzał na mnie spode łba – że Barkis czeka na odpowiedź. Jak jej na imię?

– Na imię?

– Aha! – skinął głową.

– Peggotty.

– To chrzestne imię czy nazwisko?

– Oczywiście nazwisko, na imię jej Klara.

— Tak!

Okoliczność ta zdawała się pogrążyć go w głęboką zadumę. Jechaliśmy w milczeniu, woźnica pogwizdywał.

– Aha! – przemówił wreszcie – proszę powiedzieć jej, że Barkis gotów i czeka odpowiedzi. A gdy spyta: „jakiej?” Na to, com napisał. „A co tam było?” – spyta. „Barkis gotów” – odpowiesz.

Słowa te woźnica poparł energicznym ruchem ramion, który mnie niemal wysadzał z siedzenia, po czym w zwykły sobie sposób zapatrzył się na konia i nie przemówił już słowa. Może w pół godziny potem wyjął z kieszeni kawałek węgla i napisał na wewnętrznej stronie budy „Klara Peggotty”, widocznie jako prywatny zapisek.

Z dziwnym uczuciem wracałem do domu, co przestał mi być domem! Z budzącymi się na każdym kroku wspomnieniami błogiej, niepowrotnej przeszłości, która wydała mi się niepowtarzalnym snem, czas, w którym matka, Peggotty i ja wystarczaliśmy sobie najzupełniej, kiedy nikt nas nie dzielił, stawał w pamięci, takim bólem ściskając serce, żem żałował, iż jestem tak blisko tych miejsc i chętnie zawróciłbym z powrotem, aby mój żal i bolesne wspomnienia zatopić w przyjaźni Steerfortha. Za późno! Stanęliśmy przed domem. Stare wiązy wyciągały ku zimowemu niebu liczne gałęzie, a resztki starych wronich gniazd unosił wiatr.

Woźnica, zdjawszy mój kuferek, pozostawił mnie przed bramą i odjechał. Przechodząc wiodącą do domu ścieżką spoglądałem nieśmiało w okna, bojąc się, że dojrzę w którymś z nich pana albo pannę Murdstone. Żadna jednak nie ukazała się twarz i cichym, nieśmiałym krokiem wszedłem do domu.

Bogu tylko wiadomo, jakie niemowlęce, niejasne wspomnienia obudził głos mojej matki, śpiewającej w bawialnym pokoju. Śpiewała tak cicho, słodko! Zdawało mi się, że spoczywam jako niemowlę na jej kolanach. Wrażenie to, chociaż zupełnie nowe, wypełniało mi serce, niby powrót drogiego starego przyjaciela.

Z głosu i sposobu, w jaki matka moja nuciła tę kołysankę, wniosłem, że musi być sama. Cicho otworzyłem drzwi, na palcach wsunąłem się do pokoju. Siedziała przed ogniem kołysząc na rękę niemowlę, którego drobne rączki tuliła do swej szyi. Śpiewała wpatrzona w drobną twarzyczkę dziecka. Nie pomyliłem. się była sama!

Przemówiłem. Drgnęła. Poznając mnie rozplakała się, nazwała swym Davy, synkiem jedynym, a biegnąc na spotkanie, uklękła na ziemi, aby mnie lepiej móc uściskać, i tuląc moją głowę do swych piersi, przytuliła jednocześnie do ust moich drobne niemowlęce rączkę.

Czemuż nie umarłem w tej chwili! Niebo miałem w sercu!

– Braciszek twój – mówiła tkliwie matka moja – Davy! Dobrze moje, kochane, biedne dziecko!

Całowała mnie, ścisnęła, znów całowała, aż nadbiegła Peggotty, przykucnęła przy nas na ziemi i nie wiedziała sama, co robić z radości, czy mnie, czy brata mego pieścić i całować. Pół godziny co najmniej minęło, zanim zdążyliśmy ochłonać.

Nie oczekiwano mnie jeszcze, gdyż woźnica przybył za wcześnie, a pan i panna Murdstone byli nieobecni i wrócić mieli dopiero wieczorem. Przechodziło to moje oczekiwanie. Nie śmiałem nawet przypuszczać, aby raz jeszcze w życiu pozostawiono nas troje samych sobie, tak jak bywaliśmy dawniej.

Siedliśmy razem do stołu, tuż przed kominkiem. Peggotty chciała nam usługiwać, ale matka moja kazała jej zająć miejsce obok mnie. Dano mi mój dawny talerz, który Peggotty skrzętnie przechowywała w głębi szafy, skąd go obecnie wydostała, z wymalowanym na nim na brązowo wojennym okrętem pod pełnymi żaglami. Dano mi mój stary kubek z wyrzniętym na nim imieniem „Dawid”, nożyk, który nie krajał, i mały mój widelczyk.

Przy stole uważałem za stosowne wywiązać się z danego mi przez woźnicę zlecenia, lecz zaledwiem rozpoczął, Peggotty roześmiała się kryjąc twarz w fartuchu.

– Cóż to znaczy, Peggotty? – spytała moja matka.

Peggotty nie odpowiadała i nie odkrywając twarzy śmiała się do rozpuku.

– Ale cóż ci się stało? – nalegała śmiejąc się też moja matka.

– Niech go! – rzekła wreszcie Peggotty – chce się ze mną żenić.

– To byłaby dla ciebie bardzo dobra partia – zauważyła moja matka.

– Może być, sama nie wiem – odparła Peggotty. – Ale choćby był złoty cały, ja nie chcę.

– Czemuż mu tego nie powiesz? Ty zabawne stworzenie!

– A co mam mówić – broniła się uchylając fartucha Peggotty – kiedy mi ani razu nie wspomniał o tym ani w ogóle o niczym. Oho, nie śmiałyby! Wydrapałabym mu oczy!

Nigdy jeszcze nie widziałem Peggotty tak czerwonej jak wtedy. Kilka razy kryła twarz w fartuchu, wybuchając śmiechem. Matka moja, chociaż się też uśmiechała, była jednak zamyślona. Teraz dopiero dostrzegłem zmiany w jej twarzy. Ładna była jak zawsze, lecz schudła i posmutniała. Ręce też jej wyszczuplały, zbladły, wydawały się niemal przezroczyste. Nie na tym jednak polegała główna zmiana. Była wciąż wystraszona i jakby niepełna. Po jakimś czasie, kładąc rękę na ramieniu wiernej sługi, rzekła:

– Peggotty! Nie wyjdiesz za męża?

– Ja, pani? – odrzekła Peggotty wytrzeszczając oczy. – Nie, nigdy!

– Przynajmniej nie teraz, nie zaraz – prosiła tkliwie matka moja.

– Nigdy! – wołała Peggotty. Matka moja ujęła jej rękę.

– Nie opuszczaj mnie, kochanie, pozostań ze mną. Nie na długo już może... Nie wiem, co bym poczęła bez ciebie.

– Porzucić panią! Ja bym miała porzucić! – wołała poczciwa Peggotty. – Kto w panią mógł takie rzeczy wmówić, oj głowa, ta głowa!

Traktowała często matkę moją jak małe dziecko. Lecz ona nie zważając na to dziękowała jej z wylaniem, a poczciwa Peggotty gadała dalej po swojemu:

– Ja bym miała panią opuścić! To by było dopiero! Chciałabym to widzieć! Nie, nie, nie i jeszcze raz nie, to niemożliwe! Nie! Chociaż jest tu k t o ś, komu byłoby na rękę, oj, i bardzo na rękę. Niech się łudzą! Nic z tego nie będzie, zostanę na złość im, jak gdybym w ziemię tu wrosła, aż do grobowej deski. Gdy postarzęję, ogłuchnę, oślepnę, wszystkie już zęby stracę i będę do niczego, Davy da mi kątek i kęs chleba. Czy tak, Davy?

– A! Jak to będzie dobrze! – zawołałem. – Będziesz u mnie szczęśliwa jak królowa.

– Niech cię Bóg ma w swej świętej opiece! Poczciwe serce! – wołała Peggotty pokrywając mnie pocałunkami w przedwczesnej wdzięczności za obiecaną gościnność; potem zakryła ponownie twarz fartuchem śmiejąc się znów, zapewne z Barkisa, po czym wyjęła niemowlę z kołyski i zaczęła nosić je dokoła pokoju. Po chwili położyła je w kołysce, sprzątnęła ze stołu i wreszcie usiadła naprzeciw nas z robotą w rękę, kawałkiem wosku i pudełkiem do robót, najzupełniej tak, jak bywało dawniej.

Siedząc tak gwarzyliśmy wesoło. Opowiadałem, jak srogi i okrutny jest pan Creakle. Obie, matka i Peggotty, rozplywały się w żalu nad moim losem. Opowiadałem o Steerforcie i Peggotty dodała, że poszłaby chętnie piechotą do Londynu, aby go tylko zobaczyć. Gdy niemowlę obudziło się, wziąłem je delikatnie na ręce i zacząłem kołysać. Gdy usnęło, przytuliłem się do matki, jak dawniej bywało, zarzuciłem jej ręce na szyję, twarz oparłem o ramię i znów mnie na kształt skrzydeł anioła opłynęły miękkie jej włosy. I znów się czułem szczęśliwy...

Gdy siedziałem tak, zapatrzony w ogień i biegające nad rozżarzonego węgla iskielki, zdawało mi się, że nigdy nie wyjeżdżał z domu, że wszystko było snem – i pan, i panna

Murdstone znikli jak te pogasłe płomyki... Prawdą żywą było to tylko, co mnie otaczało: matka moja i Peggotty.

Peggotty z pończochą w lewej, a igłą w prawej ręce cerowała. Nie pojmuję, skąd się jej brały te wieczne dziury w pończochach. Odkąd pamięcią sięgam, codziennie je cerowała.

– Ciekawa jestem – ozwała się nagle – co się stało z ciotką Davy?

– Boże mój! – matka moja ocknęła się z zamyślenia. – Skąd ci się to wzięło?

– Nie wiem, pani. Dość, że jestem ciekawa.

– Skąd ci na myśl przyszła ta dziwaczka? Czy nie masz już o czym myśleć?

– Nie wiem, pani, skąd mi to przyszło, ot tak sobie. Myślę to o tym, to o owym i poradzić już na to nie mogę. Ot, pomyślałam, co się też z nią stało?

– Jakże jesteś nieroztropna! Można by sądzić, że spragniona jesteś jej odwiedzin.

– A niechże Pan Bóg broni!

—Więc po co mówić o tak nieprzyjemnych rzeczach! Panna Betsey siedzi pewnie z amknęta w swym wiejskim domku nad morzem i pozostanie tam zawsze. W ka żdym razie na pewno nie odwiedzi już nas nigdy.

– Zapewne! Zapewne! Tego się nie boję i tylko ciekawa jestem, czy umierając zapisze coś Dawidowi?

– Bój się Boga, Peggotty! Jakże jesteś nierozważna! Czyś zapomniała, że gniewa się na tego biedaka od jego urodzenia.

– Może mu przebaczy.

– Czemuż by teraz właśnie miała przebaczyć? – spytała z pewnym niezadowoleniem moja matka.

– Bo teraz Davy ma braciszka – odrzekła Peggotty, a matka moja zaczęła płakać i wymawiać jej ostre słowa.

– Jak gdyby to maleństwo zrobiło jakąś krzywdę tobie lub komukolwiek – mówiła łkając. – Niedobra, nieznośna zazdrośnico! Lepiej byś już raz wyszła za tego swego Barkisa. Czemu nie wychodzisz?

– Bobym tym zbyt dogodziła pannie Murdstone – żywo odrzekła Peggotty.

– Zabawna jesteś – ciągnęła matka moja – z tą wieczną zazdrością i niechęcią względem siostry mego męża. Można by cię posadzić, że ci tak bardzo chodzi o klucze, że chciałabyś wszystko mieć w swoich rękach, rządzić wszystkim... Jakbyś nie wiedziała, że wszystko, co panna Murdstone robi, czyni w najlepszej intencji, z łaski. Przecie wiesz o tym?

Peggotty pomrukiwała coś w rodzaju: „Niech ją lichy porwie z jej łaską i dobrymi intencjami”.

– O! Wiem, wiem dobrze, co myślisz, niedobra! – mówiła z żalem matka moja. – Rozumiem cię doskonale. Dziwię się tylko, że nie rumienisz się ze wstydu. Panna Murdstone służy tu tylko za pretekst. Czyś nie słyszała, jak mówi i powtarza, że jestem zbyt bezmyślna i... i...

– Ładna – odpowiedziała służąca.

– A jeśli i tak mówi – odparła już z uśmiechem matka moja – mamże się obrażać o to?

– Nie, oczywiście...

– Przecież słyszałaś tysiąc razy, jak mówiła, że pragnie oszczędzić mi kłopotów i pracy, będącej, jak sądzi, nad moje siły. Może i ma słuszność... wstaje wcześniej, kładzie się późno, dzień cały biega tu i ówdzie, pełno jej w spiżarni, w kuchni, wszędzie. Niełatwa to rzecz i wcale nie przyjemna. A ty mówisz, że to nie jest poświęcenie. Co? Może nie mam racji?

– Nie przeczę.

– Przeczyysz, właśnie że przeczyysz. Poza swoją robotą nie widzisz niczego. Zawsze musisz coś wmawiać, zawsze. Taki to już twój zwyczaj i kiedy mówisz o zamiarach pana Murdstone...

– Wcale o nich nie mówię – przerwała z żywością Peggotty.

– Nie mówisz, lecz dajesz do zrozumienia, i w tym rzecz. Właśnie przed chwilą powiedziałam, że cię rozumiem i widzę, że tak jest. Otóż, gdy podajesz w wątpliwość dobre intencje pana Murdstone i udajesz, że je lekceważysz, przekonana jesteś, tak jak i ja, że są one najlepsze... powinnaś być przekonana... i jeśli był, i jest zbyt surowy wobec pewnej, wiadomej nam osoby... Zresztą i ty, i ja, i nawet Davy wie, że nie może tu być mowy o nikim obecnym... to.. to jedynie dla przyszłego dobra tej że osoby. Przez miłość dla mnie kocha on najpewniej ową osobę i działa dla jej dobra. W tym, jak i we wszystkim, musimy przyznać mu hart i wyższość. Sama wiem, jak słaba jestem, dziecinna, niedorzeczna zwłaszcza wobec tak poważnego, stałego, pełnego charakteru i woli męża.

– Wiem też – ciągnęła powstrzymując łzy – ile ma kłopotów ze mną. Wierzę mu ślepo, powinnam ulegać we wszystkim, we wszystkim... i być mu wdzięczna. Nieraz czynię sobie wyrzuty, trapią mnie wątpliwości i sama wówczas nie wiem, co począć.

Peggotty słuchała w milczeniu, trzymając w ręku pończochę i opierając na niej brodę patrzyła w ogień.

– Peggotty – przerwała milczenie matka moja zmienionym już głosem – niech się raz skończy to nieporozumienie. Wiem, że jesteś najlepszą mą przyjaciółką i że na twoją tylko przyjaźń mogę liczyć – i kiedy mówię ci, że jesteś niedorzeczna, niezdolna, głupia, to dlatego tylko, że wiem, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką, jesteś nią i byłaś od chwili, gdy mnie owego wieczoru, pamiętasz, spotkałaś na progu domu, do którego wprowadzał mnie pan Copperfield.

W odpowiedzi na te słowa Peggotty przycisnęła mnie z całej siły do piersi. Później dopiero pojąłem niezrozumiałe dla mnie wówczas znaczenie tej rozmowy i zdaje mi się, że pocziwa Peggotty zaczęła ją i podtrzymywała w celu dostarczenia matce mojej sposobności do wylania sprzecznych zresztą, lecz z pewnością trapiących ją srodze uczuć. Wybieg udał się. Przez resztę wieczoru matka moja była już w weselszym i swobodniejszym usposobieniu.

Po herbacie, kiedy ogień wygasł na kominku i zapalono świece, przeczytałem Peggotty na głos rozdział z książki o krokodylach, którą szczególnie lubiła i obecnie z własnej wyzdostała kieszeni. Nie wiem, czy się z nią nosiła tak ciągle od dnia mego wyjazdu do szkoły? Potem rozmawialiśmy znów o Salem House, o Steerforcie i tak minął pamiętny wieczór, zamykający raz na zawsze rozdział, którego czas i życie nie zdołały zetrzeć z mego serca i pamięci.

Około dziesiątej na dziedzińcu zaskrzypiały koła powozu. Porwaliśmy się z miejsca i matka moja widząc, że jest późno, a pan Murdstone jest zdania, że dzieci powinny wczesnie chodzić spać, zauważyła z gorączkowym pośpiechem, czy nie lepiej byłoby, żebym odszedł na górę natychmiast, nie czekając wejścia pana i panny Murdstone. Ucałowałem ją, wziąłem świecę i udałem się po schodach na górę, zanim oni weszli. Gdy kładłem się pośpiesznie tego wieczoru, dziecięca wyobraźnia moja uderzona była wrażeniem, jak gdyby przybyli wnieśli z sobą do domu chłodny powiew, zmiatający ciepłe rodzinne uczucia niby puch marny.

Nazajutrz schodząc na śniadanie czułem się dziwnie zmieszany. Od owego ukąszenia nie spotkałem się jeszcze ze wzrokiem pana Murdstone. Po długim dopiero wahaniu wszedłem do stołowego pokoju.

Stał przed kominkiem, plecami odwrócony do ognia. Siostra jego nalewała herbatę. Patrzył na mnie z góry, lecz gdy wszedłem, nie uczynił najlżejszego ruchu.

Zbliżyłem się i przewyciężając wahanie i nieśmiałość powiedziałem:

- Przepraszam bardzo pana! Żałuję mego postępkę, chciałbym, aby mi pan przebaczył.
- Zadowolniasz mnie swą skruchą – odrzekł.

Podał mi tę samą rękę, którą niegdyś ugryzłem. Nie mogłem powstrzymać się od spojżenia na nią, z ukąszenia pozostała blizna. Chyba sam gorzej jeszcze się płoniłem pod surowym i ponurym jego wzrokiem.

- Jak się pani miewa? – spytałem pannę Murdstone.

– Dobrze – odparła podając mi nie rękę, lecz łyżeczkę do herbaty – a czy długo trwać będą wakacje?

- Miesiąc.
- Licząc od kiedy?
- Od dnia dzisiejszego.
- Uf! To już o jeden dzień mniej.

W podobnie uprzejmy sposób zmieniała się w chodzący kalendarz. Co rano przypominała mi dzień po dniu zbliżającą się chwilę opuszczenia domu. Zanim doszliśmy do dzieściciu, czyniła to kwaśno, potem z coraz weselszym zacięciem i widocznym już zadowoleniem.

Tego też pierwszego dnia moich wakacji miałem nieszczęście wprowadzić ją, chociaż z pozorów była niewzruszona, w gwałtowne zdumienie. Wszedłem do bawialnego pokoju, w którym siedziała wraz z matką moją, i wziąłem tkliwie i uważnie na ręce leżącego na jej kolanach braciszka, który liczył zaledwie kilka tygodni. Panna Murdstone krzyknęła nagle tak, że o mało nie wypuścił z rąk dziecięcia.

- Co ci, Jane? – spytała przestraszona matka moja.
- Na Boga, Klaro! Widzisz?
- Co takiego?

— Wziął je! Chłopiec ten wziął na ręce dziecko!

Trzęsła się z oburzenia, wrywając mi go z rąk, po czym słabo się jej zrobiło i trzeba było ją poić winem. Naturalnie w następstwie tej sceny zakazano mi stanowczo dotykać się, nawet z lekka, do mego brata i chociaż matka moja zdawała się żywić wręcz przeciwne zdanie, że zwykłą swą łagodnością przystała na żądanie panny Murdstone.

— Masz oczywiście rację, Jane! – powiedziała.

Innym znów razem ten sam kochany braciszek (pokochałem go sercem całym, jako dziecko mej matki) stał się nieoczekiwanie powodem gniewu panny Murdstone. Matka moja wpatrując się w oczęta spoczywającego w objęciu dziecka zagadnęła nagle:

- Davy, chodź tu, bliżej – po czym zaczęła przypatrywać się uważnie moim oczom.

Panna Murdstone opuściła na kolana stalowe swe paciorki.

– Najzupełniej podobne – ozwała się z zadowoleniem matka – najzupełniej, po mnie wziąć je musieli, są tego samego co i moje koloru, dziwnie podobne!

- Co mówisz, Klaro? – surowo spytała Jane Murdstone.

– Kochana Jane – nieśmiało odrzekła z nagłą zagadnięta matka moja – znajduję podobieństwo pomiędzy oczyma Davy i małego.

- Zwariowałaś chyba, Klaro! – zdecydowała z niezadowoleniem panna Murdstone.

– Ależ, kochana Jane!...

– Zwariowałaś najzupełniej. Jakież podobieństwo, proszę cię, istnieć może między tym chłopcem a synem mego brata? Żadne! Pod każdym względem są i muszą być zupełnie różni. Nieprzyjemnie mi nawet słuchać podobnych bzdurstw – skończyła i wyszła trzaskając za sobą drzwiami.

Widocznie nie posiadałem łask panny Murdstone. Widocznie nikt mnie tam nie lubił, nawet ja siebie samego, gdyż ci, co mnie kochali, nie śmieli tego okazywać, a ci, którym niemiły byłem, okazywali to znów tak bez ceremonii, że mimo woli stawałem się nieśmiały, niezręczny, posępny. Czułem się skrepowany, a im też było ze mną nieprzyjemnie.

Gdym wchodził do pokoju, w którym gwarzyli, natychmiast wesołość opuszczała matkę, chmura osiadała na jej czole, znikał dobry nastrój pana Murdstone, a podwajał się zawsze kwaśny humor jego siostry. W tym wszystkim czułem dobrze, że główną ofiarą była moja matka, czułem, że boi się swobodnie mówić ze mną, patrzeć na mnie, żeby się im nie narażać i nie znosić potem cierpkich snadź wymówek. I nie o siebie samą lękała się biedaczka, lecz i o mnie, niespokojnie śledząc zwrócone na mnie oczy rodzeństwa Murdstone. Widziałem to, rozumiałem i, o ile mogłem, unikałem ich. Niejedna zimowa godzina wydzwoniła na kościelnej wieży, w czasie gdy ja smutny i samotny siedziałem w moim pokoiku. Wieczorami przebywałem czasem z Peggotty w kuchni. Tu czułem się swobodny, nie bałem się być sobą. Zdaje się jednak, że zarówno to, jak i wybrana przeze mnie samotność nie podobały się w bawialnym pokoju. Potrzebny byłem prześladowcom naszym dla dołączenia tego, co nazywali wychowaniem mojej biednej matki. Gniewała ich moja nieobecność.

– Dawidzie – zauważył raz po obiedzie, kiedym się już oddalał, pan Murdstone – z przykrością patrzę na nietowarzystkie twoje usposobienie.

– Ponury jak niedźwiedź – dodała panna Murdstone.

Zatrzymałem się na środku pokoju i zwiesiłem głowę.

– Czy wiesz, Dawidzie – ciągnął pan Murdstone – że ponurość i skrytość są to najniezdrowsze cechy charakteru?

– Są one u chłopców nieomylną oznaką uporu i przekory – zauważyła panna Murdstone. – Musiałś to zauważyć, Klaro?

– Przepraszam cię, kochana Jane – odrzekła zagadniona – czy to, co mówisz... przepraszam cię, kochana Jane, odnosi się do mego syna?

– Naturalnie – odrzekła panna Murdstone – muszę przecież, gdy mówię, mieć kogoś na myśli. Nie roszczę pretensji do szczególnej głębokości poglądów, lecz sądzę, że nie mijam się nigdy ze zdrowym rozsądkiem.

– Najpewniej, kochana Jane – podchwyciła matka moja – masz wiele, wiele przenikliwości.

– Och! Proszę cię, nie mówmy o tym – odparła ze złością panna Murdstone.

– Ale tak, tak – twierdziła matka moja – wszystkim to wiadomo i ja sama korzystam... to jest powinna bym korzystać ze świątłych rad twych i wskazówek. Uznaję, wierz mi, uznaję więcej niż kto bądź...

– O! Tak, nie możemy zrozumieć tego chłopca – mówiła z godnością panna Murdstone poprawiając stalowy łańcuszek na ręku. – O! Tak! Nie jesteśmy zdolni zrozumieć i zgłębić tej studni wszelkich doskonałości. Zgadza się z tym, zgadzam. Bratu memu przynajmniej może przyznana zostanie większa przenikliwość. Właśnie miał coś powiedzieć w tym względzie, gdyśmy mu przerwały... jak sądzę, niezbyt grzecznie.

– Istotnie, Klaro! – ozwał się cichym, głębokim głosem pan Murdstone – nie możesz być bezstronnym sędzią w pewnych kwestiach.

– Wiem, Edwardzie – odrzekła nieśmiało matka – że we wszelkich kwestiach i ty, i siostra twoja bieglejszymi ode mnie bywacie sędziami, i to tylko chciałam powiedzieć...

– Z pewnością coś niedorzecznego – odparł pan Murdstone – powinnaś bardziej panować nad sobą.

Usta matki mojej poruszały się, jak gdyby szeptały: „Zapewne, drogi Edwardzie”, nie wydały jednak żadnego dźwięku.

– Z przykrością zauważyłem – ciągnął pan Murdstone zwracając się do mnie – twoje ponure usposobienie i nie mogę zezwolić, aby się ono rozwijało pod moim okiem. Konieczne jest, abyś starał się zmienić lub... my się o to postaramy.

– Przepraszam pana – próbowałem się bronić – dawniej nie byłem ponury.

– Nie zasłaniaj się kłamstwem! – huknął tak, że aż matka moja pobladła i mimo woli wyciągnęła ku nam ręce. – Wiem, co mówię. Chowasz się po kątach, przesiadujesz godzinami całymi w swoim pokoju. Wiedz, że chcę, wyraźnie chcę, abyś ciągle dotrzymywał nam towarzystwa, tu pod naszym okiem. Znasz mnie i wiesz, że umiem, gdy potrzeba, nakazać ci posłuszeństwo.

Panna Murdstone zaśmiała się ochryple.

– Wymagam – ciągnął – posłuszeństwa, zaufania i uprzejmości tak dla siebie, jak dla siostry mojej, Jane Murdstone, jak i dla twojej matki. Nie chcę, abyś uciekał od nas jak od zapowietrzonych dla dogodzenia swym kaprysom. Usiądź tam.

Mówił do mnie jak do psa i ja słuchałem go jak pies swego pana.

– Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego – ciągnął – zauważyłem u ciebie zamiłowanie do złego towarzystwa, bratasz się ze służącymi, najchętniej przebywasz w kuchni; gdzie z pewnością niczego dobrego nauczyć się nie możesz. Baba, co cię rozpieszcza, nie o tobie to mówię, Klaro – wtrącił półgłosem zwracając się do żony – ta baba, która dogadza wszelkim twym zachciankom, nie jest wcale odpowiednim dla ciebie towarzystwem...

– Najnieodpowiedniejszym – potakiwała panna Murdstone.

– Jednym słowem – kończył – nie wymagam, abyś gardził panią Peggotty, mówię tylko, że to nie jest odpowiednie dla ciebie towarzystwo, że powinienesz zastosować się w zupełności do mojej woli i obliczyć następstwa, jakie krnąbrność twa pociągnie. Rozumiesz mnie?

Rozumiałem lepiej może, niż przypuszczała, jakie następstwa wyniknąć by mogły dla biednej mej matki, i nie próbowałem nawet stawić oporu. Zaprzestałem chronić się w samotności, zaprzestałem przesiadywać z kochaną mą piastunką i całe dni przesiadywałem beczynnie i milczący w bawialnym pokoju, niecierpliwie wyglądając nocy jak wybawienia.

Ile mnie ten przymus kosztował, jak nużył, nie potrafię wyrazić. Za najłżejszym mym poruszeniem panna Murdstone utyskiwała na ruchliwość chłopców w ogóle, a na moją w szczególności. Nie śmiałem podnieść oczu wiedząc, że jestem przedmiotem ustawicznego i nieprzyjaznego badania. Wsłuchiwałem się w tykanie zegara, w dźwięk nawlekanych przez pannę Murdstone koralu i myślałem, jak nieszczęśliwy byłby ten, kto by się z nią ożenił. Liczyłem żłobienia kominka, kwiaty na obiciach, rysy na suficie... O, nudne to i ciężkie były godziny!

Podczas, krótkich nawet, zimowych przechadzek pod oknami domu nosiłem wszędzie ze sobą obraz rodzeństwa Murdstone – jarzmo za ciężkie na moje słabe barki, ugniatające mi umysł i męczące zmysły.

A obiady! Śniadania! Spożywałem je onieśmielony, milcząc, czując zawsze, że u stołu było jedno nakrycie nadto, i to moje właśnie, jedno krzesło nadto, i to moje, jedna osoba zbyt liczna – moja.

A wieczory! Zapalano świece. Musiałem się przecie czymkolwiek zająć, a nie śmiejąc otworzyć zajmującej lub zabawnej książki drzemałem nad nudną książką od arytmetyki, której tablice miar i wag tańczyły mi przed oczyma na melodię pieśni „Władaj, Brytanio” albo „Precz, smutki”, nie wrażając się w pamięć i umysł, na kształt prątków, które wpychane w jedno oczko wyłaziły drugim.

Ileż wymknęło mi się poziewań, ileż razy zdrzemnąłem się, aby się przebudzić w największym strachu! Jakże się czułem zbyt liczny, na nic nikomu niepotrzebny i ciągle strzeżony! Z jaką niecierpliwością czekałem uderzenia dziewiątej godziny i rozkazu panny Murdstone odsyłającej mię do łóżka!

Tak przeszły wakacje do dnia, w którym z rana panna Murdstone podając mi filiżankę herbaty zauważyła, że jest on ostatnim.

Odjeżdżałem bez żalu. Wpadłem w stan zupełnego ogłupienia, ale pomimo jasno rysującego się w perspektywie spotkania z panem Creakle nie bez pociechy myślałem o zobaczeniu się ze Steerforthem. Znowu pan Barkis podjechał wózkiem pod bramę i znowu panna Murdstone widząc, że mię matka chce uściskać na pożegnanie, nie omieszkała zawołać ostrym i ostrzegającym tonem:

– Klaro!

Ucałowałem matkę, braciszka, czułem, jak mi się serce ściska... nie z żalu jednak, że opuszczam mój dom. Widziałem przepaść dzielącą mnie od moich bliskich, wśród których czułem się przez cały ten czas obcy i zbyteczny. Ostatni pocałunek matki mojej tkliwy, jak zawsze, nie tyle mi się wraził w pamięć, ile to, co po nim nastąpiło.

Siedziałem już w wózku, gdym raz jeszcze głos jej usłyszał; wołała mię po imieniu. Odwróciłem się spieszenie. Stała we drzwiach sama, podnosząc braciszka, abym go mógł lepiej widzieć. Dzień był chłodny, lecz żaden powiew wiatru nie poruszył ani włosów jej, ani fałd sukni, gdy tak stała w drzwiach odprowadzając mnie długim, długim spojrzeniem, aż mi znikła z oczu.

Taką widywałem ją potem w moich snach, stojącą przy mym łóżku, cichą, milczącą, nieruchomą, z małym dzieckiem na ręku.

Rozdział IX

Pamiętna rocznica urodzin

Pomijam wszystko, co zaszło w szkole aż do moich urodzin, przypadających w marcu. Nic szczególnego nie utkwilo mi w pamięci oprócz tego, że Steerforth budził we mnie coraz większe uwielbienie. Przy końcu półroczna, jeżeli nie wcześniej, miał opuścić szkołę, co mu nadawało w moich oczach więcej jeszcze niezależności i śmiałości. Inne drobne wrażenia giną w jednym wielkim pozostałym mi z tej epoki wspomnieniu. Trudno mi nawet przypuścić, że całe dwa miesiące upłynęły od mego powrotu z wakacji do rocznicy mych urodzin. Rozumiem tylko, że tak być musiało, chociaż wciąż mi się zdaje, że wypadki nastąpiły po sobie bez żadnej przerwy.

Jakże jasno pamiętam ów dzień! Czuję jeszcze mgłę wiszącą w powietrzu, widzę białą szron na gałęziach do widm podobnych drzew, czuję lepkie od wilgoci włosy spadające mi na czoło, patrzę w mroczne przestrzenie szkolnej izby, rozświetlone w to mgliste i ciemne rano zapalonymi tu i ówdzie świecami, słyszę moich towarzyszy ogrzewających oddechem zziębnięte ręce, a tupaniem zlodowaciałe nogi.

Zjedliśmy właśnie śniadanie i mieliśmy wyjść na przechadzkę, gdy ukazując się we drzwiach pan Sharp zawołał:

– Dawid Copperfield proszony jest do bawialnego pokoju.

Spodziewałem się w skrytości ducha przesyłki z jakimś przysmaczkiem od Peggotty. Porwałem się też z miejsca rażnie, słysząc goniące mię wołanie towarzyszy, abym nie zapominał o nich przy uczcie.

— Nie śpiesz, Dawidzie – zauważył pan Sharp – nic pilnego, mój chłopcze, nic pilnego.

Ton pełen współczucia, jakim przemawiał, powinien był zastanowić mnie, lecz nie zwróciłem na to wówczas uwagi, później dopiero przypomniałem sobie. Wchodząc pośpiesznie do bawialnego pokoju zastałem pana Creakle spożywającego śniadanie i przerzucającego dzienniki. Pani Creakle trzymała w ręku rozpieczętowany list. Przesyłki nigdzie ani śladu.

– Dawidzie Copperfield – ozwała się pani Creakle wiodąc mnie ku kanapie i sadzając przy sobie – chciałabym pomówić z tobą... mam ci coś do powiedzenia, moje dziecko.

Pan Creakle, na którego spojrzałem, kiwnął tylko głową, zatrzymując się z połknięciem kawałka grzanki.

– Jesteś zbyt młody – ciągnęła pani Creakle – aby rozumieć rozciągłość zmian, jakie dzień każdy przynosi w rzeczach... i w ludziach. Wszyscy jednak wczesniej czy później doświadczyć musimy tej bolesnej prawdy. Jednych spotyka to w późniejszym, innych w bardzo młodym wieku.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

– Kiedyś opuszczał dom po wakacjach, czyś wszystkich zostawił w dobrym zdrowiu? – spytała po chwili namysłu. – Czy matka twoja była jeszcze zdrowa?

Dreszcze mię jakieś przebiegły, sam nie wiem czemu. Zamiast odpowiedzieć, patrzałem na mówiącą.

– Bo to widzisz, moje dziecko – rzekła – doszła mnie właśnie wiadomość, że... jest ciężko chora.

Pomiędzy mną a mówiącą spadł niby obłok zasłaniając mi jej twarz. Po chwili dwa strumienie piekących łez spłynęły mi z oczu.

– Bardzo, bardzo jest chora – dodała.

Zrozumiałem.

– Umarła.

Słowo to było zbyt ciężkie. Płakałem, jak płaczą sieroty.

Pani Creakle dobra była i okazała mi wiele współczucia. Zatrzymała mnie przy sobie dzień cały, często pozostawiając samego. Płakałem, dopóki sen mnie nie zmorzył, a potem budziłem się, by znów płakać. Gdy mi już łez nie starczyło, zacząłem rozmyślać, co by najmniej boleści mej nie zmniejszało.

Puste jednak były myśli moje, błąkały się wokół mej niedoli, zahaczały o tysiące drobnotek. Myślałem o ciszy, jaka tam zapanować musiała, o zamkniętych oknach. Myślałem o braciszku, o którym pani Creakle mówiła mi, że jest chory od pewnego czasu i umrze też prawdopodobnie. Myślałem o mogile mego ojca na cmentarzu i o tej, którą wykopano zapewne dla mojej matki pod dobrze znanymi mi drzewami. Pozostawszy sam wsiadłem na krzesło, aby się przekonać w lustrze, czy mam zaczerwienione oczy i zasmuconą twarz. Pytałem siebie w duchu, dlaczego łzy płyną tak obficie i są takie ciężkie i czy mi się znów rzucą do oczu, gdy się zbliżę do domu, dokąd miałem udać się na pogrzeb. Czuję przy tym, że boleść moja wyróżnia mnie spośród towarzyszy dając mi pewną przewagę nad nimi.

Boleść jednak w moim dziecięcym sercu była głęboka i rozdzierająca. Mimo to z pewną dumą wszedłem po południu do szkolnej izby, gdzie pod zwróconymi na mnie spojrzeniami krok mój stawał się powolniejszy, twarz smutniejsza, a gdy towarzysze otoczyli mnie ze słowami współczucia, za zasługę nawet poczytywałem sobie, że ich traktuję serdecznie, że zwracam na nich uwagę, tak jak gdyby nic szczególnego w moim życiu nie zaszło.

Udać się miałem do domu nazajutrz rano już nie dyliżansem, lecz wozem służącym wieśniakom do wszystkich przejażdżek po niewielkich przestrzeniach. Wieczorem nie było naturalnie mowy o codziennych opowieściach, a poczciwy Traddles chciał mi koniecznie oddać swą poduszkę. Wątpię, czy istotnie była mi potrzebna, gdyż miałem własną; sądzę, że ofiarowywał mi ją jako jedyną rzecz, którą posiadał, oprócz znakomitego zbioru rysowanych w najrozmaitszy sposób kościotrupów. Zbiór ten też ofiarował mi na wyjeździe jako pociechę i najskuteczniejszy sposób przywrócenia zakłóconej równowagi.

Po południu wyjechałem z Salem House nie przypuszczając, że wyjeżdżam bezpowrotnie. Dopiero nazajutrz o dziewiątej czy dziesiątej rano stanęliśmy w Yarmouth. Próżno szukałem znanego mi woźnicy Barkisa. Nie było go, zjawił się natomiast niski, pękaty człowieczek, wesoły, uśmiechnięty, ubrany na czarno, z kokardami u spodni i w czarnych pończochach.

– Czy pan Copperfield? – spytał.

– Jestem – odpowiedziałem.

– Proszę kawalera – rzekł otwierając drzwiczki pojazdu. – Zlecono mi tu spotkać kawalera.

Wziął mnie za rękę; gubiłem się w domysłach idąc z nieznajomym do sklepu położonego przy wąskiej uliczce. Nad drzwiami czerniał napis: „Omer, krawiec, dostawca galanterii, ubrań żałobnych, liberii itd.”

Sklep szczupły był i ciasny, przepełniony wykończonymi i w robocie będącymi przedmiotami, z oknem zasłoniętym do połowy piętrzącymi się na nim kapelusami, czapkami i tym podobnie. Przeszedłszy sklep znaleźliśmy się w małej izdebce. Trzy młode kobiety zajęte były tu krajaniem i szyciem czarnego materiału, którego skrawki walały się na stolach i podłodze. Na kominie płonął duży ogień, a w pokoju rozchodziła się woń przypalonej czarnej krepy. Woń tę, nie znaną mi przedtem, nauczyłem się odtąd doskonale odróżniać.

Trzy młode szwaczki, jak się zdawało, zadowolone i bardzo zajęte robotą, podniosły na chwilę wzrok, aby się mi przypatrzeć, i natychmiast wróciły do szycia i krajania: „Czyk, czyk, czyk”. Za oknem wtórowało im równomierne i jednostajne uderzenie młotka: „Rat-tat-tat, rat-tat-tat”.

– No! – zawołał towarzysz mój zwracając się do jednej ze szwaczek – jak ci idzie robota, Minnie?

– Skończymy w porę – odrzekła wesoło zagadnięta nie podnosząc głowy. – Bądź spokojny, ojczu.

Pan Omer zdjął kapelusz; usiadł, by się wysapać, co mu jego otyłość nakazywała po każdym zmęczeniu.

– Dobrze – rzekł wreszcie.

– Ojczu! – zawołała Minnie – czemuś taki smutny?

– Sam nie wiem doprawdy dlaczego, kochanie! – odpowiedział po chwili namysłu. – Ale tak jest.

– Zwykle bywasz wesoły, rozmowny. Nie bierzesz niczego do serca.

– Najlepsza to metoda.

– Zapewne! Toteż nikomu tu z nas nie brak wesołości – dorzuciło dziewczę.

– Dobrze, dobrze – potwierdził pan Omer. – A teraz, gdym się odsapał, wezmę miarę tego kawalera. Proszę kawalera do sklepu.

W sklepie krawiec pokazał mi sztukę sukna, którego gatunek zachwalał utrzymując, że najlepszy jest do ciężkiej żałoby, i zdjawszy ze mnie miarę zapisał ją w książeczce, zwracając przy tym moją uwagę na przeróżne fasony, o których mówił, że albo dopiero co weszły lub też wyszły już z mody.

– Tracimy na tym wiele – mówił – ale na to nie ma rady. Moda jak ludzie. Przyb ędą nie wiadomo jak, skąd, dlaczego, by odejść nie wiadomo jak, dokąd i po co. Zdaniem moim, to wszystko jest wiernym odbiciem życia.

Zbyt smutny byłem, aby się wdawać w te, w każdym razie rozumienie moje przechodzące, dyskusje. Po wzięciu miary zadyszany krawiec zaprowadził mnie znów w głąb domu. Otworzywszy drzwi zażądał „herbaty, chleba i masła”, co też po jakimś czasie, spędzonym przeze mnie na przysłuchiwaniu się krojącym nożyczkom w izbie i uderzeniom młotka na dziedzińcu, wniesione zostało na tacy i jak się okazało, dla mnie.

– Od dawna już – począł pan Omer wpatrując się we mnie – od dawna znam kawalera.

– Czy tak? – spytałem. Widok tych czarnych materii i krepy odejmował mi zupełnie apetyt.

– Znam go od dnia urodzenia, a nawet i przedtem. Znałem ojca. Miał pi ęć stóp i dziewięć i pół cala, teraz zaś wystarczy mu pięć stóp i dwadzieścia cali.

„Rat-tat-tat, rat-tat-tat” – dźwięczało za oknem.

– Pięć stóp, dwadzieścia – powtarzał krawiec.

— Czy mi pan nie może powiedzieć, jak się ma mój braciszek? – zagadnąłem.

Pan Omer wstrząsnął głową.

„Rat-tat-tat, rat-tat-tat”.

– Spoczywa na łonie swej matki – rzekł po chwili.

– Biedactwo! Umarł!

– Niech kawaler nie bierze tego tak do serca. Tak, umarł.

Wiadomość ta rozdrażniła świeże moje rany, odepchnąłem filiżankę z herbatą i opierając głowę na drugim stole, przy którym Minnie szyła, zacząłem wylewać nowe i dla roboty szwaczki groźne łez potoki; toteż Minnie szybko odsunęła robotę. Dobra to musiała być dziewczyna, gdyż odgarniała mi łagodnie i pieszczotliwie włosy z czoła. Wesołość jej zresztą nie cierpiała na tym, cieszyła się skończeniem w porę roboty.

Za oknem ucichło, a do pokoju wszedł przystojny chłopak z młotkiem w rękę i ustami pełnymi świeczków, które musiał z nich wyjąć, zanim przemówił.

– A co, Joram? – spytał krawiec.

— Wszystko gotowe – odrzekł.

Minnie zarumieniała się tymczasem, a towarzyszki jej zamieniły uśmiechy.

– Byłeś tam wczoraj wieczorem, co? Przy świecach, gdym poszedł do klubu, co? – pytał pan Omer.

– Tak! – odrzekł Joram – pobiegliśmy razem z Minnie, by wziąć miarę. Może by pan zobaczył.

– A jakże! – rzekł wstając z miejsca i zwracając się nagle do mnie dodał:

— Może byś też kawalerze...

Lecz córka przerwała mu żywo:

– Nie, nie, ojcze.

– Sądziłem, że mu to sprawi przyjemność – rzekł krawiec – lecz może i masz słuszość.

Zrozumiałem. Szło o trumnę mojej matki. Nigdy przedtem nie widziałem, jak to się robi, lecz przypomniałem sobie dopiero co słyszane uderzenia młotka i domyśliłem się, jaką to młodzieniec ten skończył pracę.

Skończywszy też robotę dwie szwaczki, nie znane mi z imienia, oczyściły suknie ze skrawków i nitek i udały się do sklepu układać towary i obsługiwać klientów. Minnie zajął się pakowaniem wykończonej roboty. Ciągłe przy tym coś nucila z cicha. Joram, który zalecał się zapewne do niej, pocałował ją znienacka korzystając z roztargnienia dziewczyny. Na mnie nie zwracano najmniejszej uwagi, mówił przy tym, że krawiec poszedł po wóz, więc że i on musi się spieszyć. Wybiegł. Ona też skończywszy układanie schowała napałstek i nożyczki do kieszeni, wpięła w stanik igłę, z długą, czarną nitką, oczyściła sukienkę, przejrzała się w lusterku, które odbiło uśmiechniętą twarzyczkę.

Przyglądałem się temu wszystkiemu siedząc z głową wspartą o róg stołu i myśląc o tysiącu rzeczy. Wkrótce przed drzwiami sklepu zaturkotał wóz. Wstawiono doń pudło, dopiero co zapakowane; po czym wsiedliśmy my. Miejsca było sporo. Wóz to był bowiem długi, pomalowany na czarno, ciągnięty przez czarne, o długich grzywach i ogonach konie.

Nie pamiętam, abym drugi raz w życiu podobnego doświadczył wrażenia jak to, które sprawiła na mnie podróż odbyta w śmiejącym się i wesołym towarzystwie. Wesołość ta nie gniewała mnie, przeciwnie, przerażała raczej, jak gdybym znajdował się wśród istot, z którymi nie miałem nic wspólnego.

Stary siedział na przedzie i powoził. Minnie i Joram tuż za nim, tak że mówiąc do nich musiał się obracać. Gawędzili z sobą nieustannie chcąc i mnie wciągnąć w gawędkę, lecz milczałem odwrócony, wystraszony ich śmieszkami i miłostkami, podziwiając ich brak serca. Gdyśmy się zatrzymali przy gospodzie, oni pili i jedli, lecz ja ani pić, ani jeść nie mogłem, a gdyśmy stanęli przed domem, wysłiznąłem się czym prędzej nie chcąc w towarzystwie tym stanąć przed zamkniętymi tak szczelnie oknami, jak powieki na niedawno jeszcze błyszczących źrenicach. Sam widok tych okien przejmował mnie boleścią.

Zanim uczyniłem parę kroków, znalazłem się w objęciach Peggotty. Na widok mój wybuchnęła płaczem, lecz opanowała się zaraz i mówiła szeptem, stąpała cicho, jak gdyby lękała się rozbudzić tę tam uśpioną. Spędziła wiele bezsennych nocy i teraz postanowiła nie odstąpić na krok swej kochanej pani. Wytrwać do końca.

Pan Murdstone nie zwrócił najmniejszej uwagi na mnie, gdym wszedł do bawialnego pokoju. Zagłębiony w fotelu, płakał. Panna Murdstone siedziała przy biurku zarzuconym papierami. Podała mi chłodno końce palców pytając obojętnie szeptem, czy wzięto ze mnie miarę na żalobę.

– Tak – odpowiedziałem równie cicho.

– Przywiozłeś ze sobą koszule? – dodała.

– Przywiozłem, mam z sobą całą moją odzież. Na tym ograniczyły się słowa pociechy. Nie wątpię, że z pewną przyjemnością popisywała się swym hartem i tym podobnymi, szatańskimi w takich okolicznościach, zaletami swego charakteru. Dumna też była z praktyczności, jakiej i obecnie stale dawała dowody pisząc, rachując, zajmując się wszystkim zgoła. Do samego wieczoru przesiedziała przy biurku; pióro jej ustawicznie skrzypiało, do każdego przemawiała tym samym oschłym szeptem, na twarzy jej żaden nie drgnął mięskul, w głosie żadna serdeczniejsza nie zadźwięczała nuta, nawet fałdy jej sukni najlżejszej nie uległy zmianie.

Brat jej brał czasem książkę do ręki, ale jej nie czytał. Otwierał ją tylko i godzinami całymi wpatrywał się w tę samą stronicę. Czasem wstawał i przechadzał się po pokoju. Siedziałem z założonymi na piersiach rękoma i liczyłem jego kroki lub przypatrywałem się mu w milczeniu. Rzadko przemawiał do siostry, do mnie za ś ani razu. On jeden w ciszy zaległej dokoła zdawał się być miotany niepokojem.

W dniach poprzedzających pogrzeb mało widywałem Peggotty, która nie opuszczała pokoju, gdzie spoczywała matka moja z dzieciątkiem. Wieczorem tylko, gdym się położył, siadywała przy mnie, dopóki nie zasnąłem. W wigilię pogrzebu – sądę, że musiało to być wigilią, lecz za pamięć moją w tych ciężkich chwilach nie ręczę – zaprowadziła mnie t a m. Wszystko było tam białe, czyste, świeże, spokojne! Lecz gdy sięgnęła ręką po zakrywającą łóżko zasłonę, zatrzymałem ją wołając:

– O! Nie! Nie! Nie!

Gdyby pogrzeb miał miejsce wczoraj dopiero, nie mógłbym pamiętać dokładniej; samo powietrze i gra barw w saloniku, ogień na kominie, kipienie wina w dzbanach i kielichach, kształt talerzy i półmisek, słodki zapach ciasta, woń sukni panny Murdstone, czern naszej żałoby, wszystko to utkwilo mi w pamięci. Pan Chillip obecny zbliżył się do mnie.

— Jak się masz, kochany chłopcze?

Milcząc podałem mu rękę.

– No proszę, proszę – zauważył z uśmiechem i z zachodzącą mu zarazem wzrok wilgością – jak te dzieci szybko rosną! Dogonią nas, ani się obejrzym.

Ostatnie słowa zwrócone były do panny Murdstone.

– Nie zwracamy zwykle na to uwagi – ciągnął doktor, lecz zauważywszy, że go panna Murdstone zbywa chłodnym milczeniem, cofnął się wraz ze mną do kąta i nie otworzył już więcej ust.

Notuję to, jak i wszystko, co mi się wraziło w pamięć, nie dlatego, abym myślał wówczas o sobie. Pamiętam, że zadzwoniono w kościele i że pan Omer i inni zaczęli nas popędzać. Peggotty mówiła mi kiedyś, że odprowadzający mego ojca do tego samego grobu także wyruszyli z owego pokoju.

Było nas kilku: pan Murdstone, sąsiad nasz, pan Grayper, pan Chillip i ja. Gdyśmy wyszli z domu, żałobnicy stali już ze swym ciężarem w ogrodzie. Poszliśmy za nimi ścieżką, minęliśmy wiąz, bramę, weszliśmy na cmentarz, gdzie niegdyś w letnie poranki przysłuchiwałem się szczebiotowi ptasząt...

Stanęliśmy dokoła mogiły. Dzień wydawał się mi odmienny od dni innych i sama jego jasność trochę jakby przyćmiona i smętna. Panowała niewzruszona uroczysta cisza. Za chwilę mieliśmy ziemi oddać, co ziemskie. Nad odkrytymi głowami rozległ się czysty i wyraźny głos kapłana:

– „Jam jest zmartwychwstanie i życie, mówi Pan!”

Usłyszałem łkanie. Obejrzałem się. Opoдал stała wierna sługa, jedyne pozostałe mi na ziemi serce! Pewien jestem, że Pan mógłby powiedzieć do niej:

„Idź w pokoju”.

W tłumie otaczającym mogiły spostrzegłem znane mi twarze, twarze widywane w kościele, gdzie zwykł był niegdyś szukać rozrywki dla mej dziecięcej wyobraźni, twarze

znane matce mojej, które witały ją, gdy w kwiecie młodości osiadła w tej okolicy. Nie myślałem wówczas o tym, cały oddany boleści, wszystko to jednak musiałem widzieć dokładnie, jeśli zapamiętał tak wiernie nawet twarz Minnie i śmiejące się jej spojrzenia, szukające stojącego za mną kochanka.

Skończyło się. Zasypano grób ziemią, wyszliśmy z cmentarza. Przed nami wznosił się nasz dom, w niczym nie zmieniony, taki jaki był dawniej, co bardziej jeszcze żal mój powiększało. Wiedli mnie do tego domu, pan Chillip coś do mnie mówił, a kiedyśmy weszli, podał mi szklankę wody; na moją prośbę, aby mi pozwolono odejść do mego pokoju, z kobiecą zezwolił łagodnością.

Wszystko to ma dla mnie świeżość wczorajszych wspomnień. Późniejsze wypadki fałują mi w pamięci jak zmienne morskie zwierciadło, te zaś stoją na kształt niewzruszonej skały.

Peggotty przyszła niebawem do mego pokoju. W dniu tym panowała świąteczna jakaś atmosfera, odpowiednia naszym nastrojom. Peggotty usiadła na brzegu mego łóżeczka i ująwszy mnie za rękę podnosiła ją od czasu do czasu do ust, to znów gładziła i pieściła w swych dłoniach zupełnie tak, jak gdyby kołysła płacz mego małego braciszka. Opowiedziała mi po swojemu, jak to wszystko się stało.

– Od dawna już – mówiła – była cierpiąca. Miotał nią niepokój, nie była szczęśliwa. Z początku po urodzeniu się dzieciątka sądziłam, że się wzmocni, ale wyglądała coraz, coraz gorzej, z dniem każdym traciła siły. Przed urodzeniem dziecka lubiła siadywać samotnie i płakać w skrytości, potem zwykła była śpiewać nowo narodzonemu tak słodko, że słuchając czasem zdawało mi się, że głos ten spływa z wysoka i tuż tuż się rozplynie. Sądzę – ciągnęła – że stawała się coraz bardziej nieśmiała, lękliwsza: każde ostre słowo raniło biedaczkę i dobijało. Dla mnie pozostała zawsze taka, jaką dawniej była, nie zmieniła się nigdy.

Zatrzymała się Peggotty i delikatnie gładziła mnie po rękę.

– Ostatni raz – mówiła dalej – widziałam ją taką, jaką dawniej bywała, tego wieczoru, coś przyjechał na wakacje. W dniu twego odjazdu, nieboraczka, powiedziała mi: „Nie zobaczę go już pewno więcej, przeczucie nigdy mnie nie myli”. Starła się panować nad sobą, a gdy dowodzili, że jest dziecinna i bezmyślna, nie zaprzeczała im i uśmiechała się tylko łagodnie. Nigdy też nie wspominała o tym przy mężu, bała się mówić komukolwiek, ale mnie mówiła wszystko, wszystko. Raz tylko, tydzień temu, powiedziała wieczorem mężowi: „Mój drogi, sądzę, że już umieram”. Kiedy ją wieczoru tego rozbierałam do snu, mówiła mi: „Peggotty, uwierzy on temu, co mówię, bo to nastąpi i minie. Czuję się bardzo, bardzo chora. Jeśli to ma być snem, zostań przy mnie, zanim zasnę, nie odchodź ode mnie. Bogu polecam moje dzieci! Niech Pan ma w swojej opiece biednego mego sierotę”. Od tego wieczoru nie odstępowałam jej ani na krok – ciągnęła Peggotty. – Często rozmawiała i z tamtymi, kochała ich, nieboraczka, kochała każdego, co się do niej zbliżył, lecz gdy odchodzili od jej wezglowia, zwracała się zawsze ku mnie, jak gdyby we mnie tylko znajdowała ukojenie, i zasypiała na moich rękach. Ostatniego wieczoru ucałowała mnie mówiąc: „Jeśli i moje maleństwo umrze, proszę cię, niech je położą przy mnie, niech nas razem pochowają”. Tak się też i stało. Biedactwo przeżyło matkę o jeden dzień zaledwie! „Proszę cię – mówiła jeszcze – niech mój Davy odprowadzi nas na miejsce wiecznego spoczynku i powiedz mu, że go matka na śmiertelnym łożu, nie raz, lecz tysiąc razy błogosławiła”.

Długie nastąpiło milczenie. Peggotty pogładziła moją rękę.

– Późno już w nocy – mówiła – zachciało jej się pić, a gdy podała napój, uśmiechnęła się do mnie tak słodko, prześlicznie... Droga moja! Nadszedł poranek i słońce już wzeszło, gdy przyzwawszy mnie bliżej zaczęła mówić mi, jak dobrym, cierpliwym był pan Copperfield, jak ją zawsze, gdy powątpiewała o sobie, upewniał, że kochające serce więcej znaczy od największej mądrości i że jest szczęśliwy, że posiadał jej miłość. „Podnieś mnie, zbliż do

siebie – mówiła biedaczka czując się coraz słabsza – załóż mi ręce na szyję, nachyl się nadę mną, nie mogę dojrzeć twojej twarzy, chcę ją mieć bliżej siebie”. Zrobiłam, jak chciała, i – o! Davy, pamiętasz? mówiłam, że jej nie opuszczę aż do śmierci – zasnęła jak niewinne dziecko, tu, na ręku starej, gderliwej Peggotty.

Tak się skończyło opowiadanie wiernej sługi i przyjaciółki. Od chwili, jakem się dowiedział o śmierci matki, stał się w mojej pamięci jej obraz taki, jaką była w ostatnich czasach. Od tej chwili widziały ją wspomnienia moje młodą i szczęśliwą matką z najwcześniejszych mych wrażeń, nawijającą na białe palce długie sploty jasnych włosów, tańczącą ze mną o szarej godzinie w bawialnym naszym pokoju. To, co mi opowiedziała Peggotty, nie tylko nie przypomniało mi bliższych ostatnich czasów, lecz, przeciwnie, wzmogło jeszcze wrażenie, utrwaliło głębiej w pamięci i w sercu obraz dawniejszy, obraz z lepszych dni. Dziwne to, lecz prawdziwe. Śmierć snadź zmazując wspomnienie zwróciła mi ją we wrażeniach mych beztroską i młodą. W grobie spoczywająca matka była mi matką mego dzieciństwa. Na łonie jej spoczywające dziecię to byłem ja sam, jak niegdyś bywało, uśpiony na zawsze w jej sercu.

Rozdział X

Zaczynam zarabiać na życie

Po pogrzebie i odsłonięciu okien panna Murdstone wypowiedziała służbę Peggotty. Chociaż obecne miejsce nie mogło jej zadowalniać, sędzę, że przez wzgląd na mnie Peggotty nie zamieniłaby go dobrowolnie, nawet na korzystniejsze. Powiedziała mi, że mamy się wkrótce rozstać, wytłumaczyła, dlaczego. Z całego serca ubolewali śmy nad tym oboje.

O mnie i o planach dotyczących mojej przyszłości nie mówiono wcale, nie powzięto żadnych kroków. Z przyjemnością zapewne wypowiedziano by i mnie służbę, gdyby się to dało zrobić. Raz zdobyłem się na odwagę i spytałem pannę Murdstone, kiedy wrócę do szkół? Odpowiedziała mi oschle, że o ile sądzi, nie wrócę wcale. Poza tym niczemom się nie dowiedział i wraz z Peggotty gubiliśmy się w płonnych domysłach nie mogąc się niczego dowiedzieć.

W położeniu moim zaszła jednak pewna zmiana. Dodając mi swobody na razie, zatrwożyłaby mię co do swych przypuszczalnych następstw, gdybym się był wówczas nad tym zastanawiał. Oto zniesiono ciężący przedtem nade mną dozór. Nie wymagano już, abym przesiadywał całymi godzinami w bawialnym pokoju, owszem, raz gdym przysuwał do ogólnego stołu krzesło, panna Murdstone dała mi znak głową, abym się oddalił. Nie broniono mi przesiadywać w kuchni z Peggotty, nie zmuszano dotrzymywać towarzystwa pannie Murdstone, jednym słowem, nie troszczono się o mnie zupełnie. Z początku drżałem na myśl, czy pan lub panna Murdstone nie mają czasem zamiaru zająć się sami wychowaniem mnie? Wkrótce się jednak przekonałem, że obawy były zbyteczne i jeżeli groziło mi cokolwiek, to zupełne zaniedbanie.

Na razie odkrycie to zbytnio mnie nie zmartwiło. Ogłuszony śmiercią matki, zubożyłem na inne względy. Pamiętam tylko, że od czasu do czasu przypuszczałem możliwość nieotrzymania wcale dalszego wychowania, wyrośnięcia na człowieka lichego, ciemnego, trawiącego lata w próżniactwie i gdzieś w wiejskiej głuszy. Czasem znów marzyło mi się, że jak bohaterowie w bajkach pójdę w świat szukać szczęścia... Czcze to były marzenia, snute w samotnych, beczynnych godzinach, a wyglądały tak, jak gdybym czytał je lub widział kreślone na ścianach mojego pokoju. Znikały też bez śladu ze ścian tych białych, nagich.

– Peggotty – zauważyłem raz wieczorem grzejąc ręce przy kominku – zdaje mi się, że mię pan Murdstone coraz mniej lubi. Nie przepadał za mną wprawdzie nigdy, lecz teraz już znieść mnie nie może.

– To tak... z żalu – rzekła Peggotty głaszcząc mnie po czole.

– O nie, Peggotty! Wiem przecież, co to cierpienie, i gdyby to był tylko żal taki, nic bym nie mówił, ale to co innego, co innego.

– Skądże możesz wiedzieć? – spytała po chwili namysłu.

– Bo widzisz, jego żal inaczej się wyraża. Teraz, kiedy siedzi tam z siostrą u kominka, jest smutny, lecz niech bym się tylko pokazał, byłby...

– Byłby? – powtórzyła Peggotty.

– Wściekły – odrzekłem mimo woli naśladowując zmarszczenie jego brwi. – Gdyby to był, jak mówisz, żal tylko, nie tak by patrzył na mnie. Przecież i ja jestem smutny, a czuję się lepszy, niż przedtem byłem.

Peggotty milczała i ja milcząc grzałem się przy ogniu.

– Davy! – rzekła wreszcie.

– Słucham, Peggotty.

– Staralam się, o ile mogłam, znaleźć sobie miejsce tu, w tych stronach, w Blunderstone, lecz nie znalazłam nic odpowiedniego, moje dziecko.

– Więc cóż zamierzasz począć? – spytałem ją żywo. – Chcesz szukać szczęścia gdzieś po świecie?

– Sądzę – odrzekła – że będę zmuszona wrócić do Yarmouth i tam zamieszkać.

– O! To dobrze – zawołałem uspokojony nieco. – Jeśli byś odjechała daleko, to byłoby tak, jak gdybym ciebie stracił, moja ty Peggotty. Tak zaś będę cię czasem widywał, to nie koniec świata!

– I owszem! I owszem! – zawołała ożywiając się – dopóki tu będziesz, kochanie, będę przyjeżdżała co tydzień, regularnie co tydzień, do końca mego życia.

Obietnica ta strąciła mi kamień z serca, a Peggotty mówiła dalej:

– Teraz pojedę do brata w gościnę na parę tygodni. Chcę odpocząć i przyjść do siebie. Otóż, myślę, że może, ponieważ właściwie nie bardzo tu im teraz jesteś potrzebny, puszcza cię ze mną.

Jeśli cokolwiek mogłoby sprawić mi wówczas przyjemność, to na pewno ten projekt. Myśl znalezienia się znów wśród tych pocziwych, witających mnie z radością ludzi, odzucia na nowo błogiego spokoju tych niedzielnych poranków, z roz śpiewanymi w powietrzu dzwonekami, z pluskaniem rzucanych w morze kamyków, z widokiem znikających we mgle żagli, perspektywa błakania się po wybrzeżu z małą Emilką, opowiadania jej mej boleści, zbierania muszelek – wlewały mi już w serce pewne ukojenie. Po chwili jednak serce to znów ogarnęło zwątpienie, co na to powie panna Murdstone. Szczęściem, zwątpienie znikło niebawem, gdyż ta ostatnia weszła właśnie do kuchni, aby dokonać wieczornego przeglądu spiżarni. Peggotty prawie natychmiast, ze śmiałością, która mnie przeraziła, przeszła do sedna sprawy.

– Chłopiec będzie próżnował – powiedziała panna Murdstone zaglądając do garnka z piklami – a próżniactwo jest źródłem wszelkiego zła. Zresztą i to prawda, że czy tu, czy tam, wszędzie się będzie oddawał próżniactwu. Takie już moje przekonanie.

Peggotty miała gotową na ustach odpowiedź, połknęła ją jednak przez wzgląd na mnie i zachowała milczenie.

– Ha! – ciągnęła panna Murdstone nie odrywając oczu od dna garnka – główna rzecz, najgłówniejsza, aby bratu memu zapewnić spokój, toteż sądzą, że chyba mogę zezwolić na odjazd tego chłopca.

Podziękowałem nie okazując jednak zbytnej radości z obawy, aby nie cofnęła pozwolenia, co było zresztą możliwe wnosząc ze spojrzenia, jakie rzuciła na mnie. Rzekłbyś, że je skąpała we wszystkich wyssanych z dna garnka kwasach. Bądź co bądź otrzymałem upragnione pozwolenie i jeszcze przed upływem miesiąca byliśmy oboje z Peggotty gotowi do odjazdu.

Pan Barkis zjawił się po kuferek Peggotty. Pierwszy to raz, o ile mi było wiadomo, przekroczył próg naszego domu. Wynosząc kuferek spojrzął na mnie, jak mi się wydało, znacząco, jeśli w ogóle umiał spoglądać znacząco.

Peggotty wyglądała na przybitą opuszczając na zawsze dach, który od lat tyłu był jej dachem, pod którym nawiązały się najsilniejsze w jej sercu przywiązania: do mojej matki i do mnie. Wczesnym rankiem dnia tego poszła na cmentarz, a wsiadając do wózka zakrywała oczy chustką do nosa.

Dopóki pozostawała w tym stanie żalu, pan Barkis nie dawał znaku życia. Siedział na koźle milczący i nieruchomy. Lecz gdy uspokoiwszy się nieco zaczęła oglądać się za wężelkami i mówić do mnie, woźnica począł kiwać głową i wykrzywiać usta. Nie domyślałem się w najmniejszej mierze, co chciał przez to wyrazić.

– Piękną mamy pogodę – zagadnąłem z grzecznością.

– A niezłą – odrzekł.

– Peggotty już się uspokoiła nieco – dorzuciłem chcąc go upewnić.

– Doprawdy.

Dopiero po chwili namysłu oglądając się na nią dodał:

— Więc się na dobre uspokoiła?

Peggotty uśmiechnęła się potakując.

– Na dobre, na dobre – mruzczał trącając ją ramieniem – naprawdę, na dobre. E! Co?

Za każdym pytaniem pochylał się ku niej i trącał ją ramieniem tak, żeśmy się wkrótce wszyscy troje strasznie stłoczeni znaleźli po lewej stronie wózka. Dopiero wówczas Peggotty zwróciła uwagę woźnicy na to, co się ze mną dzieje, i pan Barkis odsunął się nieco. Zdawało mi się, że był bardzo zadowolony, iż znalazł był sposób na wyrażenie swych uczuć bez pomocy słów, chichotał bowiem czas jakiś, a potem znów przysuwając się do Peggotty tak, że aż mi w tym tłoku tchu brakowało, powtarzał:

– Naprawdę, na dobre?

Wpadłem na pomysł usunięcia się na sam brzeg wózka udając, że przyglądam się okolicy. Woźnica zatrzymał konia przy gospodzie, częstował nas baraniną i piwem, a gdy Peggotty piła piwo, począł znów przysuwać się do niej i trącać ją w ramię. Dopiero gdy zaczęło się zmierzchać, potrzeba zwracania bacności na drogę sprawiła, że nie miał czasu na zaloty. Wjeżdżając zaś na bruk w Yarmouth byliśmy wszyscy i tak zbyt mocno szarpani i rzucani na wszystkie strony, aby móc o czym bądź myśleć.

Pan Peggotty i Ham czekali nas w zwykłym miejscu. Przyjęli tak mnie, jak Peggotty z oznakami niekłamanego zadowolenia. Ścisnęli też dłoń Barkisa, nieosobliwie wyglądającego w tej chwili; z kapeluszem zsuniętym na tył głowy, z zafrasowanym wyrazem twarzy prezentował się nie najlepiej. Pan Peggotty i Ham ujęli, każdy za jedno ucho, kufer Peggotty, gdy tymczasem woźnica odwołał mnie na stronę.

– Dobrze idzie – mruknął.

Spojrzałem pytająco i z głęboką domyślnością odrzekłem:

– Aha!

– Sprawa jeszcze nie skończona – ciągnął poufnie – ale na dobrej już drodze. Powtórzyłem:

– Aha!

– Na dobrej drodze, czy nie mówiłem, że gotów, że Barkis gotów?

Potrząsnąłem głową.

– Bądźmy przyjaciółmi – ciągnął ściskając mi rękę – dopomogłeś mi znakomicie. He? Pamiętasz, paniczku?

Pomimo poufnej miny i tonu pan Barkis był tak tajemniczy, że gdybym wpatrywał się weń godzinami całymi, nie odgadłbym zapewne, o co mu właściwie idzie. Wtem zawołała mnie Peggotty. Idąc zapytała, co mi mówił.

– Że wszystko na dobrej drodze – odrzekłem.

— Patrzcie go, jaki beczelny! – zawołała. – Mnie to ani w głowie.

Po chwili znów spytała:

– Davy, kochanie, a co byś powiedział, gdybym wyszła za męża?

– Co? Myślę, Peggotty, że nie przestałabyś mnie kochać – odrzekłem po chwili namysłu.

Ku niemałemu zapewne zdziwieniu przechodniów, a tak że zdążających za nami z kufkiem krewniaków Peggotty, pocziwa ta dusza porwała mnie w objęcia zapewniając o niezmienności swego przywiązania.

– Powiedz, kochanie, co byś na to powiedział? – znów zapytała wyściskawszy mię, ile się dało.

– Jeślibyś chciała wyjść za pana Barkisa?

– Tak.

– Myślałbym, że to bardzo dobrze! Miałabyś konia, własny wózek. Droga by cię nie kosztowała i przyjeżdżałabyś częściej odwiedzać mię.

– Jakie do dziecko dowcipne! – zawołała Peggotty. – Przez cały przeszły miesiąc o tym właśnie tylko myślałam. A i o tym, że będę mniej zależna. Bo widzisz, we własnym domu łatwiej jest pracować. Nie umiem sobie wyobrazić, jak bym się dziś zdała na służącą u obcych ludzi... Zresztą pozostałabym w pobliżu miejsca spoczynku mojej kochanej pani – ciągnęła ciszej – mogłabym odwiedzać je, dopóki sama żyć będę, a potem pochowałiby mnie gdzie blisko mojej najdroższej...

Przez dość długą chwilę milczeliśmy oboje.

– Nie myślałabym jednak wcale o tym – ozwała się już wesoło Peggotty – i gdyby mój Davy miał coś przeciw temu, rozmyślałabym się nawet u stopni ołtarza, nawet gdybym miała obrączkę w kieszeni.

– Spójrz na mnie, Peggotty – rzekłem – widzisz przecie, jak się cieszę, jak tego życzę sobie.

Istotnie życzyłem z całego serca.

– Dobrze, moje życie – rzekła Peggotty ścisnąwszy mi rękę – myślałam o tym wszystkim tysiąc razy, we dnie i w nocy, i zdaje mi się, że mam słuszość, lecz poradzę się jeszcze brata, a tymczasem, Davy, niech to pozostanie między nami, tobie tylko i mnie wiadome. Barkis to pocziwe chłopisko i jeśli spełniając moje względem niego obowiązki nie będę się czuć szczęśliwa, to będzie chyba moja własna wina... „naprawdę”, „na dobre” – skończyła śmiejąc się na głos.

Przytoczenie własnych słów Barkisa i mnie rozbawiło, szliśmy więc dalej śmiejąc się i w wybornych humorach doszliśmy do mieszkania pana Peggotty.

Wyglądało ono tak samo jak dawniej, tylko może nieco skurczyło się w mych oczach. Jak dawniej tak i teraz na progu powitała nas pani Gummidge. Wewnątrz nie zmieniło się nic, ani nawet muszelki koło lusterka w moim sypialnym pokoiku. Zewnątrz te same co dawniej homary, kraby, raki, kłębiące się w tym samym co i dawniej zakątku dziedzińca; zdawało się, że chcą zalać świat cały. Nie było tylko małej Emilki. Spytałem o nią pana Peggotty.

– W szkole – odrzekł ocierając z czoła pot wywołany dźwiganiem kufra Peggotty, a spojrzawszy na stary holenderski zegar dodał:

– Wróci za dwadzieścia minut lub najdalej za pół godziny. Wszystkim nam brakuje jej. Pani Gummidge zaczęła wzdychać.

– Odwagi! Odwagi, niewiasto! – pocieszał ją pan Peggotty,

– Bo... ja więcej niż kto inny odczuwam – skarżyła się pani Gummidge. – W moim opuszczeniu brak mi tej jedynej żywej duszy, która mi nie robi wszystkiego na przekór.

Wzdychając i trzęsąc głową wdowa rozpałała ogień na kominie, a pan Peggotty spoglądając na nas potrząsał ze współczuciem głową, mrużąc: „Biedna stara”, z czego wniosłem, że w usposobieniu pani Gummidge od ostatniej mojej bytności w Yarmouth nie zaszła żadna zmiana.

Tak więc wszystko tu było jak dawniej, te same miłe mi miejsca, a jednak nie takie jak kiedyś wywierały na mnie teraz wrażenie. Czułem coś na kształt zawodu. Może dlatego,

żem nie zastał Emilki w domu? Wiedząc, jaką będzie wracać drogą, wyszedłem na jej spotkanie.

Wkrótce ujrzałem w dali idącą postać. Poznałem ją od razu. Chociaż urosła, szczupła była nadal, a gdy zbliżyła się i dostrzegłem błękitne jej oczy, błękitniejsze niż dawniej, jej wdzięczną twarzyczkę, wdzięczniejszą, jaśniejszą, weselszą, dziwne ogarnęło mnie uczucie. Udałem, że jej nie poznaję, i minąłem udając, że szukam czegoś. Postąpiłem tak samo raz jeszcze później w życiu, jeśli się nie mylę.

Małą Emilkę wcale to nie obeszło. Poznała mnie, lecz zamiast zawrócić i zawołać, śmiejąc się pobiegła naprzód. Musiałem ją doganiać. Biegła tak szybko, że ją dopiero przy samym domu dogoniłem.

– O! To ty? – zawołała.

– Niby nie widziałaś – odrzekłem.

— A tyś nie widział, kogo spotykasz? – odrzekła.

Chciałem ją pocałować, lecz zakryła ręką usta mówiąc, że przestała być małym dzieckiem, i śmiejąc się ciągle wbiegła do domu.

Odtąd zdawało się, że znajduje największą przyjemność w dokuczaniu mi, i nie mogłem się dość nadziwić zaszłej w niej zmianie. Herbata była już na stole, nakrycia nasze na dawnym miejscu, lecz Emilka zamiast usiąść przy mnie, ofiarowała swe usługi pani Gummidge, a na zdziwione pytania pana Peggotty odpowiedziała tylko śmiechem kryjąc twarzyczkę we włosy, które na nią zgarnęła.

– Ach! Ty mała kotko! – zawołał pan Peggotty gładząc ją po głowie szeroką swą dłonią.

– Kotka! Istna kotka! Prawda, panie Davy? – chichotał Ham wpatrując się w nią z uwielbieniem, które mu rumieńcem zabarwiło policzki.

Wszyscy ją pieścili, a już najwięcej pan Peggotty, którego okręcić by mogła wokół małego palca, byleby tylko jasną główkę skłoniła na jego ramię. Takiego przynajmniej nabrałem przekonania widząc, z jakim pieśzotliwym czyniła to wdziękiem. Nie dziwiłem się panu Peggotty. Była tak miła, słodka, przyjacielska, a zarazem tak figlarna i nie śmiała, że podbiła mię od razu zupełnie.

Dobre też miała serce! Gdy po herbacie zasiedliśmy przy kominku i pan Peggotty spoza kłębow dymu z fajeczki potracił o stratę, jaką poniosłem, łzy napłynęły jej do oczu i popatrzyła na mnie ze współczuciem, które mnie do głębi serca wzruszyło.

– Ha! – rzekł pan Peggotty przeciągając dłoń po jej jedwabnych włosach – drugą tu mamy jeszcze sierotę. Jest jeden jeszcze – dodał uderzając bratanka po ramieniu – lecz ten wcale nie wygląda na opuszczonego.

– Nie czułbym się też opuszczonym – rzekłem – gdybym miał takiego jak pan opiekuna.

– Prawda! Wybornie! – zawołał Ham. – Nie czułbyś, paniczu, sieroctwa! hura! hura!

Teraz on uderzył starego po ramieniu, a mała Emilka uściskała swego opiekuna.

– Co słyhać z panicza przyjacielem? – spytał mnie pan Peggotty.

– Ze Steerforthem? – spytałem.

– A co, widzisz, mówiłem, że się tak nazywa – rzekł zwracając się do Hama.

– Utrzymywałeś, że Rudderford – odrzekł Ham.

– Tobie zawsze rudel w głowie. Zresztą rudel czy ster na jedno wyjdzie. Jak się miewa?

– Był zdrow, gdym odjeżdżał ze szkoły – odrzekłem.

– To mi przyjaciel co się zowie! – stwierdził rybak strząsając popiół z fajeczki. – Miło spojrzeć na niego.

– Prawda, piękny! – zawołałem dumny z mego przyjaciela.

– Piękny! – rzekł pan Peggotty. – Wygląda jak... jak... no sam nie wiem, tak pysznie, jednym słowem, taki dzielny!

– O! Tak, dzielny! Odważny jak lew i nie wyobrazisz pan sobie, jaki przy tym otwarty i szczery.

– Sądzę też – mówił otaczając się chmurą dymu rybak – że z nauką idzie mu jak po maśle.

– Nie ma rzeczy, której by nie umiał – podchwyciłem ze wzrastającym zadowoleniem – zadziwiająco zdolny i inteligentny.

– To mi przyjaciel! – mruzczał kiwając głową pan Peggotty.

– Nad niczym nie potrzebuje pracować – ciągnąłem – dość mu raz spojrzeć w książkę, aby umieć lekcję, a w krykiecie pierwszy gracz, może wygrać dziesięć partii z rzędu.

Pan Peggotty kiwnął potakująco głową.

– A jaki wymowny! Każdego przekona! Żałuję, że pan nie słyszał jego śpiewu.

Znow pan Peggotty kiwnął potakująco głową.

– Hojny, szlachetny, wytworny – ciągnąłem zapalając się do przedmiotu – że się go dość nachwalić nie można. Do końca życia zachowam wdzięczność za troskliwą opiekę, jaką mnie młodszego i słabszego otaczał, kiedy się znalazłem w szkole.

Z przyjemnością mówiłem o przyjacielu nie spuszczać przy tym oka z małej Emilki. Słuchała z zajęciem, pochylona naprzód z lekko otwartymi ustami, z błyszczącymi oczyma, z zarumienioną twarzą. Tak była ładna w tej chwili, że się nagle zatrzymałem. Wszyscy spojrzeli na nią i roześmieli się.

– Ona tak, jak ja – zawołała moja Peggotty – że też pewnie chciałyby go poznać.

Emilka zawstydzona się, spuściła zarumienioną twarzą, a dostrzegłszy przez zasłonę swych włosów, że patrzymy jeszcze na nią (co do mnie – patrzyłbym całymi godzinami!), uciekła i nie ukazała się aż późno wieczorem.

Leżałem jak dawniej w małym łóżeczku, a wiatr jak dawniej szalał po nadbrzeżnej płaszczyźnie, lecz teraz zdawało mi się, że wyje tak i jęczy po tych, którzy odeszli na zawsze. I zamiast myśleć jak dawniej, że morze wystąpi z brzegów, znieśli z łodzi skleconą siedzibę rybaka, myślałem, że od czasu kiedy po raz ostatni słyszałem szum jego fali, powstało i zalało własny mój rodzinny dom. W miarę jak jęki wiatru i szum morza zaczynały przycichać, dodałem, pamiętam, do ostatniej przedsennej modlitwy gorącą do Niebios prośbę, abym wyrósł co prędzej i ożenił się z małą Emilką. Sen skleił mi powieki.

Dni mijały tak, jak mijały niegdyś, z tą jednak różnicą, że teraz rzadko kiedy błakaliśmy się z Emilką po wybrzeżu. Teraz ona musiała się uczyć, robiła ręczne robótki, była zresztą przez znaczną część dnia nieobecna. Czułem też, że gdyby pozwalały na to okoliczności, nie byłyby to już te same, co dawniej, przechadzki. W małej, dziecinnej, figlarnej Emilce budziła się kobiecość i jeden rok czasu oddalił ją ode mnie. Wyprzedziła mnie, czułem to niejasno, chociaż tego nie rozumiałem. Lubiła mnie z pewnością, lecz żartowała ze mnie, dręczyła po trosze i gdym na przykład wychodził na jej spotkanie, wracała do domu inną ścieżką, a potem witała mnie z drwiącym śmiechem. Najlepszymi były chwile, gdyśmy spokojnie siadywali na progu domu, ona z robótką, ja u nóg jej z książką, którą głośno jej czytywałem. Dziś jeszcze zdaje mi się, że nie zaznałem chwil jaśniejszych i pogodniejszych od owych kwietniowych popołudni, że odtąd nie spotkałem tak słonecznej istoty, jak ta, która siadywała na progu rybackiej chaty, i nigdy nie widział podobnego nieba, morza, okrętów i żagli, jak te, które niknęły w słonecznej gdzieś dali.

Zaraz nazajutrz po naszym przybyciu pan Barkis zjawił się w niezwykle marzycielskim usposobieniu, z chustką pełną pomarańcz, że zaś nic nie wspominał o ich pochodzeniu lub przeznaczeniu, sądzono, że je zostawił przez zapomnienie i dopiero Ham, wysłany na zwiady, przyniósł wiadomość, że były one przeznaczone dla Peggotty. Odtąd pan Barkis przychodził regularnie co wieczór o tej samej godzinie, zawsze z paczką, o której nie wspominał nigdy zostawiając ją przy drzwiach. Dary bywały przeróżnego rodzaju: prosięta

z cukru, olbrzymia poduszka do szpilek, ćwierć korca jabłek, para kolczyków, kilka hiszpańskich cebulek, pudełko z dominem, kanarek w klatce, wędzona szynka i tym podobne.

Zaloty jak i dary pana Barkisa były niezwykle. Rzadko kiedy odzywał się, siadywał przy kominku nieruchomy, zupełnie tak, jak na koźle swego wózka, wpatrując się w siedzącą naprzeciw siebie Peggotty. Pewnego wieczoru, pod natchnieniem, jak sądzę, miłości, podjął upuszczony przez nią kawałek wosku, którego używała zwykle przy robocie, i schował do kieszonki swej kamizelki. Odtąd wyjmował go z widoczną przyjemnością na każde jej zapotrzebowanie, za każdym jednak razem odkładając w przeznaczone mu na swym sercu schronienie. Zresztą, zdawał się być zawsze rozbawiony, choć wcale nie powołany do brania udziału w toczącej się rozmowie. Nawet gdy towarzyszył Peggotty na przechadzce, nie zadawał sobie w tym kierunku żadnego przymusu poprzestając na pytaniu jej kilkakrotnym, czy się czuje zadowolona. Toteż po powrocie nieraz Peggotty kryła twarz w fartuch śmiejąc się do rozpuku. Wszystkich nas to niezmiernie bawiło, oprócz pani Gummidge, w której zaloty Barkisa budziły zapewne jakieś wspomnienia i nieukożone żale.

Wreszcie, i kiedy pobyt mój w Yarmouth miał się ku końcowi, postanowiono, że pan Barkis i Peggotty wybiorą się razem na majówkę, w której mieliśmy z Emilką też uczestniczyć. W przeddzień ciągleśmy o tym mówili, a noc poprzedzającą ten dzień uroczysty miałem niespokojną. Wszyscyśmy wstali wcześniej niż zwykle, a zanim skończyliśmy śniadanie, już pan Barkis z wózkiem zjawił się po przedmiot swych uczuć.

Peggotty ubrana była w codzienną swą skromną i czystą suknię żalobną, za to pan Barkis jaśniał w nowym granatowym surducie, szytym chyba przez krawca na wyrost, a czynnianym zbytecznymi, przy najchłodniejszym bodaj powietrzu, rękawiczki. Rękawy były długie, kołnierz włożył na same uszy. Stroju dopełniały piaskowe pantalony i takaż kamizelka. Pan Barkis wyglądał uroczyście.

Gdyśmy wsiedli do wózka, pan Peggotty wyniósł stary trzewik prosząc panią Gummidge, aby go za nami wyrzuciła „na szczęście”.

– Nie, Danielu! Niech to lepiej uczynią inne niż moje dłonie – broniła się wdowa. – Opuuszczona jestem, nieszczęsna i wszystko, co przypomina mi istoty szczęśliwsze ode mnie, drażni mnie i boli.

– Spróbuj! Spróbuj, niewiasto! – zachęcał pan Peggotty.

– Nie, nie, Danielu! – opierała się wdowa. – Gdybym czuła to mniej boleśnie, mogłabym to zrobić. Ty, Danielu, nie możesz tak jak ja czuć. Los nie był wobec ciebie tak przekorny, jak wobec mnie, nieszczęsnej. Rzuć sam.

Tu Peggotty, która z pośpiechem całowała wszystkich na pożegnanie, zawołała z wózka, że trzeba koniecznie, aby pani Gummidge, a nie kto inny, rzuciła trzewik, co też ta ostatnia wreszcie uczyniła psując ogólną radość płaczem, którym nagle wybuchnęła. Opadła na ramię Hama wołając, że wie dobrze o tym, że jest ciężarem tylko i że będzie lepiej, jeżeli wróci do domu, na co Ham zgodził się w zupełności.

Wyjechaliśmy na majówkę. Przede wszystkim zatrzymaliśmy się u wrót kościelnych, a pan Barkis, uwiązawszy konia do płotu i zostawiwszy mnie z Emilką na wózku, udał się z Peggotty do świątyni. Skorzystałem z tej sposobności i obejmując Emilkę prosiłem ją, aby przez wzgląd, że już tak niedługo pozostać mam w ich domu, była dla mnie dobra i uprzejma przez cały ten dzień. Emilka zgodziła się i pozwoliła ucałować siebie, co mię tak rozentuzjasmowało, że oświadczyłem, iż nikogo więcej nigdy kochać nie będę i gotów jestem przelać krew każdego, kto stanie między nią a mną.

Jakże to ją nieskończenie ubawiło! Z jakim poczuciem nieskończonej wyższości mała kobietka oznajmiła mi, że jestem „niedorzecznym dzieckiem”. Mówiąc to uśmiechała się jednak tak wdzięcznie, że patrząc na nią zapomniałem o mym upokorzeniu.

Pan Barkis i Peggotty długo bawili w kościele, a gdy wyszli, pojechaliśmy dalej. Po drodze pan Barkis odwrócił się do mnie i mrugając – kto by przypuścił, że mrugać potrafi! – spytał:

– A czyje to imię napisałem wtedy na wózku?

– Klary Peggotty – odrzekłem.

– A teraz jakie trzeba napisać?

– Klary Peggotty – powtórzyłem.

– Klary Peggotty-Barkis – odrzekł wybuchając śmiechem, który wstrząsnął całym wózkiem.

Jednym słowem, pobrali się i po to wstąpili do kościoła! Peggotty życzyła sobie, aby się to odbyło jak najciszej, bez świadków. Nagłe to oświadczenie pana Barkisa zmieszało ją nieco. Zaczęła upewniać mnie o swym niezmiennym do mnie przywiązaniu, wkrótce jednak uspokoiła się oświadczając z zadowoleniem, że się to raz wreszcie skończyło.

Zajechaliśmy do gospody przy drodze, gdzie czekano nas ze smacznym obiadem, i tak zeszedł nam dzień cały spokojnie i wesoło. Gdyby Peggotty była zamężna od lat dziesięciu, nie mogłaby zachowywać się spokojniej i swobodniej. Była dnia tego najzupełniej taka, jaką bywała zwykle. Przed herbatą wyszła z Emilką i ze mną na przechadzkę, a pan Barkis zapalił tymczasem fajeczkę oddając się zapewne rozmyślaniu o swym szczęściu, co tak zresztą podnieciło jego apetyt, że chociaż przy obiedzie zjadł był zadziwiająco wiele wieprzowiny i sałaty, urozmaicając to paru dzikimi kaczkami, poprosił jeszcze o podanie do herbaty szynki na zimno i spożył sporą jej ilość.

Nieraz myślałem później o tym dziwnym, spokojnym, niezwykłym dniu weselnym. Gdy zapadł wieczór, wsiedliśmy na wózek i wracając do domu w noc gwiazdzistą rozmawialiśmy o ciałach niebieskich. Byłem najwymowniejszy w tej dziedzinie, co wzbudziło podziw Barkisa. Opowiedziałem wszystko, com sam wiedział na ten temat, lecz mógłbym śmiało improwizować, tak bardzo i na ślepo ufał on moim wiadomościom i uzdolnieniu. Zapewniał nawet żonę przy tej sposobności, że jestem „niezwykłym zjawiskiem”.

Gdyśmy wyczerpali przedmiot astronomii, Emilka zrobiła ze starej okrywki płaszcz i otuliliśmy się nim oboje. Jakżem ją kochał. Co to byłoby za szczęście (myślałem sobie), gdybyśmy się pobrali i jechali tak w pole, w las, na koniec świata, nie starzejąc się nigdy, nie zmieniając ani trochę, będąc zawsze dziećmi, błędząc dłoń w dłoni wśród słonecznej pogody po rozkwieconych łąkach, wieczorem skłaniając znużone głowy na mchy wilgotne, usypiając w czystości i spokoju serca, po śmierci pogrzebani przez bujające w powietrzu ptaki. Marzenia podobne, nieziemskie, jasne i nieuchwytnie, jak te tam wysoko gwiazdy, roily mi się przez całą drogę. Teraz miło mi myśleć, że w dniu swego ślubu Peggotty miała przy sobie takie dwa dziecięce, niewinne serca, jak Emilki i moje. Miło mi myśleć o tych dwóch drobnych istotach, co w nielicznym jej weselnym orszaku były uosobieniem Wdzięku i Miłości.

Wróciliśmy do siedziby rybaka wcześniej przed nocą. Tam nas pożegnali pan i pani Barkis udając się do swego domu. Wtedy uczułem dopiero, że utraciłem moją Peggotty. Zasnąłbym dnia tego ze ściśnionym sercem, gdyby nie to, że się znajdował pod dachem osłaniającym i Emilki głowę.

Pan Peggotty i Ham rozumieli doskonale, co się dzieć musiało w moim sercu, i czekając nas z wieczorą próbowali mnie pocieszyć. Emilka usiadła blisko po raz pierwszy w czasie mej bytności w Yarmouth i tak się zakończył ów pamiętny dzień.

Gdyśmy się mieli ku spoczynkowi, pan Peggotty z bratankiem, korzystając z przyływu morza, udali się na połów. Czuję się dumny, gdyż spadał na mnie obowiązek czuwania nad Emilką i panią Gummidge w opustoszałym domu. Pragnąłem, aby lew, wąż lub inny potwór napadł nas, abym go mógł zabić i okryć się chwałą. W braku rzeczywistego niebezpieczeństwa śniły mi się tylko nocą smoki, lwy i potwory morskie.

Rankiem zjawiała się Peggotty. Zastukała do mego okienka, jak to zwykła była czynić, i zdawać by się mogło, że pan Barkis jest też snem tylko. Po śniadaniu wzięła mnie z sobą do własnego domu. Śliczny to był domek! Zachwyciło mnie szczególnie stare biurko z ciemnego drzewa, stojące w bawialnym pokoiku, a którego górna część podnosiła się i chroniła wielką „Księgę męczenników” Foxa.¹ Książkę tę (z treści jej nie pamiętam ani słowa) odkryłem od razu i odtąd, ilekroć odwiedzałem Peggotty, przysuwałem do biurka krzesło, otwierałem skrytkę z drogocennym przedmiotem i tonąłem w przeglądaniu księgi, to jest mnogich obrazków przedstawiających najrozmaitsze męczeństwa. Dotąd w myśli mej dom Peggotty i „Księga męczenników” pozostały nierozdzielne.

Rozstałem się dnia tego z panem Peggotty, Hamem, panią Gummidge i Emilką. Noc spędziłem u Peggotty w małym pokoiczku na poddaszu, gdzie zastałem na półeczce ksiązkę o krokodylach, a o którym to pokoiczku Peggotty powiedziała, że pozostanie moim na zawsze.

– Teraz i zawsze, za młodu i w starości, Davy, dziecko moje – mówiła – dopóki dach ten będzie moim, możesz tu przyjeżdżać jak do własnego domu. Pokoik ten zawsze gotów będzie na twoje przyjęcie. Utrzymywać go będę tak, jak utrzymywałam twój pokoik tam, w Blunderstone. Choćbyś nawet kiedy do samych Chin wyjechał, to po powrocie żadnej tu nie zauważysz zmiany.

Czułem całą szczerłość i serdeczność słów mej starej piastunki. Dziękowałem jej z serca, ale niezbyt wymownie, gdyż mówiąc tuliła mnie mocno do piersi, a ranka tego wracać miałem do Murdstonów, gdzie mnie pan Barkis z żoną odwieźli sami. Nie bez żalu pożegnali mnie przy bramie, z dziwnie też ściśniętym sercem stanąłem pod drzwiami, przed tym domem, w którym nie było już nikogo, kto by mnie przyjaźnie powitał, i oczyma pełnymi łez spoglądałem za odjeżdżającą Peggotty.

Teraz popadłem w stan zaniedbania i litość nad samym sobą mnie ogarnia, ilekroć o tym wspominam; strącono mnie w samotność, bez dobrego słowa, bez towarzystwa, bez rówieśników, pozostawiono własnym myślom, których cień rozciąga się i dosięga aż stroń obecnie pisanych.

Cóż bym dał za to, aby być wysłanym do najsroźszej ze szkół, cóż bym dał, aby się uczyć, czego bądź, jak bądź, gdzie bądź! Nie zostawiono mi nawet tej nadziei. Nie lubili mnie, zaniedbywali uparcie, srogo i stale. Sądzę, że w tym czasie pan Murdstone sam był widocznie przybity, ale niewielki to miało wpływ na mój los. Nie znosił mnie po prostu i odpychając mnie od siebie chciał, jak sądzą, utrwalić się w przekonaniu, że mi nic nie jest winien, co mu się zresztą udało.

W istocie nie obchodzono się ze mną źle, w pospolitym tego słowa znaczeniu, nie bito, nie głodzono, lecz wyrządzano mi krzywdę nieustannie, systematycznie i z rozmysłem. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu zaniedbywano mnie najzupełniej. Myślałem czasem, co by poczęli, gdybym zachorował? Czy leżałbym opuszczony w samotnym mym pokoiku, trawiony chorobą, czy też przyszliby mi wówczas z pomocą?

Gdy pan i panna Murdstone byli w domu, jadałem z nimi, gdy ich nie było w domu – jadałem sam. Zresztą przez dzień cały błąkałem się po domu i okolicy bez opieki. Chyba że opieką nazwę zakaz przyjaźnienia się z kimkolwiek. Bali się może, abym się przed ludźmi nie skarżył. Dlatego to zapewne, chociaż pan Chillip (był wdowcem od lat kilku, utraciwszy drobną swą jasnowłosą żonę, której obraz w mych wspomnieniach łączył się z obrazem jasnej, o przegowatej sierści kotki) zapraszał mnie często do siebie, ale rzadko kiedy miałem przyjemność spędzić popołudnie w jego gabinecie na oglądaniu książek, z któ-

¹ Księga męczenników (Book of Martyrs) napisana przez Johna Foxa i wydana w r. 1563. Trzścią jej są dzieje krwawych walk religijnych w czasie Reformacji w Anglii.

rych wydzieliał się silny apteczny zapach, lub na rozcieraniu w moździerzu i pod jego kierunkiem jakichś niewinnych proszków.

Dla tychże samych zapewne powodów, popartych niechęcią do niej, rzadko pozwalano mi odwiedzać Peggotty. Wierna swej obietnicy, regularnie, co tydzień, odwiedzała mnie lub spotykała się gdzie bądź ze mną i nigdy nie przybywała z pustymi rękoma. Lecz ileż gorzkich odmów słyszałem, gdym prosił, by mi pozwolono pójść do Barkisów? Rzadko kiedy udawało mi się uzyskać ich zgodę.

Z czasem dowiedziałem się, że pan Barkis jest „niby”, jak Peggotty mówiła, „skapcem”, że chowa pieniądze w stojącym pod łóżkiem kuferku zapewniając, że napełniony jest samą starą odzieżą. W kuferku tym zamykał swe skarby tak szczelnie, że dla wydobywania najmniejszej ich części wypadało rozwijać prawdziwą dyplomatyczną akcję. Aby dostać to, co było niezbędnym na pokrycie tygodniowych wydatków, Peggotty musiała dosłownie spiskować.

Ciągle też odnosiłem wrażenie, że w zaniedbaniu, w jakie popadłem, marniej są moje zdolności, i byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdyby nie moje stare książki. Stanowiły one jedyną moją pociechę i okazały się wiernymi przyjaciółmi, do których też ustawicznie wracałem odczytując je kilkakrotnie.

Zbliżam się do epoki mego życia, której nie zapomnę nigdy, którą pamiętam w najdrobniejszych szczegółach i której wspomnienie nie wywołane przeze mnie, nieraz, i to w najszcześniejszych dniach mego życia, wznosiło się na mojej drodze na kształt zagrobowej mary.

Pewnego dnia, gdym włóczył się bez celu, rozmarzony i beczynny, jak zwykle, na skrócie drogi przy naszym domu spotkałem pana Murdstone przechadzającego się z jakimś nieznanym. Zmieszany chciałem się cofnąć, gdy nieznanomy spostrzegłszy mnie zawołał:

– Aha! Brooks!

– Nie, panie, Dawid Copperfield – odrzekłem.

– Co mi tam bzdurzysz, mały! Brooks jesteś, Brooks z Sheffield, znam cię przecie!

Wpatrzyłem się uważnie w nieznanego. Uderzył mnie jego śmiech.

Przypomniałem sobie pana Quinion, poznanego w czasie mej wycieczki z panem Murdstone do Lowestoft przed... mniejsza z tym, kiedy.

– Jakże ci się powodzi, Brooks? Gdzie się uczysz? – pytał mnie pan Quinion biorąc za ramiona i zawracając, abym szedł z nimi. Nie wiedząc, co odpowiedzieć na to pytanie, spoglądałem nieśmiało na pana Murdstone.

– Obecnie jest w domu – rzekł ten ostatni – i nie wiem doprawdy, co z nim począć. Niełatwy to charakter!

Przy tych słowach znane mi skośne spojrzenie spoczęło na mnie, by po chwili odwrócić się ze ściągnięciem brwi i widocznym wstrętem.

– Aha! – odchrząknął pan Quinion wodząc okiem po nas. Po chwili dodał: – Śliczna pogoda.

Zapanowało milczenie. Rozmyślałem, jak oswobodzić moje ramię od ciężącej na nim ręki nieznanego i wymknąć się czym prędzej, gdy ten ostatni znów mnie spytał:

– A czy nadal jesteś taki bystry, jak dawniej bywałeś, co, Brooks?

– O! Dość bystry – zauważył z niecierpliwością pan Murdstone. – Puść go lepiej. Nie będzie ci wdzięczny, że się nim interesujesz.

Pan Quinion puścił mnie. Wbiegłem do domu, na skrócie drogi obejrzałem się; pan Murdstone stał oparty o furtkę cmentarną i rozmawiał z panem Quinion, a że obydwaj patrzyli za mną, pewien byłem, że o mnie mówią.

Pan Quinion nocował u nas. Nazajutrz po śniadaniu odstawiłem swe krzesło i zabierałem się właśnie do wyjścia, gdy mnie pan Murdstone zatrzymał. Zwrócił się z powagą do

biurka, przy którym panna Murdstone przeglądała rachunki. Pan Quinion tymczasem z rękami w kieszeniach wyglądał obojętnie przez okno. Ja zaś przyglądałem się im.

– Dawidzie – zaczął pan Murdstone – młodość wymaga czynu, na nic się nie zda zbijanie bąków, mazgajstwo, lenistwo.

– W czym właśnie celujesz – zauważyła panna Murdstone.

– Pozostaw mi to, Jane. Otóż mówiłem ci, Dawidzie, że młodość wymaga życia czynnego, nie zaś mazgajstwa i próżniactwa! Zwłaszcza dla chłopca o takim jak ty usposobieniu największym dobrodziejstwem jest skierowanie go na drogę pracy, wykorzenie w nim zgubnych skłonności.

– Tu krnąbrność nie pomoże – wtrąciła siostra – trzeba ją przełamać i przełamana zostanie.

Spojrzał na nią z wymówką, ale i z aprobatą zarazem, po czym mówił dalej, zwracając się do mnie:

– Wiadomo ci zapewne, Davy, że nie jestem bogaty. W każdym razie przyjm to od tej chwili do swej wiadomości. Wychowanie, jakie dotąd otrzymałeś, było staranne i pociągało znaczne koszty. Gdyby jednak wcale nie pociągało kosztów lub gdybym i był w możliwości podołania takowym, to jednak, zdaniem moim, szkoły nie przyniosą ci żadnej korzyści. Czekaj cię ciężkie życie i im wcześniej w nie się wdrożysz, tym lepiej.

Zdawało mi się wtedy, że już kosztował goryczy ciężkiego życia, ale myliłem się jednak.

– Czy słyszałeś co kiedy o kantorze? – spytał pan Murdstone.

– O kantorze, panie?

— Tak, „Murdstone i Grinby”, handel winami.

Musiałem wyglądać zdziwiony, bo dodał szybko:

– Aleś musiał słyszeć o kantorach, handlu, piwnicach, przystaniach?

– Istotnie słyszałem – rzekłem przypominając sobie jego rozmowy z siostrą, na które nie zwracałem dotąd szczególnej uwagi – nie wiem tylko, kiedy?

– Mniejsza z tym – rzekł. Oto pan Quinion zarządza tym interesem.

Spojrzałem z uszanowaniem na pana Quinion, wyglądającego ciągle oknem.

– Pan Quinion mówił mi właśnie, że potrzebuje kilku chłopaków i mógłby wziąć cię na tych samych co innych warunkach.

– Skoro – zauważył półgłosem i na wpół odwracając się od okna pan Quinion – nie ma dlań innych widoków.

Pan Murdstone z niecierpliwym i rozgniewanym gestem mówił dalej, nie zważając na tę przerwę:

– Warunki są następujące: powinieneś sam zarobić na jedzenie, buty i drobne potrzeby, ja zaś opłacę twoje pomieszczenie, a co do oprania...

– Można tu odsyłać – zauważyła panna Murdstone.

– O ubraniu twym też pomyślimy – dodał pan Murdstone – tymczasem nie podołałbyś temu. Jedziesz więc, Dawidzie, z panem Quinion do Londynu, aby rozpocząć życie na własną rękę.

– Krótko mówiąc, wystaraliśmy się o to dla ciebie – staraj się i ty więc godnie spełniać swe obowiązki – dokończyła panna Murdstone.

Chociaż wiedziałem dobrze, że na dnie tych projektów leży jedynie chęć pozbycia się mnie, nie pamiętam już, jakie na mnie wiadomość ta wywarła wrażenie. Zdaje mi się, że byłem wszystkim oszołomiony. Nie pozostawiono mi zresztą czasu dla ochłonięcia z pierwszego wrażenia, zaraz następnego dnia mieliśmy wyjechać z panem Quinion.

I oto nazajutrz w starym, białym kapelusiku, opasanym krepą żałobną, w czarnym spencerku i takichże sztywnych welwetowych spodenkach – panna Murdstone uznała wszystko to za dostateczną zbroję w walce z życiem, na którą mnie wyprawiano – z całym

mym szczupłym mieniem zamkniętym w stojącej przede mną walizce, opuszczony (że użyję wyrażenia pani Gummidge), znalazłem się wraz z panem Quinion w dyliżansie, mającym zawieźć nas do Londynu. Oto nikną już w oddali wieże naszego kościółka i cmentarne krzyże... i coś mi już zakryło znane mi moje dwie mogiły... przede mną pusta droga, nade mną puste, głębokie niebiosy.

Rozdział XI

Zaczynam życie na własną rękę, co mi nie smakuje

Dziś nawet, kiedy znam świat i ludzi w tym stopniu, że nic mnie już niemal nie dziwi, to dziwię się łatwości, z jaką pozbyto się mnie w tak wczesnym wieku. Dziwię się, że nikt nie stanął w obronie małego chłopca, zdolnego, rozważnego, serdecznego i delikatnego, łatwo mogącego spaczyć się moralnie i fizycznie. Tak się jednak stało i w dziesiątym roku życia musiałem iść i zarabiać na chleb w firmie „Murdstone i Grinby”.

Skład główny znajdował się nad brzegiem, poniżej dzielnicy Blackfriars. Późniejsze przebudowy zmieniły tę część miasta; wówczas był to ostatni dom przy wąskiej uliczce zakończonej kilkoma stopniami, po których schodziło się do rzeki i łodzi. Domisko było stare, rudera prawie, posiadająca własną przystań, kąpiącą się podczas przyływu w wodzie, podczas odpływu w szlamie i dosłownie zapełnioną szczurami. Jej tynkowane ściany pokryte pleśnią i pyłem wielu lat, jej spróchniałe podłogi i schody, hece i szmery szarych szczurów po piwnicach i korytarzach, kurz i pajęczyny pokrywające wszystkie kąty – stoją mi w oczach tak, jak gdyby lata nie przeszły od przeklętej godziny, w której po raz pierwszy z ręką drżącą w dłoni pana Quinion przekroczyłem próg tej rudery.

Operacje handlowe firmy „Murdstone i Grinby” były wielce rozgałęzione, a znaczna ich część polegała na dostarczaniu okrętom win i napojów spirytusowych. Nie wiem już, gdzie je przewożono, lecz statki odpływały tak do Wschodnich, jak do Zachodnich Indii. Jednym z następstw tego handlu było wielkie nagromadzenie pustych butelek, których przeglądaniem, myciem i wycieraniem zajmowało się kilku mężczyzn i paru nieletnich chłopców. Gdy znowu butelki były napełnione, trzeba je było korkować, pieczętować, oklejać odpowiednimi etykietami i gotowe pakować w olbrzymie skrzynie. Zostałem właśnie jednym z pracujących w tym dziale chłopców. Licząc w to i mnie, było nas trzech. Miejsce do pracy wyznaczono mi w kącie dziedzińca, który pan Quinion mógł obserwować podnosząc się z krzesła stojącego w oknie kantoru, gdzie dzień cały pracował. Zaraz pierwszego poranku, pod tak pomyślnymi wróżbami rozpoczynającego się mego wejścia w świat i czynne życie, najstarszy z pracujących w handlu chłopaków otrzymał polecenie wtajemniczenia mnie w obowiązki nowego zawodu. Chłopak nazywał się Mick Walker; nosił on podarty fartuch i tekturowy kapelusz. Oznajmił mi, że ojciec jego jest tragarzem, lecz w uroczyste święta chodzi w czarnej aksamitnej czapce w orszaku Lorda Mayora². Oznajmił nadto, że głównym naszym towarzyszem będzie chłopak noszący dziwaczną nazwę: „Mączysty Kartofel”. Przekonałem się niebawem, że nie został ochrzczony tak dziwnym mianem, lecz przezwany w handlu z powodu swej bladej i okrągłej twarzy. Tego znów ojciec był wozowodą, służył nadto w straży ogniowej i z tego powodu co wieczór bywał w jednym z wielkich teatrów, gdzie krewna – sędzę, rodzona siostra Kartofla – występowała w pantomimach w roli chochlika.

Któż wyrazi tajemne męki mej duszy, gdy ujrzałem się otoczony podobnym towarzystwem, które porównywałem z tym otoczeniem, jakie miałem w dniach szczęśliwych mego

² Lord Mayor – burmistrz Londynu.

dzieciństwa, że już nie wspomnę Steerforth, Traddlesa i innych szkolnych towarzyszy! Gdzież się podziały nadzieje i marzenia moje o wyrośnięciu na wykształconego, światłego dżentelmena! Znikły bez śladu. Wspomnienie tego, co było, ostateczna utrata wszelkiej nadziei, wstyd i upokorzenie z powodu obecnego mego położenia, przeświadczenie, że właśnie czas, w którym powinienem był uczyć się i kształcić, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu mijając będzie marnie, niepowrotnie – napełniały mnie rozpaczą. Za każdym oddaleniem się Micka Walkera mieszałem gorzkie łyżę z wodą, którą płukałem butelki, wzdychając tak głęboko, jak gdyby rozpacz rozsadzała mi piersi.

Zegar w kantorze wskazywał wpół do pierwszej i zabierano się do pójścia na obiad, gdy pan Quinion skinął na mnie przez okno. Wchodząc do kantoru spostrzegłem tęgiego, niemłodego mężczyznę w ciemnym surducie, czarnych pantoflach i obcisłych spodniach, z głową szeroką i zupełnie łysą, z ogromną twarzą, którą zwrócił ku mnie. Odzież jego była zbrukana, tylko kołnierz od koszuli wyglądał imponująco biało, w rękę trzymał laskę ozdobną sutymi kutasami, na kamizelce połyskiwał monokl, dla ozdoby, jakem się potem przekonał, przewieszony, gdyż używał go rzadko i nic wcale przez niego nie widział.

– Oto on – rzekł wskazując mnie pan Quinion.

– To jest więc – rzekł z napuszeniem i zarazem z uprzejmością wielką nieznajomy – młody Copperfield! Mam nadzieję, że zastaję pana w dobrym zdrowiu?

Odpowiedziałem mu, że zdrow jestem i tak dalej. Wprawdzie czułem się bardzo niedobrze, lecz nie było w zwyczaju moim uskarżać się na różne trapiące mnie tak srogo dolegliwości. Nawzajem spytałem nieznajomego o jego zdrowie.

– Zdrow jestem – odrzekł. – Chwała Bogu zdrow, zupełnie. Właśnie otrzymałem list od pana Murdstone. Życzy on sobie, abym salkę, którą mam właśnie nie zajętą, wynajął młodzieńcowi – tu nieznajomy uprzejmie skłonił ręką, a brodę zagłębił w sztywnym kołnierzyku – którego mam przyjemność i zaszczyt poznać.

– Pan Micawber – objaśnił pan Quinion.

– Istotnie, tak istotnie – potwierdził nieznajomy.

– Pan Murdstone – wtrącił pan Quinion – zna pana osobiście. Pośredniczy on w potrzebie w zdobywaniu dla nas obstalunków. Pan Murdstone prosił go w liście o wyszukanie dla ciebie mieszkania. Otóż będziesz mieszkał u niego.

– Mój adres: Windsor Terrace, City Road – rzekł pan Micawber i wyraził gotowość odwiedzenia mnie raz jeszcze, by wskazać najbliższą drogę.

Podziękowałem przepraszając za ambaras, jakim się zechciał dla mnie obarczyć.

– O której godzinie – spytał – mógłbym?

– Około ósmej – odrzekł pan Quinion.

– Około ósmej tedy – kończył pan Micawber. – Nie zatrzymuję pana dłużej, żegnam.

Nałożył kapelusz, wyszedł z laską pod pachą, wyprostowany, pogwizdując jakąś piosenkę, gdy znalazł się za drzwiami kantoru.

Wówczas pan Quinion udzielił mi moralnej nauki, zlecił, abym się starał być użyteczny i sumiennie spełniał obowiązki za płacę sześciu szylingów tygodniowo. Nie pamiętam zresztą dokładnie, sześciu czy siedmiu. Zdaje mi się, że na początek sześciu, siedmiu dopiero później, gdy na to podwyższenie honorarium zasłużyłem. Zresztą (zdaje się, że z własnej kieszeni) wypłacił mi z góry pensję za cały tydzień, a nadto dał coś Kartoflowi rozkazując, aby moją walizkę, zbyt ciężką na moje siły, przeniósł wieczorem na Windsor Terrace. Pierwszy mój obiad kosztował mnie sześć pensów. Składał się z kawałka pieroga z mięsem i wycieczki do najbliższej studni. Resztę czasu przeznaczoną na obiadowanie przewałęsałem po ulicy.

Pan Micawber zjawił się wieczorem o umówionej godzinie. Umyłem się starannie i poszliśmy razem do mego – zdaje mi się, że miałem prawo tak je nazwać – mieszkania. Po

drodze towarzysz mój starał się wpoić w młodocianą moją pamięć nazwy mijanych ulic i kształty rozliczne narożnych domów, abym nazajutrz nie zbłądził na którymś z zakrętów.

Gdyśmy przybyli do położonego przy Windsor Terrace domu, wydał mi się on, jak i przewodnik mój, liche, lecz pełne pretensji. Pan Micawber przedstawił mi swą żonę, szczupłą, zwiędłą, wcale nie młodą kobietę, siedzącą w bawialnym pokoju (całe pierwsze piętro stało puste i rolety dla omamienia zapewne sąsiadów były wszędzie spuszczone) z niemowlęciem na ręku. Było to jedno z dwojga bliźniąt, notując to, gdyż rzadko kiedy zdarzyło mi się nie widzieć choć jednego z nich u piersi matki. To jedno, to drugie na zmianę się posilało.

Oprócz tego było tam dwoje jeszcze starszych dzieci: młody Micawber w wieku lat czterech i trzyletnia panna Micawber. Młoda, śniada służąca, sapiąca i chrapiąca ustawicznie, która, zanim pół godziny upłynęło, oznajmiła mi, że jest „sierotą” wziętą z pobliskiego przytułku, dopełniała skład domu. Pokoik mój był na poddaszu, od dziedzica, pomalowany w deseń, który bujnej mej wyobraźni przypomniał bułeczki podawane do herbaty, umeblowany zresztą więcej niż skromnie.

– Nie przypuszczałam nigdy – rzekła pani Micawber, która z bliźniętami i starszymi dziećmi odprowadziła mnie na górę – wówczas gdy przed zamążpójściem mieszkałam z papą i z mamą, abym kiedy potrzebowała brać lokatora. Wszelkie jednak osobiste względy muszą być pominięte, skoro pan Micawber znajduje się w kłopotliwym położeniu...

– Zapewne, pani – odrzekłem.

– Interesy mego męża są właśnie w opłakanym stanie – ciągnęła kobieta – i nie wiem doprawdy, jak się z tego wywinie. Kiedyś mieszkała przed zamążpójściem z papą i z mamą, nie miałam pojęcia o tym, lecz „doświadczenie uczy wszystkiego”, jak mawiał papa.

Nie wiem już, czy mi to powiedziała, czym tylko wyobraził sobie, że pan Micawber był niegdyś oficerem i służył w marynarce. Dość, że mi się tak po dziś dzień zdaje. Potem pracował jako agent handlowy, nieosobliwie na tym wychodząc.

– ...Jeśli – ciągnęła pani Micawber – wierzyciele mego męża nie zostawią mu czasu dla uregulowania interesów, sami padną ofiarą swojej niecierpliwości. Co do mnie, wyznaję, chciałabym, aby się to już raz skończyło. Z kamienia krwi nie można wycisnąć, a z pana Micawbera żadnych zaliczek ani nawet na prawne koszty nikt nic nie wycisnie.

Nie wiem, czy to drobna moja osoba wzbudziła od razu tyle zaufania u mojej gospodyni, czy też potrzeba wylania wezbranych uczuć była tak wielka, że w braku innych powierników skarżyłaby się zawieszonym u jej piersi bliźniętom, dość że, raz zacząwszy, skarżyła się stale podczas prowadzonych ze mną rozmów. Biedna kobieta! Utrzymywała, że starała się, w czym mogła, dopomóc mężowi, w co zresztą najzupełniej wierzyłem. Nad drzwiami domu czerniał napis olbrzymi: „Pensjonat pani Miwcawber dla dziewcząt”. Nigdy też, co prawda, żadnej nie spotkałem w domu uczennicy i nie widziałem też żadnej dziewczynki, którą chciano by powierzyć opiece mojej gospodyni, ani w domu żadnego ku temu przygotowania. Jedyńymi odwiedzającymi, których widywałem lub o których słyszałem, byli wierzyciele. Ci przybywali o każdej porze, a niektórzy z nich byli prawdziwie okrutni. Zwłaszcza pewien szewc, jak mi się zdaje, wczesnym już rankiem stawał na schodach wołając:

– Co! Jeszcześ nie wstał! Zapłać, coś winien, nie kryj się, to nie pomoże! Na twoim miejscu wolałbym zapłacić dobrowolnie! Słyszysz!

Nie otrzymując odpowiedzi używał mocniejszych wyrazów, jak „łotr” i „złodziej”, a gdy i to nie skutkowało, wychodził na ulicę i na głos wymyślał grożąc pięścią oknom, za którymi znajdował się dłużnik. Przywodziło to tego ostatniego do rozpacz. Czasem uciekał się do ostateczności i raz, jak to zdradził krzyk jego żony, porwał brzytwę chcąc położyć koniec torturom, co mu nie przeszkadzało w pół godziny potem czyścić starannie buty

i wyjść z domu pogwizdując tkliwą lub wesołą piosenkę. Żona jego była zmienna, elastyczna, że tak powiem. Nieraz o trzeciej zanosila się od płaczu z powodu jakiegoś pozwu, a o czwartej z najlepszym apetytem zjadała baranie kotlety i zapijała je grzany winem, opłaconym ostatnimi dwiema srebrnymi, do lombardu zaniezionymi ty żeczkami. Raz pamiętam, wróciwszy wcześniej niż zwykle do domu, zastałem ją splakaną, z potarganymi włosami, na wpół omdlałą, trzymającą jednak zawsze na ręku jedno z bliźniąt, nie pamiętam, czym widział ją kiedy weselszą, niż była tegoż samego wieczoru, gdy smażyć kotlety opowiadała mi długo i szeroko o swym papie, swej mamie i wytwornym towarzyskim kole, w którym jej rodzice się obracali.

W domu tym spędzałem wśród Micawberów wolne godziny. Z rana trochę mleka i bułki stanowiło me śniadanie, które kosztowało mnie dwa pensy. Drugą bułkę i miniaturowy kawałek sera chowałem na wieczór w kącie półki jednej z szaf. Czyniło to znaczny uszczerbek w moich sześciu czy siedmiu szylingach. Wiedziałem o tym, wiedziałem też, że mi suma ta wystarczyć musi na tydzień. Zresztą dzień cały spędzałem w sklepie. Od poniedziałku rano do soboty wieczorem nie słyszałem słowa rady, zachęty, współczucia, nikt mną nie kierował, nikt się o mnie nie troszczył, nikt, zupełnie nikt, tak mi Boże dopomóż.

Byłem tak małym jeszcze dzieckiem, tak nie przygotowanym – i mogło być inaczej? – do podjęcia ciężaru życia, że często rano dążąc do handlu „Murdstone i Grinby” zatrzymywałem się przed piekarnią i wobec silnej pokusy topniały nieraz przeznaczone na obiad pieniądze. Wówczas nie obiadowałem wcale lub żywiłem się porcją puddingu. Pamiętam dwie piekarnie, o wyborze pomiędzy którymi decydowały środki, jakie posiadałem. Jedną, w głębi dzielnicy, w pobliżu kościoła Św. Marcina (dom ten już nie istnieje), gdzie robiono specjalnie przysmak ten z rodzynkami, lecz gdzie porcje były mniejsze i znacznie droższe. Drugą przy Strandzie (i ta część miasta uległa przebudowaniu), gdzie wyrabiano puddingi blade, ciężkie, zakalcowate, z rzadkimi, gdzieniegdzie, rodzynkami. Podawano je ciepłe jeszcze i nieraz na podobnym posiłku poprzestawałem dzień cały. Regularne i paradne moje obiady składały się na przemian z kawałka chleba i sera ze szklanką piwa lub z kawałka pieczonego mięsa, kupowanego w traktierni tuż naprzeciw naszego handlu, zwanej „Pod Lwem” lub podobnie, jeśli mię pamięć nie myli. Raz pamiętam, z owiniętym w papier, a zaoszczędzonym na śniadanie kawałkiem chleba, który nosiłem pod pachą jak książkę, wszedłem do słynnej traktierni przy Drury Lane i kazałem podać sobie pół porcji pieczeni wołowej. Co sobie o tak małym i samotnym gościu myślał usługujący mi chłopak, nie wiem. Wiem tylko, że mi się ciekawie przypatrywał i pokazywał swym towarzyszom. Wychodząc czułem się w obowiązku zostawić mu pół pensa, pragnąc w duszy, by go nie przyjął.

Pod wieczór uwalniano nas na pół godziny na herbatę. Gdy wystarczało mi pieniędzy, kupowałem w najbliższej kawiarni pół porcji kawy. Gdy ich nie miałem, przypatrywałem się wystawie wędlin na Fleetstreet lub przechadzałem się aż do rynku targowego Covent Garden i przyglądałem się ananasom. Lubiłem zapuszczać się aż do Adelphi. Miejsce to pociągało mnie swoją tajemniczością. Widzę siebie raz pod wieczór pod tymi ciemnymi łukami, przy jakiejś gospodzie tuż nad rzeką, z otwartym przed nią placikiem, na którym tańczyło właśnie kilku węglarzy. Przypatrując się im usiadłem na ławce. Co też oni myśleć o mnie musieli!

Tak drobnym byłem jeszcze dzieckiem, że nieraz, gdym wchodził do szynku na szklankę piwa lub portera dla zapicia niedostatecznych obiadów, wahano się z podaniem mi żądanych trunków. Raz, pamiętam, w wieczór po dniu upalnym, wszedłem do jakiejś gospody i spytałem gospodarza:

– Ile kosztuje u pana szklanka dobrego, ale to najlepszego piwa?

Był to dzień wyjątkowy, moje urodziny czy też coś podobnego.

- Dwa pensy i pół – odrzekł gospodarz.
- Proszę! – powiedziałem kładąc pieniądze na stole – tylko po brzegi.

Gospodarz obejrzał mnie od stóp do głowy i zamiast nalać, wsadził głowę za firankę mówiąc coś do żony. Wyszła z robotą w ręku i zaczęła się też przypatrywać mi bacznie. Staliśmy naprzeciw siebie, gospodarz w koszuli tylko, oparty o półkę, jego żona w drzwiczkach na poły przysłoniętych firanką, ja przed nimi, zmieszany nieco. Poczęli wypytywać, jak się zwę, ile mam lat, gdzie mieszkam, co robię, jakim sposobem trafiłem do gospody. Na wszystkie te pytania, ze strachu, by nie skompromitować nikogo, odpowiedziałem wymijająco. Podano mi szklanę piwa (ale nie najlepszego, jak mi się wydało), za to żona gospodarza nie tylko zwróciła mi za nie pieniądze, lecz nadto pocałowała mnie serdecznie, z czysto kobiecą tkliwością.

Nie, nie przesadzam mówiąc o szczupłości mych środków czy o trudnościach życia. Każdy szyling, który mi wpadł w rękę, opłacał obiad lub herbatę. Od rana do nocy ja, drobne dziecię, pracowałem na równi z dorosłymi ludźmi. Wpółgłodny, wałęsałem się po ulicach bez żadnej opieki i tylko łaska Najwyższego strzegła mnie, żem nie został włóczęgą lub złodziejem.

Wyrobiłem sobie, co ciekawsze, nawet pewne stanowisko w handlu „Murdstone i Griby”. Pan Quinion, o ile mógł to czynić człowiek tak zajęty, traktował mnie nieco odmiennie. Nigdy nie powiedziałem nikomu z mego otoczenia, jak wszedłem do nie liczącego ze mną zawodu, nigdy się przed nikim na nic nie uskarżałem. Mnie samemu tylko wiadome było, com cierpiał, a wyrazić tego nawet nie zdołałem! Milcząc starałem się spełniać swój obowiązek, wiedząc z góry, że jeśli mu nie podołam, nie potrafię uniknąć wzgardy i poniewierki. Wkrótce też stałem się tak wprawny jak i moi towarzysze, z którymi żyłem w przyjaznych stosunkach, mimo że w obejściu różniłem się od nich, co wytwarzało pewien dystans między nami. Mówiąc o mnie nazywali mnie „paniczem” lub „małym z Suffolku” i tylko jeden z tragarzy, zwany Grzegorzem, i drugi nazwiskiem Tipp wołali mnie czasem po imieniu, i to przez przychylność raczej niż lekceważenie, gdy przy robocie starałem się rozerwać ich opowiadaniem tego, com dawniej czytał i co się już stopniowo zacierało w mojej pamięci. Zrazu Mączysty Kartofel buntował się przeciw mojej „wytworności”, lecz go Mick Walker przywiódł do opamiętania.

Nie miałem żadnej nadziei wyjścia kiedykolwiek z tego opłakanego położenia. Ani na chwilę nie godziłem się z tym, wprawiało mnie ono w rozpacz, znosiłem je jednak i nawet w częstych listach do Peggotty, w części przez przywiązanie do niej, przez dumę w części, nie uroniłem najlżejszej skargi.

Niedola rodziny Micawberów powiększała jeszcze me troski. W opuszczeniu mym przywiązałem się niemal do tej rodziny i podzielałem niepokoje, z jakich mi się gospodyni moja codziennie zwierzała. Rozmyślałem o długach i o wierzycielach jej męża i o sposobie ratowania interesów bez wyjścia. Rzec by można, że i mnie przygniatał ciężar długów pana Micawbera. Najdłuższe zwierzenia miały miejsce zwykle w sobotę wieczorem. Dzień ten lubiłem szczególnie, po pierwsze, czułem dnia tego w kieszonce od kamizelki całe si edem moich szylingów, po wtóre, z pracy zwalniano nas wczesniej. Zwierzenia powtarzały się też w niedzielę rano, gdym odgrzewał na kominku wczoraj przyniesioną kawę lub herbatę. Niejednokrotnie sobotnie te zwierzenia rozpoczynały się potokami łez, a kończyły wesołą jakąś piosenką. Nieraz też widziałem wieczorem pana Micawbera wracającego do domu w rozpacz; mówił wtedy, że mu nic nie pozostaje oprócz więzienia, a w godzinę potem obliczał, ile by kosztowały lukowe wykusze w oknach. „A nuż wszystko się jeszcze zmieni”, było ulubionym jego powiedzeniem. Żona najzupełniej podobna była w tym do męża.

Ciekawe też stosunki – pomimo różnicy wieku, lecz dzięki zapewne wspólnym naszym nędzom – zawiązały się pomiędzy mną a mymi gospodarzami, stosunki najzupełniej przy-

jazne. Nie pozwalałem sobie wprawdzie nigdy korzystać z zaproszeń pani Micawber do jedzenia, odkąd przypuściła mnie do swych domowych tajemnic. Zdarzyło się to w następujący sposób:

– Panie Copperfield – rzekła pewnego wieczoru – nie uważam pana za obcego i muszę powiedzieć, że interesy nasze są oplakane.

Ze współczuciem patrzyłem w zaczerwienione oczy mówiącej.

– W spiżarni – ciągnęła – nie mam nic oprócz kawałka szwajcarskiego sera, nie mogącego służyć za posiłek tak małym, jak moje, dzieciom. Ach! W spiżarni! Mieszkając z mamą i papą przywykłam tak mówić i teraz zapominam się... po prostu nie ma co jeść.

— Boże mój! – westchnąłem z głębi serca.

Miałem jeszcze parę szylingów tygodniowej pensji – rozmowa powyższa toczyła się, jak sądzę, w czwartek – wydostałem je więc spiesźnie, usilnie błagając panią Micawber, aby je przyjąć raczyła jako pożyczkę, lecz odmówiła stanowczo, ucałowała mnie tylko serdecznie.

– Nie, nie, kochany panie Copperfield! Daleka byłam od podobnej myśli, roztropny jednak jesteś nad wiek swój i inną mi możesz oddać usługę.

Byłem na rozkazy.

– Rozstałam się ze srebrem – mówiła – sześć łyżeczek do herbaty, dwie do soli, szczyptki do cukru, wszystko zastawiłam sama. Bliźnięta niemałym są ciężarem. Operacje te jednak nie zgadzają się z tym, do czego w rodzicielskim przywykłam domu. Przekonania mego męża bronią mu również mieszać się w podobne sprawy, a Clickett – było to imię służącej – zbyt jest ordynarna, abym ją do poufałości dopuścić miała. Toteż, gdybyś pan zechciał...

Zrozumiałem, o co idzie, i ponownie ofiarowałem me usługi. Odtąd rzadki był dzień, w którym by mnie nie obarczano podobnymi zleceniami. Wszystko, co dało się wynieść, zostało wyniesione z domu. Najpierw kilka ksiąg z szafki, którą pan Micawber nazywał „biblioteką”, sprzedane zostały przeze mnie za byle co antykwariuszom gnieżdżącym się podówczas gęsto, tuż obok sklepów z ptakami, na City Road. Handlarz starych ksiąg, z którym z tej okazji nawiązałem stosunki, upijał się zwykle co wieczór, a co rano dostawał porządne „kazanie” od żony. Nieraz, wczesnym rankiem, zastawałem go z rozbitą głową lub podbitym okiem – śladami nocnej bójki. Drżącą ręką szukał pieniędzy w kieszeniach leżącej jeszcze na ziemi, częstokroć porwanej odzieży, gdy tymczasem żona, ze spuszczoną pończochą i dzieckiem na ręku, nie przestawała czynić mu wyrzutów. Bywało, że pieniędzy wcale nie mógł znaleźć. Widocznie stracił je lub roztrwonił. Wówczas prosił, abym zaszedł później, lecz w takich razach zapłatę dostarczała żona. Posadzałem ją nawet, że ona to wypróżnia kieszenie nietrzeźwego męża i znalezione w nich pieniądze chowa w ukrytym miejscu.

Równie często widziano mnie w lombardzie na rogu. Znano mnie tam i kupiec załatwiający interes nieraz kazał mi odmieniać jakieś łacińskie słowo. Po każdej podobnej transakcji zwykła była następować u moich gospodarzy sutsza niż zwykle wieczera.

Nadszedł nareszcie dawno przewidywany kryzys w interesach pana Micawbera; p o-prowadzono go pewnego poranku do więzienia za długi, w dzielnicy Borough.

Przed wyjściem z domu mówił, że palec Boży ciąży nad nimi, istotnie był przybity (a i ja także), słyszałem jednak, że już w południe zorganizował w więzieniu partię kręgli. Zaraz w pierwszą niedzielę po jego uwięzieniu obiecałem odwiedzić go i zjeść nawet z nim obiad. Miałem trafić na pewien plac, minąć go, przejść ulicę, zawrócić w lewo, w prawo, minąć dziedziniec, stanąć u furty przed odźwiernym. Gdym się z tego wszystkiego wywiązał i ujrzawszy furkę rozmyślałem o odźwiernym pilnującym więzienia Roderyka Rando-ma, ten, którego dostrzegłem z daleka okrytego wełnianą kołdrą, znikł mi sprzed zasłoniętych mgłą oczu. Serce biło mi, nieborakowi, gwałtownie!

Pan Micawber czekał mnie u furty i poprowadził do swej celi zalewając się gorzkimi łzami. Zaklinał mnie, pamiętam, aby mi smutny los jego pozostał na zawsze upomnieniem, że ten, co posiada rocznego dochodu dwadzieścia funtów, może wydać tylko dziewiętnaście funtów, dziewiętnaście szylingów i sześć pensów, lecz biada mu, jeśli wydaje dwadzieścia jeden. Po czym wręczył mi szylinga na portera, dał kartkę do żony, otarł łzy i oddał się wesołości.

Siedzieliśmy przed słabo płonącym i skąpo zasilanym ogniem. Współlokator pana Micawbera wszedł niosąc kawał baraniny, mającej stanowić składkowy nasz obiad. Wysłano mnie na wyższe piętro do pana „kapitana Hopkinsa” z ukłonami i prośbą o łaskawe pożyczenie noża i widelca.

Kapitan wręczył mi żądane sztucce. Wzajemnie kazał kłaniać się panu Micawber. W pokoiku kapitana zastałem niedbale ubraną kobietę i dwie dziewczynki, jego córki, z potarganymi kudłatymi włosami, co mi nasunęło myśl, że lepiej już u kapitana pożyczać noże i widelce niż grzebienie. Sam obdarty był i nędzny, w starym tabaczkowym surducie, pod którym nie mogłem dostrzec nawet rąbka koszuli, z parą olbrzymich bokobrodów na bladej twarzy. Pościel leżała zwinięta w kątku izdebki, na półkach stały talerze i kubki, którym prędko policzył domyślając się od razu, że chociaż kędzierzawe dziewczęta są córkami kapitana, brudna kobieta nie jest jego żoną. Wszystko to zbadałem jednym rzutem oka i wychodząc nie wątpiłem o trafności mych spostrzeżeń.

Tchnący nieco cyganerią obiad był jednak zupełnie przyjemny i wesoły. Po obiedzie, odniósłszy sztucce właścicielowi, wróciłem do domu, by zdać pani Micawber sprawę z mych odwiedzin. Zemdląła na mój widok, a dla pocieszenia się usmażyła wieczoru tego jajecznice.

Nie wiem, kto i kiedy zajął się wyprzedają mebli i sprzętów moich gospodarzy. Obeszło się tym razem bez mego pośrednictwa. Wyniesiono wszystko oprócz jednego łóżka, paru kulawych krzeseł i kuchennego stołu. Pani Micawber, dzieci, służąca sierota i ja mieszciliśmy się w dwóch pokojach z resztą sprzętów. Nie wiem, jak długo to trwało, zdaje mi się, że bardzo długo. Wreszcie pani Micawber postanowiła przenieść się do więzienia, gdzie udało się jej mężowi pozyskać celę na wyłączny swój użytek. Odniosłem gospodarzowi domu, ku widocznemu jego zadowoleniu, klucz od opuszczonego przez nas mieszkania. Resztę ruchomości, wyjąwszy moje łóżko, przeniesiono do więzienia, w którego pobliżu znalazło się, ku wielkiemu memu zadowoleniu, schronienie i dla mnie. Dzieląc ich będę przywiązałem się do rodziny mych gospodarzy. „Sierota” ulokowała się gdzieś w sąsiedztwie. Moje mieszkanie znajdowało się na poddaszu, kształt miało tabakierki i widok na dachy, wydawało mi się jednak pałacem, gdy rozważałem położenie mych przyjaciół.

Tymczasem pracowałem ciągle, jednostajnie, w handlu „Murdstone i Grinby”, wśród tych samych towarzyszy, na tych samych co i przedtem warunkach, z niezmiennym przeświadczeniem wyrządzonej mi niezasłużenie krzywdy i poczuciem wielkiego upokorzenia. Nigdy – na szczęście moje zapewne – nie nawiązywałem znajomości, a nawet unikałem rozmowy z licznymi chłopakami przybywającymi do handlu lub z tymi, których spotykałem na ulicy idąc na obiad. Prowadziłem jak dawniej życie odosobnione, smutny, zamknięty w sobie. Te tylko chyba zaszły zmiany, że się odzież moja porwała, lecz z serca spadł mi ciężar ciągłej troski o los państwa Micawber, gdyż znaleźli się krewni czy przyjaciele, którzy zobowiązali się pomagać im w obecnym ciężkim przejściu, toteż dawni moi gospodarze wiedli w więzieniu o wiele wygodniejsze życie niż przedtem na swobodzie. Jadałem teraz z nimi śniadania na mocy jakichś układów i kombinacji, których szczegółów nie pamiętam. Nie pamiętam też, o której godzinie otwierały się przede mną drzwi więzienne, lecz pamiętam doskonale, że nieraz już o szóstej rano przechadzałem się po Londyńskim Moście lub siadywałem na kamieniu przypatrując się przechodniom, lub pochylony nad poręczą patrzyłem w słońce odbite w wodzie, lub wznosząc głowę podziwiałem

jego odbłyśki na szczycie pomników. Tu spotkałem „sierotę”. Opowiadałem jej straszne i zadziwiające historie o Tower, w które zresztą sam najzupełniej wierzyłem. Wieczorem po skończonej pracy wracałem znów do więzienia i przechadzałem się po dziedzińcu z panem Micawber lub grałem w karty z panią, słuchając po raz nie wiem już który o świetnościach i słodyczach życia, jakie wiodła w rodzicielskim domu. Czy pan Murdstone wiedział, co się ze mną dzieje? Nie wiem zgoła. Nie wspominałem go i nie słyszałem nic o nim.

Tymczasem interesy pana Micawbera, pomimo przejścia kryzysu, niezbyt się poprawiały. Szło o jakiś „skrypt”; mówiono o nim wiele, a który, rozumiem to teraz, musiał być zapewne jakąś umową z wierzycielami, ale umowa w myśli mojej zostawiła wrażenie diabelskiego kontraktu, z którym poradzić sobie nie umiano. Wreszcie pani Micawber oznajmiła mi, że się jej rodzina wdaje w tę zawiłą sprawę; mąż пода prośbę o uznanie niewypłacalności na podstawie prawa o niewypłacalnych dłużnikach i po sześciu czy siedmiu tygodniach zostanie uwolniony.

– Wówczas – dodał obecny przy tej rozmowie pan Micawber – rozpocznę życie na nowo, na inną, o! na inną skalę – jeśli, ma się rozumieć, wszystko, jak się spodziewam, odmieni się na lepsze.

W wyczekiwaniu tych błogich zmian pisałem, zdaje mi się, prośbę do Izby Gmin o wprowadzenie wskazanych przezeń zmian prawnych, dotyczących więzienia za długi. Notuję ten szczegół i wiele innych celem przypomnienia samemu sobie wszystkiego, co mi dopomogło wówczas stworzyć sobie własny świat wewnętrzny, obcy zewnętrznym otaczającym mnie warunkom.

W więzieniu, pamiętam, był klub, w którym pan Micawber, jako dżentelmen, cieszył się pewną powagą. Projekt prośby do Izby Gmin znalazł tam gorący poklask. Zagrzany tym poklaskiem, zawsze czynny, gdy szło o coś, co nie miało związku z jego własnymi interesami lub co było zupełnie zbyteczne i niepotrzebne, zasiadł do dzieła. Rozrastało się ono pod jego piórem do imponujących rozmiarów, wreszcie dnia pewnego wezwał wszystkich członków klubu i mieszkańców więziennych, by podpisali prośbę.

Chociaż znałem prawie wszystkich ich i wszyscy oni mnie znali, tak ciekaw byłem i przejęty ważnością gotującej się uroczystości, że zwolniłem się z handlu o godzinę wcześniej, by w korytarzu więziennym przypatrywać się wchodzącym do pana Micawbera gościom. Tytu wybitniejszych członków klubu, ilu mogło się pomieścić bez trudu w ciasnej izdebce, otoczyło pana Micawbera stojącego obok, a kapitan Hopkins (umyty i ogolony na tę uroczystość) odczytywał na głos prośbę tym, którzy z nią dostatecznie obznajmieni nie byli. Nastąpiły podpisy. Podpisujący wchodzili jeden za drugim, a każdego z kolei kapitan pytał, czy zna treść prośby, i za każdym „nie” lub nawet najlżejszym wahaniem rozpocynał na nowo czytanie głosem wyraźnym i dobitnym. Sądzę, że jeśli tam było dwadzieścia tysięcy podpisujących, czytałby każdemu z osobna, szczególnie podkreślając takie frazesy, jak na przykład:

„Przedstawiciele narodu w Parlamencie!... Z pokorą przystępujący do przezacnej Izby, nieszczęśni poddani Jego Królewskiej Mości” i tym podobnie. Słowa te w ustach jego nabrzmiewały niezwykłą uroczystością, lubował się nimi, smakował je, a pan Micawber przysłuchiwał się im bez odrobiny autorskiej miłości własnej, wodząc skromnie okiem po niskim suficie izdebki.

Chodząc tak codziennie z dzielnicy Blackfriars do dzielnicy Southwork i nazad, włączając się w godzinach obiadu po ciasnych uliczkach i zaułkach, których kamienie noszą ślady dziecinnych moich stóp, iluż spotykałem takich, których cienie powstają na odgłos słów kapitana Hopkinsa! Gdy myślą zwracam się w przeszłość, pytam siebie, ile z tych historii, w które stroiła przechodniów dziecinna rozigrana moja wyobraźnia, zmieniło się w dotykalaną rzeczywistość? I widzę przed sobą budzące politowanie moje, małe, rozmarzone chłopię, rozwijające myśl i uczucie w tak niestosownym, opłakanym otoczeniu nikczemnych ludzi i zdarzeń.

Rozdział XII

Zdobywam się na stanowczy krok

Prośba pana Micawbera osiągnęła pożądaną skuteczną. Ku wielkiemu memu zadowoleniu uwolniono go z więzienia. Wierzyńcy okazali się zupełnie ludzkimi, a pan Micawber mówił mi, iż nawet okrutny szewc zeznał przed sądem, że mu nie życzy nic złego i lubi tylko, by mu płacono, jeżeli mu się pieniądze należą. Dodał przy tym, że zgodne jest to z naturą ludzką.

Po skończonej rozprawie wrócił jeszcze do więzienia dla dopełnienia potrzebnych formalności. W klubie przyjęto go z entuzjazmem. Podczas gdy ucztował on wieczorem w gronie członków klubu, my tymczasem w jego celi otoczeni śpiącą rodziną spożyliśmy wspólnie z panią Micawber barani mostek.

– Przy tej sposobności – zauważyła ta ostatnia, przygotowując napój z piwa, wina, cukru i gorącej wody – wzniesmy z panem Copperfieldem toast pamięci mej mamy i papy.

– Zatem nie żyją? – spytałem wychyliwszy do dna kieliszek.

– Mama moja pożegnała świat ten, zanim się jeszcze zaczęły kłopoty mego męża, a przynajmniej zanim się wzmogły nie do wytrzymania. Papa żył czas jakiś jeszcze, by nas ratować. Umarł ogólnie opłakiwany.

Pani Micawber uroniła łzę żalu, którą skropiła czoło jednego ze spoczywających na jej ręku bliźniąt.

Skorzystałem ze sposobności, aby zadać pytanie w żywo obchodzącej mnie kwestii.

– Chciałbym spytać – rzekłem – co państwo zamierzacie począć po załatwieniu interesów i wyjściu z więzienia, gdzie zamieszkać?

– Rodzina moja – odpowiedziała pani Micawber, a zwykła słowa te wymawiać z wielką emfazą, chociaż właściwie mówiąc, nie dowiedziałem się nigdy, kto mianowicie mianem tym był objęty – rodzina moja życzy sobie, abyśmy opuścili Londyn i aby mąż mój próbował sił swych i zdolności na prowincjonalnej arenie. Znane są zresztą panu, panie Copperfield, wysokie uzdolnienia mego męża.

Skinałem twierdząco głową.

– Wysokie uzdolnienia! Zdaniem mojej rodziny, przy jakimś staraniu człowiek tak uzdolniony z łatwością zajmie należne sobie stanowisko, chociażby w komorze celnej. Że zaś rodzina moja ma stosunki tam na miejscu, zamierzamy udać się do Plymouth. Zdaniem rodziny mojej, krok ten będzie najstosowniejszy.

– Najłatwiej będzie tam działać – zauważyłem.

– Właśnie! Mąż mój powinien być pod ręką, w razie jeśliby się coś trafiło.

— A czy pani zamierza towarzyszyć mężowi?

Wzruszenia dnia tego, do spółki z bliźniętami, a może i wychylone toasty, tak dalece rozczuliły panią Micawber, że głośnym wybuchła płaczem.

– Nigdy nie opuszczę pana Micawbera! – zawołała patetycznie. – Chociaż skrywał przede mną stan swych interesów, w nadziei, że się z nich wywikła, wie, jak kochającą, gotową do poświęceń ma we mnie towarzyszkę życia. Naszyjnik z pereł, bransolety odziedziczone po mojej matce poszły za pół ceny, także garnitur koralowy, ślubny podarek pa-

py! Za nic niemal. Tak to, tak! A jednak nie opuszczę mego męża za nic, nigdy, i niech mnie nikt o to nie prosi.

Czułem się zmieszany i spoglądałem nieśmiało na mówiącą.

– Mąż mój ma zapewne wady, winy – ciągnęła patrząc na ścianę – wiem, że skrywał przede mną istotny stan swych interesów, w innym przedstawiał światło, tym niemniej nie opuszczę go nigdy.

Tu łkania mówiącej wzmogły się do tego stopnia, że przerażony pobiegłem do klubu po biesiadującego tam małżonka. Siedział on przy długim stole wtórując śpiewającym chórem:

Nalej Dobbin,
Dalej Dobbin,
Wychył Dobbin!
Nalej Dobbin...

Na wieść o stanie, w jakim się znajdowała jego połowica, rozplakał się i wybiegł za mną z surdudem pokrytym odłamkami skorupki raków, które włą śnie spożywał.

– Co ci jest, aniele mój! Emmo! – wołał wpadając do celi.

– Nie opuszczę cię nigdy, nigdy! – wołała rzucając mu się w objęcia żona.

– Święcie ci wierzę, aniele mój! Przekonany o tym jestem.

– Jest on rodzicem dzieci moich, rodzicem bliźniąt, małżonkiem moim – wołała łkając kobieta – i nie opuszczę go nigdy, nigdy!

Pan Micawber zdawał się być tak wzruszony tym wybuchem małżeńskiej wierności (i mnie to do łez rozczuliło), że ściskając żonę błagał, aby się uspokoiła i spojrzała na niego. Głucha na te zaklęcia, wodziła błędnym okiem dokoła i wcale się uspokoić nie chciała. Prosił mnie tedy, abym wyszedł na korytarz, zanim rozbierze ją i położy. Chciałem pożegnać go, lecz nie zgodził się, abym odszedł przed ostatnim dzwonkiem więziennym. Po niejakiem czasie wyszedł do mnie na korytarz.

– Jak się ma pani Micawber? – spytałem.

– Słaba – rzeki wstrząsając głową – słaba. Zwykle następstwa silnych wzruszeń. Dzień to był wyjątkowo ciężki. Pozostaliśmy sami, przez wszystkich opuszczeni...

Ścisnął mi rękę, wyrzekał, płakał. Dziwiło to mnie, gdyż przeciwnie, spodziewałem się, że zobaczę go w tym dniu pocieszonym i rozweselonym. Widać, my ślałem, tak przywykli do biedy, że się nie mogą pogodzić ze zmianą okoliczności. Dość, że mi się nigdy nie zdali bardziej przybici, jak tego wieczoru. Doprawdy, odchodząc, żegnany tkliwie i błogostawiony przez rozżalonego pana Micawbera, bałem się zostawiać go samego; tak się zdawał być zrozpaczony.

W tym wszystkim zasmucało mnie najbardziej to, że opuszczają Londyn, a zatem, że będę zmuszony rozstać się z nimi. Wieczoru tego, wracając do siebie, a potem leżąc bezsennie większą część nocy, powziąłem po raz pierwszy myśl, która się z czasem zmieniła w stałe postanowienie.

Tak przywykłem do tej rodziny, tak się w ich biedzie z nimi zżyłem, tak zresztą byłem samotny i opuszczony, że lękałem się większego jeszcze osamotnienia, szukania nowego schronienia wśród obcych, nieznanymi ludźmi. Wszystkie zranione, tłumione moje uczucia i wstręty budziły się ze zdwojoną siłą. Nie, podobne życie było nie do wytrzymania!

I nie było nadziei zmiany. Chyba ucieczka wyrwać mnie mogła z tego piekła. Chyba! O panu i o pannie Murdstone żadne nie dochodziły mnie wieści, oprócz paru zawiniątek z gotowym odzieniem, w którym na świstku papieru J. M. zlecała D. C., aby pilnował miejsca i spełniał sumiennie swoje obowiązki. Nic ponadto i poza tym. Byłem popychadłem i zostać nim miałem zawsze.

Nazajutrz, uspokoiwszy się nieco, spostrzegłem, że wyjazd z Londynu państwa Micawberów nie nastąpi, przynajmniej natychmiast. Najęli sobie w domu, w którym miesz-

kałem, pokój na cały tydzień i dopiero po tygodniu zamierzali wyjechać do Plymouth. Po południu pan Micawber udał się we własnej osobie do kantoru, aby uprzedzić pana Quinion o swym wyjeździe i udzielić mi przy tym jak najlepszego świadectwa, na które zresztą w zupełności zasłużyłem. Wskutek tego pan Quinion ułożył się z woźnicą Tipp, żonatym i posiadającym izdebkę do wynajęcia, o nowy dla mnie lokal ku obopólnemu naszemu, jak sądził, zadowoleniu, gdyż nie mówiłem mu nic, chociaż powziąłem już stanowczy zamiar.

Resztę wieczorów pozostałych nam do spędzenia pod wspólnym dachem spędzaliśmy z państwem Micawber razem, przywiązując się wzajemnie do siebie coraz bardziej. Ostatniej niedzieli zaprosili mnie na obiad, złożony z wieprzowiny i puddingu. Jako podarek przy rozstaniu, ofiarowałem drewnianego konika małemu Wilkinsowi, a lalkę małej Emmie, służącej zaś całego szylinga.

Pomimo rozrzewnienia wobec bliskiego rozstania dzień zszedł nam nader przyjemnie.

– Ile tylko razy – upewniała pani Micawber – wspomnę sobie ten okres czasu, w którym interesy mego męża w tak opłakanym były stanie, tyle razy myśleć będę o panu, panie Copperfield. Postępowanie pańskie było nad wyraz szlachetne i delikatne. Nie lokatora, lecz prawdziwego mieliśmy w panu przyjaciela.

– Widzisz, duszko – rzekł pan Micawber – Copperfield (od niejakiego czasu zaprzestał już nazywać mnie „panem”) posiada serce zdolne odczuć niedolę bliźnich, głowę do rady, ramię do... jednym słowem, umie robić stosowny użytek z przymiotów, jakimi natura go obdarzyła.

Podziękowałem za tak pochlebne o mnie mniemanie, wyrażając przy tym żal nad bliskim rozstaniem.

– Przyjacielu! – mówił pan Micawber – starszy jestem od ciebie i posiadam niejakie doświadczenie, zwłaszcza, jak by to powiedzieć, zwłaszcza w trudnych życiowych przejściach. Tymczasem i zanim coś się zmieni, a właśnie z godziny na godzinę wyczekuję pomyslniej zmiany losu, nie mogę niczym ci służyć, jeno dobrą radą. Rady moje mają to chociażby do siebie, że sam ich nie służyłem i doszedłem do opłakanego stanu, w jakim właśnie mnie widzisz... To mówiąc, dotąd wesół i uśmiechnięty, zaczął marszczyć się i krzywić.

– Mężu mój drogi! – upomniała żona.

– ...Mówię tedy – z uśmiechem już ciągnął pan Micawber – do opłakanego stanu, w jakim mię widzisz. Otóż dam ci radę: nigdy nie odkładaj na jutro tego, co dziś ma być zrobione. Każda zwłoka jest okradaniem czasu, który musimy trzymać za kołnierz, by nam nie umknął.

– Zasada mego ojca! – westchnęła pani Micawber.

– Duszko – odrzekł mąż – ojciec twój miał słuszność i zgadzam się z nim najzupełniej. Nie zdarzyło mi się spotkać człowieka, który by w jego wieku mógł pochwalić się takimi jak on łydkami i najdrobniejsze druki czytać bez okularów. Lecz co do powyższej maksymy, rozciągając takową do naszego małżeństwa, przyspieszył je, narażając mnie na koszty, których dotąd pokryć nie zdołałem.

Spojrzał z ukosa na żonę i dodał:

— Nie uskarżam się jednak na to, kochanie, wcale, wcale się nie uskarżam, i owszem.

Po chwili milczenia ciągnął:

– Dalsze moje rady znane już ci są, Copperfieldzie. Kto ma dochodu dwadzieścia funtów, a wyda rocznie dwadzieścia jeden, ten jest na drodze do ruiny i bankructwa. Biada mu! Zatruty będzie miał spokój, zwiędnie jak liść miotany wichrem, w gorycz mu się zmieni wszelka radość.

Dla poparcia słów swych pan Micawber podniósł w górę z istotnym zadowoleniem kufel ponczu i zaczął wesołą pogwizdywać piosenkę.

Upewniałem go, że zachowam w pamięci słowa jego i rady, które, prawdę mówiąc, wraziły mi się stokroć lepiej w pamięć przykładem, który miałem przed sobą. Nazajutrz odprowadzałem odjeżdżających na pocztę, patrząc z bólem w sercu, jak zajmowali miejsca w dylizansie.

– Niech Bóg ma pana w swej opiece – mówiła pani Micawber. – Nigdy nie zapomnę pana!

– Copperfieldzie – wołał mąż jej – żegnaj mi, żegnaj! Życzę ci wszelkiego szczęścia i powodzenia. Z biegiem czasu spodziewam się dożyć tej pociechy, że los mój posłuży ci za naukę; będę szczęśliwy, jeśli się moje doświadczenie na coś przyda! A jeśli przekorne dotąd dla mnie losy zmienią się na lepsze, jak tego mam nieomylnie przeczucie, licz na mnie i na serdeczne z mej strony poparcie we wszystkich twych zamysłach.

Zdaje mi się, że dopiero siedząc w głębi dylizansu, z dziećmi dokoła siebie, pani Micawber, patrząc na mnie stojącego na drodze i smutnie w nią wpatzonego, dostrzegła po raz pierwszy, jak małym byłem dzieckiem. Pewien nawet tego jestem, gdy ż spojrzała na mnie z nie znanym mi dotąd wyrazem macierzyńskiego jakby żalu, skinęła ręką, a gdy się wspiął na stopień, przycisnęła mnie po raz pierwszy do piersi, długo i gorąco, jak gdybym był własnym jej dzieckiem. Zaledwem zeskoczył, dylizans potoczył się. Chwilę jeszcze dostrzec mogłem powiewające u jego okien chustki. Po chwili wszystko znikło w oddali! Chwilę jeszcze staliśmy na drodze, w dal zapatrzeni, służąca i ja, po czym uścisnęliśmy się za ręce i rozeszli każde w swoją stronę, „sierota” zapewne do przytułku, z którego ją wzięto, ja do handlu „Murdstone i Grinby”.

Zdecydowany byłem niedługo już tam pozostać. Postanowiłem uciec. Uciec w ten lub inny sposób i trafić do jedynej pozostałej mi na świecie krewnej, do ciotki Betsey Trotwood.

Nie wiem już, jak to zauważyłem powyżej, kiedy myśl ta powstała mi w głowie, lecz raz powstawszy w niezłomne zmieniła się postanowienie. Wątpię, czy mi się zdawała szczęśliwą lub czy budziła we mnie nadzieję lepszego losu; dość, że postanowiłem wprowadzić ją mimo wszystko w czyn.

Od owej nocy, kiedy mi się po raz pierwszy przedstawiła w sennym, gorączkowym marzeniu, nie wiem już, ile razy wspomnieniem przebiegałem wszystko, co mi matka i Peggotty opowiadały o wypadkach towarzyszących memu urodzeniu. Niegdyś niesłychanie to mnie bawiło i głęboko wraziło się w pamięć. Na całą tę historię osoba ciotki Betsey, ni by potężna i sroga wróżka, rzucała cień ponury; był tam jednak szczegół, z którego dziecięce moje serce czerpało otuchę. Zdawało się matce mojej, że gdy płakała przed ciotką, uczuła na swych włosach pieszczotliwe dotknięcie jej ręki. Chociaż matka moja mogła się była mylić, chociaż nie mogło to mi w żadnej mierze służyć za podstawę, utkwiło głęboko jednak w dziecięcej mej wyobraźni. Słodką piękność mej matki, której żywe zachowałem wspomnienie, musiała rozbroić srogą ciotkę. Przekonanie to musiało, mimo mej wiedzy, wpłynąć na moje postanowienie.

Że jednak nie wiedziałem nawet, gdzie ciotka Betsey mieszka, spytałem o to w liście Peggotty, nadmieniając dla niepoznaki, że coś słyszałem o damie mieszkającej – tu wymieniłem pierwszą lepszą miejscowość, która przyszła mi na myśl. Jednocześnie dodałem, że potrzebuję bardzo pół gwiney i wdzięczny będę Peggotty, jeśli mi pożyczyci na czas jakiś; gdy się znowu zobaczymy, powiem, na co pieniądze te użyte zostały. Odpowiedź nadeszła szybko, pełna, jak zwykle, najserdeczniejszych zapewnień niezmiennego przywiązania. Peggotty przysłała mi żądane pieniądze. Z trudnością musiała je kochana moja piastunka wydobyć ze skrytki, w której mąż jej gromadził swe oszczędności; pisała, że ciotka Betsey mieszka w pobliżu Dovru, nie umiała tylko objaśnić mi, gdzie sam Dover leży, w Hythe, Sandgate czy Folkestone. Ktoś, kogom zagadnął o te miejscowości, powiedział mi, że leżą

tuż przy sobie, co mi się wydało wystarczające dla moich zamysłów. Uskutecznienie ich odłożyłem do końca tygodnia.

Byłem bardzo uczciwy i nie chciałem niczym obarczać pamięci, jaką miałem po sobie zostawić w handlu „Murdstone i Grinby”; otrzymawszy zaś w sobotę tygodniową płacę uważałem się związanym do dnia tegoż, a gdy wieczorem przyszła chwila nowej wypłaty i woźnica Tipp zjawił się po nią jak zwykle pierwszy, uścisnąłem dłoń mego towarzysza Micka Walkera prosząc go, aby gdy przyjdzie kolej na mnie, oznajmił panu Quinion, że wyszedłem wcześniej w celu przeniesienia mej walizki do Tippów. Po czym po żegnawszy się z Mączystym Kartoflem wybiegłem ze sklepu.

Walizka moja znajdowała się jeszcze w przednim mieszkaniu. Na adresie sklepu, któryśmy zwykli byli przypinać do roznoszonych po mieście paczek, skreśliłem: „Pan Dawid. Zatrzymać do zgłoszenia się odbiorcy. Poczta w Dover”. Miałem to gotowe w kieszeni i udając się do mieszkania oglądałem się, czy nie znajdę kogoś, kto mi pomoże wynieść walizkę. Pod obeliskiem, na Blackfriars Road, przed pustym wózkiem, stał młody dryblas, który wydał mi się odpowiedni.

Spytałem go, czy nie chciałby co zarobić.

– Co mianowicie? – spytał.

– Przewożąc walizkę.

– Czyją?

Powiedziałem mu, że moją i że trzeba ją odstawić do stacji pocztowej za opłatą sześciu pensów.

Zgodził się i toczył swój wózek tak szybko przed sobą, że m go z trudnością mógł dogonić. Było coś nieprzyjemnego w wyrazie jego twarzy, mówiąc zaś żuł kawałek słomy, lecz że umowa stanęła, nie było co robić. Postawiliśmy na wózku walizkę, wahałem się jednak powierzyć mu adres i przyszło mi na myśl zawezwać kogo z rodziny moich byłych gospodarzy. Prosiłem go tedy, aby zatrzymał się chwilę przy furtce więziennej. Zaledwie to wymówił, wózek wraz z moją walizką potoczył się jak szalony. Zadyszałem się biegnąc i wołając. Zmęczony, rozgrzany, wyrzuciłem z kieszonki moje pół gwinei i, podjąwszy ją, dla większego bezpieczeństwa wziąłem w usta, drżącymi dłońmi usiłując uwiązać do wózka walizkę. Wtem poczułem silne pchnięcie i pieniądz mój z ust moich przeszedł do rąk dryblasza.

– Aha! – wołał ten ostatni porywając mnie za kołnierz. – Tak to, mały łotrze! Chodź do policji, do policji!

— Oddaj mi moje pieniądze i zostaw mnie w pokoju – jąkałem się wystraszony.

– Do policji, do policji! – ciągnął napastnik.

– Oddaj mi moje pieniądze i moją walizkę! – wołałem wybuchając płaczem.

Odpowiedział mi tylko „do policji! do policji!”, wlokąc mnie za sobą w tak gwałtowny sposób, jak gdyby sędziowie znajdowali się tuż, zaraz. Po chwili jednak zmienił zamiar, wypuścił mnie ze swych szpon i z wózkiem i walizką popędził szybko, wołając, że sam tak prędzej dobiegnie do policji.

Pędziłem za nim długo, nie mając już siły wołać i nie śmiejąc, gdybym ją miał. Chwilami traciłem go z oczu, to znów dostrzegałem, znów traciłem, czułem się w biegu smagany biczem, popychany, ślizgałem się w błocie, padałem, podnosiłem się, trącałem przechodniów. Zmęczony, zgrzany, wystraszony, z opuszczającymi mnie siłami, sądząc, że pół Londynu goni za mną, wyrzekłem się wreszcie pogoni, pieniędzy, walizki, i płacząc, lecz nie zatrzymując się wcale, zawróciłem ku Greenwich wyobrażając sobie, że tędy wiedzie droga do Dovru, do celu mej ucieczki.

Rozdział XIII

Następstwa tego kroku

Wyrzekłszy się pogoni za złodziejem i zwróciwszy się do Greenwich, zamiarem moim było zapewne dobiec do samego Dovru. Po długiej dopiero chwili ochłonąłem nieco i usiadłszy na kamieniu przy tarasie, koło którego był basen wody z jakąś olbrzymią, w suchą konchę dmiącą postacią, starałem się zebrać rozpierzchłe myśli. Tchu mi brakowało w piersiach, nie miałem sił nawet, by opłakiwać stratę walizy i pół gwiney.

Ściemniało się. Zegar gdzieś wybił dziesiątą. Szczęściem, wieczór był pogodny i ciepły. Wypocząwszy trochę, powstałem, lecz ani na chwilę nie zdjęła mnie chętka powrotu. Ręczę, nie przyszłoby mi to na myśl nawet wobec śnieżnej na drodze zamieci.

Niepokoili mnie jednak nieco ta okoliczność, że posiadałem tylko w kieszeni, Bóg wie jakim cudem, z tygodniowego wydatku pozostałe trzy półpensy. Przypominając sobie różne czytane w dziennikach nowiny, wyobrażałem, jak i mnie za parę dni znajdą nieżywego pod płótnem. Rozmyślenia te nie wstrzymały mego kroku i właśnie mijałem sklepik z napisem, że tu się kupuje męską i damską odzież, w najlepszej zaś cenie są szmaty, kości i kuchenne sprzęty. Właściciel sklepu, bez surduta, z fajką w ręku siedział na progu. W oknie wisiał surdut i para spodni, słabo oświetlone dwiema świeczkami, wszystko to wywarło na mnie ponure wrażenie. Wyobrażałem sobie, że człowiek ten mściwy być musi i że zapewne wieszka wszystkich swych wrogów.

Doświadczenie nabyte w obcowaniu z panem i panią Micawber nauczyło mnie, że nie ma takiej biedy, która by się jako tako zażegnać nie dała. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, ściągnąłem z pleców kamizelkę i zwinąwszy ją starannie zbliżyłem się do handlarza mówiąc:

– Przepraszam pana, chciałbym to sprzedać za dobre pieniądze.

Pan Dolloby – nazwisko to było wypisane na szyldzie – wziął mi z rąk paczkę, postawił przy drzwiach fajkę, wszedł do sklepiku, a ja za nim. Palcami utarł nadpalone u świec knoty. Długo oglądał ze wszech stron kamizelkę, wreszcie spytał:

– I wieleż to się ceni?

– Pan to sam lepiej może wiedzieć – odrzekłem.

– Nie mogę być zarazem kupującym i sprzedającym – odrzekł – proszę o wymienienie żądanej ceny.

– Osiemnaście pensów – wyjąkałem po długim wahaniu.

– Dając dziewięć okradłbym całą rodzinę – rzekł zwijając kamizelkę i zwracając mi ją.

Było to wielce delikatne postawienie sprawy. Obcy i nieznany, nie mogłem przecież wymagać, aby pan Dolloby krzywdził i okradał dla mnie własną rodzinę. Pod naciskiem położenia zauważyłem nieśmiało, że zgodziłem się na dziewięć, które też otrzymałem. Pożegnawszy handlarza wyszedłem ze sklepiku bogatszy o całe dziewięć pensów, lecz bez kamizelki na plecach. Ściągnąłem, ile się dało, na piersiach surducik, przewidując, że się i z nim wkrótce będę musiał rozstać i dalszą drogę odbyć w spodenkach tylko, co byłoby jeszcze nader szczęśliwie. Nie zastanawiałem się jednak nad tym dłużej. Wszystko blade wobec przestrzeni, jaką miałem przebyć, i przygody z walizką. Powziąłem plan spędzenia nocy i wykonaniem jego zająłem się niebawem. Otóż postanowiłem przespąć się pod murem mojej dawnej szkoły, w narożnej niszy, gdzie składano siano i słomę. Zdawało mi się, że śpiąc tak w pobliżu dawnych mych towarzyszy i sypialni, w której niegdyś długie opo-

wiadałem im historie, mniej będę opuszczony, chociaż nic o mnie towarzysze wiedzieć nie będą, a sypialnia ich nie udzieli mi schronienia.

Zmęczony byłem i z trudnością dowlokłem się do Salem House. Dowlokłem się jednak i znalazłem pod murem stos siana. Obszedłszy dom dokoła i przekonawszy się, że światła nie było już w żadnym oknie, położyłem się. Nie zapomnę nigdy wrażenia pierwszej, pod gołym niebem spędzonej nocy.

Sen objął mnie jak i wielu innych wyrzutków, przed którymi zamknęły się tej nocy drzwi domów i na których warczały psy stróżeńce porządnych mieszkańców. Sen objął mnie i śniło mi się, że w szkolnej sypialni, otoczony towarzyszami, baję im, jak niegdyś bywało. Zbudziłem się nagle z imieniem Steerfortha na ustach, zdziwiony mruganiem gwiazd jasnych nade mną. Z poczuciem rzeczywistości zdjął mię strach, powstałem i począłem przechadzać się wzdłuż muru i dopiero świtanie uspokoiło mnie nieco, a że mi się oczy kleiły ze znużenia, wróciłem na posłanie i zasnąłem, czując jednak chłód poranku. Dopiero wschodzące słońce ogrzało mnie i zbudził dźwięk dzwonu w Salem House. Gdybym był pewien, że się tam Steerforth jeszcze znajduje, czekałbym, dopóki nie wyjdzie na dziedziniec. Ale Steerforth musiał już opuścić od dawna szkołę. Był tam może jeszcze Traddles, lecz nie byłem tego pewien, zresztą nie ufałem tak bezwzględnie jego rozprawom i dobrej gwieździe, chociaż ufałem najzupełniej sercu, by mi się zwierzyć w mej biedzie. Odszedłem tedy od Salem House w chwili, gdy uczniowie pana Creakle ze snu wstawali. Sam byłem na drodze, która, jakem się o tym niegdyś w szkole będąc dowiedział, wiodła do Dover, i żadne znane dostrzec nie miało mnie oko.

Jakże się ten niedzielny poranek różnił od tamtego, spędzonego w Yarmouth! Wlokąc się powoli, słyszałem wprawdzie głos kościelnych dzwonów, spotykałem idących do kościoła ludzi, przechodząc koło otwartych drzwi świątyni słyszałem pobożne pieśni wierznych, widziałem, jak stojący u drzwi lub chłodzący się pod drzewami cementarza zakrystianie przyglądali się podejrzliwie, lecz nie udzielało mi się świąteczne wesele i świątecznego zażyć nie mogłem wypoczynku. W tym była rzecz. Sam sobie wydawałem się bezbożny, w zbrukanej mej odzieży, z potarganymi włosami i wątpię, czyby mi sił starczyło do dalszej podróży, gdyby mnie nie zagrzewało wspomnienie matki mojej w całym blasku młodości i piękności, płaczącej w przeddzień mego urodzenia przed siedzącą u kominka ciotką. Obraz ten miałem ciągle w myśli, on to mnie wiodł i podtrzymywał.

Zrobiłem niedzieli tej coś około dwudziestu trzech mil pieszo, co mnie, nie przyzwyczajonego, zmęczyć bardzo musiało. Wieczorem, kulejąc i gryząc kawałek na wieczere schowanego chleba, doszedłem do mostu w Rochester. Widziałem wprawdzie nad bramą małego domku napis „Gospoda dla podróżnych”, bałem się jednak wydać ostatni piętyny zapas, a jeszcze bardziej może przestraszyły mię fizjonomie spotykanych podróżników. Woląłem więc pozostać znów przez noc całą pod gołym niebem, wlokąc się do Chatham, które w nocnym mroku wydało mi się sennym widzeniem wapna, mostów zwodzonych, okrętów bez masztów, podobnych od arki Noego, uwięzionych w zamulonej wodzie. Wylązłem wreszcie na trawę porośniętą baterie, gdzie przechadzały się warty. Tu, pod działem, uszczęśliwiony z sąsiedztwa żołnierza, który nie wiedział o mnie więcej niż poprzedniej nocy współtowarzysze moi z Salem House, położyłem się i snem twardym spałem do samego rana.

Z rana zbudziłem się zmęczony, zbity, ogłuszony biciem w bębny, pochodem wojsk, które napęłniły wąską ulicę. Wiedziałem, że chcąc dotrzeć do celu mej podróży muszę oszczędzać opuszczające mnie siły, postanowiłem przede wszystkim sprzedać tego dnia mój surducik. Zdjąłem go więc i trzymając pod pachą ruszyłem naprzód w poszukiwaniu kupca.

Miejsce to zresztą było najzupełniej odpowiednie dla podobnych transakcji, w zaułkach roili się tandeciarze. W oknach sklepików wisiały same mundury, epolety i tym podobne

przedmioty. Imponowały mi tak dalece, że długi czas nie śmiałem proponować mego towaru stojącym na progach kramarzom.

Nieśmiałość kazała mi szukać sklepów jeszcze mniejszych, podobnych do sklepu pana Dolloby. Znalazłem wreszcie coś podobnego na skwercie wąskiego i cuchnącego zaułka, przytykającego do zagrodzonego placu zarosłego pokrzywą, którego płot zawieszony był zardzewiałą bronią, ceratowymi kapeluszami i pękami zardzewiałych kluczy wszelkich rozmiarów, wystarczających, rzecz można, do otwarcia wszystkich pod słońcem istniejących zamków.

Do niskiego i ciasnego, rozświetlonego skąpą smugą światła wpadającą przez małe okienko sklepiku, do którego zstępowało się po kilku niepewnych stopniach, wszedłem z bijącym sercem, bynajmniej nie uspokojony widokiem starca, który wylazł z kąta i od razu porwał mnie za włosy. Straszny był, z długą, siwą brodą, w starym flanelowym kaftanie. Czuć go było wódką i rumem. W kącie pod oknem stało plugawe jego legowisko, pokryte zszywaną z gałganów kołdrą, za oknem widać było same pokrzywy i wśród nich chudego, kulawego osła.

– Czego chcesz, mały! – zawołał. – Po co tu włazisz, o goroo! Goroo! Ach, oczy wy moje i członki, czego ty tu chcesz? Ach, płuca wy moje i wątrobę, czego chcesz? Ach, goroo! Goroo!

Tak mnie przeraził jego widok, a zwłaszcza niezrozumiałe, chrapliwym głosem wymawiane słowa, że nie mogłem zdobyć się na odpowiedź. Stary nie puszczając mnie wrzeszczał:

– Czego chcesz, mały! Och, oczy wy moje i członki! Czego ty tu chcesz, czego? Och! Goroo, goroo! – wykrzykiwał z taką energią, że aż mu oczy na wierzch wychodziły.

– Chciałbym wiedzieć – odrzekłem drżąc cały – czy... czy nie sprzedałbym tego surduta.

– Pokaż, pokaż! – zawołał wypuszczając włosy moje z drżących rąk, podobnych do szponów olbrzymiego ptaka, i nakładając okulary na zaczerwienione oczy – pokaż, o moje ty płomienne serce! Och! Oczy wy moje i członki! Pokaż! O, goroo! A ile za to?

– Pół korony – odrzekłem przychodząc pomału do siebie.

– Och! Oczy wy moje i członki! Co to, to nie! Goroo! Osiemnaście pensów, goroo!

Za każdym wykrzyknikiem oczy mu na wierzch wylaziły, każde słowo wymawiał na kształt wycia wiatru przechodzącego z minorowych do majorowych tonów.

– Dobrze – rzekłem – zgoda i na osiemnaście pensów.

– O życie ty moje! Życie! – zawrzeszczał chowając surdut mój na półkę. – Czego ty chcesz ode mnie! O moje wy członki! Czego chcesz, pieniędzy? Goroo, weź co na zamianę.

Nie pamiętam, abym był kiedy bądź przedtem czy potem tak przerażony, jak wówczas. Tłumaczyłem pokornie kramarzowi, że potrzebuję koniecznie pieniędzy, nie zaś czego innego w zamian za mój surdut. Dodawałem, że gotów na pieniądze poczekać, nie w sklepie, ale na ulicy przed sklepem. Wszedłem też czym prędzej i usiadłem w kątku, w cieniu jakiejś wystającej belki. Siedziałem długo, godziny całe. Słońce weszło wysoko i znów się skłoniło, a ja siedziałem ciągle wyczekując pieniędzy.

Wątpię, aby się gdzie znajdował drugi podobny handlarz, pijak i wariat. Że go znano w okolicy całej, gdzie uchodził za sprzedaną diabłu duszę, dowiedziałem się od uliczników przedrzeźniających go ustawicznie przed drzwiami sklepiku i wołających nań, aby się opamiętał i oddał swoje złoto. „Ho! ho! – wołali. – Wiemy dobrze, co się święci! Wiemy, żeś bogaty, stary sknero, nie oszukasz nas swymi lamentami, oddaj złoto! Oddaj skarby, za które sprzedałeś się diabłu! Ho! ho! Podnieś no się ze swego legowiska, rozpruj swój materac, a pożyjemy się jego wnętrznościami”.

Wołając tak, obiecywali pożyczyć mu nawet noża lub nożyczek do rozprucia materaków. Rozwścieczony wybiegał ze sklepiku, co było zwykle dla uliczników hałasem do rozpraszania się, a wracali oni, skoro się drzwi zamknęły. Czasem brał mnie za jednego z nich i rzucał się na mnie tak, jak gdyby miał mnie rozszarpać, lecz opamiętawszy się wracał do swej nory, gdzie mruczał coś niezrozumiałego, przerywanego ustawicznymi „och” i „goroo”. Na dobitkę, widząc spokojne i cierpliwe moje zachowanie się u drzwi tandeciarza, ulicznicy zwrócili ku mnie część swych drwinek i przedrzeźniań.

Tandeciarz tymczasem usiłował skłonić mnie do przyjęcia starych rupieci zamiast osiemnastu pensów, które był mi dłużny. Przynosił mi kolejno wędkę, skrzypce, kapelusze z kokardą, tornister, flecik. Trwałem w postanowieniu, zrozpaczony, lecz niezłomny i prosiłem go za każdym razem o pieniądze lub o zwrot mego surducika. Zdecydował się wreszcie zapłacić i przez parę godzin przynosił mi po pół pensa, za każdym wychyleniem się ze swej nory wołając:

– Och, oczy moje i członki, czy nie mógłbyś zająć innym razem po resztę?

– Nie – odpowiedziałem – umarłbym z głodu.

– Och! Goroo! Goroo! Poczekaj do jutra na trzy pensy.

– Za nic, nie mogę.

– Och! Goroo! No, to masz czternaście pensów i kwita! – wołał wychylając poza drzwi głowę z wylazającymi na wierzch oczyma.

Tak byłem zmęczony i głodny, że zgodziłem się ostatecznie na tę zniżkę. Miało się już ku zachodowi. Wydatek trzech pensów pozwolił mi posilić się i ugasić trawiące mnie pragnienie. Przed nadejściem nocy uszedłem jeszcze siedem mil.

Nocowałem znów na stogu siana, obmywszy obrzękłe nogi w potoku i owinąwszy je świeżymi liśćmi. Nazajutrz droga wiodła mię wśród sadów i chmielem obsadzonych pól. Ogrody rumieniły się dojrzałymi jabłkami, a liczni robotnicy pracowali w chmielu. Wszystko to zachwycało mnie. Postanowiłem przespać noc tym razem w chmielu pod strażą wysokich, giętkimi gałązkami oplecionych tyczek.

Spotykani dnia tego podróżni straszniejsi mi się jeszcze wydali. Niektórzy zaczepiali mnie, a gdym uciekał od nich, ile sił starczyło, rzucali za mną kamienie i klątwy. Jeden, pamiętam, blacharz, wnosząc z jego sakwy i piecyka, który miał przewieszony przez plecy, idący w towarzystwie jakiejś kobiety, zaczepił mnie, a gdym szedł milcząc dalej, zaczął mi wymyślać.

– Wróć no się, gdy cię wołam, smarkaczu tam jakiś, bo ci połamię ręce i nogi!

Uznałem za stosowne usłuchać wezwania i zbliżyłem się do blacharza, starając się rozbroić go najtkliwszym spojrzeniem. Towarzyszka mu kobieta miała podbite oko.

– Gdzie idziesz? – pytał chwytając mnie za koszulę.

– Do Dover – odrzekłem.

– A skąd cię diabli niosą?

– Idę z Londynu.

– Czym dowiedziesz? Zuch z ciebie! Co?

– Nie – wyjąknąłem.

– Niech cię diabli! Jeśli nie zechcesz zrobić mi grzeczności, roztrzaskam ci czaszkę.

Wypuścił mnie z rąk swoich, strasząc i grożąc pięścią, obrzucił wzrokiem od stóp do głowy.

– No, mały, jeśli masz na kufelek piwa, dawaj, bo odbiorę.

Oddałbym wszystko, gdyby mnie nie powstrzymało spojrzenie kobiety, która wstrząsnęła przecząco, choć nieznacznie głową.

– Ubogi jestem – tłumaczyłem się – nic nie mam.

– Co ty myślisz sobie! – wrzasnął blacharz.

– Panie!

– Co myślisz! Niby to nie poznałem na twojej szyi jedwabnej chustki mego rodzonego brata? Oddawaj!

W mgnieniu oka chustka moja była w jego ręku. Zmiał ją i rzucił kobiecie. Ta roześmiała się jak z dobrego żartu, lecz odrzucając mi ją z powrotem, wzrokiem i nieznacznym poruszeniem ust mówiła wyraźnie: „zmykaj”. Zanim to jednak zdołałem uczynić, blacharz wyrwał mi znów z rąk chustkę, okręcił ją koło własnej szyi i zwracając się do swej towarzyszki, począł bić ją srodze. Nie zapomnę jej nigdy upadającej na drogę i leżącej w pyłe, z potarganymi włosami. Gdym odbiegł, obejrzałem się jeszcze. Siedziała nad rowem ocierając z czoła i twarzy krew końcem chustki, którą była okryta. Blacharz poszedł dalej.

Wypadek ten przeraził mnie tak dalece, że odtąd widząc zbliżających się ludzi chowałem się za płoty i do rowów, wychodząc, gdy mnie minęli i dostrzec już nie mogli. Opóźniało to o wiele moją podróż. W tych, jak i innych trudnościach, podtrzymywał mnie ciągle obecny w myśli obraz pięknej, młodej mojej matki w przeddzień mego urodzenia. On to czuwał nade mną, gdy spałem wśród chmielów, on mnie prowadził, gdym ruszył rano w dalszą drogę. Widzę go też na tle słonecznego krajobrazu, ponad ulicami, starymi domami i malowniczymi bramami, ponad szarą katedrą w Canterbury i jej wieżycami pokrytymi wronimi gniazdami. On to złocił połyskiem nadziei nagie, smutne płaszczyzny Dover, on to dowiódł mnie dnia szóstego do celu mej podróży. I dziwne, odbiegł mnie właśnie w chwili, gdy bosy, brudny, obdarty, słońcem i wiatrem spalony, na wpół nagi i na wpół zgłodzony stanąłem na bruku tego miasta.

Rozpytywałem z początku rybaków o moją ciotkę otrzymując najsprzeczniesze wskazówki. Jeden mówił, że mieszka przy gazowni, przez co osmalila swe faworyty. Drugi, że daleko za wodą, gdzie dojść tylko można przy odpływie. Trzeci, że ją zamknięto w więzieniu za kradzież dzieci. Czwarty, że odpłynęła właśnie wieczorem do Calais. Zwróciłem się do dorożkarzy, lecz ci zbyli mnie podobnymi żarcikami. Kramarze, zanim usta otworzyłem, wołali, żebym odchodził, bo wcale nie mają tego, czego żądam. Czułem się ostatecznie znużony i nieszczęśliwy, bez grosza, głodny, sił nie miałem ustać na nogach i cel podróży, do którego dotarłem, zdawał mi się teraz o wiele dalszy niż kiedykolwiek.

Cały ranek przeszedł na próżnych poszukiwaniach. Usiadłem na progu nie zajętego sklepu, w pobliżu rynku, rozmyślając, czy pójść we wskazywane tak sprzecznie miejsca, gdy przejeżdżający dorożkarz zgubił derę. Podjąłem ją i podając mu, ośmielony pocziwym jego wyglądem, po raz nie wiem już który powtórzyłem nieśmiałe pytanie.

– Trotwood – odrzekł namyślając się – słyszałem coś. Staruszka?

– Zapewne – odrzekłem.

– Sztywna – ciągnął prostując się.

– Zapewne – dodałem.

– Nosi zawsze torbę, ot taką dużą. Mrukliwa, kwaśna.

Serce mi biło, poznawałem ciotkę po tym wiernym opisie.

– Trzeba iść tędy – wskazał biczem – samym brzegiem morza. Jest tam, jak raz naprzeciw morza, domek, tak wprost. Musiałeś słyszeć o niej? Ręczę, że ci nie da feniga, masz oto za fatygę.

Przyjąłem z wdzięcznością pensa i zaraz kupiłem sobie chleba. Spożywając skromne to śniadanie szedłem długo i daleko, nie mogąc znaleźć domku, o którym mówił woźnica. Wcale nawet w okolicy tej domów nie było. Dostrzegłem wreszcie parę i wszedłem do sklepiku, aby znów zapytać o pannę Trotwood. Pytanie zwróciłem do kramarza ważącego właśnie ryż na szalkach, ale odpowiedziała na nie stojąca przed kantorkiem młoda kobieta.

– Moja pani! Czego możesz chcieć od mojej pani?

– Chciałbym ją widzieć – odrzekłem, bardziej jeszcze niż przedtem onieśmielony.

– O, chcesz jałmużny.

– Nie, wcale nie – odrzekłem, lecz zaczerwieniłem się na myśl, że istotnie po to chyba przyszedłem.

Służąca, wsypawszy do koszyka odważony ryż, wyszła ze sklepiku i powiedziała, że idąc za nią dowiem się, gdzie panna Trotwood mieszka. Nogi pode mną drżały, gdyśmy się zbliżyli do wiejskiego domku, przed którym bielił się piaskiem wysypany dziedziniec, a dokoła woń rozpuszczał starannie utrzymany, rozkwiecony ogród.

– Tu mieszka panna Trotwood – rzekła służąca – a teraz sam radź sobie – dodała wbiegając szybko do domu, jak gdyby chciała uniknąć wszelkiej odpowiedzialności za następstwa tak śmiałego kroku. Pozostałem u bramy drżący, spoglądając nieśmiało i zapewne błagająco w okna.

Po niejakim czasie w jednym z nich uchyliła się muślinowa firanka ukazując zieloną zasłonkę, może wachlarz, w oknie stojący stoliczek i głęboki fotel. Nasunęło mi to myśl, że mogę ujrzeć natychmiast ciotkę we własnej osobie.

Obuwie moje było w oplakany stan. Brudne, porwane, ledwie się stóp moich trzymało. Kapelusze (służył mi też w drodze za poduszkę) utracił wszelkie kształty i wstydliwie opuścił brzegi. Pot, rosa, pył, siano, na którym spałem, pozostawiły tysiące śladów na koszuli i spodniach. Zawieszane na kijach służyć by mogły do wystraszenia wróbli z ogrodu, u którego wrót stałem. Włosów moich, od wyjścia mego z Londynu, nie dotknął grzebień ani szczotka, twarz moja, ręce i szyja spalone były na brunatny kolor, a od stóp do głowy pokrywał mnie kurz gęsty, białawy. Pod taką to postacią i świadomy nędznego wyglądu miałem przedstawić się straszliwej ciotce.

Cisza w oknie uspokoiła mnie. Zapewne nie było tam ciotki. Podniosłem nieśmiało oczy. W oknie stał niemłody, rumiany, uśmiechnięty dobrotliwie mężczyzna. Włosy miał siwe, mrużył oko, kiwnął mi kilkakrotnie głową, potrząsnął nią kilkakrotnie i odszedł.

Tyle już doznawałem zawodów, że tym razem zamyślałem na serio odejść, gdy z domu wyszła dama, w chustce do nosa zawiązanej na czepku, w rękawicach i z ogrodowymi nożycami w ręku, w ogromnym jak u malarzy fartuchu. Domyśliłem się od razu, że mam przed sobą ciotkę Betsey. Zjawiła się tak nagle i niespodzianie, jak niegdyś w Blunderstone.

– Precz stąd! – zawołała machając nożycami – nie tu miejsce dla uliczników.

Cofnąłem się mimo woli, przyglądając się jej. Weszła do ogrodu i zaczęła wycinać suche gałązki. Zdobyłem się na odwagę i stanąwszy za nią dotknąłem z lekka jej ramienia.

– Proszę pani...

Odwróciła się, spojrzała mi prosto w oczy.

– Ciotko!...

– Co? – zawołała zdumiona.

– Proszę pani, ciociu... jestem twoim siostrzeńcem.

– Jezu?! Maria! – zawołała i usiadła na ścieżce.

– Jestem Dawidem Copperfieldem z Blunderstone w Suffolk, gdzie pani raz już była odwiedzając drogą moją mamę w chwili, kiedy się właśnie urodziłem. Bardzo jestem niešťliwy od śmierci mamy. Poniewierano mną, niczego nie uczono, wyprawiono z domu, kazano zarabiać na życie umieszczając w niestosownym dla mnie miejscu. Nie mogłem wytrzymać, uciekłem, okradli mnie, obdarli na drodze, szedłem pieszo, nie miałem gdzie spać ani co jeść...

Tu odwaga, w jaką się uzbroiłem na początku, opuściła mnie, wyciągnąłem ręce, chcąc może tylko przekonać ciotkę o stanie mej odzieży, o prawdzie słów moich, i wybuchnąłem wielkim, od tygodnia w piersiach dławącym mnie, a ciągle powstrzymywanym łkaniem.

Ciotka siedziała ciągle, nie mogąc przyjść ze zdziwienia do słowa, a gdy się rozpląkał, porwała się z miejsca, pociągnęła mnie za sobą do domu. Pierwszą jej czynnością było otwarcie szafy; dostała stamtąd kilka butelek i zaczęła wlewać mi coś w usta. Czyniła to

w pośpiechu, bez wyboru, toteż czułem kolejno smak anyżowej wody, sosu sardelowego i octu. Gdy to nie skutkowało i nie mogłem powstrzymać łkań, położyła mnie na sofie, zakryła głowę szalem, a zdjętą z własnej głowy chustkę podłożyła pod nogi, abym nie zbrukał pokrycia kanapy. Wówczas dopiero usiadła sapiąc, wachlując się wielkim zielonym wachlarzem i od czasu do czasu wołając:

– To mi historia!

Po jakimś czasie zadzwoniła.

– Janet! – rzekła do służącej. – Pójdź na górę, poproś pana Dicka, chcę z nim pomówić.

Służąca spojrzała na mnie ze zdziwieniem, nie śmiałem poruszyć się, by nie rozgniewać ciotki, lecz odeszła nie robiąc żadnej uwagi. Ciotka tymczasem chodziła wzdłuż i wszerz pokoju. Po chwili wszedł uśmiechnięty staruszek, ten sam, który mrugał i kiwał był na mnie przez okno.

– Panie Dick – poczęła ciotka – bądź proszę, rozważny, umiesz nim być, gdy chcesz, wszyscy to wiedzą, bądź tedy rozważny.

Staruszek spoważniał w mgnieniu oka, spoglądając na mnie tak, jak gdyby zlecał mi milczenie o tym, co zaszło u okna.

– Panie Dick – ciągnęła ciotka – musiałeś nieraz słyszeć, jak mówiłam o Dawidzie Copperfieldzie. Nie udawaj, proszę, że nie pamiętasz, oboje wiemy, jak doskonałą masz pamięć!

– Dawid Copperfield – począł stary z roztargnieniem – Dawid Copperfield? A tak, pamiętam, właśnie Dawid.

– Dobrze – rzekła ciotka. – Masz oto przed sobą jego syna. Podobniuteńki byłby do ojca, gdyby nie to, że i matkę przypomina bardzo.

– Jego syna? Aha! Syna Dawida Copperfielda.

– W sam raz – potwierdziła ciotka – nie wyobrazisz sobie, co nadokazywał! Uciekł, uciekł! Jego siostra, Betsey Trotwood, pewnie by nie uciekała. – Mówiąc to, kiwała głową pełną zaufania w zalety dziewczęcia, które się nie narodziło.

– O! – zauważył pan Dick. – Tak sądzisz, pani?!

– Patrzcie go – oburzyła się ciotka – jak on to mówi! Czy ja tak sądzę? Naturalnie. Mieszkałaby ze mną, swą chrzestną matką, wychowywałaby się u mnie, przepadałybyśmy jedna za drugą. Gdzież by zresztą Betsey Trotwood mogła uciec?

– Nigdzie – potwierdził pan Dick.

– A widzisz, widzisz, jakiś dowcipny i domyślny! A teraz do rzeczy. Oto widzisz przed sobą małego Dawida Copperfielda i nasuwa się pytanie, co mam z nim począć?

– Co począć? – wyjąknął kiwając głową zapytany. – Co począć?

– Właśnie, w tym rzecz – mówiła ciotka patrząc mu w oczy i podnosząc wskazujący palec. – Pomyśl i daj mi dobrą radę.

– Ha! Gdybym był na pani miejscu... – zaczął patrząc z roztargnieniem na mnie. Nagle uderzyła go szczęśliwa myśl, bo zawołał żywo: – Umyłbym go!

– Janet! – zawołała uradowana ciotka. – Wyborną radę daje nam pan Dick. Zagrzewaj wannę.

Chociaż rozmowa ta interesowała mnie niemało, przypatrywałem się ciekawie mówiącym. Ciotka była wysoką, o grubych rysach, lecz raczej przyjemnej powierzchowności kobietą. W twarzy jej, głosie, ruchach była stanowczość, która musiała niegdyś wystraszyć tak słodkie i nieśmiałe stworzenie, jak moja matka, lecz twarz ta surowa piękna dotąd była. Przede wszystkim uderzyły mnie wielkie, błyszczące oczy. Pod czepkiem siwe włosy, rozdzielone nad czołem, układały się w dwa gładkie pasma. Suknię miała ciemną, wąską, coś w rodzaju amazonki. Przy boku nosiła męski zegarek z dewizką i sygnetem. Biały męski kołnierzyk i mankiety wykańczały jej ubranie.

Pan Dick, jak to już zauważyłem, siwy był i rumiany. Głowa mu się trzęsła, nie z wieku jednak, lecz w sposób przypominający mi jednego z moich szkolnych towarzyszy potrzysającego podobnie głową po bolesnych napomnieniach pana Creakle; jego szeroko rozwarte, jasne źrenice o nieco błędnym spojrzeniu, wraz z dziecięcym poddaniem się ciotce, widocznej radości, gdy go chwaliła, nasuwały myśl, że jest obłąkany i dziwiło mnie tylko, jakim sposobem mogę go tu widzieć. Ubrany był najzwyczajniej w szary ranny surdut i białe spodnie, z zegarkiem u boku, z kieszką w kieszeni, którą od czasu do czasu pobrzękiwał z widocznym zadowoleniem.

Janet była świeżą dwudziestolletnią dziewczyną, ubraną czysto i starannie. Dodam tu, czego się z czasem dopiero dowiedział, że była jedną z pupilek mojej ciotki, która miała ich kilka z kolei. Wszystkie wychowywała w pogardzie dla małżeństwa, a każda z kolei wyrzekała się pierwotnych, przez ciotkę wszczepionych zasad, wychodząc za piekarza.

Pokój, w którym znajdowaliśmy się, równie był czysty jak ciotka i jej służąca. Teraz jeszcze, gdy przypominając go sobie odkładam na bok pióro, czuję świeży powiew od strony morza, zapach kwiatów z ogrodu, widzę stare, skromne, od czystości lśniące sprzęty, w szerokiej framudze okna fotel ciotki, stół, zielony wachlarz, chodnik chroniący dywan, kota, dwa kanarki, starą porcelanę, wazę do ponczu, pełną zasuszonych różanych liści, szafkę zastawioną jakimiś czarkami i flakonikami – i wśród tego wszystkiego, wyciągniętą na kanapie, wszystkiemu temu przypatrującą się, brudem, kurzem pokrytą moją osobę.

Zaledwie Janet odeszła przygotowywać kąpiel, ciotka ku wielkiemu memu przestraszowi porwała się nagle spojrzawszy w okno, zawołała gwałtownie:

– Janet! Osły!

Słyszając to służąca zbiegła ze schodów, jak gdyby dom się palił, i zaczęła odganiać od zielonej wąskiej smugi trawy dwie na osłach siedzące damy, a tymczasem ciotka zbiegłszy na dół, własną ręką chwyciła cugle trzeciego, niosącego na swym grzbiecie małego chłopca, wyciągnęła go na ścieżkę, targając nadto za uszy nieszczęśliwego jeźdźca.

Po dziś dzień nie wiem, czy ciotka miała istotne prawo własności do tej smugi murawy, czy też wyobrażała sobie, że je posiada, co zresztą dla niej i w zastosowaniu wychodziło na jedno. Za największą, osobiście wyrządzoną jej obrazę poczytywała wtargnięcie osłów w nietykalne te granice. Chociażby nie wiem jak była zajęta, chociażby rozmawiała o najważniejszych kwestiach, widok osła na drodze zmieniał bieg jej myśli, pochłaniał całą jej uwagę. Konwie pełne wody były zawsze w pogotowiu dla ukarania nieuważnych jeźdźców, różgi leżały za bramą, baczność była nieustanna, nieustanne też zatargi i potyczki. Sądziłem nawet, że wynajmujący osły chłopcy umyślnie tam wjeżdżali lub że osły same, ze znaną swą przekorą, przekraczały zabronioną im granicę. Dość że zanim przygotowano kąpiel, zaszły aż trzy podobne wyżej opisanemu zatargi, a w jednym z nich, najognistszym, ujrzałem ciotkę moją walczącą z piętnastoletnim jasnowłosym chłopakiem, który w zaskoczeniu, zanim się obejrzał, na kształt piłki odskoczył od bramy. Wszystko to dziwiło mnie nieskończenie, tym bardziej że ciotka jednocześnie poila mnie rosółem za pomocą łyżeczki od kawy, w przekonaniu, że pokarm winien być udzielany zagłodzonym w minimalnych dozach, i pomiędzy jedną a drugą dawką, zanim czas miałem zamknąć usta, zrywała się wołając:

– Janet! Osły!

Kąpiel pomogła mi bardzo. Czułem ból w kościach i straszne znużenie, tak że z trudnością tylko podnosiłem oczy. Po kąpieli ciotka ze służącą odiały mnie w koszulę należącą do pana Dicka i okręciły dwoma czy trzema szalami.

Wyobrażam sobie, jak zabawnie musiałem tak spowity wyglądać. Ciepło mi było, słabo, oczy się do snu kleiły, niebawem też usnąłem na kanapie.

Śniły mi się zapewne pod wpływem wspomnień i wrażeń dawnej opowieści mojej matki, wypadki poprzedzające moje przyjście na świat, lecz zdawało mi się, że przez sen czuję oddech pochylonej nade mną ciotki, miękką dłoń odgarniającą mi z czoła włosy. Zdaje mi się też, że słyszał coś na kształt: „biedne dziecię!” czy też może: „ładne dziecię”, nic jednak, gdym się przebudził, nie wskazywało na to, aby ciotka wyrzec miała te słowa. Siędziała wyprostowana w fotelu u okna, z zielonym wachlarzem w ręku, kręcąc gwałtownie kółko u jego rączki.

Kiedy się obudziłem, podano obiad składający się z pieczonego i puddingu. Siedziałem przy stole, podobny do skrępowanego ptaka, z trudnością poruszając rękami i ramionami, nie skarżyłem się jednak będąc tak spowitym przez samą ciotkę. Niespokojny też byłem rozmyślając, co pocznie ze mną. Jadła milcząc i tylko od czasu do czasu zatrzymywała wzrok na mnie mruczając: „to mi historia” – co mię bynajmniej nie uspokajało.

Gdy zdjęto obrus i postawiono na stole sherry – i mnie dostał się kieliszek – ciotka posłała po pana Dicka. W jego obecności zaczęła mnie badać. Odpowiadałem na wszelkie jej pytania. Patrzyła przy tym ciągle na pana Dicka, który wyglądał tak, jak gdyby zasypiał. Marszczyła brew, gdy uśmiechał się nie w porę.

– Pojąć nie mogę, co skłoniło to dziecko nieszczęsne do powtórnego zameścia! – zawołała, gdym skończył.

– Może się zakochała – zauważył nieśmiało pan Dick.

– Zakochała! Masz tobie! Potrzebne jej to było!

– Może – po chwili głębokiego namysłu zauważył pan Dick – to tak sobie, dla przyjemności.

– Piękna mi przyjemność! Biedne dziecię! Zaufać psu, który ją tak czy owak zwieść musiał. Czegóż jeszcze chcieć mogła! Miała przecie jednego męża. Złapała sobie była Dawida Copperfielda uganiającego się zawsze za woskowymi lalkami. Miała nadto dziecko... o, owego piątkowego wieczoru dwoje ich tam było niebożąt, jedno wątle co do świadectwa, tyle co i drugie. Pamiętam!

Pan Dick kiwał głową patrząc na mnie tak, jak gdyby pojąć nie mógł najzupełniej ostatnich słów ciotki.

– Nie mogła nawet urodzić dziecka, jak wypadło – ciągnęła ta ostatnia – nie byłoby tego wszystkiego, gdybyśmy tu zamiast chłopca mieli przed sobą Betsey Trotwood. Nie zaprzeczaj mi, proszę.

Pan Dick wyglądał wystraszony.

– A ten tam człowiek, ten doktorek jakiś z przechyloną na ramię głową! Jellips czy jak go tam! Bardzo był potrzebny! Na to się chyba zdał, aby jak szpak powtarzać: „Chłopiec! Chłopiec się urodził”, osobliwość wielka, chłopiec! Głupcy!

Ostatnie słowa, wyznając, przeraziły nie tylko pana Dicka. I mnie się serce ścisnęło.

– Mało jej tego było – ciągnęła ciotka – jeszcze mało. Wychodzi powtórnie za męża, i to za kogo? Za jakiegoś Morderer czy tam podobnie mianującego się zbója. Tak jak rodząc tego swego „chłopca” weszła w drogę Betsey, tak powtórnym tym zameściami weszła w drogę znów temu. Zanim się urodził, był on już Kainem.

Pan Dick spojrział na mnie ciekawie. Chciał się zapewne przekonać, czym istotnie do Kaina podobny.

– Mieli tam jeszcze jakąś poganę z imienia! A i ta ich Pelgoty, czy jak ją tam, nie miała nic pilniejszego jak wyjść też za męża! Przykład był zachęcający, bardzo zachęcający! No, nie ma co mówić! Mam nadzieję, że przynajmniej trafiła kosa na kamień, mężulek porządnie smagać ją będzie, tak jak na to zasługuje.

Oburzyłem się. Zapewniłem, że Peggotty jest najlepszą, najwierniejszą pod słońcem istotą, że kocha mnie całym sercem; przywiązana była, aż do poświęcenia, do matki mojej, nie opuściła jej do śmierci, przyjęła ostatni pocałunek umierającej. Mówiłem, że dom pani

Barkis uważam za własny, ze wszystkim, co do niej należy, podzieliłaby się ze mną chętnie i obecnie prosiłbym ją o schronienie, tylko żem się bał narzucać ubogim ludziom. Wszystko to mówiłem prędko, z duszącym mię łkaniem. Rozpłakałem się wreszcie i skryłem twarz w dłoniach.

– Dobrze, dobrze! – zauważyła ciotka. – Dobrze, że bronisz tych, co dbali o ciebie. Janet! Osły!

Gdyby nie te nieszczęsne osły, nastąpiłoby może pomiędzy nami porozumienie, gdyż ciotka położyła już była rękę na moim ramieniu, a ja czułem chęć nieprzemogłą rzucić się jej na szyję i błagać o opiekę. Osły przerwały rozmowę. Nastąpiło zwykłe w podobnych razach zamieszanie i aż do herbaty ciotka rozprawiała z panem Dickiem o sposobach usunięcia podobnych przekroczeń. Stanowczo Stany powinny były wydać przeciw osłom prawa.

Po herbacie siedzieliśmy przy oknie pilnując, jak wnosilem z zachowania się ciotki, najścia wrogów jej, osłów i oślarzy. Gdy ściemniało, Janet spuściła rolety, zapaliła świece i rozłożyła stół do kart.

– A teraz, panie Dick – zaczęła ciotka z powagą i podniesionym do góry palcem – zadam ci znów pytanie, na które odpowiedzieć mi trzeba rozsądnie. Oboje wiemy, że potrafisz, gdy zechcesz, odpowiedzieć rozsądnie. Spójrz na to dziecko.

– Na syna Dawida? – spytał zbierając myśli pan Dick.

– Właśnie. Pomyśl tylko, co byś teraz z nim zrobił?

– Hm! Z synem Dawida?

– Właśnie, z Dawida synem.

– O, tak... co bym zrobił?... Ano, położyłbym spać.

– Janet! – zawołała ciotka, z tym samym, com przedtem zauważył, zadowoleniem. – Pan Dick, jak zawsze, najlepszą daje nam radę i jeśli łóżko posłane, położymy to dziecko.

Na zapewnienie służącej, że łóżko posłane, zaprowadzono mnie łaskawie do sypialnego pokoju, lecz trzymając niby więźnia pomiędzy ciotką a służącą. Jedyłą okolicznością pobudzającą nieco nadzieje moje było zatrzymanie się na schodach ciotki, która spytała, skąd pochodzi odór spalenizny. Janet odpowiedziała jej na to, że spaliła właśnie w kuchni moją starą koszulę. W przeznaczonym mi jednak na nocleg pokoiku nie było innej odzieży jak tylko bielizna, którą miałem na sobie. Zostawiono mnie z ogarkiem, który, jak ciotka upewniała, miał się w ciągu pięciu minut dopalić, i zamknięto na klucz. Co zważywszy, przyszedłem do przekonania, że ciotka, poznawszy mnie od kilku zaledwie godzin i w tak niezwykłych okolicznościach, musiała mnie posądzać o nałóg uciekania i dlatego wolała mieć pod kluczem.

Pokoik na poddaszu, w którym spałem, był przyjemny, z widokiem na morze, osrebrzone księżycem. Po zmówieniu pacierzy i zgaśnięciu ogarka, długo, pamiętam, wpatrywałem się w blaski księżycy na falujących wodach, tak jak gdybym z jasnej tej księgi pragnął wyczytać moją przyszłość lub się spodziewał, że matka moja, z dzieciątkiem na ręku, taka właśnie, jaką widziałem ją po raz ostatni odjeżdżając po wakacjach z domu do szkoły, zstąpi ku mnie po srebrnej smudze miesiąca. Pamiętam, z jaką wdzięcznością, z jakim ukojeniem, oderwawszy oczy od blasków tych, przenieśliem je na czyste, białe zasłane łóżeczko. Wdzięczność ta wzmożła się jeszcze, gdy wyciągnąłem zmęczone członki pod świeżymi prześcieradłami. Długo myślałem o tych samotnych opuszczonych miejscach, gdzie przez kilka dni sypiałem bez dachu, z przydrożnym kamieniem pod głową. I pamiętam, jak gorąco błagałem Nieba, aby nadal nie pozbawiły nigdy już dachu biednej mej głowy, o, pamiętam, jakem spływał po połyskujących bezbrzeżnych przestrzeniach morza, daleko, daleko... w świat sennych marzeń.

Rozdział XIV

Ciotka moja czyni postanowienie

Kiedym zszedł nazajutrz ciotka moja, siedząc przy śniadaniu z łokciami wpartymi w tacę, pogrążona była w takiej zadumie, że nie spostrzegła ciekącej z imbryka wody, która zdażyła już zalać cały stolik, i dopiero moje wejście zbudziło ciotkę z zamyślenia. Domyślałem się, że rozmyśla o mnie, i tym ciekawszy byłem powziętych względem mnie postanowień, lecz nie śmiałem o nic pytać.

Wzrok mój jednak, mniej od ust posłuszny, zwracał się ustawicznie na ciotkę. Za każdym razem dostrzegałem zamyślane oczy utkwione we mnie, lecz tak jak gdybym był nie wiem jak oddalony, nie zaś siedział naprzeciw niej przy niewielkim okrągłym stoliku. Po spożyciu śniadania oparła się o poręcz fotela, złożyła na piersiach ramiona, ściągnęła brew wpatrując się we mnie z większym jeszcze niż poprzednio natężeniem. Mieszało to mnie, a żem nie skończył jeszcze śniadania, starałem się pokryć zmieszanie jedzeniem, lecz sztucce dzwoniły po talerzu, chwyciłem w powietrzu za du że kęski szynki, krztusiłem się w pośpiechu łykaną herbatą.

— Hum! – mruknęła wreszcie ciotka.

Spojrzałem na nią nieśmiało.

– Pisałam do niego – rzekła.

– Do...?

– Do twego ojczyma. Wezwałam go, aby się ze mną na czysto rozmówił.

– Czy wie, gdzie się znajduję? – pytałem przerażony.

– Właśnie, pisałam mu to.

– I... czy mam mu być oddany? – wyjąknąłem.

– Zobaczmy – odparła ciotka.

– O! – zawołałem. – Nie wiem, co pocznę, jeśli mnie pan Murdstone znów weźmie.

— Nie wiem jeszcze, jak to będzie, zobaczymy...

Mrowie mnie przechodziło na samą tę myśl. Spuściłem głowę. Ciotka nie zwracała na mnie uwagi, przepasała fartuch, własnoręcznie wymyła i wytarła filiżanki i gdy wszystko już było w należyтым porządku, zadzwoniła na służącą, aby wzięła tacę. Następnie, wdziawszy rękawiczki, starannie zmiotła kurz ze sprzętów, nawet z posadzki, ustawiając w porządku meble i graciki. Po starannym dokonaniu tych czynności, zrzuciła fartuch i rękawiczki, złożyła je, schowała w przeznaczonym na to miejscu i wziawszy robotę usiadła z nią w oknie, zasłaniając się wachlarzem przed słońcem.

– Chciałabym – ozwała się nawlekając igłę – abyś poszedł na górę, pokłonił się ode mnie panu Dickowi i spytał, jak mu idzie jego praca.

Byłem gotów spełnić dane mi zlecenie.

– Sądzę – ciągnęła ciotka spoglądając na mnie bacznie i nawlekając wciąż nitkę – że ci nazwisko pana Dicka wydaje się przykrótkie.

– Krótkie jest istotnie – odrzekłem.

– Wiedźże, proszę, że to zdrobniałe jego imię, a sąsiad nasz nazywa się w istocie panem Ryszardom Babley.

Chciałem właśnie powiedzieć, że stosowniej byłoby może tak go nazywać, gdy ciotka uprzedziła mnie:

– Nie nazywaj go tylko tak nigdy, on tego nie znosi. Jest to dziwactwo, chociaż prawdę mówiąc, nie ma w tym nic dziwnego, jeśli nam ktoś, noszący pewne nazwisko, wielką wyrządzi krzywdę, i samo nazwisko mamy w obrzydzeniu. Pan Dick tak się nazywa teraz tu i wszędzie, gdziekolwiek by się udał, czego zresztą nie uczyni nigdy. Pamiętaj o tym i nazywaj go nie inaczej jak „panem Dickiem”.

Upewniłem ciotkę, że się najchętniej zastosuję do jej zleceń, i wchodząc na schody rozmyślałem, nad czym pan Dick pracować może. Wnosząc z tego, com ujrzał wchodząc, pracować musiał ciężko. Siedział z ogromnym piórem w ręku i z głową prawie położoną na papierze, a tak był pochłonięty pisaniem, że miałem sporo czasu przypatrzeć się i papierowemu latawcowi zawieszonemu nad biurkiem, i zwojom rękopisów leżącym na biurku przy stosach piór, a przede wszystkim już niesłychanej ilości atramentu zapelniającego mnóstwo przeróżnych rozmiarów flaszek i flaszeczek.

– O, Febusie! – zawołał odkładając na bok pióro. – Jak się to wszystko składa na świecie... Chciałbym coś o tym wtrącić, ale jak obrócić, ale jak obrócić – dodał ciszej, a dostrzegłszy mnie, nachylił się i nad samym zawołał mi uchem:

– Na szalonym świecie. Doprawdy, dom wariatów, chłopcze!

Zaśmiał się wesoło i ze stojącej na stole tabakerki wziął niuch tabaki.

Nie śmiejąc wyrazić zdania w tak zawilej kwestii, powtórzyłem zlecenie, jakie mi dano.

– Dobrze – odrzekł pan Dick – wzajemnie oświadcz jej me uszanowanie. Uważam, że się posunął... Byłeś w szkole?

Przy tym pytaniu spojrział na swój rękopis.

– Tak panie, niedługo.

– Czy pamiętasz – spytał porywając pióro – datę ścięcia Karola I?

Odpowiedziałem, że miało to miejsce w tysiąc sześćset czterdziestym dziewiątym roku.

– Aha – rzekł kładąc pióro za ucho i patrząc na mnie z powątpiewaniem. – Tak stoi wprawdzie w historii, wątpię jednak, aby to było dokładne. Bo to widzisz, jeśliby to miało miejsce tak dawno, jakim sposobem tyle kłopotów spadłych z jego głowy mogłoby dziś leżeć na mojej?

Zdumiony nie umiałem na to odpowiedzieć.

– Dziwne! – mówił pan Dick, ze wzrokiem utkwionym w papiery, z dłońmi zatopioną w siwych włosach – nie mogę wybrnąć z tego... Mniejsza z tym, mniejsza – dodał wesoło, wstając z miejsca – czasu mamy sporo przed sobą dla rozstrzygnięcia wszelkich wątpliwości. Pokłoń się ode mnie panie Trotwood i powiedz, proszę, że mi idzie nieźle, wcale nieźle.

Miałem już wyjść, gdy zwrócił uwagę moją na latawca.

— Jak ci się podoba? – spytał.

Podobał mi się bardzo. Pewien byłem, że wzbija się wysoko.

– Sam go zrobiłem – upewniał. – Puścimy go razem, widzisz?

Pokazał mi, że zrobiony był z rękopisów. Wiersze były gęste, lecz nieregularne i nieczytelne. Tu i ówdzie jednak wpadało w oko imię Karola I.

– O, sznur długi – mówił – i rzeczy te, fakty idą w górę, wysoko, wysoko! Jest to mój system rozprzestrzeniania ich. Nie troszczę się wcale, gdzie spadną. Zależy to od okoliczności, prądów i tak dalej, nie moja to już rzecz; dość, że się wzbija wysoko, wysoko...!

Wyraz jego twarzy był tak łagodny i uprzejmy, tak w całej jego zdrowej, rumianej postawie było coś godnego, że pomyślałem, iż żartuje ze mnie, i zaśmiałem się, czemu też z całego wtórował mi serca. Gdyśmy się rozstawali, byliśmy już przyjaciółmi.

– I cóż tam porabia pan Dick? – spytała mnie ciotka, gdy wróciłem.

Powiedziałem, że przesyła swe uszanowanie i że mu idzie nieźle, wcale nieźle.

– Co myślisz o nim? – spytała ciotka.

Miałem chętkę dać wymijającą odpowiedź, lecz niełatwe to było z ciotką. Opuściła robotę na kolana i zakładając ręce, a patrząc mi bystro w oczy, rzekła:

– Szczerze! Siostra twoja, Betsey Trotwood, powiedziała mi bez wahania ka żdą myśl swoją. Bądź, o ile się da, do niej podobnym i otwartym.

– Czy pan Dick – jąkałem się – pytam, ciotko, bo sam nie wiem doprawdy, czy jest... przy zdrowych zmysłach?

– Najzupełniej – stanowczo odrzekła.

– Doprawdy?

– Najzupełniej – powtórzyła z mocą. – Nikt bardziej od niego nie jest w pełnym posiadaniu swych zmysłów.

– Doprawdy? – powtórzyłem nieśmiało.

– Miano go za wariata. Z prawdziwym i osobistym zadowoleniem to zaznaczam, że miano go za wariata niegdyś. Od lat dziesięciu, to jest od chwili, w której mnie twoja siostra Betsey tak zawiodła, jest on moim stałym towarzyszem i doradcą.

– Od tak dawna! – wtrąciłem.

– Śliczni to byli ludzie ci, co go za wariata poczytywali – ciągnęła. – Pan Dick jest dalekim moim kuzynem. Mniejsza z tym, w jakim stopniu, to nie należy do rzeczy. Gdyby nim nie był, nie byłby go brat rodzony zamknął i obezwładnił. W tym rzecz!

Zdaje mi się, że byłem tym razem nieco obłudny, lecz widząc, jak przedmiot rozmowy zajmuje ciotkę, udawałem też wielkie zainteresowanie.

– Dobry mi wariat – ciągnęła. – Pod pretekstem, że był nieco ekscentryczny, chociaż nie więcej od wielu innych, brat rodzony nie mógł go ścierpieć pod własnym dachem i chociaż mu ojciec umierając zlecił nad nim opiekę, zamknął go gdzieś w szpitalu. Mądry! On to sam, bez wątpienia, jest wariatem.

Wyglądałem równie jak mówiąca przekonany.

– Ale ja się wmieszałam – ciągnęła – uczyniłam następną propozycję. Brat twój, powiedziałam, jest zdrow, zdrowszy stokroć od ciebie, pozwól mu pobierać małą rentę i niech zamieszka ze mną. Ja się go wcale nie boję, nie jestem próżna ani słaba, otoczę go staraniem i nie będę znęcać się nad nim, jak to czynili niektórzy... i nie w szpitalu nawet. Po wielu targach stanęło na moim. Wzięłam go, mam go tu. Najlepszy to, najmilszy pod słówkiem człowiek! Jedyny do rady! Tylko, nikt go oprócz mnie nie zbadał, nie poznał.

Ciotka poprawiła suknię i potrząsnęła głową, tak jak gdyby wyzywała świat cały.

– Miał on – mówiła – siostrę, dobre, zacne stworzenie. Dobra była dla niego, cóż, zrobiła to, co i one wszystkie, wyszła za męża i tak jak wszystkie, zawiodła się. Ta jej niedola, wraz z tym, co wycierpiał od brata, wstrząsnęła jego umysł – nie jest to jednak wcale pomieszanie zmysłów! – do tego stopnia, że aż dostał gorączki. Coś mu z tego zostało. Powiedz, czy ci wspominał o Karolu I?

– Tak, ciotko.

– A widzisz – rzekła trąc nos tak, jak gdyby się jej coś nie podobało. – Widzisz, używa tego rodzaju przenośni. Osobę własną spaja z wielkimi niedolami i tego imienia używa chętniej niż innych. Wszak to nikomu nie szkodzi.

– O nie, ciotko!

– Nie jest to, wyznaję, pospolity i dla wszystkich dostępny sposób mówienia. Jeśli zresztą wspominał o tym, to dlatego tylko, że to właśnie nie powinno mieć miejsca w jego memoriale.

– Píše zatem memoriał własnego życia?

– Właśnie – rzekła ciotka znów nos pocierając – pisze go do Lorda Kanclerza czy tam do kogo innego, czyją jest rzeczą otrzymywać memoriały. Píše o całej swej sprawie.

Mam nadzieję, że się pomyślnie wywiąże z zadania. Dotąd płacze mu się ustawicznie pióro. Mniejsza z tym, praca ta zajmuje go, to ważne.

W rzeczy samej, z czasem przekonałem się, że od lat dziesięciu pan Dick starał się, bezowocnie niestety, usunąć ze swego memoriału płaczącego mu się wciąż pod piórem Karola I.

– Powtarzam – mówiła ciotka – że nikt, oprócz mnie, ani się domyśla, co to za dusza. Najmilszy, najlepszy z przyjaciół. I cóż, że lubi puszczać od czasu do czasu latawce? Niby to Franklin ich też nie puszczał? A tamten był przecie kwakrem czy tam czymś podobnym, a kwakrowi mniej niż komu bądź przystoi puszczać latawce.

Gdybym przypuszczał, że ciotka szczegółły te opowiada mi jako dowód zaufania, czułbym się niesłuchanie pochlebiony. Uważałem jednak, że chociaż zwracała mowę do mnie, mówiła o rzeczach tych, raz na nie wpadłszy, własnym raczej odpowiadając myślom. Jednocześnie gorąca ta jej obrona biednego, bezbronного starca nie tylko napełniła mi serce żywą otuchą, lecz jednała je dla siebie. Zrozumiałem, że pomimo dziwactw swych i ekscentryczności było w niej to, co wzbudza szacunek i zaufanie. I chociaż dnia tego była równie jak wczoraj sztywna, równie często i ostro wypadła na osły i ich właścicieli, chociaż w prawdziwy atak wściekłości wprawił ją jakiś młodzieniec oglądający się na stojącą w oknie Janet – nic już bardziej nad to nie mogło jej rozgniewać – wydała mi się godną szacunku, chociaż pozostawała równie straszna i niedostępna.

Niepodobna wyrazić niepokoju, z jakim wyczekiwałem odpowiedzi na list wysłany do pana Murdstone. Mimo to starałem się być przyjemnym i użytecznym tak ciotce, jak jej przyjacielowi. Puszczalibyśmy razem latawce, gdyby mnie brak odzieży nie zatrzymywał w domu. Wychodziłem tylko o zmroku na krótką przechadzkę dla zdrowia. Nie oddalałem się wówczas od domu i ciotka nie spuszczała mnie z oka. Nadeszła wreszcie wyczekiwana odpowiedź. Ciotka oznajmiła mi, że pan Murdstone we własnej osobie przyjdzie nazajutrz rozmówić się z nią o całej tej sprawie. Nazajutrz, nadal spowity w szale, liczyłem godziny i minuty, targany na przemian nadzieją i trwogą, drżąc na samą myśl ujrzenia tej ponurej twarzy.

Ciotka dnia tego była niecierpliwsza jeszcze bardziej niż kiedykolwiek zasępiona. Siedziała jak zwykle z robotą u okna i ja siedziałem naprzeciw niej myśląc ciągle o wszelkich przypuszczalnych następstwach wyczekiwanych odwiedzin. Późno już było po południu i chociaż obiad miał być dnia tego opóźniony, już go ciotka kazała podawać, gdy miało miejsce nowe wtargnięcie osłów na wzbronione grunty i ku wielkiemu memu zdziwieniu w zbliżającej się do domu amazonce poznałem pannę Murdstone.

– Z drogi! Z drogi! Nie tędy! – wołała przechylając się przez okno ciotka. – Nie masz tu żadnego interesu, jak śmiesz wtargnąć aż tu, jakaś tam...

Chłodne i dumne zachowanie się panny Murdstone tak zirytowało ciotkę, że oniemiała na chwilę, wbrew zwyczajowi nie zbiegając ze schodów. Szepnąłem jej, że nowo przybyła jest właśnie panną Murdstone, w towarzystwie brata, który nie opodal zsiadł już był z osła.

– Co mi tam kto! – zawołała ciotka rozmachująca wcale nie uprzejmie rękoma. – Nie pozwolę nikomu tu wtargnąć, nikomu! Precz stąd! Janet, wyprowadź, zawróć osła!

Rozpoczęła się prawdziwa potyczka. Osioł wparł się czterema kopytami w ziemię. Janet targała go za uzdę w prawo, panna Murdstone w lewo, ostatnia podniosła wreszcie na służącą parasol. Ulicznicy, zwabieni widokiem, z czynną pośpieszyli pomocą. Wtem ciotka moja dostrzegłszy wśród nich jednego ze swych najzaciętszych wrogów – dziesięcioletniego malca – wypadła jak bomba, schwyciła go i wciągnęła na dziedziniec, wołając na Janet, aby przyzwała natychmiast policjanta. Udało się jednak malcowi wymknąć z żelaznych szponów ciotki. Pozostawiając głębokie ślady przejścia na klombach, dopadł swego osła i pogalopował na nim, ile im obu sił starczyło.

Tymczasem panna Murdstone zsiadła i stanawszy obok brata u wnijscia do ogrodu ze zwykłą sobie godnością wyczekiwała, aż ciotka zechce przybyłych powitać, lecz ta ostatnia zdyszana i zirytowana minęła ich, jak gdyby nie dostrzegała nawet. Musieli się zaanon-sować przez Janet.

– Czy mam odejść? – spytałem drżąc cały.

– Nie – rzekła – wcale nie! – Mówiąc to wepchnęła mnie w kąt, obok siebie, i zastawiła niby więźnia krzesłem. Pozostałem tak aż do końca sceny, z kąta i spoza krzesła przypa-trując się wejściu pana i panny Murdstone.

– Och! – ozwała się ciotka moja. – Nie wiedziałam, kogo gromię, lecz nikt nie ma pra-wa tratować mojej murawy i nikt nie może stanowić w tym względzie wyjątku.

– Jest to prawo nieco niedogodne dla przybyszów – zauważyła panna Murdstone.

— Czyżby? – odrzekła ciotka.

Pan Murdstone, zapobiegając zapewne nowej utarczce, odezwał się:

– Panno Trotwood.

– Przepraszam pana – zauważyła zwracając nań bystre spojrzenie. – Mam przed sobą pana Murdstone, męża wdowy po moim siostrzeńcu Dawidzie Copperfield z Wroniego Boru koło Blunderstone? Dlaczego mianowicie Wroni Bór, tego nie rozumiałam nigdy.

– Jestem nim – odparł pan Murdstone.

– W takim razie, wybaczy mi pan, lecz powiem otwarcie, że lepiej byś zrobił pozostawiając to biedne dziecię samej sobie.

– Tak dalece podzielałam to zdanie – wtrąciła panna Murdstone – że uważam naszą nieodżałowaną Klarę pod każdym względem za prawdziwe dziecko.

– Wielka to pociecha dla nas obu – odcięła się ciotka – że w naszym wieku wdzięki nasze nie narażają już nas pewno na podobny zarzut.

– Zapewne – dość kwaśno potwierdziła panna Murdstone – i z pewnością też o wiele szczęśliwiej byłoby dla mego brata, gdyby się nie wiązał tym małżeństwem. Zawsze byłam tego zdania.

– Nie wątpię o tym – rzekła ciotka, a zadzwoniwszy na służącą, dodała: – Janet, poproś tu pana Dicka.

Czekając na przyjście przyjaciela siedziała sztywna, milcząca, patrząc wprost przed siebie. Gdy wszedł pan Dick, przedstawiła go gościom:

– Pan Dick, stary i serdeczny mój przyjaciel, na którego zdaniu – słowa te wymówiła z emfazą, spoglądając poważnie na roztargnionego starca – polegam najzupełniej.

Pan Dick odjął od ust palec stając się poważny i skupiony. Ciotka skłoniła głowę panu Murdstone, który tak zaczął:

– Po otrzymaniu listu pani uważałem za obowiązek i jako dowód uszanowania dla niej...

– Bardzom panu wdzięczna – przerwała nie odwracając odeń bystrego wzroku – nie o mnie jednak tu chodzi.

– Przybyć tu raczej osobiście – ciągnął pan Murdstone – pomimo dość trudnej podróży. Nieszczęsny ten chłopiec, który zbiegł od przyjaciół i zajęć...

– I którego sam wygląd – wtrąciła siostra wskazując mój istotnie dziwaczny kostium – jest już skończonym skandalem.

– Jane Murdstone – ofuknął ją brat – nie przerywaj mi, z łaski swojej. Nieszczęśliwy ten chłopiec, panno Trotwood, był powodem nieprzyjemnych domowych zajęć i niepoko-jów, tak za życia nieboszczki mej żony, jak i potem. Usposobienie ma ponure, buntowni-cze, jest porywczy, krnąbrny, nie dający się nagiąć. Tak ja, jak siostra moja pracowaliśmy nad wykorzeniem jego przywar, daremnie, niestety! Oboje te ż z siostrą jesteśmy tego przekonania, że obowiązkiem naszym było osobiście zrobić przed panią niewesołe to zeznanie.

– Nie potrzebuję potwierdzać słów mego brata – dodała panna Murdstone – powiem tylko, że gorszego i bardziej zepsutego chłopca jak ten nie ma pod słońcem.

– Mocno powiedziane! – rzekła krótko ciotka.

– Lecz wszystko to jest niczym w porównaniu z faktami – równie ostro odrzekła panna Murdstone.

– Ha! – mruknęła ciotka zwracając się do pana Murdstone. – I cóż dalej? – spytała.

– Miałem – ciągnął, a twarz mu się coraz bardziej chmurzyła pod baczynym okiem mej ciotki – miałem najsilniejsze przekonanie, że tylko taki, a nie inny system edukacji może mu być pożyteczny. Przekonanie to zasadza się w części na dokładnej znajomości jego charakteru, w części na równie dokładnej znajomości moich własnych środków, za które odpowiedzialność na mnie samym ciąży. Tyle tylko powiem. Chłopca powierzyłem czujności przyjaciela, umieściłem go w miejscu pewnym, uczciwym, lecz to mu się nie podobalo, nie wystarczyło mu, uciekł, stał się najpospolitszym włóczęgą, obdarty udał się do pani, panno Trotwood, o pomoc i opiekę. Oto, co chciałem przedstawić pani i zwrócić jej uwagę na następstwa popierania chłopca w jego złych nawykach.

– Dobrze – rzekła ciotka – zacznijmy od tego „pewnego” miejsca. Sądzę, że umieścić byś tam pan i własnego syna? Co?

– Syn mego brata – wtrąciła panna Murdstone – nie mógłby mieć podobnych skłonności.

– O! A jeśli by to biedne dziecko, jego matka, żyła czy umieszczono by go, jej syna, w tym „pewnym” miejscu?

– Sądzę – rzekł pochylając głowę pan Murdstone – że Klara zgodziłaby się na wszystko, co byśmy z siostrą uznali za stosowne.

Panna Murdstone mruknęła twierdząco.

— Biedne dziecko! – zauważyła ciotka.

Pan Dick, który właśnie pobrzękiwał pieniędzmi w kieszeni, wprawił je w ruch tak gwałtowny, że aż ciotka musiała powstrzymać go spojrzeniem.

– A jej dochody? – spytała.

– Ustały wraz z życiem.

– Aha! Więc i ten Wroni Bór, gdzie nigdy żadnej nie było wrony, nie jest dziedzictwem tego chłopca?

– Zostawiony był jego matce całkowicie i bezwarunkowo przez pierwszego jej męża – odrzekł pan Murdstone, lecz mu ciotka przerwała gwałtownie:

– Bój się Boga, człowiecze, nie tu miejsce mówić o tym „całkowicie i bezwarunkowo”. Mógłże Dawid przewidzieć następstwa, chociaż były one jasne jak dzień? Spodziewam się, że zostawił „całkowicie i bezwarunkowo”, lecz czyż nie znalazł się nikt, kto by stanął w obronie praw chłopca, gdy to dziecko powzięło nieszczęsne postanowienie powtórnego wstąpienia w małżeńskie związki z panem?

– Nieboszczka żona moja – ozwał się pan Murdstone – kochała drugiego swego męża i ufała mu.

– Nieboszczka – odrzekła potrząsając głową ciotka – była przy tym najniepraktyczniejszym i najniezwyklejszym dzieckiem. Oto czym była! A teraz co dalej?

– To tylko, panno Trotwood – odrzekł – zem przybył tu po Dawida, aby go zabrać z sobą i postąpić z nim, jak to sam uznaję za stosowne. Sprawy z tego nie będę zdawał przed nikim, żadnych nie przyjmę warunków, żadnymi się nie zwiążę obietnicami. Pani go podżegasz w jego krnąbrności, widzę to jasno z postępowania i słów pani i muszę również jej oświadczyć, że jeśli mu chcesz udzielać schronienia, to już chyba na zawsze; jeśli masz stawać między mną a nim, to go musisz wziąć raz na zawsze, na swą odpowiedzialność. Żartów nie lubię i stroić takowych z siebie nie pozwolę. Przybyłem tu po raz pierwszy i ostatni, aby go zabrać. Czy gotów do drogi? Jeśli nie, jak to pani, panno Trotwood, utrzy-

mujesz, drzwi moje zamykają się przed nim raz na zawsze i odchodzę w przekonaniu, że mu chyba otworzysz na oścież swoje.

Słów tych ciotka moja słuchała z natężoną uwagą siedząc sztywna, z założonymi na kolanach rękoma, nie spuszczać mówiącego z oka. Gdy skończył, nie ruszając się wcale z miejsca, wzrok zwróciła na pannę Murdstone, pytając oschle:

– A pani co masz jeszcze do powiedzenia?

– Doprawdy – odrzekła zagadnięta – wszystko, co bym miała do powiedzenia, tak jasno wypowiedziane zostało przez mego brata, tak treściwie wyłuszczył on fakty i pobudki, że pozostaje mi chyba podziękować pani za jej uprzejme przyjęcie, nader uprzejme – dodała z ironią, która nie bardziej wzruszyła ciotkę, jak nocleg mój w Chatham wzruszył działo, pod którym spałem.

– Zobaczmy, co na to powie ten chłopak. Czy chcesz wrócić do ojczyma, Davy? – spytała mnie łagodnie.

Odpowiedziałem, że nie chcę, i błagałem ją, aby mnie do tego nie zmuszała. Mówiłem, że ani pan, ani panna Murdstone nie lubili mnie nigdy, że nigdy nie okazali mi żadnej dobroci, że dręczyli moją biedną mamę za to, że mnie kochała, że rozumiałem to doskonale i Peggotty zaświadczyć może. Mówiłem, że byłem najniezwyklejszym pod słońcem dzieckiem, i błagałem – nie wiem już, jakimi słowami, lecz wiem, jak gorąco – ciotkę, aby mnie przez pamięć na mego ojca nie opuszczała.

– Co począć z tym chłopcem, panie Dick? – spytała przyjaciela.

Zawahał się, zebrał rozpierchłe myśli, uśmiechnął się:

— Ależ naturalnie kazać mu zaraz zrobić odzienie.

Ciotka triumfowała.

– Podaj mi pan rękę, jedyny jesteś do dobrej rady.

Uściskawszy dłoń przyjaciela postawiła mnie przed sobą i zwracając się do pana Murdstone rzekła:

– Możesz pan odejść, kiedy się panu podoba. Biorę na siebie odpowiedzialność za tego oto chłopca. Jeśliby nawet był istotnie taki, jakim go opisujesz, dam z nim sobie radę, najzupełniej jednak w to nie wierzę.

– Panno Trotwood – oburzył się powstając pan Murdstone – gdybyś była mężczyzną...

– Ba! Głupstwo! Skończyliśmy z sobą.

– Co za wytworna grzeczność! – zawołała powstając z miejsca panna Murdstone. – Naprawdę zdumiewająca!

– Sądziś może, że się nie domyślam – rzekła ciotka zwracając się do pana Murdstone, głucha zupełnie na słowa jego siostry. – Sądziś, że się nie domyślam, jakie to musiało być życie tego biednego, wyzyskiwanego dziecięcia? Sądziś, że nie wiem, jak nieszczęśliwy był dzień, w którym na wieczystą jej niedolę zacząłeś mizdrzyć się i zalecać do niej, i brać na wędkę gorących spojrzeń i słodkich słówek wykrzywając się do tej biednej gąski.

– Co za wytworność wyrażań! – zawołała panna Murdstone.

– Wiem o tym tak, jak gdybym przy tym była – ciągnęła ciotka. – Teraz, gdy patrzę na pana i słucham pana, co wyznaję, najmniejszej nie sprawia mi przyjemności, teraz rozumiem doskonale. Któż na pozór może być bardziej gładki, miękki niż pan Murdstone! Biedaczka nie znała ludzi! Słodki był jak miód, wielbił ją, szalał za nią, pieścił nawet jej chłopca, same słodkie na ustach miał obietnice, że zastąpi mu ojca, pokieruje w życiu i tak im dobrze będzie żyć razem w tym różanym gniazdku... Pfe! Gadzina!

– Jak żyję nie spotkałam podobnej osoby! – zawołała panna Murdstone.

– Co, może nie tak? – ciągnęła ciotka. – A gdyś odurzył, oplątał tę wariatkę... niech mi Nieba przebaczą, że ją tak nazywam!... uważałeś, żeś nie dokonał jeszcze dzieła zniszczenia nie nadręczywszy do woli biednych ofiar, zacząłeś więc wychowywać ją po swojemu, łamać skrzydła biednej uwięzionej ptaszynie, uczyć ją śpiewać na twą tylko nutę.

– Szalona czy pijana! – wołała panna Murdstone w ściekła, że niczym nie może zwrócić na siebie uwagi ciotki. – Przekonana jestem, że się musiała upić!

Ciotka Betsey, nie zważając na te jej wykrzyki, zwracała się ciągle do pana Murdstone.

– Panie Murdstone – mówiła grożąc mu palcem – byłeś tyranem tego biednego dziecięcia, złamałeś jej serce. Kochające to było stworzenie, wiem to, wiedziałam o tym dużo wcześniej, nim ją poznałeś. Uderzyłeś w najsłabsze jej struny, porwałeś je, umarła od zadanych przez ciebie jej kochaniu ran. Ciesz się pan swym dziełem, ciesz się wraz ze swymi współnikami.

– Czy mogę spytać panią, kogo to, z łaski swej, pani pod mianem współników rozumie? – wtrąciła rozwścieklona panna Murdstone.

Głucha na jej słowa panna Betsey ciągnęła dalej:

– Jasne to było jak dzień, na długo przedtem, zanim ją spotkałeś... że też Nieba na podobne zezwoliły spotkanie!... że nieboga wcześniej czy później da się uwieść słodkim słówkom, wyjdzie powtórnie za mąż. Ale żeby tak źle trafić miała, tego ja nawet nie przypuszczałam. Że wyjdzie prędzej czy później powtórnie za mąż, to wiedziałam od dnia urodzenia tego oto chłopca, nad którym znęcając się, dręcząc zabiłeś ją, niebogę, co właśnie czyni ci obecnie sam widok tego dziecka tak wstrętnym. Nie, nie masz co się pan tak wzdrygać. Wiem dobrze, co mówię.

Odkąd zaczęła mówić, stał we drzwiach, z lekceważącym zrazu uśmiechem, chociaż z groźnie zsuniętą brwią. Teraz zauważyłem, że przy ostatnich słowach zbladł; zdawało się, jak gdyby chciał uciec. Odetchnął głębiej.

– Żegnam pana – kończyła ciotka – żegnam! I panią także – dodała zwracając się nagle do panny Murdstone. – Ostrzegam też, że jeśli raz jeszcze ujrzę cię na grzbiecie osła traktującego mą murawę, jak mnie tu widzisz, zerwę ci kapelusz z głowy i własnymi stratuję nogami.

Chciałbym, aby malarz, i to niepospolity, mógł widzieć moją ciotkę rzucającą te słowa najniespodziewaniej w twarz pannie Murdstone i tę ostatnią przyjmującą cios niespodziewany. Głos towarzyszący słowom był taki, że panna Murdstone nawet nie zdobyła się na odpowiedź i wspierając się na ramieniu brata wyszła wyniośle z domu. Ciotka z okna przyglądała się odchodzącym. Byłem pewny, że za lada wykroczeniem osłów gotowa jest w czyn wprowadzić dopiero co wyrzeczoną groźbę.

Pomału i w miarę ich oddalania się twarz jej pogodniała jednak i taki wreszcie rozświecił ją uśmiech, że chętnie bym ją uściskał, toteż idąc za pierwszym popędem serca zarzuciłem jej ramiona na szyję. Zwróciłem się potem do pana Dicka i zamieniałem z nim niezliczone uściski dłoni, którym wtórowały wybuchy głęsnego jego śmiechu.

– Uwważaj, proszę, siebie na przyszłość, łącznie ze mną, za opiekuna tego dziecka – rzekła do niego ciotka.

– Z miłą chęcią będę opiekunem syna Dawida – odrzekł.

– Wybornie! Wiesz co, myślę nazwać go Trotwood.

– Doskonale! Nazwiemy go Trotwood. Syn Dawida zostanie Trotwoodem.

– Trotwoodem Copperfield, jakoś się domyślił, kochany przyjacielu!

– Tak, o tak, zapewne, Trotwood Copperfield – powtarzał pan Dick.

Gotową, kupioną tegoż jeszcze wieczoru bieliznę ciotka własnoręcznie naznaczyła podwójnym tym imieniem, postanawiając, że je odtąd zawsze nosić będzie.

Tak tedy pod nowym mianem i w nowym otoczeniu nowe rozpocząłem życie. Teraz, gdy minęła niepewność co do dalszych mych losów, zdawało mi się, że wszystko dokoła mnie jest snem tylko. Nie zastanawiałem się nigdy nad tym, jak dziwną znalazłem parę opiekunów w osobie ciotki i pana Dicka. Myślałem o tym tylko, że Blunderstone cofa się w dal niezgłębioną, a na życie moje w handlu „Murdstone i Grinby” gęsta opuszcza się zasłona. Zasłona ta nie podniosła się odtąd ani razu. Niechętną dłonią, we wspomnieniach

moich, uchyliłem jej rąbka. Wspomnienia te, tak pełne dla mnie upokorzeń, cichych, pozbawionych wszelkiej nadziei żalów, że się przed nimi cofam mimo woli i nie chcę nawet liczyć dni trwania tych katuszy. Czy trwały rok, czy mniej, czy więcej? Nie wiem, wiem tylko, że istniały i minęły, zapisuję je tu i żegnam na zawsze.

Rozdział XV

Nowy początek

Pan Dick i ja zostaliśmy w krótkim czasie najlepszymi przyjaciółmi i często, gdy skończył swą codzienną pracę nad memoriałem, puszczaaliśmy razem wielkiego latawca. Codzienna ta pilna praca nie posuwała się jednakże naprzód. Wcześniej czy później zjawiał się zawsze Karol I, plątał wątek myśli i zmuszał autora do rozpoczynania od początku. Silne wrażenie wywierała na mnie cierpliwość, z jaką znosił ustawiczne te przeciwności, zdając sobie sprawę z tego, że ów Karol I bruździ, słabe czyniąc starania otrząśnięcia się z tego w przekonaniu zresztą, że się go nigdy nie pozbędzie. Co zaś sobie rokował na przypadek skończenia swego memoriału, do czego miał mu służyć – tego sam pono nie wiedział. Nie potrzebował zresztą zaprzętać sobie tym głowy, gdyż najpewniejszą było pod słońcem rzeczą, że ów memoriał nigdy skończony nie będzie.

Dziwne też czynił wrażenie, gdy puszczał latawce. To, co mi mówił w swym pokoju o najlepszym sposobie rozpowszechniania myśli, budując latawce ze stronic nie dokończonego memoriału, musiało być istotnym jego przekonaniem, z nieskóńczoną bowiem pogodą spoglądał na swe dzieło puszczane w górę, z rozkoszą lubując się, że mu ciągnie i szarpie ramię. Gdym siadywał wówczas obok niego na zielonym wzgórzu, zdawało mi się, że się mu rozjaśniają wraz ze wzrokiem i latawcem aż w niebiosach wzbite myśli. W miarę jak latawiec opadał i coraz niżej, niżej spuszczał się w słonecznych blaskach, pan Dick również zdawał się budzić ze snu, smutniał. Podnosił zakurzonego latawca ze wzrokiem tak błędnym, jak gdyby z latawcem sam spadł był na ziemię. Budził wówczas prawdziwą liść.

Robiąc postępy w przyjaźni z panem Dickiem, nie traciłem też łask mej ciotki. Dobra była dla mnie i w przeciągu kilku tygodni spieściła nadaną mi nazwę Trotwood na Trot, pozwalając cieszyć się nadzieją, że może, z czasem, posiadę w jej sercu i względach miejsce przeznaczone ongi siostrze mojej nie urodzonej – Betsey Trotwood.

– Trot – rzekła pewnego wieczoru, rozpoczynając zwykłą partię triktraka z panem Dickiem – nie powinniśmy zapominać o twym wychowaniu.

Był to właśnie jedyny przedmiot mych niepokojów. Uszczęśliwiony więc byłem, że poruszyła tę kwestię.

– Czy chciałbyś pójść do szkół w Canterbury? – spytała.

Odpowiedziałem, że bardzo, zwłaszcza że było to w pobliżu miejsca, gdzie mieszkała.

– Dobrze – odrzekła. – Czy chcesz pójść od jutra?

Znałem szybkość postanowień ciotki i ta nagłość nie zdziwiła mnie bynajmniej.

– Z przyjemnością – odrzekłem.

– Dobrze – zdecydowała. – Janet, najmiesz wózek z siwym kucem na godzinę dziesiątą jutro rano, a dziś wieczorem jeszcze spakujesz rzeczy panicza.

Uszczęśliwiony byłem, miałem jednak wyrzuty sumienia, dostrzegłszy wrażeń, jakie przygotowania te wywarły na panu Dicku. Posmutniał jakby i stał się tak roztargniony w grze, że ciotka złożyła karty, odkładając partię na później. Dopiero gdy się dowiedział, że będę przyjeżdżał na niedzielę, on zaś z ciotką odwiedzać mię będą we środy, ożywił się nieco i oświadczył, że robi nowego, większego latawca. Nazajutrz z rana był znów przybity i chciał ulżyć żalowi, oddając mi wszystkie, jakie posiadał w woreczku, złote i srebrne

monety. Po wdaniu się ciotki datek musiał się ograniczyć do pięciu szylingów i dopiero na usilne prośby wzrósł do dziesięciu. U bramy ogrodu pożegnaliśmy się jak najczulej. Pan Dick stał patrząc na nas, dopóki mógł nas dojrzeć.

Ciotka, gardząc najzupełniej tym, co o niej powiedzą lub pomyślą, powoziła sama siedząc wyprostowana, mając w ręku lejce i bacząc, by kuc na krok nie zboczył z wytkniętej przez nią drogi. Dopiero za miastem dała mu nieco swobody i spoglądając na mnie, siedzącego obok niej niziutko, na poduszkach, spytała, czy się czuję zadowolony.

– Nadzwyczajnie – odrzekłem – i bardzo wdzięczny cioci.

Zadowolona widać była z tego, gdyż mając obie ręce zajęte pogłaskała mnie po głowie biczem.

– Czy duża to i liczna szkoła? – pytałem ośmielony.

– Ha! Nie wiem. Udamy się najpierw do pana Wickfielda.

– Czy to on prowadzi szkołę?

– Wcale nie, jest mecenasem.

Nie pytałem więcej i rozmowa przeszła na inny przedmiot aż do wjazdu do Canterbury. Dzień był targowy i ciotka musiała wymijać nieskończoną ilość wozów, wózków, koszów z jarzynami, straganów, przekupniów różnego rodzaju. Zewsząd wołano na nas i krzyczano niezbyt uprzejmie, to wcale jednak nie działało na ciotkę. Torowała sobie drogę śmiało, niby przez zawojowaną krainę.

Zatrzymaliśmy się wreszcie przed bardzo starym domem wystającym na ulicę, z niskimi, choć szerokimi i okratowanymi oknami, z belkami u stropu rzeźbionymi i sterczącymi na zewnątrz tak, jak gdyby dom cały wychylał się naprzód, aby lepiej móc oglądać całą wąską ulicę wzdłuż. Dom ten, choć stary, był nadzwyczaj czysty. Staroświecka kołatka u sklepionej bramy, ozdobna w rzeźbione girlandki kwiatów i owoców, połyskiwała na kształt gwiazdy: kamienne stopnie odznaczały się niepokalaną bielą, a wszystkie gzymsy, rzeźby, szkła w oknach, choć wiekowe, lśniły śnieżną białością.

Gdy się wózek zatrzymał przed domem, dojrzałem w oknie, po jednej stronie domu, trupioblada twarz, która znikła natychmiast i po chwili ukazała się pod sklepieniem, w otwartej bramie. Twarz ta, jak już mówiłem, trupioblada, widziana z bliska posiadała odcień różowawy, zwykły rudowłosym ludziom, należała też do rudowłosego piętnastoletniego, jakem się potem dowiedział, gdyż wyglądał on o wiele starzej, chłopaka. Włosy na głowie miał zupełnie obcięte, nad oczyma zaledwie dostrzec można było ślad brwi, co zaś do rzęs, tych, zdaje mi się, wcale nie dostrzegłem u brzegu powiek nad brunatnymi oczyma, tak szeroko otwartymi i niczym nie przysłoniętymi, żem wątpił niemal, czy i sen skleić je zdoła. Barczysty i kościsty, odziany był przyzwoicie, w czarny, szczelnie pod szyję zapięty surdut z białą kokardą. Zauważyłem długie, chude, kościste ręce, którymi, stojąc na progu, gładził szyję konia, spoglądając przy tym na nas.

– Uriah Heep! – zawołała ciotka. – Czy pan Wickfield w domu?

– W domu, proszę panią – odrzekł wskazując długą ręką wnijście.

Wysiedliśmy i zostawiając mu kuca weszliśmy do komnaty, przez której okno ujrzałem go dmuchającego w nozdrza kuca i natychmiast przykładającego do nich swe dłonie, jak gdyby spełniał jakieś zaklęcie. Naprzeciw wysokiego kominka wisiały dwa portrety: mężczyzny z siwymi włosami (choć bynajmniej nie starego jeszcze) i z czarną brwią, spoglądającego na trzymane w ręku papiery przewiązane czerwoną wstążką, i kobiety o bardzo spokojnym i łagodnym wyrazie twarzy.

Oglądałem się, czy nie ujrzę gdzie czasem podobizny Uriaha, wtem otwarły się drzwi w głębi pokoju i ukazał się w nich mężczyzna tak podobny do wiszącego na ścianie portretu, żem się mimo woli obejrzał, czy to nie portret wyszedł czasem z ram swoich. Dopiero gdy się zbliżył, zauważyłem, że starszym jest o lat kilka od malowidła.

– Panno Betsey Trotwood – rzekł uprzejmie – proszę, proszę dalej. Zajęty byłem przed chwilą! Niech mi pani to wybaczy, wszak znany pani cel mój.

Ciotka powitała go i weszliśmy do następnego pokoju, gabinetu raczej, napełnionego księgami, papierami, szafami, z oknem na ogród i żelazną szafą stojącą tak blisko kominka, żem się dziwił, któredy kominiarze przystęp do niego znajdują.

– Jakież tu panią sprowadzają interesy – spytał pan Wickfield, gdy domyśliłem się, że on to był prawnikiem i rządcą obszernych dóbr bogatego w okolicy pana. – Czy aby pomyslnie?

– Nie po prawą przybywam tym razem poradę – odrzekła ciotka.

– Tym lepiej, pani, tym lepiej.

Włosy miał już zupełnie białe, brwi pozostały czarne. Twarz miał przyjemną i musiał być piękny kiedyś. Posiadał tę siną karnację, którą pod wrażeniem pana Peggotty, wraz z otyłością i brzmieniem głosu, przywykłem przypisywać użyciu spirytusowych trunków. Ubrany był starannie, w granatowy surdut, kamizelkę w prążki i nankinowe spodnie, miał kołnier i gors od koszuli tak cienki, biały i miękki jak puch łabędzi.

– Oto mój wnuk, po siostrzeńcu – rzekła ciotka.

– Nie wiedziałem, że pani masz wnuka – zauważył.

– Adoptowałam go – odrzekła z obojętnym skinieniem dłoni, jakby obojętne jej było, co mu jest znane, a co nie znane – i oto przywiozłam go tu, chcąc umieścić w szkole, gdzie by się mógł dobrze uczyć i dobrze być traktowany. Niechże mi pan powie, gdzie się mam udać?

– Zanim udzielię pani stosownej rady – rzekł prawnik – pozwolę sobie postawić pytanie, o! zwykłe moje pytanie: jakie pobudki skłoniły panią do tego?

– Macie go! – zawołała ciotka. – Znów pobudki! Jak gdyby nie były one widoczne jak na dłoni. Idzie mi o dobro dziecka.

– Jest to zapewne pobudka złożonej natury – potrząsnął głową z niedowierzającym uśmiechem.

– Złożonej! Pleciesz pan banialuki! – odparła żywo ciotka. – Sądysz, że tylko sam jeden posiadasz jakiś cel zupełny, jedyny, jak gdybyś pan był tylko jednym uczciwym na całym świecie człowiekiem.

– Tak – zauważył z uśmiechem – ja bo istotnie mam jeden tylko cel w życiu, inni mają ich po kilka, kilkanaście, nieraz po tysiąc najrozmaitszych. A ja mam jeden, jedyny, w tym rzecz. Nie wchodzi to jednak w tę sprawę. Najlepsza szkoła? Mniejsza o pobudki, żądasz pani najlepszej, co?

Ciotka skłoniła twierdząco głową.

– W najlepszej, jaką posiadamy – rzekł rozważnie prawnik – wnuk pani mieszkania nie znajdzie.

– Trzeba przecie, aby gdziekolwiek mieszkał – wtrąciła ciotka.

Prawnik zgodził się z tym, a po długich naradach ofiarował się towarzyszyć jej do szkoły i do paru domów, gdzie można byłoby mnie umieścić. Ciotka przyjęła propozycję i mieliśmy już właśnie wychodzić, gdy nagle zatrzymał się mówiąc:

— Mały nasz przyjaciel mógłby nam przeszkadzać. Czy nie byłoby więc lepiej zostawić go tutaj?

Już ciotka miała się temu oprzeć, gdy dla ułatwienia rzeczy oświadczyłem, że z miłą chęcią zostanę. Zostałem i wróciwszy do gabinetu prawnika usiadłem na zajmowanym przedtem krzeselku czekając cierpliwie ich powrotu.

Krzesło to stało jak raz naprzeciw wąskiego przejścia zakończonego wpółokrągłą komnatą i zobaczyłem wyglądającą z niej przez okno twarz Uriaha. Teraz, odwiódłszy kuca do stajni, siedział naprzeciw mnie za stołem, na którym piętrzyły się papiery. Przepisywał coś właśnie, a chociaż twarzą zwrócony był do mnie, sądziłem, że jest zajęty pisaniem i nie

zważa na mnie wcale, dopiero po jakimś czasie dostrzegłem jego zaczerwienione, do słońca zarumienionych podobne oczy podnoszące się na mnie co chwila znad papierów. Próżno starałem się uchylić, przestawiałem krzesło i wpatrywałem się w wiszącą na ścianie mapę, przeglądałem dzienniki, spojrzenie oczu tych pociągało mnie i odwracając się dostrzegałem je wlepione we mnie, podnoszące się na mnie lub dopiero co odwracające się ode mnie.

Nareszcie i po długiej nieobecności ciotka moja i prawnik wrócili, niezupełnie zadowoleni z wycieczki. Szkole wprawdzie ciotka nic nie miała do zarzucenia, lecz żaden ze zwiedzonych dla umieszczenia mnie domów nie zadowolili jej wymagań.

– Prawdziwa bieda, Trot – mówiła – sama nie wiem doprawdy, co począć?

– Bieda – wtrącił pan Wickfield – ale mam na to radę.

– Jaka? – spytała.

– Pozostawić go tymczasem u mnie. Spokojne to dziecko nie będzie mi przeszkadzało, a dom mój odpowiedni jest dla nauki, cichy, spokojny i niemal tak obszerny, jak klasztor. Zostaw go tu, pani.

Projekt ten podobał się widocznie ciotce, wahała się jednak przez delikatność zapewne.

– Zgódź się, pani – nalegał prawnik – nie ma innego jak na teraz wyjścia, zresztą umowa czasowa i jeśli nam wzajemnie okaże się niedogodna, znajdziemy coś stosowniejszego, na teraz najlepiej byłoby pozostawić go tutaj.

– Bardzo będę wdzięczna, a i on także, ale, bo...

– Wiem już, wiem, o co idzie! – zawołał prawnik. – Ciężałoby to pani, panno Trotwood, gdybyś się czuła w najmniejszej bodaj mierze komuś za coś zobowiązana. Płać pani za niego, jeśli ci się tak podoba, targu dobijemy prędko.

– W takim razie – podchwyciła ciotka – i choć to nie zmniejsza mej wdzięczności, z miłą chęcią zostawiłabym go tu.

– Trzeba się tedy umówić z moją gosposią – rzekł pan Wickfield.

Weszliśmy przez dziwnie stare schody, z poręczą tak szeroką, że wygodnie można było na niej się rozsiąść, do ciemnego salonu, oświetconego misternymi oknami, którem zauważył był z ulicy. Ławy we wnęce, podobnie jak i podłoga, i belkowanie na suficie, były dębowe. Fortepian i trochę kwiatów, sprzęty pokryte czerwonym i zielonym materiałem rozweselały mroczny salon o niezliczonej ilości kątów, w których stały stoliczki, komódki, biureczka, fotele tak rozstawione, że zmieniały kąt każdy na najwygodniejsze niby gniazdko, a przechodząc dalej, można się było przekonać, że wszystkie były przytulne i miłe. Wszędzie zresztą panował spokój i odznaczająca całe domostwo niepokalana czystość.

Pan Wickfield zapukał do drzwiczek skrytych w tapetowanej ścianie. Po chwili ukazała się w nich dziewczynka w moim wieku, która rzuciła mu się na szyję. Twarzyczka jej miała ten sam wyraz spokoju i łagodności, co twarz kobiety na portrecie, tam na dole. Zdawało mi się nawet, że to portret wrósł w lata, oryginał zaś pozostał dzieckiem. Pomimo rozlanej na twarzyczce wesołości, w całej postawie dziewczynki był cichy spokój, który rzucił mi się przede wszystkim w oczy i na zawsze pozostał w pamięci.

Była to wyżej wzmiankowana przez prawnika gosposia, córka jego, Agnieszka. Słyszając, jak do niej i o niej mówił, widząc, jak tulił ją do siebie, zrozumiałem, co było onym jednym, jedynym jego celem.

U paska miała zawieszony woreczek z kluczami i wyglądała na bardzo staranną i poważną gospodynię. Z uśmiechem wysłuchiwała, co jej ojciec mówił o mnie, a gdy skończył, zaproponowała ciotce obejrzenie mojego pokoiku. Poszliśmy wszyscy razem, ona przed nami, po ślicznych dębowych schodach; sufit zdobiły także dębowe belki, w oknach błyszcząły szyby.

Nie pamiętam już, kiedy i gdzie w dzieciństwie moim zdarzyło mi się widzieć witraże w kościele, lecz teraz, gdy stanęła na najwyższym stopniu starych schodów oglądając się i czekając na nas, przypomniały mi się owe szyby, a odtąd za każdym razem, gdy widział witraże w kościele, przypominała mi się Agnieszka Wickfield.

Wszystko zadowalniało nieskończenie ciotkę. Wróciliśmy do salonu w wybornym usposobieniu. Że zaś ciotka nie chciała za nic zostać na obiedzie, a pan Wickfield znał ją zanadto dobrze, by nalegać, podano przekąskę, po czym prawnik odszedł do swego gabinetu, Agnieszka do nauki, a nas pozostawiono samych.

Ciotka oznajmiła mi, że mnie zleciła prawnikowi, udzielając mi przy tym rad najlepszych i najserdeczniejszych.

– Trot – mówiła – ufaj sobie, mnie i panu Dickowi, a Nieba wspierać cię będą.

Wzruszony byłem, dziękowałem stokrotnie, prosiłem, aby kłaniała się ode mnie panu Dickowi.

– Nigdy – ciągnęła – nie bądź podłym ani fałszywym, ani okrutnym. Unikaj tych trzech rzeczy, a nie zawiedziesz moich nadziei.

Obiecywałem z całego serca. Nie, nie chciałem zawieść jej ufności i dobroci.

– Kuc już zaprzężony – kończyła – odjeżdżam. Zostań tu. – Mówiąc to uściskała mnie szybko i zatrzasnęła drzwi za sobą. Zrazu ogłuszyło mię to nagłe odejście, bałem się, czy się jej czasem czym nie naraziłem, lecz spojrzawszy przez okno i widząc jak smutną była wsiadając do wózka i że odjeżdżała nie obejrzawszy się nawet, zrozumiałem ją lepiej.

Około piątej godziny, o której u prawnika obiadowano, byłem już spokojny i przy dobrym apetycie. U stołu były tylko dwa nakrycia, lecz w stołowym pokoju czekała nas Agnieszka i usiadła naprzeciw ojca. Wątpię, czy potrafiłby obejść się bez niej przy obiedzie.

Po obiedzie wróciliśmy do bawialnego pokoju. W jednym z rozkosznych kątów Agnieszka przygotowała już była dla ojca kieliszki i wino. Przygotowane przez inne ręce nie smakowałyby mu zapewne.

Siedział tak ze dwie godziny, popijając wino, a przyznać trzeba, że pił wiele. Tymczasem Agnieszka grała na fortepianie, szyla, rozmawiała. Prawnik wesół był i rozmowny z nami, lecz od czasu do czasu, wpatrując się w córkę, zapadał w milczenie i chmurniał. Ona ciągle miała zwróconą na niego uwagę i natychmiast pytaniem jakimś lub pieszczotą budziła z ponurej zadumy. Otrząsał się wtedy z zamyślenia i znów popijał wino.

Potem Agnieszka rozlewała herbatę i znów siedzieliśmy razem, aż do pójścia na spoczynek. Na dobranoc ojciec uściskał ją kilkakrotnie, a gdy odeszła, kazał zapalić światło w swym gabinecie. Poszedłem też spać.

Z wieczora jeszcze wyszedłem na chwilę na ulicę, aby się lepiej przypatrzeć staremu domostwu i szarej katedrze. Przypomniało mi się, że nie tak dawno jeszcze wędrował przez to miasto. Możem przechodził i koło tego domu, w którym obecnie znalazłem schronienie. Wracając do salonu spostrzegłem Uriaha zamykającego właśnie kancelarię. Przyjaźnie dla wszystkich usposobiony zbliżyłem się do niego, przemówiłem i na dobranoc podałem rękę. Cóż to za lepka była dłoń! Śmiertelnie zimna i wilgotna. Ledwie osuszył i rozgrzał moją. Dłoni tej zapomnieć nie mogłem. Siedząc przed zaśnięciem przy oknie i widząc wysuwającą się ku mnie spod dachu rzeźbioną belkę, zdawało mi się, że widzę na niej widmo Uriaha Heepa! Śpiesznie zamknąłem okno.

Rozdział XVI

Zmieniam się pod wielu względami

Nazajutrz rano, po śniadaniu, rozpocząłem nowe szkolne życie. W towarzystwie pana Wickfielda udałem się na arenę przyszłych mych nauk. Był to budynek ciężki, w głębi podwórza, istny przybytek nauki. Takim przynajmniej musiał się wydawać zlatującym z wież katedry kawkom i gawronom, przechadzającym się z napuszeniem uczonych po murawie dziedzińca. Przedstawiono mnie nowemu memu przelo żonemu, doktorowi Strong.

Wyglądał tak zardzewiały jak zawiasy u odwiecznej bramy i sztachety płotu, i równie ciężki jak kamienne urny, niby kręgle wystawione dla igraszki Czasu w regularnych odstępach, wzdłuż ogrodzenia z czerwonej cegły, okalającego dziedziniec. Siedział w bibliotece swej, niezbyt starannie ubrany i uczesany. Szelki miał spuszczone, nie pozapinane getry, a trzewiki dwiema jamami czerniały przed kominkiem. Zwrócił na mnie wygasły wzrok, który mi przypominał oczy ślepego konia pasącego się wśród mogił na cmentarzu w Blunderstone. Powitał uprzejmie, podał rękę, ale tak sztywną, że sam nie wiedziałem, co z nią mam począć.

Nie opodał, z robótką w ręku, siedziała bardzo piękna, młoda pani, zapewne córka doktora, którą nazywał Annie. Teraz przyklękła przed nim, aby mu zapiąć getry, a wywiązywała się z tego wesoło i zręcznie. Gdyśmy wchodzili do klasy, zdziwiło mnie niemało, że ją pan Wickfield pożegnał zowiąc: „Pani Strong”. Czyż byłaby ona synową, a może żoną doktora? Wątpliwość tę niebawem rozstrzygnął sam doktor. Zatrzymując się w drzwiach, z ręką opartą na mym ramieniu, spytał pana Wickfielda:

– Aha! Czyś nie upatrzył jeszcze miejsca dla kuzyna mojej żony?

– Nie, nic dotąd nie mam – oparł pan Wickfield.

– Chciałbym, aby to można było załatwić jak najprędzej – ciągnął doktor. – Jack Maldon jest w potrzebie i nic teraz nie robi, a są to dwie najgorsze rzeczy dla młodego człowieka. Jak to tam mówi doktor Watts? – spytał patrząc na mnie i kiwając głową w chwili, gdy cytował mądre słowa: „Dla rąk próżnujących znajdzie się zawsze praca u szatana”.

– Słusznie, doktorze! – potwierdził prawnik. – Gdyby jednak doktor Watts lepiej znał świat i ludzi, mógłby równie trafnie powiedzieć, że i „dla rąk zajętych znajdzie się praca u szatana”. Ileż złego od dwóch już niemal stuleci czynią i nie próżnujący ludzie! Iluż to z nich nieuczciwymi drogami dochodzi do fortuny i znaczenia!

– Ręczę, że Jack Maldon nie dojdzie ani do jednego, ani do drugiego – rzekł doktor w zamyśleniu, trąc podbródek.

– Być może, wróćmy więc do przedmiotu naszej rozmowy, od którego odbiegłem. Nic, nic dotąd wynaleźć nie mogłem. Sądzę, że przeniknął – tu pan Wickfield zawahał się nieco – twoje, doktorze, pobudki i to właśnie utrudnia położenie.

– Pobudką moją – odrzekł doktor – jest chęć dostarczenia pracy i chleba kuzynowi i towarzyszowi dziecięcych zabaw mej żony.

– Tak, wiem o tym! W kraju albo za granicą?

– Tak! – rzekł w zamyśleniu doktor, zaskoczony naciskiem, z jakim pan Wickfield wypowiedział ostatnie swe zdanie. – W kraju albo za granicą.

- Są to własne twe słowa: „albo za granicą”.
- Tak, oczywiście. Tu albo tam.
- Nie zdecydowałeś więc, gdzie? – nalegał prawnik.
- Nie...
- Nie? – spytał zdziwiony pan Wickfield.
- Nie.
- Jak to, nie masz żadnych pobudek wyboru pomiędzy jednym a drugim?
- Najmniejszych – odrzekł doktor.
- Muszę ci wierzyć – rzekł prawnik – nie mogę nie wierzyć! Ułatwia to zresztą przedsięwzięcie. Wyznaję, żem zrozumiał cię z początku inaczej.

Doktor Strong spoglądał na mówiącego z pewnym zdziwieniem. Teraz się uśmiechnął, a uśmiech ten, łagodny i dobrotliwy, wraz z całą pogodną prostotą jego sposobu bycia, pociągnął mnie od razu. Powtarzając: „ależ nie, nie, w najmniejszej mierze” szedł przed nami. Za nim postępował poważny pan Wickfield i zamyślony potrząsał głową, nie zważając zresztą na to, że mu się przyglądam.

Szkolna izba, obszerna i jasna, znajdowała się w głębi domu, z widokiem na ogrodzenie z cegieł z urnami na wierzchu i na kawał ogrodu należącego do doktora; w ogrodzie tym rumieniły się na słońcu brzoskwinie. Pod oknami, na trawniku, dwa olbrzymie aloesy rozpościerały mięsiste, drobno ząbkowane liście, których widok odtąd wywołuje we mnie zawsze uczucie skupienia i ciszy. W klasie siedziało nad książkami około dwudziestu pięciu uczniów. Wszyscy powstali na widok wchodzącego z gośćmi doktora.

– Przywiodzę wam – ozwał się doktor – nowego towarzysza, nazwiskiem Trotwood Copperfield.

Na te słowa jeden z uczniów, nazwiskiem Adams, gospodarz klasy, wyszedł z ławki, aby mnie powitać. W wysokim kołnierzyku i białym krawacie robił wrazenie młodego duchownego. Uprzejmy jednak i wesół wskazał mi miejsce, które miałem zająć, i przedstawił mnie nauczycielom w sposób swobodny i ujmujący, i ośmielający mnie zarazem.

Tyle jednak czasu upłynęło – czy mi się może czas tak bardzo przedłużył! – odkąd rozstałem się z moimi szkolnymi towarzyszami i rówieśnikami (z wyjątkiem Micka Walkera lub Mączystego Kartofla), żem się czuł teraz obcy i zmieszany. Ciężyła mi świadomość przeżytych scen, o których ci oto moi rówieśnicy nie mieli pojęcia, ogromu zdobytych, nie znanych im i nieodpowiednich memu wiekowi, wyglądowi, położeniu, doświadczeń. Zdało mi się niemal, że ponowne wstąpienie do szkoły jest nadużyciem, oszustwem. W przeciągu czasu, mniejsza z tym, dłuższego czy krótszego, spędzonego pod skrzydłami „Murdstone i Grinby”, tak odwykłem od zabaw i rozrywek dziecięcych, żem się obecnie nie umiał zabrać do nich, a to, czegom się był przedtem uczył, wyleciało z pamięci wśród trosk powszednich. Toteż po przeegzaminowaniu posadzono mnie na ostatnim miejscu. Zmieszany i onieśmielony, smuciłem się zwłaszcza tym, że to właśnie, co mi było znane, oddalało mnie stokroć bardziej od moich towarzyszy, niż to, com zapomniał i żyjąc z dnia na dzień zatracił. Co by powiedzieli oni na przykład dowiadując się o znajomości więzionych obyczajów, jaką nabyłem? Co o przyjaznych i bliskich stosunkach z rodziną państwa Micawber, o kolacyjkach, ucztach, wyprawach do tandeciarzy? A je śliby który z nich spotkał już mnie obdartego w czasie mej wędrówki przez to miasto i poznał obecnie? Co by też powiedzieli, przywykli do wygod życia, na moje całodzienne nieraz jadło składające się z kawałka chleba i kufla piwa? Co by powiedzieli obcy Londynowi, jego ulicom, z akątkom, gdyby wiedzieć mogli, jak dokładnie znałem najbrudniejsze zaułki? Wszystko to wrzało w mojej głowie, zalewając mi warem twarz, krępując ruchy i słowa. Drgałem za każdym zbliżeniem się któregoś z nowych mych towarzyszy i natychmiast po lekcjach uciekałem w strachu, żeby nie popełnić jakiegoś głupstwa.

Lecz stare domostwo pana Wickfielda wywierało kojący wpływ, gdym się znalazł przed jego bramą z nowymi mymi książkami w rękę. Gdym wchodził na schody, cień ich poważny obejmował mnie i usuwał w dal bolesną przeszłość. W jasnym, wesołym moim pokoiku siedziałem aż do obiadu – wypuszczano nas ze szkoły o trzeciej – pilnie pogrążony w nauce. Do obiadu szedłem śmielszy już i pełen nadziei odrodzenia się na nowo.

W salonie Agnieszka oczekiwała zajętego jeszcze w kancelarii ojca. Witła mnie z uśmiechem i pytaniem, jak mi się podobała szkoła. Odpowiedziałem jej, że podoba się mi naprawdę, lecz obecnie czuję się w niej jeszcze obco.

– Wszak nie byłaś nigdy w szkole? – spytałem.

– Owszem – odrzekła – uczę się co dzień.

– Tak, we własnym domu?

– Papa, widzisz, nie może mnie z domu uwolnić – rzekła śmiejąc się i wstrząsając główką – przecież jestem tu gospodynią.

– Musi cię bardzo kochać?

Skłoniła główkę, wsłuchując się, czy nie nadchodzi czasem. Nie. Odeszła więc ode drzwi.

– Mama umarła wydając mnie na świat – mówiła spokojnie. – Znam ją tylko z portretu, tam, na dole. Przypatrywałeś mi się wczoraj, ale czyś się domyślił, kogo przedstawia?

Odpowiedziałem, że mi się sądząc z podobieństwa domyślił.

– I papa tak uważa – mówiła zadowolona. – Cyt! Oto i on.

Twarzyczka jej jaśniała radością. Wzięła ojca za rękę i tak szła dalej. Prawnik powitał mnie serdecznie, oświadczając, że mi dobrze z pewnością będzie w szkole doktora Stronga, najzaciejszego pod słońcem człowieka.

– Są tacy – dodał – którzy nadużywają jego dobroci, lecz ty takim, Trotwood, nie będziesz. Nikt bardziej od niego nie jest daleki od posądzeń. Dobrze to czy źle, to inna rzecz, ale doktor Strong zasługuje na największy szacunek.

Mówił tak, jak gdyby był znużony lub z czegoś niezadowolony. Nie zastanawiałem się jednak bardzo nad tym, zresztą podano obiad i zasiedliśmy do stołu w tym samym co za wsze porządku.

Zaledwieśmy to uczynili, gdy uchylły się drzwi i ukazała się w nich ruda głowa Uriaha.

– Pan Maldon – rzekł. – Ma słówko do powiedzenia.

– Przed chwilą dopiero odszedł – zauważył prawnik.

– Właśnie, lecz wrócił, gdyż ma jeszcze coś do powiedzenia.

Trzymając drzwi uchylone Uriah spoglądał to na mnie, to na Agnieszkę, to na zastawę stołu i półmiski, chociaż zdawało się, że nie spuszcza zaczerwienionych oczu z prawnika.

– Stokrotnie przepraszam – ozwał się ktoś za plecami chłopaka, który usunął się po chwili – stokrotnie przepraszam, tylko słówko. Ponieważ nie ma wyboru, im prędzej odjadę, tym lepiej. Kuzynka moja, Annie, mówiła mi właśnie, że woli nie móc widywać swych przyjaciół, niż widzieć ich wygnanymi, a stary...

– Doktor Strong zapewne – poprawił z powagą prawnik.

– Ma się rozumieć, że doktor Strong. Nazywam go starym, co na jedno wychodzi, sam pan o tym wie!

– Nie wiem – chłodno odpowiedział pan Wickfield.

– Właśnie. I doktor Strong tego samego być musi, jak wnoszę z rozmowy z panem, zdania. Jeśli już nie ma innej rady, to im prędzej odjadę, tym lepiej. Oto, com chciał powiedzieć. Jeśli ma kto już wskoczyć do wody, nie ma co ociągać się na brzegu.

– W tym wypadku nie będziemy się ociągać, mogę ręczyć za to – ozwał się prawnik.

– Bardzom wdzięczny – odrzekł tamten – nieskończeniem wdzięczny! Darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby, nie wypada, gdyż w przeciwnym razie jestem pewien, że kuzynka moja umiałaby to inaczej jakoś ułożyć i gdyby tylko Annie pisnęła staremu...

– To jest: pani Strong nadmieniła mężowi – poprawił pan Wickfield.
– Właśnie, gdyby tylko napomknęła, że pragnie, aby było tak a tak, byłoby tak, a nie inaczej, oczywiście!

– Dlaczego oczywiście? – pytał prawnik zjadając obiad.

– Dlaczego? Bo Annie jest młoda i ładna, a stary... to jest doktor Strong, trudno powie-
dzieć, żeby był powabny – zawołał śmiejąc się pan Jack Maldon. – Bez obrazy, panie
Wickfield, bez obrazy! Myślę po prostu, że w takim wypadku ma się prawo do pewnej re-
kompensaty.

– Kto, żona? – spytał prawnik.

– Naturalnie, żona – odparł ze śmiechem Jack Maldon, lecz spostrzegłszy, że się praw-
nik bynajmniej nie uśmiecha i obojętnie spożywa obiad, dodał: – Powiedziałem właśnie,
com miał powiedzieć, i jeszcze raz przepraszając za wtargnięcie nie w porę, uważam inte-
res za skończony między nami, nie ma już potrzeby mówić o tym z doktorem.

– Czy pan po obiedzie? – spytał prawnik, ręką wskazując stół.

– Dziękuję. Idę właśnie obiadować z moją kuzyneczką. Do widzenia!

Pan Wickfield, nie powstając z miejsca, odprowadził go zamyślonym spojrzeniem. Był
to młodzian płytki, ale przystojny, bystry i pewny siebie. Z rana, gdy doktor mówił o nim,
nie spodziewałem się zobaczyć go tak prędko.

Po obiedzie udaliśmy się do salonu, gdzie wszystko poszło tym samym, co uprzedniego
wieczoru, porządkiem. Znow na stolicku stały przygotowane przez Agnieszkę likiery i
wina, znow pan Wickfield pił i pił wiele, Agnieszka grała, szyła, rozmawiała i zapropono-
wała mi partię domino. Nalewała herbatę, a gdym zniósł z góry moje książki, przeglądała
je, pokazywała, co z nich umie (a nie było to tak mało), wskazywała najlepsze sposoby
uczenia się. Widzę ją cichą, spokojną, rozważną! Słyszę dźwięczny, miły jej głos! Wpływ
jej, zawsze dobry, zaczął się już wówczas objawiać. Nie kochałem jej jednak tak, jak k-
ochałem małą Emilkę. Nie, nie tak. Agnieszka była dla mnie uosobieniem dobra, prawdy i
spokoju. Gdym był przy niej, zdawało mi się zawsze, że spływa na mnie łagodne światło z
kościelnych witraży.

Z nadejściem godziny spoczynku, gdy Agnieszka odeszła, podałem na dobranoc rękę
prawnikowi. Zatrzymał mnie pytając:

– Czyś zadowolony z nas, chłopcze? Wolałbyś może zamieszkać gdzie indziej?

– Wolę pozostać tu – odpowiedziałem.

– Pewien tego jesteś?

– Za pozwoleniem pańskim, najpewniejszy.

– Nudno i monotennie jednak płynie tu życie.

– Nie może być nudniejsze dla mnie niż dla Agnieszki. Wcale nie nudne.

– Niż dla Agnieszki – powtórzył idąc ku kominkowi i opierając się znow powtórzył: –
Niż dla Agnieszki.

Wieczoru tego pił tak dużo, że aż mu oczy krwią zasłyły. Teraz trzymał je spuszczone.

– Ciekawym – rzekł z cicha – kiedy się moja Agnieszka znudzi mną lub ja nią? Między
tymi dwoma przypuszczeniami jest jednak różnica, wielka różnica!

Nie do mnie to mówił, lecz do samego siebie, milczałem tedy.

– Stary, nudny dom – ciągnął – monotenne życie, ale muszę ją mieć przy sobie, stale
przy sobie. Gdy myśl, że mogę umrzeć i opuścić ją, moją kochaną, lub że ona umrze i opu-
ści mnie, zjawia się jak widmo, by zatruwać mi życie, muszę ją topić...

Nie dokończył. Sięgnął ręką po wypróżnioną już butelkę i przechyliwszy nad szklanką
postawił z roztargnieniem na miejscu.

– Jeśli i z nią znosić mi to tak trudno, cóż dopiero bez niej – rzekł. – Nie, i myśleć o tym
nie mogę!

Oparty o kominek, w tak głęboką popadł zadumę, że sam nie wiedziałem, czy odejść nie żegnając się z nim, czy pozostać i czekać, aż się zbudzi z zamyślenia? Po długiej dopiero chwili podniósł głowę i wiodąc wzrokiem dokoła, spotkał się z moim.

– Pozostań z nami – rzekł wracając do rozpoczętej rozmowy. – Miło mi, że cię mam tu. Będiesz nam obojgu dotrzymywał towarzystwa, dobrze się to składa i dla mnie, i dla Agnieszki, i dla nas wszystkich, być może.

– Pewien jestem, panie – rzekłem – że się to najlepiej składa dla mnie, i cieszę się z tego bardzo.

– Pocziwy chłopcze! Pozostaniesz tu, dopóki sam zechcesz – rzekł ściskając mi rękę, a klepiąc po ramieniu dodał, że jeśli chcę uczyć się jeszcze lub czytać dla rozrywki, po odejściu Agnieszki, to mogę schodzić do jego gabinetu i dotrzymywać mu towarzystwa. Po dziękowałem za tę uprzejmość, a że mi się spać istotnie nie chciało, wziąłem książkę i szedłem z nim razem na dół.

Ujrawszy światło w kancelarii, pociągnięty tym dziwnym urokiem, jaki na mnie wywierał Uriah, zwróciłem się w tę stronę. Czytał olbrzymią książkę z napiętą uwagą. Przesuwał wskazującym palcem po każdym czytanim wierszu, zostawiając na stronicach lepkie linie.

– Do późna tak pracujesz? – spytałem.

— Tak, panie Copperfield – odpowiedział.

Siadając naprzeciw niego, aby swobodniej rozmawiać, zauważyłem, że na twarzy jego nie było uśmiechu. Zastępował go szerokim rozkwieraniem ust, tworzącym bruzdy na jego policzkach.

– Nie biurowa to, panie Copperfield, praca.

– A jaka? – spytałem.

– Uczę się prawa, panie Copperfield, i oto właśnie podręcznik Tidda. Co to za genialny pisarz ten Tidd! Tego wyobrazić pan sobie nie możesz, panie Copperfield!

Z miejsca mego mogłem doskonale obserwować go i widząc, jak po tych zachwytach czytał dalej, przesuwając wskazującym palcem po stronicach, spostrzegłem, że jego cienkie i spiczaste nozdrza podnosiły się i opadały w dziwny sposób, rzecz by można, mrugały zamiast oczu, które nie mrugały wcale, nigdy.

– Musisz być dobrym prawnikiem? – spytałem po jakimś czasie.

– Ja, panie Copperfield? – zawołał. – O, nie! Skromniutkim jestem człowieczkiem, maluczkiem!

To, com powyżej mówił o jego ręce, nie było wytworem mej wyobraźni. Ocierał często dłoń o dłoń dla otarcia ich zapewne z potu i dla rozgrzania. Od czasu do czasu ocierał też ręce chustką od nosa.

– O! – ciągnął pokornie – wiem dobrze, jaki jestem maluczki w porównaniu z innymi. I matka moja jest również jak ja skromną osobą. W skromnym mieszkamy schronieniu, panie Copperfield, lecz i za to umiemy być wdzięczni. Dawne rzemiosło mego ojca też było skromniutkie, maluczkie: był grabarzem.

– Czymże jest teraz? – spytałem.

– Obecnie używa wiekuistej chwały, panie Copperfield! I za to niech będą dzięki! Jakież to szczęście dla mnie pracować u pana Wickfielda.

Spytałem, od jak dawna tu pracuje.

– Już od czterech lat – odrzekł zamykając księgę, po zaznaczeniu czytanej stronicy. – Dostałem się tu w rok po śmierci mego ojca. Ileż winienem za to wdzięczności! Ileż wdzięczności winienem panu Wickfield za utrzymanie i udzielanie nauki. Przechodziło to środki mojej matki.

– Sądzę zatem, że nabrawszy tu wprawy sam zostaniesz prawnikiem – rzekłem.

– Jeśli Nieba pozwolą, panie Copperfield – odrzekł.

– Zostaniesz może z czasem współnikiem mecenasa – rzekłem chcąc być uprzejmym – i firma będzie nosić nazwę „Wickfield i Heep” lub „Heep po Wickfieldzie”!

– O nie, panie Copperfield – zawołał wstrząsając głową – za maluczki na to jestem, za maluczki, to nie dla mnie!

Siedząc tak naprzeciw mnie, pokorny, spoglądający na mnie z ukosa, z otwartymi ustami, pomarszczoną twarzą, podobny był istotnie do rzeźbionej na belce nad moim oknem twarzy.

– Doskonały to człowiek pan Wickfield, panie Copperfield – mówił – doskonały, gdybyś go pan znał bliżej, wiedziałbyś to lepiej ode mnie i mógł ocenić.

Pewien tego byłem, mimo że od niedawna dopiero znałem pana Wickfielda, chociaż był on przyjacielem mojej ciotki.

– O tak, panie Copperfield! – zawołał. – A ciotka pańska jest bardzo, bardzo miłą, uprzejmą damą.

Gdy wpadał w entuzjazm, krzywił się, i to w bardzo szpetny sposób. Nie pozwoliło mi to ocenić oddanej mej krewnej daniny jego uprzejmości.

– Miła pani – ciągnął. – Sądzę, panie Copperfield, że ceni pannę Agnieszkę?

– O tak! – odparłem śmiało, chociaż nic o tym nie wiedziałem.

– A i pan także, panie Copperfield, nie wątpię o tym.

– Każdy ją ocenia – odrzekłem.

– Dzięki, o! dzięki stokrotne, panie Copperfield, za te słowa! Prawda to i jakkolwiek maluczki jestem, czuję, jak wielka prawda! Dzięki, o! dzięki, panie Copperfield.

O mało nie zleciał z krzesła w napadzie entuzjazmu. Zresztą zamierzał właśnie odejść; spojrzął na zegarek.

– Matka mnie czeka – rzekł. – Niepokoi się zapewne, bo chociaż jesteśmy, panie Copperfield, bardzo, bardzo maluczkimi, kochamy się wzajemnie. Gdybyś pan raczył odwiedzić nas kiedy po południu i wypić szklankę herbaty pod ubogim, skromnym, niskim naszym dachem, to matka moja i ja czulibyśmy się wielce zaszczytzeni.

Upewniłem, że odwiedzę ich z przyjemnością.

– Dzięki, o! dzięki, panie Copperfield – mówił Uriah kładąc księgę na półce. – Sądzę, że pan tu, panie Copperfield, pozostanie dłuższy czas?

Odpowiedziałem, że pozostanę przez czas uczęszczania do szkoły.

– O, doprawdy! – zawołał. – Myślę, że to pan zostanie kiedyś współnikiem mecenasa, panie Copperfield.

Próżnom go zapewniał, że nie jest to wcale moim zamiarem i o ile wiem, nikt mnie do podobnej nie przeznaczał kariery, ustawicznie powtarzał: „o! tak, tak, nie inaczej”. Odchodząc wreszcie spytał mnie, czy może zgasić świecę; i za zgodą moją zgasił ją. Po ciemku uścisk jego dłoni robił wrażenie dotknięcia ryby. Za ledwie uchylił drzwi, wyślizgnął się przez nie raczej, niż wyszedł. Wracając po ciemku, potrafiłem krzesło, na którym zwykle siadywał. Dlatego to zapewne śnił mi się całą noc i inne jeszcze śniły mi się rzeczy, między innymi, że spuszczał na morze łódź, służącą za dom panu Peggotty, ozdobioną flagą z napisem „Podręcznik Tidda”, a w łodzi tej wiozł mnie z małą Emilką, by nas oboje utopić.

Nazajutrz w szkole czułem się nieco śmielszy, jeszcze śmielszy dnia następnego i tak pomału, zanim drugi minął tydzień, oswoiłem się zupełnie z nowym położeniem i nowymi towarzyszami. Nie najchętniej jeszcze spisywałem się we wspólnych zabawach i daleko poza nimi pozostawałem w nauce, lecz miałem nadzieję, że tu poratuje mnie pilna praca, tam wprawa. Pracowałem też, uczyłem się, a i w gry wprawiałem się, ile sił starczyło, szybkie w jednym i w drugim robiąc postępy. Wkrótce przeszłość w „Murdstone i Grinby” stała mi się tak obca, że przestałem niemal wierzyć w jej istnienie, a teraźniejszość stała mi się tak bliska, jak gdyby zawsze bez przerwy istniała.

Szkoła doktora Stronga była doskonałą szkołą, tak różna od szkoły pana Creakle, jak niebo od piekła. Porządek istniał w niej wzorowy, zastosowany był najlepszy ze znanych wychowawczych systemów: działano na najszlachetniejsze uczucia nasze, rozwijano honor, dobrą wiarę, polegając na nas, dopóki który z nas sam ufności nie zawiódł, co wielkie wywoływało zwykle zdziwienie. Każdy z nas czuł, że bierze udział w prowadzeniu szkoły i każdy dźwigał na sobie odpowiedzialność za nią. Gorącośmy też do niej byli przywiązani. Mówię to o sobie i o innych moich towarzyszach. Uczyliśmy się chętnie i dobrze, najzupełniejszej w godzinach wolnych używając swobody, oddawaliśmy się grom szlachetnym i inteligentnym zabawom. Dobrą też cieszyliśmy się w całym mieście sławą, podtrzymując honor szkoły i uczniów doktora Stronga.

Niektórzy starsi uczniowie mieszkali u doktora i od nich to dowiedziałem się pewnych dotyczących jego szczegółów. Ożenił on się dopiero przed rokiem z miłości z piękną panią, którą w dniu wstąpienia do szkoły widziałem w jego gabinecie. Nie posiadała ona złamanego szeląga, ale pełno ubogich krewnych, gotowych obsiąć dom doktora. Dowiedziałem się, że wieczyste roztargnienie jej męża przypisać należało ustawicznemu poszukiwaniu greckich pni, które w nieświadomości mojej uważałem za jakieś botaniczne okazy i z czasem dopiero przekonałem się, że chodziło o źródłosłowy do wielkiego słownika, który doktor układał. Adams, pierwszy uczeń, zdolny matematyk, wyliczył był nawet czas, kiedy słownik wedle planu doktora i sposobu, w jaki nad nim pracował, zostanie skończony. Nie wcześniej, utrzymywał, jak za tysiąc sześćset czterdzieści dziewięć lat, licząc od ostatniej, sześćdziesiątej drugiej rocznicy urodzin doktora.

Doktor był zresztą bożyszczem szkoły i nie mogło być inaczej.

Trudno znaleźć pod słońcem lepszego człowieka. Ufność, jaką pokładał w ludziach, wrzucić mogłaby kamienne urny, strojące ceglane ogrodzenie ogrodu. Gdy przechadzając się po ogrodzie pomiędzy kawkami i gawronami przechylającymi głowy na jego widok, jak gdyby uznawały siebie za nieskończenie od niego mądrze w sprawach tego świata, natrafił na jakiego ulicznika lub włóczęgę, sprawa była skończona. Wiadomo każdemu było, jakie stąd powstawały nadużycia; toteż nauczyciele i starsi uczniowie odpędzali włóczęgów od ogrodu i dziedzińca, wiedząc, że doktor gotów był zrzucić z siebie i oddać im ostatnie swe buty. Krążyła nawet w tej materii pomiędzy nami historyjka (czy prawdziwa, nie wiem, uwierzyłem w nią i dotąd wierzę), jakoby raz w mroźny dzień zimowy z nóg własnych oddał kamasze żebraczce jakiejś. Wywołało to skandal w sąsiedztwie, gdyż w obuwiu tym, tak dobrze znanym w mieście jak wieże katedry, żebraczka od progu do progu oprowadzała swe dziecię. Historia dodaje, że tylko dawny właściciel kamaszy swych nie poznał i wystawione w oknie szynku, gdzie zamienione zostały na czarkę wódki, oglądał kilkakrotnie, uznając zapewne wzór ich za odpowiedni dla tych, które zamierzał sobie kupić.

Dobre też doktor wywierał wrażenie nawet obok młodziutkiej swej żony. Obchodził się z nią z ojcowską czułością, która zdradzała całą jego dobroć. Często widziałem ich przechadzających się razem po ogrodzie pod brzoskwiniami. Czasem też widywałem w gabinecie doktora lub w bawialnym pokoju. Żona wyglądała, jak gdyby była przywiązana do męża, otaczała go tkliwym staraniem, wątpię jednak, aby interesowała ją jego praca nad słownikiem, którego stronicę wyglądały mu z kieszeni, gdy czytywał jej niektóre z nich na głos i objaśniał, nawet w czasie przechadzki po ogrodzie.

Często widywałem panią Strong, raz, że polubiła mnie od pierwszej chwili wstąpienia mego do szkoły, po wtóre, że lubiąc też Agnieszkę, często u nas bywała. Pomiędzy nią i panem Wickfieldem dziwny jakiś istniał przymus. Wyglądało to tak, jak gdyby się go bała. Za nic nigdy wieczorem nie chciała się zgodzić, by ją odprowadzał do domu. Wolała wracać pod moją opieką i często, przebiegając plac katedralny i nie spodziewając się spotkać

nikogo, spotykaliśmy pana Jacka Maldona, który się zawsze temu niespodziewanemu spotkaniu bardzo dziwił.

Matka pani Strong stanowiła prawdziwą mą pociechę. Zwała się panią Markleham, lecz myśmy, chłopcy, przewalili ją Herod-babą, wszystkim bowiem chciała rządzić i siłę krewniaków wystawiała przeciw doktorowi. Była to mała bystrooka kobiecina, na większe okazje wystrojona zawsze w czepek z bukietem sztucznych kwiatów, na których siedziały dwa sztuczne motyle. Przekonani byliśmy, że czepek ów pochodził z Francji i dokonany mógł być tylko przez genialne zamorskie pracownice. Wszystko, com o nim na pewno wiedział – to, że się zjawiał na wieczory wraz z panią Markleham, w bambusowym koszyku, a motyle posiadały dziwną właściwość ustawicznego drgania, jak gdyby na kształt pszczoł pracowitych żyły w słonecznych promieniach bijących od doktora.

Pewnego wieczoru Herod-baba wraziła mi się szczególnie w pamięć. Był to wieczorek u doktora, urządzony na cześć odjeżdżającego do Indii w charakterze kadeta pana Jacka Maldona. Rzeczą tę ułożył pan Wickfield. Był to jednocześnie dzień urodzin doktora. Mieliśmy cały dzień wolny od nauki, z rana wieszowaliśmy mu, ofiarowaliśmy upominki, wygłaszaliśmy mowy do zachrypnięcia naszego i pobudzenia do łez solenizanta, a wieczorem zostałem zaproszony doń wraz z panem Wickfield i Agnieszką na herbatę.

Zastaliśmy już pana Maldona. Pani Strong ubrana w biel, z wiśniowymi wstążkami, grała na fortepianie. Stał za nią i przewracał nuty. Zdawało się, że bledsza była niż zwykle, lecz ładniejsza jeszcze, dziwnie ładna.

Gdyśmy usiedli, pani Markleham zabrała głos:

– Zapomniałam, doktorze, złożyć ci winne w dniu dzisiejszym powinszowania. Możesz wierzyć w szczerą moją życzliwość! Życzę ci długich, długich lat pomyślnych!

– Dziękuję, pani – odrzekł doktor.

– Długich lat pomyślnych, i to nie tylko przez wzgląd na ciebie, doktorze, ale i na Annie, i na Maldona, i na wielu, wielu innych. Zdaje mi się, jakoby to wczoraj jeszcze było, kiedy w agrestowych krzakach, w naszym ogródku Jack Maldon, ot, nie większy od pana Copperfielda na przykład, zalecał się do mojej córki.

– Niewarte to wspomnienia, droga mamo – wtrąciła córka.

– Nie bzdurz – ciągnęła matka. – Kiedyż przestaniesz rumienić się, słysząc coś podobnego! Wszak jesteś starą mężatką.

– Annie! Stara? – zawołał pan Jack Maldon.

– Tak, właśnie tak – twierdziła Herod-baba – nie z wieku stara, bo ma zaledwie lat dwadzieścia, lecz ze względu na doktora, którego jest żoną. Jakież to szczęście dla ciebie, nicponiu, że jest jego żoną! Znalazłeś w nim opiekuna, który ma na ciebie dobry wpływ, obsypuje cię dobrodziejstwami i lepszy jeszcze z czasem stanie się dla ciebie, jeśli potrafisz na to zasłużyć. Nie kieruje mną fałszywa duma; wyznam więc, że są tacy w naszej rodzinie, którym wpływowi przyjaciele bardzo się przydać mogą. Takim właśnie jesteś ty, Jack! A dzięki mej córce zdobyłeś sobie takiego wpływowego przyjaciela.

Doktor, w dobroci swej i dla oszczędzenia pana Jacka, zrobił tylko ręką ruch lekceważący. Nie powstrzymało to baby. Przysiadła się do zięcia i dotykając jego ust wachlarzem, ciągnęła w najlepsze:

– Tak, tak, doktorze, muszę powiedzieć, co mam na sercu, muszę. Jesteś naszą opatrznością, dobroczyńcą rodziny.

– Przesada!

– Nie, nie, doktorze! Jesteśmy tu między swoimi, bo i pana Wickfielda liczę do naszych najbliższych przyjaciół, i mogę mówić otwarcie, korzystając z przywilejów teściowej. Wszak mogę nawet dać ci burę, doktorze! Szczera jestem i otwarta. Otóż mówię, pamiętasz, jak mnie zdziwiły twe oświadczenia? Nie dlatego, aby fakt ten sam w sobie nie był

naturalny, ale dlatego, żeś znał ojca mej córki, ją samą od kolebki i nie przypuszczałam czegoś podobnego! Szczerze mówiąc, na ogół, nie przypuszczałam, abyś się ożenił.

– Cha, cha! – zaśmiał się wesoło doktor. – Po co to i mówić o tym.

– Ależ muszę mówić – przerwała Herod-baba. – Muszę i nikt nie może mi zarzucić, że nie mam słuszności. Otóż powiedziałam Annie, jak rzeczy stoją. Kochanie, mówię jej, doktor Strong o ciebie się oświadczył, doskonała partia. Czy nalegałam na nią? Nie. Spytałam ją tylko: Annie, powiedz mi, czy masz serce wolne? Zaczęła płakać utrzymując, że jest jeszcze tak młoda – co zresztą największą było prawdą – i że nie wie nawet, czy ma serce. Zatem wolne, rzekłam, i nie można trzymać doktora w niepewności. Musi się biedak niepokoić. „Mamo! – zawołała Annie. – Czyż jestem mu potrzebna do szczęścia? Jeśli tak, wyjdę za niego, bo go bardzo szanuję”. Wówczas to, wówczas, a nie wcześniej, powiedziałam córce: Annie, doktor Strong będzie ci nie tylko mężem, zastąpi twego ojca, zostanie głową naszej rodziny, będzie, jednym słowem, naszą opatrznością, dobroczyńcą. Były to moje wówczas słowa, są i dzisiaj. Jeśli mam w tym jaką zasługę, to chyba w stałości.

W czasie tej mowy córka siedziała milcząca, ze spuszczonej oczyma. Kuzyn jej, stojący przy niej, też nie podnosił oczu. Teraz dopiero ozwała się cichym, drżącym głosem:

– Mamo, skończyłaś?

– Nie, Annie, nie, kochanko, nie skończyłam. Skoro mnie pytasz, muszę odpowiedzieć, że nie. Otóż dodam jeszcze, że nie jesteś dla swej rodziny w zupełności tym, czym być powinnaś. Nie tobie się skarżę, bo to do niczego nie prowadzi, lecz twemu mężowi. Spójrz, kochany doktorze, na tę swą żoneczkę!

Młoda kobieta niżej jeszcze spuściła głowę pod zwróconym na nią łagodnym, uśmiechniętym spojrzeniem męża.

Zauważyłem, że pan Wickfield patrzył na nią bacznie.

– Oto mówiłam tej psotce nie dalej jak onegdaj – ciągnęła stara kiwając jednocześnie głową i wachlarzem – oto mówiłam, że są familijne sprawy, o których winna nadmienić ci, doktorze. Odpowiedziała, że mówienie o nich równa się prośzeniu o łaskę, a że jej niczego nie odmawiasz i zbyt dobrym już jesteś dla niej, więc woli milczeć.

– Czy to możliwe? Annie! Duszko! Chciałaś pozbawić mnie przyjemności? – z wyrzutem ozwał się doktor.

– Właśnie jej to, słowo w słowo, mówiłam! – zawołała pani Markleham. – Drugi raz, spotykając podobne skrupuły i nie chcąc ciebie, kochany doktorze, pozbawić przyjemności, sama się udam wprost do ciebie.

– Zawsze z przyjemnością służyć będę pani.

– Więc mogę?

– Najpewniej.

– Zatem umowa zawarta! – zawołała triumfująco stara i uderzywszy jeszcze parę razy wachlarzem po ramieniu doktora, którego przedtem uściskała, wróciła na swe miejsce.

Weszło kilka osób: nauczyciele nasi i Adams; rozmowa stała się ogólna i naturalnie obracała się wokół osoby pana Jacka Maldona, jego bliskiej podróży, krainy, do której się udawał, planów i nadziei na przyszłość. Odjechać miał tejże samej nocy, po wieczery, pocztą do Gravesend, gdzie stał mający go zabrać okręt. W Indiach zamierzał spędzić kilka lat, chyba że zdrowie lub coś podobnego, przyspieszyć mogło powrót. Wszyscy stwierdzili jednogłośnie, że Indie są raczej niedocenioną krainą, której zarzucić można chyba zbyt wielu tygrysów i grzechotników, a i nieco wysoką temperaturę w południowych godzinach dnia. Co do mnie, pan Jack Maldon wydawał mi się współczesnym Sindbadem. Wyobrażałem go już sobie żyjącego w przyjaźni ze wszystkimi radzami Wschodu, siedzącego pod baldachimem ze złoconą, a może i szczerozłotą fajką, długości całej mili.

Pani Strong posiadała ładny głos. Wiedziałem o tym, gdyż niejednokrotnie słyszałem ją śpiewającą, lecz czy to dlatego, że nie lubiła śpiewać w towarzystwie, czy że nie była przy

głosie, wieczoru tego śpiewanie nie szło jej. Próbowwała sama, zaczęła dobrze, lecz wkrótce głos się urwał, pochyliła się blada i drżąca nad klawiszami. Doktor zauważył, że musi być nieco słaba, i zaproponował ogólną grę w karty, o których miał tyle wyobrażenia, co o grze na puszczalce. Porwała go sobie za partnera Herod-baba i tak dobrze uczyła, że wygrała wszystkie drobne pieniądze, jakie posiadał przy sobie.

Graliśmy wesoło. Pomyłki doktora bawiły nas nieskończenie. Popełniał je ustawicznie pod baczną strażą motyli drżących na bukietach sztucznych kwiatów zdobiących czepek pani Markleham. Pani Strong wymówiła się od gry, jak również jej kuzyn, pod pretekstem, że miał jeszcze rzeczy do ułożenia. Załatwił się z tym prędko i wróciwszy usiadł obok niej na kanapie, rozmawiając z cicha. Wstawała czasem z miejsca i zaglądając w karty męża udzielała mu rad i wskazówek. Blada była bardzo i zdawało mi się, że palce, którymi dotykała kart, drżały, lecz doktor nie widział tego, uszczęśliwiony, gdy się do niego zbliżała.

Wieczera mniej już była wesoła. Nastrój warzył pewien chłód zwykły przy pożegnaniach. Jack Maldon usiłował wprawdzie być rozmowny i swobodny, lecz mu to jakoś nie szło. Wszystko do reszty psuła Herod-baba, przypominająca ciągle jakieś epizody z najwcześniejszej młodości odjeżdżającego tak daleko kuzynka. Sam tylko doktor, w najlepszym humorze, zdawał się nie dostrzegać wcale ciężącego na obecnych przymusu.

– Annie, duszko – ozwał się spoglądając na zegarek – pora odjeżdżać twemu kuzynowi, nie zatrzymujemy go, bo może się spóźnić. Daleka czeka pana droga, panie Maldon, obca, nieznaną krainą. Niejeden jednak wrócił stamtąd szczęśliwy i bardziej zasłużony, niż odjeżdżał. Wiatry, które tam uniosą wkrótce pana, unosiły tysiące i dziesiątki tysięcy innych. Wracali tysiącami, dziesiątkami tysięcy, syci sławy i fortuny.

– Smutno jednak – zauważyła pani Markleham. – Bardzo smutno widzieć odjeżdżającego na drugi koniec świata, porzucającego wszystko i nie wiedzącego, co go tam czeka, młodzieńca. Młodość – dodała spoglądając znacząco na doktora – potrzebuje poparcia, kierownictwa i zasługuje na takowe, skoro się zdobywa na tak wielką ofiarę.

– Czas spłynie panu szybko, panie Maldon – ciągnął doktor – mija on szybko nam wszystkim i nie wszyscy tu obecni doczekamy zapewne pańskiego powrotu. Miejmy jednak nadzieję. Co do mnie, ta mi już tylko pozostaje. Nie będę nużył pana dobrymi radami. Jedno powiem, masz przykład w kuzynce swej Annie, na śladuj, o ile możesz, jej cnoty.

Pani Markleham wachlowała się i kiwała głową.

– Żegnam pana – kończył doktor powstając i podnosząc kielich, a wszyscyśmy poszli za jego przykładem. – Żegnam! Bądź nam zdrów, szczęśliwy i wracaj zadowolony.

Wychyliliśmy kieliszki, uściskaliśmy dłonie odjeżdżającemu. Żegnał się potem z damami i wybiegł na ganek, gdzie go spotkały okrzyki zebranych umyślnie w tym celu uczniów doktora Stronga. Biegając wraz z nimi, przeprowadziłem go do samej bryczki i zachowałem w pośpiechu i gwarze chwili wrażenie, że był wzruszony, bardzo drżący i miał w dłoni coś, co miało wiśniową barwę.

Zawoławszy raz jeszcze „hura!” na cześć doktora, a drugi, równie głośno, na cześć doktorowej, towarzysze moi odeszli, ja zaś wróciłem do salonu. Wszyscy, gromadząc się wokół gospodarza domu, rozprawiali o podróży i podróżnym. Po chwili dopiero pani Markleham zawołała:

– Gdzież jest Annie?

Nie było jej pomiędzy nami. Nie odpowiadała na wołanie. Wszyscyśmy wybiegli do sieni. Tu zastaliśmy ją leżącą bez życia na ziemi. Powstał popłoch. Uspokoił się nieco, widząc, że to zwykłe zemdlenie, ustępujące przy użyciu zwykłych w podobnych wypadkach środków. Doktor, podtrzymując głowę żony i odgarniając jej z czoła włosy, mówił:

– Biedna Annie! Czułe ma, wierne serce i trudno jej było rozstać się z kuzynem, towarzyszem lat dziecięcych, z przyjacielem! Martwi mnie to, bardzo martwi.

Gdy otworzyła oczy, ujrzała nas wszystkich dokoła siebie, przypomniała sobie, gdzie się znajduje, i skryła twarz na ramieniu męża. Zostawiliśmy ich samych, lecz niebawem, zapewniając, że czuje się lepiej, wróciła do salonu i blada jeszcze, chwiejąc się na nogach, osunęła się na kanapę.

– Annie, kochanko – zauważyła jej matka poprawiając ubranie – zgubiłaś kokardę, patrz. Czy kto nie znalazł wstążki wiśniowego koloru?

U stanika doktorowej brakowało istotnie wężła wiśniowej barwy. Wszyscyśmy się oglądali po meblach i podłodze, ja na równi z innymi.

– Czy nie pamiętasz, gdzie zgubiłaś? – nalegała matka.

Nie była blada, lecz pąsowa, gdy odrzekła, że schowała gdzieś wstążkę i nie warto więcej się tym zajmować.

Gdy po chwili popatrzyłem na nią, znów była blada, śmiertelnie blada. Utrzymywała jednak, że to nic, że to przejdzie, przechodzi, przeszło. Pożegnaliśmy niebawem gospodarzy.

Pomału wracaliśmy do domu, Agnieszka i ja podziwiając księżyc w pełni, pan Wickfield milcząco z utkwionym w ziemię wzrokiem. Przy samej bramie Agnieszka spostrzegła, że zostawiła u doktora koszyczek od roboty. Uszczęśliwiony nadarżającą się sposobnością usłużenia jej, zawróciłem.

W stołowym, pustym teraz pokoju, ciemno już było i tylko promień światła wpadał przez uchylone drzwi od gabinetu doktora. Wszedłem tam prosto, by powiedzieć, po com wrócił, i zapalić świecę.

Przy kominku siedział doktor w fotelu, a u nóg jego na stołeczku siedziała młoda jego żona. Ze zwykłym sobie łagodnym uśmiechem doktor czytał głośno wyjątki ze swego słownika, ona zaś spoglądała na niego. Nie zapomnę nigdy jej twarzy. Piękne jej rysy śmiertelna pokrywała bladość, nadając im wyraz rozdzierający jakiś, marzący i przerażony zarazem. Oczy miała szeroko rozwarte. Na ramiona i białą suknię spływały pasma kasztanowatych, bujnych włosów. Chociaż pamiętam ją doskonale, w tej chwili jeszcze nie umiałbym określić wyrazu jej twarzy. Był tam i żal, i pokora, i wstyd, i duma, i tkliwość, i ufność, a pomiędzy tym owo jakieś nie dające się ująć przerażenie.

Na głos mój i wejście podniosła się. Gdym odnosił świecę, doktor głąskał po ojcowsku jej włosy, mówiąc, że jest egoistą i nie ma serca czytając jej, gdy tak bardzo potrzebuje spoczynku.

Nalegając bardzo prosiła go, aby pozwolił jej wieczoru tego pozostać dłużej przy sobie. A gdym się obejrzał drzwi za sobą zamykając, widziałem, jak mu objęła kolana i błagający wzrok zwróciła na niego. Wyglądała nieco spokojniejsza. Doktor czytał dalej.

Wywarło to na mnie silne wrażenie i przypomniało się potem. Kiedy? Powiem to we właściwym czasie.

Rozdział XVII

Ktoś znów się pojawia

Nie zdarzyło mi się od czasu mej ucieczki wspominać Peggotty. Naturalnie pisałem do niej, skorom tylko przybył do Dover, i następnie, gdy ciotka rozciągnęła formalną nad mną opiekę, wysłałem list obszerniejszy, pełen szczegółów. Wstąpiwszy do szkoły doktora Stronga, znów pośpieszyłem opisać jej obecne szczęśliwe me położenie i nadzieje. Nie wyobrażam sobie, aby jakie bądź użycie danych mi przez pana Dicka pieniędzy milszym mi było od zwrotu zaciągniętego u mej piastunki długu. Odesłałem jej pół gwinei w złocie pocztą i teraz dopiero opisałem całe wydarzenie z walizką.

Na udzielane przeze mnie wiadomości Peggotty odpisywała z kupieckim pośpiechem, jeśli już nie z kupiecką zwięzłością. Cały jej zasób wyrazów – niebogaty, gdy szło o przeniesienie ich na papier – spotęgował się w usiłowaniach wyrażenia współczucia, jakie wzbudziła w niej moja ucieczka i piesza podróż. Współczucie to wyrażało się niezliczonymi wykrzyknikami, początkiem nie skończonych zdań i plam wielu, miłych mi i wymownych bardzo, jako ślady przelanych nad mą niedolą łez. Czegóż więcej mógłbym pragnąć?

Domyśliłem się bez trudności, że Peggotty mimo wszystko nie mogła się jakoś pogodzić z ciotką. Krótko o niej wspominała raz, pisząc: *Jakże to trudno poznać człowieka! Pomyśleć tylko, o ile panna Betsey różna jest od tego, czym się być zdawała, jest już wielką moralną nauką.* Tak pisała. Widocznie dotąd jeszcze przerażała ją samo wspomnienie mej ciotki, dla której nieśmiało łączyła uszanowanie, przypuszczając zresztą widocznie ponowną mą ucieczkę, gdyż list jej zawierał pełno wskazówek i kończył się zapewnieniem, że jeśli zajdzie potrzeba, wyśle po mnie z Yarmouth wózek i konika.

List jej zawierał nadto wiadomość, która mnie mocno zmartwiła, a mianowicie: że meble z naszego domu zostały wyprzedane, pan i panna Murdstone odjechali, a opustoszały dom miał być wynajęty lub sprzedany. Bogu wiadomo, żem stracił prawa do tego domu, zabolalo mnie jednak ostateczne opuszczenie miejsc tych, ze smutkiem myślałem o chwastach wyrastających w ogrodzie, o suchych liściach kładących się mokrymi warstwy na drogach i ścieżkach. Wyobrażałem sobie, jak jesienne muszą tam wyć wichry, jak zimne krople deszczu biją o zamknięte okna, jak blask księżycy na kształt widm puste napełnia komnaty, strzegąc ich w głuchym nocnym osamotnieniu. Myślałem o tej mogile tam na cmentarzu pod drzewami i zdawało mi się, jakoby teraz dom cały wymarł i wszystko, co miało jaki bądź związek z mymi rodzicami, starło się, znikło bezpowrotnie.

List Peggotty nie zawierał więcej wiadomości. Pisała, że pan Barkis doskonałym jest mężem, chociaż trochę skąpawy. Lecz któż nie ma wad! Ona, Peggotty (czego wprawdzie nie dostrzegłem), pełno ich ma. Pan Barkis kłania mi się, a pokoił mój zawsze gotów jest na moje przyjęcie. Pan Peggotty zdrow jest i Ham także, tylko pani Gummidge ma się nieosobliwie, a mała Emilka nie chce wprawdzie przesłać mi uścisku, lecz w jej imieniu czyni to Peggotty.

Wszystkich powyższych wiadomości udzieliłem najsumienniejsz ciotce, z wyjątkiem tego, co się odnosiło do Emilki, a co, czułem instynktownie, mogłoby się jej nie podobać. Z początku, gdym znalazł się w szkole, ciotka odwiedzała mnie często, w najrozmaitszych godzinach, chcąc zapewne zająć mnie niespodziewanie. Dopiero przekonawszy się, że o

każdej porze bywam zajęty, słysząc zewsząd pochwały o moim zachowaniu się i postępach w naukach, zaprzestała tak częstych odwiedzin. Widywałem ją teraz dopiero co trzecią lub czwartą sobotę, gdy mnie uwalniano ze szkoły na niedzielę, którą spędzałem w Dover. Co do pana Dicka, ten przyjeżdżał co dwa tygodnie, we środę o południu, a odjeżdżał do domu dopiero nazajutrz rano.

Nigdy nie zjawiał się bez skórzanej teki, zawierającej sławny ów memoriał. Zdawało się, jakoby miał niejasne przecucie, że czas nagli i trzeba raz wreszcie zakończyć długoletnią pracę.

Pan Dick bardzo lubił pierniki. Dla uprzyjemnienia mu wycieczek ciotka otworzyła dlań kredyt u piekarza, z zastrzeżeniem, aby nie przekraczał szylinga dziennie. Ten wydatek, jako też koszt noclegu w gospodzie, ciotka opłacała sama, co nasunęło mi myśl, że wolno mu było raczej pobrzękiwać pieniędzmi, niż je wydawać. Wkrótce też przekonałem się o trafności mych spostrzeżeń. Istotnie zdawał przed ciotką ściśle rachunki ze swych wydatków. Nie mając zamiaru oszukiwać jej, a pragnąc zawsze zadowolić, czynił to chętnie i wesoło. W tym jak i we wszystkim uważał ją za najrozumniejszą, najgodniejszą podziwu kobietę, z czym zwierzał mi się tajemniczo, półgłosem.

– Trotwood – dodał raz, uczyniwszy przede mną to zwykłe zwierzenie – jak myślisz, kim mógłby być człowiek jakiś ukrywający się w pobliżu naszego mieszkania i straszący ją?

— Straszący ciotkę? – spytałem.

Skłonił głowę.

— I ja sądziłem – rzekł – że ją nic przstraszyć nie zdoła, gdyż – tu zniżył głos do szeptu – jest to najrozumniejsza, najgodniejsza podziwu kobieta!

Mówiąc to cofnął się dla lepszego zbadania, jakie wrażenie wywarły na mnie jego słowa.

– Pierwszy raz – ciągnął – zjawiał się... zaraz, kiedy to było? W tysiąc sześćset czterdziestym dziewiątym?... Wszak tak, utrzymujesz, że rok tysiąc sześćset czterdziesty dziewiąty jest rokiem zgonu króla Karola?

– Tak jest, panie!

– Nie wiem doprawdy – rzekł potrząsając głową – jak to pogodzić? Czyżbym był tak stary?

– W tym to roku zjawiał się ów nieznajomy? – spytałem.

– Zapewne... sam nie wiem, jak się to stało, Trotwood. Powiedz, proszę, czy to data historyczna? Tak zapisano w historii? Tak, nie inaczej?

– Tak, panie.

– Sądzę, że historia nie myli się nigdy – rzekł z błyskiem nadziei w oku.

– O, nie! Nigdy! – potwierdziłem. Ufny i młody wierzyłem w to święcie.

– Nie mogę sobie jakoś tego wytłumaczyć – pan Dick potrząsnął głową – jest w tym coś... Dość, że człek ów zjawiał się wkrótce jakoś po przeniesieniu niektórych trosk z głowy króla Karola na moją głowę. Właśnie przechadzaliśmy się z panią Trotwood po herbacie, noc już zapadła, wtem...

– Wyszedł na was? – spytałem.

– Czy wyszedł? Nie – tu pan Dick zmarszczył czoło. – Wcale nie wychodził.

– Jakże, cóż robił?

– Otóż... wcale go nie było, wtem zjawiał się, zaszeptał coś, a wtedy ona odwróciła się i zemdląca. Stałem i patrzyłem na niego, dopóki nie odszedł. W tym rzecz, że się dotąd gdzieś schował – gdzie? Może w ziemi, w krzakach może.

– Schował się? – spytałem niedowierzająco.

– Niewątpliwie – odrzekł z powagą – chował się aż do dnia wczorajszego. Znów wyszliśmy na wieczorną przechadzkę i znów zjawiał się nagle. Poznałem go.

– I znów się ciotka przelęknęła?

– Drżała jak listek – odrzekł dzwoniąc zębami – chwyciła się ogrodzenia, płakała. Ale co więcej – dodał przyciągając mnie do siebie i szepcząc mi na ucho – czego zrozumieć nie mogę, to, że mu, widziałem to przy księżycu, dawała pieniądze.

– Może to był żebrak.

Wstrząsnął przecząco głową, powtarzając z przekonaniem i kilkakrotnie: „nie, wcale nie żebrak”. Po czym opowiedział mi, że przez okno, przy świetle księżyca, późno już wieczorem, widział, jak ciotka wyniosła nieznajomemu i dawała pieni ądze, jak tenże znów znikł bez śladu, schował się gdzieś zapewne, i jak ciotka spieszenie i tajemniczo wróciła do domu, a dziś rano jeszcze była jakaś inna, niż zwykle bywała, co wywarło na panu Dicku silne wrażenie.

Nie wątpię, że owo tajemnicze zjawisko było wytworem wyobraźni staruszka i dawało się podciągnąć pod to samo, co ów nieszczęsny król Karol, z którym sobie poradzić nie mógł. Przypuszczałem też, że nieraz pan Dick próbował zapewne uchylić się spod opieki ciotki; znając zaś jej dobroć i przywiązanie do staruszka, nie dziwiłbym się, gdyby opłacała, chociażby drogo, jego spokój. To ostatnie przypuszczenie zdawało mi się tym prawdopodobniejsze, że się sam przywiązałem do pana Dicka i za każdym razem oczekując go we środę, drżałem, że może nie przyjedzie. Ale zjawiał się zawsze, siwy, uśmiechnięty, zadowolony, nie mając nic zresztą ponad to, co się wyżej rzekło, do zakomunikowania o owym tajemniczym zjawisku, które jakoby tak bardzo przerażało ciotkę.

Środy te były najszcześniejszymi dniami jego życia, a i w moim złotymi zapisały się literami. W krótkim czasie poznali go moi koledzy i chociaż nie brał udziału w żadnej grze z wyjątkiem puszczania latawca, z żywym zajęciem przypatrywał się naszym zabawom. Nieraz widziałem, jak powstrzymywał oddech w decydującym momencie przy zabawie w psy i zająca, a gdyśmy się gonili, wchodził zwykle na pagórek, aby łatwiej obrzucić okiem arenę gonitwy, a zwycięzcy powiewać kapeluszem zdjętym z siwej głowy, na którą spadły jakoby wszystkie troski z głowy Karola Męczennika. Ileż chwil błogich spędził latem wpatrzony w naszego krykieta. A w zimie, ile razy, z nosem zsiniałym od zimna i wiatru, w zachwycie przyklaskiwał łyżwiarzom. Lubiano go ogólnie. Zdawać by się mogło, że z czasem prostota jego wzrosła jeszcze. Żaden z nas nie umiał wyrzynać równie jak on przedziwnych rzeczy z pomarańczowej skórki. Z lada czego robił łodzie, z kości wyrzynał szachy. Ze starych kart budował przedziwne wozy rzymskich triumfatorów, koła ze szpułek od bawelny, klatki ze starego drutu. Najbieglejszy zaś był w wyplataniu różnych przedmiotów ze sznurów i słomy. Byliśmy przekonani święcie, że zdolny jest wykonać wszystko, co zrobić można ręcznie.

Wkrótce się też rozeszła jego sława i po kilku środowych wizytach sam doktor Strong wypytywał mnie o niego. Opowiedziałem wszystko, com wiedział. Zaciekawilo to snad z doktora, gdyż zapragnął przedstawić się staruszkowi. Przy pierwszej zaraz wizycie zaznajomiłem tych panów i doktor prosił pana Dicka, aby odtąd co środa, po południu, zamiast czekać na dziedzińcu, zanim wyjdę ze szkoły, zechciał wstępować do niego. W ten sposób pan Dick poznał się z młodą (bledszą niż przedtem, smutniejszą, lecz nie mniej piękną) żoną doktora i tak, oswajając się powoli z nimi i miejscem, zaczął nawet zaglądać do szkoły. Siadywał w kątku, na krześle, któreśmy potem jego imieniem nazwali, z pochyloną głową, zasłuchany w wykład nauczyciela i lekcje wydawane przez uczniów, najwi ększe okazując uszanowanie dla niedostępnej dla się nauki.

Uszanowanie to rozciągał naturalnie aż na osobę doktora, czcząc w nim największego mędrca i filozofa wieku. Przez czas długi przemawiał doń tylko z odkrytą głową i nawet kiedy zawiązała się między nimi przyjaźń, to, gdy całymi godzinami przechadzali się w alei ogrodu, pozostawionej na wyłączny użytek doktora, od czasu do czasu zdejmował kapelusz dla uczczenia nauki i mądrości. Nie wiem już, jak do tego przyszło, lecz z czasem doktor zaczął czytywać panu Dickowi wyjątki ze swego słownika. Zapewne wyobrażał so-

bie z początku, że czyta sam dla siebie; wkrótce jednak weszło to w zwyczaj, a pan Dick słuchał z przejęciem, rozradowany, dumny, w głębi serca przekonany, że na świecie już całym nie ma piękniejszej, bardziej zajmującej od słownika książki.

Gdy przypomnę ich sobie, tak, jakem widywał z okien szkoły: doktora czytającego z uśmiechem lub poważnym ruchem głowy zbierającego roztrzęsione manuskrypty, mojego zaś starego przyjaciela zasłuchanego w same dźwięki głosu doktora, z myślą bujającą gdzieś nieuchwytnie, na skrzydłach tychże dźwięków, widzę jeden z najwdzięczniejszych w swym skromnym, cichym rodzaju obrazków, jakie mi się widzieć zdarzyło. Czuję, że jeśli by mogli ci dwaj przechadzać się tak obok siebie zawsze i zawsze, świat stałby się lepszy i tysiące spokój w nim zakłócających szczegółów i wydarzeń nie miałyby miejsca, dla mnie przynajmniej.

Agnieszka stała się też wkrótce przyjaciółką pana Dicka, odwiedzając zaś często dom jej ojca, poznał się on z Uriahem. Co do mnie, przyjaźń nasza stawała się coraz żywsza i chociaż oficjalnie pan Dick uchodził za mego opiekuna, niejednokrotnie zasięgał mojej rady i stosował się do niej nie tylko przez zaufanie do mego rozsądku, lecz z tego względu, że musiał, zdaniem jego, odziedziczyć cząsteczkę mądrości mej ciotki.

Pewnego czwartku rano, odprowadzając pana Dicka na pocztę, spotkałem na ulicy Uriaha i ten przypomniał mi, że mu obiecałem przyjść kiedy na herbatę, dodając:

– Nie spodziewam się jednak, abyś pan, panie Copperfield, dotrzymał słowa! Za maluczcy jesteście!

Trudno by mi było określić, czym lubił lub nie lubił tego chłopca, teraz nawet w uczuciach moich w tym względzie panuje chaos pewien. Dość, że mnie ostatnie jego słowa ubodły. Przynajmniej posądzenie mnie o dumę i wzgardliwość. Upewniłem Uriaha, że tylko czekał zaproszenia.

– Jeśli o to idzie – zawołał – jeśli to nie niskość naszej kondycji powstrzyma pana, przyjdź, proszę, dziś wieczorem. Niech to jednak pana, panie Copperfield, w niczym, ale to w niczym nie krępuje. Wiemy, jak jesteście maluczcy, i dobrze znamy nasze położenie.

Odpowiedziałem, że uzyskam u pana Wickfielda pozwolenie spędzenia wieczoru w domu matki Uriaha, a że zresztą pozwolenia był pewien, obiecałem przyjść punktualnie na szóstą po południu.

– Wielki to będzie dla mej matki zaszczyt – rzekł Uriah, gdyśmy szli do jego domu. – Czułaby się dumna, gdyby duma nie była grzechem.

– A jednak rano posądziłeś mnie o dumę – zarzuciłem.

– O, nie, panie Copperfield, wcale nie, jak żebym mógł... Nie poczytywałbym wcale za dumę, jeśli byś pan nawet osądził nas za nieodpowiednie dla siebie towarzystwo. Wiem przecie, jak maluczkiemi jesteśmy.

– Dalekoś postąpił w studiach prawnych? – spytałem pragnąc zmienić rozmowę.

– O, panie Copperfield – odrzekł z pokorą. – Czyż usiłowania moje zasługują na nazwę studiów? Czasem, wieczorem, dane mi jest spędzić jaką godzinę z boskim panem Tidem.

– Ciężka to rzecz, sądzę.

– Dla mnie ciężka, lecz wątpię, czy ciężką by się zdawała bardziej uzdolnionemu.

Szedł czas jakiś milcząc i wystukując palcami rytm po brodzie.

– Są – odezwał się – w dziele tym wyrażenia, z którymi z trudem mogę sobie poradzić.

– Może byś chciał nauczyć się po łacinie – zawołałem wesoło. – Z miłą chęcią udzielałbym ci lekcji, gdyż sam się tego uczę.

– Dzięki! O, dzięki panu, panie Copperfield! – odrzekł potrząsając głową. – Dobroć pańska wzrusza mnie, lecz znam dobrze me położenie i za pokorny jestem, aby przyjąć podobną łaskę.

– Bredzisz, doprawdy!

– Niech mi pan, panie Copperfield, wybaczy. Czuję się zobowiązany dobrocią pańską, lecz przyjąć nie mogę, znam moje położenie. Dość jest już takich, co gardzić mną będą, po cóż mam obrażać ich uczonością nieodpowiednią memu tak bardzo skromnemu położeniu? Nie przystoją mi tak wzniosłe zachcianki! Przez życia ciernistą drogę wypada iść mi jak najciszej, jak najpokorniej.

Nigdy mi się jeszcze jego usta nie wydały tak szerokimi, zmarszczki na policzkach tak głębokimi, jak w chwili, gdy mi się zwierzał ze swych myśli, potrząsając przy tym głową i pokornie zacierając ręce.

– Sądzę, że się w tym mylisz – rzekłem – i pewien jestem, że jeślibyś chciał tylko, mógłbym ci udzielać lekcji kilku przedmiotów.

– O! O tym nie wątpiłem ani na chwilę, panie Copperfield – zawołał – lecz sam będąc w odmiennym niż ja położeniu, nie możesz czuć, co czujemy my, maluczcy! Nauka mi nie jest potrzebna! Nie dla mnie jest ona, wiem to. Ale i oto nasze skromniutkie, ubogie schronienie.

Wprost z ulicy weszliśmy do niskiego, staroświeckimi sprzęty zastawionego pokoju, w którym zastaliśmy panią Heep, żywy obraz syna, w zmniejszeniu. Przyjęła mnie z oznakami najwyższej pokory, tłumacząc się z pocałowania wchodzącego syna. – Wszak i ubodzy – mówiła – nie pozbawieni są uczuć, co zresztą – dodała – nie powinno obrażać niko-go. – Pokój, do któregośmy weszli, a który służył jednocześnie i za kuchnię, był zupełnie przyzwoity, wcale nie dziura jakaś. Na stole stały przybory do herbaty, w czajniku wrzała woda. Na uboczu stała komoda, na niej rodzaj pulpitu, przy którym snadź Uriah pracował wieczorami, gdyż leżała tam, w towarzystwie kilku książek jego, z Tiddem na czele, w siny papier oprawna teka. W kącie stał kredens. Były tam także inne zwykłe sprzęty, z których żaden nie wydał mi się szczególnie ubogi, chociaż całość niewątpliwie takie wywierała wrażenie.

Przez skromność czy też przez ubóstwo pani Heep odziana była w żałobę. Odkąd mąż jej umarł, nie zdjęła wdowiej szaty, robiąc jednak niejaki ustępstwa co do pokrywającego jej włosy czepka.

– Dzień to będzie dla nas pamiętny, mój synu – odrzekła nalewając herbatę. – W dniu tym pan Copperfield zaszczycił swą obecnością niskie nasze progi.

– Pewien byłem, że tak myślisz, matko – odrzekł Uriah.

– Jeślibym śmiała życzyć twemu ojcu, aby pozostawał jeszcze pomiędzy żyjącymi, to chyba po to, aby poznał naszego gościa i korzystał z tak miłego towarzystwa.

Grzeczności te mieszały mnie wprawdzie, ale przyjęcie jako zaszczytnego gościa schlebowało zarazem, i pani Heep zdawała mi się wcale przyjemną osobą.

– Syn mój – ciągnęła – od dawna wyglądał tej upragnionej chwili, lecz wątpił, czy pan zechce zaszczyścić nas, biedaków, a i ja podzielałam jego w ątpliwości, maluczkimi bowiem byliśmy, jesteście, maluczkimi na zawsze być nam sądzono, o, wiemy to i skromni jesteśmy, pokorni!

– Sądzę, że nie ma do tego powodu – wtrąciłem. – Chyba że pani tak woli.

– Dziękuję panu za dobre słowa. Znamy nasze położenie, znamy i nie skarżymy się na nic.

Tymczasem matka zbliżała się do mnie coraz bardziej, syn zaś coraz to się oddalał, a oboje obstawili mnie wszystkim, co było do jedzenia na stole. Nie były to zapewne wielkie przysmaki, lecz rozczulały mnie dobre ich chęci i wielka uprzejmość. Teraz rozmowa przeszła na ciotki – mówiłem o mojej – na ojców, matki – mówiłem o mych rodzicach – potem pani Heep potrąciła o ojcymów i ja zacząłem z początku coś mówić o moim, lecz zatrzymałem się w porę, przypomniawszy sobie zlecenie mej ciotki, abym milczał w tym przedmiocie. Cóż z tego! Korek oparłby się łatwiej dwu korkociągom, ząb dwu dentystom, młody kogucik dwóm dorosłym kogutom, ani żeli się oprzeć mogłem tym dwojgu. Wycią-

gnęli ze mnie, co chcieli, to, co chciałem i nie chciałem powiedzieć, z łatwością, wywołującą dziś jeszcze na twarz mą rumieniec, tym bardziej że w młodocianej mej naiwności sądziłem, że ja to występuję niby w roli opiekuna mych gospodarzy.

Syn i matka kochali się nawzajem, o tym nie wątpię. Takie to na mnie zrobiło wrażenie, i była to rzecz zupełnie naturalna, lecz w uwadze i uprzejmości, z jaką każde z nich słuchało słów drugiego, było coś sztucznego. Gdy już wydobyli ze mnie wszystko (a niemy pozostałem tylko co do „Murdstone i Grinby” i mojej ucieczki z Londynu), zaczęli obrabiać pana Wickfielda i jego córkę. Uriah rzucił jakieś słówko, które w lot porwała jego matka, i tak dalej, i tak dalej, aż mi się w głowie mieszało. To mówiono o prawniku, to znów o jego córce, tu o zaletach pierwszego, tu o mym uwielbieniu dla ostatniej, tu o środkach i interesach prywatnych pana Wickfielda, tu o winie, które spijał po obiedzie, i dlaczego spija tak wiele, tu o tym, tu o owym, o wszystkim, o niczym, a przez cały czas zdawało mi się, że ja sam mówię mało, tyle tylko, ile potrzeba, aby nie zrazić gospodarzy, nie upokorzyć mym milczeniem, a jednak, wiem to, mówiłem tysiące rzeczy, które lepiej bym przemilczał, a ostrzegały mnie nawet o tym niejednokrotnie ruchome nozdrza Uriaha.

Zacząłem odczuwać pewne wewnętrzne niezadowolenie i pragnąłem zakończyć jak najprędzej tę wizytę, gdy przed otwartymi dla wpuszczenia świeżego powietrza, a na ulicę wychodzącymi drzwiami przesunęła się jakaś postać, zajrzała w głąb pokoju, wróciła i stając w progu zawołała:

— Być że to może! Copperfield!

Był to pan Micawber we własnej osobie, z monoklem, laską, białym kołnierzykiem, zwykłą swą uprzejmością, szczególną intonacją głosu,

– Kochany Copperfieldzie! – wołał wyciągając rękę. – Spotkanie to niespodziewanie potwierdza chyba wszystko, co o niestałości i zmienności losów ludzkich kiedy i gdzie bądź powiedziane było! Dziwne, przedziwne spotkanie. Przechodziłem właśnie myśląc o różnych zmianach, które wcześniej czy później w życiu każdego z nas zająć mogą, aż tu spostrzegłem młodego, lecz wielce szanownego przyjaciela, którego wspomnienie wiążę się z najpamiętniejszą chwilą mego życia. Witaj mi, witaj, kochany przyjacielu!

Nie mogę powiedzieć, za nic powiedzieć nie potrafię, czym był zadowolony ze spotkania tu właśnie Micawbera, lecz to pewne, że mi widok jego był miły, że mu serdecznie uściskał dłonie wypytując o żonę.

– Dziękuję, bardzo dziękuję – odrzekł skłoniwszy jak dawniej ręką i jak dawniej wsuwając głowę w kołnierzyk – przychodzi do zdrowia, a bliźnieta nie czerpią już pokarmu z łona przyrody, to jest, krótko mówiąc, zostały właśnie odłączone, toteż pani Micawber towarzyszy mi w podróży i ucieszy się, kochany Copperfieldzie, odnowieniem znajomości z kimś, co w tak młodym wieku umiał już być kapłanem u wzniosłych ołtarzy przyjaźni.

Upewniałem, że mi przyjemnie będzie spotkać panią Micawber.

– Bardzo łaskaw! – odpowiedział pan Micawber uśmiechając się, zanurzając brodę w kołnierzyk i rozglądając się dokoła.

– Spotykam młodego mego przyjaciela – począł – nie w osamotnieniu, lecz w towarzystwie owdowiałej damy i jej zapewne odrośli, krócej mówiąc, syna. Uważałbym za zaszczyt być przedstawionym tu obecnym.

Nie było rady; musiałem przedstawić go Uriahowi i jego matce. Rozproszyli się w pokornych powitaniach, pan Micawber usiadł i machnął w dobrotliwy, zwykły sobie sposób dłonią.

– Przyjaciele – upewniał – przyjaciół naszych nabierają przez to już samo prawa do naszej przyjaźni.

– Zbyt wielkim byłoby dla nas zaszczytem, panie – zaczęła pani Heep – zaliczać się do przyjaciół pana Copperfielda. Znamy nasze położenie, skromni jesteśmy, robaki marne. Pan Copperfield raczył nie wzgardzić niskim naszym progiem i u stołu naszego wypić

skromną filiżankę herbaty, za co mu nieskończenie wdzięczni jesteśmy, jako też panu za łaskawe jego słowa.

– Pani! – odrzekł z ukłonem pan Micawber. – Jesteś pani wielce łaskawa. I cóż porabiasz, Copperfieldzie?... Zawsze w handlu win, co?

Chciałem jak najprędzej wyjść z panem Micawberem, toteż z kapeluszem już w rękę i zarumieniony po uszy odrzekłem, że jestem obecnie uczniem w szkole doktora Stronga.

— Uczniem... – zauważył pan Micawber. – Cieszę się z tego niewymownie.

Tu zwrócił się do pani Heep i jej syna dodając:

– Chociaż umysły takie, jak młodego tu obecnego naszego przyjaciela, nie wymagają kultury podobnej tej, jakiej wymagać mogą umysły mniej bystre i spostrzegawcze, nie posiadające tak trafnej znajomości ludzi i rzeczy, jest to wszelako grunt bogaty, brzemienno bujną roślinnością, czyli, krótko mówiąc, umysł naszego, tu obecnego przyjaciela zdolny jest przyjąć klasyczne wykształcenie.

Uriah, przez cały czas zacierający ręce, wyciągał szyję, potakując w ten sposób wyrazonemu przez przybysza zdaniu.

– Czy nie mógłbym zaraz odwiedzić pańskiej żony? – spytałem pragnąc czym prędzej wyjść z panem Micawberem.

– Zapewne, jeśli chcesz zrobić jej tę przyjemność – odrzekł powstając i dodał: – Przy obecnych tu naszych przyjaciółach nie waham się wyznać, że przez lat długie szeregi był ofiarą przeróżnych pieniężnych niepowodzeń...

Pewien byłem, że wspomni coś o tym. Tak lubił się rozwodzić na ten temat.

– Czasem – ciągnął – udawało mi się wznieść nad przekorne losy, czasem znów one mnie pokonywały, jednym słowem, czasem zostawałem panem poło żenia, czasem przekorne okoliczności naciskały na mnie tak, że tylko odzywać się mogłem do żony mojej i wiernej towarzyszki złej i dobrej doli słowami Katona: „Platonie! Dobrze ś mówić, wszystko się przeciw mnie sprzęgło, walczyć nie mam już siły”. Lecz w żadnym wypadku – kończył – nie czuję się szczęśliwszy niż wówczas, gdy żale me i rozpaczania mogę wylać przed młodocianym a doświadczonego już, tu obecnym mym przyjacielem, Copperfieldem.

Mowę tę pan Micawber zakończył, żegnając panią i pana Heep. Wyszliśmy. Szedł jak zwykle napuszony, postukując obcasami i nucąc jakąś piosenkę.

Zatrzymał się był w małej gospodzie, gdzie zajął małą, dymem cygar nasiąkniętą izdebkę. Przytykać musiała do kuchni, gdyż gęste, smrodliwe opary napełniały ją aż po sufit, wdzierając się przez szczeliny w przepierzeniu. Z drugiej strony dochodziła woń piwa i wódki wraz z brzękiem szklanek i kieliszków. W tej to izdebce, na sofie, nad którą wisiał obraz przedstawiający wyścigowego konia, z głową tuż przy kominku, a nogami potrącając o fotel leżała pani Micawber, do której mąż zawołał:

– Pozwól, kochanko, abym ci przedstawił ucznia doktora Stronga.

Zauważę, że pan Micawber lubił przypominać i mówić, że był uczniem doktora Stronga, jak o czymś dystyngowanym.

Wejście moje zdziwiło, lecz i ucieszyło panią Micawber. Co do mnie, miło mi było widzieć ją, powitaliśmy się więc serdecznie. Usiadłem obok niej na sofie.

– Kochanko – mówił pan Micawber – jeśli chcesz opowiedzieć młodemu naszemu przyjacielowi, w jakim obecnie znajdujemy się położeniu, co go zapewne interesuje, pójdę, przeczytam gazetę i zobaczę, czy się tam czasem co dla nas nie znajdzie.

– Sądziłem, że państwo znajdujecie się w Plymouth – rzekłem, skoro się pan Micawber oddalił.

– Tak, kochany panie Copperfield – odrzekła. – Udaliśmy się istotnie do Plymouth.

– W celu pozostania?

– Tak, istotnie, aby być w miejscu, lecz prawdę mówiąc, w Komorze Celnej nie potrzebują ludzi z talentem, a wpływy rodziny mojej nie zdołały wysunąć na widownię zalet i

zdolności mego męża. Same jego zdolności szkodziły mu raczej, zbyt rażąco odbijając od nieudolności i miernoty innych. Nie zamilczę też przed panem, kochany panie Copperfield, że gdy ta gałąź rodziny mojej, która zamieszkała w Plymouth, dowiedziała się, że towarzyszę memu mężowi wraz z małym Wilkinsem, jego siostrzyczką i naszymi bliźniętami, przyjęła go o wiele chłodniej, niż tego mógł się, i to dopiero wyszedłszy z więzienia, spodziewać. Powiem nawet panu – tu zniżyła głos – w nadziei, że to zostanie pomiedzy nami, iż przyjęcie było więcej niż chłodne!

– Szkoda! – zawołałem.

– Istotnie – mówiła pani Micawber – smutno jest odkrywać ciemne strony ludzko ści! Przyjęto nas chłodno, więcej niż chłodno, i ta gałąź rodziny mojej, która osiadła w Plymouth, zanim upłynął tydzień od naszego tam przybycia, stanęła na stopie nieprzyjaznej względem mego męża.

Zauważyłem, że ludzie ci musieli być bez serca i sumienia.

– A jednak tak było – ciągnęła pani Micawber. – I cóż w podobnych okolicznościach pozostawało memu mężowi? Oczywiście jedno mu pozostało: pożyczyć od tej gałęzi rodziny mojej, która osiadła w Plymouth, na powrót do Londynu...

– Wróciliście tam wszyscy, kochana pani? – spytałem.

– Wszyscy wrócili. Odtąd zasięgałam rady u innych członków mojej rodziny, z innej gałęzi, co do dalszych przedsięwzięć mego męża, gdyż musi on przecież coś przedsięwziąć. Rodzina złożona z sześciu dusz, nie licząc w to służącej, nie może żyć samym powietrzem – kończyła przekonywająco.

– Zapewne, kochana pani.

– Otóż zdaniem innych członków rodziny mojej, z innej, nie z tamtej gałęzi, jest, aby pan Micawber zabrał się do węgla.

– Przepraszam, do czego?

– Do węgla, to jest do handlu węglami, a wszystko daje nam rękojmię, że istotnie wcale niegorsze nadzieje otwierają się dla nas z tej strony i zdolności mego męża znaleźć mogą odpowiednie sobie ujście w handlu na spławie rzeki Medway. Cóż, pozostawało jeno przyjechać i przypatrzeć się bliżej rzece Medway. Toteż przyjechaliśmy, widzieliśmy... mówię w liczbie mnogiej, gdyż naturalnie i, jak to już panu wiadomo, nigdy, nigdy nie opuszczam mego męża.

Ostatnie słowo wymówiła z uczuciem. Zaszemrałem coś w rodzaju pochwalnego twierdzenia.

– Przybyliśmy – ciągnęła – przypatrzyliśmy się. Zdaniem moim, handel węglami w okolicy tej wymaga wielkiego uzdolnienia, ale też i kapitału. Na pierwszym memu mężowi nie zbywa, lecz drugiego braknie. Oto jest zdanie moje po bliższym i ściślejszym zbadaniu kwestii. Będąc już raz w tych stronach, niepodobna było nie zwiedzić tutejszej katedry, raz, że istotnie godną jest widzenia, a myśmy jej dotąd nie znali, po wtóre, że się zawsze coś znaleźć może w archidiecezjalnym grodzie. Jesteśmy tu od trzech dni i nic się dotąd nie znalazło. Zresztą pana to, kochany panie Copperfield, nie zdziwi tak, jak zdziwić by mogło obcego nam człowieka, jeśli wyznam, że zadłużyliśmy się tu w hotelu i zmuszeni jesteśmy wyczekiwać zasiłku pieniężnego z Londynu. Oto jakim sposobem odłączona jestem od domu – mieszkamy obecnie w Pentonville – od syna, córki i obojga mych bliźniąt.

Tak krytyczne położenie starych przyjaciół wzruszyło mnie do głębi serca. Wyraziłem współczucie moje powracającemu panu Micawber, dodając, jak bardzo żałuję, że nie posiadam dostatecznej ilości pieniędzy, aby ich wesprzeć pożyczką. Pan Micawber odpowiedział ściskając mi dłoń:

– Copperfieldzie! Prawdziwym w każdym wypadku okazujesz się przyjacielem, lecz człowiekowi doprowadzonemu do ostateczności wierniejszą przyjaciółką jeszcze pozostaje – brzytwa.

Na straszliwe te słowa pani Micawber zarzuciła mężowi ręce na szyję, błagając, aby się uspokoił. Zalał się łzami, co mu nie przeszkodziło zaraz potem, łzy otarłszy, zadzwonić na służącego i zamówić nazajutrz na śniadanie półmisek gorącego puddingu z cynadrami i porcją raczków morskich.

Żegnając zapraszali mnie oboje tak serdecznie, abym zjadł z nimi przed ich odjazdem obiad, że nie miał serca wymówić się. Lecz że nazajutrz nie mogłem przyjąć zaproszenia, mając w dniu tym wiele lekcji do przygotowania, pan Micawber miał przyjść przed południem do szkoły, aby się ze mną umówić na dzień następny. Zjawił się też istotnie. Wywołano mnie z klasy. Umówiliśmy się, jak to było postanowione, lecz na pytanie moje, czy nadeszły wyczekiwane z Londynu zasiłki, odpowiedział mi tylko silnym ściśnięciem dłoni.

Tegoż samego wieczoru, patrząc przez okno, nieprzyjemnie uderzony zostałem widokiem Uriaha przechadzającego się pod rękę z panem Micawberem. Pierwszy, w pokorze swej, zdawał się uszczęśliwiony z zaszczytu, jakiego dostąpił, drugi, napuszony, zdawał się być nie mniej zadowolony z roli protektora, w której występował. Bardziej jeszcze zdziwiła mnie, gdym się nazajutrz, o czwartej zjawił na obiad, wiadomość, że pan Micawber spędził wczoraj wieczór cały u pani Heep.

– Powiem ci, kochany Copperfieldzie – mówił – że ten twój młody przyjaciel zajdzie wysoko, zostanie co najmniej sławnym patronem, adwokatem. Gdybym był znał go w epoce przesilenia mych interesów, pewien jestem, że wierzyciele moi lepiej by na tym wyszli i ja także.

Wprawdzie nie wiedziałem, jakim by się to mogło stać sposobem, gdyż i tak, o ile wiadomo mi było, wierzyciele nie dostali złamanego grosza, powstrzymałem się jednak od tej uwagi. Nie pytałem go też, czy nie był czasem zbyt wylewny wobec Uriaha ani czy mówił mu o mnie. Bałem się zranić go, czyli raczej bałem się zranić tkliwą jego żonę. Pytania te jednak niepokoiły mnie i długo potem nie przestały niepokoić.

Obiad był wytworny niemal; składał się z ryby, pieczonych cynader, kuropatw i puddingu. Podano mocne piwo i wino, a na deser pani Micawber własną ręką zgotowała wyborny poncz.

Pan Micawber w wybornym też był humorze. Nie pamiętam, czym go kiedy widział bardziej ożywionym. Poncz rozrozumienił mu twarz, która wyglądała jak lakierowana. Przepowiadał najświetniejszą naszemu miastu przyszłość, utrzymując, że i on, i żona jego spędzili w nim dni nieskończenie przyjemne, które im pozostaną na zawsze w pamięci. Wspominaliśmy przeszłość, dzieje naszej znajomości, po czym prosiłem nieśmiało panią Micawber, aby raczyła mi pozwolić wypić jej zdrowie. Przy tej sposobności pan Micawber wygłosił pochwałę charakteru swej żony i jej wysokich zalet, przyznając, że była mu gwiazdą przewodnią, natchnieniem, najwierniejszą przyjaciółką. Na zakończenie dodał, że gdy dojdę do lat odpowiednich, życzy mi napotkać podobną towarzyszkę życia, jeśli oczywiście druga taka znajdzie się na kuli ziemskiej. Po obiedzie pan Micawber był coraz rozmowniejszy, a i humor pani Micawber poprawił się do tego stopnia, żeśmy śpiewali chórem piosenkę po piosence aż do zupełnego rozczulenia. Słowem, nie pamiętam ludzi weselszych od tych dwojga aż do ostatniej chwili, gdy późno już wieczorem pożegnałem panią i pana Micawber. Toteż nie dziw, że nazajutrz o siódmej rano zdziwił mnie list następujący, pisany wieczorem o wpół do dziesiątej, to jest w niespełna pół godziny po naszym rozstaniu:

Kochany, młody mój przyjacielu!

Kości rzucone i mosty spalone! Po wszystkim! Ukrywając głęboką ranę pod smętną wymuszonej wesołości maską, nie powiedziałem dziś Panu, że mnie ominęła wszelka nadzieja otrzymania wyczekiwanego z Londynu zasiłku. Wśród podobnych okoliczności upokarzających zarówno, jak bolesnych, wydać musiałem właścicielowi gospody weksel na

należną mu sumę, płatny w Londynie, w mieszkaniu mym, Pentonville, za dwa tygodnie. Że zaś ani za dwa tygodnie, ani nigdy uiścić długu nie zdołam, następstwa tego kroku łatwe są do przewidzenia. Topór podjęty, drzewo paść musi...

Niechże nieszczęsny, piszący te słowa, pozostanie Ci, kochany przyjacielu, na zawsze przykładem! W tym to, nie w innym celu pisze on do Ciebie. Nadzieja ta złotym swym promieniem rozświeca mroki zalegające przepaść jego duszy i pozostałych mu jeszcze do spędzenia na tej ziemi dni rozpacz i goryczy. Dni te, jak na teraz są policzone, trwanie ich stało się wątpliwe. Ostatnie to są, drogi przyjacielu, słowa odtrąconego od społeczeństwa Twego nędzarza Wilkinsa Micawbera!

Rozdzierający ten list tak mnie wzruszył, że natychmiast, przed pójściem do szkoły, pobiegłem do gospody, w której przemieszkiwał pan Micawber, w celu pocieszenia go. W pół drogi spotkałem odchodzący do Londynu dyliżans, a w nim oboje państwa Micawber. On z wyglądającą mu z kieszeni butelką likieru uśmiechał się zarumieniony, ona gryzła włoskie orzechy, wyjmowane z papierowej torebki, że zaś mnie nie dostrzegli, wolałem ich nie zaczepiać. Z serca spadł mi ciężar i skracając sobie drogę, skręciłem w najbliższy zaułek, śpiesząc do szkoły. Lubiłem ich nie mniej niż dawniej, lżej mi jednak było jakoś, gdym tracił ich z oczu.

Rozdział XVIII

Rzut oka wstecz

Szkolne czasy! Ciche blaski dni minionych, stopniowego, powolnego rozwoju władz duszy i ciała, przejście z dzieciństwa do młodości! Niechże dziś, niby wyschłe, suchymi liśćmi zavalone łożysko, przypomnę sobie żywe, tryskające wody tego potoku, biegiem jego pozostawiony ślad.

Chwilę! Oto co niedziela rano jestem z towarzyszami w katedrze. Szli śmy w ordynku, zebrawszy się przedtem w szkole. Woń stęchlizny, bezsłoneczny mrok, uczucie takie, jak gdyby ciężkie kościelne wrota oddzielały od świata całego, rozplywanie się poważnego głosu organów po ciemnych galeriach i głębokich nawach unoszą mnie w przeszłość skrzydlatym wspomnieniem pół snu, pół jawy.

Nie byłem wprawdzie ostatnim uczniem i szybkie czyniłem postępy, lecz miejsce pierwszego ucznia wydawało mi się niedościgłym szczytem potęgi i sławy i chociaż Agnieszka zaprzeczała temu, twierdziłem, że miejsce to, o którym sądziła, że je z czasem zdobędę, zajęte jest przez istotę wyższą, posiadającą co najmniej wszechwiedzę. Pierwszy uczeń w szkole doktora Stronga nie był wprawdzie moim przyjacielem i zdeklarowanym opiekunem, jak niegdyś Steerforth; zainteresował mnie on jednak szczególnie, rozmyślałem często, czym zostanie wyszedłszy ze szkół i czy się na świecie znajdzie odpowiednie dlań miejsce.

Cóż to znowu? A! To panna Shepherd, w której się kochałem. Panna Shepherd, pensjonarka z pensji panien Nettingall. Uwielbiałem ją. Była to mała dziewczynka w aksamitnym spencerku, z okrągłą twarzyczką i jasnymi kędzierzawymi włoskami. Pensjonarki panien Nettingall bywały w niedzielę o tej samej, co my, godzinie w katedrze, co wielce mą uwagę rozpraszało. W chórach słyszałem głos mej wybranki, a modląc się, zwłaszcza za królewską rodzinę, mimo woli wtrącałem jej imię. W domu, od czasu do czasu, w napadzie czułości wołałem: „O! Panno Shepherd!”

Przez długi czas nie byłem pewien wzajemności, lecz w końcu łaskawe losy zbliżyły nas, w czasie lekcji tańców. Panna Shepherd była właśnie moją damą. Dotykałem jej rękawiczki i rozkoszne drżenie przebiegało mnie po ramieniu. Wprawdzie nie wyznałem jej mych uczuć, lecz rozumieliśmy się doskonale. Marzyliśmy tylko o sobie.

Nie wiem już, jak to się stało, żem jej ofiarował kilkanaście amerykańskich orzechów! Nie były one wcale wymownymi tłumaczami mych uczuć, nie dawały się równo ułożyć w papierze i owinać różową wstążeczką, niełatwe były do zgryzienia, z trudnością nawet dawały się gnieść pomiędzy drzwiami, a zgniecione miewały smak częstokroć jełki, uznałem je jednak za godny mej wybranki podarek. Nosilem jej też biszkopty i pomarańcze. Raz, pamiętam, w przedpokoju, zdejmując z niej płaszczyk, udało mi się ją pocałować! O nieba! Nazajutrz z oburzeniem dowiedziałem się, że panna Nettingall kazała mej ukochanej stać w desce do prostowania nóg, ponieważ stawia je do środka.

Jakżeby się mógł rozstać z panną Shepherd, ideałem mych marzeń! Nie pojmowałem tego, a jednak stopniowo chłód jakiś powstał pomiędzy nami. Doszły mnie wieści, jakoby panna Shepherd uskarżała się na moją natarczywość i jakoby zwierzała się, że się jej lepiej podoba młody Jones. Jones! Chłopak bez żadnych zdolności i zasług! Przepaść między nami pogłębiała się z dniem każdym. W końcu spotkałem raz na przechadzce pensję pa-

nien Nettingall. Panna Shepherd, dostrzegłszy mnie, skrzywiła się, pomiędzy pannami powstały chichoty. Tego już było nadto! To wystarczyło do otrzeźwienia z miłości na całe życie, a zdawało mi się, że w grę wchodziło całe moje życie. W modlitwach moich w katedrze z pocztu królewskiej rodziny imię wiarołomnej wymazane zostało raz na zawsze.

W szkole papiery moje poszły w górę. Odzyskałem spokój ducha, przestałem być grzeszny i nadskakujący dla panien z pensji, gdzie przebywała panna Shepherd, i nie zwracałbym na nie uwagi, gdyby były stokroć jeszcze piękniejsze. Zacząłem lekceważyć lekcje tańców, oceniając je jako rzecz potrzebną chyba dziewczętom, które mogłyby zresztą tańczyć pomiędzy sobą i nie wciągać nas, chłopców, w tak płocze rozrywki. Natomiast ćwiczyłem się w łacińskiej poezji i zaniedbywałem sznurowadła mych bucików. Doktor Strong mówił publicznie o mnie jako o pełnym nadziei uczniu, pan Dick promieniował z radości, a ciotka przysłała mi pocztą całą gwineę.

Wtem, na kształt ducha w „Makbecie”, wznosi się cień młodego rzeźnika. Kimże jest młody ów rzeźnik? Postrachem całej w Canterbury młodzieży. Mówią, że szpik wołowy, którym jakoby pomaduje włosy, niezwykle używa mu siły; że mało który mężczyzna mierzyć się z nim zdoła. Chłopak ten ma twarz płaską, czerwoną, kark potężny, umysł słaby, ale język wprawny, a używa go w szczególności do wyśmiewania i szkalowania uczniów doktora Stronga. Publicznie odzywa się, że gotów stanąć do walki z każdym z nas, a chociażby i ze wszystkimi razem. O niektórych – a w tej liczbie i o mnie – twierdzi, że jedną ręką obali ich na ziemię. Czyha na najmniejszych, aby ich targać za włosy, a mnie to już wyzywa na wszystkich rogach ulicy. Za wszystkie te obelgi postanowiłem ukarać go srodze.

Było to w letni wieczór, na murawie, przy zakręcie muru. Spotkaliśmy się. Ze mną był poczet wybranych towarzyszy, za nim parę jemu podobnych: kilku młodych rzeźników, syn karczmarza i kominiarczyk jakiś. Poczyniono wstępne kroki, stanęliśmy do walki na śmierć i życie. Pierwszy cios zapaśnika wymierzony w moje czoło był tak silny, że tysiąc świeczek zamigotało mi w oczach. Po chwili nie wiedziałem już, gdzie mur, gdzie murawa, gdzie ja, a po drugiej chwili nie odróżniłbym już sam siebie od młodego rzeźnika, takim silnym i wściekłym spleśliśmy się objęciem, turlając się po zmiętej murawie. Chwilami dostrzegałem mego wroga, pokrwawionego lecz natarczywego. Czasami czułem go nad sobą, to znów pod sobą, rzucałem się na niego, to on na mnie, w końcu ocknąłem się niby ze snu ciężkiego, czując coś dziwnego w głowie, i widziałem, jak zapaśnik mój oddalał się nakładając kurtkę, triumfujący, wśród pochwał syna karczmarza i kominiarczyka. Zrozumiałem, że zostałem zwyciężony.

Odprawiono mnie do domu w opłakanym stanie. Przykładano mi kompresy na oczy, obmywano octem i wódką. Nad ustami czułem wielkie białe wzdęcie, które swędziało niemiłosiernie. Przez dni kilka musiałem leżeć z podbitym okiem, straszny, osłabiony i czułem się nieskończenie nieszczęśliwy, gdyby nie Agnieszka. Jak dobra siostra dotrzymywała mi towarzystwa, rozrywała czytaniem i rozmową. Że zaś posiadała me zaufanie, opowiedziałem jej całe to zajście z młodym rzeźnikiem. Zgodziła się na to, że powinienem być z nim walczyć, chociaż opłakiwała szczerze następstwa walki.

Czas płynął niepostrzeżenie. Adams nie był już pierwszym uczniem w szkole, z tej przyczyny, że szkołę opuścił od dawna, a gdy przybył w odwiedziny do doktora, mało go który z uczniów, oprócz mnie, pamiętał i poznał. Teraz gdy miał zostać prawnikiem i adwokatem, zdziwiony byłem, że mi się wydawał mniej jakoś imponujący niż dawniej. Świat i życie nie odcisnęły na nim jeszcze swego piętna.

Pusta przestrzeń, którą zapełnia tylko przesuwający się orszak poetów i historyków. I co dalej? Oto ja sam zostałem prymusem i patrząc z góry na młodszych przypominałem sobie własne uczucia, gdy wstępowałem do szkoły i podziwiałem dostojeństwo Adamsa. Zdawało mi się, że pomiędzy mną-młodzieńcem a mną-dzieckiem żadna nie istniała tożsamość i na

własne dzieciństwo moje, na własną przeszłość spoglądałem jak na coś obcego, co przeszło, minęło, jakby nie istniało nigdy.

A i ta mała dziewczeczka, którą poznałem w dniu przybycia do domu prawnika, gdzież się podziała? Znikła bezpowrotnie. Jej miejsce zastąpiła kobieta jak dwie krople wody podobna do wiszącego tam na dole portretu. Agnieszka, miła moja siostra, przyjaciółka, towarzyszyła lat dziecińczych, ta, której słodki, kojący wpływ oprzeć miał mi życie całe, z dziecka wyrosła na dziewczynę.

Jakież zmiany zaszły we mnie samym, oprócz tych, że wyrósł, zmężniał, rozwinął się fizycznie i umysłowo? Nosilem zegarek ze złotym łańcuszkiem, pierścioneł na małym palcu lewej ręki i modną odzież, oprócz tego zużywałem niesłychaną ilość pomady, co zapewne niezbyt mnie upiększało. Czyżbym znowu się kochał? Kochałem się znów na zabój w starszej pannie Larkins.

Nie była to już mała dziewczynka, lecz słuszna, czarnooka i czarnowłosa panna. Nie podłotek żaden, nawet najmłodsza jej siostra od dawna przestała być podłotkiem, a cóż dopiero ta, najstarsza z panien Larkins! Kto wie, czy nie dobiegała trzydziestki! Kochałem się w niej na zabój.

Miłość ta nie była bez cierni, a cierniami tymi byli oficerowie. Znała się z nimi, niejednokrotnie widziałem, jak się zbliżali do niej na ulicy, gdy przechadzała się z siostrą, czatowali nawet na zjawienie się jej kapelusza, a wiedzieć potrzeba, że w wyborze kapeluszy bywała wybredna i nosiła zwykle najmodniejsze. Rozmawiała z oficerami swobodnie i wesoło. Ileż sam straciłem czasu, chodząc po ulicach, by spotkać królowę mego serca! Dzień, w którym udało mi się ukłonić jej z daleka, uważałem za szczęśliwy, a com się nacierpiał, nazgrzytał zębami w dniu balu, w dzień wyścigów! Wiedziałem, że tańczyć będzie z oficerami, a ja?... gdzież i w czym znaleźć mogłem ukojenie? Nie! Nie było sprawiedliwości na świecie!

Miłość pozbawiała mnie apetytu i prowadziła do rozrzutności. Na co dzień nosilem najpiękniejszy mój jedwabny krawat, najlepszą odzież, a żadne chyba pod słońcem buty nie widziały tyle, co moje, werniksu. Wszystko, co miało jaki bądź związek z najstarszą z panien Larkins, było dla mnie świętością. Ojciec jej, mrukliwy, kwaśny dżentelmen z nieruchomym okiem, wydawał mi się nieskończenie zajmującym i gdy nie udało mi się spotkać córki, pocieszałem się spotykając ojca i rumieniąc się, i bojąc zdradzić, witałem go pytając o zdrowie jego i rodziny.

Młodość moja była ciągle przedmiotem mych rozmyślań. Lat siedemnaście! Nie był to wiek odpowiedni dla panny Larkins. Zresztą wkrótce osiągnę lat dwudziestu i zostanę pełnoletnim. Co wieczór przechadzałem się pod oknami mieszkania tych pań, zrozpaczony widokiem wchodzących, wychodzących oficerów, wsłuchany w dolatujące z salonu szmery i dźwięki harfy, na której grywała, niestety, starsza panna Larkins! Czasami, nawet gdy się już wszyscy rozeszli i rodzina cała we śnie pogrążyła, krążyłem jeszcze wokół domu starając się odgadnąć, które okno było oknem pokoju królowej mych myśli. Zdaje mi się, że domysły moje padały na okno sypialni samego pana Larkins. A gdyby tak nagle w ybuchnął pożar! Zebrane tłumy stają przerażone, ja sam przystawiam do okna drabinę, wspinam się i spośród płomieni wynoszę najstarszą pannę Larkins z potarganym włosom, w bieli. Zapomniała czegoś w płomieniach, jakąś drobnostkę, kwiat zwiędły. Wspinam się powtórnie – ginę. Miłość moja była najzupełniej bezinteresowna! Szczęśliwy, błysnąłbym raz w oczach kochanki i skonał! Mniej ponure innym razem śniły mi się sceny. I tak, ubierając się (co mi zabierało parę godzin czasu) na tańczący wieczór do Larkinsów, wyobrażałem sobie, że się oświadczam pannie Larkins. Wyobrażałem ją sobie pochyloną na moim ramieniu i szepczącą we wzruszeniu: „O, panie Copperfield! Czyż mogę temu wierzyć?” Nazajutrz ojciec spotyka mnie i mówi:

„Mój panie, córka wyznała mi wszystko, młodość pańska nie stanowi przeszkody, daję wam dwadzieścia tysięcy i moje błogosławieństwo”. Wyobrażałem sobie, co na to ciotka i pan Dick powiedzą. Jak mnie będą błogosławić. Jak ten ostatni, z doktorem Strongiem, służyć mi będą za świadków przy ślubie... Nie byłem zarozumiały, wszystko to jednak wydawało mi się chwilami bardzo naturalne i możliwe.

Salon państwa Larkinsów napełniony był kwiatami, muzyką, światłem i – z bólem to wyznać muszę – oficerami. Królowała w nim Ona! Odziana w niebieską szatę, na włosach miała niezapominajki, jak gdyby zapomniana być mogła! Było to pierwsze liczniejsze zebrań, w jakim się znajdowałem. Czułem się nieco onieśmielony, obcy wszystkim. Przemówił do mnie sam tylko gospodarz domu pytając o szkolnych kolegów. Miałżeby zaprosić mnie po to, aby mi ubliżyć? Stałem na boku, przy drzwiach, chmurny i smętny, wodząc okiem za panią mego serca, gdy ta zbliżyła się z boskim pytając mnie uśmiechem, czy tańczy.

Drgnąłem i z głębokim ukłonem:

– Z panią – odrzekłem.

– Jak to, z nikim innym? – spytała.

– Z panią, tylko z panią; sprawi mi to największą przyjemność.

Zaśmiała się, zarumieniła, zresztą zdawało mi się tylko może, że się zarumieniła, lecz to na jedno wychodzi.

— Dobrze – rzekła – lecz chyba następny taniec.

— Był to walc. Zbliżyłem się.

– Pan walcuje? – spytała niedowierzająco. – Bo jeśli nie, to kapitan Bailey...

Szczęściem walcowałem, i to wcale nie źle. Sprzątnąłem zamasyście moją tancerkę tuż sprzed nosa stojącego już przy niej kapitana. Musiałem go obrazić. Co mi tam! A ja czy nie byłem przed chwilą obrażony? To wiem tylko, że na sali dźwięków, z aniołem w objęciu, w rozkosznych marzeniach pływał w przestrzeni, a że wreszcie znalazłem się w gabinecie, na sofce, tuż przy niej. Właśnie podziwiała kwiat, który miałem w butonierce: pąsową, pół korony kosztującą kamelię. Podałem ją jej, mówiąc:

– Wymagam za nią zapłaty, a cenę wysoko.

– Doprawdy? – spytała. – A jakiejże zapłaty?

– Kwiat z rąk pani posiada dla mnie cenę samej Golkondy³.

– Zepsute z pana dziecko. Ot co!

Podawała mi kwiecie, które do ust przycisnąłem i schowałem do kieszonki od kamizelki. Zaśmiała się i kładąc rękę na moim ramieniu rzekła:

– Niechże mię pan teraz odprowadzi do kapitana Baileya.

Rozmowa ta, taniec, wszystko pograżyło mnie w rozkosznych marzeniach. Po jakimś czasie zbliżyła się znów do mnie, wsparta na ramieniu niemłodego już, poważnego mężczyzny, który wieczór cały grał w karty.

– Oto – rzekła – zuchwały ów młodzian! Pan Chestle życzy sobie poznać pana, panie Copperfield.

Wziąłem nieznajomego za przyjaciela rodziny i czułem się nader pochlebiony.

– Podziwiam dobry smak pański – mówił pan Chestle. – Dobrze on świadczy o pańskiej przyszłości. Gospodarstwo wiejskie, a zwłaszcza chmiel niezbyt zapewne interesują pana? Co do mnie, jestem zawołanym hodowcą chmielu i jeśli zdarzy się kiedy panu być w naszym sąsiedztwie, w sąsiedztwie Ashford, prosimy nas odwiedzać i zabawić u nas dłużej.

Podziękowałem, uściśnąłem dłoń nowemu znajomemu, który wydał mi się wielce uprzejmy. Byłem jak w raj. Po raz drugi walcowałem z najstarszą panną Larkins – powiedziała, że wal-

³ Golkonda – mowa o legendarnych skarbach Golkondy, zburzonego miasta w Indiach, które słynne było z obróbki diamentów.

cuję wybornie. Wróciłem do domu uszczęśliwiony, rozmarzony, we śnie jeszcze walcowałem obejmując błękitny stanik mego bóstwa. Przez następnych dni kilka nie mogłem ochłonąć z wrażenia, lecz niestety! nie pokazała mi się, gdym składał rodzicom jej wizytę i ani razu nie spotkałem jej na ulicy. W niepowodzeniu tym pocieszał mnie tajemniczy, a umowny zadatek mej przyszłości – z rąk jej otrzymane kwiecie.

– Trotwood – ozwała się raz po obiedzie Agnieszka – zgadnij, kto jutro wychodzi za mąż. Ktoś, kto ci się bardzo podoba.

– Wszak nie ty, Agnieszko?

– Ja!? – wzniosła oczy znad nut, które przepisywała. – Ojczy! Słyszysz, co on mówi? Nie, nie ja, ale najstarsza z panien Larkins.

W oczach mi pociemniało. Zaledwie miałem się spytać:

– Czy za... za kapitana Baileya?

– Wcale nie za kapitana, lecz za pana Chestle, hodowcę chmielu.

Przez parę tygodni chodziłem jak struty. Zrzuciłem z palca pierścionek, przestałem używać pomady, werniksu na buty i zacząłem oszczędzać odzież, płacząc nad zwiędłym, danym mi na balu przez wiarołomną pannę Larkins, kwieciami! Po dwóch tygodniach życie to, pełne żalów znudziło mnie nieco, a że młody rzeźnik zrobił się znów natrętny i wyzywający, odbyło się powtórne nasze spotkanie. Tym razem zwycięstwo zostało po mojej stronie. Wyrzuciłem precz zwiędłe, przez pannę Larkins dane mi kwiecie. Pierścionek wprawdzie wrócił na mały palec lewej ręki, lecz bardziej umiarkowane używanie pomady zaznaczyło erę mego przejścia z siedemnastego w osiemnasty rok życia.

Rozdział XIX

Rozglądając się wokół, robię pewne odkrycie

Nie wiem, czy zadowolenie, czy też smutek brał górę, gdy nadszedł czas opuszczenia na zawsze szkoły doktora Stronga. Dobrze mi tu było, przywiązałem się do doktora i w szczupłym tym kole uważany byłem za osobistość, i ogólną cieszyłem się sympatią. Wszystko to wzmagало żal mój na odjeźdźnym, gdy z drugiej znów strony nadzieja uzyskania niezależności pewnej i to wszystko, co w tym okresie życia pociągać zwykło młodzieńca, napełniało me serce radością, a uczucie to było tak silne, nadzieje przyszłości tak powabne, że zgłuszyły ostatecznie żal za przeszłością, od której odwracałem się nieodzownie. Rozstanie to nie wywarło na mnie tak silnego wrażenia, jak inne rozstania. Byłem pełen nadziei. Młody, niedoświadczony, rwałem się do życia jak do baśni czarownicy, której koniec był daleki, a karty tajemnicze tak ponętne.

Naradzałem się często z ciotką nad zawodem, jaki miałem obrać. Przez parę lat szukałem w głębi serca odpowiedzi na częstokroć ponawiane przez nią pytanie, czym chciałbym zostać. Nie poczuwałem się do żadnego szczególnego powołania. Tak, gdybym posiadał marynarskie wykształcenie, marzyłbym może o opłynięciu mórz wszelkich i odkryciu nowych lądów, w braku zaś potrzebnych na to środków, pragnąłem jak najmniej i najkrócej pozostawać ciężarem ciotce, pragnąłem jać się jakiej bądź, byle uczciwej pracy.

Pan Dick obecny był zwykle przy naszych naradach, lecz nie brał w nich czynnego udziału. Raz tylko, nie wiem skąd, przyszło mu na myśl i zaproponował, abym został płatnerzem, lecz ciotka moja przyjęła tak kwaśno ten wniosek, że się już odtąd nie puszczał na niepewne wody i patrzył jej tylko w oczy, pobrzękując pieniędzmi.

– Wiesz co, Trot – rzekła raz ciotka około Bożego Narodzenia, gdym już opuścił był szkołę – ponieważ nie możemy ostatecznie na nic się jeszcze zdecydować, to, aby uniknąć żalów poniewczasie, powinniśmy postępować rozważnie, nie śpieszymy tak bardzo, nic nas nie nagli. Rozejrzyj się lepiej dokoła. Nie trzeba, abyś się na życie zapatrywał wyłącznie ze szkolnego stanowiska.

– Dobrze, ciotko, postaram się.

– Sądzę nawet – ciągnęła – że wylot z gniazda na szersze przestworza mógłby ci w tym względzie dopomóc znakomicie. Cóż byś powiedział o małej wycieczce w twoje rodzinne na przykład strony, chociażby do tej twej piastunki o tym pogańskim jakimś nazwisku?

Ciotka nie mogła wybaczyć Peggotty jej nazwiska.

– Byłbym uszczęśliwiony! – zawołałem.

– Tym lepiej, gdyż i mnie się ten zamiar podoba – odrzekła. – Zresztą naturalną jest rzeczą, że cię to raduje, naturalną i słuszną, a mam nadzieję, że cokolwiek byś przedsięwziął, pozostaniesz zawsze naturalny i rozsądny.

– Chciałbym, ciotko.

– Siostra twoja, Betsey Trotwood, byłaby niewątpliwie naturalną, rozsądną dziewczyną. Powinieneś być jej godny.

– Chciałbym być godnym ciebie, kochana ciotko. Z tym już będzie mi bardzo dobrze.

– Może to i lepiej dla niej – rzekła spoglądając z zadowoleniem na mnie – że biedna ta dziewczeczka, matka twoja, nie żyje. Gotowa byłaby, widząc cię teraz, stracić do reszty głowę, jak gdyby niebodze pozostawało jeszcze co do stracenia.

Ciotka miała we zwyczaju składać na matkę moją w chwili rozrzewnienia własną swą słabość.

– Jakże ty mi ją żywo przypominasz – dodała po chwili.

– Mam nadzieję, droga ciotko, że ci to jest przyjemne – rzekłem.

– Jak on mi ją przypomina! – ciągnęła zwracając się do pana Dicka. – Taki, taki samiu-
teńki, jaką była tego wieczoru! Jak gdybym ją miała tu, przed oczyma.

– Doprawdy? – spytał pan Dick.

– A jednocześnie i do Dawida podobniusięki.

– Lecz przede wszystkim życzę sobie – ciągnęła, do mnie znów się zwracając ciotka – życzę sobie, abys był... nie o fizyczne tu idzie zalety, fizycznie jesteś sobie wcale niczego, idzie o zalety moralne... Życzę tedy sobie, abys był stanowczy, miał wolę – tu potrząsnęła głową i zatarła ręce – stanowczość, charakter, jednym słowem, abys nigdy niczym nie ulegał wpływom. Oto czego ci z całego serca życzę, oto czym powinni byli być oboje twoi rodzice, a wówczas wszystko poszłoby lepiej.

Miałem nadzieję, że uda mi się może spełnić jej żądanie.

– Abys stopniowo nauczył się sam radzić i na sobie polegać – ciągnęła ciotka – postanowiłam wysłać cię na tę małą przejażdżkę bez żadnej opieki. Z początku chciałam uprosić pana Dicka, aby ci z łaski swej towarzyszył, lecz rozmyśliłam się, lepiej niech tu pozo-
stanie, by się mną opiekować.

Pan Dick przez chwilę wyglądał niezadowolony, lecz wkrótce zaszczyt strzeżenia ciotki i udzielania jej opieki rozjaśnił pogodną jego twarz.

– Zresztą – kończyła ciotka – wzgląd na memoriał...

– Zapewne – przerwał pan Dick. – Właśnie mam zamiar wykończyć tę pracę ostatecz-
nie i natychmiast wysłać ją i... i wówczas...

Zająknął się, namyślał:

— Toż to będzie dopiero bigos! – zawołał.

Następstwem tej rozmowy było zaopatrzenie mnie w pokaźną wcale sumę pieniędzy i wyprawienie w drogę. Przy pożegnaniu ciotka zasypała mnie pocałunkami i dobrymi radami, mówiąc, że dla rozrywki i nabrania doświadczenia powinienem, czy to jadąc do Suffolk, czy wracając, zatrzymać się dni kilka w Londynie. Słowem, pozostawiała mi zupełną swobodę, zalecając tylko, abym był uważny, szanował zdrowie i regularnie, co tydzień, pisywał szczegółowe sprawozdania z mej podróży.

Przede wszystkim tedy udałem się do Canterbury w celu pożegnania Agnieszki, jej ojca (miałem jeszcze pokoik w ich domu) i kochanego doktora. Agnieszka ucieszyła się bardzo widząc mnie i zapewniła, że smutno i pusto jest w domu beze mnie.

– A ja – rzekłem – pewien jestem, że nie potrafię dać sobie rady na świecie bez ciebie, tak przywykłem polegać na tobie, we wszystkim być przez ciebie kierowany. Wszak ka-
dy, kto się zbliża do ciebie, ulegać musi dobremu twym wpływom.

– Każdy, kto się zbliża do mnie, psuje mnie pochlebstwami i rozpieszcza – odrzekła z uśmiechem.

– Nie, nie tak! Tyś tak różna od innych, tak dobra, łagodna, cierpliwa, rozsądna. Ty, Agnieszko, zawsze, we wszystkim masz rację.

– Mówisz – zaśmiała się wesoło, podnosząc oczy znad roboty – jak gdybym była panną Larkins.

– O! Nie żartuj – odrzekłem rumieniąc się na wzmiankę o pannie Larkins. – Nie żartuj! Niczym nie zdołasz zachwiać mego zaufania i zawsze w każdej trudności życia, jeśli tylko

pozwolesz mi, będę uciekał się do ciebie po pociechę lub radę, w każdej, gdybym się nawet zakochał...

– Z łatwością ci to przychodzi – zaśmiała się znowu.

– Żartujesz z moich dziecinnych, uczniowskich zapałów – odparłem rumieniąc się nieco, lecz wtórując jej śmiechem. – Ale czas płynie i nadejść może dzień, w którym zakocham się naprawdę... Wiesz co, Agnieszko, dziwi mnie, że ty sama nie kochasz się dotąd w nikim.

Spojrzała na mnie figlarnie.

– O! Wiem, że tak jest, bobyś się przecież mnie zwierzyła. A co najmniej – dodałem ujrawszy nikiły na jej czole rumieniec – mógłbym się łatwo domyślić. Prawda, że nie znam nikogo, kto wart byłby ciebie i abym ja dał na to moje zezwolenie, trzeba, aby wybrany twój był najszlachetniejszym i najlepszym z ludzi. Odtąd będę zwracał baczne oko na wszystkich twych wielbicieli i wymagający będę, wymagający...

Rozmawialiśmy tak swobodnie, poufnie, jak razem wzrosłe dzieci rozmawiać tylko z sobą mogą. Nagle Agnieszka podniosła oczy, zatrzymała na mnie wzrok jasny i spytała poważnie:

– Od dawna chciałam cię o coś spytać, Trotwood, o coś, o co nie mogę i nie chcę pytać nikogo innego... Czyś zauważył stopniową zmianę w moim ojcu?

Zauważyłem i często myślałem o tym, czy ona to spostrzega. Twarz moja musiała mnie zdradzić, gdyż spuściła łzami zasłone oczy.

– Powiedz mi, co myślisz? – rzekła z cicha.

– Czy mogę być zupełnie i bezwzględnie szczery? – spytałem.

– Tak – odrzekła.

– Myślę, że źle tak wpływa na niego nałóg, który od przybycia mego tutaj powiększał się stopniowo. Ojciec twój jest bardzo często, jak mi się zdaje, zdenerwowany.

– Tak – rzekła smutnie.

– Ręce mu drżą, w mowie czasem się miesza, wzrok miewa błędny. Zauważyłem to od dawna, a i to także, że im mniej bywa sobą, tym częściej, w takim stanie, obarczany bywa interesami.

– Przez Uriaha? – rzekła Agnieszka.

—Tak, przez niego. Dręczy go poczucie chwilowej nieudolności, a może strach przed tym, aby kto obcy tego nie spostrzegł czy też żeby samemu się nie zdradzić, że nie zrozumie załatwianej sprawy. Nazajutrz bywa gorzej, musi szukać zapomnienia... I tak z dnia na dzień. Nie przerażaj się, Agnieszko kochana! Muszę ci się przyznać, że pewnego wieczora zastałem go nad biurkiem płaczącego.

Położyła mi szybko rękę na ustach, a po chwili powitała wchodzącego do bawialnego pokoju ojca i zawisała na jego ramieniu. Nie zapomnę nigdy wyrazu jej ani też wyrazu jego twarzy w tej chwili. Było w niej tyle dziecięcej tklivości, taka wdzięczność za wszystko, co od niego doznawała, a w zwracającym się ku mnie spojrzeniu taka gorąca prośba o zachowanie dla niego przywiązania i szacunku, o współczucie! Niedawno jeszcze tak dumna była z niego, teraz – zboleła i polegająca na mnie. Najwymowniejsze słowa i prośby nie mogłyby mnie bardziej wzruszyć.

Mieliśmy pójść tego wieczoru na herbatę do doktora. Udaliśmy się więc tam o zwykłej godzinie i zastaliśmy go przy kominku, w gabinecie, w towarzystwie żony i teściowej. Doktor, który traktował moją wycieczkę tak, jak gdybym co najmniej wyjeżdżał do Chin, przyjął mnie serdecznie, kazał dorzucić dREW do ognia, aby, jak mówił, mógł się lepiej przypatrzeć swemu dawnemu uczniowi.

– Niewiele będę już nowych widział twarzy – mówił grzejąc przed ogniem ręce – starzeję się, rozleniwiłem się, potrzebuję wygód, odpoczynku i od następnego półrocza mam zamiar pożegnać mych uczniów.

- Mówisz to od lat dziesięciu – odrzekł pan Wickfield.
- Ale teraz to już na pewno. Zdaję wszystko na najstarszego nauczyciela, pilno mi już, pilno, toteż wkrótce spiszesz odpowiedni kontrakt między nami. Dobrze nas opiszesz, co?
- Będę strzegł twych interesów, bo gotów byłbyś podpisać na siebie wyrok śmierci – mówił pan Wickfield.
- Gdybym zawsze takie miewał sprawy w moim zawodzie!
- Oddam się w zupełności – ciągnął doktor – memu słownikowi i tej wielkiej ośłodzie mego życia, Annie!
- Pan Wickfield zwrócił wzrok na siedzącą z Agnieszką za stołem żonę doktora, co ją wyraźnie zmieszało. Zdawało się, że zmieszanie to nastąpiło mu nową myślą:
- Nadeszły, widzę, listy z Indii – zauważył po chwilowym milczeniu.
- A tak, są i listy od Maldona – odrzekł doktor.
- Czy tak?
- Biedaczysko! – zawołała potrząsając głową pani Markleham. – Co za klimat! Żyją tam jak na Saharze, pod rozpalonym kloszem. Biedny chłopiec! Pomimo wyglądu słabe to było stworzenie, porwał się na czyn ponad siły, upewniam was, nad siły. Annie, duszko, musisz przecie doskonale pamiętać, że silny nie był nigdy, nigdy! – Tu powiodła wzrokiem dokoła. – Od czasu jak on i córka moja dziećmi będąc chodzili z sobą pod ramię, wiem, że silny nie był.
- Czy mamy wywnioskować ze słów pani – spytał pan Wickfield – że pan Maldon chory?
- Chory? On cierpi na tysiące dolegliwości.
- Więc zdrow nie jest?
- Ale tak, mój panie – twierdziła zapalając się Herod-baba. – Czy to pan za nic poczytujesz słoneczne porażenia, żółtą febrę, gorączki, zapalenia i tym podobne niebezpieczeństwa? Serce się kraje na samą myśl, jak tam ten biedak cierpieć musi!
- Więc bardzo się uskarża? – spytał prawnik.
- Uskarża – ofuknęła go pani Markleham potrząsając jednocześnie głową i wachlarzem – nie znasz pan naszego kochanego Maldona, jeśli możesz przypuszczać coś podobnego. Uskarża się! Wcale nie, mój panie! Mógłbyś wbić go na pal i nie słyszeć z-ust jego najbliższej skargi.
- Ależ, mamó! – wtrąciła pani Strong.
- Annie, kochanie! Raz na zawsze prosiłam cię, abyś nie wtrącała się, gdy mówię, chyba jeśli masz to potwierdzić. Wiesz sama najlepiej, że kuzyn twój dałby się prędzej strato- wać czterem, co mówię czterem, ośmiu, szesnastu, trzydziestu dwu rozhukanym koniom, niż pisać słówko mogące w czymkolwiek zakłócić zamiary i postanowienia twego męża.
- Tu obecnego prawnika raczej – wymawiał się przerażony doktor – to jest, myśmy to wspólnie z WickfielDEM ułożyli. Mówiłem zawsze „w kraju czy za granicą”.
- Co zaś do mnie – wtrącił z powagą prawnik – powiedziałem od razu i stanowczo „za granicą”, biorąc na siebie całą za to odpowiedzialność.
- O, odpowiedzialność! – mówiła Herod-baba. – Nikt nie pociąga nikogo do odpowiedzialności! I każdy wie, kochany panie Wickfield, że się wszystko robiło w jak najlepszych, jak najpocziwszych intencjach, ale cóż, biedaczysko nie ma sił, by wytrzymać piekielne życie! Na to nie ma rady! Musi biedak umrzeć chyba, nie chcąc sprzeciwiać się postanowieniom doktora, a ja go znam i twierdzę, że umrze raczej sto razy, niżby się miał narazić doktorowi.
- Ależ droga pani – zawołał wesoło doktor – nie pragnę niczyjej zguby i nie jestem znów tak uparcie przywiązany do raz powziętych zamiarów! Mogą one ulec zmianie i jeśli zdrowie pana Maldona wymaga jego powrotu do kraju, poszukamy tu dlań odpowiedniego zajęcia.

Słowa powyższe tak rozczuliły panią Markleham, że nie było końca jej podziękowaniom, i wychwalaniem wspaniałomyślności i dobroci zięcia. Kilkakrotnie całując brzeg swego wachlarza, uderzała nim zięcia po rękę, wyrzucając córce, że nie umie dostatecznie okazać swej wdzięczności za tyle dobroci okazywanej towarzyszywi jej lat dziecięcych. Po czym zaczęła rozpowiadać nam o najrozmaitszych zasługach tego i wielu innych członków swej rodziny.

Przez cały ten czas córka jej nie otworzyła ust i nie podniosła oczu. Przez cały ten czas pan Wickfield nie spuszczał z niej oka. Sądził zapewne, że nikt nie zwraca na to uwagi, i zdawał się być pogrążony w myślach mających związek z żoną doktora. Spytał wreszcie, co i do kogo pisał Jack Maldon?

– Oto jego list – odrzekła pani Markleham, sięgając ręką ponad głowę doktora po leżącą na kominku kopertę. – Oto, co kochany chłopiec pisze do samego doktora. Gdzież to? Aha: „Przykro mi, że muszę coś nadmienić o mym zdrowiu. Jedynej nadziei polepszenia zmuszony będę szukać w powrocie do kraju”. A co, wyraźnie, prawda! Ale do Annie pisze jeszcze wyraźniej. Gdzie list do ciebie pisany, kochanie? Pokaż mi go.

– Nie teraz, mamo.

– Mówię ci, duszko, że w niektórych razach jesteś najzabawniejszym pod słońcem stworzeniem, a gdy idzie o twą rodzinę, nie chcesz nawet ust otworzyć i gdyby nie moje naleganie, nie powiedziałaabyś nawet nikomu, żeś otrzymała list od Jacka. Takie to masz zaufanie do niezrównanej dobroci twego męża! Dziwi to mnie bardzo, lecz naturalnie, sama możesz najlepiej sądzić, jak ci wypada postępować, lepiej ode mnie musisz znać męża.

Nie było rady. Młoda kobieta dostała żądany list, uważałam, że podając go ręką jej drżała.

– Zaraz, oto jesteśmy – mówiła Herod-baba przykładając szklę do oczu. – Aha, właśnie! „Wspomnienia dni minionych, droga moja Annie...” nie, to nie to; „Miły stary proktor⁴...” a to co znowu? Kto to, Annie? Aha! Jakże Jack niewyraźnie pisze i jaka jestem niedomyślna. Nie żaden „proktor”, ale „stary doktor”. Wyraźnie „stary doktor”. Jaki ten Jack dobry, uprzejmy!

Mówiąc to, posłała wachlarzem pocałunek doktorowi, który spoglądał po nas wszystkich z pogodnym swym uśmiechem.

– Aha! Znalazłam. „Ty, Annie, ty nie zdziwisz się”, a co, czy nie mówiłam przed chwilą, że nigdy nie był silny i że Annie najlepiej to poświadczyć może? „nie zdziwisz się, że mi już sił nie staje pozostać tu dłużej. Zdecydowany jestem wziąć urlop jako chory, a jeśli się to nie uda, rzucić wszystko i wyrwać się stąd. Wyrazić i opisać nie potrafię, com tu przecierpiał”. I to z racji tego oto najlepszego z ludzi – dodała składając list i wachlarzem przesyłając pocałunki doktorowi.

Pan Wickfield, chociaż stara spoglądała na niego, nie rzekł ani słowa, siedział zamyślony, z wlepionym w ziemię wzrokiem i tak pozostał, chociaż od dawna rozmowa toczyła się o innych przedmiotach. Od czasu do czasu tylko, zamyślony, podnosił badawczy wzrok to na doktora, to na jego żonę, to na nich oboje.

Doktor lubił bardzo muzykę. Agnieszka miała głos ładny i dźwięczny, podobnie jak pani Strong. Śpiewały razem, grały na cztery ręce i mieliśmy prawdziwy koncert. Zauważyłem przy tym dwie rzeczy: raz, że chociaż żona doktora ochłonęła ze zmieszania, chłód jakiś panował między nią a prawnikiem; po wtóre, że ten ostatni zdawał się niechętnym patrzeć okiem na przyjaźń i poufałość istniejącą pomiędzy jego córką i panią Strong. Teraz to, wyznać muszę, po raz pierwszy wspomnienie tego, co zaszło w domu tym w dniu o dżazdu pana Maldona, nabrało dla mnie znaczenia. Zmieszałem się i zasmuciłem. W pięknej twarzy doktorowej dostrzegłem coś, co zaćmiło wywierane przedtem przez nią wrażenie niewinności, a patrząc na siedzącą tuż przy niej Agnieszkę tak czystą, niewinną, szczerą,

nie mogłem powstrzymać się od porównania tych dwóch kobiet i pomyślenia, że nie są istotnie dobranymi przyjaciółkami.

Ale Agnieszka była tak swobodna i wesoła, towarzystwo tak przyjemne, że nam wieczór zeszedł niby chwila jedna. Pamiętam, jak się zakończył. Gdy Agnieszka na pożegnanie miała uścisnąć i ucałować doktorową, ojciec jej znalazł się pomiędzy nimi i niechętny jakby odtrącił córkę. W oka mgnieniu, stojąc już w otwartych drzwiach, dostrzegłem w raz twarzy, z jakim doktorowa spojrzała na prawnika.

Nie wiem, jakim mi się wydał, lecz to pewne, że zostawił niestarte wrażenie, narzucając się wspomnieniom moim na zawsze i przysyłając znany mi dawniej wyraz słodczy w tej kobiecej twarzy. Zdawało mi się, gdym wracał do domu, że na spokojny dach doktora ciężka się jakaś zsuwa chmura. Cześć, którą miałem dla jego siwej głowy, zmieszana się z uczuciem współczucia dla niego, oburzenia i żalu dla tych, co go krzywdzą nadużywając zaufania. Nie umiałem sobie jasno zdać sprawy, czego się mianowicie dlań obawiałem, co mu groziło, lecz powtarzam, czułem, że wielki jakiś cień padał na miejsca, gdzie dzieckiem będąc uczył się i bawił. Odtąd nie z taką już jak przedtem przyjemnością myślałem o zamkniętych, przez lat dziesiątki trwających w zadumie liściach aloesu, o tej gładkiej puszystej smudze murawy otoczonej kamiennymi urnami, po której stapał spokojnie Strong, gdy nad nim i nad tym wszystkim grały w powietrzu katedralne dzwony. Cichy przybytek dni mego dzieciństwa zbezczeszczono w moich oczach, a wichrom na pastwę wydano spokój i cześć miejsc tych.

Nazajutrz rano opuszczałem stary dom prawnika, który Agnieszka, niby duch dobry, napełniała tchnieniem zbawiennych wpływów. Wiedziałem, że wrócę tu nieraz jeszcze, nieraz głowę złożę pod gościnnym dachem, czułem jednak, dom ten opuszczając jako jego stały mieszkaniec, że się żegnam stanowczo z jakąś niepowrotną częścią przeszłości, i z ciężkim sercem pakowałem książki i rzeczy moje. Żal mój kryłem przed Uriahem, pomagającym mi pakować się, z usłużnością i gotowością dającą mi do myślenia, że go odjazd mój cieszy. Z Agnieszką i jej ojcem pożegnałem się zachowując męski spokój. Po chwili znalazłem się w dyliżansie londyńskim. Gdym przejeżdżał przez miasto, tak mi serce rozmiękło, że miałem nawet chętkę, by przesłać ukłon i pięć szylingów na piwo memu zaciętemu wrogowi – rzeźnikowi. Wyglądał jednak tak srogo, szorując wielki kloc przed wejściem do sklepu, a wybity przeze mnie ząb przedni tak mało upiększał uśmiech jego szerokich ust, że mi się powstrzymał od zbyt przyjaznych oznak.

Zajęty byłem – pamiętam – przede wszystkim, robieniem z siebie starszego i wydobywaniem w rozmowie jak najgrubszych, najostrzejszych tonów z piersi. Sądziłem, że nada mi to cechy dojrzałości.

– I panicz jedzie? – spytał mnie woźnica.

– Tak, Williamie – odrzekłem, bo znałem go – jadę do Londynu, stamtąd zaś pojedę do Suffolk.

– Polować? – spytał.

Pewien wprawdzie byłem, że o tej porze roku będę się raczej zajmował rybołówstwem, odpowiedziałem jednak z wahaniem, pochlebiony pytaniem woźnicy:

– Nie wiem sam, czy się zdecyduję na polowanie.

– Słyszałem, że ptactwo teraz bardzo płochliwe – zauważył woźnica.

– Zapewne – odrzekłem.

– Czy Suffolk jest pańskim rodzinnym miejscem?

– Tak jest – odrzekłem z poważną miną. – Suffolk jest rodzinnym moim miejscem.

– Słyszałem, że tam robią wyborny pieróg z jabłkami – zauważył William.

Chociaż nic o tym nie wiedziałem, czułem się w obowiązku potwierdzić dla podtrzymania dobrej sławy rodzinnego mego kraju.

– A konie – ciągnął William – jakie to bestie! Koń z Suffolk – na wagę złota! Czy pan hodował konie?

– N...ie, to jest, niezupełnie – odrzekłem.

– Ten tam, za nami siedzący dżentelmen hoduje ich całe stada.

Wskazany jegomość był zezowaty, z wystającym podbródkiem, w wysokim, białym, o wąskim brzegu kapeluszu, w ciasnych pantalonach i zapiętych na guziki kamaszach, a podbródek jego znajdował się w tak bliskim sąsiedztwie ramion woźnicy, że m czułem jego oddech w moich włosach. Obejrzałem się ciekawie.

– A co, prawdę mówię? – spytał go woźnica.

– Co czy prawda? – odrzekł.

– Że pan hodujesz całe stada tych koni?

– Tak sądzę – odrzekł jegomość. – Hoduję psy i konie. Są ludzie, którzy się kochają w psiarni i stadninie, którym psy i konie starczą za żywność, żonę, rodzinę, za czytanie, pisanie, arytmetykę, cygara, tabakę, za sen nawet!

– Źle się złożyło, że taki znawca koni siedzi w głębi dyliżansu – szepnął mi na ucho woźnica, popędzając konie.

Domyśliłem się w tej uwadze ukrytej przymówki. Oświadczyłem, że chętnie zamienię z panem tym miejsce.

– Dobrze, jeśli paniczowi wszystko jedno – odrzekł William – istotnie, byłoby to pr a widłowiej.

Wypadek ten uważałem zawsze za pierwszy fałszywy krok w życiu. Kupując bilet, napisano mi na nim miejsce na koźle, za co dopłaciłem pół korony konduktorowi; zostałem owinięty w płaszcz i pled i czułem się, jak gdybym był szyldem dyliżansu, dopóki mnie na pierwszym postoju nie zaćmił ten jakiś obdartus, cuchnący stajnią, a który wskakując potrącił mnie i niemal spłaszczyl rozciągając się na siedzeniu.

Drobny ten wypadek powiększył jeszcze niewiarę w samego siebie, która mnie nieraz dręczyła w wielkich i małych rzeczach. Próżno zdobywałem się na powagę, z piersi i z gardła wydobywałem najgrubsze, najostrzejsze tony, czułem się na każdym kroku poniewierany jak młokos.

Niemniej jednak doznawałem ciekawego wrażenia, spoglądając z ławki ciągnionego przez cztery konie dyliżansu na okolicę, którą przebiegłem niegdyś pieszo. Każdy widok, każdy zakręt drogi budził we mnie wspomnienie. Z góry przyglądałem się włóczęgom, znanym mi i niegdyś tak przerażającym drabom, a gdy niektórzy podnosili wzrok na nas, zdawało mi się, że znów czuję pewną silną pięść na chustce u mej szyi. Gdyśmy przejeżdżali przez wąskie uliczki w Chatham, wychyliłem się, aby zajrzeć w zaułek, gdzie mieszkał potwór, któremu sprzedawałem surducik, i odwróciłem głowę, aby rzucić spojrzenie na kamień pod murem, gdzie w cieniu i na słońcu przesiedział godzin tyle, wyczekując na pieniądze. Kiedyśmy się zbliżyli do Londynu, mijaliśmy Salem House, gdzie rządzić jeszcze musiała żelazna dłoń pana Creakle; ileż dałbym za prawo i możliwość wypuszczenia spoza tych ciężkich murów wszystkich uczniów niby ptaki z klatki i unicestwienia gnębiącego ich tyrana.

Zatrzymaliśmy się w zbutwiałym jakimś zajeździe „Pod Złotym Krzyżem” w dzielnicy Charing Cross. Kelner wprowadził mnie do restauracji, a pokojówka powiodła do numeru, który miałem zająć, a w którym czuć było stęchlizną i pobliską stajnię. Czułem się ciągle bardzo upokorzony moją młodością, widziałem, że nikt nie dba o mnie, pokojówka nie zwracała najmniejszej chociażby uwagi na moje wezwanie, kelner zaś spoufalił się od razu aż do udzielania mi rad.

– I cóż – spytał – panicz każe sobie podać na obiad? Młodzi ludzie lubią zwykle ptactwo. Co? Może kurczątko?

Powiedziałem mu, strojąc się w powagę, że nie mam ochoty na kurczęta.

– Tak – odrzekł – zwykle młodzi ludzie przejedzeni bywają w szkołach wołowiną i cielęcina. Co? Może kotlecik cielęcy?

Zgodziłem się na kotlet, gdyż nic mi innego nie przychodziło na myśl.

– Czy z kartoflami? – pytał uśmiechając się i przechylając głowę. – Tacy młodzi paniczowie syci zwykle bywają kartofli.

Kazałem najgrubszym, na jaki się zdobyć umiałem, głosem podać sobie kotlety z kartoflami i spytać, czy nie ma czasem jakiego listu na nazwisko Trotwood Copperfield? Wiadziałem wprawdzie doskonale, że listu żadnego nie ma, lecz sądziłem, że to podniesie mą powagę.

Kelner wrócił oświadczając, że listu nie ma, i począł nakrywać do stołu przy kominku, pytając przy tym, co sobie za napój podać każe? Na odpowiedź, że żądam butelki sherry, począł do butelki zlewać pozostałości rozmaitych flaszek i karafek. Widziałem to doskonale, chociaż czytałem gazety, ale chociaż widziałem i czułem przedziwny smak napoju, nie mającego nic wspólnego z zagranicznym winem, piłem jednak milcząc.

Wpadłszy w dobry humor (stąd wnoszę, że trucizna dość przyjemnie działa w pewnych chwilach) postanowiłem iść do teatru. Wybrałem sobie teatr w Covent Garden. Grano „Juliusza Cezara” i nową „Pantomimę”. Widzieć tych wspaniałych Rzymian – których znałem dotąd z martwych, nudnych lekcji – żywych, chodzących i działających ku mojej rozrywce, sprawiało mi najżywszą i całkiem nową rozkosz. Tajemniczość i aktualność zarazem scenicznego przedstawienia, wrażenie poezji, światła, muzyki, publiczności, szybkie i zadziwiające zmiany dekoracji działały tak silnie na mą wyobraźnię, że wyszedłszy o północy z teatru i znalazłszy się wśród dżdżu na ulicy, zdawało mi się, jakoby z obłoków, gdzieś przeżył wieki w śnie uroczym, spadł na poziomy świata obłoczonego, zszarganego, skąpo rozświeconego mętnymi latarniami, pokrytego parasolami, zapełnionego turkotem kół, wstrętnym ulicznym gwarem.

Wyszedłem z teatru innymi, niżem był wszedł, drzwiami i stałem tak chwilę ogłuszony, niby istotnie spadły z nieba. Popychanie tłoczącej się publiczności otrzeźwiło mnie. Wracałem do hotelu pomału, rozmarzony tym, com widział. W restauracji kazałem podać sobie portera i ostryg i długo jeszcze siedząc przed ogniem marzyłem, a tak przejęty byłem dramatem i własną moją przeszłością, co mi się dziwnie jakoś plątała w dramatycznych tych formach, że nie potrafiłbym powiedzieć, czy we śnie, czy w rzeczywistości i w jakiej mianowicie chwili zjawiała się przede mną postać dorodnego, pięknego, ze smakiem odzianego młodzieńca. Zachowywał się z dobrze mi znanym, swobodnym i wytwornym lekceważeniem. Patrzyłem nań jak przez sen, rozmarzony, bojąc się najlżejszym ruchem spłoszyć wółjasne to widzenie.

Powstałem wreszcie przez wzgląd na kelnera przecierającego oczy, poziewającego, wyłamującego sobie palce i dającego tym podobne oznaki senności. Przechodząc koło nowo przybyłego, spojrzałem nań bliżej, zawróciłem się, spojrzałem raz jeszcze. Nie poznał mnie, lecz ja go poznałem.

W innej chwili zabrakłoby mi może odwagi zaczepić go, odłożyłbym to do dnia następnego i rozminałbym się z nim na zawsze zapewne. Lecz w tej chwili, gdy rozmarzony był wszystkim, co wielkie i dobre, wspomnienie opieki, jaką był mnie niegdyś otoczył, przyspieszyło bicie mego serca zalanego całą dawną, gorącą, wdzięczną przyjaźnią.

– Steerforth! – zawołałem.

Spojrzał na mnie pięknym, znanym mi spojrzeniem... Nie, nie poznawał mnie.

– Nie przypominasz mnie sobie? – rzekłem.

— Ha! – zawołał nagle. – Mały Copperfield!

Uściskałem mu obie ręce. Gdybym się nie wstydził i nie bał się go, rzuciłbym mu się na szyję i rozplakał na głos.

– Co za szczęśliwy traf, co za szczęśliwy traf – mówiłem. – Jakże mi miło spotkać cię, Steerforcie!

– A i mnie nie mniejszą sprawia to przyjemność – mówił ściskając mi silnie ręce. – Dobry mój, stary! No, nie bądźże tak wzruszony! No!

Otarłem łzę, której powstrzymać nie zdołałem, widziałem, że mu istotnie wzruszenie moje, pamięć, niezmiennie przywiązanie miłe być musi. Roześmieliśmy się obaj, raz jeszcze uściskali i usiedli obok siebie.

– Opowiedz mi teraz, jakim się tu znalazłeś trafem – rzekł Steerforth uderzając mnie po ramieniu.

– Przyjechałem dziś dyliżansem z Canterbury. Mieszkająca tam ciotka zaopiekowała się mną. Właśnie skończyłem szkoły. Ale ty, Steerforcie, jakim się znalazłeś trafem?

– Ja? Jestem studentem oksfordzkiego uniwersytetu, to jest, muszę się tam od czasu do czasu zanudzać na śmierć. Obecnie jadę do domu, do mej matki. Wiesz co, mały? Diabli nie mi ładnie wyglądasz! Ten sam co dawniej Copperfield! Zawsze ten sam, poczciwy! Nie zmieniłeś się.

– Jednak to ja poznałem cię pierwszy, od razu – rzekłem – ale bo i zapomnieć ciebie niepodobna!

Zaśmiał się, przeciągnął dłoń po błyszczących kędziorach włosów.

– Widzisz no – mówił – spełniam obowiązковую wizytę. Matka moja mieszka niedaleko, ale za miastem, że zaś drogi są niepewne, a w domu niezupełnie wesoło, wolałem spędzić wieczór w mieście i tu przenocować. Kilka godzin przewąłęsałem się po ulicach i przeziwałem w teatrze.

— I ja też byłem w teatrze! W Covent Garden! Co za przepyszne przedstawienie! Steerforth zaśmiał się na głos.

– Ach, mały ty mój Davy! – zawołał uderzając mnie po ramieniu. – Pierwiosnek z ciebie, pierwiosnek; pierwsze, w rosie na słońcu rozwierające się listki nie będą wrażliwsze i świeższe od ciebie, mój mały. I ja byłem w Covent Garden. Co za nudy! Hola, chłopiec!

Przypatrujący się nam z dala z uszanowaniem kelner poskoczył.

– Gdzieście ulokowali mego przyjaciela, pana Copperfielda? – spytał Steerforth.

– Co pan rozkaże?

– Pytam, gdzieście ulokowali tego pana? Kelner zmieszał się.

– Pod czterdziestym czwartym numerem – odrzekł.

– A, łotry! – zawołał Steerforth. – Wsadzić go do tej nory, nad stajniami!

– Nie wiedzieliśmy – jękał się kelner. – Pan zresztą sam nie sprzeciwiał się... ale natychmiast przeniesiemy pod numer siedemdziesiąty drugi, właśnie obok pana.

– Przenieść mi natychmiast! – rozkazał Steerforth.

Kelner wybiegł, a przyjaciel mój śmiał się jeszcze długo na samą myśl, że mi mogli dać taką norę. Zaprosił mnie nazajutrz na dziesiątą na śniadanie, z czego się bardzo ucieszyłem, że zaś już późno było, zagasiliśmy świece i rozeszliśmy się na spoczynek. Pokój, do którego przeniesli mnie, był obszerny, pełen powietrza, wygodnych sprzętów, z ogromnym szerokim łóżkiem, na którym wśród nieskończonej ilości poduszek i kołder usnąłem marząc o starym Rzymie, jego bohaterach, przyjaźni, Steerforcie. Nad rankiem, odjeżdżające sprzed bramy dyliżanse zmieniły nieco sny moje. Śnili mi się bogowie i ich gromy.

Rozdział XX

Rodzina Steerfortha

Gdy o ósmej pokojówka zapukała do drzwi, oznajmiając, że zostawia przy nich ciepłą wodę do golenia, zarumieniłem się po uszy na samą myśl, że się jeszcze nie golił. Wyobrażałem też sobie, jak się musiała śmiać psotnica spełniając u drzwi moich tę czynność. Toteż kiedy musiałem przechodzić koło niej schodząc na śniadanie, czułem się zmieszany i zażenowany. Wolałbym nawet wcale nie przechodzić tamtędy i pozostawić ją ze szczotką, a samemu spoglądać przez okno na przechodzący ulicą wśród tłumu wozów i pieszych pułk ułanów, na nieszczęście, kelner oznajmił, że śniadanie na stole.

Steerforth oczekiwał mnie nie w restauracji, ale w gabinecie z czerwonymi portierami, tureckim dywanem, nakrytym i połyskującym od szkła i srebra stoliczkiem, z wielkim, na kominku płonącym ogniem i okrągłym lustrem, w którym się to wszystko odbijało. Czułem się z początku nieco zmieszany. Imponowała mi śmiałość, swoboda Steerfortha, posiadającego nade mną tyle – nie wyłączając wieku – przewagi. Wkrótce jednak przyjacielskie jego zachowanie zatarło to wrażenie. Nie mogłem się też dość nadziwić zaszłym w samym zajeździe zmianom. Wczoraj jeszcze wszystko, com widział, było brudne, zakurzone, dziś zaś połyskujące, wytworne. Pierzchła gdzieś niepowrotna poufałość kelnera. Wyprostowany, poważny, czekał u drzwi na nasze skinienie.

– A teraz, Copperfieldzie! – rzekł, gdyśmy pozostali sami, Steerforth – opowiedz mi, jak ci się obecnie widzie i twe na przyszłość widoki. Wszystko to interesuje mnie i obchodzi, jak gdybyś był moją własnością.

Uszczęśliwiony tym nowym dowodem jego przyjaźni, opowiadałem mu o sobie. Z kolei przyszło do obecnej, dozwolonej mi przez ciotkę wycieczki.

– Masz, jak widzę, sporo czasu przed sobą – zauważył Steerforth. – Wiesz co, jedź ze mną na parę dni do Highgate. Co? Dobrze? Ręczę, że polubisz moją matkę. Próżna i słaba, gdy idzie o mnie, lecz ty jej to wybaczysz. Pewien też jestem, że się jej spodobaś.

– Chciałbym w to wierzyć – odrzekłem z uśmiechem.

– O – rzekł Steerforth – każdy, kto mi sprzyja i przychylnym patrzy na mnie okiem, zdobywa sobie tym samym sympatię mej matki.

– W takim razie posiadę ją w zupełności – odrzekłem.

– Oto właśnie, spróbuj – nalegał. – Prosto stąd pójdziemy przypatrzeć się lwom. Warto, by je zobaczył taki nowicjusz jak ty! Potem udamy się do Highgate.

Zdawało mi się, że wszystko to snem jest tylko, i bałem się budząc znaleźć się znów pod numerem czterdziestym czwartym lub w restauracji naprzeciw poufałego fagasa. Po napisaniu listu do ciotki i opisanu jej mego spotkania z dawnym towarzyszem i przyjacielem, jako też oznajmieniu, że się do niego na dni parę udaję, doróżką pojechaliśmy oglądać lwy, Panoramę, Muzeum i inne osobliwości, przy czym podziwiałem rozległość posiadanych przez mego przyjaciela wiadomości.

– Musiałeś skończyć szkoły z odznaczeniem – zauważyłem.

– Ja! Z odznaczeniem? – zaśmiał się. – Ach, mój ty pierwiosnku! Wszak pozwolisz, że cię tak przezwę?

– Najchętniej.

– A to dobre – śmiał się – z odznaczeniem! Ależ ja się wcale o to, mój drogi, nie ubiegam. Uważam, że jak dla siebie aż nadto już jestem uczony.

– Ale sława... – począłem.

– Romantyku! Pierwiosnku! I cóż mi po oklaskach półgłówek! Niech się o to ubiegają inni, każdemu ustępuję z pola.

Przykra mi była moja pomyłka i chciałem nadać inny tok rozmowie. Nie było to trudne ze Steerforthem, przeskakującym łatwo z tematu na temat.

Zjedliśmy przekąskę, a krótki dzień zimowy miał się ku końcowi, gdyśmy dojechali do starego murowanego domu stojącego na szczycie wzgórza w Highgate. Na progu spotkała nas niemłoda, z piękną jeszcze twarzą i dumnej postaci kobieta, która pochwyciła przyjaciela mego w objęcia nazywając go „najdroższym swym Jamesem”. Damie tej Steerforth przedstawił mnie jako swej matce. Powitała mnie uprzejmie. Dom był dystygowany, ale cichy i staroświecki. Z okien pokoju, który zająłem, ujrzałem w oddali Londyn ścielący się na kształt mgły gęstej, przerywanej drżącymi światełkami. Zaledwie miałem czas przebrać się i rozejrzeć w poważnym staroświeckim umeblowaniu komnaty, w wyszywanych, mo że ręką samej gospodyni domu za jej dni panieńskich, robótkach, rzucić okiem na ołówkowe szkice dam w upudrowanych perukach, oświetlone płonącym na kominku ogniem, gdy wezwano mnie do stołu.

W sali jadalnej zastałem drugą jeszcze kobietę, niską, ciemnowłosą, niezbyt pociągającą, chociaż wyglądającą dobrze, która pochłoneła całą mą uwagę dlatego może, że była niespodziewanym zjawiskiem, mo że, że siedział naprzeciw, mo że, że istotnie było w niej coś godnego uwagi. Brunetka, z błyszczącymi czarnymi oczyma, szczupła, miała bliznę na wardze, dawną jakąś, dawno zagojoną bliznę, ciągnącą się od górnej wargi w dół ku brodzie, teraz i w oddaleniu, w jakim siedziałem od niej, ledwie, jak to już mówiłem, około ust widoczną. Wydała mi się, jakoby dościsła trzydziestki, lecz nie straciła zupełnie nadziei zamążpójścia. Było w niej coś zwiędłego, niby w od dawna na sprzedaż wystawionych domach. Szczupła, trawiona mo że wewnętrznym jakimś ogniem, który teraz zbiegł się cały w jej głębokich oczach.

Przy przedstawieniu usłyszałem nazwisko Dartle, lecz Steerforth i jego matka nazywali ją Różą. Dowiedziałem się, że jest od dawna towarzyszką matki Steerfortha. Zdawało mi się też, że mówiąc, nie mówiła nigdy wprost tego, co chciała powiedzieć, nadużywając za pytań lub bawiąc się w zdziwienie. Gdy na przykład pani Steerforth wyraziła pół żartem raczej obawę, że syn jej dokazywać musi w uniwersytecie, panna Dartle zawołała:

– Doprawdy! Ale co to jest dokazywać? Jestem bardzo niedomyślna. Do czegoż uniwersytety służyć mogą?

– Do uczości i obrania praktycznego jakiego zawodu – odrzekła chłodno pani Steerforth.

– A tak! Nie pomyślałam o tym. Proszę mnie sprostować, jeśli się mylę. Czy tak istotnie?

– Co czy tak? – spytała pani Steerforth.

– O, teraz wiem, co to miało znaczyć. Jestem w domu. Oto, do czego prowadzi wyjaśnienia. Teraz nie zgodzę się nigdy już na to, aby życie uniwersyteckie miało być jednoznaczniakiem rozrzutności i lekkomyślności.

– I słusznie! – zauważyła pani Steerforth. – Opiekun mego syna jest człowiekiem poważnym i jeśli nie na Jamesie, to na nim polegać mogę w zupełności.

– Doprawdy! W zupełności! – powtórzyła panna Dartle. – Człowiek poważny i sumienny! Istotnie sumienny?

– Takie jest moje przekonanie – zauważyła starsza dama.

– Bardzo, bardzo szczęśliwie! Sumienny! A mo że... ależ nie, on musi być sumienny, uspokaja to mnie najzupełniej, podnosi go w mym mniemaniu nieskończenie.

W ten to sposób wyrażała wszelkie zdania sprzeczne najczęściej z wyrażonymi poprzednio i mieszała, wyznać musiałem, samego Steerfortha. Przed zakończeniem obiadu pani Steerforth rozpytywała mnie o projektowaną mą do Suffolk wycieczkę. Skorzystałem z tej sposobności, aby oświadczyć, jak gorąco pragnąłbym, aby mi przyjaciel mój mógł towarzyszyć, a opowiadając o starej mej piastunce i jej rodzinie, przypomniałem mu rybaka, którego spotkał raz w Salem House.

– A! Ów jegomość z synem, pamiętam – powiedział.

– Był to jego bratanek – odrzekłem – którym się isticie po ojcowsku opiekował. Pan Peggotty ma nadto prześliczną bratanicę, którą się też po ojcowsku opiekuje. Słowem, dom ten – raczej łódź, w której na ładzie mieszkają – przepełniona jest korzystającą z jego dobrodziejstw rodziną. Ręczę, że cała rodzina zaciekawiłaby cię nieskończenie.

– Tak myślisz? – odezwał się Steerforth. – Sądzę, że istotnie wycieczka podobna byłaby mi na rękę. Nie licząc już, że byłbym z tobą, poczciwy mój Davy, zabawiliby mnie i ci tam ludzie.

Serce mi zapukało żywiej. Panna Dartle, która bacznie przyglądała się nam w czasie tej rozmowy, przysłoniła oczy czarnymi rzęsami.

– A, jakie to ciekawe! – zawołała. – Więc cóż to za ludzie?

– Co? – spytał Steerforth. – Jacy ludzie?

– A, ci tam! Chciałabym wiedzieć, czy istotnie są innego rodzaju?

– Niż my – dokończył chłodno Steerforth. – Te chciałaś powiedzieć? Innego. Nie tak, jak my tu jesteśmy wrażliwi, nie tak, jak nas tu, łatwo ich łada czym dotknąć i obrazić. Muszą to być bardzo poczciwi ludziska, tak przynajmniej niektórzy utrzymują i wcale nie mam ochoty temu zaprzeczać, lecz nie są napewniej wytworni, a grube ich naskórki nie tak łatwo dają się przeciąć i zranic.

– Czy tak? – mówiła panna Dartle. – Nie wiedziałam doprawdy i miło mi dowiedzieć się o tym. Jest w tym istotnie coś pocieszającego. Więc nie czują oni wówczas nawet, gdy cierpią? Przedziwni ludziska! Czasem myśląc o podobnych ludziach zdejmował mnie wielki niepokój, teraz to już będę zupełnie spokojna. Człowiek dopóki żyje, dopóty się uczy. Wyznam, miałam niejaki w tej mierze wątpliwości, lecz te zostały teraz rozproszone najzupełniej. Co to jest pytać i dowiadywać się!

Sądziłem, że to, co dopiero mówił Steerforth, powiedziane było żartem lub dla podrażnienia panny Dartle, i pewien byłem, że się do tego przyzna, gdyśmy po odejściu pań sami pozostali. Nie mówił jednak wcale na ten temat, tylko spytał mnie, jak mi się panna Dartle podoba?

– Musi być bardzo inteligentna – odrzekłem.

– Inteligentna! Ba! – zawołał. – Każdego przyprze do muru, każdego oszalbierzy, jak i sama siebie oszalbierzyła, zgryzła do szczętu. A! Brzytwa!

— Dziwną ma szramę nad ustami.

Steerforth spochmurniał, spuścił głowę.

– Mniejsza z tym – rzekł. – Moje to dzieło!

– Przypadkiem! – zawołałem.

– Nie, nie przypadkiem. Małym jeszcze byłem chłopcem, rozdrażniła mnie, cisnąłem w nią młotkiem. Co? Lala był ze mnie chłopak, zuch, co?

Przykro mi było, że wywołał tak niemiłe wspomnienie. Było już za późno, by się wycofywać.

– Odtąd pozostała jej ta blizna – ciągnął. – Nie rozstanie się z nią do wiecznego spoczynku, zresztą wątpię, czy gdziekolwiek i kiedykolwiek, bodaj w grobie, spocznie. Matkę straciła w dzieciństwie, ojciec jej, daleki krewny mej matki, umarł też, i matka moja, będąc już wdową, wzięła ją na stałą swą towarzyszkę. Z ojcowizny zostało jej parę tysięcy, od których procenty dokłada co roku do kapitału. Oto życiorys panny Róży Dartle.

– Pewien jestem, że cię kocha jak brat – zauważyłem.

– Hm! – mruknął patrząc w ogień. – Nie każdy brat kochany bywa i nie każde kochanie... Ależ, Copperfieldzie, nie pijesz, jak widzę! Wychylmy kieliszek na cześć pierwiosnków, w twoje ręce! A drugi na cześć lilii, co nie sieją i nie przędą, w moje!

Smutny uśmiech, błakający mu się na ustach, znikł z tymi słowy i powróciła zwykła swoboda.

Gdyśmy zasiedli do herbaty, z zajęciem przypatrywałem się bliźnie na twarzy panny Dartle. Zauważyłem, że był to najwrażliwszy rys jej twarzy, najpierwszy bladł, gdy bladła na kształt tych znaków pisanych niewidzialnym atramentem, które występują na papierze przy zbliżeniu go do ognia. W czasie małego zajścia, jakie miała z przyjacielem moim przy grze w triktraka – przez chwilę zdawało mi się, że doprowadzona jest do wściekłości, a wówczas blizna wystąpiła niby napis stary na oświeconej nagle ścianie.

Nie dziwiło mnie bynajmniej wielkie przywiązanie pani Steerforth do syna. Zdawało się, że jest niezdolną myśleć lub mówić o czymś innym. Pokazywała mi medalion z jego miniaturą z lat dziecińczych. Był tam pukiel puszystych, dziecięcych włosów. Pokazywała mi portret z lat, w których go poznałem, i trzeci taki – miniaturę, jakim był w obecnej chwili, którą na piersiach nosiła. W biureczku, przy kominku tuż obok fotela, na którym zwykle siadywała, złożone były wszystkie listy, jakie kiedykolwiek pisywał do niej. Chciała mi przeczytać niektóre, co by mi zresztą wielką zrobiło przyjemność, lecz syn sprzeciwił się temu.

– Poznaliście się w szkole pana Creakle, jak mi opowiadał syn – rzekła siedząc ze mną przy jednym stole, gdy przy drugim syn jej grał z panną Dartle w triktraka. – Przypominam sobie, że mi syn opowiadał o młodszym towarzyszu, zapomniałam była tylko nazwiska.

– Zapewniam panią – odrzekłem – że młodszy, wspaniałomyślniejszy nie miał towarzysza. Zginąłbym, gdyby nie opieka, jaką mnie syn pani wsparł i otaczał.

– Dobrze, szlachetne dziecko! – odrzekła z dumą pani Steerforth.

Potwierdziłem to z zapalem. Wierzyła w szczerą moją i w obejściu ze mną odstępowała ją cechująca ją zwykle wyniosłość.

– Szkoła ta nie była wcale odpowiednia dla mego syna – mówiła – lecz w owym czasie niektóre względy wpłynęły na ten tak z pozoru niestosowny wybór. Charakter mego syna wymagał, abyśmy go powierzyli człowiekowi uznającemu jego wyższość, a jednak nie ulegającemu mu, słowem, człowiekowi twardemu, takiemu, jakim był właśnie pan Creakle.

Znałem go. Pamiętałem, jak miękł wobec Steerfortha. A jednak zamiast wzgardy czułem dlań raczej pewien szacunek za to, że zdolny był uznać i ocenić przymioty mego przyjaciela!

– Zresztą wyjątkowe zdolności mego syna potrzebowały tylko bodźca – ciągnęła matka.

– Nie zniósłby on przymusu, czując się zaś panem położenia, starał się godnie odpowiedzieć temu stanowisku. Takim był zawsze.

Słowem tym wtórowałem z całego serca.

– Syn mój – ciągnęła z dumą – tam, gdzie idzie za własnym popędem, prześciga wszelkich współzawodników. Mówił mi, panie Copperfield, że ma w panu szczerego przyjaciela i gorącego zwolennika, żeś go wczoraj spotkał ze łzami radości. Byłabym nieszczerą, jeśli bym udawała, że mnie to dziwi, lecz nie mogę być obojętna wobec podobnie stałego przywiązania i miło mi poznać pana i zapewnić tak o moim najprzyjaźniejszym dla pana nastawieniu, jak i o wzajemnej przyjaźni mego syna. Możesz na niego liczyć w potrzebie.

Panna Dartle grała w triktraka z właściwą sobie żywością i przejęciem. Gdybym ją po raz pierwszy ujrzał był przy zielonym stole, mógłbym sądzić, że twarz jej tak wychudła, a oczy rozbłysły z namiętności do gry, a jednak myliłbym się bardzo, gdybym sądził, że

straciła choć jedno słowo z tego, co się mówiło u drugiego stołu. Okazywane mi przez panią Steerforth zaufanie pochlebiało mi niesłychanie. Rosłem we własnych oczach.

Zanim wieczór minął i wniesiono tacę z przeróżnymi napojami, Steerforth zdecydował się już na proponowaną przedtem przeze mnie wycieczkę. Nie było jednak nic pilnego, jak utrzymywał. Mógłbym spędzić w Highgate dni kilka. Propozycja ta została poparta przez gościnną jego matkę. Rozmawiając nazwał mnie kilkakrotnie „pierwiosnkiem”, co nie uszło baczności panny Dartle.

– A! Jakie ładne przezwisko – zauważyła. – Czy on dlatego tak pana nazywa, że ma pana za uosobienie niewinności i młodości? Jestem taka niedomyślna!

Zarumieniłem się odpowiadając twierdząco.

– A! – mówiła panna Dartle. – Teraz to już wiem na pewno, lubię pewność i dlatego pytam, gdy czegoś nie rozumiem. A! Ma on pana za tak młodego, niewinnego! I jesteś pan jego przyjacielem? Ależ to ślicznie, prześlicznie!

Wkrótce jednak obie panie udały się na spoczynek, a i my też ze Steerforthem, po półgodzinnej gawędce o Salem House, Traddlesie, towarzyszach, dawnych czasach, poszliśmy na górę. Pokój mój znajdował się tuż obok jego sypialni, będącej ostatnim słowem komfortu i wytworności. Wypełniały go niskie i miękkie fotele, poduszki szyte ręką jego matki, dywany i inne sprzęty. Na ścianie, naprzeciw łóżka, wisiał portret pani Steerforth; zdawało się, jakoby chciała jeszcze spoglądać na ubóstwianego syna, w czasie gdy spał.

W moim pokoju zastałem płonący na kominku ogień, spuszczone zaś u okien i drzwi portierey nadawały komnacie charakter tak przytulny, że długo jeszcze marzyłem siedząc przed ogniem, rozważając zwłaszcza szczęśliwy traf, który mnie zawiódł pod dach przyjaciela. Wznosząc oczy, ujrzałem nad kominkiem portret panny Dartle.

Portret uderzająco był podobny, a chociaż malarz zapomniał o przecinającej twarz jej bliźnie, pamiętałem o niej, widząc ją tak, jak widziałem u stołu, występującą wyraźnie przy każdym wzruszeniu.

Gubiłem się w domysłach, dlaczego portret ów znajdował się właśnie w przeznaczonym dla mnie pokoju. Aby się pozbyć tego widoku, rozebrałem się spiesźnie i położyłem, lecz i we śnie jeszcze czułem wlepione w siebie wielkie, błyszczące, czarne jej oczy i słyszałem pytanie: „Czy tak? Doprawdy?”, a budząc się wśród nocy ze snu ciężkiego, przypominałem sobie, że przez sen sam zadawałem najrozmaitszym ludziom pytania, czy prawdą jest to, czy nie? I sam nie wiedziałem, o co mi szło właściwie.

Rozdział XXI

Mała Emilka

W domu tym był służący, przywiązany do osoby Steerfortha, który służył mu w uniwersytecie i był na pozór wzorem uczciwości. Tak, sędzę, że istotnie niepodobna było spotkać człowieka tej kondycji, wyglądającego bardziej szanownie. Milczący, chodził cicho, spokojny, pełen uszanowania, uważny, gotów na każde skinienie, a nieobecny, gdy niepotrzebny, lecz nade wszystko, powtarzam, wyglądał poważnie i szanownie. Nie miał on twarzy łagodnej i usłużnej, owszem, sztywny był raczej, włosy nosił krótko ostrzyżone i wygładzone, mówił z cicha i kładł pewien nacisk na literę s, tak że się zdawało, jakoby używał jej częściej niż innych liter alfabetu. Wszystko to nie przeszkadzało mu wyglądać nader poważnie, zresztą gdyby nawet miał nos krzywy lub zadarty, wyglądałby poważnie. Otoczył się już taką atmosferą i żył w niej jak w odpowiednim sobie żywiole. Niepodobna było posądzić go o najłżejszą nieuczciwość. Nikomu też na myśl przyjść nie mogło odziać w liberię podobnie godnego człowieka. Powołać go do ciężkiej lub poniżającej usługi, byłoby uwłaczaniem jego godności. Nawet pokojówki tak dalece czuły to, że same spełniały najcięższe służby, a on tymczasem zwykł był czytywać gazety przy kominku lub w kredensowym pokoju.

Nie spotkałem nikogo podobnie zamkniętego w sobie jak on i to mu tym większej jeszcze dodawało powagi. Nawet fakt, że nikt nie znał jego chrzestnego imienia, powagę tę powiększał. Wszyscy znali go pod nazwiskiem Littimera. Piotra mo żna było powiesić, posłać na ciężkie roboty Pawła, ale Littimer pozostawał nietykalny.

Dzięki też zapewne abstrakcyjnym wpływom jego powagi czułem się większym jeszcze dzieckiem wobec tego człowieka. W jakim on sam był wieku, nie umiałbym powiedzieć, gdyż powaga jego i spokój pasować mogły zarówno do trzydziesto-, jak i czterdziestoletniego mężczyzny.

Littimer wszedł z rana do mego pokoju, kiedym był jeszcze w łó żku. Przyniósł mi ową nieszczęsną ciepłą wodę do golenia i wyczyszczoną odzież. Gdy rozchyliłem firanki, ujrzałem go spokojnym, poważnym, nawet nie zziębniętym, chociaż był wietrzny styczniowy poranek. Ustawiał buty moje w pozycji jak do tańca i zdmuchiwał źdźbło kurzu z mego surduta, układając go starannie na kształt dziecinnej sukienki.

Odpowiedziałem mu dzień dobry i spytałem o godzinę. Z największą powagą wyjął z kieszeni na ciężkim łańcuchu zawieszony zegarek, pocisnął sprężynę, popatrzył na tarczę jak na wyrocznie, zamknął kopertę i oznajmił, że już, za pozwoleniem, pół do dziewiątej.

– Pan Steerforth – rzekł – pyta, czy pan wypoczął po podróży?

– Dziękuję – odrzekłem – spałem wybornie. A jakże się ma pan Steerforth?

– Dziękuję panu – odrzekł – pan Steerforth ma się nieźle.

Littimer nigdy nie używał superlatywów i nie odzywał się o niczym stanowczo i twierdząco. Człek ten był wzorem miary we wszystkim.

– Czym mogę jeszcze panu służyć? – spytał. – O dziewiątej będzie pierwszy dzwonek, do śniadania państwo zasiadają zwykle o wpół do dziesiątej. Czym mogę służyć?

– Dziękuję. Nic mi już nie trzeba.

– Do usług pańskich – rzekł skłaniając się, a gdy odchodził, zamknął drzwi cicho, nie chcąc zbudzić mnie z drzemki, jakby od niej całe me zale żało życie.

Odtąd co rano podobne zamienialiśmy słowa, ani o jedno słowo więcej, ani jedno mniej. I zawsze, jakkolwiek bym urósł był z wieczora we własnym mniemaniu dzięki okazywanej mi przez Steerfortha przyjaźni i okazywanemu przez jego matkę zaufaniu, dzięki rozmowom z panną Dartle, zawsze wobec tego człowieka poczuwałem się, tak jak to mówią pomniejsi poeci, „znów chłopięciem”.

Sprowadzał nam konie, a Steerforth, celujący we wszystkim, dawał mi lekcje konnej jazdy. Dostarczał nam szpad z gałkami oraz rękawic, a Steerforth uczył mnie fechtunku i wprawiałem się także pod okiem przyjaciela w boksowaniu. Nie obchodził mnie wcale wobec przyjaciela mój brak wprawy w tych męskich ćwiczeniach, lecz brak ten zawstydział mnie wobec Littimera! Nie zastanawiałem się nawet nad tym, czy sam on biegły jest w sztuce jazdy, fechtunku i boksowaniu, najmniejszym słowem nie dał mi do zrozumienia nic podobnego, nie okazał zdziwienia najłżejszym brwi ściągnięciem, a jednak w obecności jego mieszałem się onieśmielony.

Zastanawiam się dłużej nad wspomnieniem tego człowieka, gdyż wywarł był na mnie od razu silne, wypadkami późniejszymi aż nadto usprawiedliwione, wrażenie.

Tak minął jak najprzyjemniej tydzień cały. Minął szybko, a mnie jednak, ani na chwilę nie rozstając się z przyjacielem, któremu miałem tylko sposobność przypatrzeć się bliżej i pokochać bardziej jeszcze, zdawało się, jakoby był z nim dłużej, niż byłem w istocie. Steerforth bawił się mną jak zabawką, ale to w sposób tak miły i ujmujący, że to mnie rozczulało, przypominało szkolne czasy, zdawało się ich pozostałością, przekonywało, że się jego względem mnie usposobienie nie zmieniło – ośmiało, zacierało istniejące pomiędzy nami różnice. Sposób, w jaki ze mną postępował, był zresztą swobodny i przyjacielski i tak jak w szkole, tak później w życiu nie obchodził się, pewien tego byłem, z nikim innym, jak ze mną się obchodził, wierzyłem też, że bliższy niż ktokolwiek inny jego sercu, i to podwajało jeszcze moje przywiązanie do niego.

Zdecydował się wreszcie towarzyszyć mi w zamierzonej na prowincję wycieczce. Nadszedł dzień naszego wyjazdu. Zrazu chciał wziąć z sobą Littimera, lecz postanowił następnie pozostawić go w domu. Szanowny ten jegomość, zawsze zadowolony z rozkazów swego pana, złożył nasze walizy w pojeździe wiozącym nas do Londynu z takim namaszczaniem, jak gdyby wyprawiał nas na koniec świata. Z godnością też przyjął skromne me podziękowanie.

Pożegnaliśmy panią Steerforth i pannę Dartle. Dziękowałem serdecznie pierwszej za jej dobroć. Ostatnie wrażenie uniesione z ostatnim rzuconym na mnie spojrzeniem kamerdynera było, że jestem jeszcze wielkim dzieckiem.

Nie potrafię opisać tego, czegom doznał wracając do dawnych znajomych miejsc. Przybyliśmy dyliżansem. Tak byłem, pamiętam, czuły na temat Yarmouth, że gdy przejeżdżając przez ciemne ulice do gospody Steerforth oświadczył, że o ile może wnosić, cała ta zapadła dziura wydaje mu się spokojna, poczciwa, czułem się tym pochlebiony. Położyliśmy się zaraz po przyjeździe (przestępując próg gospody przypomniała mi się para brudnych skarpetek i kamasy w związku z dawnym mym znajomym Wielorybem), a nazajutrz wstaliśmy późno. Steerforth, w jak najlepszym humorze, odbył spacer po wybrzeżu, zanim jeszcze wstałem, poznał tam, jak twierdził, paru rybaków i dojrzał w oddali to, co musiało być z pewnością domem pana Peggotty. Brała go chętka, by pójść tam i przedstawić się jako Dawid Copperfield we własnej osobie, tylko zmieniony do niepoznania.

– Kiedyż mię przedstawisz, Davy? – pytał. – Jestem na twoje usługi. Zresztą, rób, jak ci będzie dogodnie.

– Sądziłbym – odrzekłem – że najwłaściwiej byłoby zrobić to wieczorem, gdy wszyscy zbiorą się koło kominka. Jest to chwila, kiedy zaciszę to wygląda najlepiej.

– Zgoda! – zawołał Steerforth. – Zatem do wieczora!

– Nie dam im tymczasem znaku życia – mówiłem rozradowany – toż to będzie niespodzianka!

– O, naturalnie – rzekł Steerforth – inaczej wszystko byłoby na nic! No! Zobaczmy tych tuziemców, w rodowitym ich otoczeniu.

– Są oni właśnie tacy jacyś, jak mówiłeś – odrzekłem.

– Aha! Tak to! Przypomniały ci się moje utarczki z Różą – zawołał spojrzawszy mi bystro w oczy. – Niech ją! Boję się jej prawie! Jest ona moim złym duchem. Nie wspominaj jej nigdy! A teraz co zamýślasz czynić? Pójdiesz zapewne do swej piastunki? Co?

– Naturalnie – rzekłem. – Przede wszystkim muszę widzieć Peggotty.

– Dobrze – rzekł Steerforth spoglądając na zegarek. – Jeśli cię uwolnię na parę godzin, czy ci to wystarczy na cackanie się z nianią?

Odpowiedziałem mu śmiejąc się, że wystarczyłoby może, i poprosiłem go, aby mi towarzyszył i przekonał się naocznie, że go poprzedziła w domu i sercu mej piastunki sława, gotując mu niemal równe mi miejsce.

– Pójdę, gdzie •yczysz – odrzekł. – Zrobię, co ci się podoba. Rozkazuj tylko, a wszędzie, gdzie zechcesz, wystąpię w sentymentalnej czy komicznej roli.

Dałem mu adres pana Barkisa, woźnicy jeżdżącego do Blunderstone i gdzie indziej, sam zaś wyszedłem. Powietrze było ostre, ziemia sucha, morze kędzierzawe i spokojne, a słońce, w braku ciepłych, jasne rzucało promienie. Wszystko tchnęło życiem i pogodą. Sam czułem się pełen życia i pogody i tak uszczęśliwiony obecnością w miłych mi miejscach, że chciało mi się uściskać każdego z przechodniów. Ulice wydały mi się ciasne i krótkie. Zawsze tak bywa podobno z miejscami znanymi w dziecięcych latach, gdy do nich potem wracamy. Wszystko mi jednak żywo stało w pamięci i nie zauważyłem nigdzie w niczym najmniejszej zmiany. Tylko nad sklepem pana Omera szyld był zmieniony; „Omer i Joram” opiewał, a dalej było jak dawniej.

Kroki wiodły mię wbrew mej woli, przeszedłem ulicę i zatrzymałem się przed drzwiami sklepu. W głębi młoda, przystojna kobieta huśtała na ręku niemowlę, gdy tymczasem drugie dziecko czepiało się jej spódnicy. Od razu poznałem Minnie i jej dzieci. Drzwi do izdebki za sklepem były zamknięte, lecz skrzypiały zupełnie tak samo jak przed laty.

– Czy zastałem pana Omera? – spytałem wchodząc. – Chciałbym go widzieć.

– Jest w domu – odrzekła Minnie. – Astma nie pozwala mu wychodzić na tę pogodę. Joe! Poproś dziadunia.

Trzymający się jej fartucha malec wrzasnął i ku wielkiemu zadowoleniu matki schował się w jej spódnicę. Posłyszałem sapanie i chrapanie i po chwili zjawił się pan Omer we własnej osobie, dychawiczny, lecz wcale nie postarzały.

– Do usług pańskich – rzekł. – Co pan rozkaże?

– Chciałbym uściskać pana dłoń – zawołałem – za okazaną mi niegdyś uprzejmość, nie miałem dotąd sposobności podziękować panu!

– Za uprzejmość? Nie przypominam sobie. Czy się pan nie myli czasem?

– O, nie!

– Pamięć moja musiała się przykrócić wraz z oddechem – odrzekł potrząsając głową. – Nie przypominam sobie.

– Jak to! Nie pamiętasz pan! Spotkałeś mnie przy gospodzie, przyprowadziłeś tu na śniadanie, a potem pojechaliśmy razem do Blunderstone, pan, pani Joram i pan Joram, który nie był jeszcze wówczas mężem pani.

– A! Na rany Chrystusa – zawołał pan Omer i zakaszłał się, a potem dodał: – Minnie, duszko, pamiętasz! Był to pogrzeb tej damy.

– Mojej matki.

– A tak, tak właśnie – mówił dotykając mi piersi wskazującym palcem – matki! Pamiętam! Ot taki mały chłopczyzna! A! Tam w Blunderstone grzebali śmy wraz z matką dzieciątko! Pamiętam! Jakże się pan miewa?

Podziękowałem mu pytając nawzajem o zdrowie.

– Tak sobie – rzekł. – Nic nowego! Oddech mam coraz krótszy. Ha, trudno, aby się na starość przydłużał. Na to nie ma rady!

Śmiał się i kaszłał, córka, z dzieckiem na ręku, stała tuż przy nim.

– Kto by to powiedział – ciągnął – dwa na raz pogrzeby! I tegoż samego dnia właśnie, wracając, naznaczyliśmy dzień ślubu Minnie. „Niech pan raz już oznaczy” – powiedział Joram. – „Tak, tak, ojczy – twierdziła Minnie – niech wejdzie do spółki”.

Minnie śmiała się i poprawiała włosy, korzystając z tego, że ojciec przytrzymał skaczące na stole dziecko.

– Dwa pogrzeby! – kiwał głową krawiec. – Właśnie tak! Joram przy robocie w obecnej chwili. Szara ze srebrnymi ćwieczkami, o parę cali dłuższa...

Trzymał skaczące po stole dzieciątko.

– Ale czym mogę panu służyć? Herbatą? – dodał.

Podziękowałem. Byłem po śniadaniu.

— Aha! – mówił przypominając sobie. – Peggotty, ta żona woźnicy Barkisa, miała jakieś z waszą rodziną stosunki? Aha! Służyła u was?

Potwierdziłem.

– Gdyby to oddech tak wracał z pamięcią – rzekł. – Otóż widzi pan, mamy tu obecnie jej krewną. Zręczna i nikt więcej od niej posiadać w krawieczyźnie nie może dobrego smaku. Księżniczka, mówię panu!

– Mała Emilka! – zawołałem.

– Na imię jej Emilka i niewielka! Ale za to twarzyczka! Kobiety zjadłyby ją w kaszy, gdyby mogły.

– Nie wiadomo, co ojciec bredzi! – zaoponowała córka.

– Nie mówię tego o tobie, duszko – tłumaczył się ojciec mrugając ku mnie – ale o polowie co najmniej mieszkanki Yarmouth, a i na pięć mil dokoła. Zjadłyby ją.

– Niechby się skromnie trzymała na swym miejscu – odcięła się młoda pani Joram – i nie dawała powodu do plotek.

– Nie dawała, duszko, nie dawała! Nie znasz życia i świata! I do czego są zdolne kobiety, zwłaszcza gdy idzie o piękność innych kobiet.

Sądziłem, że już po nim będzie, tak się po tym żarciku rozkaszłał. Musiał się schylić i oprzeć o stół, a całą jego postacią wstrząsały spazmatyczne dreszcze, nawet wstążeczki u podwiązek fruwały tam i z powrotem. Wykaszlawszy się usiadł zmęczony.

– Bo widzi pan – mówił ocierając pot z czoła i łapiąc powietrze – nie wdaje się tu z nikim, nie nawiązuje żadnych przyjaźni ani miłostek, to wystarczy, aby rozgłaszano, że choruje na panią, Bóg wie jakiego wyczekuje losu. Ot, po prostu musiała kiedyś wygadać się w szkole, że jeśliby była wielką panią, uczyniłaby to lub tamto dla wuja, którego ubóstwia.

– Tak, panie – potwierdziłem gorąco. – Mówiła mi to nieraz, gdyśmy byli dziećmi.

Pan Omer skłonił głowę i potarł brodę.

– Tak właśnie – ciągnął – a i to, że w byle czym wygląda lepiej niż każda inna. We wszystkim jej do twarzy, a i to prawda, że jest nieco, jak mówią, krnąbrna. Co do mnie, nie wiem właściwie, jak to inaczej nazwać, mówię po swojemu: uparta. Jak raz coś postanowi, to musi na swoim postawić. Oto wszystko, co jej zarzucić można, prawda, Minnie?

– Niby mało!

– I tak – ciągnął pan Omer – dostała bardzo dobre miejsce towarzyski u jakiejś starszej damy i rzuciła je. Potem dostała się tu do nas na trzyletnią naukę. Po dwóch już latach nic jej nie brakuje. Prawda, Minnie?

– Prawda, ojczyste! – odrzekła pani Joram. – Mógłby kto myśleć, że jej co ujmuje.

– Bardzo dobrze, słusznie! A teraz, mój panie! – kończył śmiejąc się krawiec. – Zdaje się, że wszystko powiedział, boś gotów posądzić mnie, że jestem większy gaduła, jak na to tchu mi starczyć może.

Ponieważ cała ta rozmowa o Emilce w przyciszonym utrzymaniu była tonie, pewien byłem, że się ona znajduje w pobliżu, a na pytanie moje w tym względzie otrzymałem twierdzące skinienie głowy i wskazanie wzrokiem drzwi do sąsiedniego pokoju. Spytałem, czy mogę tam zajrzeć, na co zgodzono się chętnie. Spojrzałem przez okienko. Szyła. Wydała mi się najpiękniejszym stworzeniem pod słońcem, z tymi jasnymi niebieskimi oczyma, które znałem z dzieciństwa mego, zwróconymi właśnie na bawiące się u nóg jej dziecko Minnie. Na pięknej jej twarzy była samowola i jakiś cień przekorny, usprawiedliwiający poniekąd czynione jej zarzuty, lecz poza tym wszystko w niej tchnęło uczciwością i niewinnością.

Na dziedzińcu rozlegał się ustawicznie zgrzyt z dawien dawna mi znany, cichy, jednostajny, nie milknący.

— Wejść pan tam, jeśli się panu podoba – zapraszał krawiec.

Nie śmiałem. Bałem się ją zmieszać, a jeszcze bardziej bałem się własnego wzruszenia; zapytałem tylko, o której godzinie wychodzi ze sklepu, a po żegnawszy krawca i jego córkę, udałem się do mojej kochanej Peggotty.

Zastałem ją w kuchni. Przygotowywała obiad. Otworzyła mi, gdym zapukał, pytając, czego życzę. Patrzyłem na nią śmiejąc się, ona zaś na mnie poważnie, surowo. Nie przestałem do niej pisywać, ale siedem lat minęło, odkądśmy się widzieli.

– Czy zastałem w domu męża pani? – spytałem obojętnie niby.

– W domu, panie – odrzekła – lecz cierpi na reumatyzm.

– Więc nie jeździ już do Blunderstone? – pytałem.

– Jeździ, gdy mu zdrowie służy.

– A panią Barkis?

Uważnie spojrzała na mnie, uczyniła ręką gest pytający.

– Chciałem – rzekłem – spytać o dom nazwany, aha, Wroni Bór, jeśli się nie mylę.

Cofnęła się przestraszona, wyciągając naprzód obie ręce.

– Peggotty! – zawołałem.

– Dziecko! Moje drogie dziecko! – krzyknęła chwytając mnie w objęcia.

Czegóż też nie dokazywała! Śmiała się i płakała na przemian i razem. Cofała się i zbliżała oglądając mnie z dumą, z ciekawością, z niedowierzaniem, obsypywała pocałunkami, z żalem, że ta, której mógłbym być dumą i pociechą, nie mogła mnie do macierzyńskiego przytulić serca. Co do mnie, nie powstrzymywał mnie żaden wstyd fałszywy i nigdy może, nawet w objęciach matki, nie płakałem tak szczerze, jak w tej chwili.

– Jakże się Barkis ucieszy! – mówiła wycierając fartuchem oczy. – Lepiej mu to pomoże niż lekarstwo. Pójdę, powiem mu. A może sam pójdziesz ze mną?

Zgodziłem się na to chętnie, sporo jednak czasu upłynęło, zanim wyszliśmy z kuchni. Za każdym razem, gdy się Peggotty zbliżyła do drzwi, wracała, porywała mnie w objęcia, pokrywając łzami i pocałunkami. Weszliśmy wreszcie na schody. Pozostałem chwilę za drzwiami, bo chciała uprzedzić męża; po chwili byłem przy chorym.

Przyjął mnie z zapałem. Tak był zreumatyzowany, że nie mógł mi podać ręki i prosił, abym potrząsnął chwast jego szlafmicy, co też spełniłem z całego serca. Usiadłem przy łóżku. Powiedział, że wyobraża sobie, że znów wiezie mnie na swym wózku drogą do Blunderstone. Okryty po brodę kołdrami, z wyjątkiem twarzy, wyglądał wielce zabawnie.

- A pamiętasz pan – spytał – czyje imię wypisałem na wózku?
- Ach, panie Barkis! Rozmawialiśmy o tym nieraz, pamiętam!
- Gotów byłem – zauważył.
- O, od dawna!
- I nie żałuję tego – odrzekł. – A czy pamiętasz pan, jak mówiłeś mi o jej zrzeczności w pieczeniu ciasta z jabłkami i gotowaniu?
- Doskonale.
- Święta to była, rzetelna prawda – twierdził potrząsając szlafmycą i zwracając wzrok na mnie czekał potwierdzenia swoich słów.
- Święta prawda – powtarzał. – Taki biedak jak ja dość ma czasu do rozmyślenia, leżąc nieruchomo. Nieszczęsny jestem człowiek, bardzo chory!
- Przykro mi to słyszeć, panie Barkis.
- Bardzo biedny, doprawdy – skarżył się.
- Tu, wysuwając prawą rękę spod kołdry, ujął z trudnością kij przywiązany do poręczy i po chwilowym bezskutecznym szukaniu nim tu i ówdzie, przy czym twarz jego najrozmaitszy przybierała wyraz, natrafił na skrzynkę, której bok jeden wyglądał spod łóżka. Uspokoił się.
- Stare rupiecie! – mruknął.
- O! – mruknąłem.
- Dobrze byłoby, żeby to były pieniądze!
- Życzyłbym z całego serca.
- Ale to nie pieniądze – rzekł roztwierając szeroko źrenice.
- Upewniłem go, że jest tego samego co i on przekonania. Zwrócił wzrok na żonę.
- Najlepsza pod słońcem kobieta z tej Peggotty Barkisowej. Zasługuje na wszelkie pochwały. Pomyśl, kochanie, o obiedzie. Mamy gościa, postaraj się, aby było co tam zjeść i wypić.
- Chciałem podziękować i wymówić się, lecz powstrzymał mnie zadowolony wyraz twarzy Peggotty.
- Mamy tu gdzieś parę groszy – mówił chory – ale właśnie zmęczyłem się bardzo. Odejdź z panem Davy, odpoczne, zasną i znajdę może, gdy się obudzę.
- Pożegnaliśmy go i odeszliśmy. Za drzwiami Peggotty wytłumaczyła mi, że to tylko zwykły wybieg jej męża i że pan Barkis, pomimo cierpień, zwlecze się z łóżka, by wydobyć pieniądze z nieszczęsnej skrzynki. Istotnie, usłyszeliśmy niebawem jego jęki i stękania, jak gdyby miał wyzionać ducha, a chociaż w oczach Peggotty malowało się współczucie, utrzymywała, że mu ta hojność na dobre wyjdzie i że nie trzeba mu przeszkadzać. Jęczał i stękał, zanim położył się z powrotem, wówczas dopiero nas zawołał, utrzymując, że się dopiero przebudził, wypoczął i znalazł pod poduszką gwineę, a zadowolenie z oszukania nas i sprytnego odwrócenia uwagi od skrzynki zdawało się wynagradzać poniesione przezeń trudy i doznane bóle.
- Upredziłem Peggotty o odwiedzinach Steerfortha, który też niebawem nadszedł. Pewien jestem, że nie rozróżniała dostatecznie, czy wita w nim osobistego swego dobroczyńcę, czy tylko mego przyjaciela, w każdym razie powitała go serdecznie i uprzejmie. Do pokoju chorego Barkisa wniósł z sobą Steerforth promień światła i ożywczego powietrza. Bez hałasu, bez wysiłku, od niechcienia był wesół, powabny i tak przyjacielski, że nawet mnie oczarował, chociaż od dawna byłem nim oczarowany.
- Bawiliśmy się wybornie w bawialnym pokoiku, gdzie nie tknięta od ostatniej mej bytności „Księga męczenników” wyjęta została z biurka i rozłożona na stole. Przewracając karty przypomiąłem sobie stare wrażenia. Wreszcie Peggotty oznajmiła, że pokoik mój jest gotów, i miała nadzieję, że zostanę u niej na noc.
- Naturalnie! – zawołał Steerforth. – Pozostaniesz tu, a ja wrócę do gospody.

– Przywieźć cię tak daleko – zauważyłem – i opuszczać, wydaje mi się...

– Co ci się tam wydaje! Pomyśl, do kogo tu należysz! – zawołał.

Był przez całe popołudnie w wybornym humorze. O ósmej wybrali śmy się do pana Peggotty. A nawet w miarę jak płynęły godziny, przymioty i zalety mego przyjaciela rosły i nieraz myślałem później, że go upajało wszelkie powodzenie, a przekonanie, że się podo-
ba, rozwijało i zaostzało zalety, którymi jednał sobie ludzi. I gdyby mi był kto powiedział
wówczas, że wszystko to jest pustą zabawą, poczuciem własnej wyższości, igraszką w
zdobywaniu tego, o co nie dbał wcale i co po chwili odtrącić miał z obojętnym lekceważę-
niem, oburzyłbym się na oszczercę i skarcił.

Toteż zapewne we wzmożeniu moich roztkliwionych uczuć przyjaźni i wierności zda-
wało mi się, idąc obok niego w noc ciemną po wilgotnym nadbrzeżnym piasku do łodzi
pana Peggotty, że wiatr szumi smutniej niż owej nocy, gdy po raz pierwszy do drzwi tej
łodzi zapukał.

– Smutna, dzika miejscowość – zauważyłem.

– Ponura w nocy – odrzekł. – Słyszysz, jak morze ryczy? Tak, jak gdyby po żreć nas
chciało. Czy tam to ta łódź? Widzę światło w okienkach.

– Ta właśnie.

– Ta sama, którą zauważyłem rano. Wyraźnie wiódł więc mnie tu instynkt.

W milczeniu zbliżyliśmy się do drzwi. Położyłem rękę na klamce, cicho zalecając
przyjacielowi, aby wszedł tuż za mną.

Z wnętrza dochodziły nas głosy, a kiedym otworzył drzwi, usłyszałem klaskanie. Cz y-
je? Oto zwykle niepokieszonej pani Gummidge. Nie sama ona zresztą zdawała się być
wzruszona. Pan Peggotty z rozradowaną twarzą rozpostarł był ramiona, jakby chciał po-
chwycić w nie Emilkę; Ham, na poły uradowany, na poły zawstydzony, trzymał Emilkę za
rękę, a tę ostatnią, uśmiechniętą, rozrurienioną, wejście nasze powstrzymało właśnie w
chwili, gdy wyrwijając się kuzynowi miała frunąć w objęcia wuja. Oto jak ich zastaliśmy
w chwili przejścia z nocnych cieni i chłodu do ciepłej, jasnej izby, w głębi której pani
Gummidge klaskała w dłonie jak szalona.

Wejściem swym spłoszyliśmy ten obraz. Zdawać by się mogło, że był przywidzeniem.
Stałem już pośród nich, oko w oko ze zdziwionym panem Peggotty, gdy Ham zawołał:

– Panicz! Panicz Davy!

Po chwili wszystkie się ku mnie wyciągnęły dłonie, wszyscyśmy naraz zaczęli się wi-
tać, pozdrawiać. Pan Peggotty tak był uszczęśliwiony, że nie wiedział, co ma mówić lub
robić, i tylko ścisnął ręce to mnie, to memu przyjacielowi, burzył niespokojną dłonią siwe
na głowie włosy i śmiał się zadowolony i triumfujący.

– Trzebaż to – mówił – abyście panowie trafili tu dzisiaj, dziś właśnie. Nigdy się nic
podobnego nie zdarzyło. Emilko, kochanie, zbliż się! Zbliż, moja ty mała czarodziejko!
Oto, widzisz, przyjaciel pana Davy. Słyszałaś o nim, Emilko? Przybył on tu z nim, aby cię
zobaczyć w ten najpiękniejszy wieczór w całym moim życiu, słyszysz? Najpiękniejszy w
życiu twego stryja.

Wypowiedziawszy to jednym tchem, z niepomiernym zadowoleniem, pan Peggotty
wziął w obie swe dłonie twarz bratanicy, ucałował ją z dziesięć razy, przytulił do serca,
pogłaskał i dopiero wówczas wypuścił. Pobiegła schronić się do pokoiku, w którym zwy-
kle sypiałem, a biegnąc zarurieniona oglądała się jeszcze na nas.

– Dwóch dżentelmenów, takich dwóch dżentelmenów! – powtarzał rybak.

– Aha, aha! – wołał Ham. – Dobrześ, stryju, powiedział. Dwóch dżentelmenów! Ależ
panicz urósł!

– Przepraszam was, panowie – ciągnął pan Peggotty – jeśli znajdujecie mnie w niezwy-
kłym usposobieniu. Emilko, kochanie! Aha! – wybuchnął śmiechem – domyśliła się, co
powiem, i frunęła! Znajdźcie mi ją i sprowadźcie tu, matko!

Pani Gummidge wyszła do sąsiedniej izdebki.

– Otóż, mówiłem – ciągnął pan Peggotty sadzając nas przy kominie – że jest to najpiękniejszy wieczór mego życia. Jestem prosty rybak, szorstki, ale to najpiękniejszy wieczór mego życia, oto wszystko co mogę powiedzieć. Mała Emilka – ciągnął, głos zniżając i zwracając się do Steerfortha – która tak się dopiero rumieniła...

Steerforth potakiwał z wyrazem takiego zainteresowania i zrozumienia, że poczciwy rybak zawołał:

— Doprawdy! Ale oto i ona. Dziękuję panu.

Tymczasem Ham kiwał w moją stronę głową, jakby na potwierdzenie tego, co stryj mówił.

– Ta nasza Emilka – ciągnął pan Peggotty – jest nam tu w domu – prosty jestem człowiek, lecz czuję to głęboko – pociechą naszą, radością, wszystkim. Nie jest ona moim rodzonym dzieckiem, własnych dzieci nie miałem, ale je ślibym miał, nie mógłbym kochać ich więcej. Rozumie pan, nie mógłbym.

– Doskonale to rozumiem – odrzekł Steerforth.

– Wiem, że pan rozumie – mówił rybak – i dziękuję panu. Pan Davy pamięta, jaką była ona, a pan sam dziś widzi, jaka jest teraz. Ale żaden z was ani się domyśla, czym była i jest dla mego serca. Twardy jestem, panie, szorstki, jak nie przymierzając morski jeź, ale nikt, oprócz może tej tam kobiety, nie wie, czym jest dla mnie to dziecko. A między nami mówiąc – tu głos zniżył – i pani Gummidge, choć zalet pełna, domyślić się nie może.

Potarł włosy ręką i ciągnął opierając obie dłonie o kolana.

– Jest ktoś, co zna naszą Emilkę, odkąd ojciec jej utonął. Znał ją dzieckiem, dziewczynką, kobietą. Ten ktoś nieosobliwie może wygląda, coś tak niby jak ja, twardy, szorstki, ale uczciwy, bardzo uczciwy, serce ma na miejscu.

Nigdy jeszcze Ham tak się nie uśmiechał jak w tej chwili.

– Co się temu dziegciarzowi zdaje! – śmiał się Peggotty. – Ot, po prostu głowę stracił dla naszej Emilki. Cieniem jej był, wysługiwał się na łapkach, głowę tracił, a ot, i przyszła chwila, w której chciałbym upewnić los naszej Emilki, oddać ją w opiekę jakiej poczciwej duszy. Nie wiem, jak mi długo jeszcze żyć przeznaczono, ale to wiem, że jeśliby mnie na morzu zaskoczyły wiatry i gdybym po raz ostatni spoglądał na te tam światła, byłbym spokojny myśląc, że jest tu na ładzie żelazne ramię, gotowe podtrzymać, obronić Emilkę i że dopóki on żyje, włos jej z głowy nie spadnie.

Pan Peggotty wywijał ręką, jak gdyby wskazywał gasnące mu już w oczach światła nadbrzeżne, a spojrzawszy z zadowoleniem na Hama ciągnął:

– Radziłem mu pomówić o tym z Emilką. Taki chłop, a nieśmiały, jak gdyby od ziemi nie odrósł. Sam tedy musiałem za niego mówić. „Co, on? – zawołała Emilka. – On, którego znam od dzieciństwa i tak lubię? Och, stryju, po co on? To taki poczciwy chłopiec”. Ucałowałem pieszczotkę i to jej tylko powiedziałem: „Kochanie, dobrze robisz, że mówisz, co czujesz, nie przymuszam cię, wolna jesteś jak ptaszek”. A jemu mówię: „Pragnąłem tego, cóż, kiedy nic z tego nie będzie. Ale niech się nic między wami nie zmienia, bądź dla niej, chłopcze, czym dotąd byłeś”. „Będę” – odrzekł i dotrzymał słowa. Przez całe dwa lata był tym, czy dawniej – kochającym bratem.

Twarz pana Peggotty, która się mieniła w czasie opowiadania, przybrała teraz wyraz triumfu; jedną rękę położył na kolanie Steerfortha, drugą na moim i tak mówił:

– Aż tu raz wieczorem – przypuśćmy dzisiaj – wraca Emilka z roboty i Ham z nią razem. Nic w tym dziwnego, powiecie może zapewne. Czuwał nad nią jak brat we dnie i w nocy, ale tym razem dziegciarz ten prowadził ją za rękę i spostrzegłszy mnie, zawołał: „Patrz stryju, oto moja żoneczka!” A ona zmieszana, ale śmiało jakoś mówi: „Tak, stryju, jeśli ci się podoba”. Czy mi się podoba! – zawołał pan Peggotty przewracając oczami. – Bogu to tylko wiadomo! A ona: „Dorośłam, stryju, zastanowiłam się nad tym, czuję, że mogę zostać żoną tego poczciwego kochanego chłopca”. Na to pani Gummidge klasnęła w

ręce i na to właśnie weszliście, panowie. Miało to miejsce przed chwilą i oto jest ten, za którego wydaję naszą Emilkę.

Ham drgnął pod ciężką, opadającą mu na ramię ręką rybaka, a poczuwając się w obowiązku zabrania głosu tak począł:

– Panicz ją, panie Davy, pamięta, ot, taka była maleńka, a teraz jaka. Patrzyłem, jak rosła, jak... kwiatek, oddałbym za nią życie, panie Davy, oddałbym ze szczęściem. Jest mi ona, panowie, jest mi... więcej, niż potrzebuję i wyrazić to mogę... Kocham ją. Ani na lądzie, ani na morzu nie ma pewno dżentelmena, który by jakkolwiek damę tak kochał, jak ja ją kocham, chociaż prosty jestem tylko człowiek.

Wzruszyły mnie słowa pocziwego chłopca, wzruszyło okazane nam przez niego i jego stryja zaufanie. Wzruszony byłem, a jakie we wzruszeniu tym miejsce zajęły wspomnienia z lat dziecińczych, zastanawiać się nie będę. Czy jadąc do Yarmouth marzyła mi się miłość małej Emilki, nie wiem. Wiem, że wszystko, com słyszał, napępniało mnie radością, lecz czułem zrazu tak jakoś, jak gdyby lada głupstwo radość tę w smutek zmienić mogło.

Gdyby zaś przyszło mi wówczas wyrazić, com czuł, nie potrafiłbym nigdy. Do poruszenia pewnych strun wprawniejszej trzeba było dłoni, toteż Steerforth swym humorem nastroił nas dopiero do potrzebnej harmonii.

– Panie Peggotty – rzekł – jesteś pan najpocziwszym pod słońcem człowiekiem i zasługujesz na tę wielką pociechę, jaką ci wieczór dzisiejszy przyniósł: Oto dłoń moja! Winiszuję ci też, kochany chłopcze – to do Hama, a do mnie:

– Davy, duszko! Przemieszaj w kominie, niech się jaśniej pali, a pan, panie Peggotty, niech tu nam sprowadzi śliczną swą brataniczkę. Oto krzesło dla niej, bo ucieknie. W podobny wieczór nie chciałbym być powodem, dla którego zabrakłoby kogoś przy ogniu w rodzinnym waszym kółku. Nie, za nic, ani za wszystkie bogactwa Golkondy!

Pan Peggotty poszedł szukać swej ulubienicy. Upierała się z początku i Ham pośpieszył mu z pomocą. W końcu przywieśli ją zarumienioną, zmieszaną, wprędce ją jednak uspokoiło uprzejme, pełne uszanowania zachowanie Steerfortha. Unikał starannie wszystkiego, co by ją zmieszać mogło, rozprawiał z panem Peggotty o łodziach, morzu, wiosłowaniu, rybołówstwie. Przypominał mi odwiedziny rybaka w Salem House. Mówił, śmiał się, rozruszał i rozbawił wszystkich.

Wprawdzie Emilka mówiła mało, lecz twarzyczka jej jaśniała zadowoleniem. Była uroczą. Steerforth opowiadał o jakimś rozbiciu okrętu, jak gdyby naocznym był tego świadkiem. Emilka słuchała go z szeroko rozwartymi oczyma. Opowiadał potem pocieszne jakieś wydarzenie z taką werwą, że śmiech Emilki rozlegał się do spółki z dźwięcznym, sympatycznym śmiechem mówiącego. Namówił nawet pana Peggotty do piosenki „Gdy wiatr wieje, wieje, wieje!”, sam zaś żeglarską pieśń zaśpiewał takim głosem i z takim uczuciem, że się zdawało, jakoby wichur na dworze przytulił się do ścian łodzi, by się wsłuchiwać w smutne, melodyjne dźwięki.

Co zaś do pani Gummidge, nikt jej od śmierci męża – powiedział mi to na ucho pan Peggotty – nie potrafił jeszcze tak rozbawić. Oderwał ją tak dalece od zwykłych jej smutków, że utrzymywała nazajutrz, jakoby została oczarowana.

Nie sam tylko zresztą Steerforth wypełnił ów wieczór. Pomału ośmielała się i Emilka; rozmawiała ze mną o dawnych czasach, o naszych przechadzkach nad morzem, zbieraniu muszli i kamyków, a gdym ją spytał, czy pamięta jeszcze, jakem ją uwielbiał, i gdyśmy się roześmieli i poczerwienieli oboje, Steerforth zamilkł i popatrzył na nas uwaźnie. Siedziała właśnie, jak zwykle, na skrzynce przy ogniu, Ham przy niej, na moim niegdyś uprzywilejowanym miejscu, i nie wiem, czy przez zalotność i zwykłą sobie, znaną mi z dni dziecięcych, przekorę, czy przez skromność panięską, odsuwała się od niego i przytulała do ściany. Zauważyłem, że czyniła to przez cały wieczór.

Północ już była, gdyśmy odeszli. Na wieczerzę podano suchary i suszoną rybę. Steerforth wyciągnął z kieszeni flaszkę, którąśmy my, mężczyźni – bez rumieńca zaliczam siebie do mężczyzn – wychylili do dna. Rozstaliśmy się wesoło. Z otwartych drzwi długo nam jeszcze na ciemną drogę padał promień światła. Spoza ramienia Hama śledziły nas błękitne Emilki oczy, a głos jej słodki ostrzegał o niebezpieczeństwach czyhających na drodze.

– Prześliczne stworzonko – rzekł Steerforth biorąc mnie pod ramię. – Osobliwe miejsce, osobliwi ludzie, osobliwe też robią wrażenie.

– Szczęście nam sprzyjało – powiedziałem. – Przybyć właśnie w podobną chwilę! Czyś widział kiedy ludzi podobnie szczęśliwych? Miło było brać udział w tym ich tak wielkim szczęściu.

– Pocieszny narzeczony, prawda? – zauważył.

Był tak serdeczny dla Hama, dla nich wszystkich, że mnie ta chłodna uwaga ubodła. Lecz spojrzawszy na przyjaciela mego, ujrzałem tyle uśmiechniętej wesołości w błyszczących jego oczach, że mię to rozbroiło.

– Jaki z ciebie żartowniś – zawołałem. – Ach, Steerforcie! Nie trzeba żartować z ubogich. Próżno powtarzałbyś utarczki swe z panną Dartle lub krył się z uczuciami przede mną. Znam cię! Widziałem wśród tych tam, jak mówisz, ludzi, wiem, jak ich rozumiesz, z jakim taktem i delikatnością jesteś zdolny wnikać w uczucia prostego rybaka, rozbawić moją starą piastunkę. Wiem, że nie ma tam radości ani cierpienia, na które byś pozostał głuchy, i za to właśnie tysiąc razy więcej kocham cię i uwielbiam.

Zatrzymał się i patrząc mi prosto w oczy:

– Szczery jesteś, Davy – rzekł – szczery i pocziwy. Obyśmy wszyscy takimi byli.

Po chwili śpiewał wesoło piosenkę pana Peggotty i idąc pomału wracaliśmy do Yarmouth.

Rozdział XXII

Stare miejsca, nowi ludzie

Steerforth i ja zabawiliśmy dwa tygodnie w tamtej okolicy. Byliśmy prawie ciągle razem, czasem tylko rozstawaliśmy się na kilka godzin; Steerforth bowiem był zawołanym żeglarzem, ja zaś nie smakowałem zbyt w tego rodzaju rozrywkach, toteż gdy przyjaciel mój puszczał się w towarzystwie pana Peggotty na morze, pozostawałem zwykle na lądzie. Korzystanie z pokoiku u Peggotty krępowało mnie nieco. Wiedząc, jak dalece przez dzień cały jest zajęta doglądaniem chorego męża, wracałem wcześniej wieczorem, gdy Steerforth, będąc panem swego czasu, niczym się nie krępował. Dowiedziałem się też, że gdym już spał w najlepsze, on podejmował rybaków w ulubionej winiarni panna Peggotty „Pod Dobrą Chęcią” lub w rybackim odzieniu spędzał całe księżycowe noce na morzu. Wiedziałem, że jego żywa, gorąca natura potrzebuje rozrywek i niebezpieczeństw, i postępowanie jego wcale mnie nie dziwiło.

Rozstawaliśmy się i z tego jeszcze powodu, że Steerfortha nie mogły pociągać tak jak mnie wycieczki do Blunderstone. Toteż czasem żegnaliśmy się po wczesnym śniadaniu, a schodzili dopiero późno na obiad. Nie miałem pojęcia, co robił, czym się wówczas zajmował. Wiedziałem tylko, że znany był i lubiany przez wszystkich, a posiadał dar szczególnie wynajdywania rozrywek i zajęcia tam nawet, gdzie inny na jego miejscu nic by nie znalazł.

Co do mnie, przebiegając drogę do Blunderstone przeżywałem w pamięci każdy dzień z przeszłości i to mi wypełniało myśl i serce. Przypominało mi się każde, niegdyś tu przeżyte wrażenie. Nad mogiłą pod drzewami, gdzie spoczywali moi rodzice, zamienioną przez Peggotty w kwietnik, na którą, gdy była tylko jeszcze miejscem wiecznego spoczynku mego ojca, spoglądałem z takim żalem i którą widział otwartą na przyjęcie zwłok mojej pięknej, kochanej matki i jej dzieciątka, długie spędzałem godziny. Leżała ona na uboczu, w rogu cmentarza. Przechodząc drogą czytać mogłem wypisane na kamieniu nazwiska, a dzwon kościelny zdawał mi się być głosem pożegnania. W godzinach tych, myśląc o nich, myślałem zarazem o tym zawsze, jakie miejsce zajmę w życiu, jakich wielkich lub dobrych dokonam czynów. Echo kroków moich nie odbijało nut innych, tę tylko, jak gdybym krocząc u boku żyjącej jeszcze matki nadpowietrznie budował zamki.

Stary dom nasz zmienił się nie do poznania. Znikły bez śladu powichrzone, przez wrony dawno opuszczone gniazda, a drzewa strzyżone i ścinane utraciły dawny kształt. Ogród zdziczał, połowa okien była zabita. Dom zamieszkały został przez jakiegoś chorego umysłowo dżentelmena i tych, co go doglądali. Chory przesiadywał zwykle w oknie mego niegdyś pokoiku i spoglądał na cmentarz. Ciekawy byłem, czy też jego myśli kreślą te same obrazy, co moje, gdy wczesnym rankiem, w nocnej koszulce wyglądałem tym okienkiem, witając pasące się o wschodzie słońca trzody.

Dawni nasi sąsiedzi, państwo Grayper, wyjechali do Południowej Ameryki, a przez podziurawiony dach ich domu deszcz padał jak przez rzeszoto. Pan Chillip ożenił się po wtórnie z wysoką, sucherławą, długonosą damą i mieli dziecko blade, z ogromną głową, szeroko roztwartymi porcelanowymi oczyma, które zdawały się być wieczyście zdziwione własnym swym przyjściem na świat.

Z dziwną mieszaniną smutku i przyjemności błąkałem się po miejscach mych rodzinnych i tylko czerwono zachodzące zimowe słońce przypominało mi o powrocie. Siedząc ze

Steerforthem za stołem przed wielkim ogniem, lubiłem myśleć o tych moich wycieczkach. Tegoż samego wrażenia doznawałem, chociaż w słabszym stopniu, w moim małym pokoiku, pod dachem Peggotty, a przewracając karty książki z krokodylami – leżała zawsze na małym stoliczku – z wdzięcznym rozmyślałem sercem, jak dalece szczęśliwy byłem posiadając takich przyjaciół, jak Steerforth i Peggotty, i zastępczynię tych, com utracił, w osobie wspaniałomyślnej i dobrej mej ciotki.

W czasie powrotu z tych długich przechadzek najbliższa droga wiodła mnie przez bród, pomiędzy miastem a morzem, w pobliżu mieszkania pana Peggotty. Zachodziłem też tam zwykle i zwykle zastawałem Steerfortha. Wracaliśmy już potem razem w chłodne noce, kierując się drżącymi w mieście światełkami.

Pewnego wieczoru, kiedy wracałem później niż zwykle – gdyż była to moja pożegnalna wycieczka do Blunderstone, mieliśmy wkrótce opuścić Yarmouth – zastałem go samotnym w domu rybaka. Siedział przed ogniem tak zamyślony, że nawet nie zauważył mego wejścia. Stałem tuż przy nim i patrzyłem nań długo. Ze spuszczoną brwią, gubił się w myślach, a gdym położył rękę na jego ramieniu, drgnął tak gwałtownie, że mnie prawie odepchnął.

– Zjawileś się zniecka – mruknął gniewliwie – jak wyrzut sumienia.

– Musiałem cię przecież zbudzić z zamyślenia – odrzekłem. – W jakim innym sposobie mógłbym ściągnąć cię z gwiazd na ziemię?

– Z gwiazd?

– Więc skąd? – pytałem siadając przy nim.

– Patrzyłem w ogień – odrzekł.

– Nie psujże mi tego widoku – zauważyłem, gdyż kawałkiem drzewa poruszył gwałtownie ogień na kominku, uderzając w płonąca kłodę, od której iskry uleciały w górę.

– Nie dojrzałyś tam nic – rzekł. – Nie lubię szarej godziny, ani to dzień, ani to noc! Wracasz tak późno! Gdzieżeś był?

– Żegnałem miłe mi miejsca – odrzekłem.

– Ja zaś tu siedziałem – mówił rozglądając się dokoła – i rozmyślałem nad tym, że ci ludzie tak szczęśliwi i weseli w wieczór naszego przybycia, mogą, po tej tutaj pustce sądząc, rozproszyć się, umrzeć, ulec jakiejś bądź niedoli. Dawidzie! Czemu mnie Bóg pozbawił ojca przez te ostatnie dwadzieścia lat!

– Kochany przyjacielu, co ci?

– Z całego serca życzylibym sobie energicznego, dobrego kierownictwa – zawołał. – Gdybym sam sobą umiał lepiej kierować!

Przybity był, niepodobny do siebie, uderzyło to mnie.

– Wolałbym – mówił wstając i opierając się o komin, z twarzą pochyloną nad ogniem – wolałbym być tym biednym Peggotty lub tym cymbałem, jego bratankiem, niż sobą, tysiąc razy bogatszym i potężniejszym, i nie cierpieć tak, jakem w tej piekielnej łodzi cierpiął w ostatniej tej godzinie.

Tak byłem zdziwiony tą nagłą w nim zmianą, że patrzyłem nań tylko, milcząc. Stał z głową wspartą na ręku, ponury, zapatrzony w ogień. Zacząłem prosić, aby mi się zwierzył, powiedział, co go tak zasmuciło lub dotknęło. Jeśli nie radę, to z pewnością znajdzie we mnie gotowe, żywe współczucie. Nie skończyłem jeszcze mówić, gdy się już śmiał, z przymusem zrazu, potem jak zwykle wesoło i swobodnie.

– Nic, nic mi już nie jest, Davy! Wszak ci już mówiłem w Londynie, że sam sobie nie umiem dotrzymać towarzystwa. Obsiadły mnie jakieś mary, oto wszystko. Ta szara godzina! Godzina duchów i bajek opowiadanych przez piastunki! Wrażenie ich sięga daleko poza granice męskiego wieku. Zdawało mi się po prostu, że jestem „złym i niegrzecznym chłopczykiem” z bajki, który „nic sobie z niczego nie robił” i wpadł w łwią paszczę czy

coś podobnego. To, co stare baby nazywają strachem, porwało mnie za włosy i – przeląknęłam się.

– Tylko tego? – zawołałam.

– Tego tylko... to dosyć! Ale minęło to już, nie czuję się w garści stracha, tylko, raz ci jeszcze powtórzę, Dawidzie, żałuję, że nie zostaję pod kierunkiem uczciwego, surowego ojca.

Na wyrazistej jego twarzy nigdy przedtem nie widziałem takiego smutku, jak wtedy, gdy pochylony nad ogniem, wymówił te słowa:

– Oto! – rzekł wyciągając ręce, jak gdyby coś odpychał – „Zwodnicza maro, precz! Ha! Znikłaś przecie! Teraz znów jestem mężem” – jak mówi Makbet. A teraz na obiad, Davy!

– Gdzież się oni wszyscy podzieli? – spytałem rozglądając się po pustym domu.

– Bóg to raczy wiedzieć! Nie znalazłszy cię na przewozie, wszedłem tu, a że nie było nikogo, wpadłem w zamyślenie, z któregoś mnie zbudził.

Wejście pani Gummidge z koszem wyjaśniło, czemu dom pusty był przez dwie godziny. Wyszła za sprawunkami przed wieczornym powrotem pana Peggotty, pozostawiając drzwi otwarte na wypadek nadejścia Hama lub Emilki. Steerforth, rozweseliwszy wdowę żartobliwym uściskiem i konceptem, wziął mnie za ramię i wywiódł.

I jego usposobienie, tak jak wdowy, zmieniło się korzystnie, wesół był teraz i rozmowny.

– Jutro zatem – mówił – opuszczamy te miejsca, zamykamy to cygańskie życie.

– Tak umówiliśmy się – odrzekłem. – Miejsca w dyliżansie zamówione.

– Nie ma tedy rady! – zaśmiał się. – Zapomniałem był prawie, że jest świat poza tym kątem i że całego życia spędzić nie można tu na wiosłowaniu. Szkoda! Bawiło to mnie.

– Jak nowość – uśmiechnąłem się.

– Zapewne, chociaż uwaga ta brzmi nieco sarkastycznie w usteczkach mego słodkiego przyjaciela! Ano, prawda! Zmienny jestem i kapryśny, wiem to, lecz cóż chcesz, za to umiem i lubię kuć żelazo, póki gorące. Mógłbym stanąć do konkursu jako pilot tych brzegów, już teraz.

– Zdziwiasz samego nawet pana Peggotty.

– Ma mnie za wilka morskiego, co? – zaśmiał się wesoło.

– Za zjawisko fenomenalne w każdym razie – odrzekłem. – Podziwiasz energię twą, zapał, wytrwałość w osiągnięciu upatrzonego celu. Co do mnie, dziwię się najbardziej temu, że nie cieszysz się z tego, iż potrafisz tak stosownie wykorzystywać swoje zdolności.

– Cieszyć się! Dobry jesteś – odrzekł wesoło – nie wiesz, że mnie nic zadowolnić nie może, oprócz chyba twej, Davy, szczerości i świeżości. Co do stosowności, to nie posiadam jednak sztuki zaprzęgnięcia się do jednego z tych kół, które tegoczesne Iksjony⁵ obracają nieustannie. Braknie mi na to systematycznych przyzwyczajęń czy czego innego może, mniejsza z tym. Wiesz, kupiłem tu sobie łódź.

– Jakiś ty dziwny! – zawołałem zdziwiony tą wieścią. – Przecież tu już nie wrócisz.

– To nie wiadomo – odrzekł – miejsca te podobają mi się. Bądź co bądź i na wszelki wypadek kupiłem łódź, kliper, jak ją nazywa pan Peggotty. On będzie jej kapitanem w czasie mej nieobecności.

– Teraz rozumiem – zawołałem uszczęśliwiony – kupiłeś niby dla siebie, w rzeczywistości zaś, aby pan Peggotty ciągnął z niej korzyści! Znając cię, powinienem był domyślić się tego od razu! Dobry, kochany, hojny Steerforcie!

Zaczerwienił się.

– Nie ma o czym mówić – mruknął.

⁵ Iksjon – w mitologii greckiej król Tessalii, który za karę został przymocowany do wiecznie się obracającego ognistego koła.

– A czy nie mówiłem – ciągnąłem rozentuzjasmowany – czy nie mówiłem, że żadna boleść, żadna radość tych skromnych, prostych, ubogich ludzi nie jest ci obojętna.

— Mówiłeś! Mówiłeś! Raz już wreszcie przestań!

Bojąc się rozgniewać go, przestałem, rozmyślając dalej w sercu o przymiotach mego przyjaciela. Szliśmy powoli ku miastu.

– Trzeba ją na nowo pomalować – mówił – zostawię tu Littimera, żeby się tym zajął. Czy ci mówiłem, że Littimer przyjechał?

– Nie.

– Tak! Przyjechał właśnie dziś rano, z listem od mojej matki.

Zauważyłem, że mówiąc to był błydy i chociaż mi patrzył spokojnie w oczy, przeląknęłam się, czy czasem nie zaszło jakie nieporozumienie pomiędzy nim a panią Steerforth, które wprowadziło go w taki nastrój, w jakim go zastałem w chacie Peggotty. Nadmieniłem coś o tym.

– O nie! – rzekł potrząsając głową i uśmiechając się z lekka. – Wcale nie! Tak, przyjechał Littimer!

– Taki jak zawsze? – spytałem.

– Jak zawsze, sztywny i chłodny jak sam biegun północny. Łódź trzeba przechrzcić. Obecnie nazywa się „Ptak Burzy”. Pfe! To mi imię! Przechrzcimy łódź naszą.

– Jak?

– „Mała Emilka”!

Patrzył mi spokojnie w oczy. To nowe jego ustępstwo na korzyść starych moich przyjaciół rozczuliło mnie nad wyraz. Musiał to zauważyć, gdyż uśmiechną się, powracała mu znów zwykła swoboda i humor.

– Ale otóż i ona wraca, we własnej osobie! – zawołał. – A trop w trop za nią nieodstępny Ham. Na honor! Rycerski!

Ham był teraz budowniczym łodzi, gdyż wyuczył się tego rzemiosła i nabrał w nim pewnej wprawy. Odziany w bluzę robotnika, nie wyglądał wykwinicie, ale poczciwie i budził zaufanie jako opiekun stąpającej u jego boku istoty. Na otwartej, uczciwej jego twarzy malowało się zadowolenie, duma i miłość, i to go upiększało w moich oczach. Patrząc na zbliżających się, myślałem, że są wcale dobraną parą.

Gdyśmy się zatrzymali, aby ich powitać, Emilka podała nieśmiało z kolei mnie i przyjacielowi memu rączkę wysuniętą spod ramienia swego towarzysza, a gdyśmy odeszli, zauważyłem, że nie ujęła go znów pod ramię, tylko szła sama, zmieszana jakąś, nieśmiało. Wszystko to podobało mi się nieskończenie. Przyjaciel mój zdawał się podzielać moje zdanie. Długo patrzyliśmy za nimi, aż nam znikli w słabym świetle nowiu.

Nagle minęła nas, doganiając ich widocznie, młoda kobieta, której z początku nie zauważyliśmy. Twarz jej uderzyła mnie niejasnym jakimś wspomnieniem. Suknie jej były lekkie, wygląd wyzywający, ale wynędzniały i ubogi. Zdawało się, że o nic i o nikogo nie dba i tylko pędzi za tym dwojgiem. W oddali, pomiędzy ciemnym niebem a pustym wybrzeżem postać ta zniknęła nam z oczu.

– Co to za ciemny cień podąża za tym młodym dziewczęciem – mruknął, wciąż jeszcze stojąc, Steerforth. – Co to ma znaczyć?!

Przyciszony głos jego wydał mi się obcy niemal.

– Chce zapewne prosić o jałmużnę – rzekłem.

– Żebraczka nie jest wprawdzie zjawiskiem nowym, lecz dziwne, że o tej porze i dzisiejszej nocy wcieliła się w tę właśnie postać.

– Czemu?

– Ha, może dlatego, że mi się właśnie coś podobnego marzyło. Skąd się, do diabła, wzięła ta mara?

– Spod tego oto węgla – rzekłem wchodząc w ulicę obrzeżoną długim murem.

– Znikła! – rzekł oglądając się raz jeszcze Steerforth. – Oby tak wszystko złe przepadło! A teraz na obiad!

Obejrzał się jednak jeszcze raz jeden i drugi i przez resztę drogi był zamyślony. Dopiero gdyśmy zasiedli za stołem pod jarzącym światłem zapalonego kandelabra, wróciła mu zwykła swoboda humoru.

Zastaliśmy Littimera; oddziaływał na mnie tak jak zawsze. Na pytanie moje, jak się mają pani Steerforth i panna Dartle, odpowiedział mi z uszanowaniem (naturalnie, że i z godnością), że są zdrowe i pozdrawiają mnie. Tyle tylko! Lecz w samym jego głosie dźwięczało: „młody jesteś, bardzo jeszcze młody, niedoświadczony, niedopieczony”.

Przy końcu obiadu przystąpił bliżej, wysuwając się spoza krzesła swego pana, skąd zdawał się pilnować nas, czyli mnie raczej.

– Za pozwoleniem pańskim – rzekł – panna Mowcher przybyła.

– Kto taki? – zawołał zdumiony Steerforth.

– Panna Mowcher, za pozwoleniem.

– Co ją tu, do diabła, przynieść mogło?

– Jest to, za pozwoleniem pańskim, jak mi wyjaśniła, rodzinne jej miejsce i z zawodu swego zjeżdża tu musi raz na rok. Spotkałem ją właśnie po południu na ulicy i pytała mnie, czy może mieć zaszczyt widzenia pana po obiedzie.

– Znasz tę olbrzymkę, Davy? – spytał mnie Steerforth.

Ze wstydem – i w tym Littimer miał nade mną przewagę – wyznać musiałem, że nie miałem najlżejszego wyobrażenia o osobie panny Mowcher.

– No, zobaczysz zatem ósmy cud świata! Littimer, wprowadzisz tu pannę Mowcher, gdy się zjawi.

Zaciekawiony byłem, tym bardziej że wszelkie pytania moje Steerforth zbywał wybuchami szalonego śmiechu. Nie było rady. Musiałem pozostać w nieświadomości i oczekiwaniu, dopóki nie zdjęto obrusa i nie postawiono na stole wina. Wówczas dopiero drzwi się roztwarły i Littimer, ze zwykłą sobie powagą, zaanonsował:

– Panna Mowcher!

Spojrzałem na drzwi i nic nie dostrzegłem. Spojrzałem raz jeszcze, sądząc, że się wreszcie ukaże zapowiedziane zjawisko, wtem spoza kanapy stojącej przede mną wyszła karliczka, malutka, okrągłutka, z ogromną głową i twarzą, figlarnymi szarymi oczyma i tak króciutkimi mikroskopijnymi rękami, że nie mogła chyba dosięgnąć własnego nosa. Po między brodą jej i podbródkiem ginęła wstążka kapelusza. Poza tym ani biustu, ani talii, ani bioder, jeden klocek zakończony zapewne parą nóg, ale tak krótkich i mikroskopijnych, że stanąwszy przy stole nie dosięgała go brodą, a torbę, którą przyniosła ze sobą, postawiła na krześle. Dama ta, odziana swobodnie, lecz elegancko, z trudnością dosięgała nosa wskazującym palcem, z przechyloną głową i przymkniętym okiem, wyglądała nader pociesznie. Dojrzawszy Steerfortha wybuchła potokiem słów.

– Kwiatku mój – wołała mrugając na mego przyjaciela – jakim sposobem tu się znalazłeś? O, niedobry, niegodziwy chłopcze! Zawsze poza domem! Na jakiejś, ręczę, swawoli! W czepku się urodziłeś, tak jak i ja! Cha, cha, cha! Mógłbyś iść o zakład, sto przeciw pięciu, że mnie tu nie spotkasz. Co? Prawda? A ja tymczasem wyrastam jak z ziemi, i tu, i tam, wszędzie i nigdzie! Jak zaczarowane półkorony w chustce sztukmistrza! Mówiąc o chustkach do nosa i o paniach – jakąż pociechą jesteś, drogi chłopcze, dla twojej szczęśliwej matki.

Mówiąc to, rozwiązała kapelusz, odrzuciła w tył wstążki i usiadła dysząc na podnóżku przed ogniem, szukając osłony w mahoniowym – stole, rzucającym cień na jej głowę.

– O, gwiazdy wy moje! – zawołała opierając ręce o kolana i przypatrując mi się bystro.

– Zanadto tęga jestem, panie Steerforcie! Fakt to. Po tych schodach oddechu te ż złapać nie

mogę, wyglądam jak pęcherz wypełniony wodą, lecz przyznaj, że w oknie drugiego piętra wzięłbyś mnie za wcale przystojną kobiecinę.

– Zawsze i wszędzie to przyznaję – upewniał Steerforth.

– Gadaj zdrów! – zawołała machając na niego chusteczką do nosa, którą wycierała spocną twarz. – Gadaj zdrów! Na honor, byłam w zeszłym tygodniu u lady Mithers. To mi kobieta! A ubrana! I samego Mithersa widziałam. To mi mężczyzna! A odziany! W peruce, jak Boga kocham, w peruce! Tak się do mnie podsiadał, że już chciałam zadzwonić. Przyjemny, bardzo przyjemny mężczyzna, tylko bez zasad, rozpustnik.

– Co też tam pani robiła? – spytał Steerforth.

– Aha! – rzekła podnosząc znów rękę do oczu i robiąc porozumiewawczą minę. – Aha! Ciekaw jesteś, czy jej dawałam receptę od wypadania włosów, czy na farbowanie, na bielidło czy na brwi czernienie. Aha! A czy wiesz czasem, jak się mój dziad nazywał?

– Nie wiem.

– Walker, kotku, Walker! Ostatni z Walkerów, toteż odziedziczyłam po nim wiele kruczków.

Nigdy nie zdarzyło mi się spotkać nic podobnego do tej karlicy. Dziwiła mnie, wprawiała w zdumienie. Miała właściwy sobie sposób mówienia i słuchania, dopominania się odpowiedzi na to, co sama mówiła, przechylania głowy i przymrużania oczu. Napatrzeć się na nią nie mogłem, w zdumieniu zapominając o grzeczności.

Tymczasem przysunęła do siebie krzesło, na które wchodząc położyła przyniesioną torbę, i zajęła się wydostawaniem z niej (podnosząc krótkie swe rączki) nieskończonej ilości flaszeczek, gąbek, grzebyczków, szczoteczek, kawałków flaneli, szczypczyków i nożyków, jako też innych tym podobnych narzędzi, które rozkładała na krześle.

– Kto to ten młody przyjaciel? – spytała Steerforth.

– Pan Copperfield. Życzyłby poznać panią.

– Spodziewam się – rzekła wstając z pudełkiem w ręku i zbliżając się do mnie z uśmiechem. – Świeży jak malina.

Mówiąc to, wspięła się na końce palców, usiłując uszczypnąć mnie w twarz.

– Istna pokusa! Lubię maliny i brzoskwinie. Miło mi poznać pana, panie Copperfield.

Odpowiedziałem jej, że to ja jestem zachwycony tak miłą niespodzianką.

– A, jaki uprzejmy kawaler! – zawołała próbując zasłonić ręką twarz. Dziwnie zabawnie wyglądała jej mikroskopijna rączka przy szerokiej, wielkiej twarzy.

– Jakież ten świat pełen obłudy i kłamstwa, nieprawdaż?

– Co pani przez to rozumie, panno Mowcher? – spytał Steerforth.

– Cha, cha, cha! Wyborne dzieci! Miłe dzieci! – zawołała karliczka przechylając się, mrużąc oko i szukając czegoś w pudełku. – Ułamek książęcego paznokcia. Patrzcie! Nazywam go księciem A, B, C, bo boję się przekreślić nazwisko, w którym jak groch z kapustą znajdziecie zmieszane wszystkie litery alfabetu.

– Rosyjski książę jest klientem pani?

– Upewnić cię mogę, kotku. Dwa razy na tydzień obcinam mu na rękach i nogach paznokcie.

– Hojnie płaci?

– Tak samo, jak mówi, przez nos. Nie dopuściłby do siebie golibrody. A gdybyście widzieli jego wąsy! Rude z przyrodzenia, a jakie czarne pod działaniem sztuki.

– I rączek pani, panno Mówcher. Skłoniła głowę.

– Nie ma rady, musiał się do mnie uciec. Zwyczajny szuwaks dobry był tam w Rosji, ale nie tu. Takiego zardzewiałego księcia nie widzieliście jeszcze nigdy. Stara szpada.

– Ale dlaczego nazwała go pani błaznem! – zaśmiał się Steerforth.

– Tak, chłopcy! – mówiła, żywo potrząsając głową. – Wszyscyście błazny! Klnę się na ten oto ułamek książęcego paznokcia! A wiele mi ten paznokieć drzwi otwiera! Oho, wi-ę-

cej niż moja sztuka. Noszę się też z nim jak kot z sadłem. Najlepszy to list rekomendacyjny. Panna Mowcher musi przecie być biegłą, jeśli księciu obcina paznokcie! Pokazuję wszystkim młodym paniom i paniętom, udzielam po kawałeczku, tak jak osobliwość, do albumów i prywatnych zbiorów. Cha, cha, cha! Na honor! Cały „społeczny system”, jak tam mawiają w Parlamencie, jest systemem książęcego paznokcia – skończyła kiwając głową i usiłując skrzyżować na piersiach krótkie ramiona.

Steerforth śmiał się serdecznie, ja także. Panna Mowcher kiwała głową, mrużyła oko, mrugała.

– Tak to, tak – mówiła pocierając kolana i wstając. – Ale nie w tym rzecz. Zbadamy strefę podbiegunową i skończymy z tym.

Wybrała parę drobnych narzędzi, flaszeczkę jakąś i (ku wielkiemu memu zdziwieniu) spytała, czy stół utrzyma.

Na twierdzącą odpowiedź Steerfortha przystawiła krzesło i z moją pomocą znalazła się wkrótce na stole niby na estradzie.

– Jeśli który z was dostrzeże końce moich bucików – rzekła – niech powie, a wróciwszy do domu, otruję się.

– Nic nie widzę – upewnił Steerforth.

– Ani ja – dodałem.

– Oddycham! A teraz cip, cip, cip! Chodźcie, niech was oskubię.

Odnosiło się to do Steerfortha. Posłuszny wezwaniu usiadł plecami do stołu, twarz ą do mnie, powierzając jej mikroskopijnym rączkom swą głowę i włosy. Zabawnie wyglądał tak w ręku karliczki stojącej nad nim na stole i przyglądającej się obfitym zwojom jego ciemnych włosów za pomocą szkła powiększającego, które wydobyla z kieszeni.

– Piękny z ciebie chłopak – zdecydowała po dokonaniu uważnego przeglądu jego czupryny – beze mnie jednak byłbyś w niespełna dwanaście miesięcy łysy jak kolano. Chwilkę, kochanku! Wzmocnię ci czuprynę na jaki lat dziesiątek.

Mówiąc to, moczyła strzępki flaneli w zawartości flaszeczki, z drugiej nalewała coś na szczotkę i na przemian to nacierała, to szczotkowała głowę Steerfortha, mieląc ciągle językiem.

– A ten Charley Peygrave, syn księcia! Znasz go pewnie? – pytała zwracając ku sobie twarz mego przyjaciela.

– Tak, trochę.

– To mi mężczyzna! Co za wąsy! Co do nóg zaś – to nikt nie może z nim rywalizować. Próbował obejść się beze mnie... Gdy służył w gwardii... wiesz?

– Szalony!

– Tak mi coś wygląda. Próbował. Otóż udał się do perfumerii po flakon balsamu z Madagaskaru.

– On, Charley?

– On sam. Naturalnie, nie posiadali tam balsamu z Madagaskaru.

– Smaczne to? – pytał Steerforth.

– Smaczne! Wstydz się, żarłoku! – zawołała klepiąc go po twarzy. – To na wąsy. W sklepie była kobieta, niemłoda. Jako żywo nie słyszała o niczym podobnym. „Z przeproszeniem pana, mówi, czy to róż?” „Róż, na co mi róż?” – woła Charley. „Z przeproszeniem, bez obrazy, tak różnymi nazwami obdarzają te przedmioty kupujący, żem przypuszczała...” A teraz, kotku – ciągnęła szczotkując z zapałem włosy Steerfortha – mnie samej zdarza się czasem, mniej więcej... przepraszam, kochanku, to przez nieuwagę.

– Co takiego? Z różem?

– Zmieszać jedno z drugim – odrzekła dotykając palcem nosa. – Poznanie wszelkich tajemnic prowadzi do pożądanых rezultatów. I u mnie różne bywają nazwy. Pewna wdowa nazywa róż maścią do ust, inna rękawiczkami, inna krochmalem do kołnierzyka, inna

jeszcze wachlarzem, a ja na wszystko zgadzam się i służę każdej tym, czego potrzebuje, niby nic, niby ani się domyślając, o co idzie. Wierzą. Zdaje się im, że mają głupią przed sobą, a czasem pytają nawet: jak wyglądam? Czy nie jestem za blada? Pociecha, mówię wam, pociecha!

Nie zapomnę nigdy karlicy, stojącej na stole, śmiejącej się, szczotkującej kędziory Steerfortha i mrugającej na mnie.

– Ale – rzekła – tutaj na takie rzeczy nie ma wielkiego popytu, toteż ruszam w drogę. Zresztą odkąd tu jestem, nie widziałam pięknej kobiety.

– Czy być może?

—Upewniam. Ani nawet, doprawdy, cienia pięknej kobiety.

– Ha! Może my, Davy, moglibyśmy pokazać jedną z ciała i kości. Jak sądzisz, Davy? – mrugnął na mnie.

– Oczywiście – odrzekłem.

– Aha! – zawołała karlica patrząc na mnie, a potem zwracając znów ku sobie mikroskopijnymi swymi dłońmi twarz Steerfortha. Nie doczekawszy się odpowiedzi, szczotkowała z uprzednim animuszem głowę mego przyjaciela mrużąc jedno oko, a drugim strzelając w sufit.

– Pańska siostra, panie Copperfield? Co? – spytała po chwili.

– Nie, bynajmniej – uprzedził mnie Steerforth. – Owszem, pan Copperfield był, jeśli się nie mylę, pierwszym jej wielbicielem.

– Był i już nie jest? Co za wietrznik! Patrzcie! Lubi obrywać kwiatki! Co? Na imię jej Polly, co? – zawołała zwracając się do mnie tak nagle i z tak przenikliwym spojrzeniem, że się zmieszał.

– Nie, nie Polly – odrzekłem. – Na imię jej Emilia.

– Aha! – zawołała nie spuszczając ze mnie oka – jaka ze mnie grzechotka, jaka trzpiotka!

W głosie jej i spojrzeniu było coś, co mnie raziło nieprzyjemnie, odezwałem się zatem z powagą, której dotąd żaden z nas nie przybierał.

– Równie cnotliwa jak piękna, zresztą, zaręczona z najpocziwszym pod słońcem, z tej samej, co ona, sfery człowiekiem. Szanuję o tyle jej rozsądek, o ile uwielbiam wdzięki.

– Wybornie! – zawołał Steerforth. – Ho, ho! A teraz ja uzupełnię udzielone pannie Mowcher wiadomości, nie pozostawiając nic niepewnym domysłom; osoba, o której mówimy, jest z zawodu szwaczką, pracuje u „Omer i Joram”, krawca, tapicera i tak dalej, w tym oto sławetnym mieście. Proszę uważać: „Omer i Joram”! Zaręczona ze swym stryjecznym czy wujecznym bratem. Narzeczonemu na imię Ham, Peggotty na nazwisko, zawód: budowniczy barek i łodzi, w tym też oto sławetnym grodzie. Mieszka przy stryju, nie znanym mi z imienia, nazwiska Peggotty, żeglarzu i rybaka z zawodu, też tu, w sławetnym tym grodzie. Najpiękniejsza to i uroku pełna istotka! Na równi z moim tu obecnym przyjacielem zachwyca się nią niezmiernie i gdybym się nie bał narazić temu oto memu przyjacielowi, mającemu odmienną opinię, powiedziałbym, że zdaniem moim narzeczony nie jest wart narzeczonej, szkoda jej dla niego, mogłaby zrobić świetniejszą karierę, urodziła się bowiem na damę.

Panna Mowcher uważnie słuchała słów tych mówionych pomału, z naciskiem. Słuchając głowę miała przechyloną i oko przymknięte. Gdy skończył, wybuchła nowym potokiem słów:

– A! Tak, to i wszystko! – wołała obcinając mu bokobrody z niesłychaną zręcznością. – Dobrze! Bardzo dobrze! Cała historia z niezbędnym zakończeniem; „pobrali się i żyli długie lata”. Ślicznie. Zachwyca się E., bo jest ładna, lecz gniewam się na E., bo zaręczona. Ślicznie! Znam ją już najzupełniej: piękna, na imię jej Emilia, tu mieszka, czy tak? Cha, cha, cha! Panie Copperfield! Jaka ze mnie trzpiotka!

I patrząc na mnie wesoło i przebiegle ciągnęła dalej:

– No, masz talent, masz talent nie lada, Steerforcie! Mowa twoja obchodzi si ę bez przecinków i kropek, zrozumiałam ci ę, kotku, czy słyszysz, zrozumiałam! A teraz z Bogiem, kochanku. Kolej na pana Copperfielda.

– Cóż, Davy – pytał Steerforth wstając – chcesz być upiękaszony?

– Dziękuję pani, nie dzisiaj – odrzekłem.

– Nie wymawiaj się, kotku – upewniała przypatrując mi się z miną znawczyni – wyraźniejsze brwi nie zaszkodzą.

– Dziękuję pani – powtórzyłem – innym razem.

– Tylko chwilkę – nalegała – wystarczy na całe dwa tygodnie.

– Nie, dziękuję pani, nie teraz.

– No! Tak troszeczkę, co? Nie? Złazę z rusztowania. Chyba ten wąsik... co?

Zarumieniłem się. Była to bowiem słaba moja strona. Panna Mowcher przekonawszy się, że nie byłem w usposobieniu i że mnie nie skusi flaszeczką, którą podnosiła przypatrując się dla większej zapewne zachęty jej zawartości, zgodziła się odroczyć usługi swe i prosiła o zdjęcie jej ze stołu. Z naszą pomocą znalazła się wkrótce na podłodze i żywo zaczęła wiązać pod brodą wstążki od kapelusza.

– A honorarium? – pytał Steerforth.

– Pięć kłapsaczy. Co? Psie pieniądze, prawda, kotki wy moje! – zawołała. – Jaka ze mnie trzpiotka, panie Copperfield?

Protestowałem, gdyż tak grzeczność nakazywała, w duszy przyznając jej najzupełniejszą rację. Porwała podane sobie dwie półkorony, na kształt chochlika zadzwoniła nimi w głębi kieszeni.

– To skarbonka! – zawołała zbierając swoje pieniądze. – Czy wszystkie są graty? Zdaje się, że wszystkie. Nie chcę być podobna do tego oblubieńca, co jadąc do ślubu zapomniał tylko o oblubienicy. Cha, cha, cha! Głupiec, ale zabawny! A teraz „przyszła rozstania p o- ra!”, nie płaczcie, kotki wy moje, przenieście mężnie cios tak okrutny. Żegnam pana, panie Copperfield! Strzeż się, strzeż, młodzieńcze! Ależ terkotka ze mnie! Wasza to wina, be- zecniki! No, przebaczam. wam i żegnam: do widzenia! Do widzenia!

Mówiąc tak, z torbą zawieszoną na ramieniu, pobrzękując nią, potoczyła się na krótkich i zapewne jak u kaczki wykrzywionych nóżkach ku drzwiom. Na progu zatrzymała się jeszcze, pytając, czy ma zostawić nam na pamiątkę pukiel włosów? „Trzpiotka ze mnie” – dodała znikając i pogroziła nam na pożegnanie swą mikroskopijną rączką.

Po wyjściu jej Steerforth wybuchnął głośnym i tak szczerym śmiechem, żem mu również szczerze wtórował, chociaż sam nie śmiałybym się może. Naśmiawszy się do woli, mówił mi, że panna Mowcher ma rozległe stosunki i przeróżne oddaje ludziom usługi. Wielu widzi w niej z pewnością tylko dziwoląga i potwora, lecz ona sprytna jest, roztropna, czynna. Mówił mi, że wszystko, co opowiadała, prawdą jest, że jej wszędzie pełno, w Londynie i na prowincji, że rozległą ma klientelę i możnych znajomych. Spytałem go o jej usposobienie i charakter, czy złośliwa tylko jest, czy też zdolna pokochać to, co jest dobre i szlachetne? Nie otrzymał odpowiedzi i widząc, że jest roztargniony, zaniechałem dalszych w tej sprawie pytań. Natomiast Steerforth opowiadał mi wiele o jej zręczności, zawodzie, korzyściach. Miała sławę doskonałej fryzjerki.

Przez cały chyba wieczór była tematem naszej rozmowy i nawet rozchodząc się na noc Steerforth cytował jeszcze jakieś jej koncepty.

Wracając do domu, zdziwiony byłem zastawszy przede drzwiami Hama, który oznajmił mi, że Emilka jest wewnątrz. Spytałem go, dlaczego i on nie wszedł.

– Bo – rzekł zmieszany – Emilka ma tam z kimś coś do pomówienia.

– Tym bardziej – zauważyłem – powinien byś znajdować się wówczas z nią razem.

– Tak, niby to tak, na ogół – odrzekł, głos zniżając i z niezwykłą powagą. – Ale tym razem... idzie o młodą kobietę, którą Emilka знаła dawniej... a nie powinna znać już teraz.

– Słowa te rzuciły nagle światło na postać dojrzaną na ulicy przed kilkoma godzinami.

– Nieszczęsna to istota – ciągnął Ham. – Ciągłe włóczy się po mieście, a ludzie stronią od niej jak od zarazy.

– Zdaje mi się, że ją dziś wieczorem spotkałem, tam, na wybrzeżu.

– Doganiała nas, prawda. Nie zbliżyła się wówczas i tylko potem, kiedyśmy zapalili światło w domu, posłyszałem, jak ktoś pod oknem Emilki jęczy: „Emilko! Emilko! Na rany Chrystusa! Zmiłuj się nade mną. Niedawno jeszcze podobna do ciebie byłem”. Wzruszające to zaklęcia, paniczu Davy.

– Prawda – odrzekłem – i cóż na to Emilka?

– Emilka mówiła: „Marto, ty to! Ty! Marto!” Obie pracowały razem u pana Omera.

– Przypominam ją teraz sobie! – zawołałem. – Była to jedna z dwu szwaczek, które w idziałem u krawca za pierwszej mej bytności. Pamiętacie?

– Marta Endell – potwierdził Ham. – O lat kilka starsza od Emilki, szkolna jej koleżanka.

– Nie znałem jej z nazwiska. Cóż dalej?

– Otóż wzdychała, że aż się serce ścisnęło: „Emilko, Emilko! Nie odwracaj się ode mnie, wszak niegdyś byłem taka jak ty”. Chciała mówić z Emilka, a że to było niemożliwe tam, w domu, bo stryj... ano tak, paniczu, dobry on jest, ludzki, miłosierny, ale nie zniósłby, nie zniósłby nigdy, za żadne nie pozwoliłby skarby, aby się tamta zbliżyła do naszej Emilki.

Czułem, że mówił prawdę. Sam to wiedziałem.

– Zatem Emilka napisała na papierku i podała jej przez okienko: „Pójdź do ciotki, pokaz jej to, zrobi to ona dla mnie i pozwoli ci się ogrzać u swego ogniska, a gdy stryj wyjdzie, ja też tam przyjdę”. Tak mi opowiedziała prosząc, abym tu ją przywiódł. Powtarzam dosłownie, jak mi mówiła. Cóż miałem począć? Może to niepotrzebne, ale jak tu jej odmówić, gdy ma łzy w oczach.

Założył rękę za kamizelkę, wyjął małą sakiewkę.

– A jeśli – mówił z uszanowaniem kładąc ową sakiewkę na szerokiej swej dłoni – niepodobna mi odmówić jej, gdy ma łzy w oczach, jak że odmawiać, gdy powierza mej pieczy skarb ten swój, a wiem, na co to tu przyniosła! Nie bogata ta moja kochana Emilka!

Ścisnąłem mu gorąco rękę i przez chwil kilka chodziliśmy razem milcząc. Wkrótce drzwi się otworzyły i Peggotty skinęła na Hama. Chciałem przejść do mego pokoju nie widziany, lecz było to niepodobieństwem, pokój był tuż przy kuchni i skoro tylko drzwi otworzyłem, znalazłem się wśród całego towarzystwa.

Dziewczyna, ta sama, którąśmy spotkali na piaskach wybrzeża, siedziała na ziemi, przed kominem, z głową opartą o krzesło. Wyobraziłem sobie, że na krzesle tym przed chwilą siedzieć musiała Emilka, trzymając na kolanach głowę nieszczęsnej. Nie mogłem się jej dobrze przypatrzeć, gdyż potargane włosy pokrywały jej twarz, wydała mi się tylko młoda i przystojna. Peggotty była zapłakana, podobnie jak Emilka. Nikt nie przemówił ani słowa i tylko w ciszy rozlegało się tik-tak ściennego zegara.

Pierwsza przemówiła Emilka zwracając się do Hama:

– Marta chce wyjechać do Londynu – rzekła.

— Czemu do Londynu? – spytał rybak.

Stał pomiędzy dwiema kobietami, patrząc na siedzącą na ziemi dziewczynę ze współczuciem i niezadowoleniem zarazem, że samą swą obecnością obraża już jego ukochaną. Pamiętam dobrze całą tę scenę. Oboje mówili głosem przyciszonym i jak gdyby czuli na piersiach ogromny ciężar.

– Lepiej tam niż gdzie indziej – odezwał się głos trzeci, Marty, która pozostała nieruchoma. – Nikt mnie tam nie zna, tu – znają wszyscy.

— Co ona tam pocznie? – pytał Ham.

Podniosła głowę i spojrzała nań ponuro, a potem znów spuszczać głowę porwała się za szyję, jak gdyby udusić się chciała w przystępie szaleństwa czy rozpacz.

– Postara się żyć uczciwie – ozwała się Emilka. – Nie słyszałeś jej zapewnień? Prawda, ciociu, prawda?

Peggotty ze współczuciem potrząsnęła potakująco głową.

– Postaram się, jeśli mi dopomożecie – rzekła Marta. – Gorzej już niż tu żyć nie mogę, a może będę żyć lepiej. Och! – ciągnęła drżąc na całym ciele – wyrwijcie mnie z tego piekła, z tych ulic, gdzie mnie każdy zna od urodzenia.

Emilka wyciągnęła dłoń do narzeczonego, zauważyłem, że oddał jej coś i odeszła sądząc, że ma swą sakiewkę, lecz spostrzegłszy pomyłkę, zwróciła się pytając do stojącego przy mnie Hama.

– Twoje to, twoje, Emilko! – mówił szybko, przyciszonym głosem – wszystko, co moje, twoje, nic mi niepotrzebne, tylko dla ciebie.

Łzy nabiegły jej do oczu. Zwróciła się milcząc do Marty. Nie wiem, co jej dała. Widziałem, jak nachylona nad nią wsuwała jej w zanadze pieniądze pytając szeptem, czy wystarczy.

– Więcej, niż potrzeba – mówiła tamta całując jej rękę.

Wstała, otuliła się w chustkę i płacząc w głos wyszła za drzwi. Na progu zatrzymała się, jak gdyby czegoś zapomniała i chciała wrócić, lecz żadne słowo z ust jej nie wyszło. Zaszlochała głośnie i wybiegła na ulicę.

Gdy drzwi się zamknęły, Emilka popatrzyła z kolei na nas i kryjąc twarz w dłoniach rozplakała się.

– Emilko, kochanko! – uspokajał ją narzeczonego potrząsając łagodnie za ramię.

– Och, Ham! – zawołała szlochając. – Nie zasługuję na tyle dobroci, przywiązania, nie umiem być tak wdzięczna, jak być powinnam.

– Umiesz! Wiem to! – upewniał ją Ham.

– Nie, nie, nie! – szlochała trzęsąc główką – niewdzięczna, niedobra ze mnie dziewczyna! Płakała, jak gdyby jej serce pękało z żalu.

– Nadużywam twego przywiązania, nie zasługuję na nie – szlochała. – Nie jestem tym, czym być powinnam. Ty, to co innego! Tyś zawsze dobry, ja powinnam myśleć tylko o tym, aby cię uszczęśliwić.

– Ależ uszczęśliwiasz mnie – twierdził Ham. – Moje szczęście to patrzeć na ciebie, myśleć o tobie!

– Ale to nie dość, nie dość. To właśnie dlatego, żeś ty taki dobry, a ja na to nie zasługuję. Szczęśliwiej byłoby dla ciebie, jeśli byś kochał inną, lepszą ode mnie dziewczynę, przywiązaną do ciebie i nie tak jak ja próżną i zmienną.

– Biedaczko ty moja! Gołąbko złota! – skarżył się Ham z cicha. – Ta Marta wzruszyła cię tak, rozdrażniła.

– Ciociu! – łkała Emilka. – Ciociu, chodź tu bliżej, niech położę głowę na twym ramieniu. Tak mi smutno, tak gorzko. O, wiem ja, wiem, że nie jestem tym, czym być powinnam.

Peggotty przysunęła krzesło, posadziła na nim Emilkę, objęła ją czule za szyję, patrząc jej w oczy.

– Ratuj mnie, ciociu! – błagała ta ostatnia. – Ham, kochanku, ratuj! Davy, przez pamięć dawnych czasów, ratujcie! Pomóżcie! Chcę się poprawić, być lepsza, wdzięczniejsza. Co to za szczęście być żoną takiego poczciwego człowieka i wieść życie ciche, spokojne! Oj, serce! Biedne ty moje serce!

Opuściła głowę na łono starej mej piastunki i w żalu swym na poły kobiecym, dziecięcym na poły, takie w istocie było dotąd całe jej zachowanie (z czym jej zresztą bardzo było do twarzy), płakała długo i rzewnie.

Dobra Peggotty uspokajała ją, jak się uspokaja dziecko, pieszcząc, gderając, żartując na przemian. Stopniowo uspokajała się, podniosła głowę, zaczęła odpowiadać nam. Wkrótce uśmiech zjawił się na jej ustach. Siedziała zawstydzona, a Peggotty poprawiała jej włosy, ocierała łzawe jeszcze oczy, aby się stryj nie przestraszył, gdy wracając do domu, ujrzy ją zapłakaną.

Wieczoru tego dostrzegłem to, czegom przedtem nie dostrzegł był jeszcze. Dostrzegłem, jak pocałowała szczerze w twarz przyszłego swego męża, tuląc się do silnych jego ramion, a gdy odchodzili w srebrnym świetle miesiąca, porównałem odejście ich z odejściem Marty. Emilka obiema rączkami zawisła u ramienia narzeczonego.

Rozdział XXIII

Wysłuchuję rad pana Dicka i obieram zawód

Przebudziwszy się nazajutrz, długo jeszcze myślałem o Emilce, jej łzach po odejściu Marty, i zdawało mi się, że tajemnicy jej serca nie mam prawa zdradzić przed nikim, ani nawet przed przyjacielem moim. Dla nikogo nie czułem w sercu tyle tkliwości, jak dla tej dziewczynki, która dzieliła dziecięce moje zabawy i którą wówczas, przekonanie to zachowam do grobowej deski, z całego kochałem serca. Powtórzyć komu bądź, bodaj przyjacielowi, to, co się jej w żalu z głębi duszy wyrwało, wydawało mi się czymś brutalnym i kalającym ten słoneczny promień dziecięcych uczuć, którym nie przestałem nigdy wieńczyć jej czoła. Postanowiłem zachować to wyłącznie dla siebie, a wszystko to dodawało jej w mych oczach wdzięku.

Gdyśmy byli przy śniadaniu, podano mi list od ciotki, w sprawie, w której Steerforth mógł udzielić mi rady. Uszczęśliwiony byłem nadarzącą się sposobnością zasięgnięcia jego rady. Postanowiłem uczynić to w podróży, gdyż na wyjeźdźnym byliśmy dostatecznie zajęci i bez tego. Pan Barkis opłakiwał nasz wyjazd tak dalece, że nie wątpię, iż otworzyłby swą skrzynkę i nową poświęcił gwineę, jeśliby to nas mogło zatrzymać przez parę dni jeszcze w Yarmouth. Peggotty i całą jej rodzinę wyjazd nasz pogrążył w żalu. Cały zakład „Omer i Joram” opuścił sklep, aby nas pożegnać, i tyle znalazło się dokoła Steerfortha rąk gotowych nieść do stacji dyliżansu nasze walizy, że jeślibyśmy mieli rekwiizyty całego pułku, jeszcze byśmy w przeniesieniu ich najmniejszego nie doświadczyli kłopotu. Jednym słowem, odjeżdżaliśmy w porę, pozostawiając żal po sobie.

– Na długo tu zostajecie? – spytałem Littimera wsiadając do dyliżansu.

– Nie, proszę pana, nie na długo zapewne – odrzekł.

– Sam tego jeszcze dziś wiedzieć nie może – wtrącił Steerforth. – Wie, czego ma tu dokonać, i dokona.

— O tym nie wątpię – zauważyłem.

Littimer uniósł kapelusza dziękując zapewne za wyrażenie tak dobrej o nim opinii; co do mnie zaś – czułem się, jakbym miał lat osiem. Pożegnał nas, życząc nam szczęśliwej podróży, a odjeżdżając, pozostawiliśmy go na miejscu, tajemniczego i niewzruszonego jak egipska piramida.

Milczeliśmy czas jakiś, Steerforth zdawał się być zamyślony. Co do mnie, raz jeszcze w myśli żegnałem miłe mi miejsca, marząc o zmianach, jakie w nich i we mnie czas przyniesie. Nagle Steerforth poweselał, rozgadał się potrzęsając mnie za ramię:

– Odezwiąj się, hej, Davy! – zawołał. – Cóż to za list otrzymałeś przy śniadaniu?

– A tak! – rzekłem dostając list z kieszeni – od ciotki.

– Czy to warte zastanowienia?

– I bardzo! Ciotka przypomina mi, że się moje wakacje kończą i że o przyszłości pomyśleć trzeba.

– Masz chyba już jakieś widoki?

– Wyznam ci prawdę, nie myślałem o tym.

– A teraz za karę obejrzyj się dokoła – zaśmiał się Steerforth. – Na prawo pusto, na lewo pusto, przed tobą to samo, za tobą nie inaczej.

Zaśmiałem się. Istotnie widok dokoła mnie żadnych nie budził nadziei. Krajobraz przedstawiał nagą równinę.

– A co ci o tym pisze ciotka? – pytał poważny już Steerforth. – Żadnej nie nasuwa myśli?

– Tak, niby pyta mnie, co bym myślał o zostaniu proktorem.

– Ha! – chłodno zauważył Steerforth – mógłbyś zarówno być i czym innym.

Zaśmiałem się z jego miary i wagi dla zawodów ludzkich i spytałem:

– Czy wiesz, co to proktor?

– Rodzaj adwokata w mnisim kapturze – odrzekł. – Jest tam jakaś podła nora w pobliżu cmentarza Św. Pawła, a w niej instytucja zwana Doctors' Commons⁶, która na dobry ład powinna była przestać istnieć przed dwustu laty. Wy tłumaczę ci to lepiej biorąc przykład z Doctors' Commons. Jest to też nora, gdzie rozbierają kościelne prawa, przetrząsają jakieś stare akta Parlamentu, o których dziś nikt już nie wie, wykopują akta z czasów Edwardów⁷, kopalniana robota, rozstrzygają się też tam sądy nad testamentem i małżeńskimi kwestiami, sprzeczki okrętów z barkami.

– Prawisz nonsensy, Steerforcie! Co morskie sprawy mieć mogą do kościelnych praw?

– Wcale nie nonsensy! Zobaczysz, że te i tamte podpadają pod kompetencje tychże samych sędziów. Będąc tam kiedyś, usłyszysz całe słowniki morskich wyrażeń, a nazajutrz długie rozprawy nad teologiczną jakąś zawilnością w sprawie takiego lub owego duchownego. Kontrowersje! Czcze gadulstwo! Ludzie ci podobni do aktorów, raz występujących w roli sędziów, to znów doradców, raz tacy, drugi owacy, zmieniają się w oka mgnieniu, chorągiewki na wietrze. Komedia, której przypatruje się wyborowa publiczność.

– Czy adwokaci i proktorowie to jedno i to samo? – pytałem zmieszany nieco tym, com usłyszał.

– Nie! – rzekł Steerforth. – Adwokaci są to urzędnicy cywilni, ludzie, którzy w uniwersytecie ubiegają się przedtem o stopień doktorów obojga praw, toteż prawdę mówiąc, niewiele z nimi mam wspólnego. Proktorowie używają tylko adwokatów, są zresztą z nimi na przyjacielskiej stopie, ustawiczna zamiana grzeczności, poczęstunków i tak dalej. Ha! W każdym razie zalecam ci szacunek dla tego trybunału jurystów. Domaga się on tego!

Słuchałem Steerfortha, a chociaż Doctors' Commons nazwał norą w pobliżu cmentarza Św. Pawła, nie przstraszyła mnie jakoś nazbyt podsunięta przez ciotkę myśl. Ciotka zostawiała mi zresztą zupełną swobodę działania, pisząc, że myśl tę nasunęła jej niedawno dokonana wycieczka i zasięgane porady pewnego uczonego proktora w kwestii testamentu, który zamierzała sporządzić na mą korzyść. Powiedziałem to Steerforthowi.

– Bardzo pocziwie ze strony twojej ciotki – zauważył – i powinno to wzmocnić twój szacunek dla Doctors' Commons.

Zdawało mi się istotnie, że warto pomyśleć o tym. Tymczasem ciotka, jak mi to pisała, wyjechała na moje spotkanie do Londynu, gdzie zatrzymała się w jakimś hotelu z kamienicznymi schodami i wygodnym wejściem na dach, przekonana bowiem była, że co nocy pożar grozi wszystkim domom stolicy.

Podróż zeszła nam przyjemnie. Rozmawialiśmy o Doctors' Commons, o tych dalekich czasach, gdy zostanę prawdopodobnie proktorem, a Steerforth miał w pogotowiu tysiąc

⁶ Doctors' Commons – „Stowarzyszenie Doktorów Praw upoważnionych do występowania w Trybunałach Duchownych i Sądach Admiralicji”. Przy sądach tych zatrudnionych było w charakterze doradców i obrońców 34 proktorów.

⁷ Czasy Edwardów (mowa o Edwardzie I, Edwardzie II i Edwardzie III) to przypadający na wiek XIII i XIV okres schyłku feudalizmu w Anglii. W tym czasie formuje się w Anglii system parlamentarny i prawodawstwo.

scen komicznych, które obu nas pobudzały do śmiechu. W Londynie rozstaliśmy się. Steerforth pojechał do siebie, obiecując odwiedzić mnie nazajutrz, ja zaś udałem się wprost pod wskazany mi w liście ciotki adres. Zastałem ją oczekującą mnie z wieczerzą.

Miło mi było spotkać ciotkę. Witła mnie, jak gdybym wracał z drugiej półkuli, a chociaż sama łzy miała w oczach, śmiała się dowodząc, że jeśliby matka moja żyła, płakałaby z pewnością, gdyż tak bardzo była dziecinna!

– A ciotka zostawiła pana Dicka w domu – z żalem zauważyłem. – Janet! Jak się masz, Janet!

Janet dygnęła pytając, jak się miewam. Ciotka jakby się zasmuciła. Ciagle pocierała nos.

— I ja żałuję, że go tu nie ma z nami – mówiła. – Utraciłam spokój, odkąd tu jestem.

Uprzedziła moje pytanie i ciągnęła:

– Nabrałam przekonania, że Dick nie jest stworzony do odganiania osłów. Brakuje mu potrzebnej energii. Wypadałoby raczej zostawić Janet, byłabym spokojniejsza. Lecz je śli kiedy, to dziś najpewniej, o czwartej po południu było tam prawdziwe naj ście osłów.

Staralem się ją pocieszyć.

– Ten sam, wyobraź sobie, ten sam, na pewno ten sam – mówiła – bez ogona, ten, na którym wjazd odbywała ta tam, siostra tego Murdstone'a. Je śli już jest w Dover jaki osioł szczególnie mi nienawistny – kończyła uderzając pięścią w stół – to ten chyba... Bydlę!

Janet ośmieliła się zauważyć, że się może pani irytuje przedwcześnie, że wie nawet, iż ów osioł bez ogona zamówiony był do wożenia piasku i kamieni na szosie. Nie uspokajało to bynajmniej ciotki.

Wieczera dobra była i nawet gorąca, chociaż ciotka ulokowała się, jak mogła najwyżej, czy aby w razie pożaru być jak najbliżej drzwi wychodzących na dach, czy z innych względów, powiedzieć nie potrafię. Podano zrazy, pieczoną kaczkę i jarzyny. Byłem przy apetycie, tylko ciotka, nie dowierzając stołecznej kuchni, jadła mało.

– Wyobrażam sobie – mówiła – że nieszczęsna ta kaczka urodziła się i wychowała gdzieś w spiżarni i chyba w jakiejś stajence odetchnęła świeżym powietrzem. Tss, kto może zaręczyć, że zrazy te są z wołowiny? Może, a może i nie. Wszystko tu podrobione oprócz błota.

– Czy ciotka nie przypuszcza, że kaczkę przywieźli ze wsi? – spytałem.

– Ale gdzie tam! – odrzekła. – Nie mogłoby to zadowolnić tutejszych oszustów.

Nie wdawałem się w dalsze dyskusje w tak delikatnym przedmiocie, jadłem z wybornym apetytem, co zresztą zadowalniało w zupełności mą ciotkę. Gdy zdjęto obrus ze stołu, Janet pomogła jej ułożyć włosy na noc, włożyć nocny czepek (wykwintniejszy niż zazwyczaj, „na wypadek pożaru” – objaśniła ciotka). Otuliła jej potem nogi suknią, co było w zwyczaju ciotki co wieczór dla zagrzaną się przed pójściem do łóżka. Przygotowałem i podałem jej, jak zwykle, szklankę grzanego wina z wodą i cieniutkie grzanki, po czym zostaliśmy sami na poufnej rozmowie. Ciotka w nocnym czepku, zagłębiona w fotelu, popijała winną polewkę, patrząc na mnie z zadowoleniem.

– No, Trot – ozwała się – co myślisz o proktorstwie? A możeś się jeszcze nad tym nie zastanowił?

– Owszem, kochana ciotko – odrzekłem. – Wiele śmy o tym rozprawiali ze Steerforthem. Podoba mi się ten projekt.

– Tym lepiej! – zawołała ciotka. – Cieszy to mnie niezmiernie!

– Jedno mnie tylko zastanawia.

– Co? Powiedz co, mów otwarcie.

– Otóż chciałbym wiedzieć, czy wejście moje do tego zawodu nie pociągnie zbyt dużych kosztów?

— Tysiąc funtów, ni mniej, ni więcej – odrzekła.

Przysunąłem się bliżej.

– Otóż właśnie, kochana ciotko, to mnie zastanawia – mówiłam. – Poważna to cyfra. Byłaś dla mnie tak hojna pod każdym względem, tyle już wydałaś na moje wychowanie. Zapewne są inne zawody mniej kosztowne, a które przy pracy i wytrwałości mogą zapewnić przyszłość. Może by lepiej czegoś podobnego spróbować? Czy pewna jesteś, kochana ciotko, że możesz na ten cel właśnie wydać tak znaczną sumę pieniędzy? Daruj, jeśli cię o to pytam, i proszę, byś się nad tym dobrze zastanowiła, lecz traktuję cię jako drugą matkę i najzupełniejsze w tobie pokładam zaufanie.

Ciotka kończyła pić polewkę, nie spuszczać ze mnie oka. Pustą szklanekę postawiła na kominku i wówczas dopiero, zakładając ręce na piersiach, w te odezwała się słowa:

– Trot! Kochany chłopcze! Jeden tylko mam cel w życiu, wyprowadzić cię na pocziwego, porządnego i, o ile się da, szczęśliwego człowieka. Dick tak samo innego przed sobą nie widzi celu. Chciałabym, aby ktoś słyszał, jak o tym mówi! Dziwnie przezorny, dziwnie, nikt oprócz mnie ani się domyśla, jakie to tam w tej głowie mieszczą się skarby!

Zatrzymała się, ujęła mą rękę w swe dłonie i tak ciągnęła dalej:

– Nie warto wspominać przeszłości, chyba o tyle, o ile to ma wpływ na teraźniejszość. Może mogłam pozostawać w lepszych z twym ojcem stosunkach, niż byłam, może mogłabym kochać to biedne dziecko, twą matkę, chociaż zawiodła mnie tak okrutnie co do Betsey Trotwood. Wszystko to być mogło i wierz mi, pożałowałam przeszłości i żal mi ścisnął serce, gdyś przybył do mnie jako włóczęga, obdartus. Odtąd po dziś dzień nie zawiodłam się na tobie ani razu. Dumna być mogę z ciebie, byłeś mi ciąglą pociechą. Nie mam żadnych obowiązków – tu zawahała się i niby zmieszała – uważam cię za przybrane swe dziecko, pociechę mojej starości. Będąc cierpliwy i pobłażliwy dla dziwactw moich i kaprysów, aż nadto wynagrodzisz tym kobietę, której młodość nie była tak pomyslna, jak to wypadało, i aż nadto wynagrodzisz moje starania.

Po raz pierwszy wzmiankowała coś o swej przeszłości, a czyniła to zapewne przez dobroć serca i delikatność, które by wzmogły moje uczucia dla niej, gdyby takowe wzmożonymi jeszcze być mogły.

– Wszystko już tedy pomiędzy nami postanowione – kończyła – postanowione i omówione. A teraz pocałuj mnie. Jutro po śniadaniu pojedziemy do Commons.

Długośmy jeszcze gwarzyli wieczoru tego. Pokój mój był na tym samym co ciotki korytarzu i kilkakrotnie w nocy pukała do drzwi, pytając mnie, czy słyszę hałas. Wozy jadące na rynek budziły ją. Nad rankiem dopiero zasnęła na dobre i ja też zasnąć mogłem.

Nazajutrz o południu wybraliśmy się do kancelarii panów Spenlow i Jorkins w Doctors' Commons. Ciotka w przekonaniu, że Londyn przepełniony jest samymi kieszonkowymi złodziejami, wręczyła mi swój woreczek z dziesięcioma gwineami i drobnym srebrem.

Zatrzymaliśmy się na Fleet Street dla podziwiania olbrzymów na wieży Św. Dunstana uderzających w dzwony i umyślnie w tym celu staraliśmy się stanąć tam w samo południe, potem przez Ludgate Hill udaliśmy się na cmentarz Św. Pawła. Docieraliśmy już do miejsca, gdy zauważyłem, że ciotka, wystraszona, przyspiesza kroku. Jednocześnie zauważyłem obdartego mężczyznę, który się zatrzymał patrząc na nas uważnie, a po chwili namysłu odwrócił się i szedł za nami.

– Trot! Dziecko moje! – zawołała przerażona ciotka. – Nie wiem sama, co począć.

– Niech się ciotka uspokoi – perswadowałem. – Nie ma się czego bać. Niech ciotka wejdzie do któregoś tu sklepu, a ja się rozprawię z tym jegomościem.

– Za nic, za nic! – wołała. – Nie trzeba, abyś z nim mówił. Proszę cię, zabraniam!

– Ależ na Boga, ciotko! To jakiś bezczelny żebrak.

Zatrzymaliśmy się w pustej bramie. Mężczyzna ów też się zatrzymał.

– Nie patrz na niego, nie oglądaj się – mówiła ciotka od zmysłów niemal odchodząc. – Ot, zawołaj mi lepiej dorożkę, a sam tu na mnie poczekasz.

– Mam cię puścić samą?
– Tak, samą, muszę – odrzekła stanowczo – samą z nim.
– Z nim? Z tym nieznanym?
– Nie, nie zwariowałam, dziecko moje, wiem, co robię, i mówię ci, że muszę się z nim rozmówić. Zawołaj dorożkę i oddaj mi woreczek.

Zdziwiony, czułem jednak taką stanowczość w powziętym przez ciotkę zamiarze, że się nie ośmieliłem jej sprzeciwiać. Zawolałem dorożkę i zanim zdołałem wsadzić ciotkę, wskoczyła w nią sama, a nieznanomy, jak gdyby to od dawna umówione było, za nią, tak zaś energiczny był ruch ręki ciotki, że się od nich odwróciłem mimo woli i usłyszałem tylko wydany dorożkarzowi rozkaz: „wprost przed siebie, byle gdzie”.

Teraz przypomniało mi się opowiadanie pana Dicka. To, com poczytywał za przywidzenie, było rzeczywistością. Nie mogłem wątpić, że indywiduum to było tą samą osobą, o której tak tajemniczo wspominał, ale gubiłem się w domysłach nad naturą jego stosunku do ciotki. Po półgodzinnym wyczekiwaniu na cmentarzu ujrzałem wracającą dorożkę. Ciotka siedziała w niej sama.

Nie uspokoiła się jeszcze dostatecznie i kazała mi wsiąść do dorożki zlecając dorożkarzowi, aby jechał powoli. „Nie pytaj mnie o nic” – rzekła i pogrzyła się w milczeniu. Po pewnym czasie upewniła mnie, że już się uspokoiła i może złożyć zamyślaną wizytę, a gdy dała mi woreczek dla opłacenia dorożkarza, zauważyłem w nim brak uprzednich gwinej. Zostały same drobne pieniądze.

Wchodziło się do Commons przez niską, sklepioną bramę. Hałas miejski ginał tu cichym jakimś sposobem, cichł, oddalał się. Przeszliśmy kilka pustych, głuchych dziedzińców i wąskie przejście doprowadziło nas do kancelarii panów Spenlow i Jorkins. Jasno tam było, obszernie, przytulnie. W pierwszej sali pisało kilku pisarzy. Jeden z nich, suchy, maleńki człowieczek w rudej peruce piernikowego koloru, powstał i wprowadził nas do przyległego gabinetu.

– Pan Spenlow – rzekł – nie wrócił jeszcze z sądów, natychmiast pošlemy po niego.

Przypatrywałem się gabinetowi. Meble były stare i spłowiałe, a zielone sukno na biurku utraciło najzupełniej pierwotną swą barwę. Na stole piętrzyły się książki i papiery, broszury, a na okładkach najrozmaitsze napisy: tu „Trybunał Duchowny”, tam „Sąd Apelacyjny”, „Admiralicja”, „Izba Deputowanych”. Podziwiałem tę różnorodność rozmyślając jednocześnie, jak trudno orientować się w tym wszystkim. Pomiędzy tym olbrzymie, osobne książki dowodów, powiązane i wystarczające nieraz dla napelnienia kilku tomów. Wszystko to razem wzięte wyglądało jednak wielce zachęcająco i nie zrażało mnie wcale do upatrzonego zawodu. Przenosiłem ciekawie oczy z przedmiotu na przedmiot, gdy się rozległy szybkie kroki. Po chwili wszedł pan Spenlow w czarnej, białym futerkiem obszytej todze.

Był to jasnowłosy, mały dżentelmen, w eleganckich błyszczących butach, oślepiająco białej koszuli i krawacie. Ubrany starannie, wiele czasu musiał poświęcać wybornie wyczesanym i fryzowanym bokobrodom. Dewizkę od zegarka miał tak ciężką, że mimo woli pomyślałem, że aby ją podnieść, trzeba posiadać twardą złoconą rękę, taką jak te, które w jubilerskich wystawach podtrzymują podobne przedmioty. Był sztywny i tak wykrochmalony, że się poruszał z trudnością i, na kształt klucza, chcąc obrócić głowę, obracał się musiał cały.

Zostałem mu przedstawiony przez ciotkę. Powitał mnie uprzejmie, a był już widać uprzedzony, o co idzie, gdyż rzekł:

– Więc pan, panie Copperfield, zamierza wstąpić do naszego zawodu? Onegdaj, mając zaszczyt widzieć ją – tu ukłon w stronę mej ciotki – przypadkowo nadmieniałem pannie Trotwood, że mamy miejsce. Panna Trotwood raczyła wzmiankować, że ma siostrzeńca, którego przyszłość żywo ją zajmuje. Tym siostrzeńcem jesteś pan zapewne.

Tu znów się cały, jak za poruszeniem sprężyny, zwrócił ku mnie.

Skłoniłem się mówiąc, że przedstawiony mi przez ciotkę zawód uważam za nader zaszczytny, że nie mogę wszelako z góry, i dopóki się bliżej nie zaznajomię, zapewnić, że do zawodu tego szczególne czuję powołanie, i że wreszcie mam nadzieję, iż mi dozwolone będzie wypróbować samego siebie, zanim się stanowczo związę powziętym postanowieniem.

– Zapewne, zapewne – potwierdzał pan Spenlow. – Zwyczajem naszym jest ofiarować nowo wchodzącym do korporacji miesiąc próbny, że tak powiem. Co do mnie nic bym nie miał wprawdzie przeciw dwom, trzem miesiącom, lecz mój wspólnik, pan Jorkins!...

– Cena tysiąc funtów – rzekłem.

– Tysiąc włącznie z patentem – potwierdził pan Spenlow. – Nie kieruję się, jak to miałem zaszczyt mówić panie Trotwood, materialnymi względami. Nie ma może człowieka, który by się nimi mniej ode mnie kierował, lecz wspólnik mój, pan Jorkins, ma w tym względzie zasady, które uszanować widzę się zmuszonym. Słowem, wspólnik mój, pan Jorkins, uważa sumę tysiąca funtów za niedostateczną raczej.

– Czy tutaj – rzekłem pragnąc zaoszczędzić ciotce mej kosztów – nie jest w zwyczaju, gdy uczeń okaże się użyteczny i zdolny – zarumieniłem się po uszy tą wygłoszoną niby pochwałą samego siebie – czy tutaj nie jest w zwyczaju dawać mu...

Pan Spenlow z wielkim wysiłkiem wyciągnął głowę z silnie nakrochmalonego kołnierzyka i szerokiego krawatu, wstrząsnął nią i uprzedzając mię:

– Pensję... Nie, wcale nie – rzekł. – Nie wyrażam tu własnej mej opinii w tym względzie, ale zaznaczam, że zależę od mego wspólnika pana Jorkins, który jest niewzruszony w swych zasadach.

Przerażał mnie obraz owego niewzruszonego w zasadach wspólnika. Z czasem przekonałem się, że Jorkins był człowiekiem łagodnym, miękkim, który w spółce bywał zawsze usuwany na najdalsze plany, chociaż imię jego służyło za parawan najzaciętszemu i najszerszemu z ludzi. Jeśli który z uczniów żądał podwyższenia płacy, pan Jorkins słyszeć jakoby o tym nie chciał. Jeśli który z klientów ociągał się z wniesieniem pieniędzy, pan Jorkins upominał się o takowe, egzekwował, a pan Spenlow stosować się musiał do wspólnika, jakiegokolwiek by było własne jego w tej mierze zdanie. Dłóń i serce tego dobrego, słodkiego pana Spenlow otwarte byłyby dla ludzkości całej, ale cóż? Istniał ów wspólnik, uosobienie chciwości, nieubłagany w zasadach swych, Jorkins! Z czasem poznałem wiele podobnych spółek i niejednego Spenlowa, chowającego się za plecy niejednego Jorkinsa!

Postanowiono, że rozpocznę mój próbny miesiąc, kiedy będę miał na to ochotę, ciotka zaś może wracać spokojnie do domu, gdzie kontrakt będzie można posłać jej do podpisu. Pan Spenlow oświadczył mi potem gotowość zaprowadzenia mię do trybunału. Zgodziłem się chętnie. Ciotka została tymczasem w kancelarii, wyznając, że się boi wszelkich trybunałów i miejsc podobnych, które wcześniej czy później wysadzone być mogą w powietrze

8

Pan Spenlow prowadził mnie przez brukowany, ciężkimi murowanymi budynkami opasany dziedziniec. Nad drzwiami czerniały nazwiska sędziów i doktorów obojga praw. Były to przybytki adwokatów, o których wspominał Steerforth. Na lewo weszli śmy do olbrzymiej, do kościoła podobnej sali. Głęb tej sali była oddzielona od reszty kratkami, a na podwyższeniu mającym kształt olbrzymiej podkowy, na krzesłach o wysokich, równych poręczach siedzieli panowie w purpurowych togach i siwych olbrzymich perukach. Byli to,

⁸ Aluzja do Spisku Prochowego (Gunpowder Plot) – zorganizowanego w r. 1605 przez angielskich katolików za panowania króla Jakuba I jako odwet za doznane prześladowania. Spisek wykryto, a Guy Fawkes, żołnierz, który miał w dniu obrad podpalić proch znajdujący się w piwnicach Parlamentu, został wraz z resztą spiskowców skazany na śmierć.

jakem się później dowiedział, sędziowie. Pośrodku przed pulpitem siedział dżentelmen, którego wziąłbym za sowę, gdyby mi nie powiedziano, że jest przewodniczącym trybunału. Niżej, przed podkową, siedzieli inni poważni panowie, rzędem, za zielonym sukmem pokrytymi stołami, w czarnych, białym futerkiem, jak u pana Spenlow, bramowanych togach. Wszyscy mieli szerokie wykrochmalone krawaty i wysokie, stojące kołnierze. Wyglądali dumni i nieprzystępni. Był to tylko pozór jednak, gdyż kilku z nich na zapytania sędziów udzielało odpowiedzi w tonie bardzo nieśmiałym. Chłopak z teką pod pachą i jakiś obdartus gryzący kromkę chleba przedstawiali publiczność, grzejąc się przy kamiennym, w środku sali postawionym piecu. Ciszę zalegającą salę przerywało trzeszczenie ognia w piecu i spokojny głos jednego z sędziów, wyliczający jakieś dowody prawne, przerywany tylko szelestem papieru przewracanych kart, szukaniem nowych argumentów w papierach i księgach. Nigdy, przenigdy nie widziałem dotąd ani odtąd bardziej zaspianego, sztywnego, gnuśnego zbiorowiska ludzi! Czas przeszedł, a jam nie zapomniał o tym ukrytym w głębi cmentarza Św. Pawła zakątku. Czułem, że będzie coś usypiającego w przynależeniu do tej korporacji – byle nie w charakterze klienta. O nie!

Zadowolony jednak ogólnym wrażeniem, podziękowałem panu Spenlow za jego uprzejmość i wróciliśmy do kancelarii. Wkrótce wraz z ciotką opuszczaliśmy gmach trybunału, a przechodząc przez salę, w której pracowali uczniowie panów Spenlow i Jorkins, uczułem się znów bardzo młody.

Wróciliśmy bez żadnych nowych wypadków do hotelu, chyba że za wypadek poczytam spotkanie paru osłów przypominających ciotce grożące jej trawnikom niebezpieczeństwa. Rozmawialiśmy znów długo o mojej przyszłości, widząc zaś, jak ciotce pilno do domu, jak Londyn, z pożarami, kieszonkowymi złodziejami i fałszowanymi produktami, wcale jej nie do smaku, błagałem ją, aby wracała do siebie, zostawiwszy mnie własnemu losowi.

– Myślałam już sama o tym – rzekła – i zanim przyjechałeś, wynalazłam dla ciebie mieszkanie, jak raz to, czego nam potrzeba.

Mówiąc to, wydobyła z kieszeni wycięte z dzienników ogłoszenie o będącym do wynajęcia w każdej porze lokalu przy Buckingham Street, w Adelphi, z widokiem na rzekę, w pobliżu sądów. Szukano kawalera. Warunki były dogodne, lokal mógł być wynajęty miesięcznie.

– Jak raz to, czego potrzebujemy – zawołałem uszczęśliwiony perspektywą niezależności.

– Idźmy obejrzyć – mówiła ciotka nakładając przed chwilą dopiero zrzucony kapelusz.

Poszliśmy. Trzeba się było, wedle ogłoszenia, zgłosić do niejkiej pani Crupp, na pierwszym piętrze. Zadzwoniliśmy, raz, drugi, trzeci. Zjawiała się wreszcie i otworzyła nam starsza kobieta we flanelowym kaftanie i perkalowej spódnicy.

– Chcieliśmy obejrzyć mieszkanie – rzekła ciotka.

– Dla tego pana? – spytała sięgając po klucze za pasem.

– Tak, dla mego siostrzeńca.

– Mieszkanie cacko! – zawołała pani Crupp. Weszliśmy na schody. Właściwie mówiąc było to poddasze, co wszelako ze względów pożarowych podobało się raczej ciotce. Niskie drzwiczki, ciemny przedpokoik i dwa mikroskopijne pokoiki. Meble stare, ale dla mnie dostateczne. Gdzieś tam, w oddali, za murem, musiała istotnie być rzeka.

Wszystko to zachwycało mnie. Wyobrażałem sobie rozkosze mieszkania w podobnym lokalu, podczas gdy ciotka umawiała się o cenę. Po jakimś czasie rzecz wydała mi się załatwiona.

– Czy te meble pozostały po ostatnim lokatorze? – spytała ciotka.

– Oczywiście, pani – odrzekła gospodyni.

— Cóż się z nim stało? – pytała znów ciotka.

Pani Crupp zakaszła się.

- Chorował – bełkotała – ano... tak... niby... umarł!
- Z czego? – zawołała ciotka.
- A tak... niby... z pijaństwa i... od dymu, wiadomo.
- Z komina! – zawołała ciotka.
- Nie, pani, od cygar i fajki.
- To to w każdym razie niezaraźliwe – rzekła zwracając się ku mnie, znacznie uspokojona.
- Na pewno niezaraźliwe – potwierdziłem.

Słowem, ciotka widząc, jak mi się mieszkanie podoba, wynajęła je na miesiąc, z tym warunkiem, że po upływie miesiąca możemy je zatrzymać do końca roku. Stół i opranie miało należeć do gospodyni, która zobowiązała się solennie czuwać nade mną jak nad rodzonym synem. W posiadanie lokalu wejść miałem za parę dni, a pani Crupp dziękowała Niebu, że znalazła lokatora, którego mogła otoczyć macierzyńskim staraniem.

Po powrocie ciotka upewniła mnie, że jest teraz spokojna co do mej przyszłości, byle-
bym sam umiał być stały, rozważny i energiczny. Powtórzyła to niejednokrotnie w trakcie omawiania sprawy przesłania mi pozostawionych u pana Wickfielda ksiąg i rzeczy. W tym celu napisałem długi list do Agnieszki, który ciotka miała wręczyć jej nazajutrz. Hojnie też zajęła się moją wyprawą i zapewnieniem mi wygód na ten próbny miesiąc. Żałowałem tylko nieskończenie, że się Steerforth tak opóźnia i że nie będę mógł przedstawić jej mego przyjaciela. Odprowadziłem ją do dyliżansu, w którym, zajmując miejsce wraz z Janet, przewidywała szkody, jakie w nieobecności jej na trawniku wyrządzić mogły osły. Gdy odjechała, wróciłem do Adelphi, rozmyślając o dawnych czasach, gdy się włóczyłem, nieszczęsny, głodny nieraz, opuszczony, pod niskimi sklepieniami bram tych i zaułków. A teraz? Z sercem przepelnionym wdzięcznością dziękowałem Niebu za zmianę, dzięki której z tych mętów życia wypłynąłem na wierzch.

Rozdział XXIV

Rozpraszam się

Rozkosz to była nie lada posiadać własny kącik i wiedzieć, że jak Robinson Cruoe za swą fortecą, tak i ja, raz drzwi zamknąwszy, byłem nietykalny.

Rozkosz to była, idąc przez miasto, czuć w kieszeni klucze od własnego mieszkania i wiedzieć, że mogę zaprosić każdego, kto mi się podoba, nie oglądając się na nikogo, własnych tylko radząc się chęci. Rozkosz to była wychodzić i wracać nie opowiadając się nikomu i wchodząc dzwonić i spoglądać w górę, aż się spodoba pani Crupp zejść i otworzyć. Wszystko to rozkoszne było, chociaż, wyznać to muszę, czasem nieco straszne.

Z rana, jeżeli w dodatku ranek był pogodny, wszystko to wprawiało mnie w zachwyt. Przy dziennym świetle, w słonecznych promieniach wszystko nabierało jakiejś rozkosznej świeżości i swobody. W miarę jednak, jak się dzień chylił ku wieczorowi, ciemniejsze też na wszystko padały barwy i nie wiem dlaczego, wszystko oblekało się już zupełnie ponurym odcieniem przy świetle świecy. Brakowało mi towarzystwa, rozmowy. Brakowało mi zwłaszcza Agnieszki, zwierzań się, i nic mi tej pustki wypełnić nie mogło. Pani Crupp wychodziła często, często też myślałem o ostatnim lokaterze, zmarłym z pijaństwa i dymu, i żałowałem, że nie ma go, aby dotrzymywał mi towarzystwa.

Po paru dniach zdawało mi się, że już tak przeżył lata całe, lat mi jednak nie przybyło i młodość ciążyła mi nadal.

Steerforth nie zjawiał się. Niespokojny byłem, czy nie zachorował czasem, toteż na trzeci dzień wyszedłem wcześniej z Commons z zamiarem udania się do Highgate. Pani Steerforth przyjęła mnie bardzo uprzejmie mówiąc, że syn wyjechał z jednym ze swych przyjaciół z Oksfordu w odwiedzinach do drugiego przyjaciela na wieś w pobliżu St. Albans, lecz że wróci nazajutrz. Uczułem w sercu coś na kształt zazdrości. Pani Steerforth zatrzymała mnie na obiad. Cały czas rozmawialiśmy o nim. Opowiadałem jej, jak miłym był towarzyszem podróży i jak zjednywał sobie wszystkie serca. Panna Dartle cała była w zapytaniach i poddawaniu różnych myśli, lecz słuchała opowiadań moich z zajęciem, przerywając częstym: „tak to zatem było?” i wydobywając tym ze mnie wszystko, co wiedzieć pragnęła. Wyglądała najzupełniej tak samo, jak kiedym ją po raz pierwszy widział, lecz towarzystwo obu pań tak było przyjemne, że się niemal w niej tym razem zakochał i wracając do domu mimo woli myślałem, jak miłą byłaby towarzyszką na Buckingham Street.

Piłem właśnie z rana, przed odejściem do konsystorza, kawę, rozmyślając nad tym, jak dziwnie napój ten jest słaby, mimo że pani Crupp zużyła do niego tyle kawy, gdy nagle zjawił się Steerforth we własnej osobie.

– Mój kochany! – zawołałem uszczęśliwiony. – Sądziłem, żeś już dla mnie stracony!

– Porwano mię gwałtem zaraz nazajutrz po naszym przyjeździe – rzekł. – Oho! Davy! Wyglądasz mi tu jak stary kawaler! Co za wygody!

Pokazałem mu całe moje mieszkanko, podobało mu się.

– Wiesz co, stary! – mówił. – Mam ochotę wprost tu zjeżdżać, bywając w mieście. Co, przyjąłbyś mnie? Nie wyrzuciłbyś?

Byłem uszczęśliwiony. Jeśli będzie czekał, aż go wyrzucę, to doczeka chyba dnia sądnego.

– Ale nie jadłeś śniadania! – zawołałem. – Gospodyni moja zgotuje kawy, ja zaś na mym kawalerskim piecyku usmażę ci boczek.

– Nie! Nie! – powstrzymał mnie. – Nie dzwoń. Obiecałem właśnie zjeść śniadanie z jednym z mych towarzyszy w hotelu Piazza w Covent Garden.

– To wróć na obiad.

– Nie mogę. Chciałbym z duszy, lecz obiecałem towarzyszom spędzić dzień cały z nimi i wieczór do jutra rana.

– To przyjdźcie tu wszyscy – namów towarzyszy.

– Ale gdzie tam! Ty to lepiej przyjdź do nas.

Nie zgodziłem się. Owszem, dumny byłem z mojego mieszkania, chciałem ugościć przyjaciela i wymogłem przyrzeczenie, że o samej szóstej zjawi się ze swymi towarzyszami.

Gdy odszedł, zadzwoniłem na gospodynię i oznajmiłem jej, że będę miał gości na obiedzie. Pani Crupp oświadczyła gotowość zajęcia się wszystkim, lecz dodała też, że będzie potrzebowała pomocy i właśnie zna „sprytnego” chłopaka, który podejmie się pomagać za pięć szylingów. Zgodziłem się na to. Następnie pani Crupp oświadczyła, że niepodobna jej będzie rozerwać się (miała słusność) i potrzebuje pomocnicy, która przy lampie w przedpokoju będzie zmywać talerze. Spytałem, ile pomoc ta kosztować będzie. Z osiemnaście pensów. I na to zgoda. A teraz co do obiadu.

Piec kuchenny u pani Crupp tak był właśnie zbudowany, że można tylko było smażyć na nim kotlety i kartofle. O rybie ani myśleć. Mogłem się naocznie przekonać, gotowa mi była pokazać. Wiedząc, jak mało posiadam w tej mierze doświadczenia, wołałem się naocznie nie przekonywać i wyrzekłem się ryby. Pani Crupp wymieniła ostrygi. Zgoda na ostrygi. Pani Crupp pozwoliła sobie zauważyć, że zadysponowałyby, jeśliby ją o to pytano, jak następuje:

– Parę pieczonych kaczek na gorąco – tuż na rogu była dobra restauracja – rostbef z jarzynami z restauracji, pasztet i cynadry też z restauracji, wreszcie tort lub galareta do wyboru – z cukierni. W domu zaś ugotowałyby się kartofle i pani Crupp zajęłaby się starannie trunkami i serem.

Zgodziłem się w zupełności na poddaną mi myśl i poszedłem do restauracji zamówić obiad na szóstą.

Przechodząc dostrzegłem na wystawie jakąś masę podobną do kawałka marmuru, przy niej kartkę z napisem: „zupa żółtowa”. Kupiłem całą tabliczkę, która, jak się później dowiedziałem, starczyć mogła na piętnaście osób. Zupę tę po niejakich trudnościach pani Crupp zgodziła się nam ugotować, ale po ugotowaniu ubyło zupy tak dalece, że nie było się czym obdzielić!

Kupiłem na rynku owoców na deser i zamówiłem wino. Wróciwszy po południu do domu zastałem w przedpokoju cały szereg butelek. Brakowało dwóch wprawdzie, na co się głośno uskarżała gospodyni, lecz i to, co zostało, wydawało mi się więcej niż dostateczne.

Jeden z towarzyszy Steerfortha nazywał się Grainger, drugi Markham. Obaj byli weseli i żwawi. Pierwszy nieco starszy od Steerfortha, drugi młodszy, zaledwie dwudziestoletni. Mówiąc nie używał nigdy zaimka w pierwszej osobie, zastępując go wyrażeniem „człowiek”.

– Człowiekowi miło by tu było mieszkać, panie Copperfield – rzekł rozglądając się po moim mieszkanku i mając samego siebie na myśli.

– Istotnie – rzekłem – zadowolony jestem z mego położenia, mieszkanko przyjemne.

– Spodziewam się, że jesteście przy apetycie – zauważył Steerforth.

– Na honor! – odrzekł Markham – miasto pobudza wilczy apetyt. Człowiek jadłby od rana do nocy.

Będąc nieco zaambarasowany i czując się zbyt młody do tego, uprosiłem Steerfortha, aby raczył zająć pierwsze u stołu miejsce i czynił honory, sam zaś usiadłem naprzeciw niego. Wszystko szło dobrze. Nie szczędziliśmy wina, a Steerforth tak był ożywiony, świetny, że uczta szła wybornym trybem, ja tylko nie oddawałem się wesołości z zupełną, jak tego pragnąłem, swobodą, gdyż siedząc naprzeciw drzwi widziałem, że „sprytny”, jak go gospodyni rekomendowała, chłopak ginął co chwila, a na ścianie przedpokoju cień jego zarysowywał się z przyłożoną do ust butelką. Co do „pomocnicy”, ta przejawiała niejaki rozrtargnienie, nie dlatego, że bardzo niestarannie zmywała talerze, ale że je tłukła niemiłosiernie. Ciekawa była przy tym i wszędobylska, zamiast oddawać się myciu naczyń, zaglądała ustawicznie do bawialnego pokoju, drepcąc po szczątkach pobitych naczyń.

Była to wprawdzie odwrotna strona medalu, lecz na ogół bawiliśmy się wybornie. Gdy zdjęto obrus i podano deser, „sprytny chłopak” nie mógł już języka obrócić w gębie. Odprawiając go wraz z „pomocnicą” do pani Crupp, oddałem się bez reszty towarzystwu.

Wesół byłem, z lekkim sercem. Przypomniało mi się tysiące na wpół zapomnianych, teraz na usta cisnących się rzeczy. Rozgadałem się na dobre. Sam się śmiałem z własnych dowcipów, a inni wtórowali mi. Zalecałem Steerforthowi, aby dolewał towarzyszom wina, obiecywałem przybyć do Oksfordu i wydawać co tydzień, regularnie co tydzień podobne temu obiady. Zapaliłem nawet podane mi przez Graingera cygaro, co w krótkim czasie zmusiło mnie do opuszczenia na czas jakiś towarzystwa. Odkorkowywałem butelki, zanim uprzednie były wypróżnione. Wzniosłem toast na cześć Steerfortha. Był on moim najlepszym, najukochańszym przyjacielem, podporą lat dziecięcych, szkolnym towarzyszem. Miło mi było pić za jego zdrowie. Wyznawałem, że mu winien więcej wdzięczności, niż wyrazić zdołam. Uwielbienie moje dla niego nie znało granic. Skończyłem wołając: „Niech żyje Steertorth! Niech żyje!”

Uściskaliśmy się raz, drugi i trzeci. Trącąc się kieliszkami zbiłem swój i wylałem wino. Język mi się plątał.

Ktoś śpiewał? Aha! Markham: „Gdy serce boli, gdy boli!” Skończywszy piosenkę zdecydował, że pora dać coś i „kobietom”. Oparłem się. Nie chciałem wnosić tego nie dość rycerskiego toastu, chciałem, aby pod moim dachem każdy ułamek płci słabej uczczony był mianem „damy”. Podnosiłem głos. Zachęcały mnie uśmiechy Steerfortha i Graingera. Markham oburzył się. Nie, nie pozwoli człowiek dawać sobie lekcji, człowiek wyszedł ze szkół, człowiek nie może znosić podobnego despotyzmu. Odpowiedziałem, że musi znoś, na co on znów odrzekł, że człowiek nie pozwoli sobie ubliżyć. Przyznałem, że ma słusność, przypomniałem sobie, że się znajduje pod moim dachem i wezwałem na świadków mej gościnności wszystkie starożytnym i nowożytnym ludom znane domowe bogi. Odrzekł mi na to, że człowiek zmuszony jest przyznać, że pocziwy z kośćmi chłopak. Trąciliśmy się kieliszkami.

Ktoś zapalił cygaro. Próbowałem znów palić wzdrygając się cały. Steerforth wniósł moje zdrowie i palnął mowę, która mnie do łez rozczuliła. Dziękowałem wyrażając błogą nadzieję, że przezacne towarzystwo raczy nazajutrz przyjąć znów u mnie obiadek. Czemu tylko nazajutrz? Czemu nie co dzień, co dzień o piątej, żeby mieć więcej czasu na miłą poobiednią gawędkę. Gdy mnie spytano, a może i nie spytano, kogo mógłbym zacytować jako wzór wszystkich niewieścich doskonałości, wymieniłbym bez wahania ciotkę swą – pannę Betsey Trotwood.

Pamiętam, że ktoś chłodził rozpalone czoło u okna w moim sypialnym pokoiku. Czy to nie ja sam byłem czasem? Mówiłem sam do siebie nazywając się po nazwisku: „Copperfieldzie, chciało ci się palić, niby nie wiesz, że ci to szkodzi”. Ktoś tam znów nie mógł poznać sam siebie w lustrze. Czy to nie ja sam byłem czasem? Wyglądałem blady jak trup, oczy mi błyszczały i tylko włosy, same włosy tylko musiały podpić.

Ktoś zaproponował: „jedźmy do teatru”. Nie, nie byłem w sypialnym swym pokoju, lecz za stołem z butelkami i kieliszkami. Lampa paliła się jasno. Po prawej ręce siedział Grainger, Markham po lewej, Steerforth naprzeciw, gdzieś w oddaleniu, lecz wszystko było w porządku. Do teatru! Myśl wyborna! Jedźmy. Wyjdę ostatni i zgaszę lampę... wiecie... pożary.

Po ciemku drzwi niełatwo dały się znaleźć. Uchylałem ciągle firanki u okna, aż wreszcie Steerforth ujął mię pod ramię i wywiódł. Schodziliśmy tak ze schodów jeden za drugim. Na dole już prawie ktoś się potknął, stoczył się. Ktoś inny zauważył, że to pewno Copperfield. Rozgniewałem się za oszczerstwo, lecz czując, że leżę na ziemi, zacząłem przypuszczać, że jest w tym może nieco prawdy.

Noc była mglista. Wielkie tęczowe koła wokół lamp. Jedni utrzymywali, że deszcz pada, co do mnie – gotów byłem przysiąc, że jest mróz. Pod latarnią kochany Steerforth poprawił mi kapelusz i przyglądził włosy mówiąc: „teraz już dobrze”. Dziękowałem mu bełkocąc.

Człowiek jakiś, zamknięty w klatce, wyłonił się z mgły prosząc o zapłatę i pytając z pewnym powątpiewaniem, czy i mnie ma wydać bilet. Najpewniej. Znaleźliśmy się w teatrze. Duszno było, gorąco jak w łaźni, lampy wydały mi się zadymione i w dymie tym, pomimo że było bardzo jasno, niepodobna było rozróżnić natłoczonych ludzkich twarzy. Na scenie mówiono coś, krzyczano, śmiano się. Wszystko to zlewało się w niewyraźne szmery. Muzyka grzmiała, a loże wypełnione były damami. Zdawało mi się pomimo to, że gmach cały kołysze się, pływa wraz ze mną. Próżno usiłowałem zatrzymać się w miejscu.

Ktoś zaproponował, abyśmy wyszli na korytarz, na który wychodziły loże. Ujrzałem kogoś na sofie z lornetką w ręku, a potem moją własną postać odbiło zwierciadło. Nie wiem już, jak i dlaczego wszedłem do jednej z łóż, bełkocąc coś niewyraźnie. Ktoś zawołał: „ciszej!” Panie obejrzały się zdziwione, wystraszone i... o nieba! Ujrzałem Agnieszkę, w tejże samej właśnie, do której wszedłem, łoży, siedzącą pomiędzy niemłoda damą i nieznany mi dżentelmenem. Patrzyła na mnie – widzę to teraz lepiej zapewne, niż widziałem wtedy – ze smutnym zdumieniem.

– Agnieszko! – wybełkotałem – jak Boga kocham...

– Ciszej! – odrzekła poważnie. – Zwracasz na siebie uwagę. Patrz na scenę.

Starłem się zastosować do jej żądania, skupić uwagę. Próżno. Głowa mi opadała. Zauważyłem, że Agnieszka cofa się w sam kącik łoży i dłoń w rękawiczce podnosi do czoła.

– Agnieszko! – bełkotałem – mogę cię prze...a...stra...szył... aszy...

– Tak, tak – odrzekła szybko – ale nie o mnie tu idzie, Trot. Wyjdź lepiej.

– Wyjdź... dź...piej...le...

– O tak.

Chciałem powiedzieć, że zaczekam na nią w korytarzu, i musiałem coś podobnego bełkotać, bo popatrzyła na mnie i cicho uprzednią ponowiła prośbę.

– Wiem, że mię posłuchasz, kochany Trot! – mówiła. – Wyjdź stąd i jeśli mię lubisz, poproś przyjaciół, którzy cię tu przywiedli, by cię odwieźli do domu.

Tak wielką miała nade mną przewagę, że chociaż rozgniewany byłem w tej chwili, pożegnałem ją natychmiast i wyszedłem z łoży. Wkrótce znalazłem się we własnym swym sypialnym pokoju. Steerforth sam został ze mną i pomagał mi rozebrać się, a ja tymczasem zaklinałem się na wszystkie bogi, że Agnieszka jest moją siostrą, i szukałem grajcara, by nowe odkorkować butelki.

Teraz ktoś leżał w moim łóżku noc całą mającąc pomiędzy gorączkowym snem i gorączkowym czuwaniem. Pomału, pomału ów ktoś zamieniał się we mnie samego. Zdawało mi się, że fale podrzucają mnie wraz z pościelą. Skóra moja wydała mi się twarda i spieczona, język ciężki jak serce rozbitego dzwonu. Rozpalone do czerwoności dłonie nie dałyby się ostudzić nawet lodem, wydawały mi się rozżarzonymi płytami żelaza.

Wszystko to niczym jednak w porównaniu z rozpaczą, wstydem, wyrzutami sumienia, jakie mnie ogarnęły nazajutrz.

Brzydziłem się sobą i tymi bezeceństwami, które popełnić musiałem, a których nie pamiętałem nawet i odwołać nie mogłem. A to spojrzenie Agnieszki! I nie mogłem się nawet z nią zobaczyć, przeprosić jej, przebłagać. Takie ze mnie było bydlę, że nawet jej nie spytałem, kiedy przybyła do Londynu i gdzie zamieszkała! Ohydnymi wydały mi się pokoje, w których wczoraj bankietowaliśmy tak wesoło. W głowie mi się kręciło jeszcze, powietrze nasiąkło dymem cygar, po stołach i podłodze wały się resztki biesiady. Ani wyjść, ani podnieść się z łóżka! Dzień to był piekielny.

A wieczór! Smętnie spożywałem zastygły w swym tłuszczu barani kotlet, rozmyślając, czy tak jak były lokator smutnego tego mieszkania mam skończyć marnie. Lepiej może byłoby udać się wprost do Dover i wszystko wyznać ciotce? Co za wieczór! Gdy pani Crupp przyszedłszy po półmisek przyniosła nerkę na talerzyku od sera, jako całą pozostałość wczorajszego bankietu, była chwila, że o mało nie rzucił się jej na szyję wołając z płaczem: „Pani Crupp! O, pani Crupp! Zapomnij o tym bezeceństwie”. Tylko że w tym wielkim nawet rozżaleniu powątpiewałem, czy gospodyni nie zawiedzie mego zaufania.

Rozdział XXV

Złe i dobre anioły

Nazajutrz rano po tym okropnym dniu wstydu, wyrzutów sumienia i bólu głowy w ychodzącym właśnie z domu, z niejasnym wspomnieniem owego nieszczęsnego bankietu – zdawało mi się bowiem, jakoby wojsko tytanów dzień ten usunęło było w odległą gdzieś przeszłość – gdym u drzwi spotkał posłańca z listem w ręku. Wchodził leniwo na schody i dopiero zobaczywszy mnie przyśpieszył kroku.

– T. Copperfield, Esquire? – rzekł dotykając kapelusza.

Pewien byłem, że to jest list od Agnieszki. Wyciągnąłem ręką, oddał mi go mówiąc, że kazano przynieść odpowiedź. Zostawiłem posłańca na schodach, sam zaś wróciłem do swego pokoju, lecz tak byłem wzruszony, że upłynęło chwil kilka, zanim mogłem list odpieczętować.

Była to przyjacielska kartka bez najłżejszej wzmianki o onegdajszym spotkaniu w teatrze. Oto jak brzmiała:

Kochany Trotwood!

Jestem w Londynie, w domu pełnomocnika mego ojca, pana Waterbrook, Ely Place, Holborn. Może byś mnie dziś odwiedził, czekać cię będę dzień cały.

Szczerze cię kochająca Agnieszka

Tyle mi czasu zabrała odpowiedź na tę kartkę, że nie wiem, co sobie o tym myślał posłaniec. Zapewne posądzić mnie musiał, że się dopiero uczę pisać. Zaczynałem ze sześć razy i ze sześć podarłem listów. Raz zacząłem: *Czy potrafią kiedy, droga moja Agnieszko, zatrzeć w twojej pamięci wrażenie...* Po chwili podarłem ćwiartkę papieru z tym początkiem i zacząłem na nowo: *Szekspir zauważył już, jak często człowiek własnym bywa wrogiem...* I to mnie nie zadowolniło. Próbowałem nawet wiązanej bogów mowy: *Wykreśl z pamięci i serca!*... Nie, nie szło mi jakoś. Po wielu próbach oto, na co się zdobyłem:

Droga Agnieszko!

List Twój godny Ciebie, większą pochwałą obdarzyć go nie mogę. Wiecej ci powiedzieć nie mogę. Przyjdę o czwartej. Przywiązany i zawstydzony T. C.

Tę to kartkę – o mało żem go z ulicy nie odwołał – posłaniec poniósł: Ely Place, Holborn.

Jeśli był jeszcze ktoś dnia tego w Commons, komu się czas o połowę wydawał tak długi jak mnie, żałuję go serdecznie. Chociaż wyszedłem już o wpół do trzeciej i szybkim krokiem zbliżałem się do Ely Place, czwarta wybiła dawno na zegarze Św. Andrzeja, zanim zdecydowałem się zadzwonić do drzwi mieszkania pana Waterbrooka.

Kancelaria pana Waterbrooka znajdowała się na dole, prywatne zaś jego mieszkanie na piętrze. Wprowadzono mnie do eleganckiego, lecz małego saloniku. Zastałem tam Agnieszkę z robótką w ręku.

Była tak dobra, szczerą i pobłażliwą, tak mi się żywo przypomniały szkolne czasy, kilka lat spędzonych pod jednym z nią dachem, taki mnie ogarnął wstyd i żal, żem się po prostu rozplakał i po dziś dzień nie potrafiłbym powiedzieć, czym się z trudnego zadania wywiązałem w ten sposób najrozumniej, czy najśmieszniej.

– Gdyby mnie widział w tym oplakanyim stanie kto inny – mówiłem odwracając głowę – mniej by to mnie bolało, ale ty właśnie! Wolałbym umrzeć!

Położyła dłoń na moim ramieniu. Dotknięcie jej inne było niż wszystkie inne dotknięcia. Taka mię przepelniała wdzięczność, że ująłem jej rękę i do ust podniosłem.

– Usiądź i uspokój się – mówiła łagodnie. – Komu zaufasz, jeśli nie mnie?

– Ach! Agnieszko! – odrzekłem – jesteś moim dobrym aniołem.

Uśmiechnęła się smętnie i potrząsnęła głową.

– Tak, Agnieszko, dobrym moim aniołem, aniołem stróżem.

– Jeśliby tak było istotnie – rzekła – chciałabym wymóc na tobie rzecz jedną.

Spojrzałem na nią pytająco, chociaż domyślałem się, o co idzie.

– Ostrzegłabym cię – mówiła z powagą – przeciw twemu złemu duchowi.

– Jeśli rozumiesz przez to Steerfortha... – zacząłem.

– Nie inaczej – potwierdziła.

– Nie znasz go i krzywdzisz srodze! Moim lub czyimkolwiek złym duchem, on, przyjaciel mój, podpora, przewodnik! Pomyśl tylko, kochana Agnieszko, czy możesz w swej szlachetności potępiać go tylko na podstawie mego onegdajszego bezczynstwa.

– Nie na tym też tylko zdanie me opieram – odrzekła spokojnie.

– Na czym więc?

– Na wielu, drobnych z pozoru, spostrzeżeniach, które razem wzięte wcale nie pochlebne na niego rzucają światło. Po części na tym, coś mi sam niejednokrotnie o nim opowiadał, po części na własnym twym charakterze, wpływie, jaki na ciebie wywiera.

W głosie jej było zawsze coś, co mnie wzruszało i zdawało się wywoływać w głębi duszy zawsze gotowe odpowiedzieć jej echo. Patrzałem na nią. Oczy miała spuszczone nad robotą. Patrzałem na nią i słuchałem, chociaż przestała już mówić, a Steerforth, pomimo całego mego przywiązania, bladł mi i ciemniał w sercu i myśli.

– Może to zbyt zuchwałe z mej strony – ciągnęła podnosząc oczy. – Żyłam dotąd tak na ustroniu, tak mało miałam sposobności, by poznać świat i ludzi, że nie mam może prawa ostrzegać cię i wypowiadać tak stanowczo mego zdania. Ale to wypływa, Trot, z mojej przyjaźni dla ciebie, z tego, żeśmy wzrosli, wychowali się razem, i nic z tego, co ciebie dotyczy, nie może mi być obojętne. To mnie ośmiela. Zresztą pewna jestem tym razem, że mam słuszość. Najbardziej pewna. Coś mi mówi, że obowiązkiem moim jest ostrzec cię przed niebezpieczeństwem tej przyjaźni.

Znów spojrzałem na nią słuchając, gdy już mówić przestała, i znów obraz przyjaciela bladł mi i ciemniał w duszy.

– Nie, nie jestem tak nierozsądna – rzekła po chwili – aby się spodziewać, że za lada moim ostrzeżeniem wyrwiesz z serca uczucia wypływające z twej kochającej, ufnej natury. Nie chciałabym nawet, aby tak być mogło! Proszę cię tylko i zaklinam, abyś, jeśli kiedy pomyślisz o mnie...

Uśmiechnęła się, gdyż wyczytała z moich oczu, czym chcę jej przerwać.

– ...jeśli kiedy lub raczej za każdym razem, gdy pomyślisz o mnie – ciągnęła – przypomniatł sobie, co ci dopiero mówiłam. Wszak mi to przebaczasz?

– Przebaczę ci, droga Agnieszko, gdy wymierzysz sprawiedliwość Steerforthowi i ocenisz go tak, jak ja go cenię i jak na to w zupełności zasługuje.

– Wówczas dopiero? – rzekła.

Zdawało mi się, że po czole jej jakaś przemknęła chmurka, lecz na uśmiech mój odpowiedziała uśmiechem i czułem, że wróciło między nas całe nasze dawne obopólne zaufanie.

– A kiedy ty mi, droga moja, przebaczysz onegdajszy wieczór? – spytałem.

– Gdy go sobie przypomnę – odrzekła. Wymijała rozmowę o tym, lecz sprawa ta cała bardzo ciążyła mi na sercu, opowiedziałem jej więc długo i szeroko, co i jak spowodowało straszny i hańbiący ten mój upadek. Spowiedź przyniosła mi pewną ulgę, pozwalając nadto

wystawić w całym świetle dobroć Steerfortha, starania, jakimi mnie otoczył, gdy stracił był przytomność.

– A czy pamiętasz, Trot – spytała wesoło, zmieniając przedmiot rozmowy – żeś mi obiecał spowiedź nie tylko ze swych zmartwień i upadków, lecz i ze spraw serdecznych. Kto zastąpił w twym sercu pannę Larkins?

– Nikt, Agnieszko!

– O, nie oszukasz mię!

– Zapewniam cię, że nikt. Jest wprawdzie osoba, mieszka u pani Steerforth, z którą lubię rozmawiać niesłychanie, nie jestem jednak zakochany w pannie Dartle.

Agnieszka śmiała się i chwaliła swą przenikliwość utrzymując, że jeśli pozostanę wierny danemu jej słowu i zwierzać się będę ze wszystkich swych słabostek, to wkrótce ich spis urośnie do niebywałych rozmiarów. Z kolei spytała mnie, czy widuję Uriaha.

– Uriaha Heepa? – spytałem. – Nie widziałem go, czy żyje był w Londynie!

– Przybył tu na tydzień przede mną, codziennie przychodzi na dół, do kancelarii pana Waterbrooka – mówiła Agnieszka. – Jestem niespokojna o niektóre interesy ojca – dodała po chwili.

— Cóż by to być mogło? – spytałem.

Odłożyła na bok robotę i składając na kolanach ręce zwróciła na mnie piękne swe, zadumane oczy.

– Sądzę – rzekła powoli – że Uriah zamierza wstąpić do spółki z moim ojcem.

– Co! Uriah! – zawołałem oburzony. – Jakimż pochlebstwem, jaką nikczemnością mógł się wśliznąć na podobne stanowisko? Czyś się nie starała przekonać ojca? Oplakane mogą wyjść z tego następstwa? Nie powinnaś do tego dopuścić, musisz zapobiec, dopóki czas jeszcze!

Patrzyła na mnie smutno, kiwając głową, z cichym jakimś i cierpliwym uśmiechem.

– Pamiętasz – rzekła – naszą ostatnią rozmowę o ojcu? Wkrótce jakoś potem, we dwa, trzy dni może, po raz pierwszy nadmienił mi coś o tym. Boleśnie było patrzeć na widoczną walkę, jaką w sobie staczał, chcąc przedstawić mi rzecz tę jako wynik własnego wyboru, gdy wszystko wskazywało, że ojciec ulega raczej jakiejś konieczności.

Zasmuciłem się bardzo.

– Konieczności, mówisz? Któż go mógł przymuszać?

– Kto? Uriah! – odrzekła ciszej, po chwili wahania. – Stał się niezbędnie ojcu potrzebny. O, sprytny, baczny, opanował słabe strony ojca, wyzyskał je, stał się panem sytuacji. Wiesz, co ci powiem, Trot? Ojciec boi się go.

Było w tym więcej prawdy, niż przypuszczać mogła. Wiedziałem o tym, domyślałem się, w czym rzecz, i nie chciałem jej zasmucać pytaniami. Wiedziałem, że pragnie oszczędzić ojca. Od dawna wiedziałem, na co się zanoszą. Milczałem.

– Wpływ jego na ojca – ciągnęła Agnieszka – jest ogromny. Udaje pokorę i wdzięczność, wdzięczny jest może istotnie, nie chcę go posądzać o podobną przewrotność, a w rzeczy samej dźwierz władzę i nadużywa swego wpływu.

Psem go nazwałem dla ulżenia sobie.

– W czasie, o którym wspomniałam dopiero – ciągnęła Agnieszka – wówczas kiedy mi ojciec po raz pierwszy o tym nadmienił, utrzymywał, że odejdzie od nas z bólem serca, zmuszony lepszymi widokami, które mu się przedstawiają. Zmartwiło to ojca niesłychanie. Nie uwierzysz, jak był przybity, pocieszył się dopiero tym projektem spółki, chociaż z początku zdawał się być nim zdziwiony i upokorzony!

– I cóż ty na to, Agnieszko! – spytałem.

– Robiłam, co mi się zdawało moim obowiązkiem, uważając, że to uspokaja ojca, zachęcałam go do tego kroku, uważałam, że mu to ujmie pracy i mnie pozwoli być z nim częściej i dłużej, ale... O! Trotwood! Teraz mi się zdaje, że niechcący namawiałam ojca na

zgubę, ja, rodzone jego, ukochane dziecię! Wiem, jak mnie kocha. Widzi we mnie jedyną swą pociechę, jedyny cel życia. Wiem, jak wiele rzeczy skrywa przede mną, na bok uchyla, nie chcąc mnie smucić. Wiem, że troska o mnie zachmurza mu często czoło, osłabia energię, denerwuje. O, gdybym go mogła podtrzymać! A tymczasem niechący doprowadziłam go do tego wszystkiego.

Po raz pierwszy widziałem Agnieszkę płaczącą. Wprawdzie kręciły się jej łzy w oczach, gdy przynosiłem nagrody i pochwały ze szkoły, gdyśmy mówili o jej ojcu, gdyśmy się na czas dłuższy rozstawali, lecz takiego wybuchu żalu, rozpaczony niemal, nie widziałem nigdy, toteż zmartwiony, nie wiedząc, jak ją pocieszyć, powtarzałem tylko:

– Nie płacz, Agnieszko! Kochana moja siostrzyczko!

Tak dalece górowała nade mną charakterem i silną wolą, że nie potrzebowała długich pociech. Opanowała gwałtowny wybuch żalu. Po kilku chwilach wrócił jej spokój, którym się odznaczała. Zdawało się, jakoby po przelotnej chmurce niebo się znów wypogodziło.

– Niedługo już zapewne będziemy tak sami z sobą – rzekła – a póki mam czas, chcę cię prosić, abyś był życzliwy dla Uriaha. Nie odpychaj go, nie odtrącaj dlatego, że wasze wrodzone skłonności są tak odmienne. Kto wie, może na to nie zasłużył, może wstręt nasz jest niesłuszny. Nie złowiliśmy go przecie dotąd na żadnym złym uczynku. Bądź dla niego pobłażliwy przez wzgląd na ojca i na mnie.

Zaledwie to wyrzekła, wtoczyła się do pokoju pani Waterbrook, szeroka czy tylko w szeroką suknię ubrana, nie potrafię tego powiedzieć, gdyż nie umiałem wówczas odróżnić sukni od kobiety, pamiętałem tylko niejasno, niby w jakimś kalejdoskopie, że ją był widział w teatrze. Co do niej, zdawała się przypominać mi siebie doskonale i posądzać, że jeszcze nie wytrzeźwiał. Przekonawszy się jednak, że jestem trzeźwym i – tak sobie tuszę – nader skromnym młodzieńcem, udobruchała się pytając, po pierwsze, czy uczęszczam na spacer, po wtóre, czy bywam w towarzystwie. Negatywna moja odpowiedź na oba te pytania zachwiała znów dobre jej o mnie mniemanie. Nie okazała mi jednak tego, owszem, zaprosiła mnie uprzejmie na obiad na dzień następny. Podziękowałem i pożegnałem obie panie. Przechodząc wstąpiłem do kancelarii na dole pytając o Uriaha. Nie zastawszy go, zostawiłem bilet.

Gdy przyszedł nazajutrz na obiad, taki mnie z otwartych drzwi do kuchni uderzył z apach baraniny, że się domyślił, iż nie sam tylko jestem zaproszony. W przedpokoju spotkał mnie i zaanonsował przebrany za lokaja posłaniec. Wyglądał, jak gdyby widział mnie dopiero pierwszy raz w życiu, poznał mnie jednak niewątpliwie, tak jak ja go poznałem od razu. Żaden jednak z nas tego po sobie nie pokazał.

Pan Waterbrook był to dżentelmen w średnim wieku, z krótką szyją wyłaniającą się z szerokiego białego kołnierza, a brakowało mu tylko czarnego nosa i łebka dla skończonego podobieństwa z mopsem. Powiedział mi, że się czuje nader zaszczycony poznaniem mnie, a gdym powitał pana Waterbrooka, przedstawił mi pysznej jakiejś damie w czarnej aksamitnej sukni i czarnym czepcu, należącej niewątpliwie do rodziny nieboszczyka Hamleta; mogła być jego ciotką.

Dama ta, pani Spiker z nazwiska, była żoną człowieka tak chłodnego, że siwa jego głowa zdawała się być obsypana szronem. Wszyscy mu okazywali niesłychane uszanowanie. Agnieszka mówiła, że był prokuratorem, nie wiem już, gdzie, Skarbu, zdaje mi się.

Pomiędzy zaproszonymi zastałem Uriaha Heepa. W czarnym fraku, pokorniejszy zdawał się być niż kiedy bądź. Dziękował mi, gdym go witał, za pamięć łaskawą, zapewniając o swej wdzięczności za taką względność. Wdzięcznością tą prześladował mnie wieczór cały i za każdym razem, gdym się zbliżył do Agnieszki, pewien byłem, że dostrzegę cień jej za naszymi plecami.

Było jeszcze więcej gości, wszyscy sztywni i chłodni jak zamrożony szampan. Jeden zwrócił szczególną uwagę. Żywo mi się przypominała szkoła w Salem House. Czyżby to był Tomcio Traddles, autor diabełków i kościotrupów?

Patrzałem na wchodzącego z niezwykle zajęciami. Poważny i nieśmiały młodzieniec, z olbrzymią czupryną i szeroko rozwartymi oczyma, zaszył się w najciemniejszy kąt, tak że się nie mogłem mu z początku dobrze przypatrzeć. Gdy mi się to udało, nie wątpiłem, że jest to istotnie Tomcio.

Podszedłem do pana Waterbrooka, mówiąc mu, że spotkałem pod jego dachem szkolnego towarzysza.

– Doprawdy! – zawołał zdziwiony. – Byłeś pan w szkołach z panem Henry Spiker?

– Bynajmniej – odrzekłem. – Nie jego to mam na myśli, lecz dżentelmena nazwiskiem Traddles.

– Tak! Tak! – rzekł o wiele obojętniej gospodarz. – Bardzo być może.

– Jeśli się nie mylę – mówiłem spoglądając na Tomcia – byliśmy razem w Salem House. Pocziwy to był chłopak.

– Zapewne – mówił potakując obojętnie głową gospodarz domu – zapewne, pocziwy chłopak!

– Ciekawe doprawdy spotkanie – zauważyłem.

– Zapewne, ciekawe wydarzenie, że się tu właśnie znalazł dziś Traddles, zaproszony dopiero przed kilku godzinami, dla zajęcia miejsca brata pani Spiker, który właśnie zasłabł. Niepospolity to człowiek brat pani Spiker, upewnić o tym pana mogę, panie Copperfield.

Zgodziłem się na to chętnie, tym chętniej, że nie znałem tego jegomościa, śpiesząc spytać, czym się pan Traddles zajmuje.

– Traddles – odrzekł pan Waterbrook – jest młodzieńcem przygotowującym się do adwokatury. Ta-a-k! Pocziwy chłopiec, tylko że sam sobie jest wrogiem.

– Sam sobie wrogiem? – spytałem zasmucony.

– Zapewne – mówił pan Waterbrook wydymając usta i bawiąc się od niechcenia dewizką do zegarka. – Przekonany jestem, że nigdy nie dojdzie do pięciuset, na przykład, funtów szterlingów. Był mi polecony przez pewnego kolegę. O, tak, posiada pewne zdolności, dobrze przepisuje akta, wcale kaligraficznie, toteż znajdzie się tam coś dla niego z czasem.

Uderzony byłem spokojem i wyniosłością, z jaką pan Waterbrook wygłaszał pochwałę Tomcia, a zwłaszcza z jaką wymawiał słowo „z czasem”! Ile w tym jednym słowie było wyrazu! Rzekłbyś, człek urodzony w czepku, który bez najmniejszego wysiłku wspiął się na najwyższe społeczne szczeble, by ze szczytów spoglądać dobrotliwie na zwykłe ludzkie padoły.

Rozmyślałem o tym właśnie, gdy poproszono do stołu. Pan Waterbrook podał ramię Hamletowej cioci, pan Henry Spiker pani Waterbrook, Agnieszka, która by chętnie zapewne mnie wybrała, poszła z jakimś szczupłutkim głuptaskiem; Uriah, Traddles i ja, jako młodzi w towarzystwie, pozostawieni zostaliśmy sami sobie. Chociaż mnie zasmuciła strata Agnieszki, pocieszyłem się odnowieniem znajomości z Traddlesem i już miałem to uczynić, gdy mi na drodze stanął Uriah. Posłałbym go, gdybym mógł, do stu diabłów.

U stołu siedzieliśmy z dala od siebie, na dwóch różnych końcach: Traddles w pobliżu jakiejś damy w czerwonej sukni, ja w cieniu Hamletowej cioci. Obiad był długi, rozmowa toczyła się wyłącznie o arystokracji i wysoce urodzonych. Pani Waterbrook zapewniała po kilkakroć, że „urodzenie” stanowi jedyną jej słabość.

Przychodziło mi wprawdzie na myśl, że byłoby nam swobodniej i weselej, gdybyśmy się nie silili na tyle dystynkcji. Tak dalece byliśmy dystyngowani, że to w szczególniejszy sposób wszystkim zawadzać musiało. W towarzystwie znajdowali się niejacy państwo Gulpidge. Pan Gulpidge miał coś do czynienia z bankiem; bank tedy z jednej strony, izba

skarbową z drugiej, nie wychodziliśmy z zaczarowanego koła. W dodatku Hamletowa ciocia posiadała rodzinne zamiłowania do monologów i dorywczo na własny sposób omawiała poruszane kwestie, kwestia zaś urodzenia dostarczała jej równie abstrakcyjnych, jak niegdyś nieboszczykowi Hamletowi, problemów. Tyle mówiliśmy o dobrej i czystej krwi, o krwi tylko, że łącznie mogliśmy być poczytani przez niewtajemniczonych za grono ludożerców.

– Wyznaję – mówił pan Waterbrook, podnosząc kieliszek i przypatrując się uważnie jego zawartości – że najzupełniej podzielam zdanie mej żony. Wszystko dobre, lecz nic nie wyrówna dobroci dobrej krwi.

– Nie! Nie! – potwierdziła Hamletowa ciocia – nic bardziej zadowolić nie zdoła tkwiacej w nas potrzeby ideału, ideału w każdym względzie, że się tak ogólnikowo wyrażę. Wprawdzie niektóre poziome umysły i dusze – szczęściem niewiele jest takich – wołały schylać kolana przed – przed tym, co nazwę bałwanem. Tak! Stanowczo bałwanem, nie inaczej, przed zasługą, inteligencją i tym podobnym. Są to wszelako rzeczy nieuchwytnie, gdy tymczasem krew występuje konkretnie. Dość spojrzeć na nas. Fakt dowiedziony, niezbity, palcem go można wskazać, nie podlegający wątpliwości.

Chudy głuptasek, który siedział obok Agnieszki, bardziej jeszcze stanowczo, o ile mi się zdało, rzecz tę rozwiązał.

– Och! – rzekł z głupim uśmieszkiem, wodząc okiem po zgromadzeniu – na to nie ma rady, niech ją diabli porwą, lecz zrzec się krwi nie możemy, musimy mieć ją i basta! Wprawdzie niektórzy młodzi robią coś sobie z zasługi, wyrobionej w świecie pozycji, wychowania, zasad, ale to wszystko diabelnie mało warte bez krwi. Každy z nas to wie. Dobra krew! Oho, dobra krew! Ja sam, jak mnie tu państwo widzicie, wolałbym być strącony w przepaść ręką człowieka z krwią urodzonego, niż podniesiony dłonią człowieka bez krwi i urodzenia. Niech mnie diabli porwą, jeśli mówię nieprawdę.

Takie postawienie kwestii wywołało ogólne zadowolenie, nadając podniosły nastrój rozmowie u stołu, aż do chwili odejścia pań. Po odejściu tych ostatnich zauważyłem, że panowie Gulpidge i Henry Spiker, rozdzieleni dotąd, sprzymierzają się przeciw nam, zwykłym śmiertelnikom, zamieniając przez stół tajemnicze słowa porozumienia.

– Owa sprawa – mówił pan Spiker – pierwszej wierzytelności, na cztery tysiące pięćset funtów, nie wzięła pożądanego obrotu.

– Mowa o D. czy A.? – spytał Gulpidge.

— C. przeciw B. – odrzekł pierwszy.

Pan Gulpidge uniósł brwi. Zdawał się zdumiony.

– Gdy sprawę przedstawiono lordowi, wolę jego nazwiska nie wymieniać...

– Rozumiem, lord N.

Pan Henry Spiker skłonił głowę i ciągnął:

– ...gdy mu ją przedstawiono, odpowiedział krótko i wężłowato: „pieniądze, bezzwłocznie pieniądze”.

– Jezu Chryste! – zawołał pan Spiker.

– Bezzwłoczna wypłata – ciągnął stanowczo pan Gulpidge. – Następny żyrant, ten... rozumiesz mnie pan.

– K. – odrzekł ze złowieszczym spojrzeniem pan Spiker.

– K., tak! Stanowczo odmówił podpisu, nalegano nań, ale odmówił stanowczo.

Pan Spiker tak był przejęty tym, co słyszał, że skamieniał.

– Tak te rzeczy stoją dopiero – ciągnął pan Gulpidge rozpierając się w krześle. – Przyjacieli nasz, Waterbrook, nie weźmie mi za złe, że się dłużej nad tak ważną sprawą rozwodzić nie będę.

Pan Waterbrook był zachwycony już tym, że podobną sprawę wraz z podobnymi nazwiskami omawiano pod jego właśnie dachem i u jego stołu. Przybrał minę głęboko dy-

plomatyczną i domyślną, chociaż gotów jestem ręczyć, że niewiele więcej od nas był wtajemniczony w całą tę zagadkową rozmowę. Pochwalał dyskrecję tych pań i panów. Pan Spiker, otrzymawszy podobne zwierzenie, pragnął okazać koledze wzajemne zaufanie i uprzednia rozmowa została tylko wstępem do dalszej, w której równie tajemnicze i nierozwikłane dla reszty słuchaczy słowa i napomknienia pogrążyły z kolei w najwyższe zdumienie pana Gulpidge, i tak dalej w nieskończoność. Przez cały ten czas, my, zwykli śmiertelnicy, zmuszeni byliśmy słuchać z zajęciem rzeczy, o których, w przybliżeniu chociażby, nie mieliśmy żadnego wyobrażenia. Gospodarz domu zaś spoglądał na nas z dumą jak na ofiary pożytecznego dla nas, jego zdaniem, podziwu i poważania.

Z radością wyrwałem się z sali jadalnej do salonu, gdzie mogłem wreszcie rozmawiać z Agnieszką i przedstawić jej szkolnego mego towarzysza, Traddlesa. Nie śmiały był, lecz przyjemny i poczciwy jak dawniej. Że zaś odejść musiał wcześniej, wybierając się nazajutrz rano w całomiesięczną podróż, nie mogłem rozmawiać z nim do woli i tylko zamieniliśmy nasze adresy obiecując sobie, że się zobaczymy po jego powrocie do miasta. Zajęło go niesłychanie opowiadanie o mym spotkaniu i odnowieniu przyjaźni ze Steerforthem. Mówił o nim z zapałem i pochwałami, na które zwróciłem uwagę Agnieszki. Słuchała milcząco, od czasu do czasu potrząsając tylko głową.

Ucieszyłem się, gdy mi powiedziała, że wkrótce wraca do domu, bo choć żał mi było rozstać się z nią tak prędko, z drugiej jednak strony pewien byłem, że się nie musi czuć zupełnie zadowolona z pobytu u ludzi, z którymi tak mało miała wspólnego. Chcąc korzystać nieco dłużej z jej towarzystwa, pozostałem do końca wieczoru. Rozmowa z nią, śpiew jej były dla mnie tak rozkosznym przypomnieniem przeszłości, dni spędzonych w starym, spokojnym domu jej ojca, że pozostałbym nie wiem jak długo, gdyby nie wzgląd, że za pierwszorzędnymi gwiazdami i mnie wypada zejść z horyzontu salonu państwa Waterbrook. Żegnając Agnieszkę bardziej niż kiedykolwiek czułem, że to ona jest dobrym mym aniołem, a pogodna jej twarz i słodkie spojrzenie zdawały mi się gwiazdą przewodnią, zatoną w odległej, dobrej, zapomnianej przeszłości.

Mówiłem już, że wyszedłem z domu państwa Waterbrook ostatni, wyłączając chyba Uriaha, który nie przestał przez wieczór cały krążyć koło mnie i Agnieszki, a teraz wyszedł wraz ze mną i idąc obok mnie trotuarem wpychał długie swe kościotrupie palce w olbrzymie rękawiczki.

Towarzystwo jego było mi bardzo nie na rękę, lecz pamiętając prośbę Agnieszki, starałem się być uprzejmy i spytałem go, czy nie zechce zejść do mnie na filiżankę kawy.

– O! Doprawdy, panie Copperfield! – zawołał. – Jesteś pan zbyt dla mnie łaskaw! Nie chciałbym nadużywać dobroci pańskiej narzucając mu towarzystwo mojej maluczkiej osoby.

– Nie może być mowy o narzucaniu się, skoro pana proszę – odrzekłem. – I cóż, przyjmujesz pan?

– Z największą przyjemnością! – zawołał zżymając się.

– Idziemy więc – rzekłem.

Czułem, że byłem nieco lakoniczny, zdawał się jednak nie zwracać na to uwagi. Szliśmy dalej w milczeniu. Uriah zaś tak był zajęty nakładaniem rękawiczek, że doszliśmy już do miejsca przeznaczenia, a on nie wywiązał się jeszcze z tego trudnego zadania.

Wziąłem go za rękę wprowadzając na ciemne schody, aby uchronić od uderzenia się o cośkolwiek. Wilgotny chłód tej ręki tak był przenikliwy i przykry, iż była chwila, żem chciał ją wypuścić z mych dłoni... i uciec. Przeważało wspomnienie Agnieszki. Dowiodłem go bądź co bądź do samego kominka. Gdym zapalił świecę, zaczął się zachwycać moim mieszkaniem, a gdym zabrał się do gotowania kawy w skromnym rondelku, w którym gotowała ją zwykle pani Crupp, zachwyt jego nie znał granic. Irytował zaś mnie on tak dalece, że z przyjemnością oparzyłbym go, gdybym mógł.

– Ach, doprawdy, panie Copperfield! – wołał. – Pan tak się dla mnie trudzi. Nie spodziewałem się nigdy podobnego zaszczytu! Bądź co bądź tyle mnie w skromnym mym położeniu spotyka niespodzianek, że sam już nie wiem doprawdy, jak za nie Niebu dziękować! Słyszał może co już pan o tym? O zmianach, jakie w skromnym moim położeniu zajść mają?

Siedział na kanapie, z kolanami podniesionymi prawie do wysokości filiżanki z kawą, wyciągając pomału z filiżanki łyżeczkę, z kapeluszem i rękawiczkami rzuconymi na ziemię, z zaczerwienionymi powiekami, z których rzęsy zupełnie wypadły, z poruszającymi się za każdym odetchnięciem nozdrzami; kiwał się cały i patrzył na mnie ciągle, lecz tak, jak gdyby jednak unikał mego wzroku.

Nie, na pewno nie lubiłem go, przykro mi było, że został mym gościem. Młody, nie umiałem jeszcze panować nad wstrętem, przykro mi było zadawać uczuciom mym gwałt tak wyraźny.

– Słyszał pan o tym, panie Copperfield? – spytał.

– Słyszałem – odrzekłem sucho.

– Ach, więc wiadome to już panie Agnieszce? Cieszę się z tego nieskończenie, i stokrotnie, ale to stokrotnie dziękuję panu, panie Copperfield!

Gdybym mógł, rzuciłbym mu w twarz nie dopitą filiżankę kawy. Przykre mi było w jego ustach samo imię Agnieszki. Gryzłem się w język.

– Okazało się, że byłeś pan, panie Copperfield, jasnowidzący – ciągnął. – Przepowiedziałeś mi pan, pamiętam, jak gdyby to dziś było, że zostanę z czasem współnikiem mego pryncypała. Wickfield i Heep! Cha! Cha! Cha! Pan nie przypomina tego sobie, panie Copperfield, lecz ludzie tacy jak ja, pokorni i maluczcy, dobrą mają pamięć, chowają w głębi przepełnionego wdzięcznością serca każde dobre zasłyszane słowo.

– Pamiętam, była kiedyś mowa o tym, chociaż wyznaję, nie przypuszczałem, aby to nastąpić miało – rzekłem.

– O! Któż z nas mógł przypuszczać – wołał z zapalem Uriah – ja sam mniej niż kto bądź! Pamiętam, własnymi ustami wyznawałem pokorę moją. Wiem, jak niskie jest moje pochodzenie, jak małe zasługi!

Krzywiąc się patrzył na ogień, ja zaś nie spuszczałem z niego oka.

– Najniżsi jednak, panie Copperfield – ciągnął – bywają czasem w ręku Opatrzności narzędziem dobra i szczęśliwy jestem myśląc, że mi się właśnie ta rola dostała w udziale względem mego pryncypała. Godny to, najgodniejszy człowiek, panie Copperfield, lecz jakże, niestety, nieogłędny!

– Przykro mi to słyszeć – odrzekłem mimo woli prawie dodając: – Jak to, pod każdym względem?

– Pod każdym względem – odrzekł. – Nawet w tym, a zwłaszcza może w tym, co się tyczy panny Agnieszki. Nie pamięta pan zapewne, panie Copperfield, pewnego swego wyrażenia, które właśnie w sercu zapisałem. Mówił pan raz, że każdy, kto ją pozna, powinien czcić i wielbić pannę Agnieszkę. Dziękowałem za to panu z wylaniem. Pan zapomniał, ale ja pamiętam dobrze.

– Przypominam sobie – odrzekłem sucho.

– O! Doprawdy! Jakże to szczęśliwie! Pan pierwszy, panie Copperfield, rzuciłeś mi w serce zarzewie ambicji i raczysz pamiętać o tym! O! Czy mogę prosić jeszcze o jedną filiżankę kawy?

Było coś w głosie jego, gdy wspomniał o tym zarzewiu, w spojrzeniu, które prześliznęło się po mnie, coś, co mnie mrowiem przejęło. Zdawało mi się, że go nagle w pełnym ujrzałem świetle. Prośba o filiżankę kawy, innym zupełnie wymówiona tonem, przypominała mi o obowiązku gospodarza domu. Ręce mi przy nalewaniu i podawaniu drżały jak w

febrze. Z bijącym sercem czekałem, co dalej powie, pewien będąc, że uwadze jego nie uszło moje zmieszanie.

Nic już jednak więcej nie powiedział. Pił kawę spokojnie i pomału, spoconą, chłodną ręką pocierając brodę. Patrzył z kolei w ogień lub wodził okiem po ścianach pokoju, uśmiechał się, czyli raczej zrywał, kiwał się ustawicznie tam i z powrotem, w zwykły sobie sposób, mnie pozostawiając kierunek dalszej rozmowy.

– Zatem – ozwał się po długim milczeniu – pan Wickfield, który wart jest tysiąc razy więcej od pana... i ode mnie... od nas obu razem wziętych – nie chciałem jąkać się, lecz słowa grzęzły mi w gardle – zatem pan Wickfield bywa nieoględny. Czy tak, panie Heep?

– O, bardzo, bardzo nieoględny – odrzekł z głębokim westchnieniem – jest to temat, którego nie chciałem z nikim innym, oprócz pana, poruszyć. Z panem nawet, panie Copperfield, zaledwie tylko dotknę. Każdy inny, na moim miejscu, w ostatnich leciech kilku miałby pana Wickfielda, och, jaki to uczciwy, zacny człowiek, w ręku. W ręku, powtarzam – kończył pomału, z przyciskiem, wyciągając przed siebie długą rękę i uderzając nią po stole tak mocno, że się aż zatrzęsły wszystkie będące w pokoju przedmioty. Nie obudziłby we mnie większego wstrętu, gdybym go widział, jak depcze powalonego na ziemię pana Wickfielda.

– O tak! – ciągnął słodziutkim głosem, dziwnie odbijającym od tego gestu – o tak, nie ulega to żadnej wątpliwości. Gdyby inny był na moim miejscu, nastąpiłyby różne, ale to przeróżne straty; to i owo, sam nie wiem, co by nastąpić mogło. Pan Wickfield wie o tym, o, wie doskonale. Jestem tylko najuniżeńszym jego sługą, a podnosi mię do stanowiska, o jakim marzyć nigdy nie śmiałem. Ileż mu winienem wdzięczności! Ileż wdzięczności!

Zwrócony do mnie, lecz nie patrząc na mnie, rękę, którą zdjął ze stołu, podniósł do twarzy i niby brzytwą, chudym, długim palcem pocierał chude swe szczęki.

Pamiętam, z jakim wzruszeniem biło mi wówczas serce. Patrzając na jego rozświeconą ogniem twarz wiedziałem, na co był gotów, do czego zmierzał.

– Ale zatrzymuję pana, panie Copperfield – ozwał się po chwili.

– Bynajmniej – odrzekłem – późno się zwykle spać kładę.

– Dziękuję, o, dziękuję panu, panie Copperfield! – zawołał. – Byłeś pan zawsze dla mnie bardzo uprzejmy, lecz nie zapominam mimo to o moim skromnym położeńiu i mam w Bogu nadzieję, że skromny i pokorny pozostanę zawsze. Nie weźmiesz też mi pan za złe i nie poczytasz za dumę i zarozumiałość, jeśli się z czymś panu zwierzę. Prawda! Nie weźmiesz mi pan tego za złe?

– Nie – odrzekłem z trudnością.

– Dziękuję. O! Dziękuję panu! – wołał wyciągając chustkę do nosa i ocierając spotniałe ręce. – Panna Agnieszka, panie Copperfield...

– I cóż? – spytałem. – Co? Uria!hu!

– O, jakże mi miło, że pan, panie Copperfield, tak mnie bez ceremonii, po imieniu nazywa! – wołał rzucając się konwulsyjnie, jak ryba na lodzie. – Zauważył pan, panie Copperfield, jak panna Agnieszka ślicznie dziś wyglądała?

– Sądzę – odrzekłem – że zawsze wygląda ślicznie, wyższa jest pod każdym względem od otaczających ją ludzi.

– Dziękuję! O, dziękuję panu!

– Nie ma powodu, abyś mi dziękował – odparłem chłodno.

– Owszem, o, owszem, panie Copperfield! Na tym właśnie polega moje zwierzenie.

Wycierał ręce, patrząc na przemian to na mnie, to na płonący na kominku ogień.

– Pokorny jestem – ciągnął słodziutko. – Pokorna jest i matka moja; wiemy, jak skromne jest nasze stanowisko, lecz pod niziutkim naszym dachem obraz panny Agnieszki – o, niech mi pan wybaczy, że go obarczam moją tajemnicą – od pierwszego naszego spotkania natchnąłeś mię pan, panie Copperfield, ufnością bez granic. Obraz panny Agnieszki pod

niskim naszym dachem, jako też w sercu moim, wrył się od lat wielu. O, panie Copperfield, świętą mi jest nawet ziemia, po której stąpa moja Agnieszka!

Zdejmowała mię szalona chęć porwać rozpalony z komina ożóg i rzucić mu nim w twarz.

Słowa jego obity mi się o serce jak ciężka kula; obraz znieważonej przez tego wykrzywionego potwora Agnieszki oszołomił mnie po prostu. Zdawało mi się, że Uriah puchnie, rośnie, brzmieniem swego głosu wypełnia cały pokój. Zdawało mi się zarazem, że wszystko to wiedział od dawna, od bardzo dawna, wiedziałem też dokładnie, co dalej posłyszeć miałem. Pamiętałem jednak prośbę Agnieszki, opanowałem wzruszenie i z większym, aniżeli się sam spodziewałem, spokojem, spytałem Uriaha, czy oświadczył Agnieszce swe uczucia.

– O! Nie, panie Copperfield, nie, nie! – zawołał – nie wspomniałem o tym przed nikim, tylko tu, dopiero po raz pierwszy przed panem. Jak pan widzi, zaledwie zaczynam się wznosić ponad skromną moją sferę, lecz pokładam nadzieję w tym, że panna Agnieszka zauważyć przecie musiała, jak dalece użyteczny i potrzebny jestem jej ojcu. Tak, użyteczny mu jestem i niezbędnie potrzebny, toruję mu popłatane coraz bardziej drogi, a panna Agnieszka, jak to panu wiadomo, panie Copperfield, przywiązana jest bardzo do swego ojca. Anioł to nie córka! Dla ojca nie odmówi mi swych względów.

Zmierzyłem całą przepaść podstępów tego niegodziwca.

– Jeśli pan raczy, panie Copperfield – ciągnął – zachować moją tajemnicę i na ogół okazywać mi się w tym jak i w czym innym przychylny, będę się czuł nieskończenie zobowiązany. Znam pańską dobroć, panie Copperfield! Lecz względem na moje niskie pochodzenie i stanowisko wpłynąć może na to, że pan zrażać będzie do mnie moją Agnieszkę, moją nazywam ją, jak to pan słyszy, panie Copperfield! Pan zna piosenkę: „Nazywać ją moją, zbliża mnie do celu”. Mam też nadzieję, wcześniej czy później, swego dopiąć.

Biedna kochana Agnieszko! Nie znałem nikogo, kto by wart jej był, a łotr ten rościł do niej prawa!

– Na pośpiechu mi nie zależy – ciągnął powoli, a mnie tymczasem mózg rozsadały najsmutniejsze myśli. – Moja Agnieszka jest jeszcze, jak to panu, panie Copperfield, wiadomo, bardzo młoda, a matka moja i ja musimy torować sobie drogi do niespodziewanego wywyższenia. Wiele jeszcze pozostaje nam do zrobienia, zanim rzeczy te przestaną wywoływać zdumienie, toteż korzystam tylko z każdej nadarzającej się sposobności, aby moją Agnieszkę stopniowo oswajać z położeniem. O, nieskończenie wdzięczny jestem panu za tę rozmowę. Lżej mi na sercu, odkąd się panu zwierzyłem. Pewien też jestem, że teraz, gdy pan, panie Copperfield, wie jak rzeczy stoją, nie zechce pan narażać bliskiej panu rodziny na przeróżne nieprzyjemności. Nie będę miał pana przeciw sobie, pewien tego jestem.

Wyciągnął dłoń. Zabrakło mi odwagi odtrącić ją. Spojrzawszy na zegarek, zawołał:

– Ani się obejrzałem, jak czas upłynął! Pół do pierwszej. Na zwierzeniach czas przedko płynie! Pół do pierwszej.

Zauważyłem, że istotnie jest już późno, chociaż wcale o tym nie myślałem, czułem tylko, że nie potrafiłbym dalszej podtrzymywać rozmowy.

– O! – mówił – tak późno. Dom, w którym się zatrzymałem, pensjonat w pobliżu New River, pewnie już od dwóch godzin zamknięty. Nie dostukam się nigdy.

– Żałuję – odrzekłem – że mam tylko jedno łóżko.

– Och! Po co łóżko! – zawołał wyciągając ramiona. – Jeżelibyś mi pan, panie Copperfield, nie wziął za złe i pozwolił przemocować tu, przed kominkiem...

– Jeżeli tak ma być koniecznie – odrzekłem – zajmij, proszę, moje łóżko, a ja tu pozostanę.

Wymawiał się tak gorąco i krzykliwie, w zwykłej sobie pokorze, że musiał chyba obudzić panią Crupp, śpiącą na niższym piętrze i kołysaną przez głośnie tik-tak ściennego ze-

gara, na który, we wszelkich o punktualności dyskusjach, jakie pomiędzy nami się toczyły, powoływać się lubiła, chociaż zegar ten opóźniał się regularnie o trzy kwadransy na dobę. Nie mogąc przekonać nieproszonego gościa ani przewyciężyć nowego napadu jego pokory, musiałem pozostawić go w końcu przed kominkiem, a sam zająć łóżko. Materac z kanapy, za krótki na długie jego piszczele, poduszki, czysty obrus i płaszcz służyły Uriahowi za posłanie, za które rozpląwał się we wdzięczności. Pożyczyłem mu szlafmicy. Wyglądał więc jak upiór. Rozstaliśmy się wreszcie.

Nocy tej nie zapomnę nigdy. Przewracałem się z boku na bok, a w głowie mi się mąciło. Agnieszka, łotr ten Uriah. Co miałem począć? Doszedłem wreszcie do przekonania, że w interesie Agnieszki i dla jej spokoju najlepiej będzie, jeśli zachowam przy sobie to, com wieczora tego słyszał. Jeśli udało mi się zdrzemnąć na chwilę, śniła mi się Agnieszka, ze słodkim swym spojrzeniem, czule spoglądający na nią jej ojciec, tak właśnie, jakem ich tylekroć razy widział. Obraz ten napełniał mnie teraz trwogą. Gdym się budził ze snu ciężkiego, wspomnienie, że tuż obok, pod moich dachem, spoczywa łotr ten, padało mi na kształt zmory na piersi. Zdawało mi się, że samemu diabłu drzwi swe otworzył.

Marzył mi się ciągle rozpalony ożóg. Śniło mi się, że go porwał, by wygnać szatana. Marzenie to prześladowało mnie tak dalece, że dla zażegnania go, musiałem wstać, żeby się naocznie przekonać, że ogień od dawna wygasł na kominku. Ujrzałem wówczas Uriaha. Leżał na wznak, wyciągnięty, o nieprawdopodobnie długich nogach, w piersiach mu bulgotało, sapał i usta szeroko miał rozwarłe. Na jawie straszniejszy mi się jeszcze wydał, tak straszny, że ulegając gorączkowej ciekawości, oczu oderwać od niego nie mogłem, co pół godziny wracałem, aby mu się przypatrywać. Noc to była ciężka, śmiertelnie długa. Świtanie ociągało się na chmurnym niebie, a gdy rano Uriah wyszedł – szczęściem nie chciał pozostać na śniadaniu – zdawało mi się, że z nim razem oddalają się ode mnie noc sama i jej ciemności. Wychodząc do zajęcia prosiłem panią Crupp, by wywietrzyła pokój po bytności Uriaha, tak jak wywietrzanym bywa zapach siarki piekielnej.

Rozdział XXVI

Popadam w niewolę

Nie widziałem Uriaha Heepa do dnia, w którym Agnieszka opuściła Londyn. Poszedłem na stację dylizansów, aby ją pożegnać. Spotkałem go tam, wracał do Canterbury tym samym, co i ona dylizansem. Z niejaką przyjemnością zauważyłem jasną parasolkę, którą się Agnieszka osłaniała od jego długiej, w przyciasny paltot odzianej, obok woźnicy na koźle sterczącej postaci. Agnieszka była naturalnie wewnątrz dylizansu, a słodkie jej spojrzenie nagrodziło mi przymus, jaki musiałem zadawać sobie, aby się okazać przyjacielskim względem tego łotra. Tu, podobnie jak w czasie obiadu u państwa Waterbrook, nie odstępował od nas na krok, niby sęp łykając każde zamienione pomiędzy nami słowo.

Rozmyślając o wysłuchanych przed kominkiem zwierzeniach, myślałem jednocześnie o tym, co mi na temat zamierzonej tej spółki mówiła Agnieszka. „Robiłam, co mi się zdawało moim obowiązkiem uważając, że to uspokaja ojca, zachęcałam go do tego kroku”. Bałem się, żeby nie posunęła się za daleko w swych obowiązkach i siebie nie złożyła w ofierze, by zapewnić spokój ojcu. Znane mi było jej dziecięce przywiązanie, skłonność do poświęceń. Z własnych jej ust słyszałem niejednokrotnie skargi, że jest może mimowolnym powodem nieszczęść ojca. Nie wiedziała, jak mu to wynagrodzić. Nie porównywałem jej nawet z tym łotrem, nie myślałem o tym, jak przy nim wygląda, bo w samej jej właśnie wyższości dostrzegałem teraz największe niebezpieczeństwo. Wszystko to zresztą musiał on doskonale obmyślić, wyrachować, na tym właśnie budował oburzające swe pretensje i nadzieje.

Pewien byłem, że podobna, uczyniona z siebie ofiara unieszczęśliwiłaby ją wiekuiście, lecz znów z drugiej strony tak głęboko byłem przekonany, wnosząc z całego jej zachowania, że dotąd jeszcze myśli podobnej nie przypuściła do siebie, że za grzech uważałbym ostrzeżenie jej o grożącym niebezpieczeństwie. Rozstaliśmy się tedy bez wyjaśnień. Z okien dylizansu przesłała mi na pożegnanie ostatni słodki, pogodny uśmiech, a na koźle Uriah wykrzywił się tak, jakby miał ją już w garści i triumfował.

Wrażenia tej chwili prześladowały mnie długo. List Agnieszki, zawiadamiający o szczęśliwym przybyciu jej do domu, zastał mnie równie smutnym, jak w czasie jej wyjazdu. Ciągle mnie myśl ta prześladowała, w nocy nawet nie dając spokoju, i nasuwała sny złowrogie. Zdawało się, że jak cień przyłgnęła do mnie.

Nic mnie zresztą zzerwać nie mogło. Steerforth wrócił był do Oksfordu, skąd pisał do mnie; w godzinach wolnych od obowiązkowej pracy pozostawałem więc zupełnie samotny. Zdaje mi się, że w tym czasie zacząłem odczuwać w głębi serca jakąś nieufność do Steerfortha. Odpisałem mu wprawdzie po przyjacielsku, nie żałowałem jednak, że go nie ma w Londynie, czułem, że obecność Steerfortha rozproszyłaby wpływ Agnieszki, a chciałem myśleć o niej wyłącznie.

Mijały dni i tygodnie. Przyjęty zostałem do kancelarii panów Spenlow i Jorkins, pobierałem dziewięćdziesiąt funtów rocznie od ciotki, mieszkanie opłaciłem z góry do końca roku, a chociaż czasem jeszcze wieczorami wydawało mi się samotne i ponure, wracała mi wewnętrzna równowaga, gdy spijałem kawę całymi garncami. W tym to jakoś czasie zrobiłem trzy odkrycia, a mianowicie: że pani Crupp podlegała, biedaczka, napadom jakiejś słabości – spazmami ją mianowała – której towarzyszyło niezwykle zaczerwienienie nosa i

która wymagała niezwyklej ilości „miętówki”, po wtóre, iż „coś” niezwyklego i nadprzyrodzonego wyrywało korki i wypróżniało butelki w mojej spiżarni, wreszcie, że zostałem bardzo samotny i w czytanych wierszach podkreślałem ustępy odpowiednie memu nastrojowi.

W dniu zawarcia kontraktu z panami Spenlow i Jorkins podejmowałem urzędników w kancelarii zakąskami i winem jedynie, żadnych nie wydając bankietów, wieczorem zaś poszedłem do teatru. Dawano „Cudzoziemca”. Sztuka była wzruszająca. Zaledwie sam siebie poznałem, gdy wróciłem wieczorem do domu. W dniu tym pan Spenlow oświadczył mi był, że miło by mu było przyjąć mnie we własnym domu w Norwood, lecz, niestety, przeważa się tam teraz pewne zmiany z powodu oczekiwanego powrotu córki z Paryża. Dodał przy tym, że po powrocie córki do domu spodziewa się widywać mnie często u siebie.

Jakoż istotnie, w dwa lub trzy tygodnie potem, przypomniał mi tę rozmowę prosząc, abym odwiedził go w najbliższą niedzielę i pozostał do poniedziałku. Zgodziłem się chętnie i postanowione zostało, że w sobotę wieczorem zajedzie po mnie swym powozem.

W oznaczony dzień nawet mój worek podróżny stał się przedmiotem czci urzędników, z których żaden nigdy nie przestąpił progów domu pryncypała. Jeden z nich opowiadał mi, że słyszał, jakoby pan Spenlow jadał codziennie na srebrze i porcelanie. Drugi, że jakoby u stołu jego szampan zastępuje piwo. Stary sekretarz w peruce, który nazywał się pan Tiffey, był parę razy za interesem w Norwood i widział jadalnię. Nie mógł się dość naopowiadać o przepychu tego przybytku, w którym poczęstowano go najwyborniejszym, jakie tylko sobie wystawić można, winem.

Dnia tego mieliśmy w Trybunale Duchownym sprawę jakiegoś piekarza prawującego się z zakrystią parafialną o jakiś podatek, że zaś zeznania dowodowe były dwa razy dłuższe, jak to wyliczyłem, od całego Robinsona Cruoe, późno już było, gdy się rozprawa skończyła. Piekarza skazaliśmy na sześciotygodniowe przebywanie pod klątwą i opłacenie kosztów, po czym obrońca piekarza, sędziowie, adwokaci obu stron (wszyscy blisko ze sobą spokrewnieni zresztą) wyszli razem na miasto, ja zaś z panem Spenlow wsiadłem do jego powozu.

Ekwipaż był wytworny, konie przeżyły szyje, stąpały godnie, jak gdyby rozumiały, że należą do prześwieczonego Doctors' Commons. Jeśli chodzi o wystawność, to panowała tam wśród sędziów powszechna rywalizacja, toteż widywało się nieraz bardzo wytworne ekwipaże. Osobiście skłonny jestem uważać, że bardziej jeszcze zawzięcie rywalizowano w zużywaniu krochmalu; bowiem artykułu tego używali Doctors' Commons tyle, ile natura ludzka znieść może tylko.

Przejażdżka sama przez się była już przyjemna. Rozmowa toczyła się wyłącznie na temat obranego przeze mnie zawodu. Pan Spenlow wychwalał go wielce, podkreślając, że nie ma on nic wspólnego z adwokackim. Zdaniem jego, był on bardziej wyłączny, mniej mechaniczny, korzystniejszy. W Commons, jak utrzymywał, rzeczy szły równiej, prędzej, uczciwiej niż gdzie bądź, i to nadawało nam pozycję wyłączną, uprzywilejowaną. Mówił, że trudno wprawdzie zaprzeczyć niemiłemu faktowi pewnej naszej zaleźności od adwokatów, lecz dla pocieszenia mnie zapewne dodał, że pomimo tego traktujemy tych ostatnich nieco z góry, uważając ich za podrzędną rasę ludzi.

Spytałem pana Spenlow, jaki rodzaj interesów uważa za najkorzystniejszy w naszym zawodzie. Odrzekł, że testamentowe, gdzie idzie o jakie trzydzieści lub czterdzieści tysięcy wartości, w takim bowiem razie otwiera się zwykle szerokie pole do argumentacji, oczywiście piętrzą się jedne na drugich apelacje, kontrapelacje, a ponieważ istnieje pewność, że koszt pokryje się z majątku, przeto obie strony, nie oglądając się na wydatki, zabierają się żywo do rzeczy. Zaczął wygłaszać ogólne pochwały na temat Commons. Podkreślił zwartość jako główną siłę tejże instytucji, i dyskreję także. Była to, jego zdaniem, najspokojniejsza pod słońcem instytucja; jeśli na przykład zdarzy się sprawa rozwodowa

albo spadkowa, przeprowadzić ją można cichutko, niby w gronie familijnym. Jeżeli Commons nie zadowolni, tuż obok są Arches⁹. Co to są Arches? Ta sama izba, ciż sami adwokaci, inny tylko skład sędziów i tak dalej. Jeśli i to okaże się niezadowolniające, jest Izba Deputowanych, a tam adwokaci obznajmieni doskonale z przebiegiem sprawy, której się przypatrywali w obu poprzednich instancjach, z łatwością mogą zadowolnić obie strony. Nieprzyjaźnie usposobieni ludzie mogą wprawdzie coś tam mówić o sprzedajności, o tym, że w sprawach Doctors' Commons ręka rękę myje, że instytucję należy zreformować – kończył pan Spenlow – lecz gdy dzięki Doctors' Commons podskoczy cena pszenicy, wszyscy wiedzą doskonale, komu to zawdzięczać mają: tylko Doctors' Commons.

Słuchałem z uwagą, chociaż powątpiewałem, aby kraj cały, jak to chciał pan Spenlow, zawdzięczał dobrobyt tylko samemu Commons. Wprawdzie ta kwestia podskoczenia cen pszenicy wydawała mi się niezbyt jasna, lecz przechodziła widocznie moje małe jeszcze w tych sprawach doświadczenie. Zresztą po dziś dzień i pomimo nabytego doświadczenia, kwestii tej, wyznaję, rozwiązać nie jestem w stanie. W ciągu całej mej kariery stale mnie ona trapiła. Nigdy nie zdołałem zrozumieć, co ja lub ona ze mną ma wspólnego. Nie moja to jednak była rzeczą rozprawiać o tak zawiłych kwestiach. Milczenie moje wziął pan Spenlow pewno za niemą zgodę. Rozmowa przeszła na teatr i „Cudzoziemca”; rozmawialiśmy potem o koniach i tak dojechaliśmy do bramy zamieszkanego przez pana Spenlow domu.

Przed domem rozciągał się śliczny ogród, a chociaż pora roku najmniej temu sprzyjała, utrzymany był tak starannie, że mnie to wprawiło w zachwyt zupełny. Trawniki były przesyłne, drzewa przycięte, szpalery cieniste.

„Tu się zapewne zwykła przechadzać panna Spenlow we własnej osobie” – myślałem podjeżdżając pod ganek.

Weszliśmy do rześkiego oświetlonego domu. W obszernym hallu wisiały przeróżne kapelusze, płaszcze, rękawice, bicze, szpicruty.

– Gdzie jest panna Dora? – spytał służącego gospodarz domu.

„Dora – pomyślałem – co za śliczne imię!” – Weszliśmy do pokoju na lewo. Do tego samego zapewne, którego przepych opiewał starszy urzędnik w peruce.

– Córka moja Dora, panie Copperfield – przemówił gospodarz domu – a oto towarzysząca mej córki.

Już było po mnie. Spełniło się przeznaczenie. Od pierwszego spojrzenia zakochałem się w pannie Dorze, zostałem jej niewolnikiem.

Wydała mi się nadziemską istotą, sylfidą, królową wrózek, aniołem. Nie wiedziałem, kim była. Czymś niewidzialnym, niespodzianym, nadprzyrodzonym. W oka mgnieniu pochłonęła mnie przepaść miłości. Bez zastanowienia, bez obejrzenia się wstecz lub spojżenia przed siebie, w przepaść tę wpadłem, zanim jedno wyrzec zdołałem słowo; ogarnęła mnie zewsząd.

– Co do mnie – ozwał się dobrze mi znany głos – znam pana Copperfielda od dawna.

To nie był głos Dory, lecz towarzyszki jej, panny Murdstone.

Nie byłem tym nawet zdziwiony. Nic mię w danej chwili obchodzić lub dziwić nie mogło, nic, prócz Dory Spenlow.

– Jak się pani miewa, panno Murdstone? – rzekłem.

– Doskonale – odpowiedziała mi.

– A pan Murdstone? – pytałem.

– Wybornie – odrzekła. – Dziękuję panu.

Pan Spenlow zdziwiony był nieco tym odnowieniem naszej znajomości.

– Cieszę się niewymownie – rzekł – że się państwo przedtem już znali.

⁹ Arches (Arches Court) – Sąd Apelacyjny Kościelny dla okręgu Canterbury.

– Istnieją nawet pomiędzy nami pewne węzły – rzekła z powagą panna Murdstone – pokrewieństwa niby. Znaliśmy się niegdyś bardzo dobrze i z bliska. Było to za dni dziecięcych pana Copperfielda. Odtąd rozdzieliły nas różne okoliczności i nie poznałabym nawet pana.

Co do mnie poznałabym ją zawsze i wszędzie. Pewien tego byłem.

– Panna Murdstone – objaśniał pan Spenlow – podjęła się z łaski swej opieki nad mą córką. Dora, niestety, wcześniej straciła matkę, panna Murdstone służy zarazem córce mej za towarzyszkę.

Przyszło mi na myśl, że panna Murdstone, na kształt narzędzia zwanego kastetem, stosowniejsza była do ataku niż do obrony. Myśl ta tylko mi przemknęła, gdyż zajęty byłem Dorą i zdawało mi się, że spostrzegłem w jej prześlicznym grymasie, iż nie darzyła swej towarzyski szczególnym zaufaniem. Wtem ozwało się pierwsze uderzenie dzwonka i pan Spenlow powiódł mnie do gościnnego pokoju, abym się przebrał.

Zajęcie się toaletą lub czym bądź, w stanie zachwyty, w jaki popadłem, zdawało mi się po prostu niemożliwe. Usiadłem przed ogniem rozmyślając o pięknej, błyszczącookiej dziewczynie. Jakże piękną miała twarz, jakie kształty, talię, jakże wydawała się żywa i pełna wdzięku.

Powtórne uderzenie dzwonka wyrwało mnie z rozkosznej zadumy. Ubrałem się napędce i zszedłem do salonu, gdzie zastałem zebrane już towarzystwo. Dora rozmawiała z jakimś starym, siwym dżentelmenem. Chociaż stary i siwy, chociaż mógłby być jej dziadkiem, pobudził mą zazdrość.

W takim już byłem usposobieniu, zazdrościłem wszystkim wszystkiego. Nie zniósłbym tego, aby ktokolwiek ściślej ode mnie mógł być zażyłym z panem Spenlow. Dręczyło mnie, gdy słuchałem o tysiącnych wydarzeniach, w których, niestety, nie brałem, żadnego udziału. Gdy uprzejmy jakiś łysy jegomość siedzący po drugiej stronie stołu spytał mnie, czy po raz pierwszy jestem w tej okolicy, poczułem się obrażony i gotowy do krwawej zemsty.

Nie pamiętam już, kto tam był wieczoru tego oprócz Dory. Dorą się tylko karmiłem i dania zabierano nie tknięte. Siedziałem obok niej, rozmawiałem z nią, podziwiałem głosik jej melodyjny, śmiech srebrzysty, zalotność niewinną, którą musiała pozbawić spokoju każdego chyba młodzieńca. Drobną była, malutka i to dodawało jej jeszcze wdzięku.

Gdy z panną Murdstone – więcej kobiet nie było – opuściła jadalnię, popadłem w zadumę zatruty myślą, że mi panna Murdstone gotowa przy niej usłużyć po swojemu. Uprzejmy łysy jegomość opowiadał mi długie jakieś, odnoszące się zapewne do ogrodów i ogrodnictwa historie, gdyż zdaje mi się, że kilkakrotnie wspominał swego ogrodnika. Udawałem, że go słucham z uwagą, w myślach błędząc obok Dory, w rajskich jakichś ogrodach.

Strach, że panna Murdstone gotowa po swojemu usłużyć, zdjął mnie znów na sam jej widok, gdy wróciłem wreszcie do salonu. Uspokojony zostałem w najmniej spodziewany sposób.

– Dawidzie Copperfield – ozwała się panna Murdstone zastępując mi drogę i wtlaczając w zagłębienie okna – proszę na słowo.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

– Nie chcę – rzekła – rozwodzić się nad niektórymi familijnymi szczegółami, niemiły to dla nas obojga temat.

– Zgadza się najzupełniej ze zdaniem pani – odrzekłem.

– Zapewne – ciągnęła – nie życzę też sobie wcale rozbudzać wspomnień dawnych targów i nieporozumień ani nawet zniewagi, gdyż wyznać muszę ku hańbie niewieściego rodu, że się pewna osoba, o której bez wstępu wspomnieć nie mogę i o której wolę tu milczeć, posunęła aż do obrazy, i to czyjej – mej własnej osoby.

Chociaż czuły byłem na punkcie mej ciotki, zgodziłem się, że istotnie lepiej nie dotykać tych rzeczy, dodając wszelako, że nie zniósłbym najlżejszego uchybienia względem osoby, którą czcę i poważam.

Panna Murdstone zmrużyła oczy i skłoniła głowę, a potem podnosząc ją pomału mówiła:

– Nie będę taić przed panem, że od dzieciństwa pańskiego nabrałam o panu nieosobliwego wyobrażenia. Może się mylę, może zresztą obecnie zasługuje pan na lepsze mniemanie, nie w tym rzecz. Należę do rodziny powszechnie znanej ze stałości swych przekonań i wątpię, abym moje, w jakich bądź okolicznościach, zmienić mogła. Wiem, co mam sądzić o panu, tak jak pan wie zapewne, co pan ma sądzić o mnie.

Z kolei skłoniłem twierdząco głowę.

– Nie ma jednak żadnej potrzeby – ciągnęła – aby te nasze wzajemne przekonania wywołać tu miały obecnie jakie bądź starcie. Owszem. W obecnej sytuacji lepiej byłoby pozostawić to w spokoju. Ponieważ okoliczności zbliżyły nas teraz i prawdopodobnie zbliżyć odtąd będą, najlepiej byłoby dla nas obojga stanąć na gruncie dalekich i obojętnych stosunków. Nie zwróci to niczyjej uwagi. Stosunki rodzinne są wystarczającym powodem, abyśmy się tylko na tej stopie spotykali zawsze. Czy się pan zgadza na powyższą propozycję?

– Panno Murdstone – odrzekłem jej na to – tak pani, jak i brat pani wyrządziliście i mnie, i biednej mojej matce niejedną krwawą krzywdę. Nie zapomniałem o tym i nie zapomnę nigdy, obecnie jednak zgadzam się i zastosuję do propozycji pani.

Panna Murdstone zmrużyła znów oczy i spuściła głowę, potem dotknąwszy mej dłoni końcem zimnych sztywnych palców, odeszła poprawiając łańcuszki na szyi i rękę. Zdało mi się, że nosi te same, jakie miała, gdym ją ostatni raz widział. Przyszły mi na myśl łańcuchy u drzwi więziennych, przypominające przechodniom i widzom, co się poza tymi drzwiami znajduje.

Przypominam jeszcze sobie, że w wieczoru tego słyszałem królową mego serca śpiewającą francuskie ballady na skoczną jakąś nutę. Akompaniowała sobie na modnym, do gitary podobnym, instrumencie. Byłem w zachwycie. Podawano cukry, lecz ich nie tknąłem. Cofnąłem się nawet, gdy mi podano poncz. Pamiętam, że wychodząc z salonu pod strażą panny Murdstone podała mi rączkę z niebiańskim uśmiechem i że ujrzawszy się w zwierciadle wyglądał jak szalony, że się położyłem spać z zawrotem głowy, w stanie zupełnego odurzenia.

Ranek był pogodny, wczesny jeszcze. Udałem się na przechadzkę w strzyżone aleje ogrodu pragnąc marzyć o niej. Na ścieżce spotkałem jej pieska. Wołano na niego Jip. Zbliżyłem się doń z pieszczołą, gdyż on mi nawet był miły. Niewdzięcznik! Wyszczrzył wszystkie zęby, wlaź pod ławkę i burcząc, i szczekając nie dopuszczał mnie do siebie.

W ogrodzie chłodno było i pusto. Marzyłem o szczęściu, jakiego bym doświadczył, jeślibym był narzeczonym tego cudownego zjawiska. Co do małżeństwa, kwestii majątkowych i tak dalej, sądzę, że niewiele więcej myślałem o tym niż wówczas, gdym był zakochany w małej Emilce. Gdyby mi tylko wolno było nazywać ją po imieniu: „Dora”, pisywać do niej, wielbić ją, szaleć za nią, wiedzieć, że nawet w towarzystwie innych o mnie myśli i marzy, wydałoby mi się szczytem ziemskiej szczęśliwości. Dzieciak był ze mnie, lecz tyle w uczuciach mych było szczerości, świeżości i zapału, że po dziś dzień z pewnym wspominałem je wzruszeniem.

Chodziłem już od dość dawna, gdy ją nagle spotkałem na skrócie alei. Drzę jeszcze na samo wspomnienie tego spotkania, pióro mi niemal wypada z dłoni.

– Wcześniej pani, panno Spenlow, wyszła na przechadzkę – zauważyłem witając ją.

– Tak nudno w domu! – odparła. – Panna Murdstone taka nieznośna, prawi takie nonsensy o przewietrzaniu mieszkania. Przewietrzać! – zaśmiała się srebrzyście. – W niedzielę

rano muszę się czymś też przecie zająć, więc oświadczyłam wczoraj jeszcze papie, że wyjdę na przechadzkę. Ranek jest najpiękniejszą porą dnia, prawda?

Zdobyłem się na szaloną odwagę i oświadczyłem, że istotnie najpiękniejszą mi się zdaje od chwil parę, chociaż przedtem mgliście było i pochmurnie.

– Czy to ma być komplement – spytała – czy istotnie pogoda zmieniła się tak nagle?

Jąkałem się wyznając, że powiedziałem nie komplement, lecz samą prawdę i że żadna, o ile przypominam sobie, zmiana nie zaszła w powietrzu. Zaszła zmiana w uczuciach moich, dodałem rumieniąc się po uszy.

Zarumieniła się. Nigdy nie widziałem kędziorów podobnych do tych, w które usiłowała skryć swe rumieńce. Co zaś do kapelusza i błękitnych wstążek wieńczących te kędziory, czegoż bym nie dał, jeślibym, jako szczęśliwy ich posiadacz, mógł drogocenne te relikwie zawiesić w moim mieszkaniu przy Buckingham Street.

– Pani wprost wraca z Paryża? – spytałem.

– Tak. Był pan tam kiedy?

– Nie, pani!

– O! To trzeba jak najprędzej pojechać. Prześliczne miasto!

Czułem się srodze obrażony. Przypuszczała zatem, że mógłbym, że chciałbym odjechać? Co mi tam Paryż, co Francja cała! Zapewniłem, że pod żadnym warunkiem nie opuściłbym obecnie Anglii i tak dalej, dość że musiała znów przywołać na pomoc swe kędziory, szczęściem, piesek wybiegł na nasze spotkanie.

Zazdrosny, znienawidził mnie i ciągle pokazywał mi zęby. Wzięła go na ręce, pokryła pieśczołkami. Burczał. Nie dawał mi się dotknąć nawet. Wybiła go, uderzyła po różowym nosku. Biedactwo zmrużyło oczy, lizało jej ręce, lecz warczało wciąż z cicha rzucając na mnie wściekłe spojrzenia. Uspokoił się wreszcie czując na sierści jej miękkiej, rozkoszny podbródek. Poszliśmy zwiedzić oranżerię.

– Czy pan jest w bardzo bliskich stosunkach z panną Murdstone? – pytała Dora. – Kochanie moje!

Ostatnie słowa odnosiły się do pieska. Szczęśliwy!

– Wcale nie – upewniłem.

– Nieznośne to stworzenie – mówiła wydymając usteczka. – Nie wiem, co było ojcukowi, gdy mi ją wybrał za towarzyszkę. Jak gdyby jej opieka była komu potrzebna! Ciekawam, kto tu potrzebuje opieki! Nie ja pewno! Mam mego Jipa, to mi wystarczy. Prawda, Jipsiu, kochanie?

Mrugnął leniwie, gdy całowała kudłatą jego główkę.

– Ojczulek nazywa ją zaufaną mamą przyjaciółką. Oho, Jip, wiesz ty przecie, że to nie jest, nie może być prawdą. My z Jipsiem nie mamy zaufania do takich nieznośnych istot; my z Jipsiem potrafimy sobie, gdy zechcemy, wybrać lepszych, prawdziwych, wiernych przyjaciół. Co, Jipsiu, kochanie, prawda?

Jip zmarszczył nosek na znak zgody; co do mnie, każde jej słowo było nowym ogniem okalającym mi serce łańcucha.

– Smutno, Jipsiu, prawda – ciągnęła wydymając usteczka – że ponieważ nie mamy dobrej, kochanej mamy, musimy znosić i mieć ciągle za plecami nieznośną tę pannę Murdstone! Prawda, Jip! Jipsiu, mój kochany! Nie, nie lubimy jej i postaramy się znaleźć sobie trochę szczęścia poza jej plecami. Dokuczamy nieznośnej tej babie! Wcale zadowalniać jej nie myślimy, prawda, Jipsiu!

Gdyby to trwało jeszcze chwilę, nie wytrzymałbym i padłbym przed nią na kolana. Szczęściem byliśmy u wrót oranżerii. Była tam śliczna hodowla pelargonii. Przypatrywaliśmy się im długo. Co chwila Dora zatrzymywała się śmiejąc się jak dziecko i zmuszając Jipa do wachania najpiękniejszych okazów. Jeśli nie wszyscy troje, to ja już najpewniej czułem się jak w raj. Po dziś dzień zapach pelargonii budzi we mnie na poły tklive, na

poły komiczne wrażenie i wywołuje wspomnienie kapelusza z niebieskimi wstążkami, gęstych pierścieni jasnych włosów i w szczupłych ramionach dziewczęcia pieszczonego kudłatego czarnego psiaka, wszystko to na tle jasnej zieleni i różnobarwnego kwiecica.

Panna Murdstone szukała nas i tu znalazła. Podała Dorze do pocałowania zwiędłe swe, pudrem przysypane policzki i biorąc ją pod ramię poprowadziła nas na śniadanie z miną i krokiem, jak gdyby przewodniczyła pogrzebowi.

Nie wiem już, ile wypilem filiżanek herbaty, nalewała ją Dora, pamiętam tylko, że miałem niepomiarowanie dużo, aż do zniszczenia całego mego nerwowego systemu, je ślibym w one dni bywałem nerwowym. Poszliśmy do kościoła. W ławce panna Murdstone oddzieliła mnie od Dory, słyszałem jednak śpiew jej i czułem się w siódmym niebie. Kazanie musiało być na temat Dory, o niej tylko myślałem i boję się bardzo, czy czasem nie do niej się tylko dnia tego modliłem.

Dzień zszedł spokojnie, bez towarzystwa, z przechadzką, obiadem w rodzinnym kółku, wieczorem spędzonym na przeglądaniu książek i rysunków. Panna Murdstone spełniała gorliwie swe obowiązki i nie spuszczała z nas oka. Ach, czy też mały pan Spenlow drze miąc po obiedzie w fotelu, z twarzą przykrytą chustką do nosa, domyślał się, jak tkliwymi w myśli obdarzałem go uściskami, marząc, że już został jego zięciem. Czy przypuszczał chociażby, gdym się z nim przed nocą rozstawał, że na jego głowę zwołał wszelkie błogosławieństwa Niebios, jak gdyby mi już obiecał dać córkę za żonę.

Wyjechaliśmy nazajutrz wcześniej. Mieliśmy dnia tego sprawę w Sądzie Admiralicji o zatonięciu okrętu, wymagającą dokładnej znajomości marynarki, że zaś znajomości tych nie posiadano u nas dostatecznie, sędzia zawezwał dwóch starszych marynarzy, jako biegłych, dla udzielania potrzebnych wskazówek. Zastaliśmy Dorę przy stole i wsiadając do powozu miałem szczęście ukłonić się jej stojącej na ganku z nieodstępnym Jipem na ręku.

Czym dnia tego była dla mnie Admiralicja cała, sprawa, której wcale zrozumieć nie mogłem, powtarzać nie będę. „Dora” czytałem na srebrnym wiośle leżącym na stole jako oznaka najwyższej sprawiedliwości, gdy zaś pan Spenlow odjeżdżał pod wieczór do domu, żywiłem w głębi serca nieokreśloną nadzieję, że mnie z sobą zabierze, i czułem się jak rozbitek przez odpływający okręt na bezludnej porzuconej wyspie. Gdyby ten stary, cichy dziedzieniec obdarzony był głosem, dziś jeszcze świadczyłby, że mi światem całym została Dora.

Ile marzeń przemarzyłem nie tylko dnia tego, lecz dni wiele, wiele tygodni z rzędu, powiedzieć trudno. Rzeczywistość snem mi się wydawała, marzenia – jedyną zajęć mnie mogącą rzeczywistością. Jeśli która z niesłychanie długich, w stopniowym swym rozwoju, spraw zajęła mnie nieco, to chyba sprawy małżeńskie, wprawiające mnie w zdumienie, że małżonkowie mogą popadać w waśnie zamiast być najszczęśliwszymi ludźmi pod słońcem. Śledząc za sprawami spadkowymi rozmyślałem znów, jak bym użył – zawsze na zdobycie Dory – tych pieniędzy. W pierwszych tygodniach zakochania kupiłem aż cztery eleganckie kamizelki – nie dla siebie, uchowaj Boże, nie lubowałem się w kamizelkach – dla Dory. Wychodząc wkładałem żółte rękawiczki, od onego to czasu wszystkich dorobiłem się nagniotków. Prawdę mówiąc buty, które nosiłem wówczas, o wiele były mniejsze od nóg moich i same już świadczyć mogły o stanie mego serca.

Kalecząc się prawie i kulejąc z miłości, chodziłem godzinami całymi w nadziei spotkania Dory. Po drodze do Norwood uważany byłem za roznosiciela listów, a oprócz tego cały Londyn przebiegałem wszcz i wzdłuż. Przechadzałem się po ulicach, przy których były największe magazyny mód i strojów damskich, jak duch niepokoju tułałem się po sklepach, przebiegałem aleje w parkach, nieraz zamykano mnie w publicznych ogrodach. Czasem, ale to rzadko kiedy, udawało mi się ją spotkać. Ciągle łudziłem się nadzieją ujżenia jej rękawiczki w oknie przejeżdżającego pojazdu. A może spotkam ją przechadzającą się z panną Murdstone i uda mi się towarzyszyć im choć kilkanaście kroków? Udawało

mi się to czasem istotnie, lecz w takich razach wpadałem później w rozpacz, okazywało się bowiem, że nic nie powiedział z tego, com powiedzieć zamierzał, że się Dora ani domyśla bezmiaru mego przywiązania lub nawet, że wcale o nie i o mnie samego nie dba. Wyczekiwałem powtórnego zaproszenia i, niestety, wyczekiwałem daremnie.

Pani Crupp posiadała snadź znakomitą przenikliwość, skoro, wówczas nawet, gdy samej Agnieszce przyznać się do prawdy nie miałem odwagi i donosząc o wizycie w domu pana Spenlow pisałem tylko, że jego rodzinę stanowi córka jedynaczka, pani Crupp domyśliła się czegoś. Pewnego wieczoru, gdym był bardzo przybity, weszła do mnie uskarżając się na zwykle swe spazmy i zapytała, czy nie mógłbym jej udzielić kilku kropel nalanego na rumbarbarum araku lub esencji goździkowej, ingrediencji nader pomocnych w jej cierpieniu. Jeślibym zaś nie posiadał tych specyfików, nieco koniaku zastąpić by je z biedą mogło. Szczerze mówiąc, nie słyszałem nawet nigdy o pierwszych, a mając w szafie zapas koniaku, chętnie nalałem jej kieliszek, który, aby nie być posądzoną o oszustwo, wychyliła w mojej obecności. Język się jej rozwiązał.

– Serce mi się ściska – mówiła – na widok pana! Mam dla pana macierzyńskie uczucie. Uśmiechnąłem się na to tkliwe wynurzenie jej uczuć.

– Niech mi pan daruje – ciągnęła – powiem prawdę, znam się nieco na tym, jest w tym jakaś panienka.

Zaczerwieniłem się po uszy.

– Pani Crupp...

– Niech się pan nie gniewa i niech znów nie bierze tak bardzo do serca. Jeśli nie jest panu wzajemna – niewielka bieda, wzajemność znajdzie się gdzie indziej. Takiemu przystojnemu jak pan chłopcu nie zabraknie dziewcząt, trzeba tylko, abyś pan własną znał cenę, panie Copperfull.

Tak mnie zawsze nazywała. Nie douczyła się mego nazwiska i stale je na swój sposób przekręcała.

– Nie wiem – rzekłem – co może pani nasuwać na myśl...

– O! panie Copperfull – przerwała mi z emfazą – matką przecie jestem.

Przez chwil kilka przytrzymała ręką bijące pod nankinowym kaftanem serce. Dla pokrzepienia się nalała sobie ponownie kieliszek koniaku.

– Kiedy szanowna ciotka pańska, panie Copperfull – ciągnęła – najęła tu dla pana mieszkanie, pomyślałam sobie: dobrze, teraz to już mam kogo macierzyńskim otoczyć staraniem. Pan nic nie je, nie pije.

– I na tym pani zasada swe wnioski? – spytałem.

– Panie! – odrzekła, popadając w surowość, z godnością i powagą. – Niejeden tu już u mnie mieszkał młodzieniec. Młody dżentelmen bywa zwykle nazbyt lub za mało sam o siebie dbały; szcnotkuje swe włosy i wygładza nadto lub za mało; nosi za szerokie lub za ciasne buty, zależy to już od jego osobistych poglądów, lecz pod tymi czy owymi pozorami jest zawsze, jak trafić – panienka.

Potrząsnęła przekonywająco głową. Nie było rady. Zbyt pewna była swej argumentacji.

– Młody człowiek, który tu mieszkał przed panem, panie Copperfull, i umarł – dowodziła przekonywająco – zakochał się był w szynkarce z przeciwka. Wnet zażądał uprania poplamionej winem kamizelki.

– Prosiłbym panią, pani Crupp – ozwał się – o niezestawianie osoby, o której myślę, z szynkarką lub jej podobnymi młodymi osobami.

– Panie Copperfull – zawołała obrażona – mam przecie macierzyńskie serce! Najusilniej przepraszam pana, jeśli mu coś o tym wspomniałam, nie lubię się narzucać ze swą radą i doświadczeniem. Lecz jako młodemu człowiekowi ośmielę się raz jeszcze zalecić, abyś nie upadał na duchu. Może byś pan zajął się kręglami. Zdrowa to gra i dobrze by panu zrobiła, rozerwałaby myśl pańską.

Ze słowami tymi pani Crupp, dbała o koniak, którego nie pozostało we flaszy ani kropli, rozplynęła się w dziękczynieniach i zapewnieniach o swym macierzyńskim uczuciu. Gdy znikła w cieniu przedpokoju, występ ten jej wydał mi się nader śmiały i natrętny, wziąłem go jednak pod uwagę, postanawiając być na przyszłość oględniejszy i pilniej strzec tajemnicy mego serca.

Rozdział XXVII

Tommy Traddles

Czy to skutkiem rad udzielonych mi przez panią Crupp, czy z innego powodu przypomniałem sobie Traddlesa i postanowiłem odwiedzić go nazajutrz. Od dawna musiał być wrócić do Londynu ze swej miesięcznej wycieczki. Mieszkał w uliczce, w pobliżu szkoły weterynaryjnej, w Camden Town, dzielnicy zamieszkałej przeważnie, jak mnie objaśnił jeden z naszych sekretarzy, przez studentów kupujących żywe osły, by dokonywać na nich w swych mieszkaniach przeróżnych doświadczeń. Zaopatrzywszy się w topograficzne wskazówki, udałem się po południu w odwiedziny do mego szkolnego towarzysza.

Uliczka nie należała do najprzyjemniejszych miejsc zamieszkania. Mieszkańcy jej okazywali szczególniejszą skłonność do wyrzucania na nią wszystkiego, co im w mieszkaniach zawadzało. Nadawało to jej pozór nieporządku, zmieniając w jedno śmietnisko. Wśród liści kapusty i sałaty wałały się zdarte skarpetki, połamane rondelki, podziurawione rynki, zmięty, pierwotnego kształtu pozbawiony kapelus, podruzgotane szczątki parasola i niezliczone tym podobne graty. Powietrze i wygląd ogólny tych miejsc przypomniały mi czasy, kiedy mieszkałem z państwem Micawber. Jakaś niedająca się opisać tania wytworność wyróżniająca dom, którego szukałem – chociaż wszystkie domy na ulicy tej wyglądały jak z kartonu, pobudowane dla zabawy przez dzieci – żywiej pobudziła to wspomnienie. Wzmogło się ono jeszcze u drzwi otwartych właśnie, przy których stał mleczarz.

– I cóż? – mówił on do bardzo młodej służącej. – Kiedy mój rachunek zapłacony zostanie?

– Pan mówił, że wkrótce zapłaci – odrzekła służąca.

– Bo to – ciągnął mleczarz nie zważając na otrzymaną odpowiedź tonem, który dowodził, że chociaż mówi do służącej, rzecz tę stosuje do kogoś niewidzialnego, lecz obecnego w mieszkaniu – bo to rachunek ciągnie się od tak dawna, że i cierpliwości już nie staje, a oszukać się i wyzyskać nie dam – dodał głos podnosząc i zaglądając do mieszkania.

Był to tylko mleczarz – rzeźnik lub szynkarz dopominałby się o swą należność głośniejszą – służąca jednak i przed tą groźbą głos zniżyła. Zapewniała, że się wszystko wkrótce już zapłaci.

– Znam ja was – mówił mleczarz surowo, a biorąc ją pod brodę, spytał: – A lubisz mleko?

– Lubię – odrzekła nieśmiało.

– A widzisz, od jutra nie dostaniesz ani kropelki, ani kropelki.

Nie wywarło to na niej pożądanego wrażenia. Mleczarz nadałszy odkorkował jednak dzban i nalał w trzymane przez służącą naczynie zwykłą ilość używanego codziennie przez rodzinę mleka. Odchodząc mruczał coś jeszcze.

– Tu mieszka pan Traddles? – spytałem.

Z głębi mieszkania głos jakiś powiedział: „Tak jest, tu”.

– Tak jest, tu – powtórzyła służąca.

– Zastaję go? – spytałem.

Twierdząca odpowiedź udzielona mi została w ten sam co pierwsza, sposób. Wszedłem. Służąca powiodła mnie na górę. Czulem, że zza drzwi śledzi za mną tajemnicze oko będące w związku z tajemniczym głosem.

Na górze spotkał mnie Traddles. Powitał serdecznie i wwiódł do swej izdebki. Odznaczała się niesłychaną czystością, chociaż sprzęty były ubogie i skromne. Izdebka ta stanowiła zresztą całe mieszkanie szkolnego mego towarzysza. Sypiał na kanapie, a szczotki i szuwaks do czyszczenia butów znajdowały się na półce między książkami. Stół pokryty był papierami; pracował, widać, odziany w stary surdut. Nie patrząc widziałem to wszystko, dostrzegłem nawet kościół namalowany na porcelanowym jego kałamarzu.

Zdolność widzenia wielu rzeczy, nie przyglądając się im, pozostała mi z czasów, gdy żyłem w domu państwa Micawber, a chociaż Traddles bardzo zręcznie usuwał na dalsze plany i maskował kuferki, półki z obuwiem, stolik do mycia się i golenia i tak dalej, objąłem to jednym rzutem oka i w pamięci związałem ze szkolnym towarzyszem, który z listowego papieru wyrabiał pułapki na muchy, a okładki książyków i szkolnych zeszytów pokrywał artystyczną swą produkcją.

W kącie izdebki było coś starannie owiniętego białym prześcieradłem. Nie mogłem się domyślić, co by to być mogło.

– Cieszę się niewymownie, że cię widzę – rzekłem siadając.

– I ja się cieszę – odrzekł – cieszę się z całego serca i dlatego to, wiedząc, że ci również jak mnie miłe było to niespodziane spotkanie na Ely Place, dałem ci ten adres, zamiast adresu kancelarii.

– Masz kancelarię? – spytałem.

– Tak – odrzekł. – Właściwie mówiąc, ćwierć kancelarii i ćwierć sekretarza. Dla łatwiejszego odrabiania interesów połączyliśmy się we czterech, składając na kancelarię i sekretarza. Kosztuje mnie to pół korony na tydzień.

W uśmiechu, z jakim opowiadał mi te szczegóły, błyskał dawny jego humor, łagodność i skromność.

– Nie przez dumę to i pretensję – objaśniał – daję zwykle tamten adres, ale przez wzgląd, że nie każdemu miło tu może zachodzić. Co do mnie, walczę jak mogę z trudnościami niełatwymi do pokonania i nie mam prawa być wymagający.

– Aplikujesz w adwokaturze? – rzekłem.

– A tak! – odrzekł pomału, zacierając rękę o rękę – a tak, aplikuję, za późno nieco, lecz opłacie stu funtów podolałem z trudnością. Z trudnością!

Skrzywił się, jak gdyby mu ząb wyrywano.

– A czy wiesz, o czym myślę patrząc tu na ciebie, kochany chłopcze? – spytałem.

– O czym?

– O tym sinym surduciku, który dawniej nosiłeś.

– Ciasnym w ramionach i wytartym na łokciach! – zaśmiał się wesoło. – Dobrze to były czasy, co?

– Gdyby nie ten nasz tyran – odrzekłem myśląc o starym Creakle.

– Zapewne, nielekka wiódł nas dłonią! Dobrze to jednak były czasy! Pamiętasz nocne nasze rozmowy, kolacyjki, te prześliczne bajki, coś nam prawił? Pamiętasz, ile kijów spadło na me plecy za to, że opłakiwałem wydalenie pana Mella. Stary tyran! Chciałbym go jednak spotkać kiedy.

– Pastwił się nad tobą w szczególny sposób – zauważyłem z oburzeniem, gdyż zdawało mi się, że słyszę jeszcze razy spadające na plecy współtowarzysza

– Tak sądzisz? – rzekł z niezmaconym uśmiechem. – Istotnie być może, było to jednak tak dawno. Oj, stary tyranie!

– Na wychowanie twe, jeśli się nie mylę, wuj łożył? – spytałem.

– A tak – odrzekł. – Zawsze zabierałem się pisać do niego i nigdy zabrać się nie mogłem. Pamiętasz?! Cha! Cha! Cha! Miałem wuja, zmarł wkrótce po wyjściu mym ze szkół.

– Tak!?

– Tak. Był to staruszek, kupiec, miałem zostać jego spadkobiercą, lecz nie podobałem mu się, gdym dorósł.

– Czy mówisz to naprawdę? – rzekłem zauważwszy żartobliwy ton, jakim to mówił.

– Naprawdę. Przekonany o tym jestem. Na nieszczęście nie lubił mnie, utrzymywał, że zawiodłem jego nadzieje, i ożenił się ze swą gospodynią.

– Cóż ty na to?

– Cóż? Nic! Mieszkałem przy nich wyczekując, aż mi utworzą wejście w jaki zawód, tymczasem podagra doszła do żołądka, wuj umarł, wdowa wydała się za męża za jakiegoś młodzika, a ja zostałem na lodzie.

– Nic ci nie zostawił?

– Owszem, dostałem pięćdziesiąt funtów, ale co chcesz, nie byłem przygotowany do żadnego zawodu i z początku nie wiedziałem, co z sobą począć. Pomógł mi jeden z dawnych współtowarzyszy z Salem House – Yawler, z krzywym nosem, przypominasz go sobie?

– Nie przypominam, nie było go, za moich czasów wszystkie nosy były proste.

– Mniejsza z tym – mówił Traddles – dość, że mi dostarczył do przepisowywania prawne akta i wyroki. Poszło to jakoś. Zacząłem robić wyciągi, pisać sprawozdania, streszczać i tym podobnie. Pracowity jestem, jak wiesz, i nauczyłem się dokładnie wszystkich tych manipulacji. Przyszło mi na myśl samemu zostać aplikantem. Yawler polecił mnie tu i ówdzie, między innymi panu Waterbrook. Posypały się zarobki. Miałem przy tym szczęście poznać pewnego publicystę zajmującego się wydaniem nowej encyklopedii – powiódł okiem po stole – znalazła się i tu dla mnie robota. Wiesz – kończył z dobrodusznym uśmiechem – kompilacja, do wynalazków i kompozycji nie mam sprytu! Wątpię, czy pod słońcem jest drugi równie mało jak ja w tym względzie uzdolniony.

Potakiwałem mu machinalnie, co go ani dziwiło, ani obrażało.

– I tak pomału – ciągnął – grosz do grosza uciułałem moje sto funtów, wykupiłem się dzięki Bogu – skończył krzywiąc się. – Wypłaciłem się co do szeląga. Ot widzisz, jak żyję. Mam nadzieję wejść z czasem do jakiej redakcji, byłoby to dla mnie szczęściem. A teraz ty, Copperfieldzie! Ten sam, co dawniej, kochany, poczciwy! Taki poczciwy, że mnie zdejmuję ochota wypowiedzieć ci wszystko, a ż spod serca, nic nie zataić. Zaręczony jestem.

Zaręczony! O, Doro!

– Z córką duchownego w Devonshire, jedną z dziesięciu sióstr. Tak właśnie – mówił zauważwszy, że spoglądam na kościół malowany na jego kałamarzu – jest to parafia. Oto tędy, na lewo, stoi dom, jak raz naprzeciw kościoła, przy ogrodzie!

Teraz dopiero przypominam sobie, jak był rozpromieniony, użyczając mi tych wyjaśnień. Teraz to dopiero przypominam sobie, gdyż na razie marzył mi się dom i ogród w Norwood.

– Dobre, kochane dziewczę! – mówił z zapalem. – Starsza nieco ode mnie, ale taka kochana! Mówiłem ci onegdaj, że wyjeżdżam na prowincję. Tam to właśnie jeździłem. Czas przeszedł mi rozkosznie. Nie tak to, widzisz, prędko się pobierzemy, lecz obraliśmy sobie za zasadę: czekać cierpliwie i nie tracić nadziei. „Czekajmy i miejmy nadzieję” mawiamy sobie wzajemnie. Wiem to, będzie czekać cierpliwie, chociażby przyszło czekać sześćdziesiąt lat i więcej.

Powstał z krzesła z triumfującym uśmiechem, odsłaniając przedmiot okryty białym prześcieradłem.

– Pomału jednak, jak widzisz – mówił – zaczynamy się już meblować i ekwipować. Pomału. Oto już dwa nabyte przedmioty. Słupek ten z wazonem wybrała ona. W oknie – Traddles cofnął się, by lepiej widzieć oglądany przedmiot – w bawialnym pokoju, z ładną zieloną rośliną w wazonie, wyglądać będzie nieźle. Ten mały stoliczek z marmurowym

blatem ja wybrałem. Chcesz położyć książkę lub kto bądź z gości zechce postawić filiżankę z herbatą, już jest. Wyborna robota, mocna.

Chwaliłem oba sprzęty, które Traddles znów starannie zaśłaniał mówiąc:

– Mało to jeszcze, ale zawsze jest już coś na początek. Najbardziej się troszczę o stołową bieliznę i pościel. Wielki z tym będzie ambaras. A kuchenne, a domowe sprzęty! Przepaść! No, nie ma co, czekajmy cierpliwie i miejmy nadzieję, to nasza zasada! Kochane dziewczę! Pocziwie!

– Pewien tego jestem – rzekłem.

– Tymczasem – mówił wracając na opuszczone miejsce – powodzi mi się, jak widzisz, jako tako. Nie zarabiam wiele, ale też oszczędny jestem i wydaję mało. Stołuję się u sąsiadów, niżej, u bardzo pocziwych ludzi. Pan i pani Micawber niejedne już przeszli w życiu koleje, znają świat i ludzi!

— Co mówisz, Traddlesie! – zawołałem.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Państwo Micawber są to moi dobrzy, starzy znajomi!

Wtem rozległo się dyskretne, z dawien dawna znane mi pukanie do drzwi, które rozwiałoby wszelkie moje, jeśliby mi jeszcze pozostały w tym względzie, wątpliwości. Prosiłem Traddlesa, aby wezwał gospodarza na górę. Uczynił to chętnie przechylając się przez barierę. Wszedł pan Micawber taki samusieńki jak przed laty, opięty, z laseczką, monoklem, białym kołnierzykiem, ugrzecznony, elegancki.

– Przepraszam pana, panie Traddles – począł, głos zniżając uprzejmie – nie wiedziałem, że zastanę nieznanego w tym przybytku!

Skłonił mi się poprawiając kołnierzyk.

– Jak się pan miewa, panie Micawber! – zawołałem.

– Nieskończenie obowiązany – odrzekł – zdrowie moje *in statu quo*.

– A pani Micawber?

– Tysiąc wdzięczności. Dzięki Niebu i żona moja *in statu quo*.

– A dziatki?

– Z przyjemnością przyświadczyc mogę, że są naszą pociechą i chlubą. Rosną w zdrowiu i cnotach.

Pan Micawber nie poznawał mnie widocznie, chociaż oka ze mnie nie spuszczał. Teraz spostrzegłszy na mej twarzy uśmiech, którego nie zdołałem powstrzymać, cofnął się i po chwili zawołał:

– Być że to może! Mamże szczęście znów spotkać pana Copperfielda?!

Uściskaliśmy sobie dłonie.

– Nieba! – wołał pan Micawber. – Kto by mógł przypuścić, że pan Traddles zna się z tym oto moim najdawniejszym przyjacielem, towarzyszem dni dawno minionych.

– Kochanie! Żono! – wołał przechylając się nad schodami, gdy tymczasem Traddles zdumiony był tym, co dopiero słyszał. – Żono! Kochanie! Jest tu u pana Traddlesa pewien dżentelmen, który życzy sobie być ci przedstawiony.

Wrócił i znów uściskał mi obie dłonie.

– A doktor, jak się miewa doktor? – pytał. – Co słyhać w Canterbury?

– Same pomyślne mam stamtąd wiadomości – odrzekłem.

– Cieszę się z tego niewymownie – upewniał pan Micawber. – Ostatni raz widzieliśmy się w Canterbury, w cieniu, że tak rzec można, opisanej przez Chaucera katedry, będącej niegdyś celem pielgrzymek z najodleglejszych stron kraju. Tak właśnie, w cieniu i pod opiekuńczym skrzydłem katedry.

Przypomniałem to sobie doskonale. Pan Micawber mówił ze znaną mi potocznością i jak gdyby nie uważał na szmery, które dochodziły z dołu. Pani Micawber myła tam ręce, otwierała i zamykała komodę.

– Zastajesz nas obecnie, kochany Copperfieldzie – prawil spoglądając z boku na Trad-
dlesa – zamieszkałych tu na bardzo skromnej stopie, wiesz jednak o tym, ile ju ż w życiu
pokonałem trudności, zwyciężyłem przeciwności. Nie obcy ci i ten fakt z mego życia, kie-
dym pozostał niby w zawieszeniu, w oczekiwaniu zmiany wypadków, odepchnięty w
chwili, gdy właśnie zdobywałem się na krok stanowczy. I obecnie w podobnym, rzecz
można, znajduję się położeniu, w przeddzień stanowczego kroku, w nadziei, że mi się uda
dośćignąć zamierzony cel.

Wyrażałem zadowolenie z tego, com słyszał. Wtem weszła pani Micawber. Wydała mi
się bardziej jeszcze niż dawniej zaniedbana, oko moje odwykło od podobnych widoków,
wyraźnie jednak podstroila się, gdyż włożyła nawet ciemne rękawiczki.

– Kochanie! – zawołał pan Micawber. – Oto młody dżentelmen, nazwiskiem Copper-
field, życzący sobie odnowić z tobą znajomość.

Słowa te wywarły na słabej pani Micawber takie wrażenie, tak ją wzruszyła ta niespo-
dzianka, że o mało nie zemdląla. Mąż jej musiał biegać po wodę i skraplać jej skronie. Gdy
przyszła do siebie, nie mogła się dość mną nacieszyć. Rozmawialiśmy z pół godziny. Py-
tałem o bliźnięta – „ot, ile urosły”. A dwoje starszych dzieci? „Olbrzymy”. Nie przedst-
awiono mi tych olbrzymów.

Pani Micawber chciała zatrzymać mnie na obiad. Pozostałbym chętnie, lecz widząc jej
zakłopotanie, odmówiłem wymawiając się, że gdzie indziej zaproszony, zapewniając, że
nie odejdę, zanim Traddles i oboje państwo Micawber nie naznaczą dnia, w którym obia-
dować zechcą u mnie. Zajęcie Traddlesa nie dozwalało mu określić bliskiego terminu,
umówiliśmy się zatem na dzień dla wszystkich dogodny, po czym pożegnałem starych
znajomych.

Pan Micawber, pod pretekstem wskazania bliższej drogi, odprowadził mnie do rogu uli-
cy. Czuł potrzebę wywnętrzenia się przed starym przyjacielem.

– Kochany Copperfieldzie – zaczął. – Nie potrzebuję mówić ci, że pod zachmurzonym
naszym dachem, w obecnych okolicznościach bytność takiego jak pan Traddles towarzy-
sza jest jakby ożywym promieniem. Pomiędzy praczką z prawej strony, która mydliny
wystawia pod samymi drzwiami salonu, a policjantem z lewej towarzystwo podobnego
człowieka jest jedyną naszą pociechą. Widzisz mnie obecnie zajętego sprzedażą zboża,
czymś w rodzaju komisjonera. Niezbyt to popłatne, toteż wynikają stąd pewne, czasowe,
jak to sobie tuszę, finansowe trudności. Wyczekuję zmiany z dnia na dzień, a chociaż nie
mogę teraz jeszcze stanowczo określić, w jakim mianowicie kierunku, pewien jestem, że
po zmianie tej będę mógł być użyteczny i panu Traddlesowi. Zauważyłeś też może, że pani
Micawber znajduje się obecnie w stanie zdrowia, które... aha, ahum, które, jak że to mam
wyrazić... dowieść nas niebawem może do powiększenia rodziny, wprowadzając w nią
nowy dowód obopólnej naszej miłości. Taki stan rzeczy nie zadowalnia wprawdzie rodzi-
ny pani Micawber. Ponieważ jednak ja się nie mieszam wcale do ich interesów, toteż ze
wzgardą i obojętnością traktuję ich niezadowolenie.

Powiedziawszy to uściśnął mi rękę i rozeszliśmy się.

Rozdział XXVIII

Pan Micawber rzuca rękawicę

Do dnia, w którym miałem gości moich odnalezionych, starych przyjaciół, żyłem wyłącznie Dorą i kawą. Zakochany, straciłem zupełnie apetyt, z czego się zresztą cieszyłem sądząc, że apetyt byłby pewnym sprzeniewierzeniem się królowej mego serca. Ruch, w którym ciągle byłem, opłacał mi się lepiej, gdyż świeże powietrze równoważyło ustawicznie napotykaną zawody. Sądzę też z nabytego podówczas doświadczenia, że apetyt pozostaje w jakimś związku z ciasnymi butami: aby żołądek mógł należycie funkcjonować, kończyny ciała ludzkiego winny być swobodne.

Tym razem podejmując gości, zaniechałem uprzednich przygotowań. Kupiłem po prostu baranią łopatkę, kilka flader i pasztet. Pani Crupp oburzyła się z początku na moją propozycję gotowania ryby wołając stanowczo: „Nie! Nie! Nic z tego nie będzie. Nie znasz mnie pan dostatecznie, jeśli przypuszczasz, że podejmę się tego, czego dokonać nie mogę”. W końcu jednak zgodziła się dokonać dzieła pod warunkiem, że przez dwa tygodnie potem będę obiadował poza domem.

Tu muszę nadmienić, że to, com wycierpiał od despotyzmu pani Crupp, przechodzi wszelkie pojęcie. Bałem się jej jak ognia i godziłem się na wszystkie kolejno narzucane mi ustępstwa. Na każdą okazywaną przeze mnie stanowczość lub chociażby najlżejsze wahanie miała zawsze w pogotowiu owe spazmy i słabości, którymi mnie straszyla. Jeśli po kilku lub kilkunastu nieśmiały próbach potrzasałem gwałtownie za dzwonek, zjawiała się zadyszana, padała na krzesło obok drzwi, kładła obie dłonie na nankinowym kaftanie i począła jęczeć tak boleśnie, że mi się czuło uszczęśliwiony, gdy mi się jej mógł pozbyć za cenę wódki lub jakiej bądź ofiary. Jeżeli oponowałem przeciw słaniu mi łóżka o piątej po południu, co po dziś dzień uważam za nader niestosowną porę, jedno podniesienie jej ręki do nankinem osłoniętego łona działało na mnie jak uderzenie czarodziejskiej różdżki: miękłem i przepraszałem. Słowem, nie chciałem się jej niczym narazić, była więc dla mnie ustawicznym postrachem.

Nie zgodziłem się jednak na wzięcie „sprytnego chłopaka”, którego spotkałem był pewnego niedzielnego poranku na ulicy, w kamizelce bardzo podobnej do tej, której właśnie od pamiętnego owego obiadu znaleźć nie mogłem wśród mej garderoby. Młoda pomocnica została najęta pod warunkiem, że będzie tylko przynosić półmiski i zaraz wychodzić za drzwi, by swym sapaniem nie naprzykrzać się gościom.

Przygotowawszy wszystko, co było potrzebne do zrobienia ponczu, postawiwszy na stole alecnie flakonik lawendowej wody, dwie świece oraz położywszy arkusz szpilek przez wzgląd na panią Micawber, z tej samej pobudki rozpaliwszy ogień w moim sypialnym pokoju i nakrywszy stół własnoręcznie, czekałem przybycia gości.

O naznaczonej porze przybyli wszyscy troje razem, pan Micawber w szerszym i białszym niż zwykle kołnierzu i z nową wstążeczką przy monoklu, pani Micawber z czepkiem w kartonowym pudełeczku, które niósł Traddles, prowadzący damę tę pod ramię. Zachwycali się moim mieszkaniem, a gdy wprowadził panią Micawber do toalety i gdy ujrzała uczynione dla niej przygotowania, wpadła w taki zachwyt, że zawołała męża, każąc mu podziwiać wszystkie te elegancje.

– Ależ to zbytki, kochany Copperfieldzie! – rzekł pan Micawber. – Przypomina mi to moje kawalerskie czasy, zanim miałem szczęście i zaszczyt związać się wiarą małżeńską u ołtarzów Hymenu z obecną tu właśnie panią Micawber.

– Ublaganą przez niego – wtrąciła żona. – Nie trzeba nigdy odpowiadać za innych.

– Nie odpowiadam też, kochanko, za nikogo – rzekł pan Micawber z wielką powagą – wiem to, że wyrokiem nieodwołalnych losów przeznaczona mi była ś, przeznaczona człowiekowi, który po wielu ciężkich i daremnych walkach z losem padł ofiarą zawiłych interesów pieniężnej natury. Rozumiem cię doskonale, kochanie! Boleję nad tym, lecz zaradzić temu nie mogłem.

– Mężu! – zawołała cała we łzach pani Micawber. – Czyż zasłużyłam na podobne wyrzuty, ja, która cię nie opuściłam, nie opuszczę nigdy, przenigdy.

– Kochanie! – mówił wzruszony pan Micawber. – Wybacz mi, a nasz obecny tu przyjaciel wybaczy mi też to chwilowe rozdrażnienie wynikłe z żalu do przekornych losów i wywołane nowym rozczarowaniem po zetknięciu się z niegodziwcami przy wodociągach, gdzie właśnie miałem nadzieję utrwalić naszą fortunę.

Ucałował żonę i uściskał mi dłonie dając do zrozumienia, że towarzystwo wodociągowe nie otrzymawszy zapłaty przykróciło wydawanie wody na domowe potrzeby jego rodziny.

Dla rozerwania smutnych tych myśli podałem mu cytryny mówiąc, że liczę na jego znajomość rzeczy w przygotowaniu ponczu. Rozproszyło to w mgnieniu oka jego smutek, ba, rozpacz. Nie widziałem nikogo, kto tak byłby zajęty łupinami cytryn, cukrem, zapachem palącego się araku, wrzącą wodą. Ponad błękitnymi, z wazy wydzielającymi się płomykami, twarz jego jaśniała takim zadowoleniem, jak gdyby zamiast ponczu zajęty był gotowaniem szczęścia i pomyślności dla całej swej rodziny. Co do pani Micawber, nie wiem, czy to dzięki włożonemu czepeczkowi, czy wodzie lawendowej, czy szpilkom, w o-skowym świecie czy roznieconemu na kominku ogniowi, lecz wychodząc z mego pokoju wyglądała lepiej niż kiedykolwiek. Skowronek nie mógłby być weselszy.

Przypuszczam – nie ośmieliłem się bowiem nigdy dochodzić – przypuszczam jednak, że pani Crupp po ugotowaniu ryby zasłabła nagle. Łopatka barania była biała zewnątrz, a czerwona wewnątrz, przy tym sos posypyany był czymś bardzo podobnym do popiołu, nad czym zresztą nie mieliśmy sposobności rozmyślać, gdyż „młoda pomocnica” upuściła półmisek na schodach, gdzie ostatecznie pozostał. Szczęściem, pasztet był dobry, strasznie tylko mały. Uczta, krótko mówiąc, nie udała się, co by mnie nieskończenie martwiło, gdybym był zdolny myśleć o czymkolwiek, nie tylko o Dorze, i gdyby mnie nie rozweselał wyborny humor mych gości. Pan Micawber podjął się roli pocieszyciela.

– Kochany Copperfieldzie – mówił. – Wypadki podobne trafiają się w najlepiej zorganizowanych domach, tam nawet, gdzie gospodarstwo pozostaje pod baczny okiem pani domu, gospodyni, żony. Tam nawet, powtarzam, wypadki podobne przytrafiają się i wymagają filozofii. Otóż i obecnie pozwolę sobie zauważyć, że mamy tu pod ręką niektóre wyborne produkty, jeśliby zaś młoda, tu obecna osoba zechciała dostarczyć nam rusztu do pieczenia, zastąpilibyśmy z powodzeniem małe braki w tej lukullusowej uczcie.

Szczęściem miałem ruszt w szafie, służący mi do przypiekania z rana szynki. Wydostał się go w mgnieniu oka, Traddles zajął się krajaniem baraniny. Pan Micawber pokrajane plasterki z wprawą znawcy osypywał solą, pieprzem, nacierał papryką i musztardą, ja z kolei kładłem je na przyniesionym ruszcie i przypiekałem obracając je widelcem nad żarzącymi się węglami. Pani Micawber tymczasem kręciła w sosjerce ostry sos grzybowy. Wkrótce uwagę swą musieliśmy dzielić pomiędzy zrazy znajdujące się już na naszych talerzach i przypiekające się jeszcze na kominie.

Niespodziane to kucharzowanie, smaczne istotnie zrazy, zwracanie uwagi, by ich nie przypalić i upiec w miarę, wszystko to razem wprawiło nas w wyborne humory. Z łopatki baraniej pozostały same kości. Ze wstydem wyznać muszę, że nawet chwilowo zapo-

niał o Dorze. Pan i pani Micawber wyglądali najzupełniej zadowoleni. Traddles śmiał się z całego serca, pracował i jadł w najlepsze. Słowem, wszystko szło wybornie.

Mieliśmy właśnie spożyć ostatnie, najsmakowiciej sporządzone kęski, gdy wszedł ktoś obcy. Był to Littimer we własnej osobie; z odkrytą głową stał przy drzwiach.

– Kogo szukasz? – spytałem mimo woli.

– Za przeproszeniem pańskim – odrzekł – przysłany tu jestem, szukam mego pana.

– Nie ma go tu.

– Za przeproszeniem pańskim, czy go pan nie widział?

– Nie. Czy nie od niego przychodzisz?

– Niezupełnie, proszę pana.

– Mówił ci, że tu będzie?

– Niezupełnie, proszę pana, sądziłem tylko, że jeśli go tu dziś nie ma, to będzie jutro.

– Przyjechał z Oksfordu?

– Może pan z łaski swej raczy usiąść i mnie dozwolić wyręczyć siebie.

Mówiąc to wziął mi widelec z ręki i pochylił się nad stojącą na kominku kratą. Po chwili zajął się przypiekaniem baraniny.

Zjawienie się samego Steerfortha nie zmieszałoby nas zapewne, lecz obecność jego służącego działała na nas w dziwny sposób. Pan Micawber począł nucić dla okazania zapewne swobody, rozparł się niedbale na krześle, a spod poły wystawał mu widelec, jak gdyby się nim miał przebić. Pani Micawber naciągnęła ciemne rękawiczki i przybrała omdlewającą pozę. Traddles zatłuszczonymi rękoma najeżył sobie czuprynę, potem otarł je o obrus, co do mnie zmieniłem się nagle w niemowlę prawie i przy własnym siedząc stole nieśmiało spoglądałem na niespodziane to zjawisko czyniące porządki pod mym dachem.

Littimer, ze znaną mi powagą, obniósł dokoła stołu zdjęte z ognia zrazy. Jedliśmy, apetyt nas jednak wraz z uprzednią wesołością opuścił zupełnie. Littimer sprzątnął cicho talerze i podał ser. Potem zdjął obrus, w kątku ustawił naczynie i przyniósł nam szklanki i kieliszki. Wszystko to dokonywał z największą ścisłością i dokładnością nie podnosząc oczu, z pleców jego jednak widziałem, gdy się odwracał, że miał mnie za młokosa, za dziecko i tyle!

– Czym jeszcze mogę panu służyć? – spytał.

Podziękowałem mu prosząc, czyby sam nie zjadł czego.

Podziękował mi wzajemnie, odmawiając stanowczo.

– Czy pan Steerforth ma przybyć z Oksfordu? – spytałem.

– Za przeproszeniem pańskim?

Powtórzyłem pytanie.

– Wyobrażałem sobie, że będzie tu jutro – rzekł – sądziłem nawet, że go dziś już zastanę. Pomyliłem się widocznie.

– Jeśli go pierwszej zobaczysz... – począłem.

Przerwał mi.

– Za przeproszeniem pańskim, wątpię, abym go pierwszej miał zobaczyć.

– Na wszelki wypadek – rzekłem – powiesz mu, że żałuję, że go tu dziś z nami nie było. Spotkałby dawnego szkolnego towarzysza.

– Doprawdy, panie? – mówił Littimer z ukłonem dla mnie i dla Traddlesa, cofając się do drzwi.

Chciałem raz przecie być swobodny z nim i zawołałem:

– Littimer!

– Słucham pana.

– Czyś długo pozostawał wówczas w Yarmouth?

– Nie, panie, niezbyt długo.

– Spuściłeś łódź na morze?

– Tak, panie, było to moim obowiązkiem.
— Wiem o tym.

Podniósł wzrok na mnie.

– Czy pan Steerforth nie próbował jeszcze łodzi? – pytałem.

– Nie potrafię powiedzieć, z przeproszeniem pana. Sądzę... ale istotnie powiedzieć nie potrafię. Życzę panu dobrej nocy.

Ukłon jego pełen uszanowania zwrócony był do wszystkich zresztą obecnych. Wyszedł, a myśmy odetchnęli swobodniej. Co do mnie, czułem niejasno, jak gdybym zdradził przed nim mego przyjaciela. Dziwne! Ja, com nic nie miał do ukrycia, doznawałem zawsze w obec Littimera uczucia, jak gdybym się przed nim z czymś zdradził.

Wrażenie to rozproszył pan Micawber rozwodząc się nad doskonałością tego służącego. Wziął był na swe konto cały ukłon odchodzącego odpowiadając nań z niewzruszoną powagą.

– Ależ! Ale! – zawołał. – A poncz, kochany Copperfieldzie. Właśnie płonie jak najpiękniej. Jak ci się zdaje, kochanie?

Pani Micawber raczyła uznać, że jest istotnie doskonały.

– Wznoszę tedy – mówił mąż jej – za pozwoleniem przyjaciela naszego, tu obecnego Copperfielda, wznoszę toast na cześć dni, w których przechodziliśmy dłoń w dłoń strome ścieżki tego żywota. Możemy, w przenośni naturalnie, powiedzieć o sobie, żeśmy bywali na wozie i pod wozem. W każdym razie, śmiało to rzec mogę, doświadczyłem przyjaźni wzorowego tego młodzieńca i z podporą tejże przyjaźni pewien jestem, że pokonać zdołam przekorne mi losy.

Wychylił szklanekę, my za nim. Traddles podziwiał mówcę stawiającego czoło przekornym losom.

– Ahum – odchrząknął pan Micawber i zwracając się do żony rzekł: – Duszko, kochanko! Jeszcze szklaneczkę.

Pani Micawber zdecydowała, że chyba parę tylko kropel, na naszą jednak prośbę szklanka wypełniona została po brzegi.

– Ponieważ jesteśmy tu między sobą – odezwała się popijając poncz pani Micawber – gdyż do swoich liczę obecnego tu wśród nas pana Traddlesa, chciałabym zasięgnąć pańskiej rady, panie Copperfield, względem nowych widoków mego męża, co do zboża – rzekła ze stanowczością. – Przekonywałam właśnie męża mego, że jest to zajęcie szlachetne, lecz niepopłatne. O, nie! Wcale za popłatne uważane być nie może.

Zgodziliśmy się z tym.

– Zatem – ciągnęła pani Micawber, roszcząca pretensje do jasnego na rzeczy poglądu i wykładu – zatem pytam siebie: jeśli nie zboże, to co? Węgiel? Bynajmniej. Stosując się do wskazówek naszej rodziny, zwracaliśmy już uwagę w tę stronę, lecz bez powodzenia.

Pan Micawber, rozparty w krześle, z rękoma w kieszeniach, potakiwał skinieniem głowy nieprzemyślanym żoninym argumentom.

– Zatem – twierdziła bardziej jeszcze przekonywająco pani Micawber – odsunąć musimy na bok zboże i węgiel. Spoglądam dokoła siebie i pytam, co nam pozostaje, w czym zdolności męża mego znaleźć mogą odpowiednie sobie ujście? Nie mówmy o komisjonerstwie. Nie przedstawia ono żadnych gwarancji, a przy usposobieniu męża mego konieczne jest liczenie na pewne, niezawodne zyski.

Traddles i ja zamruczeliśmy coś w rodzaju uznania dla tego znakomitego odkrycia dokonanego przez panią Micawber.

– Nie będę skrywać przed panem, kochany panie Copperfield – ciągnęła pani Micawber – że miałam przez czas długi na oku interes browarniany. Zwróćcie uwagę, proszę, na Barclaya i Perkinsa! Na Trumana, Hanbury'ego i Buxtona! Na podobnej to tylko skali zdolności męża mego znaleźć mogą odpowiednie sobie ujście i tu mąż mój dokonać zdoła

cudów. Cóż! Firmy te nie raczą nawet odpowiadać na listy i propozycje mego męża! Czy można sobie wyobrazić coś podobnego! Prezencja mego męża...

– Duszko, kochanie – wtrącił pan Micawber.

– Nie mieszaj się w nie swoje rzeczy, mój drogi – słodko mówiła pani Micawber dotykając ramienia męża ręką obciśniętą czarną rękawiczką. – Mam najmocniejsze przekonanie, kochany panie Copperfield, że tylko w operacjach tego rodzaju, zwłaszcza w operacjach bankowych na wielką skalę, zdolności mego męża znaleźć mogą odpowiednie sobie ujście. Maniery męża predestynują go do kariery przedstawiciela wielkich firm! Taki prokurent rozszerzyłby do nieskończoności kredyt każdego bankierskiego domu. Lecz po cóż zastanawiać się nad tym dłużej, skoro przedstawiciele wyżej wymienionych bankierskich domów nie chcą korzystać z czynionych im przez mego męża propozycji. Gdyby niektórzy członkowie rodziny mojej chcieli tylko powierzyć kapitały swe mężowi memu... Cóż? Nie chcą, więc i o tym nie ma co mówić, i jak widzę niewieleśmy się posunęli naprzód.

– Niewiele – rzekłem potakująco.

– Niewiele – potwierdził skłaniając głowę Traddles.

– Otóż – ciągnęła przekonująco pani Micawber – otóż przyszedłem do ostatecznego wniosku, że jednakże żyć musimy.

– Zapewne – potwierdziłem.

– Zapewne – jak echo powtórzył Traddles. W myśli zaś dodałem, że każdy żyć lub umrzeć musi. Pozostawała tylko jedna alternatywa.

– Tak, tak to właśnie – twierdziła pani Micawber – i faktem jest, że my nie możemy żyć, jeśli się coś nie zmieni, i to wkrótce. Otóż przekonana jestem, i w ostatnich czasach pozwoliłam sobie kilkakrotnie zwrócić uwagę pana Micawbera na to, że rzeczy same przez się zmienić się na lepsze nie mogą i nie zmienią się, jeśli im nie dopomożemy sami. Myle się może, lecz jest to obecnie najgłębsze moje przekonanie.

Potakiwaliśmy obaj.

– Doskonale – ciągnęła pani Micawber – wróćmy do rzeczy. Oto mamy przed sobą męża mego, człowieka niepospolitych zdolności...

– Duszko! Kochanie! – wtrącił pan Micawber.

– Pozwól mi, kochanie, dokończyć. Oto mamy tu pana Micawbera, człowieka posiadającego najrozmaitsze zalety, talenty... powiedziałabym geniusza, boję się tylko, jako żona, być posądzona o pewną stronniczość.

– Nie! – przebaknęliśmy ja i Traddles.

– I oto – ciągnęła pani Micawber – ten sam pan Micawber nie zajmuje dotąd odpowiedniego sobie i talentom swym stanowiska. Czyja wina? Czyja, pytam, wina? Naturalnie, że społeczeństwa. Smutno to przyznać, ale tak jest, nie inaczej. Musimy powołać społeczeństwo do wymiaru sprawiedliwości. Cóż mamy przedsięwziąć? Sądzę... sądzę, kochany panie Copperfield, że jedno pozostaje memu mężowi: rzucić społeczeństwu rękawicę i zawołać: „Kto ją podejmie? Oto jestem!”

Ośmieliłem się spytać panią Micawber, w jaki to mianowicie mogłoby nastąpić sposób?

– Ha! Przez ogłoszenia, ogłoszenia we wszystkich dziennikach, tygodnikach, miesięcznikach. Pan Micawber powinien to uczynić przez wzgląd na siebie, na rodzinę, powiem więcej, przez wzgląd na społeczeństwo całe, które się na nim nie poznało. Trzeba się rozgłosić, zareklamować, opisać siebie jak najdokładniej, bez pominięcia najmniejszej zalety, z zakończeniem: „A teraz proszę o zajęcie, popłatne naturalnie; odpowiedzi adresować franco W. M. urząd pocztowy w Camden Town”.

– Przyznam ci się, kochany Copperfieldzie – rzekł na to poprawiając kołnierzyk i z ukosa spoglądając na mnie pan Micawber – przyznam ci się, że właśnie tę to myśl żony mojej miałem na uwadze, wzmiankując o owym wielkim skoku, jaki zamierzam dokonać.

– Ogłoszenia w dziennikach pociągają znaczne koszty – zauważyłem nieśmiało.

– Zapewne – podchwyciła przekonywająco pani Micawber – masz pan najzupełniejszą słuszność, kochany panie Copperfieldzie! Pozwoliłam już sobie uczynić tę samą uwagę memu mężowi i w tym to właśnie celu pan Micawber przez wzgląd na siebie, rodzinę, społeczeństwo... powinien podnieść pewną sumę... na weksel.

Rozparty niedbale o poręcz krzesła pan Micawber bawił się monoklem spoglądając na sufit. Zdawało mi się jednak, że rzuca od czasu do czasu spojrzenia na wpatrzonego w ogień Traddlesa.

– Jeśli żaden z członków rodziny mojej – ciągnęła pani Micawber – nie rozumie potrzeby traktowania tej pożyczki... zdaje mi się, że istnieje prawne wyrażenie ściślej określające to, co właśnie mam na myśli?

– Zdyskontowania – odpowiedział ze wzrokiem utkwionym w sufit pan Micawber.

– Zdyskontowania – powtórzyła jego żona. – W takim razie, zdaniem moim, pan Micawber powinien zdyskontować weksel na pieniężnym rynku czy giełdzie i dostać, co się da. Jeśli lichwiarze narażą męża mego na straty, obciążą tym swe sumienie. Zapatruję się na to statecznie, jak na przedsięwzięcie, które się sownie opłaci, i pragnę, kochany panie Copperfield, przelać to przekonanie na mego męża. Wkład, który sownie się opłaci i dla którego nie żał żadnej ofiary.

Czułem, chociaż sam nie wiem czemu, że było w tym wszystkim wiele poświęcenia ze strony wzorowej tej żony, i przebaknąłem coś o tym. Traddles wtórował mi, nie odrywając oczu od ognia.

– Nie będę – mówiła pani Micawber naciągając mantylkę na ramiona i dopijając poncz – przedłużać rozmowy o pieniężnych interesach mego męża. W gościnnym tym domu, kochany panie Copperfield, i w obecności tu siedzącego pana Traddlesa, który chociaż nie tak dawny znajomy, nabył już prawo do naszego zaufania, nie mogłam powstrzymać się od wypowiedzenia mego poglądu na tę sprawę. Zdaje mi się, że nadeszła stosowna chwila do działania i mąż mój przekona się o słuszności uwag i rad moich. Wiem to, że jestem tylko kobietą i że w podobnych kwestiach głos i zdanie męskie większe mają znaczenie, napominam jednak o tym tym chętniej, że gdy byłam w domu, papa mój i mama, papa zwłaszcza, mawiał częstokroć; „W wiotkiej postaci Emmy kryje się duch silny, logika nie lada!” Papa mój zbytnio być musiał stronniczy, zapewne jednak znał się doskonale na ludziach, o czym obowiązkiem moim jest nie wątpić.

Z tymi słowy i pomimo usilnych próśb naszych, aby raczyła zostać i wychylić z nami resztki ponczu, odeszła do mego sypialnego pokoju. Istotnie robiła na mnie wrażenie dzielnej niewiasty, czegoś w rodzaju rzymskiej matrony, gotowej do heroicznych czynów na arenie publicznego dobra. Pod wpływem tego wrażenia winszowałem panu Micawber skarbu, jaki w osobie dozgonnej swej towarzyszki posiadał. To samo czynił Traddles. Pan Micawber wyciągnął do nas ręce, po czym nakrył oczy chustką do nosa, bardziej, niż to zapewne przypuszczał, zatabaczoną. Uczyniwszy to, znów rozweselony wrócił do popijania ponczu.

Niezmiernie był wymowny. Dawał nam do zrozumienia, że odżywamy w dzieciach swych i że pod naciskiem pieniężnych ambarasów mnożenie się potomstwa podwójną przynosi korzyść. Mówił, że pani Micawber w ostatnich czasach popadała w niejaką pod tym względem wątpliwość, lecz ją uspokoił i przekonał. Mówiąc zaś o rodzinie swej żony, utrzymywał, że nie jest godna Emmy, dla niego lodowato obojętna, toteż posyłał ją – własne jego przytaczam słowa – do stu diabłów.

Wygłosił potem gorącą pochwałę na cześć Traddlesa. Miał on, zdaniem mówcy, charakter. Pan Micawber podziwiał jego zalety, stateczność i cnoty. Sam, niestety, niezdolny był do podobnego poświęcenia i tak dalej. Wymienił młodą nieznajomą, którą Traddles zaszczycił swym wyborem i która wzajemnie zaszczyciła Traddlesa swym przywiązaniem.

Pan Micawber ręczył za to honorem. Potwierdziłem to chętnie. Traddles dziękował nam obu mówiąc ze zwykłą swą prostotą:

– Zobowiązujecie mnie nieskończenie, zapewniam was, że istotnie nie ma pocciwszej pod słońcem dziewczyny.

Pan Micawber z kolei dotknął delikatnie i dyskretnie stanu mego serca. Jednak formalne zaprzeczenie najmilszego jego przyjaciela Copperfielda nie mogło wpłynąć na zmianę głębokiego przekonania, że tenże jego przyjaciel Copperfield kochał i był kochany. Zmieszany czułem, że się rumienię, zaprzeczyłem zrazu, skończyłem jednak, wznosząc toast na cześć D., co wprawilo pana Micawbera w taki zapał, że pobiegł do mego sypialnego pokoju wychylić ten toast do spółki z żoną. Pani Micawber wypita wołając drżącym głosem:

– Winszuję! Winszuję kochanemu panu – przy czym uderzała w ścianę, abym lepiej słyszał.

Rozmowa nasza przybrała następnie ogólniejszy ton. Pan Micawber upewniał nas, że mu Camden Town bardzo nie na rękę i że pierwszym jego staraniem będzie, gdy zamierzone ogłoszenia osiągną swój cel, wynieść się z tych miejsc. Miał nawet upatrzony lokal na Oxford Street z balkonem i widokiem na Hyde Park. Od dawna miał lokal ten na widoku, nie mógł go jednak zająć od razu z powodu znacznych kosztów, jakie pociągnęłoby umebłowanie tak obszernego apartamentu. Poprzestanie tymczasem na zajęciu wyższego piętra w samym centrum interesów i obrotów pieniężnych, w Piccadilly. Po przeprowadzeniu małych zmian mieszkanie to stałoby się wygodne dla pani Micawber i mogliby w nim spędzić tymczasem lat parę. Lecz gdziekolwiek by zamieszkał, cokolwiek by się przytrafiło, wszędzie znajdzie się pokój i przytułek dla Traddlesa, a dla mnie niezmiennie nakrycie przy stole. Dziękowaliśmy gorąco, przepraszał, że się tak długo zatrzymał nad tymi szczegółami... było to naturalne w przeddzień tak stanowczej zmiany w życiu.

Przerwało nam pukanie w ścianę pani Micawber pytającej w ten sposób, czy herbata już gotowa. Na twierdzącą naszą odpowiedź zjawiała się i zajęła uprzejmie nalewaniem herbaty. Gdy mi podawał tacę z filiżankami i koszyk z ciastem, spytała mnie z cicha, czy D. blondyną jest, czy brunetką, niskiego czy słusznego wzrostu? Po herbacie siedząc przed kominkiem rozmawialiśmy na najróżnorodniejsze tematy. Pani Micawber była tak dobra i słabym swym, drżącym, z lat ubiegłych dobrze mi znanym głosikiem śpiewała dawne, z lat ubiegłych znane mi też ballady, wyuczone jeszcze w dniach szczęśliwych, gdy mieszkała z papą swym i mamą. Pan Micawber opowiadał przy tym, że słysząc śpiew ten, kiedy po raz pierwszy miał zaszczyt znajdować się pod rodzicielskim jej dachem, postanowił być bądź co bądź otrzymać serce i rękę śpiewaczki.

Zegar uderzył w pół do jedenastej i pani Micawber udała się znów do mego sypialnego pokoju i lustra w celu ułożenia czepka w kartonowym pudełku i nałożenia kapelusza na głowę. Gdy Traddles nakładał płaszcz, pan Micawber skorzystał z wolnej chwili, by wsunąć mi list do ręki. Ja znów z mej strony, świecąc na schodach odchodzącym, skorzystałem z chwili, gdy państwo Micawber przeszli pierwsi, by szepnąć Traddlesowi na ucho:

– Słuchaj! Pan Micawber najpewniej najlepsze ma intencje, lecz na twym miejscu nie bym mu nie pożyczął.

– Nie pożyczę mu nic – odrzekł z uśmiechem – z tej już racji, że nie mam nic do pożyczania.

– O! Masz imię i podpis.

– Sądysz, że to coś? – spytał zamyślając się.

– Najpewniej.

– O, wdzięczny ci jestem, mój drogi, za ostrzeżenie, ale to już pożyczone chyba.

– Na tym wekslu, o którym mówili?

– Nie, o tym dopiero dziś się dowiedziałem. Myślałem już o tym, że po powrocie do domu zaproponuje mi i ten podpisać. Jest już jeden.

– Mam nadzieję, że nie zrobi z niego złego użytku.

– I ja także mam nadzieję, myślę, że nie, chociaż mówił mi onegdaj, że to już zaspokojone, własne to jego słowa: „zaspokojone”.

Pan Micawber odwrócił się i zaledwie miałem czas powtórzyć uprzednie zlecenie, Traddles podziękowawszy mi zbiegł ze schodów. Strach mię zdjął, gdy stojąc u góry podziwiał uprzejmość, z jaką zdjął kapelusz podając ramię pani Micawber. Poczciwy Traddles ze związanymi rękoma dałby się sam wystawić na giełdzie.

Usiadłem przy kominku, rozmyślając o charakterze pana Micawbera, o jego usposobieniu i naszych dawnych stosunkach, gdy usłyszałem stapanie po schodach. Sądziłem zrazu, że to Traddles wraca po jakiś zapomniany przez panią Micawber przedmiot, lecz w miarę jak się kroki zbliżały, serce zaczęło bić żywiej, poznałem kroki Steerfortha.

Nie zapomniałem nigdy o Agnieszce i śmiało rzec mogę, że z myślą o niej nie rozstałem się nigdy, wierzyłem jej na słowo, lecz wyznać muszę, że tym razem, patrząc na wchodzącego i wyciągającego do mnie rękę przyjaciela, wstydziłem się zwątpienia, które mnie było ogarnęło względem tego ukochanego spośród wszystkich. Nie mniej kochałem Agnieszkę, nie mniej wierzyłem jej pod każdym innym względem, myślałem o niej jak o mym aniele stróżu i nie jej, lecz sobie wyrzucałem to chwilowe sprzeniewierzenie się i nie było zadośćuczynienia, na jakie bym się nie zdobył względem pokrzywdzonego przyjaciela.

– Davy! Pierwiosnku! Rozłajdaczyłeś się, jak widzę – wołał śmiejąc się wesoło. – Co to, nowa uczta! Doctors' Commons dobrą jest szkołą! No! No! Możecie pójść na wyścigi z nami, studentami z Oksfordu.

Błyszczące jego oczy przebiegały pokój dokoła, rzucił się na sofę, na której przed chwilą siedziała pani Micawber, rozgrzebał ogień, który żywszym wybuchnął płomieniem.

– Tak mię naszedłeś niespodzianie – rzekłem – zem cię dość serdecznie nie powitał.

– „Widok mój miły być musi oczom smutkiem omroczonym”, jak mówi ą Szkoci – odrzekł. – Ty mi kwitniesz jak róża, mały mój Bachusku.

– Zdrow jestem – odrzekłem – nie było tu jednak tym razem żadnych bachanalii, chociaż istotnie miałem gości.

– Troje. Spotkałem ich wchodząc do bramy. Głośno śpiewali hymn pochwalny na twą cześć. Kto to ten opięty facet?

Usiłowałem opisać mu w krótkich słowach pana Micawbera. Śmiał się utrzymując, że warto i musi poznać tego jegomościa.

– Zgadnij, kto ten drugi – spytałem.

– Nieba raczą wiedzieć. Nudziarz jakiś, tak przynajmniej wygląda.

– To Traddles – zawołałem tryumfująco.

– Któż to Traddles? – spytał niedbale.

– Jak to! Nie przypominasz sobie Traddlesa z Salem House?

– A! Tak! Traddles! – rzekł uderzając pogrzebaczem w żarzące się węgle. – Zawsze taki poczciwiec! Gdzieżeś go, do diabła, upolował?

W odpowiedzi podnosiłem zalety Traddlesa, czując, że go Steerforth lekceważy. Z uśmiechem i zapewnieniem, że miło by mu było spotkać poczciwego tego chłopca, zmienił temat rozmowy, pytając, czy mu dam co przekąsić. W czasie krótkiej urywanej rozmowy zauważyłem, że gdy przestawał mówić z niezwykłym ożywieniem, uderzał gwałtownie pogrzebaczem po węglach. Oddawał się temu zajęciu, gdy dostawał z szafy resztki pasztetu i sera.

– Ba! – rzekł siadając u stołu. – Królewskie kęski, a jestem przy apetycie. Wracam z Yarmouth.

– Sądziłem – rzekłem – że przyjeżdżasz z Oksfordu?

– Bynajmniej, bawiłem się żegluga.

– Littimer był tu dziś – zauważyłem. – Pytał o ciebie. Zrozumiałem, żeś miał nadjechać z Oksfordu, chociaż, o ile sobie teraz przypominam, nie mówił mi tego wyraźnie.

– Głupiec Littimer szuka mnie, dopytuje się o mnie! – zawołał śmiejąc się i trącając się ze mną kieliszkiem. – Jeśliś potrafił go zrozumieć, mądra z ciebie sztuka.

– Prawda! – zaśmiałem się przysuwając się bliżej. – Mądry będzie, kto go zrozumie! Byłeś zatem w Yarmouth! Długo?

– Nie! Tak około tygodnia, mała eskapada.

– Jakże się tam wszyscy mają? Emilka nie wyszła jeszcze za męża?

– Nie jeszcze. Wyjdzie za kilka tygodni czy za kilka miesięcy, mniejsza z tym. Niewielem ich zresztą widywał. Ale, ale – położył sztucce i zaczął z pośpiechem szukać po kieszeniach – mam list do ciebie, Davy.

– Od kogo?

– Od kogo? Od niani – odrzekł dostając całą paczkę listów – J. Steerforth, Esquire... nie to, cierpliwości, zaraz znajdziemy. Wiesz co, stary ten, jak go tam, nie pamiętam, ma się nieosobliwie.

– Barkis!

– A tak właśnie – mówił przeglądając adresy na kopertach – źle z tym biedakiem. Mnóstwo tam lekarstw, jakiś doktor czy cyrulik, który się też rozpląwał w pochwałach nad tobą, zaimponował mi swoją nauką! Wedle niego, stary woźnica kończy się... Aha! Poszukaj w kieszeni mego płaszcza, tam list musiałem wsunąć.

– Oto jest – zawołałem.

List był od Peggotty, mniej jeszcze niż zwykle czytelny. Oznajmiała mi o rozpaczliwym stanie zdrowia męża, nadmieniała, że jej zdaniem jest on „coraz bliżej”, a przy tym opieka nad nim jest coraz trudniejsza, co jego samego pozbawia wielu wygod. Nie wspominała wcale o swym znużeniu, o czuwaniu u łóżka chorego, którego cierpliwość i rezygnację wychwalała. List cały pisany był z prostotą, serdecznością i zaparciem się siebie, a kończył się zapewnieniem poświęcenia bez granic dla „swego ukochanego”, to jest dla mnie.

W czasie gdy list ten czytałem, Steerforth jadł i pił w najlepsze.

– Brzydka to farsa – rzekł, gdy skończył. – Cóż, kiedy nie ma na to rady. Co dzień słońce zachodzi i co dzień nie ten, to ów umiera, zwykła kolej, którą biorąc do serca darmo byśmy tylko sobie psuli życie. Jazda! Ostro czy z wolna, jak się zdarzy, byle wprost do celu, jazda poprzez wszelkie przeszkody do wygranej.

– Do jakiej wygranej? – spytałem.

— Tej, którą sobie za cel postawimy. Jazda!

Zauważyłem, pamiętam, gdy umilkł z głową przechyloną na bok i kieliszkiem w rękę, na twarzy jego zarumienionej morskim wiatrem zmianę zaszła od ostatniego naszego spotkania. Jakieś napięte naprężenie, jakaś niezłomna energia malowała się na niej wyraźnie. Chciałem go nawet ostrzec o niebezpieczeństwach, na jakie się narażał oddając się tak napiętnie żegludze, błędząc zapewne nieraz w niepogodę po wzburzonych morzach, wróciłem jednak do rozpoczętego uprzednio tematu:

– Wiesz, Steerforcie, co ci powiem, jeśli mnie w tym swym usposobieniu słuchać raczysz...

– Usposobienie moje zastosuje się do twej woli – rzekł wstając od stołu i siadając przy kominku.

– Więc powiem ci, że myślę niezwłocznie pojechać do Yarmouth, do mojej starej, kochanej piastunki. Wiem, że jej w niczym nie pomogę, nie zdam się na nic, lecz tak jest przywiązana do mnie, że sam mój widok będzie jej pociechą, doda sił i odwagi. Niewielka to będzie z mej strony ofiara dla tak starej, wiernej przyjaciółki. Co byś zrobił na mym miejscu?

Zamyślony, nie odpowiadał chwilę, a potem rzekł cicho:

– No to jedź! Nie możesz zaszkodzić.
– Właśnie wracasz stamtąd i nie śmiem ci proponować, byś mi towarzyszył!
– Niepodobna! Dziś jeszcze wrócić muszę do Highgate. Od dawna nie widziałem mej matki i ciąży mi to, bo nie każdemu dano mieć tak kochającą matkę. Uważam siebie za marnotrawnego syna... Ale, co tam! Nonsens! Zamierzasz na pewno jechać jutro? – spytał wstając i oparłszy mi obie ręce na ramionach głęboko wpatrywał się w oczy.

– Tak sądzę.
– Wstrzymaj się do pojutrze. Chciałem cię właśnie prosić, abyś spędził u mnie parę dni. W tym to przybyłem celu, a ty wylatujesz mi do Yarmouth.
– Dobrze ci wyrzucać mi latanie! Ty, latawcze jakiś.
Patrzył na mnie przez chwilę, w uprzedniej pozostając pozycji, i potrząsnął za ramiona.
– Pojutrze więc – rzekł. – Jutro do mnie należy. Kto wie, kiedy się znów spotkamy. Pojutrze, co, dobrze? Chcę, abyś był pomiędzy mną a Różą Dartle, rozdzielał nas.

– Czy się zbyt nie bezie mnie kochacie?
– Lub nienawidzimy – roześmiał się – na jedno to często wychodzi. Więc cóż, pojutrze? Zgodziłem się. Nałożył płaszcz, zapalił cygaro, wychodził. Włóżyłem też płaszcz (lecz nie zapaliłem cygara, pierwsza dostatecznie zadowolniła mnie próba) i odprowadziłem go do gościńca. W noc ciemną gościniec wyglądał ponuro. Steerforth był w wybornym humorze, a gdyśmy się rozstali i spoglądałem za nim, gdy się oddalał śmiałym, elastycznym krokiem, przypomniały mi się jego słowa: „Jazda! Poprzez wszelkie przeszkody, do wygranej”. Życzyłem mu z serca całego, aby do szlachetnego pościgu godny siebie cel wybrał.

Rozbierałem się już do snu, gdy spostrzegłem walający się na ziemi list pana Micawbera. Teraz dopiero przypomniałem go sobie. Rozpieczętowany czytałem, co następuje. List pisany był na półtorej godziny przed obiadem. Nie pamiętam, czym mówił, że w pewnych krytycznych chwilach swego życia pan Micawber zwykł był używać jakiejś prawniczej frazeologii odpowiadającej zapewne stanowi jego interesów.

Panie! – pisał – gdyż nie ośmielę się nazywać Cię kochanym Copperfieldem.

Obowiązkiem moim jest donieść Ci, że niżej podpisany jest bezpowrotnie zgubiony. Za-uważysz zapewne w dniu dzisiejszym niejednokrotne jego usiłowania ukrycia smutnej tej prawdy, do ostatniej chwili. Niestety, nadzieja gaśnie na widnokręgu jego życia i niżej podpisany jest ostatecznie zgubiony!

Pozostaje to w pewnym związku z położeniem człowieka, którego nazwać muszę makle-rem. Posiada on kompromitujące papiery mające zresztą moc prawną. Opis obejmuje cały ruchomy i nieruchomy majątek niżej podpisanego, a nadto ruchomość należącą do pana Tomasza Traddlesa, sublokatora, członka prześwietnej sądowej izby.

Jeśli w przepelnionej goryczą czarze jego życia brakowała jeszcze kropelki, niżej podpisany czarę tę, z tą ostatnią kropelką goryczy, do dna obecnie wychyla z myślą o sumie 23 funtów i 4 szylingów, 9,5 pensa należnej i nie mogącej zostać wypłaconą wyżej wzmianko-wanemu panu Traddlesowi. Gorycz tę podwaja jeszcze myśl, że zgotowany niżej podpisa-nemu los dotknie też w części niewinną ofiarę, której nędzna postać ujrzeć ma światło dzienne jak raz za sześć miesięcy, licząc od obecnej księżycowej kwadry.

Co rzekłszy zbyteczne jest zapewne dodawać, że wkrótce proch i pył ziemski pokryją głowę Wilkinsa Micawbera.

Biedny Traddles! Zbyt dobrze znałem pana Micawbera, aby się bać dla niego następstw rozpaczliwego tego położenia, lecz noc całą myśl o Traddlesie, o jednej z dziesięciu córek proboszcza w Devonshire, o tej, jak ją Traddles nazywał, „najpocziwszej pod słóńcem dziewczynie” gotowej czekać nań cierpliwie, chociażby do sześćdziesiątego roku jego życia, spać mi nie dawała.

Rozdział XXIX

Odwiadam powtórnie Steerfortha

Z rana oznajmiłem panu Spenlow, że się oddalę na dni kilka, że zaś nie pobierałem żadnych honorariów i przeto imię nieubłaganego pana Jorkinsa nie mogło być wywołane, oznajmienie to moje nie spotkało najłżejszego oporu. Skorzystałem z tej sposobności, aby drżącym głosem spytać o zdrowie panny Spenlow? Na co ojciec jej odpowiedział mi z największą obojętnością, że jest zdrowa i dziękuje mi (on, ojciec!) za pamięć.

My, praktykanci sposobiący się do przyszłego zawodu, byliśmy zresztą najzupełniej-szymi panami naszego czasu. Że zaś nie zamierzałem przed drugą po południu udać się do Highgate, a miała być dnia tego rozbierana interesująca i nową ekskomuniką grożąca sprawa: Tepkins przeciw Bullock, udałem się do Commons. Sprawa powstała z bójki pomiędzy dwoma zakrystianami. Jeden drugiego pchnął na pompę, której rączka dotykała budynku szkolnego przylegającego do kościelnego dachu i tym to sposobem rzecz wpadła pod kompetencję Doctors' Commons. Sprawa ta cała nader była zabawna, toteż jadąc do Highgate rozmyślałem o niej jeszcze i o tym wszystkim, com o Commons nasłuchał się był od pana Spenlow.

Pani Steerforth i panna Róża Dartle przyjęły mnie bardzo uprzejmie. Miłą niespodzianką zgotowała mi nieobecność Littimera. Do stołu służyła pokojowa z niebieskimi wstążkami u czepka, której niebieskie oczy nie mieszały mnie tak, jak spojrzenie tego służącego bez zarzutu. Po półgodzinnej już bytności w tym domu zauważyłem baczność, zwróconą na mnie uwagę panny Dartle i porównanie, jakie ukradkiem niby robiła pomiędzy mną a Steerforthem, tak jak gdyby mając nas ciągle na oku pozostawała w wyczekiwaniu czegoś, co lada chwila pomiędzy nami zajść miało. Za każdym razem, gdym się zwracał w jej stronę, spotykałem jej czarne, ogniste, wlepione we mnie oczy, które się natychmiast przenosiły na Steerfortha lub obejmowały obu nas jednym szybkim spojrzeniem. Wzrok ten badał czy nie mieszał się i nie cofał bynajmniej spotkawszy się z moim, owszem, nabierał wówczas szczególniejszej bystrości i ja się to raczej mieszałem, chociaż nie poczuwałem się do żadnej, tak bacznie we mnie poszukiwanej winy. Pożerający blask tych czarnych oczu przerażał mnie po prostu.

Przez dzień cały pełno jej było w całym domu. Gdyśmy gwarzyli ze Steerforthem w jego pokoju, słyszałem tuż na galerii szelest jej sukni. Gdyśmy się na murawie oddawali gimnastycznym ćwiczeniom, dostrzegałem twarz jej w tym, to tamtym oknie, podobną do błędnego ognika, zanim dobrała najdogodniejsze dla swych obserwacji miejsce. Gdyśmy we czworo używali popołudniowej przechadzki, pochwyliła mi ramię jak w kleszcze drobnymi dłońmi i powstrzymując tak, aby się Steerforth dostatecznie z matką oddalił, rzekła:

– Od dawna nie widzieliśmy tu pana. Czy istotnie związane z zawodem zajęcia pochłaniają tak bardzo czas pański? Pytam zawsze o to, czego nie wiem. Istotnie zajęcia?

Odpowiedziałem jej na to, że zawód mój zajmuje mi czas nie do tego jednak stopnia.

– Och! Dobrze, że się dowiedziałam, lubię wiedzieć zawsze prawdę! – zawołała. – Więc pan uważa zajęcia swego zawodu za nieco suche? Tak?

– Tak – odrzekłem – są nieco suche.

– Och! W takim razie potrzebna bywa zmiana, rozrywka, prawda? Czy to odnosi się i do niego?... Nie pana mam na myśli.

Szybkie spojrzenie na prowadzącego pod ramię matkę Steerfortha aż nadto wyraźnie mówiło mi, kogo miała na myśli. Poza tym jednak nie domyślałem się, o co jej idzie.

– Więc to, nie mówię tego, pytam tylko, to go tak zajmuje, pochłania? Czy go to czasem nie czyni nieco opieszałym w jego tu odwiedzinach? Te więc na oślep prowadzone bałamuctwa? Ha? Co?

Nowe spojrzenie na Steerfortha i drugie, do samej głębi mego sumienia sięgające.

– Panno Dartle – począłem – upewniam panią...

– Ależ ja niczego się nie domyślam, o nic nie posądzam! – zawołała. – Pytam po prostu i bynajmniej własnego nie wyrażam zdania. Owszem, staram się tylko wywieść z tego, co słyszę, niejaki wnioski. Zatem nie wspólne rozrywki? Miło mi to wiedzieć.

– Upewniam panią – rzekłem zmieszany – że nic nie jestem winien długiej, jak się dopiero od pani dowiaduję, niebytności Steerfortha w domu. Od dawna sam go nie widziałem.

– Czy tak?

– Upewniam panią, panno Dartle.

Kiedy się zwróciła ku mnie, twarz jej bledsza była i stara blizna wystąpiła wyraźniej. Blizna ta, wzrok rozbłysły utkwiony we mnie przerażały mnie.

– Więc gdzie był? – spytała wprost już, cicho, lecz wyraźnie.

Pomimo woli powtórzyłem jej pytanie.

– Gdzie był? – mówiła żywo, z ogniem w oczach. – W jakimże przedsięwzięciu dopomaga mu ten niegodziwiec, który mi w oczy spojrzeć nie śmie? Nie, nie pytam pana o tajemnicę przyjaciela, nie masz prawa go zdradzać, pytam tylko, czy gniew to, nienawiść, duma, niepokój, szalona jakaś fantazja czy miłość, która nim kieruje, która go pochłania.

– Panno Dartle – odrzekłem – jakże potrafię przekonać panią, że się nic nie zmieniło, odkąd byłem tu po raz pierwszy, że nic się nie stało i zaledwie zrozumieć mogę, o co pani idzie?

Patrzała na mnie, a jakieś drganie bólu wewnętrznego przebiegało po bliźnie podnosząc końce jej ust, malując na twarzy wyraz wzgardy i pewnego politowania. Szybko podniosła rękę, tak szczupłą i delikatną, że ją mimo woli przyrównałem do porcelanowej, i rzuciwszy mi ogniste spojrzenie rzekła szybko, rozkazująco, namiętnie:

— Ani słowa o tym, nikomu. Liczę na sekret.

Pani Steerforth nie mogła się dość nacieszyć synem, który jej dnia tego szczególne jakieś okazywał przywiązanie. Zajmował mnie ten widok, nie tylko z tego względu, lecz i dla istniejącego pomiędzy matką a synem uderzającego podobieństwa. Kobiecość i wiek złagodziły i zmieniały w pełną godności powagę u matki to, co u syna było dumą i porywczoscią. Myślałem, że dobrze jest, gdy pomiędzy dwiema podobnymi naturami nie przyjdzie do poważniejszego starcia, gdyż każde starcie pomiędzy dwiema podobnymi naturami, powiem raczej pomiędzy dwiema odcieniami jednej natury, gwałtowniejsze bywa niż gdzie indziej. Myśl ta zresztą nie należała do mnie w zupełności, natchnęła mnie nią panna Dartle.

Powiedziała ona przy stole:

– O! Proszę, niech mi kto powie, myślę o tym dzień cały i chciałabym wiedzieć...

– Co takiego, Róžo? – spytała pani Steerforth. – Proszę cię, nie bądźże tak tajemnicza.

– Tajemnicza! – zawołała. – Jak to? Ja jestem tajemnicza, doprawdy?

– Ileż razy prosiłam cię – rzekła pani Steerforth – abyś mówiła wprost, co myślisz.

– Och! Więc nie mówię wprost, co myślę – odparła – gdy pytam i proszę o wyjaśnienie tego, czego nie rozumiem? Nikt z nas widać nie zna sam siebie.

– Pytanie stało się drugą twą naturą – rzekła pani Steerforth – lecz pamiętam i sama pamiętać to możesz, jak inna dawniej bywałaś, nie tak skryta i bardziej ufna.

– Zapewne – odrzekła – złe przywyknienia stają się często drugą naturą. Czy tak istotnie? Nie tak skrytą i bardziej ufna? Jakże się stopniowo i niepostrzeżenie zmieniłam! Dziwne! Postaram się wrócić do dawnych mych usposobień.

– Oby! – odrzekła uśmiechając się pani Steerforth.

– Postaram się – zapewniała panna Dartle – będę się uczyć szczerości od... chociażby od Jamesa.

– Lepszej nie możesz wybrać szkoły – odparła z niejaką żywością pani Steerforth, gdyż w niedbałych i żartobliwych słowach panny Dartle przebijała zawsze pewna ironia.

– Tegom pewna – zapewniała nie mniej żywo. – Jeśli o czym nie wątpię, to o tym właśnie.

Pani Steerforth pożałowała widać uprzedniej swej żywości, gdyż spytała łagodnie już:

– Tymczasem, kochana Rózo, nie wiemy dotąd, o coś pytać chciała.

– O co pytać miałam? – powtórzyła z wyzywającą obojętnością. – O! O to tylko, czy ludzie jednakowych usposobień... nie wiem, czy się trafnie wyrażam?

– Ściśle i trafnie – rzekł Steerforth.

– Dziękuję... czy tedy ludzie jednakowych usposobień mogą domyślić się przyczyny powstałej pomiędzy nimi rozterki i w takim razie, czy rozterka ta nie poróźni ich bardziej, nie rozdrażni wzajemnie?

– Powiedziałbym, że tak – rzekł Steerforth.

– Ta-a-k? – rzekła panna Dartle. – Przypuścimy zatem... wszak można przypuszczać nieprawdopodobieństwo nawet? Przypuścimy tedy, że powstanie nieporozumienie pomiędzy tobą i twą matką?

– Kochana Rózo – zawołała śmiejąc się pani Steerforth – zdobądź się na inne przypuszczenie! James i ja wiemy, dzięki Niebu, cośmy winni sobie wzajem.

– O! – rzekła kiwając w zamyśleniu głową panna Dartle – to coś znaczy, to zapobieży wszelkim nieporozumieniom. Zapewne! Zabawne było me przypuszczenie, dziwaczne. Zapobieży! Dziękuję!

Muszę jeszcze zanotować jedną odnoszącą się do panny Dartle okoliczność, która mi się później przypomniała, wówczas gdy było to nieodwołalną przeszłością. Przez cały ów dzień pamiętny Steerforth rozwijał wszelkie zasoby sztuki podbijania serc ludzkich, aby ją rozweselić. Nie dziwiło mnie jego w tym względzie powodzenie, nie dziwi mnie też i to, że się opierała jego urokom, gdyż wiedziałem, jak jest złośliwa i przekorna. Tym razem jednak widziałem, jak stopniowo miękła i łagodniała. Rysy jej wypogadzały się, spoglądała na Steerfortha z uwielbieniem. Opierała się widocznie jego urokowi, zdawało się, że się gniewa sama na siebie za swą słabość, lecz opierała się coraz mniej, aż w końcu spojrzenia jej zmiękły, uśmiech złagodniał, przestała mnie przestraszać, a przy kominku gwaryliśmy i śmieliśmy się tak swobodnie i wesoło, jak gdybyśmy wszyscy dziećmi jeszcze byli.

I czy to dlatego, że się obiad przedłużył, czy że Steerforth nie chciał stracić osiągniętego celu, nie wiem, lecz zanim pięć minut upłynęło od wyjścia dam z sali jadalnej, powstał z miejsca i zbliżył się do drzwi salonu.

– Gra na harfie – rzekł z uśmiechem, który znikł natychmiast z ust jego – nikt oprócz mej matki nie słyszał jej grającej od trzech lat przeszło.

W salonie zastaliśmy pannę Dartle samą.

– Nie przerywaj – rzekł Steerforth widząc, że odejmuje ręce od harfy. – Bądź, Rózo, choć raz dobra i zaśpiewaj nam irlandzką piosenkę, wiesz.

– Niby dbasz o irlandzkie piosenki? – odparła.

– I bardzo, więcej niż o wszelkie inne. I Davy szalenie lubi muzykę. Różo kochana, zaśpiewaj irlandzką piosenkę, usiądę i będę słuchał, jak dawniej.

Nie dotknął jej ramienia ani nawet krzesła, z którego powstała, tylko usiadł nie opodal harfy. Stała chwilę niepewna przebierając palcami po strunach, lecz nie wywołując żadnego dźwięku. Usiadła wreszcie, gwałtownie przycisnęła do siebie harfę i zaczęła śpiewać.

Nie wiem, co było w tym śpiewie, lecz wydał mi się nadziemskim. Niczego podobnego nie słyszał i nie wyobrażał nawet sobie. Było w tym coś strasznego zarazem, zdawało się, że melodia nie układana w tony, nie rozebrana na nuty wybuchła nami ętna, konając w niskich tonach, to podnosząc się znów ze zdwojoną potęgą. Byłem odurzony. Słuchałem, chociaż umilkła już była i tylko trącała o struny harfy.

Z zamyślenia wyrwał mię Steerforth. Powstał z miejsca i obejmując pannę Dartle zawołał śmiejąc się:

– Odtąd, Różo, i na przyszłość będziemy się wzajemnie kochali z całego serca? Zobaczysz!

Odepchnęła go ze złością jak dzika kotka i wybiegła z salonu.

– Co się stało Róży? – spytała wchodząc właśnie w tej chwili pani Steerforth.

– Była przez chwilę aniołem – odrzekł syn – a po chwili, dla zachowania zapewne równowagi, wpadła w przeciwną ostateczność.

– Nie powinieneś rozdrażniać jej – zauważyła matka. – Winienesz pamiętać, że charakter jej zgorzkniał, i oszczędzać ją.

Róża nie pokazała się już wieczoru tego i nie było więcej o niej wzmianki. Dopiero gdy weszłem do pokoju Steerforth, aby mu życzyć dobrej nocy, spytał mnie, czy spotkałem kiedy coś bardziej niezrozumiałego i kapryśnego.

Wyraziłem moje przechodzące wszelką miarę zdziwienie pytając go wzajemnie, czy się domyśla, co się jej stało?

– Nieba raczą wiedzieć – odrzekł – jaka ją ukąsiła mucha. Mówiłem ci już, że obróciła by wniwecz wszystko i wszystkich, włączając samą siebie, zmięła i potargała. Brzytwa to, z którą nie można nigdy być ostrożnym. Zawsze ci z nią grozi niebezpieczeństwo! Dobranoc, pierwiosnku.

– Dobranoc – odrzekłem – kochany przyjacielu. Żegnaj cię zarazem, gdyż odjadę jutro, zanim wstaniesz.

Zatrzymywał mnie, a potem kładąc mi obie ręce na ramionach jak poprzedniego wieczoru:

– Pierwiosnku mój – rzekł z uśmiechem – lubię cię tak nazywać, chociaż ci twoi chrzestni rodzice zapomnieli dać ci na chrzcie to imię. Lubię i chciałbym, chciałbym z całego serca, abyś mnie tak samo mógł nazywać.

– Mógłbym, gdyby mi się podobało – odrzekłem.

– Słuchaj, pierwiosnku! – ciągnął – jeśli nas co rozdzieli, zachowaj o mnie dobre wspomnienie. Musisz mi to przyrzec. Zachowaj o mnie dobre wspomnienie wbrew okolicznościom, które rozłączyć nas mogą.

– Byłeś dla mnie zawsze najlepszym – odrzekłem – kocham cię całym, niezmiennym sercem.

W głębi duszy czułem żal, że go skrzywdził był niesłusznym posądzeniem, i wyznanie tego grzechu cisnęło mi się na usta powstrzymywane po części bojaźnią zdradzenia zaufania Agnieszki, po części trudnością przystąpienia do tematu.

– Niech cię Bóg ma w swej pieczy – rzekł ściskając mnie raz jeszcze.

Nazajutrz o świcie byłem na nogach. Ubrawszy się szybko, wszedłem z cicha do jego pokoju. Pograżony był w głębokim śnie. Leżał z głową opartą na rękę, tak samo jak go nieraz widziałem śpiącym w szkole.

Nadszedł czas, w którym podziwiałem, że wzrok mój nie spłoszył wówczas spokoju jego snu. Spał – tak go sobie przypominać lubię – spokojnie, tak jakem go nieraz widział śpiącym w szkole, i tak go opuściłem o szarym, cichym świcie.

I nigdy już, nigdy więcej z uczuciem przyjaźni i przywiązania nie dotknąłem spokojnej, bezwładnej jego dłoni. Nigdy już, nigdy!

Rozdział XXX

Strata

Wieczorem przybyłem do Yarmouth i udałem się wprost do gospody. Wiedziałem, że gościnnie mój pokój u Peggotty raczej potrzebny będzie lub może jest już potrzebny do przyjęcia tego wielkiego gościa, przed którym żyjący ustępować muszą. Udałem się więc do gospody, zjadłem obiad i zamówiłem sobie pokój na noc.

Dziesiąta już była, gdym wyszedł na miasto. Ulice puste, sklepy przeważnie pozamykane. Gdy zbliżyłem się do sklepu „Omer i Joram”, okiennice zastałem już spuszczone, lecz drzwi otwarte. Pan Omer palił fajkę; wszedłem tedy, pytając go o zdrowie.

– A na Boga żywego! – zawołał. – Skąd się pan tu wziął o tej porze! Niech pan siada. Dym nie szkodzi?

– Bynajmniej – odrzekłem – zwłaszcza z cudzej fajki.

– A czemu nie z własnej? – roześmiał się pan Omer. – Tym lepiej! Tym lepiej! Zły to nałóg, nabrałem go z powodu mej astmy.

Pan Omer zrobił mi miejsce, przysunął krzesło, sam usiadł i sapiąc palił zapamiętałą fajkę, szukając w niej zapewne brakującego mu oddechu.

– Zmartwiły mnie niedobre wieści o zdrowiu pana Barkisa – rzekłem.

Pan Omer popatrzył tylko na mnie i potrząsnął głową.

– Jakże się ma dziś wieczorem? – spytałem.

– Chciałem właśnie – odrzekł – spytać o to pana, lecz delikatna to materia dla człowieka mego zawodu. Rozumiesz pan. Gdy klient jest chory, nie wypada nam dopytywać o jego zdrowie.

Nie przyszło mi to na myśl, chociaż dręczyły mnie złe przeczucia, gdym idąc słyszał w sklepie znane mi zgrzyty. Pan Omer miał słuszność.

– Rozumiesz pan – ciągnął potrząsając głową – nie wypada. Jakżeby to wyglądało, gdybyśmy posyłali do klientów z zapytaniem: „Omer i Joram pytają, jak się klient czuje dziś rano czy dziś wieczorem”. Nie wypada.

Skłoniłem twierdząco głową. Pan Omer ciągnął fajkę.

– W naszym zawodzie – mówił – człowiek nie może nawet wyrazić swych uczuć. Znam Barkisa od lat czterdziestu, a nie wypada mi odwiedzić go i zapytać się o zdrowie.

Istotnie było to nader przykre.

– Nie jestem w tym jednak bardziej od innych zainteresowany – mówił. – Oto patrz pan, mnie samemu lada chwila może zbraknąć oddechu i sam o tym wiem najlepiej. Jakże posądzać o interesowność człowieka, który wie, że mu lada chwila może zbraknąć oddechu, i który doczekał się już wnuków.

– Zapewne – rzekłem.

– Nie to, abym wyrzekał na mój zawód, nie, bynajmniej. Wszystko ma dobrą i złą stronę, korzyści i niedogodności. Ot, po prostu chciałbym, aby klienci byli odważniejsi i wyrozumialszy.

Zadowolony i uśmiechnięty, kilkakrotnie pociągnął fajkę i tak mówił dalej:

– Co do Barkisa, musimy poprzestać na udzielanych nam przez Emilkę wiadomościach. Ona przynajmniej rozumie, jak rzeczy stoją, i dowierza nam, wie, żeśmy niewinni jak jagnięta. Właśnie Minnie poszła z mężem wywołać Emilkę – pomaga ona ciotce pielęgn-

wać chorego – aby się od niej dowiedzieć, jak się chory czuje. Jeśli pan zechce zaczekać, Minnie z mężem nadejdą lada chwila i wszelakich udzielą wyjaśnień. Czym mogę panu tymczasem służyć? Szklanką wody z syropem? Co? Sam właśnie piję wodę z syropem, gdy palę fajkę, dla złagodzenia mego oddechu! Co tam łagodzić! Zawsze mawiam Minnie, mojej córce, byle tylko było czym oddychać.

Brakło mu istotnie tchu i przeląknęłam się, widząc, jak się śmieje, a wiedząc, w jaki go zwykle stan śmiech wprawia. Gdy odzyskał mowę, podziękowałam mu za wodę z syropem mówiąc, że jeśli pozwoli, chętnie zaczekam na powrót córki i zięcia. Spytałem przy tym o Emilkę.

– Ha! – rzekł odejmując od ust fajkę – prawdę mówiąc chciałbym, aby już jak najprędzej wyszła za męża.

– Dlaczego? – spytałem.

– Ot – rzekł – nie można powiedzieć, aby poszpetniała, jest równie ładna, jak była, ła dniejsza jeszcze. I nie to, że się opuszcza w robocie. Nie. Wyborna, doskonała robotnica, lepszej nie znaleźć, ale brakuje jej czegoś. No, cierpliwości, wytrwania, sam nie wiem czego, ale czegoś brakuje.

Perorował tak energicznie, że mogłem mu tylko potakiwać. Był z tego widocznie zadowolony, gdyż ciągnął:

– Uważam, że jest jakaś niespokojna. Wieleśmy już o tym mówili ze starym i z narzeczonym i tak czy owak trzeba myśleć o zapewnieniu jej przyszłości. Najśłodsze to pod słońcem stworzenie! Przysłowie mówi, że nie zrobisz czarnego białym. Nie wiem, czy to prawda, ale to wiem, że z tej tam starej łodzi Emilka zbudowała rodzinne gniazdo, mocniejsze niż z muru i kamienia.

– Najpewniej – pośpieszyłem potwierdzić.

– Dość widzieć ten drobiazg, jak się czepia starego swego stryja! Lgnie do niego po prostu co dzień bardziej, co dzień więcej się przywiązuje. No! Nie ma co mówić, musi nastąpić pewne oderwanie, po co zwlekać.

Słuchałem uważnie słów pocziwca, zgadzając się w zupełności z jego poglądami.

– Mówię im tedy – twierdził – w końcu trzeba ten interes zagwoździć. Naznaczcie termin, jaki się wam podoba. My oceniamy jej pracowitość i oddane usługi więcej może, niż sądzicie, lecz gdy idzie o los jej, „Omer i Joram” gotowi uwolnić ją w każdej chwili. Jeśli zechce potem brać od nas robotę do domu, zgodzimy się na to z przyjemnością. Nie, to nie, nasza w tym będzie strata albo i nie strata, bo to widzisz pan – tu pan Omer dotknął fajką mojego ramienia – nie wypada mnie, mającemu wnuki, astmatycznemu dziadkowi, ubiegać się tak bardzo o jakieś tam błękitnookie dziewczę.

– Zapewne – potwierdziłem.

– Nie wypada – mówił. – Sam pan to przyznać musisz. Otóż jej kuzyn, pan musisz wiedzieć, że wychodzi za swego kuzyna?

– O tak! – odrzekłem. – Znam go dobrze.

– A zapewne, przypominam sobie. Otóż narzeczony podziękował mi (a jaki to porządny, zacny, stateczny chłopiec!) i najął domek, cacko wprost. Pokupował sprzęty, klatka, mówię, czyściutka, bielutka klateczka. Trzebaż, żeby choroba Barkisa zły wzięła obrót! Pobraliby się byli. Teraz, naturalnie, przeciągnie się to.

– Czy się Emilka uspokoiła? – spytałem.

– Trudno tego wymagać – rzekł pocierając ręką brodę. – Perspektywa zmiany, rozstania się ze stryjem, zawsze to coś. Śmierć Barkisa nie będzie wprawdzie przeszkodą, ale zwłoką, a nie ma to, widzisz pan, nic gorszego nad niepewność.

– Widzę – rzekłem.

– Aha! – ciągnął pan Omer – nic dziwnego, jeśli Emilka jest nieco przybita, zaniepokojona. Z każdym dniem, rzekłbyś, bardziej się przywiązuje do stryja, coraz jej też ciężiej

rozstać się z nami. Za lada dobrym słowem miewa łzy w oczach, a rozkosz widzieć ją z dziećmi Minnie. Niech ją Nieba mają w swej opiece, jak ona lubi dzieci!

Skorzystałem z nieobecności Minnie i jej męża i spytałem pana Omera o Martę.

– Źle – rzekł kiwając głową. – Smutna historia, wiadoma już panu, jak widzę. Nie podejrzewałem nigdy tej dziewczyny, nigdy nie przypuszczałem! Nie wspominam te ż przed Minnie, niech Bóg zachowa. Nie ma tu mowy o niej mi ędzy nami.

Pan Omer usłyszał niedosłyszalne dla mnie, zbliżające się kroki swej córki, więc mrużąc oko kiwnął fajką na znak porozumienia. W drzwiach stanęła Minnie.

Z Barkisem, jak mówiła, było bardzo źle, utracił przytomność i pan Chillip, wychodząc przed chwilą od chorego, mówił w kuchni, że ani cały fakultet medycyny, ani żaden chirurg, ani żadne apteki pomóc by mu już nie mogły. Sam przecie pan Chillip był doktorem medycyny i chirurgii, co zaś do apteki, ta mogłaby tylko otruć chorego.

Słyszając to postanowiłem udać się natychmiast do Peggotty. Pożegnałem pana Omera i jego rodzinę i skierowałem kroki w stronę mieszkania mej piastunki pod wpływem wrażeń, które w mych oczach nadawało Barkisowi nowej, niebywałej powagi.

Zapukałem do drzwi. Otworzył mi pan Peggotty, nie zdziwił się wcale ujrawszy mnie. Tak samo zresztą i Peggotty. Wobec strasznej niespodzianki, jak ą mieli przed sobą, wszelkie inne błady i zacierały się.

Uścisnęliśmy sobie w milczeniu ręce, przeszliśmy cicho i na palcach do kuchni. Przed ogniem siedziała Emilka z ukrytą w rękach twarzą. Ham stał przed nią.

Mówiliśmy szeptem, nasłuchując wszelkich dochodzących nas z góry szmerów. Za uprzedniej mej bytności nie zauważyłem tego wcale, teraz jakże mi się dziwna zdawała nieobecność gospodarza domu w tej kuchni.

– Jakże to pięknie z pańskiej strony! – zauważył pan Peggotty dłoń mi ściskając.

– Niezwykłe pięknie – potwierdził Ham.

– Emilko, duszko – mówił pan Peggotty – spójrz tylko! Pan Davy przyjechał, by nas pocieszyć. Co? Nie powiesz mu ani słowa?

Drgnęła tylko. Pamiętam chłód jej ręki. Zdawało się, że ją cofa z mej dłoni. Zerwała się z krzesła i zwisając u ramienia stryja milcząca i drżąca cała schyliła się w jego objęcia.

– Takie to kochające serce – mówił pan Peggotty gładząc włosy dziewczęcia grubą swą ręką – że trudno jej przenieść widok tej boleści. Młode i świeże serca, jak tej mojej ptaszyn, przenieść tego nie mogą. Wszak to naturalne, panie Davy?

Przytuliła się do niego nie podnosząc oczu i nie mówiąc słowa.

– Późno już, gołąbko moja – perswadował pan Peggotty. – Ham przyszedł, by cię odwiedzić do domu. Idź już, idź, kotko, dziecko moje! On cię odprowadzi. Co mówisz, Emilko, duszko moja?

Nie słyszałem jej głosu, lecz pochylając się nad nią pan Peggotty zdawał się wsłuchiwać w cichą jakąś prośbę.

– Zostać tu ze stryjem? – mówił. – Bój się Boga! Zostać, gdy cię narzeczony odwiedzić chce do domu? Kto by to powiedział – dodał spoglądając z dumą na mnie i na Hama – że ta pieszczotka nad wszystko i wszystkich przekłada swego starego stryja, niezdar ę. Oj, ty, ty! Pieszczotko!

– Emilka ma słuszność – rzekł Ham – a ponieważ żąda tego, niech tu do jutra rana zostanie, ale i ja też zostanę.

– Co to, to nie! – zaprzeczył pan Peggotty. – Jutro musisz stanąć do pracy. Nie możesz jednocześnie czuwać i pracować, a o swą zoneczkę nie masz co się troszczyć. Pod dobrą zostanie opieką, ja za to odpowiadam.

Ham, stosując się do rady stryja, wziął kapelusz. Nawet gdy ścisnął ją – a za każdym razem, gdy się zbliżał do niej, czułem, że w tym prostym żeglarzu jest dusza i delikatność prawdziwego dżentelmena – przytuliła się do stryja odsuwając się od swego przyszłego

męża. Wyszedłem, by zamknąć drzwi za odchodzącym, a gdym wrócił, pan Peggotty mówił jej coś z cicha, tkliwie, uspokajał czy upominał.

– Teraz – rzekł – pójdę tam na górę i uprzedzę ciotkę o przyjeździe pana Davy. Pocięszy to ją nieco, biedaczkę. Usiądź tu sobie tymczasem przed ogniem i rozgrzej te swoje jak lód zimne, biedne rączęta. No! Nie bój się, uspokój, nie bierz tak tego do serca! Co? I ty pójdziesz ze mną? Chodź, gołąbko, chodź! Pewien jestem, panie Davy – dodał z dumą – że gdyby stryj jej stał się włóczęgą, wyklętym, jeszcze by za nim poszła! Do czasu, do czasu, gołąbko, pójdziesz ty wkrótce za kimś innym.

Gdy nieco później wszedłem po ciemku do mego pokoiku na górze, zdawało mi się, że ją tam zastałem kłęczącą na ziemi. Nie jestem jednak tego pewien, było to może wywołane przez złudną grę cieni.

Siedząc przed kominem rozmyślałem o tej bojaźni Emilki przed śmiercią. Bojaźń ta i to, co mi mówił o niej pan Omer, musiały tak ujemnie oddziaływać na nią. Nie, istotnie nie była już taka jak dawniej. Swobodnie mogłem oddawać się podobnym rozmyśleniom wsłuchując się w głośny chód zegara i panującą w domu ciszę. Nagle uczułem około mej szyi ramiona Peggotty! Całowała mnie dziękując, żem pośpieszył do niej w podobnej chwili. Powiedziała mi też, że mogę pójść za nią na górę, gdyż mąż jej lubił mnie zawsze i podziwiał, i nieraz, zanim stracił przytomność, wspominał, więc jeśli mu przytomność wróci, ucieszy się moim widokiem o tyle, o ile doczesne sprawy mogą go jeszcze cieszyć.

Zwątpiłem o tym najzupełniej, ujrzawszy chorego. Leżał z głową i ramionami opartymi o skrzynię, przedmiot ciągłej swej troski. Dowiedziałem się później, że gdy nie mógł już zwlekać się z łóżka ani dosięgać skrzyni kijem, jakim to uprzednio widział, żądał, aby mu ją postawiono na krześle u samego wezgłowia. Chciał ją czuć i ciągle jej dotykać. Zapomniał o biegu czasu, o świecie całym, a pamiętał jeszcze o swej skrzyni, bo oto i teraz obejmował ją, a po sinych jego wargach błąkały się niewyraźne słowa:

– Stare rupiecie!

– Barkis, kochany – rzekła spokojnie, siląc się nawet na wesołość, Peggotty pochylając się nad wezgłowiem chorego, gdy razem z jej bratem stanąłem przy łożu – wiesz, kto do nas przyjechał? Zgadnij! Moje kochane dziecko, Davy, swat nasz, pamiętasz. Dawalesz mu różne zlecenia do mnie.

Milczał, sztywny i nieruchomy jak obejmowana przezeń skrzynia.

– Opuści nas z odpływem – szepnął mi na ucho pan Peggotty.

Łzy miał w oczach i ja także.

– Z odpływem? – szepnąłem.

– Na tym wybrzeżu – wyjaśniał mi równie cicho – ludzie umierają zawsze z odpływem, zawsze z przyływem się rodzą. I on odejdzie z odpływem. O pół do czwartej. Jeśli przeżyje tę godzinę, żyć będzie do jutrzejszej nocy.

Pozostaliśmy u łoża konającego. Godziny mijały. Nie wiem, jaki niewytłumaczony wpływ wywierać na niego mogła moja obecność, ale to pewne, że gdy począł coś bełkotać gasnącym głosem, mówił o mnie, o tym, jak mnie woził do szkół.

— Wraca mu przytomność – rzekła Peggotty.

Pan Peggotty trącił mnie mówiąc cicho i poważnie:

– Odpływ się zbliża.

– Barkis! Mój drogi – mówiła pochylając się nad nim żona.

– C. P. Barkis, najlepsza pod słońcem kobieta – zaszemrał głos konającego. Szeroko otworzył oczy.

– Patrz, poznajesz go, to jest pan Davy – mówiła Peggotty.

Sam miałem chęć spytać go, czy mnie poznaje, tak się uważnie we mnie wpatrzył. Wyciągnął ramiona i uśmiechnął się do mnie.

— Barkis gotów! – rzekł wyraźnie.

Była to godzina odpływu... Odpłynął ku nie znanym nam wybrzeżom.

Spis treści

- I- Przychodzę na świat
- II- Zaczynam pojmować
- III- Zmiana
- IV- Popadam w niełaskę
- V- Wysyłają mnie z domu
- VI- Rozszerzam krąg mych znajomości
- VII- Pierwsze szkolne półrocze
- VIII- Wakacje. Zwłaszcza jedno błogie popołudnie
- IX- Pamiętna rocznica urodzin
- X- Zaczynam zarabiać na życie
- XI- Zaczynam życie na własną rękę, co mi nie smakuje
- XII- Zdobywam się na stanowczy krok
- XIII- Następstwa tego kroku
- XIV- Ciotka moja czyni postanowienie
- XV- Nowy początek
- XVI - Zmieniam się pod wielu względami
- XVII - Ktoś znów się pojawia
- XVIII- Rzut oka wstecz
- XIX - Rozglądając się wokół, robię pewne odkrycie
- XX- Rodzina Steerfortha
- XXI- Mała Emilka
- XXII- Stare miejsca, nowi ludzie
- XXIII- Wysłuchuję rad pana Dicka i obieram zawód
- XXIV- Rozpraszam się
- XXV- Złe i dobre anioły
- XXVI- Popadam w niewolę
- XXVII- Tommy Traddles
- XXVIII - Pan Micawber rzuca rękawicę
- XXIX - Odwiedzam powtórnie Steerfortha
- XXX - Strata